
3 1761 07038031 6

JENERAŁ ZAMOYSKI

JENERAŁ ZAMOYSKI

1803—1868

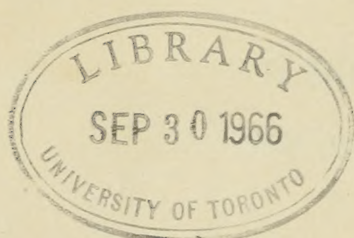
TOM II

1830—1832

POZNAŃ

NAKŁADEM BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

1913



Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.

Wspomnienia przez jenerała Zamoyskiego dyktowane lub spisywane w latach 1858—1867 oznaczone są, jak w tomie I, cudzysłowem ⟪...⟫.

Wspomnienia wcześniejsze, spisywane już w 1832 i w latach następnych, objęte są cudzysłowem pojedyńczym ⟨...⟩.

Ustępy z listów lub notatek jenerała Zamoyskiego, umieszczone w przypiskach, opatrzone są znakiem (W. Z.).

I

ZAJĘCIE MODLINA (4 GRUDNIA 1830) — PRZY DYKTATORZE — PUŁK 5 UŁANÓW

《[1]) W pamiętnym dniu 3 grudnia 1830 roku, wśród ogólnej radości, wywołanej w Warszawie powrotem pułków polskich z obozu w. xięcia [2]), niektórzy z wyższych oficerów ściągali jednak na siebie nienawistne spojrzenia tłumu. Należał do nich w pierwszym rzędzie jenerał Wincenty Krasiński, któremu taką okazywano nienawiść, że można było obawiać się o jego życie. Jenerał Kurnatowski, mniej znienawidzony, chociaż bardzo niepopularny, musiał wysłuchać wszystkich zarzutów, miotanych na jego pułk za pałaszowanie w dniu 29 listopada; ale, szczęściem dla niego, oddział, złożony z niższego mieszczaństwa, wziął go pod swoją opiekę, ściskaniem ręki pobratawszy się z nim[3]).

---

[1]) Cudzysłowem 《...》 oznaczone są wspomnienia jenerała Zamoyskiego, przez niego dyktowane lub spisywane, dorywczo, najczęściej w podróżach, w latach 1858—1867.

[2]) Ob. tom I, str. 438, 439.

[3]) Byłoby krzyczącą niesprawiedliwością żadnej nie czynić różnicy między zdrajcami kraju a Kurnatowskim, który przez cały ciąg wojny zachowywał się zacnie i, choć odepchnięty przez naród za nizkie dworactwo przy w. xięciu, niemniej dla sprawy narodu przychylnym się okazywał. Znaglony później przez Krukowieckiego do opuszczenia stolicy i kraju, udał się do Niemiec, ale stamtąd nie zgłaszal się do cara, którego był adjutantem i za to pozostał w niełasce. (W. Z.)

Trzeba pojmować, jaki wpływ wywiera na Polaków poczucie miłości ojczyzny, aby zdać sobie sprawę, jakim sposobem tacy ludzie, w takiej chwili, mieli odwagę pokazać się pospólstwu, o którem dobrze wiedzieli, jak jest względem nich usposobione, jakim sposobem woleli narażać się na obelgi i zemstę, poprzedniem zachowaniem się niechybnie przeciwko sobie wywołane, niż się wystawić na zarzut obojętności względem ojczyzny. Jednoczesne przystąpienie do powstania, jakby wbrew własnej woli, ludzi, którzy przeszłością swoją okazali się przeciwnymi samymże zasadom tej rewolucyi, dowodzi raz więcej, że naród wciągnięty do niej został jakąś nieprzepartą duchową przemocą, że nikt prądowi oprzeć się nie zdołał.

Zaledwo miałem czas dojechać do pałacu rządowego i wręczyć pismo w. xięcia, kiedy rozeszła się wieść, że jen. Wincenty Krasiński, chociaż eskortowany w swoim pochodzie przez samego Chłopickiego, przez jen. Szembeka i cały garnizon, znajduje się w coraz większem niebezpieczeństwie, że tłum ogromny go napastuje, zemsty się domagając. Wypadłem z pałacu rządowego i pospieszywszy na wskazane miejsce w największej trwodze, aby dzień tak piękny nie został skalany zbrodnią, stałem się świadkiem tego, co zaszło wówczas na placu Bankowym, a czego nigdy zapomnieć nie zdołam. Sam widziałem, jak wśród tłumu i zgiełku zarzucony na Krasińskiego stryczek spadł na plecy jego i jak go sędziwy, a od ludu warszawskiego kochany Niemcewicz piersiami zasłaniał. Doprowadzony do pałacu rządowego, musiał się Krasiński ukazać na ganku i ratować, składając przed ludem w ręce Niemcewicza przysięgę, że wiernym będzie ojczyźnie.

Ledwo zgiełk ludu uciszył się na placu Bankowym, z pierwszych rozmów, które zdarzyło mi się mieć z kilku osobami, dowiedziałem się, że poczynają już niektórzy wyrzekać na Chłopickiego za opieszałość, z jaką zabiera się do działania wśród tak naglących wypadków.

W istocie Chłopicki, jakkolwiek zaufaniem powszechnem wyniesiony na naczelnego wodza, okazywał najwyższy wstręt do przedsięwzięcia, które głośno nazywał szalonem. Walka z Rosyą zdawała mu się niepodobieństwem; to też był przekonany, że sumienie nakazuje mu uczynić wszystko, co było w jego mocy, aby tej walce zapobiedz. Jeżeli zgodził się na to, żeby zrobiono użytek z jego wielkiej popularności, to jedynie dla ocalenia materyalnego porządku stolicy i zasłonięcia jej przed wichrzycielstwem podrzędnych osobistości, ale z uporem odpychał wszelką myśl, dążącą do połączenia w jego ręku sił, któremi w razie potrzeby mógłby rozporządzać. Nie dziw, że otaczający go zaczynali już ubolewać nad tem.

Zwłaszcza martwiono się i żalono, że Chłopicki nic dotąd nie przedsięwziął dla opanowania twierdzy Modlina, tak blizkiej Warszawy. Wiadomo było, że znajdowały się tam świeżo przygotowane, w widokach wojny z Francyą lipcową, ogromne zapasy amunicyi wojennej, jedyne, na któreśmy liczyć mogli. Twierdza zaś nie była w stanie obronnym; całą jej załogę stanowiło kilkudziesięciu artylerzystów i zakłady czterech pułków kawaleryi gwardyi, z których jeden, szaserski, należał do wojska polskiego, a trzy inne liczyły się wprawdzie do armii rosyjskiej, ale rekrutowane były w prowincyach polskich cesarstwa.

Skorom usłyszał te narzekania, pobiegłem do jen. Chłopickiego, który zamieszkał w naszym domu i tam założył biuro swego sztabu jeneralnego, aby być bliżej pałacu skarbowego, gdzie była siedziba rządu. Korzystając z tego, że udział mój w wypadkach dni ostatnich nadał mi pewien wpływ i chwilowe znaczenie, przedstawiłem mu tę sprawę i ofiarowałem się osobiście spróbować, czyby się nie udało opanować Modlina, a mianowicie nakłonić oddziały rosyjskie do opuszczenia tej twierdzy, co ze względu na pismo w. xięcia[1]) nie zdawało mi się zbyt trudnem.

---

[1]) Z 3 grudnia 1830; ob. tom I, str. 436.

Chłopicki przystał na mój wniosek i kazał mi niezwłocznie do Modlina jechać. Prosiłem, żeby mi dodał jakiego wyższego oficera, któryby w jego imieniu przemawiał, podczas gdy ja, będący zaledwie podporucznikiem, występować miałem jako adjutant w. xięcia i oddawca aktu, jego ręką spisanego. Chłopicki naznaczył pułk. Kickiego, a kiedy już mieliśmy jechać, rozkazał, by nam towarzyszyły dwa bataliony piechoty, pod dowództwem podpułkownika Chrzanowskiego.

Bataliony ruszyły zaraz; Chrzanowski połączył się z nami dopiero po dwudziestu czterech godzinach, następnej nocy, przeprawiwszy się przez Narew promem, powyżej Modlina. Dodano nam jeszcze zbrojnych ochotników, ile zebrać się dało, po większej części studentów, którzy utworzyli dwie kompanie, jedną pieszą, drugą konną. Było to niejakiem zaspokojeniem gorączkowej żądzy działania wśród młodzieży.

Ruszyliśmy wieczorem. Przypominają mi się niektóre drobne szczegóły z tej podróży. Przy rogatce mostowej zdarzył się nam niezwykły przypadek: pistolet u boku Kickiego wystrzelił sam przez się, szczęściem bez szkody dla niego. Na moście spotkaliśmy Leonsa Rzewuskiego, poprzedzającego swą baterye, która z Siedlec nadchodziła. Spocząwszy nieco w Jabłonnej, jechaliśmy dalej, tak, aby z rana stanąć w Modlinie. W Jabłonnej przyłączył się do nas pułk. Zieliński i jechał z nami aż do Modlina; on to zredagował następnie kapitulacyę. W drodze Kicki przedstawiał mię i polecał młodym towarzyszącym nam ochotnikom, których był bożyszczem. Przyznaję, że belwederczycy nie wzbudzali we mnie dotąd wielkiej sympatyi. Teraz, rozmawiając z towarzyszącą nam młodzieżą, byłem uderzony dobrą wiarą i prostotą, że tak powiem dziecięcą, niektórych; podziwiałem karność, jaką zachowywała ta młodzież, cierpliwość, z jaką znosiła chłód, zmęczenie itd.

W tej wyprawie jedna głównie zachodziła obawa: nie wiedzieliśmy, jakiego jest ducha komendant twierdzy, pułk. Gugenmuss, a raczej wiedzieliśmy, że usposobienie jego było co najmniej bardzo wątpliwe. Przedstawiając mu się tedy jako parlamentarze, słusznie mogliśmy się obawiać, by on, ośmielony liczbą Moskali, których miał pod swemi rozkazami, nie uwięził nas. Położenie mogło stać się groźne, bo zimna stanowczość jednego człowieka sprawić mogła, że jedyne i niezbędne dla nas zapasy wojenne mogły w jednej chwili wylecieć w powietrze. To też spotkawszy w drodze oficera polskiego, wysłanego przez komendanta do Warszawy po rozkazy od w. xięcia, kazaliśmy mu powrócić do fortecy i natychmiast ostrzedz załogę polską o pomyślnym przebiegu wypadków w Warszawie i naszem wkrótce przybyciu, zalecając jej, aby czuwała nad naszem bezpieczeństwem.

Ukrywszy piechotę poza wzgórzem, w niejakiej odległości od Modlina, rano w sobotę, 4 grudnia, stanęliśmy na przedmieściu Nowy Dwór, na lewym brzegu Narwi, przed mostem zwodzonym fortecy. Tu rozpoczęła się sprzeczka między majorem placu, Polakiem Ćwierciakiewiczem, a oficerem rosyjskim dowodzącym wartą, który nie chciał nas wpuścić. Pokonałem tę trudność, pokazując z poza mostu dobrze znany podpis w. xięcia i oświadczając, że wprost od niego przybywam. Pismo nosiło datę dnia poprzedniego[1]).

[1]) O podpisie w. xięcia na akcie z 3 grudnia 1830 rozsiewano w nieprzyjacielskim obozie najfałszywsze pogłoski. Zamoyski bronił się przeciwko nim w liście do brata wujecznego, Adama Czartoryskiego, jeszcze w parę lat później: «Skoro jesteś z Radziwiłłami, wyciągnij ich na rozmowę o mnie. Słyszałem, że bardzo niedokładnie byli powiadomieni o mojem zachowaniu się 29 listopada. Ty je znasz, zaopiekuj się mojemi dziejami. Niemiła to rzecz uchodzić za oszusta, choćby nawet w dobrej sprawie. Wiesz o liście w. xięcia i jak go użyłem dla wzięcia Modlina. Przyznaj, iż trzeba przekornego losu, żeby ściągnąć na siebie sławę, żem podpis sfałszował. Jednak Radziwiłłowie, którzy mnie przecie trochę znają, dobrodusznie temu uwierzyli, a jeżeli oni

Spuszczono most i zaprowadzono nas do komendanta. Oznajmiłem mu, że przywożę pismo w. xięcia, które mam przeczytać wszystkim oficerom załogi, tak Polakom, jak Rosyanom. Domagając się obecności wszystkich oficerów rosyjskich, miałem na myśli zgromadzenie ich u komendanta dla przecięcia im wszelkiego dostępu do magazynów prochowych. To też nalegałem i czekałem, aż się zgromadzą, co do jednego. Wtedy, opowiedziawszy w krótkich słowach wypadki warszawskie, których szczegóły wcale im znane nie były, przeczytałem pismo w. xięcia, a następnie pułk. Kicki zabrał głos i, wręczając komendantowi piśmienny rozkaz jen. Chłopickiego, zażądał wprowadzenia do fortecy batalionów za nami idących, a opuszczenia jej przez załogę rosyjską, której zapewnione było wolne wyjście z bronią i bagażami, stosownie do zastrzeżenia, jakie w. xiążę uczynił względem odwrotu wojsk cesarskich[1]).

Widok zrozpaczonej twarzy wicekomendanta rosyjskiego, podpułkownika Grochotkina, wzbudził we mnie obawę, żeby ten starzec, znajdując, że już dość długo żył na świecie, nie zechciał się pokusić o śmierć chwalebną pod gruzami wysadzonej fortecy. Dowiedziałem się wkrótce, że przyczyną jego zmieszania była poprostu bojaźń zemsty ze strony Polaków, wobec tego, że w 1794 roku należał do armii Suworowa. Po

wierzą, toć i inni znajomi w Berlinie wierzyć mogą. A powtarzam, jakkolwiekby cel był szlachetny, nie chciałbym łotrem zostać, ani za takiego uchodzić.»

[1]) Oficer rosyjski, wysłany poprzednio po rozkazy do w. xięcia, przywiózł za całą odpowiedź, że pan komendant powinien znać swoją powinność i że w. xiążę żadnych rozkazów nie ma mu do dania. Czy w. xiążę zapomniał, że twierdza modlińska jest ze wszech stron otwarta, że nawet jednemu batalionowi oporu stawić nie zdoła? Słusznie ktoś powiedział, że prawdziwym sprawcą naszej rewolucyi nie był ani Lelewel, ani Wysocki, tylko w. xiążę, który brakiem odpowiednich rozporządzeń rozwój powstania ułatwił. (W. Z.)

odbyciu zwykłego ceremoniału, oficerowie moskiewscy przyszli do przekonania, że nie pozostaje im nic innego, jak przyjąć podane warunki.

Przed wypuszczeniem ich z izby zażądaliśmy oddania kluczów magazynowych, których połowa znajdowała się w ręku wicekomendanta rosyjskiego, i zastąpienia przy magazynach wart moskiewskich polskiemi. Wtedy dopiero, na żądanie oficerów moskiewskich, ułożono warunki kapitulacyi, która podpisana została z ich strony przez wszystkich oficerów i wicekomendanta, a z naszej przez pułk. Kickiego i mnie. W kilka godzin później załoga rosyjska z honorami wojskowemi wymaszerowała z Modlina, a Chrzanowski zajął twierdzę[1]).

Pismo w. xięcia, w kopiach urzędowych rozesłane przez rząd do wszystkich garnizonów i urzędów Królestwa, wszędzie odniosło ten sam skutek. Wszędzie uznano władzę polityczną i wojskową rządu narodowego, jako władzę prawowitą, która zastąpiła istniejącą poprzednio. Nie jest rzeczą prawdopodobną, aby jakikolwiek oddział polski poszedł i bez tego za w. xięciem, ale trudno przewidzieć, jakie nieporządki byłyby zaszły, gdyby pismo w. xięcia nie położyło odrazu końca wszelkiej niepewności. Wyprowadziło ono z nader drażliwego położenia wszystkich odrębnie stojących dowódców, z których niejeden, wobec sprzecznych rozkazów jen. Chłopickiego i w. xięcia, przy ogólnej niecierpliwości podwładnych, wahanie swe byłby przypłacił życiem, jak tylu podczas nocy listopadowej w Warszawie, a tem samem wojsko

[1]) Dziennik Powszechny Krajowy, z niedzieli 5 grudnia 1830 r., nr. 336, zawiera następującą wiadomość: «Wczoraj o dziewiątej wieczorem J. W. Chłopicki otrzymał od pułkownika Kickiego raport, donoszący mu, iż garnizon twierdzy Modlina, za okazaniem mu przez byłego adjutanta w. xięcia cesarzewicza, Władysława hr. Zamoyskiego, listu tegoż xięcia, w dniu wczorajszym do publicznej wiadomości podanego, chętnie i bez żadnego oporu poddał się.»

zostałoby pozbawione najdoświadczeńszych a nawet najbardziej lubionych dowódców.

Wieczorem tegoż dnia, w sobotę, obaj z Kickim odjechaliśmy napowrót do Warszawy, każdy z osobna na wózku pocztowym. Zaraz na grobli między Modlinem a Nowym Dworem Kicki wywrócił się i złamał sobie nogę. Biedak był w rozpaczy na myśl, że działania wojenne rozpocząć się mogą za parę tygodni, zanim do zdrowia powróci. Po udzieleniu mu pierwszego ratunku, pospieszyłem do miasta, aby mu przysłać pomoc lekarską i w jego zastępstwie kapitulacyę odnieść rządowi. Śmiertelnie znużony powróciłem do Warszawy w niedzielę nadedniem o czwartej i z rozkoszą obiecywałem sobie przespać się kilka godzin. Ale, wysiadłszy z wózka u drzwi mieszkania Chłopickiego w naszym domu, chciałem wpierw niezwłocznie wręczyć mu kapitulacyę. Dowiedziałem się ze zdziwieniem, że Chłopicki mieszkanie u nas opuścił i przeniósł się do młodego lekarza Wolffa, z którym go dawna przyjaźń wiązała. Natomiast spotkałem jen. Mrozińskiego, który wówczas mieszkał w naszym domu, a pełnił obowiązki szefa sztabu głównego. Ten mi powiedział, że Chłopicki wskutek gwałtownego gniewu, spowodowanego brakiem karności kilku wyższych oficerów, zwłaszcza Krukowieckiego i Zaliwskiego (?), dostał napadu apopleksyi i złożył dowództwo; stąd zamieszanie powszechne. Prosił mnie Mroziński, żebym mu towarzyszył do x. Adama, aby radzić o tem, jak nakłonić Chłopickiego do objęcia napowrót dowództwa, albo kim go zastąpić.

Z wojskowych jeden Chłopicki posiadał zaufanie narodu i wojska. Zdawało się, że on jeden żelazną dłonią potrafi utrzymać porządek i karność, które ostatniemi wypadkami niesłychanie się zachwiały. Skądinąd, ten właśnie charakter nieugięty i nieubłagana surowość wobec wszelkiego rodzaju nieporządku sprawiały, że niektórzy byli radzi widzieć go na uboczu, tem bar-

dziej, że dotychczasowe jego postępowanie znaczny już niepokój wzbudzało. Nie tylko, że do tej pory nic nie przedsięwziął, żadnego rozkazu nie wydał na korzyść powstania, chyba, że kto z otaczających wymógł to na nim nieustającą natarczywością, lecz nadto, teraz pozwalał w. xięciu oddalać się, nic nie czyniąc w celu opanowania, czy to jego osoby, czy przynajmniej ogromnych zasobów wojennych, które w. xiążę za sobą uwoził.

Poszedłem z Mrozińskim zaraz o czwartej do x. Adama. O siódmej udałem się do pałacu rządowego. Na takich zachodach cały ranek minął. Rząd, pod przewodnictwem x. Adama Czartoryskiego, zebrał się wcześnie i wezwał mnie do zdania sprawy z bytności w Modlinie. Wręczyłem kapitulacyę, a, korzystając ze sposobności, przedstawiłem wniosek, aby rząd nie dopuścił w. xięcia do przejścia na prawy brzeg Wisły bez otrzymania od niego korzystnych warunków. Świadczyłem o upadku ducha, w jakim przedwczoraj zostawiłem w. xięcia i jego nieliczne, rozstrojone wojsko. Twierdziłem, że rząd podyktować mu może, jakie zechce warunki, gdyż on przystanie na wszystko, byle nie wszczynać boju; że można by go łatwo przywieść do złożenia broni wraz z całem wojskiem, którego, z wyjątkiem kilkudziesięciu oficerów, moglibyśmy użyć jak własnego, boć rekruta do niego dostarczyły prowincye polskie; że co najmniej można by rozbroić to wojsko i zatrzymać dwadzieścia cztery działa, które w. xiążę miał ze sobą; albo, wreszcie, dać wolność odejścia wojsku, a zatrzymać tylko samego w. xięcia, jako zakładnika, co ułatwiłoby rokowania z Petersburgiem. Dodałem: «Teraz, gdy uwolniony jestem z więzów, jakie mnie z w. xięciem łączyły, poczytuję sobie za obowiązek powiedzieć wszystko, co wiem o jego położeniu. Wezwanie powinien w. xięciu zawieźć mąż wyższego znaczenia, ale, jeśli tego potrzeba, gotów jestem mu towarzyszyć. Dawny mój stosunek z w. xięciem nic mi w tem nie przeszkodzi. Obecne moje stanowisko względem niego jest zupełnie jasne.

Przyznał, że mam obowiązki, i ja je spełniam. Sądzę nawet, że wysłuchałby z pewnem zaufaniem rady, jakąbym mu podał w jego własnym interesie. Ale niema chwili do stracenia; o ile bowiem liczyć można, że się nam powiedzie, póki w. xiążę od cesarstwa Wisłą oddzielony, to, skoro na prawy brzeg się dostanie, nic mu już nie przeszkodzi dotrzeć bezpiecznie do granicy.» W odpowiedzi kazano mi trzymać się w pogotowiu i zamówić sobie konie pocztowe w celu towarzyszenia osobie, której rząd poruczy to posłannictwo. Ale skończyło się na niczem.》

Ślad tych zamiarów pozostał w piśmie, wydanem z pieczęcią sztabu głównego:

«Rozkaz

Na mocy polecenia danego mi przez Rząd Tymczasowy, wydaję niniejszy rozkaz porucznikowi Zamoyskiemu Władysławowi, byłemu adjutantowi J. C. Mości, aby się udał przez Górę, drogą puławską w powierzonym mu od rządu interesie. Podpułkownik gwardyi strzelców konnych, Skarżyński, który znajduje się obecnie na rozpoznaniu na tejże drodze, udzieli porucznikowi Zamoyskiemu w razie potrzeby wszelką pomoc.

Warszawa, dnia 5 grudnia 1830 r.

Za naczelnika siły zbrojnej
Szef sztabu głównego
Generał Bdy. Mroziński»

《Rząd był zajęty przedewszystkiem dymisyą Chłopickiego. Na wodza naczelnego zamierzano powołać Kniaziewicza, po którego deputacya miała być wyprawiona, a Szembeka mianować tymczasowym jego zastępcą. Mnie się ten zamiar podobał. Niewiele żałowałem Chłopickiego, którego charakter oddawna był mi znany i którego naczelne dowództwo wydawało mi się niebezpieczne dla naszej sprawy, z powodu, że mało miał patryotyzmu,

a wcale nie miał wykształcenia politycznego[1]). Kruszewski i inni wojskowi ganili ten zamiar, zarzucając, że ani Szembek, ani nikt inny nie utrzyma wojska w tej chwili, że jeden Chłopicki posiada zaufanie i ma energię potrzebną.

Ale Chłopicki był nieprzystępny, niczyjego zdania nie słuchał, załatwianie z nim spraw było niepodobne. Niewątpliwie zastąpionoby go, gdybyśmy mieli człowieka, którego wojskowa sława równoważyłaby jako tako sławę Chłopickiego. Imię Chłopickiego otaczał urok dla dwóch głównie powodów: najprzód, jako dowódca dywizyi odznaczył się w armii napoleońskiej w Hiszpanii, a następnie, gdy wojsko polskie przeszło pod rozkazy w. x. Konstantego, nie mogąc znieść gwałtowności, z jaką w. xiążę chciał wojskiem polskiem dowodzić, zażądał uwolnienia. W. xiążę czas jakiś zwlekał, ale na uporne domaganie się, przyjął jego dymisyę. W wojsku polskiem był niejeden jenerał, którego w. xiążę byłby rad się pozbyć, ale właśnie nie Chłopickiego. W. xiążę mawiał, że wszystko w wojsku polskiem przeprowadził według myśli swojej, ale że dwóch rzeczy nie mógł dokonać: Chłopickiego w wojsku zatrzymać, a pozbyć się jen. Izydora Krasińskiego. Ten opór, stawiony w. xięciu, przy okazanej dzielności w boju i, dodać należy, przy nieskazitelności charakteru, zdobył Chłopickiemu, między Polakami, stanowisko i wziętość, jakiej żaden inny wojskowy nie osiągnął nawet w przybliżeniu.

---

[1]) Zapiski Zamoyskiego o Chłopickim z roku 1828:

«Chłopicki mało wykształcony, o książkach rozprawia w sposób nieświetny. Zasady polityki i administracyi zupełnie napoleońskie, nie zna środka między anarchią republikańską a władzą absolutną, którą wyobraża sobie, czy też chciałby widzieć w rękach człowieka genialnego. Uparty w swych zasadach, niechętny władzy, bo jej nie dzieli, byłby człowiekiem niebezpiecznym, gdyby ją kiedyś ujął. Charakter godzien szacunku, jednak wiele miłości własnej; namiętność do gry.»

Przed powstaniem Pac, niewiadomo dlaczego, miał także pewną popularność, ale potem odrazu zniechęcił wszystkich brakiem stanowczości i moralnej odwagi. Pozatem nie było w wojsku ani jednego wybitnego nazwiska. Szembek, chwilowy ulubieniec wojska i bohater stolicy, był najmłodszym jenerałem tak, że nawet najgorętsi jego poplecznicy nie żądali więcej, jak żeby został szefem sztabu głównego, a wojskiem dowodził tylko tymczasowo. Zresztą Szembekowi nie przyznawano energii, w okolicznościach zaś, w jakich znajdowaliśmy się, było do przewidzenia, że niełatwo będzie karność w wojsku utrzymać. W końcu zaszkodziła mu pogłoska, którą rozsiano w Warszawie, że gniew Chłopickiego i wynikłą z niego chorobę on spowodował, bo umyślnie chciał Chłopickiego doprowadzić do takiej ostateczności, ażeby potem miejsce jego zająć. Trzeba dodać, że Szembek razem ze Skrzyneckim, chcąc okazać swą bezinteresowność, w szczególniejszy sposób za Chłopickim w imieniu wojska przemawiali. I tak, z konieczności zwrócono się na nowo do Chłopickiego. Postanowiono go udobruchać i nakłonić, by odstąpił od powziętego postanowienia i to bądź co bądź.

Obok Chłopickiego jeden tylko x. Adam Czartoryski posiadał w równym stopniu zaufanie powszechne, ale nie był wojskowym, a wszakże byłby mógł objąć ster rządów i przybrać sobie do pomocy wojskowego dowódcę. Ale zawahał się, a raczej nie odważył się na samodzielne wystąpienie; cofnął się przed ogromem odpowiedzialności wobec kraju, nie chciał, aby poza krajem sądzono, że, szukając osobistego wyniesienia, sam powstanie przygotował. Nie chciał przeszłości swojej plamić pozorem jakoby oddawna knowanej zdrady, nie chciał uchybić sobie, jako mąż stanu, podając w podejrzenie, czy to swą uczciwość, czy rozum polityczny.

Nie chcąc władzy dla siebie, x. Adam udał się do Chłopickiego. Zastał u drzwi jego cisnące się tłumy.

Mimo że Chłopicki z nikim widzieć się nie chciał, x. Adama przyjął jednak. Kazano mi jako przyjeżdżającemu z Modlina, przedstawić się u Chłopickiego, przyjął i mnie. Oprócz xięcia, znalazłem u niego Niemcewicza. Po ataku apoplektycznym Chłopicki zaczynał powracać do siebie; wyglądał jak koń znarowiony. Trzeba było bardzo oględnie z nim rozmawiać, żeby czegoś nie powiedzieć, coby go mogło doprowadzić na nowo do jakiego wybuchu.

W czasie naszej bytności zameldowano mu, że wszyscy dowódcy wojskowi chcą się z nim widzieć, ażeby mu wyrazić, jak bardzo pragną go mieć na swem czele i przyrzec mu odtąd ślepe posłuszeństwo. Chłopicki długo się wzbrania z przyjęciem ich, nareszcie daje się ubłagać. Niemcewicz wychodzi. Chwilowo zostajemy w trójkę. Chłopicki dużo mówi o niesforności wojska, o intrygach klubu itd.

X. Adam mało się odzywa, jednakże powtarza mu życzenie ogółu. Nakoniec Chłopicki wymawia wyraz: dyktatura, jako nieodzowny warunek przyjęcia władzy. Dyktatura była jednym z tych natchnionych pomysłów, które powstają w chwilach wielkich przesileń i przynoszą czasami zbawienie narodu. Ja żywo potakuję. Xiążę zdaje się raczej ulegać, niż pochwalać. Naraz i ja uczuwam, ile Chłopickiemu nie dostaje, ażeby objąć takie stanowisko. Ale cóż, niema wyboru. Postanowienie powzięte, tajemnica przyrzeczona. Xiążę odchodzi.

Wówczas dopiero Chłopicki przyjął jenerałów Krukowieckiego, Szembeka, pułk. Skrzyneckiego i innych. W kilku słowach oznajmił im, że obejmuje napowrót naczelne dowództwo, skoro oni posłuszeństwo mu przyrzekają, i wydał rozkaz na wielką rewię dla całego wojska w Warszawie obecnego, o godzinie trzeciej na polu Marsowem.

Tymczasem x. Adam udał się do rządu, gdzie Niemcewicz sam od siebie podał myśl udzielenia Chłopickiemu dyktatury, jak gdyby wojskowej. X. Adam i wszyscy

członkowie rządu wniosek przyjęli, sądząc, że uprzedzają tem życzenia Chłopickiego, zastrzegli jednak rządowi znaczną część władzy. Po spisaniu aktu posłali go Chłopickiemu. Ale Chłopicki postanowił już sam się dyktatorem ogłosić. Przypiął jeneralskie szlify, przypasał szpadę, wsiadł na koń i ruszył na rewię, otoczony licznym sztabem; po drodze wstąpił do rządu, rzucił na stół z pogardą akt, dopiero co do niego wystosowany, i oświadczył, że nie chce dyktatury udzielonej mu, że chce ją sam objąć i obejmuje bezgraniczną. Oświadczył zarazem, że wszystkie władze są zawieszone, dopóki on sam nie zamianuje urzędników. Wśród tego wymknęły mu się słowa groźby przeciwko wszystkim, którzyby mu opór stawili; dał też do poznania, że ma jakąś urazę do Niemcewicza i do x. Adama, któremu tajemnicę swoją powierzył i o którym przypuszczał, ze względu na akt mu wręczony, że ją wyjawił.

To nieporozumienie między nim a xięciem nie zatarło się już nigdy w pamięci Chłopickiego. Upatrywał w tem brak wierności politycznej, słabość charakteru i nieszczerość. Było to zupełnie mylne, jak mu to powiedziałem tego samego wieczora, ale został przy swojem przekonaniu. Chłopicki nie rozumiał x. Adama, nie rozumiał, czem x. Adam był dla narodu. Zdawało mu się, że xiążę zazdrości mu władzy, że chce ją pozyskać, a przynajmniej podzielić. Nie rozumiał, że gdyby x. Adam chciał się dostać na pierwsze miejsce, toby on, Chłopicki, nigdy się nie dostał na nie. Uważał też zapewne, że x. Adam nadto sprzyja powstaniu, którego on w duszy nienawidził.

Na razie rząd, wojsko, wszyscy powitali opanowanie władzy przez Chłopickiego z wielką radością. Ci nawet, którzy znali ujemne jego strony, uwierzyli na chwilę w jego energię i postanowienie poświęcenia się sprawie powstania. Nigdy ujęcie władzy nie wywołało równie powszechnego zadowolenia.

Rewia odbyła się wyśmienicie; nowy duch poruszył wszystkich. Dojechałem na plac, kiedy przegląd miał się ku końcowi; panowało ogólne wzruszenie. Wracaliśmy przez miasto ze świetną eskortą; w mieście iluminacya. Chłopicki zakwaterował się w domu Mikulskiego, na ulicy Senatorskiej. Magistrat otrzymał rozkaz urządzenia domu i oświetlenia go, jak to zwykł czynić na przyjęcie znakomitych osobistości zagranicznych. Dużo się radzono w tych pierwszych chwilach Tomasza Łubieńskiego, podówczas wiceprezesa magistratu, ale mało go słuchano.

Nowy dyktator staje się jeszcze mniej przystępnym; usiłujemy powiększać w oczach wszystkich znaczenie jego; w tym celu okazujemy najgłębsze dla niego uszanowanie, przejęcie się jego wielkością, przekonanie o jego nieubłaganej surowości. O tej surowości staramy się dać jak najbardziej wygórowane wyobrażenie, ażeby nastraszyć i na wodzy utrzymać niecierpliwe zachcianki osobistego wynoszenia się, które tu i owdzie zaczynały przebijać.

Powróciwszy nareszcie do domu, pierwszy raz od tygodnia kładę się spać na dłużej, niż dwie godziny. Nazajutrz, w poniedziałek, 6 grudnia, poszedłem do dyktatora, spodziewając się, że on wykona to, co rząd poprzedniego dnia względem w. xięcia zamierzył. W przedpokoju dyktatora, mnóstwo oficerów: Szydłowski, Leons, Rzewuski, Janusz Czetwertyński, Froelich, Kruszewski, Wąsowicz, odgrywający rolę jenerała Duroc. Przyjmują mię wiadomością, że się sztab dyktatora formuje, że ma być czterech adjutantów, oficerów sztabu, że już trzej mianowani, że się domyślają, że ja będę czwartym. Młodsi oficerowie dużo mi względów okazują. Zaznaczam tę okoliczność, jako pochlebną dla mnie, który miałem zaledwie stopień podporucznika, ale bardziej jeszcze, jako przykład, do jakiego znaczenia doprowadza w mgnieniu oka, wśród tak ważnych wypadków, pewna przytomność umysłu, kiedy jej towarzyszy trochę miary, stanowczości i poświęcenia dla ojczyzny. Te bowiem skromne zalety

dały mi tyle znaczenia mimo młodego wieku, nizkiego stopnia i braku wszelkich przeszłych zasług, a co więcej, mimo że nienależałem do tych, co knowali rewolucyę, ani pochlebiałem tym, co do niej doprowadzili: przeciwnie, byłem ostatnim w przystąpieniu do niej.

W chwilach zaburzeń i niebezpieczeństw człowiek, mający odwagę działać, narazić swoją osobę, swoją odpowiedzialność, jeżeli przytem zdoła odwrócić od siebie podejrzenie osobistych widoków, zawsze z łatwością na drugich wpływa i za sobą ich pociąga. W czasie burzy każdy szuka takiego, coby miał siłę i zdolność do pokierowania okrętem i, im niebezpieczeństwo większe, tem wpływ osobisty łatwiejszy do uzyskania, bo liczba tych, którzy mają odwagę stanąć w pierszym szeregu, zmniejsza się w miarę, jak niebezpieczeństwo wzrasta. Nikt nie chce rozkazywać i działać, aby mu nie przyszło za to odpowiadać. Stąd także wytwarza się czasami, wśród wielkich przewrotów, wielkich niebezpieczeństw, przewaga niektórych wyrzutków społeczeństwa, gdy mają potrzebną do tego śmiałość.

Chłopicki, który polecił mnie wybadać, czy się zgodzę na służbę adjutancką przy nim, skoro ją oczywiście przyjąłem, powiedział, że użyje mnie do rokowań, jakieby się nadarzyć mogły, z jenerałami rosyjskimi. Kiedy szedłem do dyktatora, miałem nadzieję, że wykona, co rząd zamierzał względem w. xięcia. Inaczej się stało. Myśl ta nie trafiła bynajmniej do przekonania Chłopickiemu. Zabronił niepokoić w. xięcia, pozwolił mu spokojnie przeprawić się pod Puławami i pomaszerować na Włodawę. Mniemał, że, unikając wszelkiego zaczepnego kroku, potrafi cara przebłagać.

W tej chwili jedna głównie sprawa zajmowała dyktatora: wysłanie do Petersburga komisarzy, mających przedstawić cesarzowi zażalenia i żądania narodu. Do tych rokowań Chłopicki wybrał sobie x. Lubeckiego, którego uważał za jedynego u nas męża stanu.

X. Lubecki od początku wybuchu ofiarował się do tej posługi, w przekonaniu, że uda mu się powstanie niemal usprawiedliwić przed carem, a przynajmniej skłonić cara do uznania, że nie naród polski pierwszy zawinił, że głównymi winowajcami byli właśni jego urzędnicy, nadewszystko w. xiążę, który, przez dobrowolne usunięcie się od pierwszej chwili, zmusił Polaków do ujęcia rządów we własne ręce. Lubecki sądził, że się car tym argumentom nie oprze. Przypuszczał, że wzgląd na własną sławę, jak i na własny interes, może pobudzić cara do załagodzenia sprawy przez szczerą a choćby udaną wspaniałomyślność, a zarazem, że ustępstwa, do których najściślejsza sprawiedliwość dawała nam prawo, wystarczą, by koniec powstaniu położyć.

X. Lubecki nie rozumiał powstania. Wychowany w Rosyi, pojęcia swoje zaczerpnął na dworze petersburskim. Niemniej jednak przywiązał się do tradycyi, jaką przy Alexandrze I nawiązali x. Adam, Tadeusz Czacki, Michał Ogiński i inni; słowem chciał dla Polski odrębnego istnienia, ale nie inaczej, jak pod jednem berłem z Moskwą. W tych warunkach upatrywał wielką dla Polski przyszłość. Zerwania z Moskwą nie pojmował. To też w powstaniu wszystko mu było zagadką. Z początku wystąpił wobec rewolucyi, jako minister króla, pamiętający głównie na swoją przysięgę. W miarę rozwijania się ruchu, dochodził do przekonania, że nie można go za zbrodnię poczytać narodowi. Chwilami przypuszczał, że wśród niespodziewanego wybuchu objawi się jakaś nieznana mu siła; sam nawet wskazywał, przez jakie ofiary powinna się objawić, jeżeli w istocie istnieje. Uderzyły go jednomyślność ludzi wszelkiego stanu i zapał powszechny, rozstrój w. xięcia i jakieś niespodziewane powodzenie. Zdawało się, że gotów był dzielić losy powstania, gdyby ono w istocie miało cały naród za sobą. Ale wnet znowu uderzała go nasza niemoc, której główną może oznaką w oczach jego było powszechne przyzwolenie

na rządy człowieka, którego niedostateczność doskonale oceniał. Odtąd przestał wierzyć, aby powstanie rozszerzyć a nawet ostać się mogło. To pewna, że w pierwszych dniach powstania x. Lubecki był przekonany o możności porozumienia się z Moskwą, ale, chcąc w niem pośredniczyć, nie miał nigdy na myśli zdradzać czy to naród, czy tych, co rewolucyi dokonali. Nic bardziej niedorzecznego i niesprawiedliwego, jak oskarżać go o zdradę. Przeciwnie, mam przekonanie, że, gdyby mu się udało utrzymać rewolucyę w odpowiednich dla niej karbach umiarkowania, byłby ją szczerze uważał za dobroczynny i szczęśliwy wypadek, dający możność uzyskania od cesarza ustępstw, których pożytek dla kraju bardzo dobrze pojmował.

Ale dzień każdy zmieniał postać rzeczy. Zrazu zdawać się mogło, że dyktatura i ogólne przyzwolenie na nią powstrzyma naród od ostateczności; wystarczyło kilku dni, by przekonać x. Lubeckiego, iż naród się nie da ukołysać przez dyktatora.

Rozmawiałem niemal codzień z x. Lubeckim. Pośrednictwo, do jakiego służyłem między rządem a w. xięciem, dało mi wstęp do rządu i zdobyło mi zaufanie jego członków, którzy co do jednego zdawali się uważać, że mogą ze mną otwarcie mówić o rzeczach, odnoszących się czy to do osobistego ich stanowiska, czy też do sprawy publicznej; a wręcz przeciwne bywały zdania. Powstał między nimi zwyczaj mówienia mi o wszystkiem, a nawet pytania o moje zdanie.

Lubecki wyjątkowo był na mnie łaskaw i obszernie ze mną rozmawiał. O ile mogłem miarkować, już w przeddzień wyjazdu do Petersburga (10 grudnia 1830) zwątpił on o możności przebłagania cara. Przedtem mawiał: «Choćby mi z pięty przyszło dobywać argumentów, przekonam cesarza, że nie srogością, ale wspaniałomyślnością spór ten rozstrzygnąć powinien.» Z ostatnich słów jego powziąłem wrażenie, że już nie z taką odjeżdża nadzieją,

że ona mu służy tylko za pozór, którymby mógł pokryć usunięcie się z Warszawy. Razem z Lubeckim wyprawił Chłopicki do Petersburga posła, Jana Jezierskiego.

Zaledwie dni kilka upłynęło po ogłoszeniu dyktatury, kiedy mnie doszedł z Lublina list brata najstarszego, Konstantego[1]). Zawiadamiał mnie, że widział się z ojcem w Podzamczu, że ojciec, postanowiwszy uważać odtąd życie swoje polityczne za skończone, jego upoważnił do objęcia majątku i rządzenia nim, jak uzna za stosowne według okoliczności, ale znajdował, że, szanując tradycyę rodzinną, Konstanty powinien wystawić pułk jazdy kosztem ordynacyi. To też Konstanty przysłał mi list do dyktatora z tem oznajmieniem i rozkaz do swego kasyera, aby ten natychmiast złożył w banku narodowym 1 00.000 złp. na pierwsze wydatki. Mnie brat powierzył tworzenie pułku i wybór dowódcy, sam zaś kazał się wpisać do pułku jako prosty żołnierz. Wręczyłem list brata dyktatorowi, ale jednocześnie uczułem niepodobieństwo utworzenia w krótkim czasie pułku, któryby sprawie pożytek, a ojcu zaszczyt mógł przynieść, gdybym rzecz prowadził według przepisów, wydanych przez dyktatora, co do sposobu, w jaki miały być tworzone nowe pułki, stawiane gorliwością obywatelską.

Chłopicki nie chciał nowych formacyi, to też przepisy jego miały na celu nie dopomaganie im, ale raczej utrzymywanie ich w zupełnej od regularnego wojska odrębności. Tym sposobem nowe oddziały nie mogły stać się istotnem wojskiem; ale Chłopicki nie chciał nowego wojska z dawnem mieszać. Łudził się nadzieją, że wojsku, przywykłemu do karności, potrafi narzucić swoją myśl polityczną, a że w najgorszym razie, gdyby przyszło do krwawej rozprawy «tylko dla honoru», będzie miał wojsko dzielne, a jak najmniej liczne. Przepisy o nowych

[1]) Przyszłego ordynata, ur. w Puławach, 6 kwietnia 1799.

formacyach zabraniały przenoszenia do nich oficerów i podoficerów z dawnego wojska. Nowe pułki mogły więc się formować jedynie za pomocą oficerów, poprzednio dymisyonowanych. Nawet dawni żołnierze, którzy już wysłużyli swoje dziesięć lat, mieli teraz powracać do korpusów, w których poprzednio służyli, by z nich tworzyć dodatkowe bataliony i szwadrony, ale nie wolno im było wstępować do nowych formacyi. Nie dość tego; nowych oddziałów nie wolno było zaliczać do wojska, pókiby się nie wcielały do niego całkowitemi batalionami lub szwadronami. Oddziały takie przeto, póki nieskompletowane, nie podpadały pod karność wojskową.

Wobec takich warunków, postanowiłem nie rozpoczynać rzeczy, póki nie uzyskam choć wyjątkowego uchylenia się od nich dla naszego pułku. Z tem postanowieniem poszedłem do ministeryum wojny. Ministrem był jen. Izydor Krasiński, człowiek prawy, ale z którym tak trudno było przyjść do porozumienia, żem tego nawet nie próbował. Drugim po nim był jen. Rautenstrauch, bystry, uczony, przez cały ciąg służby swojej należący do sztabu głównego i biura wojny; pochodzenia niemieckiego, mówił przecie doskonale i nawet pisał dobrze po polsku i po francusku. Jen. Rautenstrauch od utworzenia Xięstwa Warszawskiego miał pod x. Poniatowskim czynny udział w organizacyi wojska polskiego. Zyskał potem względy w. xięcia; w ostatnich latach należał do Rady Administracyjnej Królestwa. Miał światową ogładę i okazywał poważanie dla naszej rodziny. Przedstawiłem mu, że przepisy o formacyach nowych mają oczywiście na celu utrudnienie wcielenia tych formacyi do regularnego wojska, że skazują je na warunki, w których nie można przypuścić, ażeby się co pożytecznego zrobić dało, że ja na takich warunkach nie rozpocznę dzieła, za któreby mi się wstydzić przyszło. Jen. Rautenstrauch uprzejmie i cierpliwie przyznawał, że moje uwagi są słuszne, ale się tłomaczył niepodobieństwem przestąpienia rozkazu.

Zeszedł tydzień na daremnych zachodach. Tymczasem kasyer nasz złożył w banku drugie 100.000 złotych. Poszedłem znowu do jen. Rautenstraucha i wyraźnie oświadczyłem, że, jeżeli mi nie wyrobi pozwolenia do formowania pułku za pomocą oficerów i podoficerów, przenoszonych doń z armii czynnej, i jeżeli od chwili zaciągnięcia się pierwszego ochotnika do pułku ten człowiek i wszyscy następni, nie będą odrazu uważani jako żołnierze, podam do dzienników, że mój brat składa drugie 100.000 złotych na formacyę, ale, że zmuszony jest ją zawiesić, bo jej podejmować nie chce na zasadach dla nowych formacyi przepisanych.

Była to istotnie groźba. Uczuł to jen. Rautenstrauch tem lepiej, że zupełną mi przyznawał słuszność. Prosił o dwadzieścia cztery godzin zwłoki. Nazajutrz przysłał po mnie i oświadczył, że dyktator raczył się przychylić do mego żądania.»

Władysław Zamoyski do brata, Konstantego:

«15 grudnia 1830.

Posłałem ci wczoraj Cyprysińskiego z długim listem, którego nie powinienem był pisać, tylko na jednem słowie poprzestać: przyjeżdżaj. Dziś korzystam z wyjazdu p. Prądzyńskiego do Zamościa, by ci to słowo powtórzyć.

Przyjeżdżaj i to jak najspieszniej. Koniecznie trzeba, żebyś się porozumiał z ministeryum wojny, co do pułku i dowódcy: jeżeli Jaraczewski[1]) przyjął dowództwo, to z nim, bo bez dowódcy nic się nie może zrobić. Doniosłem ci, że w Krakowie czterysta kulbak obstalowałem. Dziś tu rymarze podjęli się dostawienia mi kulbak trzysta na 10 stycznia po 77 złp. jedna. Jeżelibyś znalazł, że to

[1]) W liście do ojca z 13 grudnia 1830 Zamoyski pisze o Jaraczewskim: «Jest to żołnierz znakomity, człowiek zacny, rządny, skromny, łagodny, osiadły w obwodzie krasnostawskim.»

za drogo, napisz prędko do mnie i do Krakowa. Do Krakowa poślę oficera dla dopilnowania obstalunku.

Sukno granatowe, amarantowe i szaraczkowe, na ubranie całego pułku, oprócz płaszczów, mam gotowe do nabycia od pułku 1 ułanów. Nie śmiem działać bez upoważnienia od ciebie, a ochotników zgłasza się bez miary, nawet z własnemi końmi. Oficerów ci dobieram, ale przybywaj, żeby o dowódcy i mundurze postanowić. Każ terlic robić jak najwięcej, bo o to w mieście najtrudniej. Rzemiona ci potem poślę i będzie dobrze. Terlica goła kosztuje w Warszawie 6 złp. Ale przybywaj spiesznie. Twój Z. i R. oba bałwany. Jak tu pobawisz dni dwa, będziesz mógł odjechać i ja z tobą może. Kończę, bo odjeżdża Prądzyński. Jeżeli go poznasz, poznasz najlepszego z naszych oficerów kwatermistrzostwa i zacnego człowieka. Ściskam i kocham.»

Układ z Jaraczewskim nie przyszedł do skutku, jak to widać z późniejszych wspomnień Zamoyskiego:

«Przedstawiłem na dowódcę pułku pułkownika 2 pułku ułanów, Gawrońskiego. Osobiście mało go znałem, alem pamiętał, że, kiedy Dwernicki, dowódca 2 pułku ułanów, tak się zaplątał w administracyi, że rzecz doszła do w. xięcia, i administracyę oddano Gawrońskiemu, ten wywiązał się z trudnego zadania w sposób, przynoszący mu zaszczyt w całem wojsku; walecznością zaś, już za Xięstwa Warszawskiego, zdobył sobie dobre imię[1]).

Gawroński przybył natychmiast do Warszawy. Na przywitanie doniosłem mu, że sześćset kulbak i tyleż par pistoletów mam już zakupionych w Krakowie. We wszyst-

---

[1]) Zapiski Zamoyskiego o Gawrońskim z roku 1828:

«Człowiek o wyraźnym charakterze; Sz[ydłowski?] pułkownik zna go oddawna i bardzo go ceni. W armii uważany jest za człowieka subtelnego, — tem lepiej, — z tego powodu wydają często o nim sąd, że jest raczej miękki. Mimo to ma sławę dobrego żołnierza i człowieka z głową. Nie powierza pierwszemu lepszemu tajemnicy.»

kich szczegółach formacyi tak się zdania nasze zgadzały, że nam wszystko poszło gładko i raźno.

Przyjęliśmy za zasadę, że do naszego 5 pułku oficerowie przyjmowani będą albo w stopniach, jakie poprzednio zajmowali, albo wyjątkowo z awansem o jeden tylko stopień. Nie chcieliśmy, żeby do tego pułku wstępowali oficerowie w stopniach dowolnie im nadawanych, jak się to działo w innych nowoformowanych pułkach pod dowództwem dwóch tak zwanych regimentarzy, z których jeden, Roman Sołtyk, na lewym, drugi, kasztelan Małachowski, na prawym brzegu Wisły dowodzili.

Ta zasada, której się w 5 pułku trzymano, nie wszystkim się podobała. Przykład wielkich awansów, udzielanych przez regimentarzy, ośmielał niektórych oficerów czynnego wojska do domagania się wyższego, niż jeden stopień awansu. Niejeden z dawnych moich kolegów, poruczników, przychodził do mnie z chęcią przeniesienia się do naszego pułku, ale żądając stopnia majora. Pamiętam, jak mi było przykro niektórym odmawiać, znając ich jako oficerów wzorowych. Aleśmy sobie z Gawrońskim nawzajem dali słowo, że na wyjątki sobie nie pozwolimy.

Formacya pułku nie przeszkadzała mi śledzić postępów sprawy ogólnej. Powszechne było ubolewanie nad nieczynnością dyktatora. Każdy czuł, że tracimy czas drogi, ale mało było jasnych pojęć o tem, jakby czasu użyć. Jeden Chrzanowski, podpułkownik sztabu kwatermistrzostwa, odznaczał się bystrym poglądem. Nieustannie radził odrazu rzucić się z wojskiem na Litwę i Wołyń dla zetknięcia się z korpusem litewskim, którego trzy dywizye piechoty i jedna ułanów składały się, jak wiadomo, z rekruta z dawnych polskich prowincyi. Oficerami wyższych stopni byli Moskale, ale w niższych stopniach połowa oficerów pochodziła ze szlachty polskiej. Niewątpliwie korpus ten byłby się do nas przyłączył, gdybyśmy mu byli odrazu rękę podali, a przynajmniej byłoby w nim

prawdopodobnie nastąpiło rozdwojenie i wielkie zamieszanie. Chrzanowski myśl tę przekładał gorąco i w krótkich a dobitnych pismach ją objaśniał. Chłopicki nie chciał o tem słyszeć[1]). Około 12 grudnia doszła do Warszawy pogłoska, że jen. Rosen, dowódca korpusu litewskiego, zbliża się od strony Białegostoku; przypuszczano, że chce wkroczyć do Królestwa. Dyktator kazał wygotować sobie list do niego i mnie z tym listem wyprawił, dodając: «Każ pan dać sobie fundusz na drogę z kancelaryi.» A gdym rzekł: «Mniejsza o koszta», ofuknął mnie z gniewem, powtórzył rozkaz, bym rzecz zrobił po służbie, «nie z łaski». Takim był nasz dyktator: na pozór groźny, bo popędliwy, w istocie bez woli stanowczej, bo sam w braku jasnej myśli, w ciągłej zostawał niepewności.

Treść listu dyktatora do jen. Rosena, jeśli się nie mylę, ogłosiły dzienniki warszawskie. Domyślam się, że dlatego mnie do tej misyi użyto, ażebym w tym razie, jak poprzednio w Modlinie, mógł świadczyć o dobrowolnem wyjściu w. xięcia z wojskiem cesarskiem poza granice Królestwa. Spodziewano się, że przykład w. xięcia odwiedzie Rosena od wkroczenia do Królestwa. Forpoczty kozackie zatrzymały mnie na granicy po przebyciu Narwi, ale się podjęły odnieść list. Po kilku godzinach otrzymałem odpowiedź i z nią wróciłem do Warszawy.»

Zamoyski, czekając kilka godzin przy granicy litewskiej na odpowiedź jen. Rosena, skorzystał z wolnej chwili, by napisać parę listów, między innemi do panny d'Arnaud:

«16 grudnia 1830.
Na granicy Królestwa i Litwy.

Jestem obecnie adjutantem naszego dyktatora. Posłał mnie ze zleceniem do jenerała moskiewskiego, komen-

---

[1]) Paskiewicz, dowiedziawszy się, że Chrzanowski namawiał do wejścia na Litwę w połowie grudnia, powiedział mu razu jednego: «Plan był zły, trzeba było wkroczyć dwa tygodnie wcześniej.» To starczy na pochwałę planu Chrzanowskiego. (W. Z.)

dcrującego poza granicami Królestwa, a, że muszę tu czekać dla jakichś formalności przy forpocztach, chciałem zużytkować ten czas, ażeby się trochę przespać; rzadka to przyjemność w tych czasach, ale muszę ci najprzód donieść o nas, przedewszystkiem, że twoi przyjaciele żyją, a to już niemała rzecz po tem wszystkiem, cośmy tu przeszli, i mimo kul, które niejednemu z nas płaszcz przedziurawiły. Nasze powstanie odwróciło od was wojnę nieuniknioną, czy nas teraz opuścicie? Czy się oprzeć zechcecie na zasadzie nieinterwencyi? W takim razie otrzymajcie przynajmniej, żeby i Moskale względem nas tą zasadą się kierowali. Królestwo Polskie, żeby już nie mówić o zabranych prowincyach, uznane było przez traktat wiedeński za kraj odrębny, niezależny. Jakimże sposobem Moskale w oczach całej Europy na interwencyę u nas sobie pozwalają? Rozprawa tu zachodzi między narodem a jego królem. Żaden obcy naród nie ma prawa mieszać się do tego sporu. Ale tyle wam czasu będzie potrzeba, aby coś postanowić, że dacie nas zgnieść przez tych barbarzyńców, zanim skończycie wasze noty dyplomatyczne. Działajcie najprzód, potem do układów przystąpicie. Broni i pieniędzy nam trzeba. Jeżeli rządom nie należy działać bez wielkiego namysłu, czyż niema ludzi prywatnych, coby mieli dość serca, by poprzeć tak szlachetną sprawę? Grecy na całym świecie poparcie znaleźli, wprawdzie ileż lat na to trzeba było! Szczęściem dla nich, że mieli do czynienia z narodem i rządem zniedołężniałym. Ale my, niestety! Czy nas oskarżycie o brak rozwagi, o nieroztropność? Pomnijcie przynajmniej, że te ogromne wojska, które lada chwila na nas uderzą, ku wam się kierowały, że byłyby was przyprawiły o utratę tysięcy ludzi i milionów ze skarbu, gdybyśmy tego zamachu nie byli od was odwrócili. Czyżbyście skąpili na uratowanie nas cząstki tego, coście tylko dzięki naszemu powstaniu oszczędzili? Wydanie wam wojny było dwa tygodnie temu niewątpliwem, obecnie jest ono niemożliwe.

Prusy i Rosya już was nie zaczepią, przyślijcież nam oficerów, puszkarzy i, jeżeli podobna, broń, ale przedewszystkiem, co najważniejsze i najłatwiejsze, pieniędzy, które same przez się niejednemu zaradzą[1]). Co zaś do bezpieczeństwa, jakie znajdą tutaj kapitaliści, którzyby chcieli udzielić nam pożyczki, stan naszych finansów i porządek, jaki w nich panuje, minister, który niemi rządzi, nasz bank, który w cztery dni po wybuchu powstania znowu biura swoje otworzył, czyż to nie wystarczy do zdobycia zaufania dla sprawy? Zapał we wszystkich częściach Królestwa jest niewymowny. Po wsiach nawet na każdej czapce widać białą kokardę, wszyscy włościanie, w braku lepszej broni, uzbrajają się w lance i kosy.

20 grudnia, Warszawa.

List ten kończę za powrotem do Warszawy. Jenerał rosyjski, baron Rosen, który, jak wiemy, już otrzymał rozkaz wkroczenia do Królestwa, a jest pod rozkazami w. xięcia, tuż przy nim stojącego, odpowiedział mi, że nie wiedział, by Królestwo było w wojnie z Rosyą. Słowa, mające nas uśpić, podobne do tych, które były powiedziane Napoleonowi pod Moskwą. Moskale mają w podejrzeniu korpus litewski; składa się on z Polaków, żołnierzy i oficerów; by go ustrzedz od zarazy, oddalono go od naszej granicy. To nam daje trochę czasu, ale ten czas i im służy do zebrania o tyle większych sił. Jeżeli Europa, jeżeli Francya w pomoc nam nie przyjdą, pozostanie tylko ginąć z chwałą, ale zginąć doszczętnie, w nadziei, że nasz przykład zrodzi mścicieli.

---

[1]) W czerwcu 1831 r. poseł francuski w Wiedniu, marszałek Maison, zawiadomił rząd swój za pośrednictwem pana de Rumigny, posła w Monachium, że polscy ajenci zawarli w Wiedniu z fabrykantami broni kontrakt o dwadzieścia tysięcy strzelb, ale że dostawcy zażądali poręczenia rządu francuskiego. Marszałek Soult odpisał natychmiast panu de Rumigny, że się to zrobi, bo się zrobić powinno. Pan Kazimierz Perier temu przeszkodził. (W. Z.)

Wasze dzienniki pisać będą o nas Bóg wie jakie fałsze. A przecież nie brak w naszem powstaniu wielkich czynów, mających historyczną doniosłość. Na nie zwróćcie uwagę. Dyktatura raz przyjęta, złożona w ręce izby i ponownie jednogłośnie nadana; czy kto jeszcze powie, że my tylko bezrząd urządzać umiemy, że sprawie niepodległości nie umiemy poświęcać swawoli? Sejm po dwóch posiedzeniach odroczył się; samemu tylko dyktatorowi wolno go zwołać. Rada, przez sejm naznaczona, jako sędzia najwyższy, otrzymała prawo, nie zniesienia dyktatury, uznanej za niezbędną, ale powierzenia jej innemu w razie potrzeby. Widzę w tych postanowieniach jakąś starożytną wielkość.

Pisząc do ciebie, piszę tem samem do siostry[1]), niech ona się rusza, niech zawiąże stosunki z Chodźką, Mycielskim i wszystkimi Polakami w Paryżu, niechaj będzie na ich rozkazy; dużo tym sposobem będzie mogła dobrego uczynić. Orleani są dla niej uprzejmi, niechaj to zużytkuje. Kieruj nią. Żegnam cię. Nie wiem, kiedy znowu będę mógł napisać, pewnie nie prędko.»

W chwili, gdy Zamoyski w liście z Warszawy wyrażał to gorące życzenie, by Francya poczuła się do obowiązku poparcia sprawy polskiej, najwybitniejszy dyplomata owego czasu, x. de Talleyrand, wówczas pełnomocnik francuski na konferencyach belgijskich w Londynie, tę samą myśl wyrażał w liście do hr. Sebastiani, ministra spraw zewnętrznych w Paryżu:

«Londyn, 21 grudnia 1830.

Wypadki, które zaszły w Polsce, przypomniały mi, co odczułem za młodu, wraz z całą Francyą, w czasie pierwszego podziału tego kraju. Niepodobna zapomnieć wrażenia, jakie ten fakt sprawił pod koniec zeszłego wieku. Polityka Francyi została nim shańbiona, a xiążę

[1]) Jadwigi x. Leonowej Sapieżyny, ur. w Podzameczu, 9 lipca 1806.

d'Aiguillon, minister spraw zewnętrznych i kardynał de Rohan, ambasador przy dworze wiedeńskim, nie podźwignęli się nigdy z upośledzenia, jakie na siebie ściągnęli niewiadomością o rokowaniach, które poprzedziły ten wielki akt nieprawości i łupiestwa. Później nadarzały się najpomyślniejsze sposobności do odbudowania państwa polskiego. Cesarz Napoleon mógł w 1807 i w 1812 przywrócić temu krajowi niepodległość, tak ważną dla równowagi europejskiej; nie chciał, a zbytecznem byłoby wykazywać Panu ogrom tego błędu. W 1814 losy wojenne dozwoliły nam już tylko o własnem istnieniu radzić i nie mogliśmy zabrać głosu, kiedy się dokonywało ujarzmienie Polski. Ale dziś, skoro głos nasz odzyskał znaczenie w europejskich naradach, tak już być nie powinno. Zdaje mi się, że bez naruszenia pokoju moglibyśmy, za poparciem Anglii, obrawszy stosowną chwilę, ofiarować nasze pośrednictwo i wyzyskać ostatnie wypadki w Polsce na korzyść Europy. Wszyscy dzisiaj rozumieją, że państwo polskie, na silnych oparte podstawach, utworzyłoby najskuteczniejszą zaporę przeciwko groźnym zaborczym zamachom Rosyi. Wiele jest sposobów dopięcia tego celu. Byleby Anglia chciała szczerze z nami współdziałać, myślę, że w W. X. Poznańskiem, w Galicyi, w polskich prowincyach pod zaborem rosyjskim, w Finlandyi, a może w Szwecyi i Turcyi znalazłyby się potężne środki do działania przeciwko Rosyi i do przeprowadzenia tego, co mam na myśli, bez wywołania wojny. Może gabinet petersburski ustąpiłby z czasem, wobec umiejętnych kroków. Ale to wszystko wymagałoby obszernych wywodów, a ja chciałem tu rzucić tylko parę uwag, które chętnie rozwinę, jeżeli myśli Hrabiego pod tym względem będą zgodne z mojemi[1]).

Możność poparcia powstania i na innym krańcu Europy rozumiano, jak o tem Zamoyski wspomina we własnoręcznych zapiskach:

---

[1]) Mémoires du prince de Talleyrand, t. III, 426—428.

«Jenerał Guilleminot, poseł francuski w Stambule, (1824—1831) pisze w pamiętnikach swoich, że po wybuchu powstania listopadowego zgłaszały się do niego częste poselstwa od ludów, zamieszkujących Rosyę południową, a mianowicie od Tatarów krymskich, którzy wraz z Kozakami dońskimi i Czerkiesami oświadczali się z gotowością wystąpienia w sto tysięcy żołnierza przeciwko Moskalom. Jen. Guilleminot wyraża przekonanie, że byłoby wystarczyło ukazanie się jednej francuskiej fregaty na morzu Czarnem, w celu poparcia energicznej noty rządu francuskiego, by w całej Rosyi wywołać olbrzymi ruch na korzyść powstania polskiego.»

II

RODZINA ZAMOYSKIEGO WOBEC POWSTANIA

Życie Władysława Zamoyskiego wiąże się z życiem całej jego rodziny, a dzieje tej rodziny, jak tylu innych polskich rodzin, odzwierciadlają w pewnej mierze losy całego narodu. Listy, wymieniane między jej członkami w czasie krwawych wypadków 1830 roku, dają poznać męczeństwo ducha, na jakie Polacy skazani zostali, przez zbrodnię na ich ojczyźnie dokonaną. Męczeństwo to po dziś dzień trwa. Wszyscy chcą ojczyźnie służyć, wszyscy jej oswobodzenia pragną, ale rozmaicie tę służbę pojmują, różne widzą do celu drogi, wręcz przeciwnych sposobów służenia jej się chwytają. Jedni, poczuciem łączności wiedzeni, chociażby chwilę na powstanie obraną uważali za nieodpowiednią, idą do boju, skoro naród oręża się chwyta; inni zaś sądzą, że, cierpliwie stosując się do istniejących warunków, dojdą stopniowo do lepszych; starają się więc naród powstrzymywać od niewczesnych wybuchów, a, skoro tego dokonać nie mogą, na uboczu się trzymają. Niewiadomo, którzy więcej cierpią; pierwsi oskarżeni o nieroztropność, szaleństwo, dźwigać muszą odpowiedzialność za wszystkie klęski; drudzy są posądzani o małoduszność, brak miłości ojczyzny, podłość, przekupstwo, zdradę. A nie dosyć tego, że każdy znosić musi zarzuty, do niego osobiście wymierzone: jeżeli ma w przeciwnem stronnictwie swoich blizkich i najdroższych,

ileż cierpieć musi wobec pocisków, rzucanych przeciwko nim, kiedy, mogąc za prawość ich ręczyć, drogi przez nich obranej nie może uznać za właściwą.

Tego rodzaju różnice przekonań zachodziły w 1830 roku w rodzinie Zamoyskich. Ordynat Stanisław Zamoyski łączył w sobie cnotę obywatelską jakby spartańską i niepodległość ducha polskiego pana z jakąś nieubłaganą, bezwzględną logiką. Z chwilą ogłoszenia Królestwa Polskiego i koronacyi cara na króla z właściwą sobie siłą woli przyjął dla siebie i swoich wszystkie obowiązki, które stąd dla obywateli tego królestwa wynikały. W carze moskiewskim nie chciał już widzieć Moskala, chciał widzieć króla polskiego. Nadużycia, gwałty, niesprawiedliwości w imieniu tego króla popełniane, jakkolwiek dotkliwe, nie zwalniały w jego przekonaniu Polaków od obowiązków względem panującego. Wszelkie targnięcie się na władzę uważał za najcięższe przewinienie i jakby zdradę, nie względem Moskwy i cara, którym wierności nie ślubował, ale względem Polski, którą to narażało na ostateczną utratę swobód, konstytucyą zastrzeżonych. Konstytucyi tej trzymał się jako jedynego zbawienia, wierząc, że byle trwać mogła, samem trwaniem nabierze mocy i powagi; sądził, że przez nią da się powoli, cierpliwie i wytrwale zdobyć wszystko, czego żaden zbrojny opór, zdaniem jego, dać nie mógł.

Wiadomość o wybuchu powstania zaskoczyła ordynata 30 listopada w drodze z Podzamcza do Warszawy. Pisze o tem w swoim dzienniku: «Gdym dojechał do Brześć[1]), pytam o konie, które z Warszawy tu na mnie czekać miały. Ku mojemu zdziwieniu, niema ich. Każę tedy konie popasać, a sobie obiad podać. Podczas obiadu oberżysta mi mówi, że nie dojadę do Warszawy. Odpowiadam ze zdumieniem: «Ciekawy jestem, ktoby mi w tem przeszkodził?» — «Wybuchła tam rewolucya.» —

[1]) Brzeście w powiecie grójeckim, na północ zachód od Góry Kalwaryi.

Pytam, czy zmysły postradał i skąd powziął tak niedorzeczne wiadomości. On na to przyprowadza mi trzech ludzi, którzy, dojechawszy do Warszawy o ósmej z rana, słyszeli strzały, widzieli na okopach zbrojne tłumy; powiedziano im, że rewolucya rozpoczęła się dnia poprzedniego o siódmej wieczór. Potrząsłem nimi, sądząc zrazu, że są pijani, ale ze szczegółów, których mi udzielili, przekonałem się, że istotnie spadła na nas klęska, którą tak głośno zapowiadano w pierwszych dniach października.»

Ordynat, nie mogąc dojechać do Warszawy, udał się do Gruszczyna, gdzie gospodarował syn jego, Konstanty, i kazał mu napisać do jen. Kuruty, prosząc, wobec niespodziewanych wypadków, o rozkazy w. xięcia. Jen. Kuruta odpisał, że w. xiążę radzi tylko czekać w Gruszczynie dalszych wypadków. Na wiadomość, że w. xiążę odprawił polskie pułki, napisał ordynat do syna swego Władysława, zaklinając, by, mimo to, wytrwał osobiście w żołnierskim obowiązku, jak mu to honor nakazuje; dodawał, że co do siebie, ponieważ nie otrzymuje rozkazów od w. xięcia, a nie chce się mieszać do powstania, które potępia, postanowił się udać do dóbr swoich za Bugiem.

Synowie ordynata do głębi serca byli dotknięci przepaścią, jaka się otwierała między ich ojcem a krajem, i potwarzami, jakie ojciec na siebie ściągał; ale, jeżeli oni srodze cierpieli nad tem, jeżeli to cierpienie do takich doszło rozmiarów, że Władysław w listach do matki przyznaje, że go to aż do łez bolało, cóż powiedzieć o tem, czego doznawała pani Zamoyska. Ona, tak czuła na wszystko, co dotyczyło dobrej sławy męża i dzieci, a zarazem tak kochająca i mężowi uległa, naraz znajduje się z nim w sprzeczności. Ta Polka znieść nie może pozoru, jakoby mąż jej stawał nie po stronie Polski, ale po stronie jej nieprzyjaciół. Ogrom udręczenia, które się do jej serca wkrada, zdradzają listy pisane przez nią do męża, zaraz

po wybuchu powstania, z Puław, gdzie przebywała przy matce:

«4 grudnia, sobota, o drugiej.

Mój bardzo drogi. Odżyłam trochę, widząc twoje pismo; odżyłam po pięćdziesięciu godzinach istnego konania, czytając, że dzieci nasze żyją. Według twego rozkazu trzymam się w pogotowiu do wyjazdu, ale może trzeba będzie tutaj cicho siedzieć. Sam osądzisz z tego, co ci doniosę.

Mojej matki przewozić niepodobna. Dziś rano przyjechał tu jen. Mallet i przysłał nam twoje listy; chciał się widzieć z pułkownikiem, ale ten był w Lublinie, więc zawołał pierwszego kapitana; ale on właśnie w tej chwili odebrał rozkazy od polskiego wojska i przyszedł aresztować Malleta; z nim i z całą baterya udali się ku Lublinowi. Mallet rozkazał był zebrać, ile można, promów, ponieważ w. xiążę z wojskiem jutro tędy ma przechodzić, ale artylerya wszystkie promy zaraz zabrała i pod straż wzięła; to samo zrobiła artylerya w Kozienicach, przeszła na tę stronę. Mówią, że wszędzie przed w. xięciem przerwane komunikacye. Oficer z 2 pułku, Puzyna, przeleciał tu, temu trzy godziny, z rozkazami do Lublina; powiada, że litewskie i wołyńskie regimenty przeszły do polskiego wojska. Zdaje się, że ten kąt na teraz bezpieczny. W wojsku jeden duch. Nic nie mamy z Lublina, tylko wiemy, że miał być rozkaz do wojska otoczenia w. xięcia.

W Radomiu duch ten sam, ale spokojnie było jeszcze wczoraj. Gorąco pragnę widzieć się z tobą; niepokoje rozmaite pożerają mnie. Strach mi myśleć dla ciebie o Lubomli i Włodawie. O mój drogi, nie oddzielajmy się od naszych.

Mój brat pisze 2 grudnia dwa słowa tylko: «Jesteśmy wszyscy w dobrem zdrowiu. To, co tu zaszło, jest największem nieszczęściem dla kraju. Bóg jeden wie, jak się to skończy.

Mój brat, dzieci nasze, cały naród i wojsko razem się trzymają; wszak nie można od nich się odróżnić. Nieszczęście wielkie, nieszczęście straszne, ale już się stało, trzeba je znieść, a najgorszem byłoby rozdwojenie. Przedewszystkiem jesteśmy Polakami. Przyjedź tu, lub niech ja pojadę do ciebie. Niech będę przy tobie i wszystko z tobą dzielę. Ty do niczego nie należałeś, ale żebyś miał teraz odjeżdżać, to mi się zdaje niepodobne, niepodobne, niepodobne.»

«5 grudnia, niedziela, o dziesiątej.

Pisałam wczoraj. Dzisiejsze wiadomości takie: doszedł do Lublina, a stamtąd tutaj, rodzaj umowy drukowanej między w. xięciem a Radą Administracyjną, czy Radą Stanu. Ta umowa głosi, że, ponieważ w. xiążę pozwolił wojsku, będącemu przy nim, wrócić do Warszawy i swoich, ma mu być zostawione wolne cofanie się z wojskiem rosyjskiem. To podpisane przez Sobolewskiego, mego brata itd. Na tej samej karcie niżej jest deklaracya w. xięcia, że pozwala Polakom, którzy przy nim zostali, wrócić do swoich, a że, chcąc się cofnąć do imperyum rosyjskiego, polega na szlachetności narodu polskiego, że nie będzie miał w tem żadnej przeszkody. To odebrawszy, puszczono zaraz Malleta i promy zbierają, aby się w. xiążę mógł przewieźć. Ma być teraz około Kozienic. Dziś lub jutro tu będzie. Wielkie jest zamieszanie w umysłach, tysiączne mniemania, nieufność, niespokojność.

Żadnej wiadomości nie mamy od Warszawy. Wojskowi mówią, że jak się w. xiążę tu zbliżać będzie, to zaraz ruszą i ku Stężycy mają się udać. Mówią, że jen. Morawski już wymaszerował z Lublina; że ma rozkaz tak iść, aby się z w. xięciem nie spotkać; że Weyssenhoff ma się udać z wojskiem gdzieś ku Bugowi. Z Radomia wyszło wojsko do Rawy, dla połączenia się z Krukowieckim.

W Lublinie bardzo niespokojnie, ale nie przyszło do niczego; w Siedlcach, mówią, że były zaburzenia.

Są ludzie, którzy utrzymują, że ta drukowana deklaracya, o której wyżej piszę, jest fałszywa, jest podstępem. Trudno temu wierzyć, ale okropnie słuchać, jakie z tego wnioski wywodzą. Co dnia, co godzina, umysły bardziej są rozjątrzone. Jeżeli w wojsku są starsi, którzy nieszczerze łączą się z powstaniem, to jednak wojska nie potrafią wstrzymać, bo całe przejęte jednym duchem i śledzi, co z niem chcą czynić.

Moja matka nie chce słyszeć o ruszeniu się stąd. Na wszystko przygotowana i powtarza, że ani za próg nie wyjdzie. Okropne dnie i noce przepędzamy, myśląc o tobie, o dzieciach, o kraju. O Boże, ileż trosk. Gdzie jesteś? co robisz, mój drogi? Dnie mijają. Co postanawiasz? Jakże mnie to niepokoi. Na Boga, gińmy, jeśli zginąć trzeba, ale ze swoimi. Od synów ani słowa od początku tych wypadków. Te cztery dni są czterema wiekami udręczenia i boleści. Mówią mi, że wszystko w Warszawie robi się w imię cesarza i króla, że głoszą, iż okropne nadużycia rządu pchnęły do tego rozpaczliwego kroku, przeciwko kilku niegodziwcom, ale nie przeciw panującemu.»

Następny list również z Puław, bez daty:

«List twój przeraził mnie do najwyższego stopnia. Żadne słowa nie oddałyby tego, co doznaję, co cierpię, czego się obawiam, — więc zamilknę. Kocham cię, wolę twoją szanuję, losy twoje dzielić będę, jakiekolwiekby były, ale powodów twoich nie rozumiem, więc pochwalać cię nie mogę. Straszno mi te słowa napisać, aleź przedewszystkiem trzeba mówić ze sobą otwarcie. O drogi mój, jeżeli jeszcze na to czas, zmiłuj się nad nami, nad synami twoimi, nad nazwiskiem naszem. Jestem chora, w łóżku, ruszyć się nie mogę i nie wiem, co począć. Co chwila ktoś mnie o ciebie wypytuje, a gdybyś wiedział, ile cierpię, słuchając, co mówią o tych, którzy się nie łączą, co ja sama dziś rano jeszcze mówiłam. Już nic nie wyrzeknę, ale już nie zniosę żadnego spojrzenia.

Może masz słuszność, mój drogi, ale któż cię zrozumie? Czemubyś jeszcze nie poszedł za radą synów? Życie bym oddała za ciebie, za twoją dobrą sławę, bez niej życie niemiłe. Kończę, bo nie mam siły dalej pisać».

«Puławy, 6 grudnia 1830.

Odkąd otrzymałam ten list twój, który mnie tak przygnębił, i chwili spokoju odnaleźć nie mogę. Ale się nie żalę, proszę Boga, żeby na mnie jedną zesłał cierpienie, jakie wola jego, którą błogosławię, nam obojgu przeznaczyła; ale widzieć, że jesteś niezrozumiany, bo któż cię zrozumie, widzieć cię — oj, nie mogę dopowiedzieć tej myśli, która mnie przygnębia, — czy mi stanie kiedy na to odwagi? — Mój drogi, najlepszy przyjacielu, wierzaj, wierzaj, że się mylisz co do kroku, jaki chcesz przedsięwziąć, a o którym mi donosisz. Powstanie było wymierzone przeciwko nadużyciom prawdziwie strasznym rządu, a raczej niektórych niegodziwców. Źle zrobili, że powstali, szaleństwa się dopuścili, powstanie jest klęską, to prawda. Ale niestety już się to stało. Ludzie zacni zrobili, co mogli, żeby je powstrzymać, ażeby je w karby ująć; poświęcają się dla ratowania ogółu, jeżeli podobna. Czy można się odłączać od nich, nie pomagać im, nie cierpieć wreszcie z nimi, jeżeli ich usiłowania będą daremne? Jestem udręczona ponad wszystko, cobym wyrazić mogła; nie bierz mi tego za złe; czyż podobna spokojną być wobec obawy przed rzeczą stokroć gorszą od śmierci? Nie jestem pod niczyim wpływem, bo z nikim nie mam odwagi mówić. Bałabym się pytań, uwag, anibym słyszeć chciała wszystkiego, co się mówi, czyta, zdań, sądów. Sama nie wiem, jak się wśród tego wszystkiego zachować. Moje położenie jest bardzo bolesne, ale wszystko znoszę bez szemrania, byle nie mieć obawy o tego, któremu całe serce oddałam, który jest moją chlubą, mojem pokrzepieniem; byle się nie lękać o to, czego napisać nie mogę, a co jak zmora przedemną staje.

Dzisiejsza wiadomość, że w. xiążę z wojskiem swojem jutro w Puławach przez Wisłę się przeprawi. Nocować będzie w Górze[1]); xiężna mu dom swój ofiarowała. Wszędzie organizują straże bezpieczeństwa czyli narodowe. Nic zresztą nie wiem. Korpusy lubelski i radomski pomaszerowały ku Warszawie. Żegnam cię, mój drogi, zdaje mi się, żeś mi nigdy nie był tak drogim.»

Tegoż samego dnia x. Adam pisał do ordynata:

«Porwani zostaliśmy w sposób niepojęty; naprożno i bezowocnie bylibyśmy chcieli opór stawić lub się cofnąć. Jednakowoż staramy się utrzymać jakieś podobieństwo rokowań, o których waryaci słyszeć nie chcą.»

Pani Zamoyska do męża:

«Puławy, 8 grudnia 1830.

Na Boga, na dzieci, zaklinam cię, błagam, idź za radą ci daną. Twoja piękna, szlachetna dusza, polska dusza, tak prawdziwie przywiązana do kraju, wiem, co cierpi w tak trudnem położeniu, rozumiem je, ale już rzeczy doszły do tego, że każdy Polak, jeżeli nie chce okryć się hańbą, musi służyć nieszczęśliwej ojczyźnie i z nią zginąć, jeżeli taka będzie wola Boga. Któżby chciał żyć, ocalić się, kiedy wszyscy nasi pójdą i zginą. Na cóż potem żyć? A jeżeli Bóg zechce ten nieszczęśliwy kraj wyzwolić, bo losy narodów w jego są ręku, wtedy, wtedy jakiżby był los tych, co odmówili pomocy, jakie będzie ich imię w przyszłości? Umrzeć, to nic, byle szlachetnie. Wszak Polak ma pierwszy obowiązek względem ojczyzny. Dziś przeszli tu Rosyanie; w. xiążę tu był, sam nie wątpił, że ty, jak mój brat i inni, dla samego porządku połączyć się musisz. Wreszcie, wychodzi sam z kraju, a to rozwiązuje każdego.

Ale tu już niema nad czem się wahać, powtarzam, jeżeli wszystko zginie, to i nam daj Boże zginąć i nie

---

[1]) Góra, zwana puławską, na lewym brzegu Wisły, naprzeciw Puław; wówczas własność Czartoryskich.

przeżyć dzieci i kraju, jeżeli nam Bóg pomoże, to żyć z niemi, a i z dobrą sławą; bez niej życie byłoby nietylko śmiercią, ale potępieniem wiecznem. Oby głosy nasze trafiły do przekonania twego. Co mi sił zostaje, zebrałam, aby to napisać, ale ledwie żyję. Położenie moje okropne, nie wiem, gdzie się schronić. Ale do Moskwy nie mogę, nie mogę. O mój bardzo drogi, bardzo ukochany. Jakże czuję, ile cię kocham, przez to, co cierpię wśród tych chwil okropnych.»

«Puławy, 8 grudnia 1830.

Odbieram list twój. Mam nadzieję, że przed tym listem moim otrzymasz inny, dziś rano wyprawiony, wraz z listami dzieci naszych. Jestem tak znękana, że sama już nie wiem, co pisać, co na listy twoje odpowiadać. A jednak muszę powtórzyć to, co w poprzednich listach zawarte było, na przypadek, gdyby tamte nie doszły.

Teraz już rzeczy inny obrót wzięły, teraz już wszyscy Polacy powinni do jednego dążyć celu: ratować kraj. Już tu o sobie ani o własnej przyszłości niema co myśleć, jedno uczucie we wszystkich sercach, jeden duch wszystkich ogarnął; któryż Polak by chciał, by mógł jeden się odłączyć? W czyichże oczach mogłaby być, jak mówisz, hańba, chyba w oczach Moskali, bo nikt inny na świecie ganić nas nie może, a zresztą lepiej, żeby nas Moskale ganili, niż żeby swoi nami pogardzali.

Mój drogi i najdroższy, gdybyś wiedział, jaka obawa mnie trawi, byś nie szedł inną drogą, niż naród cały; ta zmora ciągle mi przed oczami stoi i gorsza jest dla mnie od śmierci. Życie, śmierć, tak mi się to zdaje mało znaczące w tej chwili, ale hańba i złorzeczenie swoich, oto największa boleść.

Zewsząd nas dochodzi, że Włodek z korpusem przeszedł na naszą stronę, że w Rosyi rozruchy, że w Poznańskiem i Galicyi już się ruszają. W Warszawie ludzie zacni biorą górę, jakiś Mochnacki w areszcie. W. xiążę

dziś tu przeszedł; mówił mi, że cię namawiał do usunięcia się od wszystkiego, a potem dodał: «Ale teraz trzeba będzie, aby i on się w to wmieszał, tak jak x. Adam. To szczęście, że ludzie przyzwoici kierują wypadkami.»

Synowie nasi odznaczyli się męstwem i całem zachowaniem; bardzo są czynni i jakżeby mogło być inaczej, skoro są młodzi, zacni, pełni poświęcenia dla kraju. Mój drogi, na Boga cię proszę, idź za radą twoich zacnych synów. Ale, bądź co bądź, nie jedźmy do Moskwy. Na Boga, nie udawaj się tam, na litość, przyjedź tutaj, daj się przekonać; nie chciej być lepszym od nas wszystkich, od ludzi, bądź co bądź, sprawiedliwych i szanowanych. Wszak mój brat, w długiem już życiu, zawsze szlachetnie postępował, wszak szanowany w całym świecie, połącz się z nim, błagam, zaklinam.

Gdybyś wiedział, co cierpię, wysłuchałbyś mnie. O, drogi mój, co za radość, co za wdzięczność, jeżeli się wrócisz do ordynacyi. W ten moment, żywa czy nieżywa, jadę do ciebie.»

«9 grudnia 1830.

W. xiążę wczoraj, mówiąc o tobie, powiedział: «Wszyscy będziecie pod groźbą pistoletu[1].» Xiężna Łowicka mówiła mi, że list, który pisałeś do Wład. z Gruszczyna, namawiając go, żeby przy w. xięciu został, był przejęty i przeczytany przez w. xięcia. List ten przyszedł dopiero po zwolnieniu Wład. i wojska od służby i po pożegnaniu z w. xięciem. Obie strony Władysława cenią i kochają, przyznają mu szlachetność, odwagę, spokój; słowem, jest on bez zarzutu.»

Pani Zamoyska do syna, Władysława:

«Puławy, 12 grudnia 1830.

Chcesz szczegółów o przejeździe w. xięcia. Byłam chora, w łóżku. Prosił, żebym go przyjęła, przyjąć mu-

[1]) «Vous serez tous sous le pistolet.»

siałam. Z półtory godziny, najdłuższe w mojem życiu, stał nad łóżkiem i o wszystkiem, co zaszło, powiadał, bardziej z żalem, niż z gniewem. Powtarzał ciągle: «Ja, który kocham ten kraj, który się stałem bardziej Polakiem, niż Rosyaninem, który myślałem, że między wami będę żyć i między wami umrę.» Smutny był, zmartwiony bardzo. Powtarzałam, że to podoficerowie, część garnizonu, akademicy powstali; dziwiłam się, że przy tak czujnej policyi to się stać mogło; mówiłam, że wszyscy i wy także uważacie to za wielkie nieszczęście. Zdobyłam się na odwagę powiedzenia mu, że źle umieścił swe zaufanie, że panowie Rożniecki i Nowosilcow doprowadzili do tej klęski, że to są ludzie nikczemni i tylko szkodę zadać mogli. O tobie unikał mówić, ja też nie mówiłam. Nie potrzebowałam dowiadywać się od niego o tem, co wiem, co mi każdy powtarza i pisze: żeś był i działał, jak można najlepiej. To mnie nie dziwi, nie mniej się po tobie spodziewałam i pewna tego byłam. I ty, mój Andrzeju[1]) drogi, tak zacnie postępujesz i Zdzisiowi[2]) kochanemu powiedzcie, jak mnie cieszy, co o nim mi donosicie. Jakżem szczęśliwą matką, że takich synów ojczyźnie dałam. Konstantego w Lublinie na rękach noszą.»

Konstanty Zamoyski do brata, Władysława:

«Lublin, 10 grudnia 1830.

Posłałem wam wczoraj sztafetą z Puław list dla Chłopickiego, w którym tłomaczę się z mego postępowania. Gdy usłyszałem od matki o ucieczce w. xięcia, o dyktatorstwie Chłopickiego, o połączeniu się wojska z narodem itd., nie mogłem się powstrzymać od złożenia Chłopickiemu, jako naczelnikowi, deklaracyi, żeby i mnie liczył do grona tych, co gotowi ojczyźnie wszystko poświęcić.

---

[1]) Ur. w Wiedniu, 2 kwietnia 1800.
[2]) Ur. w Warszawie, 23 stycznia 1810.

Wracałem (z Włodawy?) w prawdziwem udręczeniu. Wyprawiłem ojca, żonę i dziecko niebezpiecznie słabe. Rozstanie było okropne, tem bardziej, że wcale nie jestem spokojny o bezpieczeństwo ojca. Nie miałem wiadomości o Warszawie i o was, jak tylko błędne i nieszczęsne. Słowem rozpacz i obłąkanie. Wracałem w myśli, że, jeśliby się kto miał mścić za uwiezienie ojca, niech zemsta padnie na mnie. Kilka słów matki dopiero wskrzesiły we mnie nadzieję, dały mi zrozumieć istotny stan rzeczy. Chciałem otrzymać paszport dla posłańca do Litwy, lecz nie odważyłem się tego zamiaru dopełnić, obawiając się, ażeby mnie samego nie uwieziono do Litwy, a wolałbym umrzeć, aniżeli teraz w kraju nie być. Posłałem i poślę do ojca, aby czem rychlej tu wracał. Czyli będzie mógł do nas wrócić, tego nie wiem. Aresztowanie czeka każdego na Litwie, i spotyka.»

Władysław Zamoyski do matki:

«13 grudnia 1830.

Obecnie jedną tylko rzecz powinien ojciec uczynić: napisać do rządu list, któryby w dziennikach mógł być ogłoszony. Posyłam mu projekt takiego listu. Główna rzecz, żeby ojciec wyraźnie wypowiedział swoje zapatrywania, byle to uczynił w sposób jasny i dobitny. Wszystkie zdania zasługują na uszanowanie, kiedy wynikają z przekonania i są bezinteresowne; ale są okoliczności, w których wyświetlenie stanowiska politycznego, jakie się zajęło, staje się obowiązkiem, w przeciwnym razie jest się na ślepo potępionym i słusznie.

Pułk cudowne sprawia wrażenie. List matki z 8 b. m. do Zdzisława nas uszczęśliwił. Utrzymuj, matko droga, w sobie i we wszystkich otaczających to męstwo.»

Władysław Zamoyski do ojca:

«Warszawa, 13 grudnia 1830.

List Ojca kochanego z 8 b. m. odebrałem dziś rano. Z jakim smutkiem go czytałem, tego nie opiszę. Przecież szanuję postanowienie Ojca, skoro oparte na przeko-

naniu mocnem i stałem; żal tylko z powodu rozłączenia, na które skazani jesteśmy, i rozdwojonych zapatrywań w tak stanowczych okolicznościach.

Człowiek, który, jak Ojciec, lat tyle na usłudze kraju przepędził, ma zawsze prawo oddalenia się od spraw publicznych, gdy zmiana w zasadach poprzedni porządek rzeczy obala. Sądzę jednak, iż natenczas obowiązkiem oddalającego się wytłomaczyć swoje postępowanie, szczególnie, gdy ogół prawie jednomyślnie innej trzyma się zasady.»

W dalszym ciągu tego długiego listu, a raczej memoryału, Zamoyski nalega jeszcze na potrzebę głośnego tłomaczenia swego postępowania, tak dla własnej obrony, jak w celu «nawrócenia niektórych do pomyślniejszych dla kraju zdań». Porównuje stanowisko ojca wobec powstania do położenia parów Francyi, którzy Ludwikowi Filipowi przysięgi złożyć nie chcieli. Tę jedną widzi różnicę, że ojciec nie może się zastawiać przysięgą, uczynioną cesarzowi i królowi, jak gdyby ją sam jeden szanował, bo rząd, sejm i wszyscy roztropniejsi nie przestają tej przysięgi szanować, ale uważają ją, jako warunkową, to jest obowiązującą tylko o tyle, o ile panujący ze swojej strony uczynionej nam przysięgi dotrzymuje. Sądzi przeto, że ojciec najwłaściwiej i z największą godnością by postąpił, zdając sprawę ze swego postanowienia w liście do prezydującego ze starszeństwa w senacie.

«Kiedy nam się nie udało», kończył Zamoyski, «uprosić Ojca kochanego, aby się z nami złączył, o ten jeden krok błagamy go najgoręcej. Niechajże nam Ojciec kochany nie odmawia tego najwyższego dobrodziejstwa, byśmy mogli się pocieszyć widokiem wróconej sprawiedliwości Ojcu ukochanemu i najszlachetniejszemu obywatelowi. Odmówienie tego kroku przyprawi nas nieledwie o rozpacz. Zaklinamy cię, Ojcze, nie pogardzaj narodem, który, jakkolwiek obłąkanym ci się wydaje, przecież jednomyślnie dziś działa. A któż się odważy zaprzeczyć naro-

dowi przywileju wytoczenia walki o swe swobody i najświętsze prawa, chociażby ta walka rokowała mu tylko ostateczną zagładę? Pomysł może szalony, ale nie hańbiący, a ze strony tych, co mają zdanie przeciwne, zasługujący na względy.»

Na tym liście podpisali się również dwaj bracia Zamoyskiego, obecni w Warszawie, Andrzej i Zdzisław.

W przypisku, Władysław Zamoyski, po zdaniu ojcu sprawy z wydatków, poczynionych na pułk, dodawał: «Przepraszać nie będę, bo konieczność nas zapewne wytłomaczy, mam wreszcie powody domniemywania się, że Konstanty działa wskutek porozumienia z Ojcem. Odebrany dziś przez Dowiakowskiego list, w którym Ojciec upoważniasz go do oddania sreber na potrzeby kraju, potwierdził mnie w nadziei, że Ojciec krok mój darować mi raczysz. Bolesta, dawny organizator pułku wuja Konstantego, pomaga mi. W komisyi wojny znajduję bardzo przychylnych sobie wszystkich.»

Władysław Zamoyski do matki:

«15 grudnia 1830.

Matko droga. Pisałem do Matki dziś wieczór przez p. Prądzyńskiego; chciałem napisać obszerniej, ale wśród zgiełku i niepokojów, w jakich żyjemy, trudno o spokojną chwilę. Do ojca pisałem sztafetą, może mój list i nasze zachody otrzymają od niego pismo, którebyśmy tu pokazać mogli. Dzisiaj otrzymany list od ojca wydaje mi się pisany w tej myśli i wdzięczny ojcu za to jestem, ale, z powodu niektórych wyrażeń, pokazywać tego listu niepodobna. Kiedy się chce ludzi przekonać czy nawrócić, nie można od tego zacząć, żeby im dowodzić, że się lepiej czyni od nich. Są rzeczy, o których trzeba milczeć, a inne, o których tylko we właściwą porę mówić można.

Tu główną sprawą obecnie sejm, który się zbliża i który tylko nieład sprowadzić może. Mimo wszelkich przeciwnych gadanin, wszyscy są zdania, że, póki jesteśmy pod groźbą wojny, Chłopicki jest niezbędny.

Turno dziś rano wrócił. U przeprawy przez Bug pod Włodawą oddał w. xięciu kitkę, którą z rąk jego otrzymał w 1814 r. w Paryżu; miał mu przytem oświadczyć, że jej więcej nie włoży; bo Matka wie, że już tej północnej ozdoby nie nosimy, co zresztą sprawia, że wszyscy wyglądamy na wojskowych lekarzy.

Turno przywiózł dosyć dobre wiadomości o przyjęciu, jakie Lubeckiego spotkało od w. xięcia, który przez dwa dni przy sobie go zatrzymał, a potem do Petersburga wyprawił.

Co z tego wyniknie, przewidzieć nie można, ale czasem się zdaje, że może tak źle nie będzie. Usposobienie litewskiego korpusu jest podejrzane cesarzowi i w. xięciu; wycofali go z naszych granic.

Moskale, jakich tu mamy, dziwią się, cieszą i dziękują za doznawaną najzupełniejszą spokojność. Dyktatura wobec cesarza i Europy dowiedzie wybitnie, że nie jesteśmy pod jakobińskim wpływem.

Anna [1]) szczęśliwie powiła córkę [2]), z czego się niezmiernie cieszy. Róża [3]) wraca, chce koniecznie, żeby Branicki wywołał powstanie w Białejcerkwi.

Dzięki Matce drogiej za list, który nas bardzo ucieszył, dzięki, dzięki za odwagę. Proszę Konstantemu powiedzieć, że jest tu niezbędny dla formacyi pułku. Proszę o pomysły do munduru. Chciałbym do Matki pojechać i z babunią z radości skakać. Dwa tygodnie wolności i nadziei więcej dają szczęścia, niż życie całe spędzone w odrętwiałości i zgnębieniu.»

List ten kończy się przypiskiem Andrzeja Zamoyskiego:

Nie pisałem do Matki, odkąd jestem na mojem nowem stanowisku. Wśród tego wiru nie mamy chwili

---

[1]) X. Adamowa Czartoryska.

[2]) Izabellę, późniejszą Janową Działyńską.

[3]) Andrzejowa Zamoyska.

spokoju. Noc przepędziliśmy we trójkę, Władysław, Zdzisław i ja, opowiadając sobie wzajemnie, czego się każdy przez dzień dowiedział. Są rzeczy smutne, są i zabawne, są jakieś przebłyski nadziei. Rozmowę skończyliśmy na tem, że skoro już nie można się cofać, to trzeba iść naprzód z nadzieją w Bogu. Jakkolwiek jestem teraz ministrem [1]), może lada chwila na koń wsiądę, jak i inni. Radą i orężem, jak się da, trzeba służyć świętej sprawie. Niech się Matka droga uzbroi w męstwo Spartanek. Miłość macierzyńska dzisiaj musi ustąpić, a raczej przeistoczyć się w miłość ojczyzny. Bodajbyśmy się niedługo zobaczyć mogli z nadzieją lepszej przyszłości.»

Władysław Zamoyski do matki:

« 25 grudnia 1830.

Moja Matko droga, kochana. Dawno nie pisałem, bo czas schodzi tak, że trudno nawet o chwilę spoczynku i nigdy dzień nie wystarcza na niezbędną pracę. Z żalem też mija każdy dzień, kiedy do Matki kochanej napisać nie mogę, gdy wspomnę, że biedna, kochana Matka smutna, niespokojna, znużona tylu, tylu zmartwieniami. Jest ich też niemało w samej rzeczy; nie wszystko tak się dzieje i nie wszyscy tak postępują, jakby życzyć sobie można. Przecież nie nam jeszcze nad sobą się martwić, ani nawet nad ojcem, chociaż byłbym o wiele wolał, gdyby poszedł innym torem; ale ma jednak za sobą dobrą wiarę, prawość, istotną bezinteresowność i poświęcenie, któreby uważano za wspaniałe, gdyby ludzie mogli oceniać intencye, znać do dna, co się w sercu dzieje; gdyby wreszcie w polityce nie było poniekąd rzeczą sprawiedliwą sądzić ludzi z czynów, a nie z intencyi.

Tu i owdzie są jakieś promyki nadziei odległej, ale stan wewnętrzny niepokoi, nie dozwala w przyszłość

---

[1]) Dnia 5 grudnia 1830 Andrzej Zamoyski mianowany został zastępcą ministra spraw wewnętrznych.

patrzeć bez troski. Wielka liczba naszych odstąpiła nas i dlatego dzisiaj jesteśmy na łasce ludzi, nie mających ani cnoty, ani światła, choćby tyle, żeby nas w przepaść nie wpędzić. Usunęli się oddawna ci, z którymi bylibyśmy utworzyli dzisiaj opinię silną, poważną. Brak nam ludzi, ludzi z sercem i głową, dlatego też potrzeba nam wojny; ona oczyszcza i tworzy ludzi wiele więcej, niż ich zabija. Otóż i ja wpadam w posępne myśli, oby one się tylko Matce drogiej nie udzieliły. Owszem, teraz trzeba, ażeby Matki odwaga się podwoiła i żeby naszą podtrzymywała. Najmężniejsi miewają chwile znużenia.»

«... grudnia 1830.

...Pułk postępuje, za dni kilka stu ludzi, wkrótce cały szwadron będzie na koniu i gotów do boju. Dla mnie to radość, że choć dotychczas ktokolwiek pułk wystawiał swoim kosztem, brał w nim stopień pułkownika, Konstanty na prostego ułana się zapisał, żądał tylko, żeby go wpisano na numer 1 kontroli.

Mnie dowódca pytał, czy nie wezmę stopnia majora w pułku, i oficerowie do pułku przeznaczeni, starsi odemnie, wszyscy, może nieszczerze, wymawiają mi, że nie chcę nimi dowodzić. Szlachetnością, bezinteresownością, poświęceniem pokonamy może naszych przeciwników, a zarazem zawstydzimy tych, którzy ojca naszego źle sądzą. Podróż ojca bardzo nas martwi. Życzę mu wszystkich możliwych przeszkód, chociażby choroby. Boć on posuwa poświęcenie poza granice słuszności; poświęcenie bardzo istotne, dobrze wiem, ale poświęcenie daremne, bezowocne i srodze twarde, bo nigdy uznania nie uzyska. W istocie, chociażby ojciec otrzymał, żeby Litwa była przyłączona do Królestwa, jeszczeby nikt jemu tego nie poczytał za zasługę i tylkoby mu zarzucano, że Wołyń poświęcił. A zresztą jakie prawdopodobieństwo?... On o tem sądzić z tak daleka nie może. Ale my tu na miejscu codzień lepiej widzimy, że już do porozumienia z Moskalami dojść nam niepodobna.

Musiała Matka widzieć w dziennikach wzmiankę o mowie p. Ledóchowskiego w izbie, w której mówi o prezesie komisyi śledczej[1]). Ten Ledóchowski mało zasługuje na szacunek, a do tego jest fanatykiem. Jego mowa nie podobała się ludziom roztropnym i zacnym; ale wyznać muszę, że nie brak i takich, którzy zawsze potakują tym, co mają «odwagę» zaczepiać ludzi na wyższych stanowiskach. Pan Ledóchowski nie przewidział, że są tu synowie, z którymi trzeba mu będzie się rozmówić. Niechaj to jednak Matki nie niepokoi: po pierwsze niema mowy o pojedynkach, póki ojczyzna zagrożona; to oczywiste. Zresztą mam nadzieję, że ta sprawa wyjdzie na naszą korzyść, to jest na korzyść ojca. Bracia dali mi zupełne pełnomocnictwo do działania w ich imieniu. Mam za sobą powszechnie szanowanych członków obu izb, którzy może wymogą na nim pismo, nie odwołujące, jego mowa tego nie potrzebuje, ale rozróżniające między zachowaniem politycznem a charakterem osobistym ojca, słowem pismo, które może się stać bardzo pożyteczne. Dla człowieka takiego, jakim jest ojciec, największa korzyść, kiedy go zaczepiają, bo jest czem odpowiedzieć; co też uczyniłem. Słuchają tego, co mówię i wierzą; nawet Ledóchowski uwierzył. Ale jakżebym chciał, żeby ojciec nie jechał do Petersburga. Znowu trzeba będzie się z tego tłomaczyć. Tłomaczyć się przed ludźmi oświeconymi i uczciwymi można i łatwo, ale iluż to głupich i nieszczerych, którzy wszystko na pozorach opierając, własnych korzyści na cudzej sławie poszukują.

O Ledóchowskim napisałem, żeby do Matki nie doszły jakie fałsze. Przysięgam, żem całą prawdę napisał, niech się Matka nie frasuje. Ja się okropnie strułem, aż się popłakałem ze zmartwienia. Ale może się to stać doskonałym sposobem wyjścia. Wyraźnie zaczepieni, możemy się bronić i przekonać wielu uczciwych ludzi,

---

[1]) Ordynacie Zamoyskim. Ob. tom I, str. 211—218.

którzy sami nie wiedzą, co myśleć. My tu i odetchnąć nie mamy czasu, nie sypiamy wśród tego nawału pracy. Niegodziwcy, którzy obelgami, miotanemi na uczciwych ludzi, czas i siły nam wyczerpują, nie przypuszczają nawet, ile tem samem krajowi szkody wyrządzają.

Jeżeli Babunia chce robić miłosierne uczynki, proszę pamiętać, że my prosimy o pierwszeństwo. Gdyby nam Babunia przysłała kilka koni do pułku, mogę ręczyć, że ich nie odmówimy, bo już nie wiemy, jak sobie radzić. Chciałem zrzec się żołdu, nie będę mógł; wyrzekłem się więc 10.000 złp. pensyi, ażeby żyć jedynie z żołdu. Piszę o tem, ażeby się Matka broniła teraz od wszystkich próśb o wsparcie, któremi ją napastują. Trzeba wprost odmawiać, jest to wyraźnym obowiązkiem, za to ręczę. My tu, nie bez trudności, zaciągamy okropne długi. Mów Matka nagabującym ją, że ojczyźnie, a nie osobistym zapomogom, poświęcasz wszystkie zasoby. Kto nie ma konia, niech piechotą służy, albo w domu siedzi; ludzi mamy dosyć. Nienawidzę tych, co chcą wyzyskać obecne okoliczności, ażeby karyery i majątki robić. M. jest poczciwym chłopcem, ale trzeba mu prawdę mówić; jeśli mnie żołd starczy, to i jemu wystarczyć musi.»

Ordynat w swych wspomnieniach z grudnia 1830 r. pisze: «Nie mogąc się dostać do Warszawy, na sesyę senatu, a nie otrzymując żadnych rozkazów od w. xięcia, zmuszony byłem, przed usuwającem się wojskiem rosyjskiem, oddalić się do dóbr moich za Bugiem, aby tam oczekiwać rozświecenia się rzeczy i wyrozumieć, co mi obowiązek względem ustaw narodowych przedsięwziąć każe.»

Przeprawiwszy się przez Bug, po przekroczeniu tej granicy polsko-litewskiej, opuszczając «ze ściśnionem sercem» rodzinne strony, o których przewidywał, że już ich więcej nie zobaczy, oddalając się od żony, dzieci, «ukochanego kraju», od tego wszystkiego, co mu drogie,

a od czego nie tylko odległość, ale i nieprzeparta różnica zapatrywań od tej chwili dzielić go miała, mówi, że te bolesne wrażenia jeszcze się potęgowały widokiem ogólnej i wszechstronnej nędzy na Litwie. Łatwo zrozumieć, czego doznawał przy porównaniu Litwy z Królestwem, pomnąc, że i Królestwo, według własnych słów jego, dopiero przez ostatnich lat piętnaście, wskutek lepszych warunków politycznych, z podobnejże nędzy materyalnej się dźwignęło. Z żalem przypuszczał, że obecne wypadki nie tylko uniemożebnią przyłączenie Litwy do Królestwa, ale zagrażając samemu istnieniu jego, napowrót je pogrążyć mogą w poprzednią niedolę.

Pierwszą myślą ordynata było usunąć się z granic zaboru rosyjskiego i wyjechać do Galicyi. W tym celu 6 grudnia z Brześcia Litewskiego, dokąd udać się musiał dla formalności paszportowych, obowiązujących wówczas między Królestwem a Litwą, napisał do Petersburga do wicekanclerza, hr. Nesselrode, prosząc o paszport do Lwowa.

Dodawał, że gdyby król chciał go użyć do służenia nieszczęśliwej ojczyźnie, może nim rozporządzać. Równocześnie pisał do żony: « Pragnę się udać do Lwowa, ale czy mi się to uda, nie zależy odemnie. Jeśli cesarz każe mi jechać do Petersburga, trzeba będzie słuchać; wówczas skorzystam z tego, by uniknąć pozoru niewdzięczności, przywiązanej do chwycenia za broń. Jest to fatalność, której kraj nie mógł uniknąć i do której go pchano oddawna. Wiem dobrze, jak trudne moje stanowisko i jak łatwo się na niem potknąć. »

W sprawie paszportu udawał się ordynat widocznie nietylko do Petersburga, bo jen. Kuruta pisze do niego 3/15 grudnia z polecenia w. xięcia Konstantego, przy którym pełnił obowiązki szefa sztabu: « Co się tyczy paszportu, który Wasza Excelencya pragnie otrzymać na wyjazd do Lwowa, proszę go zażądać od gubernatora, wedle zwykłego porządku rzeczy. »

Zima z roku 1830 na 1831 była sroga. Ordynat ze zdrowiem mocno nadwątlonem pojechał do Lubomli, ażeby tam u teściów syna, Andrzeja, na ustroniu, doczekać się odpowiedzi z Petersburga i dokładniejszych wiadomości z Królestwa o bieżących wypadkach. W Lubomli doszedł go posłaniec z listami od żony, wysłanemi za nim do Rożanki, majętności jego w Królestwie. Co w Polsce myślano o tych, którzy wówczas przechodzili granicę moskiewską, można sądzić z własnych wspomnień ordynata; pisze w nich, że kamerdyner, wysłany do niego z listami, gdy w Rożance się dowiedział, że pan jego opuścił Królestwo, « z rozpaczy po ziemi się tarzał ».

O treści otrzymanych w Lubomli listów, ordynat wspomina z oburzeniem. Uważając powstanie za ruchawkę pospólstwa i studentów, dziwi się, że go zaklinają na miłość ojczyzny i nawet na honor, żeby jechał do Lublina; dziwi się, iż ludzie nie rozumieją, że w największych nawet niebezpieczeństwach kierować się trzeba poczuciem obowiązku, i dodaje: « Czyż nie mogę rościć sobie nadziei, że, postępując w ten właśnie sposób, potrafię może złagodzić niektóre gromy, nieszczęsnemu krajowi zagrażające.

Bóg jeden wie, że żadna inna myśl mną nie powoduje. Nigdy nie szukałem ani zaszczytów ani odznaczenia. Wszelkie wyższe urzędy sprawowałem wbrew własnym życzeniom, tylko naglony koniecznością, i dlatego, że nie sądziłem, abym miał prawo usuwać się od stanowisk, na których bezinteresownie prawością charakteru mogłem służyć krajowi, ale zawsze wzdychałem do usunięcia się od nich. »

Na wiadomość, że w Puławach w. xiążę powiedział, iż prędzej czy później wszyscy bez wyjątku będą musieli pod groźbą śmierci do powstania przystąpić, że zresztą mają obowiązki do spełnienia, ordynat pisze: « Wyznaję, że ja obowiązek mój inaczej pojmuję. »

Dziwnie sprzeczne były stanowiska, na jakich ordynat i w. xiążę względem ówczesnych wypadków stanęli. W. xiążę pod wpływem długoletniego pobytu w Polsce, doszedłszy do pewnego zrozumienia Polski i Polaków, uszanował wierność ich względem ojczyzny, zwolnił wojsko polskie z przysięgi i przyznał mu «obowiązek» łączenia się z powstaniem, przeciw rządowi moskiewskiemu. Przeciwnie ordynat, upatrując możność bytu dla Polski jedynie w utrzymaniu konstytucyi, nadanej przez Alexandra, uważał za obowiązek trwanie w wierności dla cara, jako króla polskiego. Zachowanie się w. xięcia było tak niezrozumiałe dla Moskali, jak zachowanie się ordynata dla Polaków.

Dowiedziawszy się z dalszych listów, że Rząd Tymczasowy w Warszawie działa w imię króla, ordynat pisze do jenerała, szefa sztabu w. xięcia, zapytując, do jakiego uznania rząd ten ma prawo, na co otrzymuje po paru dniach zawiadomienie, że w. xiążę pragnie się z nim widzieć.

Tymczasem 15 grudnia przyjeżdża do Lubomli osoba z Puław, wysłana z nowemi listami. Ordynat zapisuje w swoich wspomnieniach: «Zawsze ta sama zwrotka: wszyscy ludzie roztropni uważają, że powstanie jest szaleństwem; żaden z nich nie wziął udziału w pierwszym jego wybuchu, żaden go nie pochwala, ale znajdują, że, skoro raz rozpoczęte, cofać się nie można. Nie chcą zrywać z królem, a jednak cały naród zbroją; sądzą, że jego istnienie jest zagrożone, ale że pod zgliszczami jego zginąć powinni. Roztropność inaczejby radziła. Bunt studentów, a nawet wojska, nie jest buntem narodu. Naród zapiera się powstania. Ludzie roztropni, jeżeli wdali się w tę sprawę, to chyba na to tylko, ażeby przeszkodzić morderstwom, pospólstwu broń odebrać i porządek przywrócić. Ale całem ich pragnieniem być powinno, żeby cesarz rozróżnił między winowajcami a niewinnymi, i żeby cały naród nie ponosił odpowiedzialności za grzechy tych, którzy do wybuchu niebacznie doprowadzili.

Gdyby, zamiast jakiegoś nieokreślonego patryotyzmu, kształcono u nas zdrowy sąd i sumienie publiczne, wytworzonoby światły pogląd na sprawę, porządek i siłę moralną, którym ostatecznie nic się oprzeć nie zdoła, a które z czasem, i przy wytrwałości, owoc pożądany wydaćby mogły.»

W dniu 19 grudnia ordynat opuszcza Lubomlę i dojeżdża do Adamkowa pod Brześciem Litewskim na spotkanie w. xięcia. O widzeniu się z nim pisze w swoich wspomnieniach:

«W. xiążę opisuje mi bunt wojska i studentów, napad na Belweder, uzbrojenie się pospólstwa. Ja mu dziękuję, że wycofał wojska rosyjskie, ale wyrażam żal, że nie użył polskich pułków dla utrzymania w porządku tej zaciekłej hołoty.

W. xiążę całą winę zrzucał na szkołę podchorążych, a raczej na jednego z jej profesorów, który 29 listopada, mając wykład w szkole, o godzinie siódmej wieczorem, zawołał na uczni, że Moskale braci ich wyrzynają, i że, jeżeli oni nie chcą losu tego dzielić, niech za broń chwycą. W. xiążę zdawał się nie mieć żalu do nikogo, ale był głęboko dotknięty, że szesnastoletnie jego «starania około wojska w jednej chwili na niczem spełzły»; jednak wszystkich tłomaczył i uniewinniał. Chciałem z własnych ust w. xięcia słyszeć, co mam trzymać o tem powstaniu, o usunięciu się jego, o odprawieniu polskich pułków, o zachowaniu się mego syna, jako adjutanta, o rządach Rady Administracyjnej, działającej w imieniu króla. Prosiłem o rozkazy, co do tego, w jaki sposób, przy zmienionych okolicznościach, mam dalej służyć ojczyźnie.

Nic wyraźnego nie odrzekł, ale zdawał się potakiwać. Prosiłem o paszport, o list do cesarza, o jakie zlecenie do niego; odpowiedział, że nic mi dać nie może, ale, zatrzymawszy mnie na obiad, opowiadał przy stole, że nie był w stanie nic przedsięwziąć, ani się bronić, bo nie miał w Warszawie i czterech naboi do armat, i że Bel-

weder był zupełnie bez obrony. Są to rzeczy nie dające się zrozumieć.

Gdy w. xiążę odszedł, xiężna Łowicka, której zdrowie dużo ucierpiało w ostatnich czasach, i która nerwy miała tak rozkołatane, że chwilami trudno było zrozumieć, co mówi, wszczęła rozmowę o moim synu Władysławie. Mówiła: «Bardzośmy go cenili i kochali, ale to zapalona głowa. Wyobraź pan sobie, 3 grudnia, gdy naglił, żeby w. xiążę polskie pułki odesłał, wyrwało mu się, że obiecał odprowadzić je do jen. Chłopickiego, a potem, gdy otrzymał pozwolenie, jak jaki zwycięzca na czele wojska w cwał puścił się ku miastu.» Powiedziałem, że nie pojmuję, jak mógł się do tego stopnia zapomnieć, tem bardziej, że zawsze widziałem go roztropnym i że wpływu swego używał, ażeby dobrego ducha i karność w wojsku i wśród braci utrzymać.

Xiężna mówiła mi, że widziała list, który napisałem do Władysława z Gruszczyna, nakazując mu wytrwać przy w. xięciu i dodała: «Jeżeli się sprawa nie uda, list ten pokażę cesarzowi, jeżeli się uda, to go spalę.» Takie i tym podobne słowa niemało mnie zdziwiły. Powiedziałem, że, co do mnie, żałuję, że syn mój tego listu nie otrzymał, bo byłby jeszcze przy w. xięciu. Xiężna Łowicka mówiła dalej, że zachowanie się x. Adama Czartoryskiego niejasne. Ostatniego dnia odradzał w. xięciu powrót do miasta na czele wojska. Może, odrzekłem, było już zapóźno, i obawiał się o życie cesarzewicza.

Potem mówiła o Lelewelu, że to człowiek dobrej wiary i że, chociaż zapatrywań jego nie podziela, to je rozumie. Odpowiedziałem, że, co do mnie, nie rozumiem go wcale. Mówiła, że kto inny, zajmujący stanowisko w. xięcia, pewnoby był pod sąd powołany, ale że ufa, iż cesarz będzie miał wzgląd na brata.»

Tejże nocy, w Adamkowie ordynat otrzymał list od hr. Nesselrode z 2/14 grudnia, w którym, pomijając zu-

pełnie prośbę o paszport, wicekanclerz wzywał go w imieniu cesarza do Petersburga. Ordynat, nie widząc możności uchylenia się od tego żądania[1]), puścił się nazajutrz rano w drogę na Wilno, Wiłkomierz, Rygę. W Petersburgu stanął 28 grudnia, o dziesiątej przed południem. Natychmiast, w ubraniu podróżnem, kazano mu się stawić przed carem. Rozmowa była długa. Jak to, w kilka lat później, ordynat synowi Władysławowi opowiadał, car zaczął od przycinków, że ordynat zwykł był zawsze ręczyć za wierność Polaków, na co tenże przypomniał carowi ostrzeżenia, jakie mu dawał w maju i czerwcu w Warszawie, podczas sejmu. Na zapytanie cara, co dalej będzie i co teraz począć, odpowiedział: «Jedną, Najjaśniejszy Panie, wspaniałomyślnością pokonać możesz Polaków.»

W Petersburgu pracował wówczas w ministeryum spraw zagranicznych trzeci syn ordynata, Jan[2]).

«Jan, należący do służby dyplomatycznej cesarstwa, powołany do Petersburga, stanął tam na kilka dni przed 29 listopada i już przez cały ciąg powstania tam przebywał, nie chcąc odstąpić ojca. I tak pozostał nieczynny w tę właśnie porę, o której zawsze marzył, jakoby w takiej tylko dusza jego czynny wziąć mogła udział. Nie pytałem nigdy, co go skłoniło poddać się tej niewoli, domyślam się, że głównym powodem był pobyt ojca pod bokiem cara i widoczne tegoż dążenie do wywołania drugiej jakby Targowicy. To wskazało Janowi pole do czujności, celem zasłonienia kraju naszego od jakiejkolwiek oznaki podziału na dwa sprzeczne obozy. O ile miarkować mogę, brat mój obecnością swoją zaważył nieobojętnie na sposób, w jaki podczas powstania zachowali się w Peters-

---

[1]) X. Adam pisał do pani Zamoyskiej 2 stycznia 1831: «Zdaje mi się, że postanowienie twego męża pojechania do Petersburga jest, w jego położeniu, najlepszem, jakie mógł powziąć. On tam może stać się pożytecznym.»

[2]) Ur. w Wiedniu, 16 lutego 1802.

burgu licznie tam zamieszkujący Polacy. Głośnej rady dawać im nie mógł, oczywiście, ale każdy widział, że on cierpi i czuwa. Przykład jego był, przynajmniej dla wszystkich młodych, zbawienną i dostateczną wskazówką.»

W kilka dni po przyjeździe do Petersburga, ordynat, korzystając z wyjazdu posła Jezierskiego, wręczył mu list do żony:

«Petersburg, 3 stycznia 1831.

Prawdziwa to Opatrzność sprowadziła tu hr. Jezierskiego: dobry Polak, człowiek prawego charakteru, otwarty. Pojmujesz, że ani on, ani Lubecki nie mogli tu być przyjęci, jako poselstwo. Bo w czyimże imieniu przybywają? Lubecki był przyjęty, jako minister króla, mający zdać sprawę z wypadków, Jezierski, jako człowiek prywatny, przybywający do swego monarchy. J. C. M. przyjął Jezierskiego ze szczególną łaskawością. Zawiezie on wam słowa pokoju od króla polskiego, który jest i zostanie królem Polski. A zatem jesteśmy zaspokojeni, co do istnienia naszego kraju. Nie stawiajmy się w taki sposób, ażeby uniemożliwić królowi to, coby dla zbawienia nas uczynić pragnął.

A teraz przystępuję do obowiązku nie mniej dla mnie świętego. Wychowaliśmy dzieci nasze w zasadach szlachetnych. Dotychczas synowie nasi odznaczali się tysiącznemi zaletami, a szczególniej roztropnością, umiarkowaniem, poczuciem obowiązku, na innych młodych zbawienny wpływ wywierali; słowem, byli dla mnie chlubą. Będąc zupełnie bez wiadomości, nawet bez gazet, nie mogę sądzić o ich zachowaniu się, ani go oceniać, jak należy. Nie powinienem ich podejrzywać, skoro zawsze widziałem, że są dobrzy i roztropni; ale, gdyby mieli zboczyć z drogi prawej, drogi obowiązku, mimo całej miłości mojej dla każdego z nich, ciężko powiedzieć, jużby we mnie ojca nie znaleźli. A kiedy mówię, że nie powinni schodzić

z drogi obowiązku, rozumiem przez to, że nie trzeba dać się porwać przez rewolucyę, jak tylko o tyle, o ile żadnym sposobem oprzeć się temu nie można.

Namawiałem cię, żebyś opuściła Królestwo, ale, skoro tego uczynić nie mogłaś, mam przekonanie, że Opatrzność wielkie ci tam zadanie przeznacza. Pan Bóg cię obdarzył wszystkiemi zaletami, potrzebnemi do wywierania zbawiennego wpływu na synów, ciebie też poniekąd czynię odpowiedzialną za ich postępowanie. Oby ci Bóg w tem dopomógł.»

Przypisek z 4 stycznia:

«Śmiesznie byłoby przypuszczać, że dokuczliwości wszelkiego rodzaju, których doznawaliśmy dotąd, będą się i nadal powtarzały. Wypadki zbyt głośno przemówiły. Uwaga monarchy obudzona; chce, żeby się na niego spuszczono, «a słowo panującego, który dbały jest o swój honor, niemałej jest wagi». To są jego własne słowa. Cesarz, cesarzowa i osoby, obdarzone ich zaufaniem, boleśnie są dotknięte wypadkami, ale nie tak naród, który domaga się wymiaru sprawiedliwości i zemsty.

Nasza konstytucya jest nienaruszalną: twierdzić, że jest niedobrą, możnaby tylko wówczas, gdyby rząd ją zastosował, a przekonał się, że jest pod względem prawnym niedostateczną. A zatem dzisiaj wszystko jeszcze ocalić można; a najwyższą byłoby nieroztropnością wszystko na niepewne losy znowu narażać. Cesarz jest królem Polski na mocy traktatów i konstytucyi. Niechaj szaleńcy nie przyprawią nas o utratę tej rękojmi moralnej, jedynej jaką mieć możemy, materyalnej nie będziemy mieć nigdy. Patryotyzm we mnie nie jest namiętnością, jest cnotą. Zawsze ojczyźnie służyłem ofiarą czasu, samego siebie i mienia; na obowiązki względem niej zapatruję się ze spokojem i głowy nie tracę.»

Gdy ordynat Zamoyski w Petersburgu, pozbawiony «wiadomości z kraju, a nawet gazet», sądził, że można i trzeba oprzeć się, choć w pewnej mierze, prą-

dowi rewolucyi, innego zdania byli ci, co w kraju pozostali.

«Rewolucya nasza», pisał Władysław Zamoyski, «tak nagle i szybko się rozwinęła, cały naród tak jednomyślnie zaciągnął się pod jej sztandary, że poszło stąd u obcych mniemanie, jakoby ona oddawna była przygotowywana przez ludzi, stojących na czele narodu. Nam wiadomo, że ludzie ci, nie tylko, że powstania nie przygotowywali, ani nie mieli żadnego udziału w wybuchu jego, ale wierzyć nawet nie chcieli, aby było blizkie. Wiadomo też, że mężowie, którzy całą swą przeszłością dowiedli poświęcenia dla ojczyzny, uważali, że powstanie nie może mieć żadnej nadziei powodzenia, że same nieszczęścia na kraj sprowadzi, że jest pierwszym krokiem do najboleśniejszej przyszłości. A jednak, gdy nagle wybuchło, wszyscy bez wyjątku, wszyscy bezzwłocznie, jakby nadludzką siłą porwani, rzucili się w tę przepaść, wraz z tymi, co pierwsi do tego popęd dali. Klęska ostateczna każdemu prawie wydawała się nieuniknioną, ale każdy wysilał się ponad wszelką miarę, aby oddalić tę chwilę i nikt nie chciał osobiście uchylić się od ciosu, który miał spaść na kraj cały i na wszystkich ziomków; nikt nie chciał iść za przezornością, którąby nań ściągnęła pozory wystygłego dla ojczyzny serca.

Polacy znaleźli się jakby w położeniu człowieka, mającego sprawę honorową. Niektórzy wprawdzie widzieli w tem coś więcej, inni łudzili się co do ostatecznych wyników walki, ale i ci nawet, którzy w żadne złudzenia nie wpadli, którzy żadnych nadziei nie mieli, wszyscy zarówno przekonani byli, że idzie o cześć narodu, i począwszy od Chłopickiego, a kończąc na Lelewelu, od członków klubu aż do mieszkańców najdalszej prowincyi, wszyscy czuli, że najpierwszym i najbardziej naglącym dla każdego obowiązkiem: jednomyślnie się łączyć i wszystkich środków użyć dla ocalenia przynajmniej dobrej sławy narodu.»

Na zarzuty czynione jemu samemu przez ojca w liście z 4 stycznia, Zamoyski odpisuje 18 stycznia 1831: «To tylko robiłem, co mi sumienie i przekonanie nakazywały, gdyż ja także zaczynam rozumieć obowiązek i właśnie w spełnieniu obowiązku, a nie w przesadnych uczuciach upatruję dobrą sławę i cnotę.

Obawiam się, by mnie Ojciec nie posądził o gorycz; nie mam jej ani trochę. List Ojca nie wydał mi się niesprawiedliwym, ale mnie przekonał, do jakiego stopnia Ojciec jest mało powiadomiony o tutejszych wypadkach. Wyznaję, że mnie boli, widząc, jak mało mi Ojciec ufa. O to zaufanie proszę, błagam na klęczkach i błagam także Ojca o błogosławieństwo, tak mi potrzebne wobec grożących wypadków.»

«Wraz z wybuchem powstania poczęły się tworzyć w Warszawie tak zwane kluby rewolucyjne, mniej więcej jawne, w miejscach publicznych, w których o potrzebach kraju rozprawiano. One to od pierwszych dni groźnie nachodziły rząd. Na początku dyktatury chwilowo ustały, bo powszechne było mniemanie, że Chłopicki żartować z siebie nie pozwoli, i to mu dodawało uroku.

Potrochu jednak rozpoczęły się znowu schadzki i głośne rozprawy po kawiarniach, w których narzekano na rządy, a raczej na bezczynność dyktatora. Odznaczała się kawiarnia na Miodowej ulicy, którą, od przystojnej kawiarki, nazywano Honoratką. Tak przybył nam do słownika nowy wyraz, bo od owego czasu nasze pokolenie nazywało wszelkie rozprawy gorączkowe, niedorzeczne honoratkami. Nie miałem nigdy pociągu do takich schadzek i nie bywałem na żadnych, w części dlatego, że nie mogłem się na nich znajdować bez zwracania na siebie uwagi. Sam wzrost mój sprawiał, że mnie wszyscy znali, zwłaszcza odkąd byłem adjutantem w. xięcia; wreszcie sposób, w jaki się ta moja służba zakończyła, jeszcze większą na mnie ściągnął uwagę. Dość, że nigdzie niepostrzeżenie pokazać się nie mogłem.

Pewnego jednak wieczora, znalazłszy się z bratem Zdzisławem na Miodowej ulicy, wstąpiłem do Honoratki. Pełno było ludzi, nie było gdzie i przysiąść. Wnet mnie też spostrzeżono. Poczęto przedemną wytaczać żale na dyktatora. Odpowiedziałem ogólnikami. Dyktatora nie broniłem, alem nastręczał przypuszczenia, dozwalające jeszcze liczyć na obrót rzeczy mniej zgubny. Jeden z obecnych, niby dla żartu, raz i drugi podniósł połę mego płaszcza. Zapytałem, o co mu idzie? A on: «Patrzę, jaka podszewka.»

Do żywego dotknięty, spojrzałem mu w oczy, ale przypomniawszy sobie, że stoi przy mnie brat o wiele odemnie młodszy, nie chcąc mu dać złego przykładu, nad gniewem zapanowałem i powiedziałem tylko: «Patrzysz pan, czy mój płaszcz przypadkiem nie tchórzem podszyty.» Słowa te widać powiedziałem w taki sposób, że się mój jegomość zmieszał i odrzekł: «Nie myślałem ubliżyć.» Ja nato: «Być może, ale gdy mi się zdarzy komu nie chcący na nogę nastąpić, nie czekam upomnienia, natychmiast przepraszam.» I patrząc mu prosto w oczy dodałem: «Taki mój zwyczaj.» — «Jakto?» zapytał, «pan chcesz, żebym przeprosił?» — «Nie żądam niczego, mówię tylko, że taki mój zwyczaj.»

Skończyło się na tem, że przeprosił. Wyznaję, że mi zdjął ciężar z serca, zwłaszcza, żem miał brata za świadka.

Czegom uniknął w Honoratce, to mnie nieomal spotkało z członkiem izby poselskiej. Podczas krótkiego zebrania sejmu w grudniu, poseł Jan Ledóchowski, goniąc, jak to zwykł czynić, za oklaskami galeryi, obrał sobie za przedmiot uwag i zarzutów mego ojca, o którym wieść doszła, że, bawiącego na wsi nad Bugiem, car kazał przywieźć pod eskortą do Petersburga. Skorom w dzienniku wyczytał słowa pana Ledóchowskiego, udałem się z prośbą o radę i pośrednictwo do Władysława Ostrowskiego, marszałka izby poselskiej i do kasztelana Michała Radziwiłła. Obaj wielką mieli w kraju powagę, a liczyłem

na ich osobistą życzliwość. Podjęli się oświadczyć panu Ledóchowskiemu w mojem imieniu, że się domagam od niego na najbliższej sesyi sejmowej dokładniejszego określenia zdania, jakie o moim ojcu wyraził; że nie bronię nikomu sądu, choćby najsurowszego, o politycznem postępowaniu mego ojca, ale że mam prawo i obowiązek żądać, ażeby nikt nie ubliżał jego osobistemu charakterowi. Nie pomogły namowy dwóch poważnych mężów. Pan Ledóchowski odmówił żądanej satysfakcyi. Podziękowawszy więc marszałkowi i x. Radziwiłłowi, napisałem wprost do Ledóchowskiego list, którego treść była mniej więcej taka:

«Odmawiasz, Panie, zadośćuczynienia żądaniu, które ci w mojem imieniu przedłożyli dwaj poważni członkowie sejmu; nie chcesz rzuconej na mego ojca obelgi zmazać objaśnieniem, zmuszasz mnie przeto do oświadczenia, że, skoro minie pora, w której ojczyzna ma pierwsze prawo do naszej krwi i do naszego życia, upomnę się w inny sposób, niż dzisiaj, o zadosyćuczynienie.»

Pan Ledóchowski odpisał mi listem, w którym, do błahych wymówek dołączył żart, że skoro prawem ordynacyi, dziedzictwo po ojcu naszym spada na najstarszego syna, więc temu synowi, a nie mnie, służy przywilej upominania się o urazę wyrządzoną ojcu.

Uważałem rzecz tę na razie za skończoną, bo żart zaledwie wart był odpowiedzi. Ale w parę dni potem przybył do Warszawy brat mój starszy, Konstanty i odrazu wyprawił do pana Ledóchowskiego dwóch świadków z prostem wyzwaniem i żądaniem, by naznaczył dzień i godzinę.

Jenerał Klicki, podówczas gubernator Warszawy, postąpił z moim bratem, jak z żołnierzem, kazał go zaaresztować, oświadczając, że dopóty go w areszcie trzymać będzie, póki nie da słowa, że na teraz zaniecha poszukiwania urazy. Sprawa pozostała w zawieszeniu. Pan Ledóchowski na późniejszej sesyi sejmowej znowu o moim

ojcu mówił w sposób ubliżający. Zachowaliśmy o tem zupełne milczenie aż do ukończenia wojny[1]).»

Władysław Zamoyski do matki:

«4 stycznia 1831, wtorek.

Moja Matko droga, odbieram list po liście od Matki, ale zaledwo naprędce odpiszę, tak jesteśmy tutaj nieustannie nagleni. Niezwłocznie wyjdzie krótki życiorys ojca i odpowiedź na rozsiewane o nim w tej chwili pogłoski.

Co do 900.000 złp., które nam Matka raczy ofiarować, nie możemy ich nie przyjąć, — jest to jedyny sposób poradzenia sobie. Zaledwie potrafię za to dziękować, tak silnie czuję, że wszystko, co się dzisiaj czyni, czyni się dla obowiązku. Wdzięczność przyjdzie później, jeżeli nam czasu starczy.

Bóg, ojczyzna i Matka; dla nich będzie ostatnia myśl moja. Ale jeszcze nie czas o tem mówić, chociaż wyznaję, że, gdyby nie Matka, nierazby mi się już tego końca chciało, tak smutno i posępnie się robi, patrząc na wszystko, co nas otacza. Ile to fałszu, złej wiary i przewrotności, pod pozorem szlachetnych uczuć. Ale zapuszczam się w myśli ponure, którym się gwałtem opierać trzeba. Nasze usiłowania, nasze życie dla obowiązku, bądź co bądź.

Zgody bratniej między sobą przestrzegamy i to bez trudności; daleko od tego, abyśmy się różnili, przeciwnie, każdy dzień nas zbliża i wiąże...»

«8 stycznia 1831.

Kochana Matko, donoszę naprędce o przybyciu Wyleżyńskiego z Petersburga[2]); listu żadnego nie mógł przy-

---

[1]) Sprawa zakończyła się w Paryżu w 1832.

[2]) Pułkownik Wyleżyński, adjutant Chłopickiego, wysłany przez tegoż 23 grudnia do Petersburga. Ordynat Zamoyski pisze o nim w swoim dzienniku: «Wyleżyński nie zobaczył się wcale z wysłaną poprzednio do Petersburga deputacyą (Lubeckim i Jezierskim). Był u mnie w chwili wyjazdu 1 stycznia, ile pamiętam. Mówił mi, że Chłopicki

wieźć. Przez dwa dni, które tam przepędził, trzymano go pod kluczem. Natychmiast po posłuchaniu u cesarza wyjechał; przywiózł list od Grabowskiego, który donosi, że Jezierski wkrótce przybędzie do Warszawy. Nic więcej na teraz. Wyleżyński przywozi nam tylko wynik rozmowy z cesarzem: «Cesarz uważa się za prawego króla polskiego; potrafi otrzymać posłuszeństwo bezwarunkowe; wojsko jego maszeruje ku nam; nic nie potrafi usprawiedliwić tych, którzy po wyjeździe w. xięcia wzięli rządy w swe ręce etc. etc.» Cesarz nie chce widywać Lubeckiego, widuje Jezierskiego. Wyleżyńskiego obsypał dowodami łaski i wszystkich sposobów użył, żeby go zatrzymać; prawdziwie cudem udało mu się wyrwać stamtąd, ale musiał dać słowo, że, jako wierny poddany, nie będzie walczyć przeciwko swojemu monarsze. Te łaski zdawałyby się oznaczać mało chęci do zupełnego zerwania z nami. Z niektórych słów cesarza sądzićby można, że chce gromadzić koło siebie Polaków, mających u nas znaczenie, ażeby ich nam przeciwstawić... Myśl to przerażająca. I ojciec tam jest! Niech go Bóg oświeca i strzeże od sideł, które mu stawiać będą. Podwójnie żałuję teraz, że Matka z ojcem nie pojechała, ażeby przy nim być w tak trudnych okolicznościach. Jego położenie zatrważające. Powiedział Wyleżyńskiemu, że jest na swojem miejscu, przy swoim królu. Niechaj i tak będzie, byleby biernym pozostał, ale nużby się postawił czy to osobiście, czy łącznie z innymi, jako przedstawiciel narodu, jakiemżeby to było nieszczęściem i dla kraju i dla nas! Tutaj nie wiedzą jeszcze, gdzie się ojciec znajduje.»

W jednym z listów do ojca Zamoyski pisze:

«W imieniu nas wszystkich błagam Ojca drogiego, aby się tam powstrzymał od wszelkiego działania politycznego.

---

o tyle tylko ma znaczenia w Warszawie, o ile postępuje w duchu rewolucyjnym. Widziałem go bardzo krótko, był przejęty dobrocią okazaną mu przez cesarza, który go zamianował swym adjutantem.»

Błagam, aby Ojciec drogi nie zapominał, że ma tu dzieci, które zarówno go kochają, jak poważają; że dzieci te umarłyby ze zgryzoty, gdyby imię Ojca tam wystąpić miało. Nie wierzymy temu, nie lękamy się tego, ale tak dziwne chodzą pogłoski. Takby tam radzi byli Ojca wciągnąć, omamić. Dałbym życie sto razy, by się uwolnić od takiego niepokoju.

Co do nas, my już sami sobą rozporządzać nie możemy. Sejm o wszystkiem za nas postanawia. Nam pozostaje tylko własnej dobrej sławy przestrzegać. Nie mamy zamiaru się wyszczególniać i na świecznikach stawiać, ale dzisiaj chyba ten się wyszczególnia, kto w pierwszym szeregu nie staje...»

Pani Zamoyska do męża:

«Puławy, 15 stycznia 1831.

Otrzymuję list twój przez Jezierskiego; cóż ci odpiszę i jak to uczynię? Tyle się nacierpiałam od sześciu tygodni, że myśli zebrać nie mogę; nie potrafię ani w części wyrazić tego wszystkiego, co mi duszę trawi; a jednak trzeba, żebyś wiedział o tem, co się tu dzieje; okropniejszego położenia chyba nigdy nie było. Przy takiej odległości niepodobna, żebyś mógł wyrobić sobie słuszne pojęcie o wypadkach i sprawiedliwy sąd o postępowaniu ludzi, porwanych rewolucyą, wbrew własnej woli, jakby falą, której nic się oprzeć nie może. Niewątpliwie, że w pierwszej chwili można było pokonać zaburzenia przez sto sześćdziesiąt dzieci wszczęte, ale, gdy się straciło tę chwilę, skutki piętnastoletnich rządów niesprawiedliwych, bezprawnych, prześladowczych i strasznych nadużyć natychmiast odczuć się dały.

Los nasz rozstrzygnął się w nocy 29 listopada: Skoro ujrzano, że wojsko i naród poszły za głosem kilku dzieci, najzimniejsi uczuli, że wyrok śmierci zapada na cały naród i na każdego z osobna; na naród, bo wynik wojny z Rosyą nie może być wątpliwy, na każdego, bo, usuwając się, ściągnąłby na siebie ohydny pozór, że własnego tylko

bezpieczeństwa szuka. Trzeba było sobie powiedzieć, że lepiej zginąć niż samemu powszechną przeżyć klęskę.

Co dnia wychodziły na jaw bezeceństwa popełniane przez policyę, równie okrutne, jak wstrętne. Ona to i jej służalcy wszystkiemu winni, oni rewolucyę wywołali. Co dnia odgrzebywano nieszczęsne ofiary barbarzyństwa, widziano na nich ślady okrutnego pastwienia się. Takie widoki nie usposabiają do roztropnych poglądów. Mówiono ze wszech stron, że lepiej zginąć, niż takie znosić zelżywości.

Przestań oskarżać twoich synów, znaleźli się w położeniu okropnem, szczególnie z powodu twego wyjazdu. Nie było dla nich innego wyboru, jak zginąć na polu bitwy, lub od swoich.

Teraz, po wszystkiem co zaszło, «zdać się na łaskę», wstydemby nas okryło. Sam cesarz wzgardziłby nami, a chociażby niektórzy odezwali się z takim zamiarem, zagłuszonoby ich, bo olbrzymia większość narodu chce albo warunków uczciwych, albo walki na śmierć; to ja ci to mówię, ja dotychczas najszczęśliwsza z matek, a teraz najbardziej udręczona i najbiedniejsza, jednak z synów zawsze dumna. Wierzaj mi, dziękuj Bogu, że takie ci dał dzieci, wierzaj, nigdy nie istniały dusze bardziej zacne i szlachetne, przy równej roztropności i umiarkowaniu. Cóż im mówić mogę, jakież rady dawać, nawróconychbym nawracała.

Nie mów, że nie prosisz synów, by cię bronili przeciw ślepej złośliwości, która cię ściga. Tobie świadectwo własnego sumienia wystarcza, ale oni znieść nie mogą, by cię zapoznawano i raczej zabić się dadzą, niż zaniechają domagać się zadośćuczynienia od tych wszystkich, co twoją sławę szarpią. Gdybyś pojąć mógł, jak dziwne i bolesne wrażenie czynią mi twe surowe słowa o synach, gdy widzę, jacy oni są, gdy tak żywo odczuwam ich wartość i cierpienia.

Boże mój, co się to ze mną stało przez te sześć tygodni udręczenia. Dawniej, zdaje mi się, jedna z boleści,

które mi teraz serce przepełniają, byłaby wystarczyła, żeby mi śmierć zadać. Dziś widzę przed sobą tysiące i nie mam już na nie łez. O drogi mój, nie pomnażaj tych boleści.

Spełniłeś obowiązek, udając się do cesarza, ale teraz wyjeżdżaj. Usunąć się, gdy się nie podziela zapatrywań swego narodu, to zawsze wolno, ale dalej iść nie można. W czasie wojny, obywatel, a nigdy się nim być nie przestaje, nie może pozostać w obozie nieprzyjacielskim.

Wyjeżdżaj stamtąd, na klęczkach cię błagam; gdyby tam przyszło do jakiegoś działania, jakichś podpisów, o mój drogi, tożby to była druga Targowica. Na samą nazwę, wszystko się we mnie wzdryga. Gdybyśmy tego doświadczenia nie mieli, nieszczęsne złudzenie mogłoby nas do czegoś podobnego doprowadzić, ale po tem, co już raz zaszło, nie można przypuścić, żeby się to powtórzyć miało. I w jakim celu? — Zbawienia już dla nas niema, chyba że cesarz raczy podać warunki po temu.

Powstanie wybuchło siłą niezależną od czyjejkolwiek osobistej woli. Ci, co stoją na czele, ani go wywołali, ani niem kierują. Zaufaniem powszechnem wyniesieni na naczelników, starają się tylko o uregulowanie ruchu, który bez nich naprzód idzie i któryby ich zdruzgotał z chwilą, kiedyby się zatrzymać chcieli. Jakkolwiek nieroztropne byłyby przedsięwzięcia narodu, nikt tu nie może wątpić o konieczności łączenia się z nim, i to z poświęceniem tem większem, im pewniejsza zguba nas czeka.

Jakże ciężka wina spada na tych, co do takiego stanu rzeczy doprowadzili. Ganią powstanie, ale czy sprawiedliwość nie nakazuje zastanowić się nad tem co je wywołało? Czy można roztropnie oczekiwać by rola, na której się codziennie zasiewa trucizny, wydała pożyteczny plon? My padniemy ofiarą na tym świecie, ale w przyszłem życiu Bóg osądzi prawdziwych winowajców.

Mówić, że rząd konstytucyjny nie wyczerpał środków, jakie mu przysługiwały do przeszkodzenia złemu, to

może dobry sposób bronienia konstytucyi, ale temsamem zrzuca się ciężką odpowiedzialność na wyższych urzędników, którzy nie zrozumieli, iż nadużycia doprowadziły rozjątrzenie do ostateczności, i nie bronili konstytucyi, lub też nie złożyli urzędów, jeżeli tego było potrzeba.

Żądać, żebyśmy się teraz zdrowym rozsądkiem kierowali, żebyśmy słuchali słów zgody, jest to przypuszczać, że rzecz zależy jeszcze od naszej woli. Mówić, że to jedyny sposób wybawienia kraju, jest to mniemać, że mamy jakąkolwiek nadzieję uratowania go. Zapewne, że jakąś nadzieję mamy, tak jak skazani na śmierć, do ostatniej chwili nadziei ratunku nie tracą, ale dla nas już nie chodzi ani o zbawienie, ani o życie; chodzi tylko o dobrą sławę, a droga do niej aż nazbyt jasno wytknięta, niema się już co nad nią zastanawiać.

Z tego wszystkiego wynika, żeśmy strasznie nieszczęśliwi, — ale ty wyjeżdżaj, usuń się; potrafisz to uczynić w sposób szlachetny, a nic innego uczynić nie możesz. Nie wolno swego zdania przeciwstawiać całemu narodowi, choćby się i pomylił. Żaden obowiązek tego nakazywać nie może. Usunąć się, boleć nad jego obłąkaniem i nieszczęściem wolno, ale stanąć przeciw niemu, niepodobna; sama myśl o tem przeraża. Wyjeżdżaj, wyjeżdżaj do Szwajcaryi; oby głos mój trafił do twego serca i otrzymał to, o co cię tak usilnie błagam... Truchleję o ciebie, lada chwila stracić mogę synów, którzy są mojem szczęściem, mojem życiem, moim skarbem najdroższym; truchleję o matkę, której wątłe siły nie zniosą tylu wzruszeń, zmartwień, niepokoju; mnie samej braknie sił i zdrowia, ale gdybyś wyjechał, tobym siły, męstwo i zdrowie odzyskała.

Słowo jeszcze o naszych synach. W chwilach gwałtownych zaburzeń jak obecne, niepodobna sądzić ludzi według zwykłych pojęć. Szczęśliwy, kto wyratuje osobistą dobrą sławę, ale jednostki nie odpowiadają za ogół. Żołnierz pojedyńczy nie opuszcza swego batalionu, nawet

gdy ten batalion się buntuje. W. xiążę, który doskonale rozumie, czem są rewolucye, umie też ocenić, do czego takie wypadki mogą zmuszać ludzi nieposzlakowanej prawości.

Zdzisław połączył się z swoim batalionem. Władysław tegoż samego dnia ostrzegł o tem w. xięcia, a ten pochwalił Zdzisława, wyrażał tylko żal, że go w tym korpusie umieścił. Człowiek jest tak związany z narodem, jak żołnierz z batalionem.

Przypuszczać, że Władysław szukał dla siebie osobistego odznaczenia, byłoby największą niesprawiedliwością. Co czynił, czynił bez namiętności, bez najmniejszych złudzeń, w zupełnym spokoju, bez zarozumiałości, nie szukając próżnej chwały. Takim jest, jakim go zawsze widziałeś: roztropny, ze zdrowym sądem, umiarkowany; całe nasze położenie widzi w prawdziwem świetle.

August[1]) niezmiernie był poruszony wiadomościami, jakie w dziennikach wyczytał; napisałam mu prędko, żeby cicho siedział i pracował, ale boję się, że listy nie dochodzą.»

Oprócz listów do męża i dzieci pozostał z pierwszych miesięcy powstania zapisek pani Zamoyskiej, mający prawdopodobnie służyć za osnowę do artykułu dla dzienników zagranicznych:

«Wszystkich ludzi uczciwych, którzyby mogli dobry wpływ wywierać, odepchnięto, oddalono; łotry więcej zaufania wzbudzały; w. xięciu nigdy prawdy wykazać nie było można. Cesarzowi jednak dwóch ludzi krajowi oddanych wypowiedziało prawdę o stanie Królestwa. Odpowiedział, że brata szanuje i kocha i że przeciwko niemu nic uczynić nie może. Na to mu powiedziano, że jakkolwiek ta łączność jest szanowna i piękna, musi jednak ustąpić tam, gdzie obowiązki królewskie w grę wchodzą.

---

[1]) Ur. w Warszawie, 8 września 1811. W chwili wybuchu powstania odbywał nauki w Genewie.

W Polsce szczerze pragniono utrzymać się w wierności. Naród, kilkakrotnie do rozpaczy doprowadzony, jednak czekał i ufał, aż nareszcie nadmiar zła do rewolucyi doprowadził.

Powiedzieć o wszystkich gwałtach, uczynionych nawet w sam dzień koronacyi i konstytucyi uroczyście zaprzysiężonej, o sądach wojskowych, o mękach zadawanych więźniom; przytoczyć fakta, nazwiska, daty; powiedzieć o samobójstwach, jak Wilczka i innych, o policyi tajnej, o szpiegach i szpiegostwie, do którego wprawiają nawet dzieci po szkołach, o Nowosilcowie, o jego obecności na posiedzeniach Rady Administracyjnej wbrew konstytucyi, o jego knowaniach niegodziwych, jego nienawiści, gdy mu się nie opłacano.»

Czego nie zdołały zmienić w zapatrywaniach ordynata listy żony i synów, tego dokonał, przynajmniej częściowo, pobyt jego w Petersburgu. Kilka tygodni wystarczyło mu, by się przekonać, jak mało tam dla Polski uczynić zamierzają. W listach do żony skarży się na to i na «złe towarzystwo», wśród którego żyć musi. Pani Zamoyska odpisuje: «O złem towarzystwie, w jakiem się znajdujesz, ciężko mi myśleć, boć tacy ludzie, jak panowie Rożniecki i spółka, wszędzie, gdziekolwiekby byli, pogardę na siebie ściągnąć muszą, aż sobie wyrzucam, że pióro moje kalam, nazwiska ich kreśląc.»

W miarę, jak znikały nadzieje ordynata w możność otrzymania czegokolwiek od «mądrości politycznej i poczucia sprawiedliwości» sfer rządowych petersburskich, rosła wyrozumiałość jego dla uczestników powstania, a w pierwszym rzędzie dla własnych synów. Łatwo zrozumieć, jaką to było dla nich radością i pociechą: «Proszę sobie wyobrazić,» pisze Władysław do matki, «że Leon za granicą odebrał dwa listy od ojca; ojciec mówi w nich, że dobrze postępujemy i że wypełniamy nasz obowiązek. Dowiaduję się też, że już w Lubomli, gdy mu powiedziano o naszym pułku, wyraził z tego powodu swą

radość. Teraz przypuszczam, że list jego do mnie, pisany był dla cesarza, a nie dla mnie.»

Opuszczenie Petersburga stało się wkrótce najgorętszem pragnieniem ordynata. Nie było to jednak rzeczą możliwą. Następujące listy wykazują, że pobyt jego tamże był przymusowy.

Jan Zamoyski do brata, Władysława:

Petersburg, 8 marca 1831.

«...Wymawiam sobie, żem nie pisał do ciebie, gdyście z upragnieniem wiadomości o nas wyglądali. Lecz, w tak okropnych okolicznościach, o czemże i jak mogłem pisać? Już nie wiem, czy ty i tamci bracia jesteście przy życiu, ilu was ubyło, piszę jednak, żeby krwawych waszych udręczeń nie pomnażać niepokojem o nas, tu będących. Ojciec, chociaż wyjechać nie może teraz, żadnemi sprawami, ani czynnościami publicznemi się nie zajmuje. Z początku tylko, póki była jakakolwiek nadzieja załagodzenia sprawy Królestwa, ojciec z poświęceniem i godnością starał się służyć krajowi. W uwagach jakie wam czynił, nie powinniście upatrywać gniewu, ani uczucia nieprzyjaznego. Sumienie i troskliwość pobudziły go do przesłania wam rad, które uważał za najlepsze, lecz serce jego było zawsze pełne miłości i błogosławił wam. Z wami w jednej myśli Bogu się polecamy. Pisujcie tak, żeby listy mogły być czytane.»

Jan Zamoyski do brata, Konstantego:

«Petersburg, 15 czerwca 1831.

Rzadko pisuję, bo w tak okropnych ciągle obawach żyjemy, że nie sposób myśli zebrać. Nie można też o wszystkiem, co najwięcej duszę zapełnia, pisać. Wreszcie i ta myśl okropna, że może żyć przestali ci, do których chciałbym pisać, najczęściej mi pióro z rąk wytrącała i do rozpaczy mnie przywodzi. A przecież wymagacie, żebyśmy o sobie stąd donosili. W kilku listach starałem się was uspokajać co do rzeczy, które was najbardziej zajmują, lecz nie wiem, czy te listy doszły. O zdro-

wie ojca nie macie przyczyny się niepokoić, wszakże wyjechać stąd prawie niepodobna.

Od młodszego brata (Władysława) kilka listów odebrałem. Niech mi wybaczy, żem mu za mało odpisywał, albo nie odpisywał wcale. Nie mogłem czynić, co chciałem. Nie podziękowałem mu za tyle jego przyjaźni i pamięci o mnie, ale sądziłem, że on wiedzieć musi, że ja cały nim żyję. Zlecenia, które mi dawał, sam myślą wyprzedzałem, zdawało mi się zbytecznem zapewniać go, że je najściślej w duszy chowam. Wszakże wy wszyscy bracia wątpić nie możecie, że ojciec was błogosławi i że w żadnych tu czynnościach nie ma najmniejszego udziału.»

III

W PRZEDEDNIU WALK 1831

«Jednocześnie z ogłoszeniem dyktatury Chłopicki zwołał sejm na 18 grudnia i zapowiedział, że złoży dyktaturę, jeżeli jej sejm nie zatwierdzi [1]). Sejm się zebrał i na pierwszej sesyi zatwierdził dyktaturę Chłopickiego, tylko przywiązał do niej delegacyę sejmową, złożoną z piętnastu członków obu izb. Delegacya miała czuwać nad czynnościami dyktatora, a obecnością swoją dodawać mu powagi; gdyby zaś uznała tego potrzebę, mogła się do sejmu odwoływać przeciwko dyktatorowi. To postanowiwszy, sejm się odroczył na czas nieograniczony [2]); dogodził tem powszechnemu usposobieniu. Wszyscy pragnęli władzy silnej a przypuszczali, że będzie

---

[1]) W razie, gdyby Chłopicki odmówił powtórnej dyktatury, Szembek i Krukowiecki myśleli o objęciu jej. Szembek powiedział to bez ogródki. Mój brat, Andrzej, żywo dowodził potrzeby popierania dyktatora, czemu Szembek potakiwał, ale dodał: «Na dyktatora ludzi nie braknie, ja sam gotów jestem służyć, jeśli potrzeba.» Szembek wyobrażał sobie, że tu chodzi jedynie o jakiś rozruch, który trzeba przytłumić, a pułku swego czuł się pewnym. Poszedł tedy do koszar, ażeby wydać potrzebne rozkazy. Jakież było jego zdziwienie, kiedy pułk cały zastał pod bronią i dowiedział się, że przyszło do tego, wskutek pogłoski, obiegającej miasto, że sejm nie chce odnowić dyktatury Chłopickiego. Na ten widok Szembek zmienił swoje zamiary i Chłopickiemu dworował do końca, potem Radziwiłłowi. (W. Z.)

[2]) Z powodu odroczenia sejmu, Chłopicki powiedział mi: «Kontent jestem, że przynajmniej tej karczemce koniec położyłem.» Po pięciu tygodniach sam zwołał sejm znowu. (W. Z.)

silna, skoro jednemu bez ograniczenia zostanie powierzona. Niestety, niewiele dni minęło, a każdy mógł się przekonać, że dyktator to tylko ma na myśli, żeby wszystko utrzymać w stanie biernym i nic nie czynić. Nie wierzył i nie uwierzył do końca, by się Polska przeciw Moskwie ostać potrafiła. Ale zmuszono go dowodzić wojskiem. Jego żołnierska dusza, przy zupełnym braku wyższych poglądów, pragnęła tylko zachować w wojsku porządek i służbistość, do jakiej przez całe życie nawykł. Wojsko w spokoju i posłuszeństwie utrzymać było rzeczą łatwą; słuchać władzy pragnął naród cały, na wszystko był gotów, byle wierzył, że władza potrzebie kraju odpowiada. Tego właśnie warunku, niestety, nie dopełniała władza dyktatora. Chłopicki chciał, by przestrzegano porządku, ale porządku, że tak powiem biernego. W rzeczywistości on sam go podkopywał, bo czyny i postanowienia jego przeciwiły się wszystkiemu, czego kraj żądał jednomyślnie. Mimo to ufano mu ślepo. Ci, co go lepiej znali, byli nieliczni i nie chcieli go odzierać z uroku, który go otaczał.

Chłopicki, w sam przeddzień walki, pozbawił się dobrowolnie dwóch wojskowych wyjątkowej wartości: Prądzyńskiego i Chrzanowskiego. Pierwszy słynął z nauki i ognistej o rzeczach wojennych wymowy; był bystry, niewyczerpany w pomysłach najśmielszych, tak że nieraz trąciły poezyą. Drugi, też bardzo wykształcony i rozmiłowany w zawodzie wojskowym, dostąpił świeżo głośnego między nami imienia szczególnem zaufaniem, jakie sobie zdobył u feldmarszałka Dybicza, podczas dwuletniej przeciw Turkom wojny, kiedy to w. xiążę, odmówiwszy udziału wojska naszego w tej wojnie, zezwolił tylko na odkomenderowanie do sztabów armii moskiewskiej trzydziestu oficerów sztabu kwatermistrzostwa i inżynierów.

Usposobienie Chrzanowskiego było wręcz przeciwne wrodzonym skłonnościom Prądzyńskiego. Ten zbytnią grzeszył ufnością; tamten wszystko czarno widział, jakby

sceptyk, nie wierzący ani ludziom, ani przyjaznemu losowi. Niemniej przecie i on podawał z początku śmiałe zaczepne plany. Zachowanie się jego w czasie powstania podzielić można na dwie epoki: póki chciał mu służyć wszelkiemi siłami, nie obliczając skutków i kiedy, zwątpiwszy o powodzeniu, myślał tylko jak doprowadzić do porozumienia z nieprzyjacielem. Pierwsza epoka była jednakże również przeplatana chwilami zniechęcenia z których można było wnioskować, że ostatecznie to usposobienie weźmie w nim górę. Chrzanowski jest człowiekiem suchego i zimnego serca, patryotyzm mało go porusza, ale poczuwa się do zdolności i wszelkie podobieństwo powodzenia porywa go chwilowo, jakby wbrew własnej woli. Czuł, że musi się odznaczyć w wojsku tak ubogim w ludzi wojskowo wykształconych. To też miłość własna, która jest dla niego bardzo silnym bodźcem, skusiła go kilkakrotnie do wybitnego wystąpienia w czasie powstania, ale ledwo zaszło jakie niepowodzenie, jaka przeciwność, jego zimny rozum i surowy sąd brały górę i natychmiast widać było, że gotów wszystko porzucić, byle otrzymać znośne warunki dla kraju i wojska, do którego należał.

Prądzyński był szczególniej ceniony przez stronnictwo jakobinów. Ci, starając się o poparcie wszystkich ludzi zdolnych, jeszcze przed wybuchem powstania usiłowali zjednać go sobie i schlebiali mu w tym celu. Prądzyński gorąco kraj kochał, za czasów w. xięcia przebył srogie prześladowanie i był więziony. Ożeniwszy się i bardzo do żony przywiązany, wcale nie był skory do tajnych spisków, któreby go na nowe więzienie narazić mogły, a jednak nie wymawiał się od pisania i pracy, aby przygotować naród do powstania, które prędzej czy później, według wszystkich, było nieuniknione. I tak, pracował nad dziełem o fortyfikacyach polowych celem rozpowszechnienia w kraju pojęcia o zbrojeniu wsi, miast i posterunków odrębnych, w razie pospolitego ruszenia. Ta praca, pozornie czysto

naukowa, zbliżyła go do kilku głównych przewódców między jakobinami. W chwili wybuchu 29 listopada, Prądzyński był, jeśli się nie mylę, przy kanale Augustowskim. Od pierwszego dnia dyktatury, zaledwie do Warszawy powrócił, jakobini zaczęli go pod niebiosa wynosić. Obraziło to Chłopickiego, wydalił go więc do Zamościa, pod rozkazy jen. Sierawskiego, a to prześladowanie dodało Prądzyńskiemu jeszcze więcej uroku w oczach klubu.

W tym samym czasie dyktator odkomenderował do Modlina podpułkownika Chrzanowskiego, nie dlatego, żeby mu zarzucał stosunki z jakobinami, ale dlatego, że mu się sprzykrzyło coraz powtarzające się naleganie Chrzanowskiego, żeby wydał rozporządzenia, potrzebne do obrony kraju i organizacyi wojska. Sposób kłótliwy, w jaki Chrzanowski zwykł projekta swoje przedstawiać, rozdrażnienie jakiego doznawał, nie mogąc otrzymać tego, na co nalegał, a nareszcie pewne uznanie, które go otaczało, sprawiły, że Chłopicki wyprawił go z Warszawy, poprostu, by się go pozbyć.

Tymczasem w stolicy rósł niepokój, krzewiły się tajne działania; dzienniki z niemałą swobodą głosiły zwątpienie o dyktatorze, którego czynności nie zaspakajały powszechnego oczekiwania. Lelewel uchodził za głównego podżegacza nieufności i ukrytych knowań, chociaż sam był członkiem delegacyi i sprawował urząd ministra oświecenia. Do najczynniejszych pod nim przewódców należeli: Xawery Bronikowski, Franciszek Grzymała, J. B. Ostrowski, sekretarz jeneralny komisyi sprawiedliwości i Maurycy Mochnacki. O blizkiem podobieństwie jakiegoś zamachu doniósł dyktatorowi podpułkownik artyleryi Dobrzański, człowiek, o ile wiem, prawy, w wojsku używający dobrego imienia.

Dnia 11 stycznia przypadała na mnie kolej służby adjutanckiej przy dyktatorze. Ledwom się jemu zameldował, rozpoczął rozmowę o stanie powszechnej opinii

i opowiedział o Dobrzańskim, dodając, że go kazał aresztować, a wraz z nim panów Lelewela, Bronikowskiego i Ostrowskiego. Powtarzał zwykłe mu narzekanie na daremne a nieszczęsne porwanie się do broni i na szał powszechny. Najbardziej ubolewał nad x. Adamem, że taki młody i pełen urojeń. Mówił o niepodobieństwie dla nas pokonania Moskwy, o obojętności Europy, zwłaszcza Francyi, a że dzienniki zagraniczne pilnie przeglądał, zdziwił się, gdym dowodził, że nie należy ich czytać i niczego oczekiwać od Zachodu, póki sami nie damy dowodów, żeśmy silni i rządni: silni jednością i karnością. Przedstawiałem, że jeżeli dyktator ma dowody istniejącego spisku i zamierzonego zamachu, to może wielką z nich osiągnąć korzyść, okazaniem silnej woli, czujności, władzy, i to w sposób, wzbudzający ufność w całym kraju; Europę zaś i Moskwę zmusi do uznania, że godzien jest tej ufności.

Po krótkiej rozmowie, dyktator rozkazał, żebym się dał innemu adjutantowi zluzować, a x. Adama zawiadomił, że postanawia położyć koniec rozstrojowi władzy, że widzi konieczność powściągnienia wolności druku i publicznych rozpraw o rzeczy krajowej, że kilkunastu spiskujących aresztuje. Polecił mi prosić xięcia o przygotowanie odezwy, którąby nowy porządek rzeczy ogłosił. Miałem, prócz tego, wybrać dwunastu oficerów, za którychbym ręczył, że odstawią wydane im przez władzę osoby do fortec lub więzień, według rozkazów.

Niemałe było zdziwienie x. Adama, kiedy mu zdałem sprawę z poleceń dyktatora, bo nas jen. Chłopicki nie przyzwyczaił do tak śmiałych kroków, wszakże pochwalił je; odezwę obiecał przygotować. Udałem się następnie do Stanisława Rzewuskiego, żeby zasięgnąć jego rady, mianowicie w doborze dwunastu oficerów, którymby zaufać można. Zadziwił mnie i zaniepokoił Rzewuski brakiem wiary, by do wykonania tego zamiaru przyszło. «Skłoniłeś», mówił, «człowieka słabego do śmiałego czynu.

Daremny twój zachód, potknie się na pierwszym kroku. Cztery godziny minęły odkąd rozkaz dany; nim go wykonasz, idź i przekonaj się, co o tej porze dyktator myśli.»

U dyktatora, dowiedziałem się, że wszystko inny wzięło obrót. Pan Bonawentura Niemojowski, minister sprawiedliwości, przedstawił mu, że te aresztowania były bezprawne. Chłopicki odprawił ministra z gniewem, ale ostatecznie kazał wszystkich na wolność wypuścić[1].»

Noc z jedenastego na dwunasty spędził Zamoyski na pisaniu memoryału dla Chłopickiego, nie wiedząc jeszcze, zdaje się, o wypuszczeniu na wolność Lelewela. Z przechowanego brulionu widać, że memoryał był gotów o ósmej rano. Wyraża w nim Zamoyski, że aresztowanie Lelewela, Bronikowskiego i J. B. Ostrowskiego było może przedwczesne i że czekając trochę dłużej, niezawodnie zebrałoby się więcej dowodów szkodliwej działalności obwinionych. Mocno jednak powstaje przeciw radzie, danej Chłopickiemu, przekazania obwinionych zwykłym sądom. «Taką radę,» pisze, «mógł dać dyktatorowi tylko człowiek, zbyt przejęty uszanowaniem dla form prawnych, nie rozumiejący czem jest dyktatura. W istocie dyktatura jest wręcz przeciwna formom prawnym, ona je wszystkie zawiesza. Dyktator musi działać i karcić, nie na mocy dowodów prawnych, ale jedynie kierując się własnem przekonaniem. Z silnego i ogólnego przekonania o potrzebie nieograniczonej władzy powstała dyktatura, osobistem tedy przekonaniem musi się rządzić dyktator. Twierdzić, że powinien poddawać się wyrokom sądowym, — jest to działać przeciw niemu. Dyktator każe uwięzić ludzi, których wraz z całym narodem uważa za

[1] Chłopicki opowiadał później, że po aresztowaniu Lelewela i mimo wstawienia się za nim ministra, chciał go w więzieniu zatrzymać, a że go uwolnił tylko na usilne nalegania x. Adama i Niemcewicza. Któż to wytłomaczy? (W. Z.)

podżegaczy rozruchów, a wyrok sądowy, choć w niczem nie zmieni tego przekonania, gotów ich uwolnić dla braku dowodów. Byłoby to dla dyktatury ciosem śmiertelnym. Zapewne, że i po uwolnieniu obwinionych przez sądy może dyktator użyć względem nich swej władzy, ale jakże zgubne wrażenie wywołałoby podobne postępowanie w kraju naszym, tak przeciwnym despotyzmowi, w którym taki wpływ wywiera świeże wspomnienie nadużyć przeszłego rządu.

Okoliczności, które uczyniły dyktaturę niezbędną, czynią również niezbędnem użycie wyjątkowo surowych środków. Pierwszym z nich byłoby ustanowienie prawa przeciw podejrzanym. Na oskarżonych ciąży zarzut podkopywania istniejącego porządku, takie jest przekonanie dyktatora, niech według niego działa, ale sam, ale natychmiast. Gdyby złożono sąd na oskarżonych, niech dyktator będzie obecny na posiedzeniach, niech je przyspiesza i skraca. Nie chodzi tu o dokładne orzeczenie, do jakiego stopnia oskarżeni przewinili, ani o rzucenie postrachu surowym wyrokiem, chodzi jedynie o rozpoznanie niebezpieczeństwa, grożącego krajowi i o zaradzenie złemu.

Gdyby przesłuchiwania nie dowiodły podsądnym winy, zasługującej na surowszą karę, najlepiej byłoby mianować tych panów podporucznikami w czwartych batalionach[1]) i wyprawić ich w przeciągu dwudziestu czterech godzin, na miejsce przeznaczenia.

Względem pana Lelewela dwóchby można się dróg chwycić. Albo dyktator zatrzyma go w więzieniu z powodu jego nadzwyczajnej ruchliwości i wpływu, jakiby się starał przez zemstę na posłów wywierać; w takim razie powinienby w kilku słowach przedstawić izbie powody, które go do tego kroku skłoniły. Albo też dykta-

---

[1]) Tworzonych częścią z wysłużonych żołnierzy, częścią z nowozaciężnych.

tor uzna za wystarczające okazać mu swoje niezadowolenie, szanując równocześnie w jego osobie nietykalność poselską. Ta droga bezpieczną nie jest, tę jednak przedstawia korzyść, że odjęłaby panu Lelewelowi uroku, a możnaby mu zawsze usuwać z pod ręki narzędzia, w miarę jakby się niemi posługiwać usiłował.

Z przytrzymania pana Lelewela w więzieniu, wyniknęłaby dla dyktatora konieczność pozyskania, w wyższym jeszcze niż dotychczas stopniu, zaufania ogólnego; cel ten osiągnąłby, postępując w duchu bardziej narodowym i rewolucyjnym niż dotąd. Jedno oświadczenie, jedno słowo dyktatora w duchu tym wypowiedziane, wystarczy, by pociągnąć za nim sejm i naród cały.»

Nic jednak nie zdołało wyrwać dyktatora z bierności, w której się zamykał. Jakie wrażenie ta bierność w kraju sprawiała, o tem sądzić można po części z listu pani Zamoyskiej do syna, Władysława:

«5 stycznia 1831.

Uważają tu wogóle, że dyktator działa miękko i opieszale; mówią z wielkim niepokojem o stronnictwie jakobinów, które się rozwija: mówią o klubach, rząd je zakazuje a jednak cierpi; dziwią się dyktatorowi, że mając władzę potrzebną do usunięcia tego niebezpieczeństwa, najgorszego ze wszystkich, swobodę jakobinom zostawia i pozwala, żeby liczba ich codzień się zwiększała. A wszakże niebezpieczeństwo jest istotne i nagłe. I cóż się stanie, kiedy dyktator Warszawę opuści dla działań wojennych? Na co nam się przydadzą nasze zwycięstwa, chociażby nam ich Pan Bóg udzielił, jeśli we własnem łonie nosimy żądło, które nas o śmierć przyprawi? Ten niepokój zniechęca i zapał gasi. Każdy mówi: Pocóż poświęcać dzieci, spokój, majątek, życie, jeśli mamy stać się pastwą tych szaleńców? To właśnie sprawia, że ktokolwiek z Warszawy wraca, widokiem tego co się tam dzieje, jest zniechęcony. W. xiążę mówi o nas: «Trzeba ich zostawić samym sobie; najlepszy to przeciwko

nim sposób. Oni nigdy nie potrafią sobą rządzić. Oby nie wyprorokował. Napoleon też powiedział, że naród nasz nosi w sobie zarodki rozkładu. Zadajmyż im kłam. Przeczytaj ten list memu bratu, tak dobremu. Ale nie bądźmy nadto dobroduszni i kiedy na nas napadają podstępnie i nieszlachetnie, nie sadźmy się na szlachetność aż do nieroztropności. Trzeba się nad tem zastanowić, byle nie zapóźno.»

«Tymczasem delegacya sejmowa często się zbierała i coraz większą z powodu nieczynności dyktatora objawiała nieufność. Powrót podpułkownika Wyleżyńskiego z Petersburga 7 stycznia niemało obudził podejrzenia. Wiedziano tylko, że zamiast odpowiedzi do dyktatora, przywiózł nam ekspedycyę do Sobolewskiego, byłego prezesa Rady Administracyjnej.»

Powrót Wyleżyńskiego nastręczył Zamoyskiemu następujące uwagi:

«8 stycznia, 1831.

Wyleżyński wrócił. Cóż przywiózł? Dwa listy, których adres dostatecznie wykazywał, że porozumienie między cesarzem a dyktatorem jest niemożliwe. Otwierając te listy, dyktator uchybił sam sobie. Któż bowiem posłał Wyleżyńskiego? I nie jestże to osobistą obrazą dla dyktatora i dla narodu, który mu władzę powierzył, że oficer przez niego wyprawiony, odesłany został bez odpowiedzi?

A listy co zawierają? Nic stanowczego, prócz jednego słowa. Jesteśmy w nich nazwani buntownikami. Nowa obelga, a nadewszystko nowy dowód, że ani naród, ani dyktator niczego już od cesarza spodziewać się nie mogą.

Czegoż mamy oczekiwać po powrocie Jezierskiego, skoro listy, które przywiózł Wyleżyński, były odpowiedzią na najpóźniejsze wiadomości, przesłane przez dyktatora

do Petersburga, — ostatnie zatem, jakie wpłynąć mogły na postanowienia cesarza? A może Jezierski wcale nie wróci? może oznajmienie jego powrotu ma tylko służyć do trzymania nas w zawieszeniu? A jeśli wróci to nie przywiezie nic innego, jak groźby mniej więcej srogie. Sposób w jaki cesarz przemawiał do Wyleżyńskiego, odmowa odpowiedzi na list dyktatora, dają wystarczająco poznać, że cesarz żąda od nas poddania się bezwarunkowego.

Takie jest dziś stanowisko dyktatora, niezależnie od tego, co się tu dzieje. Rozpoczął rokowania, zostały odepchnięte i to w sposób obelżywy tak dla niego, jak dla narodu. A więc dziś jeszcze manifest[1]) powinien się ukazać: stanowczy, godny, spokojny. Powinien być dopełnieniem aktów, podanych przez deputacyę i zawierać historyczny rys wypadków, jak po sobie następowały:

1. Stan rozjątrzenia powszechnego za poprzednich rządów. Jego przyczyny.

2. Rewolucya z 29 listopada, rozpoczęta przez kilku młodych, ale natychmiast podjęta przez zrozpaczony naród, mimo jasnego zrozumienia u najdojrzalszych, że powstanie raz rozpoczęte, należy mosty za sobą spalić.

3. Dyktatura. Wysłanie deputacyi; nadzieje przywiązane do niej.

4. Sejm ogłasza rewolucyę jako czyn narodowy; odnawia dyktaturę.

5. Wysłanie Wyleżyńskiego.

6. Jego powrót.

---

[1]) Izby poselskie postanowiły dnia 20 grudnia wydać manifest, tłomaczący narodowi i zagranicy przyczyny i cel powstania. Wyznaczono jedną «deputacyę» do ułożenia manifestu, drugą, złożoną z członków deputacyi sejmowej, do przejrzenia go. Manifest ukazał się wbrew woli dyktatora, 5 stycznia 1831 w Kuryerze Polskim, bez żadnego wszakże podpisu. Następnie podały go inne pisma z podpisami członków obu deputacyi. Zamoyski pragnął, by Chłopicki, ze swej strony, złożył przed narodem i zagranicą głośne oświadczenie, że zaniechał wszelkich układów z carem i związał się całkowicie ze sprawą powstania

Manifest powinien również zawierać:

Wypowiedzenie wojny cesarzowi rosyjskiemu, na zasadzie jego wiarołomstwa względem nas; to wiarołomstwo zwalnia naród od wszelkich zobowiązań i pozwala nam korzystać z praw, przysługujących każdemu ludowi przemocą ujarzmionemu.

Odwołanie się do wszystkich Polaków poddanych Rosyi; kilka przykładów, żeby im uprzytomnić na czem opierają się ich prawa do powstania: lekceważenie narodowości, puszczenie w niepamięć obietnicy połączenia z Królestwem, prześladowania, ucisk pod którym jęczą od pięćdziesięciu lat.

Na zakończenie kilka słów dla zaspokojenia Prus i Austryi: mamy zatarg z naszym królem, ich poddani do niego nie należą. Czy nie możnaby zwrócić się i do Rosyan? Nie przeciw nim powstajemy, ale przeciw niesprawiedliwości ich władcy; sami byli jej świadkami i podziwiali naszą cierpliwość.»

«Dnia 13 stycznia powrócił Jan Jezierski z depeszami od Stefana Grabowskiego, ministra sekretarza stanu i od Lubeckiego do dyktatora[1]); przywiózł też protokół rozmów z carem. Powrót Jezierskiego sprawił wrażenie wręcz przeciwne temu, jakiego oczekiwano w Petersburgu.

Chłopicki, zdawszy przed delegacyą sejmową sprawę z depesz, przywiezionych przez Jezierskiego, kończył na tem, że wojny rozpoczynać niepodobna, choć poprzednio zawsze głosił, że gdyby cesarz nie przystał na podane warunki, wówczas, ale nie prędzej, walczyćby przyszło. Mówił, że siły nasze nie są dostateczne, wyliczał takowe; nowych zaciągów nie liczył, za nic je poczytywał, oświadczył zaś, że w 30.000 niepodobna nic zrobić; słowem tak

[1]) Depesze te wyrażały żądanie cesarza, aby władzę napowrót objęła Rada Administracyjna, a wojsko zebrało się w Płocku i tam czekało dalszych rozkazów.

się rozgadał przy ogólnem głębokiem milczeniu, iż nareszcie zaczął wnosić, że delegacya, a przynajmniej część jej członków, zgadza się na jego zdanie. Przeto, zwracając się w szczególności do x. Czartoryskiego, zapytał, co on mniema; na to xiążę bez wahania odpowiedział, że mniema, iż dopełniona miara rokowań i wszystkiego, co na tej drodze osiągnąć się mogło; że przeto już tylko o wojnie, o obronie najzaciętszej myśleć przychodzi; wyliczył siły już zebrane i zbierające się.

Chłopicki, widząc bezskuteczność swej wymowy, uderza w stół ze złością i mówi: «W 30.000 muszę być pobity, a dacie mi więcej, to mi tylko plątać się będą, pobitym będę tem łatwiej i jeszcze wołać będą, żem zdradził.» Przerwał mu Michał Radziwiłł: «A jak się Jenerał bić nie zechcesz, jakże mniemasz, iż twój czyn osądzą?»

Chłopicki zaraz potem wyszedł, dymisyę swą delegacyi posłał, a zarazem zwołał sejm, by złożyć w jego ręce najwyższą władzę, której nie chciał dłużej piastować, by nie przewodniczyć «zgubnej», jak się wyrażał i «niepodobnej» wojnie.

Zdawałoby się, że pierwszem zadaniem sejmu, po przyjęciu dymisyi Chłopickiego, było zamianowanie nowego dyktatora, albo też obmyślenie i uchwalenie innej formy władzy. Zawód, doznany na dyktatorze i brak człowieka, dającego rękojmię, że do podobnej władzy dorósł, nastręczył myśl utworzenia rządu narodowego na miejsce rządu wojskowego, jakim być miała dyktatura. Ale tak mocne, tak powszechne było przekonanie, że zadaniem obecnej chwili była wojna, tak wszyscy mocno czuli, że przedewszystkiem o wojsku i o jego naczelniku myśleć trzeba, że sejm cały, inne względy pomijając, zajął się mianowaniem wodza, którzyby odpowiadał najżywotniejszej, jak mniemano, potrzebie. Jakoż, choć wszyscy czuli, że kształt rządu zmienić wypada, choć się zgadzali, że odtąd ma być nie dyktatura ale rząd, a przy rządzie odrębny nad wojskiem naczelnik, izby przystąpiły najprzód

do projektu ustawy o wyborze naczelnego wodza przez sejm.

Pamiętam, jak przyjechawszy do pałacu namiestnikowskiego za interesami wojskowemi, napotkałem wychodzących kilkunastu członków senatu i izby poselskiej. Na pytanie, co słychać, dowiedziałem się z największem zdziwieniem, że radzili o sposobie, w jaki sejm ma przystąpić do wyboru naczelnego wodza. Nie taiłem mego zdziwienia. Jeden i drugi zmieszał się widocznie, gdy zapytałem: «Czy podobna? A rząd jakiż mieć będziemy? A jakiż będzie stosunek wybranego przez sejm naczelnego wodza do ustanowionego następnie rządu? Czy rząd będzie mógł rozkazy dawać naczelnemu wodzowi, mianowanemu nie przez rząd, ale przez sejm? Będzież sejm mógł kontrolować czynności wodza naczelnego? A jeśli wódz okaże się niezdolny, czy można będzie prowadzić dyskusyę nad złożeniem go z urzędu i osłabiać tem samem karność wojskową? Czy wolno będzie głośno go oskarżać i wobec nieprzyjaciela wyliczać jego uchybienia?»

Mówię o tem ze Świrskim, posłem, komisarzem sejmu. Dziwi się, kiedy mu dowodzę, że wódz naczelny powinien być mianowany przez rząd i że nie może być obieralny, jak król lub dyktator. «Inaczej,» mówiłem, «będzie stanowił odrębną władzę wobec władzy, władzę niezależną, a gdyby się okazała konieczność zmienienia go, będzie do tego potrzeba nowej rewolucyi.»

W ciągu tej rozmowy tworzy się kółko na dziedzińcu; posłowie słuchają rzeczy dla siebie zupełnie nowej i zwołują kolegów. Świrski nagli mnie, abym to innym komisarzom sejmu powtórzył. Ale już było zapóźno, albo może moja młodość sprawiła, że słowa moje nie miały dostatecznej powagi.

Połączone izby przystąpiły do obrania naczelnego wodza, zasięgając zdania oficerów wszelkiego stopnia. W rzeczy samej, jakim sposobem i na jakiej podstawie posłowie mogliby wodza obierać, gdyby nie zasięgnęli

przynajmniej zdania pierwszych lepszych znajomych im wojskowych? Kandydatami byli: Krukowiecki, Szembek, Weyssenhoff, Radziwiłł, Klicki[1]). Gdyby wówczas wiadomem było, że x. Czartoryski miał w wojsku rosyjskiem stopień jenerał-lejtnanta, jegoby zapewne wodzem naczelnym obrano.

Sejm wybrał x. Michała Radziwiłła, który za Xięstwa Warszawskiego własnym kosztem pułk jazdy wystawił i jako dowódca pułku okazał rycerskie przymioty. Po upadku Napoleona, pod rządami Moskwy już więcej nie służył. W senacie Królestwa był wojewodą; w czasie sądu sejmowego zasłynął prawością i odwagą. Wyższych zdolności wojskowych nie posiadał. Wybór jego tem jednem się tłomaczy, że liczono, iż jego skromność i zacność pozwolą Chłopickiemu pod jego imieniem istotnie wojskiem dowodzić. Przyczyniła się zapewne do tego wyboru powszechna między wyższymi oficerami odraza do jen. Krukowieckiego, któremu przyznawano wyższe wojskowe wykształcenie, nabyte w służbie austryackiej, a następnie w wojnach napoleońskich, ale którego znano również z namiętnej gwałtowności, wielkiej ambicyi i złośliwej zawiści. Młodzi oficerowie także niechętni byli Krukowieckiemu, bo był przykrego z podkomendnymi obejścia. Jeden Jan Ledóchowski za nim na sesyi przemawiał. Krukowiecki, wykluczony przez komisarzy, wściekał się; mniemając, że to ja przeciw niemu posłów pobudziłem, znienawidził mnie.

Po wyborze naczelnego wodza, przystąpił sejm do narady o formie nowego rządu. I tu znowu okazał wielką polityczną niedojrzałość. Niedość, że mającemu się ustanowić rządowi wydarł jedno z głównych jego zadań, odejmując mu prawo dawania rozkazów naczelnemu wodzowi, ale zawiódłszy się na nieograniczonej władzy

[1]) Zapiski Zamoyskiego o Klickim z 1828 roku: «Wojskowy wielce poważany. X. Eugeniusz Beauharnais bardzo go sobie cenił. Człowiek szanowny, wykształcony, czyta dzieła wojskowe.»

dyktatora, popchnął kraj w przeciwną ostateczność: utworzył rząd bezwładny. Daremne były ostrzeżenia niektórych, że w tak trudnych a stanowczych okolicznościach potrzeba władzy wykonawczej silnej, sprężystej, nieskrępowanej; że sejm sam władzy takiej w żaden sposób sprawować nie może; że zdać ją musi na jednego, zatrzymując przy sobie tylko wybór naczelnika rządu, a w najgorszym razie, prawo zmienienia go, gdyby zaszła tego potrzeba. X. Adam silnie w tym duchu przemawiał. Gdy jednak nie przemogła jego rada, a następnie gdy jednomyślnie wybrany został na prezesa rządu, nie odmówił przyjęcia tego urzędu; nie umiał bowiem usług swoich odmawiać nawet tam, gdzie go wewnętrzne przekonanie ostrzegało, że daremną robi ofiarę. Co więcej, brzydził się pozorem, że sam dla siebie kusi się o większą władzę.

Za jednym błędem szły następne a tak elementarne, że im się dziwić trzeba. Sejm utworzył sobie, pod nazwą Rządu Narodowego, władzę wykonawczą tak bezwładną, że jej zaledwie miano władzy przystało. Ale mimo takiego ograniczenia, władza ta mogła przynajmniej mieć jedność, mogła się składać z osób, które, wzajemnie się dobrawszy i porozumiawszy, byłyby w możności wspólnie działać i wspólną za czyny swoje odpowiedzialność przyjmować. Sejm nie dopuścił i tego. Postanowiwszy mieć rząd z pięciu członków złożony, sam wszystkich po kolei większością głosów dobierał.

Gdyby przynajmniej, przed głosowaniem na członków rządu, sejm sam wiedział dokładnie, czego chce, gdyby większość jego członków przejęta była jakąś zasadniczą myślą, myśl ta byłaby się objawiła wyborem ludzi, mających ją w rządzie przeprowadzić. Tymczasem, jak to często w naszym kraju bywa, pod pozorem jakiejś niby braterskiej dobrotliwości, niedojrzałość polityczna jeszcze większą się okazała.

Głosowanie odbyło się niby zacnie, bo w duchu zgody i w czystym zamiarze uchronienia się od dążności

stronniczych lub osobistych. Niestety, do tego rodzaju pomyłki Polacy prawdopodobnie długo jeszcze skłonni będą. Nie rozumiemy dotychczas, że zdolność do wykonywania zadanego sobie dzieła w każdem społeczeństwie zależy od wykształcenia większości, a do tego potrzeba wśród tej większości wyrobionych zasad i dążności politycznych. Przy takiej większości i ogół przychodzi do rozwagi, czuwa, błędy wytyka; widać to naprzykład w Anglii, gdzie opozycya zdobyła sobie nazwę «królewskiej opozycyi», tak jak rząd się mieni «rządem królewskim».

Sejm nasz nie utworzył jedności w rządzie, któraby się stała siłą. Rząd naiwnie sam w sobie chciał złożyć dowód jedności, jedności zawsze kłamliwej, kiedy się opiera na wzajemnych ustępstwach, wbrew zasadom i przekonaniom. Tak więc x. Czartoryskiemu dodano Barzykowskiego, członka izby poselskiej, znanego stąd, że zwykł popierać xięcia. Następnie obrano dwóch członków niemniej zacnych i szanownych, ale znanych jeszcze w sejmie Królestwa, jako należących do partyi tak zwanej kaliskiej czyli konstytucyjnej, zwanej też liberalną, naśladującej stronnictwo francuskie, którego organem był dziennik «Le Constitutionnel». Byli to Wincenty Niemojowski i Teofil Morawski.

Nietrafność wyborów doszła do szczytu przez powołanie na piątego członka rządu Lelewela, o którym każdy wiedział, że był naczelnikiem i inspiratorem innych jeszcze politycznych zapatrywań.

Wiadomo, że w tym naszym Rządzie Narodowym, wszelkie postanowienia przeprowadzane były większością głosów i że głos prezesa ważył tyle tylko, ile głos każdego z członków. Tak więc x. Adam, mając przeciwko sobie dwóch członków, stale usposobionych do bezwzględnej opozycyi, miał za sobą jeden tylko głos pewny, Barzykowskiego; piąty bowiem członek Lelewel, nie mogąc własnego zdania przeprowadzać, głosował zawsze

za zdaniem skrajniejszem, przez dwóch członków kaliskich wnoszonem. Niemniej cała niemal Polska o Rządzie Narodowym wiedziała tyle tylko, że jego prezesem był x. Adam i jemu przypisywała wszystkie czyny rządu, xięcia jednego robiąc odpowiedzialnym za niepowodzenie sprawy, tak wojennej jak dyplomatycznej. Mniemam, że ta odpowiedzialność winna była obciążać nie rząd, ale sejm, a w rządzie nie xięcia, ale dwóch członków kaliskich, bo dzięki ustawie sejmowej i stałemu poparciu Lelewela, oni to w rządzie mieli głos stanowczy. Dobrano więc pięciu członków, którzy mieli wyobrażać trzy opinie sprzeczne; pochlebiano sobie, że tym sposobem wszystkie stronnictwa będą zaspokojone, każde mając w rządzie swego obrońcę i przedstawiciela. I to miało służyć za dowód zgody i jedności. Niestety, jedność to była tylko serc, chęć dobra, ale jakież niedoświadczenie polityczne [1]).

X. Adam widział to i oceniał, pokonać nie zdołał. Oprzeć się, udziału odmówić nie umiał, chociaż sam mawiał o rządzie, którego przewodnictwo przyjął: «Jesteśmy tylko komisyą do zaopatrywania wojska». Wyznaję, że nie taiłem przed xięciem żalu, że się do takiej władzy dał zaprządz. Przekładałem gorąco, że mu w takim składzie rządu niepodobna będzie własnego zdania przeprowadzić; że jego praca będzie nie tylko bezowocna, ale z oczywistą dla sprawy szkodą; że kraj właśnie w nim pokłada największe zaufanie i sejm to stwierdził, jednogłośnie obierając go na prezesa, a zaufanie narodu będzie

[1]) W ośmnaście lat później x. Ludwik Napoleon prawie w tych samych słowach piętnował pierwsze ministeryum, które, jako prezydent rzeczypospolitej francuskiej, w grudniu 1848 r. do władzy powołał: «Dopuściłem do sprawowania rządów kraju ludzi najrozmaitszych zapatrywań, ale zamiast połączenia odcieni, doszedłem do ubezwładnienia sił. Dla utwierdzenia rzeczypospolitej potrzeba ludzi, rozumiejących jak niezbędnym jest kierunek jednolity, silny, któryby nie nadwerężał powagi władzy jakąkolwiek chwiejnością, któryby troszczył się zarówno o czyny jak o słowa.» (Orędzie do izb z 31 października 1849)

zawiedzione, gdy xiążę, jako prezes rządu, podpisywać będzie postanowienia, wręcz przeciwne jego przekonaniom. Przekładałem, że xiążę stokroć lepiej odpowie oczekiwaniom narodu, jeżeli głośno wypowie, dlaczego w takich warunkach nie może przyjąć władzy; jeżeli jasno wyłoży, jak pojmuje chwilową potrzebę, jak w niej służyć gotów z nieograniczonem poświęceniem, ale że nie może stać się ślepem narzędziem cudzych przekonań. Czułem dobrze, że bez x. Adama żadna cywilna władza nie dałaby się wówczas nad krajem utworzyć. Byłem przekonany, że mógł wymódz na sejmie inne dla władzy wykonawczej warunki, ale na to potrzeba było ze strony x. Adama inicyatywy, która nie leżała w jego charakterze, ani się w nim rozwinąć mogła, bo na dnie duszy był przekonany i wszystko go ostrzegało, że jakichkolwiek byśmy się chwycili środków, nie otrzymamy ostatecznego zwycięstwa.

Inaczej byłby może x. Adam postąpił, gdyby mógł powiedzieć: «Słuchajcie mnie, a ja was doprowadzę». Przeciwnie, na nalegania moje xiążę odpowiadał: «Wszyscy mi mówią, że na mnie kraj cały ma oczy zwrócone, że i za granicą cały urok naszej sprawy z moim udziałem związany, a cóż będzie, jeżeli mnie sejm na uboczu zostawi».

Tak więc 31 stycznia przyjął x. Adam nie władzę, której mu nie dano, ale odpowiedzialność za czynności, których nie mógł ani obliczyć, ani przewidzieć[1]).

Pamiętam, że kanonik Łętowski, późniejszy biskup[2]), dawny kolega i przyjaciel Skrzyneckiego, kiedy w kwietniu

---

[1]) W nowym rządzie sprawy zewnętrzne objął x. Czartoryski, wewnętrzne Wincenty Niemojowski, wojskowe Barzykowski, skarbowe Morawski, oświatę Lelewel. Ministrami zostali: spraw zewnętrznych, Gustaw Małachowski; wewnętrznych, Bonawentura Niemojowski; wojny, Izydor Krasiński; skarbu, Aloizy Biernacki; sprawiedliwości, Wiktor Rembieliński.

[2]) Ksiądz Ludwik Łętowski (1786—1868), administrator biskupstwa krakowskiego.

przybył z Krakowa, przepędziwszy parę tygodni w Warszawie, mówił mi ze smutnem przeczuciem, chociaż to było w chwili naszych zwycięstw: «X. Adam to męczennik; nie widzę w nim nadziei, widzę tylko najwyższy stopień ofiary».

Jednem z pierwszych postanowień Rządu Narodowego było określenie zakresu władzy wodza naczelnego, na mocy uchwały sejmowej. Wódz naczelny, policzony między członków rządu, miał w nim mieć głos stanowczy, o ileby mógł być obecnym na posiedzeniach. We wszystkiem, co dotyczyło wojska, mianowicie ruchów wojennych, był samowładny; rząd ani mu rozkazywać, ani na prowadzenie wojny wpływać nie miał prawa. On miał zawierać układy o zawieszenie broni, mianować oficerów na stopnie wyższe, rozdawać krzyże wojskowe klas niższych; jedynie tylko nominacya jenerałów potrzebowała potwierdzenia rządu. W stosunku do potrzeby wojennej głównem zadaniem rządu było dostarczanie wojsku amunicyi, broni i żywności.

Taki podział władzy był zgubny; cierpiała na nim powaga rządu, tak w kraju jak za granicą. Jakimże sposobem rząd mógł wchodzić w układy z niby przychylnemi nam rządami, kiedy o zamiarach wojennych nic nie mógł stanowczego powiedzieć? Cóż dopiero, kiedy z czasem wódz naczelny, Skrzynecki, po zwycięstwach sam na własną rękę począł do obcych rządów pisywać.

Nie tylko jednak rząd, ale i wódz naczelny cierpiał na swem samowładztwie. Upadał pod ciężarem odpowiedzialności. Niezależny od rządu, nie poddawał postanowień swoich o działaniach wojennych pod czyjąkolwiek rozwagę. Gdy nie sprostał zadaniu, czuł swą niemoc, ale ją przypisywał okolicznościom. W powodzeniu wyniosły, w niepewności drażliwy, stąd długa bezczynność po zwycięstwach, stąd marzenie o interwencyi europejskiej, stąd na wszelkie nalegania, by cośkolwiek przedsięwziął, stała odpowiedź Skrzyneckiego: «Chociażbym jeszcze zwyciężył, ubędzie mi starego żołnierza, a gdybym wojsko,

jakie dziś mamy stracił, skądżebym wziął inne?» Dość było takich względów, żeby go odwieść od wszelkiego śmiałego kroku, a przecież taki tylko mógł Polskę zbawić. Żeby wódz mógł śmiało działać, nie trzeba, by sam jeden stanowił o losach kraju; powinien być wykonawcą postanowień wyższej nad sobą, odpowiedzialnej władzy. Prawda, że zdarzali się niekiedy mężowie zdolni dźwigać całe brzemię odpowiedzialności i być wykonawcami własnych genialnych pomysłów. Ale oni stanowią rzadki wyjątek. Wodzowi dość odpowiedzialności za prowadzenie wojska i pozyskanie mu zwycięstwa. Obciążać go w dodatku wyłączną odpowiedzialnością za losy kraju jest to obarczać go ciężarem o tyle więcej gnębiącym, o ile on bardziej jest sumienny i o sprawę publiczną dbały.

W każdym razie nie sejm, nie wybory wykryć potrafią męża o tak wielkich zdolnościach, gdyby je kto posiadał, ani ich dać potrafią temu, kogo na takie stanowisko wybiorą.

O ogólnym celu i planie wojny stanowić powinien nie wódz, ale rząd w porozumieniu z wodzem. Wodzowi wyłącznie powierzać trzeba wykonanie. Rada w rządzie zbawienna, wódz wykonywa rozkazy bez rady, zamiary swe pokrywa tajemnicą, zwierza się tylko o tyle i tylko tym, którym część dzieła wykonać nakazuje. Jeżeli kiedy się zdarzy, że jednemu mężowi służy władza i zdolność stanowienia o wojnie i dowodzenia wojskiem w polu, to mąż taki musi być naczelnikiem nie tylko wojska, ale i rządu. Jeżeli jest tylko wodzem, natenczas rząd powinien sam odpowiadać za ogólny kierunek wojny. To pewna, że ani Chłopicki, ani Radziwiłł, ani Skrzynecki nie posiadali zdolności ponad te, których potrzeba wodzowi pod rozkazami rządu.

Do ważnych uchwał sejmu należy ogłoszenie, że naród trwa przy formie rządu monarchiczno-konstytucyjnej, że, skoro nastąpi możność, naród na sejmie obierze króla. Przedtem zaś odbyła się sławna sesya, na której

Roman Sołtyk i Jan Ledóchowski wyrzekli słowo: «Już niema Mikołaja!»

Projekt detronizacyi wniesiony był dnia poprzedniego przez Romana Sołtyka i odesłany do komisyi, w której prezydował wojewoda Miączyński. Ten porozumiał się z x. Adamem, z marszałkiem sejmowym, Władysławem Ostrowskim, z senatorami i niektórymi posłami, a uznając szaleństwo tego projektu, wszyscy postanowili nie wnosić go na posiedzenie sejmu, puścić go w niepamięć, izbę zająć innemi sprawami. Tymczasem Towarzystwo Patryotyczne skrycie działało, ażeby ten zgubny i niedorzeczny zamiar przeprowadzić. Dwie damy, pani M. P.[1]) i druga, której nazwiska nie wiem, tyle intrygowały, że nazajutrz, na sesyi 25 stycznia, marszałek sejmu wbrew temu, co było umówione, zaproponował przeprowadzenie wniosku Sołtyka to jest usunięcie cesarza Mikołaja od tronu. Brat marszałka, naczelnik straży bezpieczeństwa czyli gwardyi narodowej, Antoni Ostrowski, przerwał mu mowę, popierając z uniesieniem ten wniosek. Cała partya wykrzyknęła: «Niema Mikołaja!» z takim hałasem, że nie dali nikomu się odezwać.

Starano się marszałka upamiętać, otrzymać, żeby przynajmniej projekt przeszedł przez komisyę, jak było postanowione. Ale już niczego słuchać nie chciał, mówił, że jest za młody na to, aby rozumieć te przedstawienia: «Stało się, cofać się nie można!» Przeciwnicy wniosku nieprzygotowani, znienacka zaskoczeni, nic uczynić nie potrafili i akt detronizacyi się dokonał.

Rzecz dziwna, chociaż wszyscy do otwartego boju z Moskwą się gotowali, słowa: «Niema Mikołaja!» od izby poselskiej, a bardziej jeszcze od arbitrów z oklaskiem przyjęte, poza salą sejmową wydały się fanfaronadą, daremnem wyzywaniem cara do zaciętej i bezwzględnej walki. Trudno powiedzieć, co istotnie było powodem do

[1]) Michałowa Potocka, siostra marszałka Ostrowskiego.

niezadowolenia, jakie te słowa wywołały. Trzeba przypuszczać, że zdrowy zmysł pokazywał, iż gorączkowe słowa, w tak stanowczej chwili wyrzeczone, dowodzą braku miary, rozwagi, a tem samem siły.

W istocie, na czem polegały nasze widoki powodzenia? Zyskiwać na czasie, przeciągać wojnę, a swoją drogą nieprzyjacielowi ciosy zadawać, póki nas nareszcie Europa nie uzna. Ale czy rządy Europy mogły nas uznać po ogłoszeniu detronizacyi, skoro akt ten postawił nas poza prawem publicznem Europy i w sprzeczności z niem? Pozostawało tedy zwalczyć Rosyę i o własnych tylko siłach stawiać jej warunki.

Zwolennicy detronizacyi mogą wprawdzie twierdzić z niejaką słusznością, że już sam fakt wybuchu 29 listopada uniemożebnił wszelkie porozumienie z takim człowiekiem, jakim był Mikołaj. Rozumiem doniosłość tego zarzutu, ale dla mnie jest on jednym dowodem więcej, że powinniśmy byli z największem umiarkowaniem wygłaszać nasze żądania. Im bardziej nieunikniona była wojna, tem bardziej trzeba było po swojej stronie postawić nie tylko sprawiedliwość, ale i roztropność. My Polacy zawsze mamy prawo występować przeciwko zaborcom naszym w imię sprawiedliwości, lecz ponadto możemy to czynić teraz w imię ostatnich traktatów, domagając się wykonywania ich w takiem znaczeniu, jakie one miały w chwili, gdy je podpisywano. Mądry dowódca, zanim bitwę wyda, przedewszystkiem zabezpiecza sobie odwrót na przypadek przegranej, a dopiero potem oblicza korzyści, jakie mu przynieść może zwycięstwo. Zresztą można czasem, nawet z korzyścią dla sprawy, postawić się z częścią sił w położeniu bez wyjścia, dać się, że tak powiem, przyprzeć do muru, ale całą sprawę wystawiać na takie niebezpieczeństwo to się nie godzi. My zaś w chwili wybuchu wojny jednym zamachem zniszczyliśmy to wszystko, co w razie porażki mogło nam służyć za deskę zbawienia. Jak Alexander macedoński własnąśmy flotę spalili. Lecz Ale-

xander był w Persyi i narażał tylko wojsko, my samo istnienie narodu podwójnieśmy narazili.

Mówiono: półśrodkami narodu nie pociągniemy, raczej nieufność wzbudzimy przeciwko całej sprawie i sobie; podnieść naród można tylko okazując, że się jest pewnym zwycięstwa; dowodem Napoleon i jego odezwy.

Co do mnie, od początku byłem zdania, że skoro już powstanie wybuchło, należy wszystko do wojny przygotowywać, uzbrajać się, rozwijać jak największą energię w narodzie, ale mimo to ile możności zwlekać z ogłoszeniem ostatecznego przewrotu. Za punkt wyjścia do przygotowywującej się między narodem a monarchą wojny trzeba było wziąć prawo takie, jakie istniało między nim a nami i prawo postawić po swojej stronie. Nie ograniczałoby to naszego istotnego celu, bo prowincye zarówno mogły być powołane, a może nawet chętniej łączyłyby się z powstaniem, gdyby im jego cel okazał się prawdopodobniejszy do osiągnięcia. Wreszcie mówiąc o zupełnej niepodległości Polski w granicach z 1772 r. nietylko cara na śmierć obrażaliśmy; było to jednocześnie wystąpieniem przeciwko Austryi i Prusom. Po takiem oświadczeniu, chcieć utrzymać w spokojności Polaków poddanych tych państw, było niedorzecznością, dającą się tłomaczyć jedynie brakiem sił odpowiednich.

Przeciwnie, traktat wiedeński dostarczał nam dostatecznego i sprawiedliwego powodu do wojny z Moskwą, a zarazem stawiał cel wyraźny i zadawalniający, bo czegoż więcej mogliśmy się na razie domagać, jak przyłączenia zabranych prowincyi i niektórych zmian w konstytucyi.

Przez ogłoszenie detronizacyi rzuciliśmy ostatecznie rękawicę Moskwie. Wieść ta rozeszła się po kraju, jakby odgłos dzwonu pogrzebowego i zarazem jako hasło do boju, do którego rwały się wszystkie serca, bo, chociaż w takich warunkach i przy tak nierównych siłach, trudno było wierzyć w możliwość zwycięstwa, jednak miłość ojczyzny i chęć służenia jej kosztem własnej krwi i własnego

życia, brały u ogółu, a przynajmniej u ogółu wyborowego, górę nad wszelką rachubą i wbrew nadziei, nadzieję tworzyły.»

Władysław Zamoyski do matki:

«25 stycznia 1831.

Krótko i spiesznie piszę. Smutno, żałośnie wspomnieć, na jakie okropne zmartwienia Matka jest narażona, ale krzepi mnie widok jej odwagi. Jakikolwiek los nas czeka, liczne i ważne obowiązki Matka wypełniać będzie jeszcze, a dotkliwe nawet straty nie powinny jej życia zatruwać, boć, gdyby przyszło zginąć, z jakąż piękną chwałą zginiemy. Życie tak niepewne, traci się je często dla powodów tak błahych, tak nikczemnych, czasami w sposób tak przykry i bolesny, że szczęściem jest stracić je w walce chwalebnej i pięknej. Mówię to, bo, jak nie umiem unikać niebezpieczeństwa, nie umiem też unikać widoku boleści. Wolę, zmierzywszy cały jej rozmiar, zmierzyć zarazem i jej granice. Ale to wszystko mówię nie z przeczucia; przeczucie przeciwnie najlepszą mi daje nadzieję i jemu trzeba wierzyć.

O Warszawie cóż powiem? Wiele rzeczy nie tak idzie, jakby się chciało, przecież inne lepiej iść zaczynają. Do nas należy teraz czuwać, wzmacniać się, bronić, siły budzić.

Detronizacya zdobyta jakby szturmem, ale jednomyślnie i jednogłośnie. Taka nasza odpowiedź na odezwy jen. Dybicza [1]). Jest w niej może trochę śmieszności, ale śmieszność ustaje, kiedy kto umie dać się zabijać, jak my będziemy umieli.

---

[1]) Dybicz wydał odezwę do Polaków z oznajmieniem, że cesarz powierzył mu dowództwo nad wojskiem, przeznaczonem do położenia końca opłakanemu nierządowi, jaki niszczył Królestwo. Groził w niej «podżegaczom» karą śmierci lub wygnania, a schwytanym z bronią w ręku surowością praw i sądem wojennym. Odezwa ta czytana była na posiedzeniu sejmowem z 25 stycznia.

Chcą mi podobno powierzyć obowiązki o wiele wyższe nad mój stopień. Trochę mnie to niepokoi; ale taki już duch wojska, że chcą ludzi młodych. Jeżeli gorliwość i rozsądek na tem stanowisku wystarczają, będę się usilnie starał dać ich dowody. Zdzisław podobno mianowany porucznikiem; zabawnie byłoby mieć go za starszego. Ciotce bardzo wdzięczni jesteśmy za dar 4.500 złp. Ściskam ją serdecznie i drogą, drogą Matkę również. Słów mi braknie, by Matce przywiązanie moje wyrazić.»

Władysław Zamoyski do brata, Jana:

«Warszawa, 25 stycznia 1831.

Korzystam ze sposobności, by ci o sobie donieść; list ten ma być oddany w Berlinie, w jakiem poselstwie pewnem. Opisywać ci szczegółowo, co się u nas dzieje, niepodobna; poprzestań na ogólnych tłomaczeniach. Chciałbym ci posłać trochę gazet, ale tak mi się z tem nie udaje, że poprzestanę na liście, który łatwiej cię dojdzie. Wreszcie, wiesz o wszystkiem przez gazety niemieckie. Jakobinizm dostał kilka razy po nosie, dzisiaj jest w stanie oczekiwania. Przekonali się, że naród jest niedojrzały do tych pięknych pomysłów, więc widzą potrzebę poczekania i oszczędzania osób, z któremi jeszcze zerwać nie mają siły; jednakże miasto i kraj nawet niepokoją, chociaż liczba ich nader mała, ale przy zupełnej wolności druku imponują. Nikt policzyć ich nie może z daleka, rozsądni zaś i poczciwi, jak to bywa, działaniu bardziej poświęceni, na pisanie mniej czasu znajdują.

Zapał w kraju przechodzi wszystko, co kiedykolwiek było. Mamy dziś do 60.000 regularnego wojska, a codzień powiększa się. Kosyniery liczne, a duchem niepojętym ożywione. Jakobini, którzy całą nadzieję opierali na wpajaniu nieufności ku możniejszym, ustali przed niezmiernemi ofiarami, które każdy robi, przed przykładem osobistym, który każdy daje z siebie. Bezinteresowność przytem rzadka.

Co też w twojej duszy się dzieje? o tem aż smutno mi wspomnieć... Piszę okrutnie nagle, nie mogę też nie pomyśleć, że może już ostatni raz do ciebie piszę. Jeżeli zginę, pamiętaj o mnie, ciebie ogólnym spadkobiercą moich gratów i szpargałów robię. Pamiętajmy o sobie wzajemnie. Kochaliśmy się, jak się rzadko kochają na ziemi, twój pałasz mi towarzyszy do boju, z radością nań patrzę, bo mi ciebie przypomina. Czemu tu ciebie z nami niema, ciebie mi tu braknie do szczęścia, bo choć smutny czasem, szczęściem jednakże nazwę stan duszy mojej. Miło jest nieskończenie uczuć swoich najżywszych nie ukrywać, miło oddychać poświęceniem, które wszystkie chwile nasze zapełnia, miło znaleźć się raz w życiu na prostem i jawnem stanowisku i mniej będzie żal umrzeć, żem dzień jeden piękny przeżył. Nie zataję ci jednak smutnych nieraz przeczuć, nie tak śmierci, jak życia trudnego; jeżeli ojczyzna upadnie, co będzie z tymi co nie zginą? Przyszłość okropna. Ściskam cię tak, jakem cię kochał. Ty nas przeżyć musisz biedaku.

Posyłam ci weksel na 1000 dukatów, nie spodziewaj się prędko więcej, bo tu nam dyablo chudo.»

W innym liście do brata, wracając do sprawy dla niego tak bolesnej, pobytu ojca w Petersburgu, Zamoyski pisał: «...Celem naszym wykazać ojca uczucia istotne. Dokażemy tego, dając liczne dowody uszanowania i przywiązania do niego, wiary w jego charakter, a zarazem najzaciętszego, najzupełniejszego poświęcenia dla sprawy kraju. Nie mogąc przewidzieć stopnia surowości, która ojca czeka ze strony opinii, widzę podwójną potrzebę gromadzenia zapasu zasług i dowodów poświęcenia. Nie będę po szalonemu biegł w niebezpieczeństwo, to przyrzec mogę, ale zanim się wojna skończy, musi mnie wojsko poznać, więcej nie żądam. Czekamy niecierpliwie na wkroczenie nieprzyjaciela. O sile naszej nic ci nie powiem, bo nie uwierzonoby, ale więcej, niż potrojona. Jak nieprzyjaciel da nam trochę czasu, to umocniwszy się, sami go szukać będziemy na Litwie.»

Kreśląc te słowa pełne otuchy, liczył się jednak Zamoyski równocześnie i z możliwością niepowodzenia. W piśmie z 25 stycznia, przeznaczonem prawdopodobnie dla x. Adama, wyrażał zdanie, że należy rządowi i przedstawicielom narodu zawczasu obmyślać środki, «żeby najzupełniejsza klęska na polu bitwy, a nawet utrata Warszawy, nie stały się hasłem do zakończenia powstania». Najwłaściwsze schronienie dla wojska polskiego, gdyby zostało rozbitem, upatrywał w okolicach Kielec: «Stanowisko to pozwoli wojsku korzystać z zasobów województw krakowskiego, kaliskiego, sandomierskiego, a dobrze zawczasu umocnione i przygotowane może stać się dla Polaków drugiem Missolunghi.» Pismo swe kończył szczegółowem wyliczeniem środków obronnych, jakieby przygotować należało w województwie krakowskiem i ćwiczeń, przez które wojsko przysposobićby można zawczasu do wojny partyzanckiej.

«Skorom się dowiedział, że Chłopicki złożył dyktaturę, pospieszyłem do sztabu głównego z prośbą, żeby mnie przeniesiono do pułku. Byłem już bardzo zmęczony adjutanctwem, przy dwóch następujących po sobie wodzach; nie chciałem, ażeby mnie trzeci w sztabie zastał. Ponieważ stopnie w gwardyi liczyły się, jakby o jeden stopień wyższe niż w linii, odebrałem zawiadomienie, żem do pułku 5 ułanów przeniesiony został jako porucznik. Jednocześnie do tego pułku przeznaczony został, na własne żądanie, brat mój młodszy Zdzisław, niedawno ze szkoły aplikacyjnej awansowany na podporucznika do saperów[1]). Brat mój najstarszy, Konstanty, ściśle pełnił obowiązki żołnierskie, chociaż go w pułku nazywano «fundatorem». Należał do plutonu młodszego brata Zdzisława.

[1]) 1 lutego 1831 r. mianowany został porucznikiem.

Raźnie szło kupno koni do pułku, zaciąg ludzi, umundurowanie, uzbrojenie. W kilku dniach stanęły dwa szwadrony. Majorem mianowany Drzewiecki, były kapitan 1 pułku ułanów, niegdyś mój kolega i dobry przyjaciel w pierwszym szwadronie. Służbę zaczął w ułanach gwardyi Napoleona I.

Pociechą mi było widzieć dobrą wolę wszystkich, dobór oficerów i wysłużonych żołnierzy, w znacznej części mających po dziesięć lat służby, którym do tej jednej nowej formacyi wolno się było zaciągać. Zaciągali się i młodzi ludzie z lepszem wychowaniem[1]). Wielu ich było z Galicyi, bo tak zwanej legii nadwiślańskiej, z Galicyan złożonej, nie rozpoczęto jeszcze formować; tylko szwadrony poznańskie już istniały[2]). Pierwszy zawiązek 5 pułku zajmował koszary po konnej gwardyi moskiewskiej w Łazienkach.»

Ustępy z listów Zamoyskiego, współcześnie pisanych, dowodzą, że praca około pułku, jakkolwiek sprawiała «pociechę», nie była jednak wolną od kłopotów i ciężkich wymagała ofiar. I tak pisze do matki:

---

[1]) «Do Dyktatora.

Zapał patryotyczny, który nami włada i który dawno w naszych tlał sercach, powoduje nami, iż chcąc szczególnie odpowiedzieć powinności każdego dobrego Polaka, ośmielamy się upraszać Dyktatora o udzielenie nam wolności walczenia w jednej masie, w tej samej masie, w której nie baliśmy się upomnieć o nasze prawa i swobody w pierwszym dniu wspólnego powstania. Racz więc Dyktatorze umieścić nas w jednym pułku, bez względu na stopnie, bo teraz, gdzie wszystko poświęca się dla drogiej Ojczyzny, tam nie ma na celu własnych widoków.

Pułk Zamoyskiego jest naszym wyborem; lecz, jeżeli to nie zgadza się z wolą Rządu, składamy zupełnie nasze losy w Jego ręce.

Szkoła Zimowa Artyleryi.»

[2]) Do pierwszych ochotników, którzy z Wielkopolski przybyli, należał Tytus Działyński i mąż jego siostry Klaudyny, Bernard Potocki. «Bernard», pisał Działyński «nikogo na granicy nie zastał. W Pyzdrach wszyscy z białą kokardą, szpada przy boku, tworzą gwardye

«1 lutego 1831.

...Funduszów nam braknie na dokończenie pułku. Konstanty się zniechęca i mawia czasem: «Kiedy jeźdźców wzięli, niechże robią, co chcą; jak na pułk nie starczy, to ja za to nie odpowiem, bo ofiarę zrobiłem przed nakazem 450 koni z dóbr[1]).» I to prawda i nicby nie było do zaprzeczenia w innym czasie, w innem, jak nasze, położeniu. Konstanty jest nadto sumienny, aby się miał do czegokolwiek zobowiązywać, nie mając pewności uiszczenia się. Ale czegoż można być pewnym dzisiaj, czy za rok, czy dalej? Z tego wynika, że chciałbym wszelkiemi sposobami mieć 100.000 złp. Czy Matka możesz temu zaradzić? Trzebaby koniecznie 100.000 złp., zaledwie starczą na to, co niezbędne.»

Podczas gdy Zamoyski zajęty był 5 pułkiem ułanów, jeden z przyszłych ochotników tego pułku, młodszy jego

---

narodowe, zapał wściekły.» — Prusacy, którzy później tak srogo karali swoich podwładnych za udział w powstaniu, z początku żadnych im w tem przeszkód nie stawiali. Pani Działyńska pisała z Poznania do męża w pierwszych dniach grudnia: «Jakiemże twój list był dobrodziejstwem. Takeśmy tu byli niecierpliwi, że rozpacz brała. Marcinkowski oniemal, że od zmysłów nie odchodził. Dopiero co wyjechał. Uważaj na niego, przypominaj mu, że on może coś pożyteczniejszego robić, jak służyć za cel kulom. Rząd nie broni wyjazdów, radzi, że się pozbędą tych, co ich tu straszą. Paszporta wszystkim wydają. Z jakąż zazdrością patrzę na wyjazd Klaudyny. Jeżeli pojadę, to pewno pannę Sczaniecką powiozę, bo ona koniecznie chce się dostać do Warszawy, rannych pielęgnować.»

W parę lat później, 1 lutego 1835, p. Sczaniecka otrzymała, od towarzystwa «Monthyon i Franklina» w Paryżu, złoty medal za «usługi oddane ludzkości w szpitalach warszawskich». (Vademecum polskie str. 28)

[1]) Utworzenie 5 pułku ułanów postanowionem zostało 10 grudnia 1830. Dnia 13 grudnia 1830 nakazany został, przez komisyę spraw wewnętrznych i policyi, pobór ludzi i koni, licząc po jednym jeźdźcu uzbrojonym w lancę z pięćdziesięciu dymów. Reskryptem z 16 grudnia 1830 komisya orzekła, «iż, o ile każdy kontrybuent przed zapadłem postanowieniem ofiarował jeźdźców do formującej się jazdy, o tyle może mu być potrąconem z ogólnej liczby nań przypadającej». (Według zapisków Konstantego Zamoyskiego)

brat, ośmnastoletni August, mimo rad matki, żeby «cicho siedział» w Genewie i dalej się uczył, wyrwał się stamtąd i pospieszył do powstania. Wprawdzie radził się profesorów i nauczycieli, ale raczej, co do sposobu wykonania rzeczy, niż co do samego zamiaru. Szwajcarzy rozumieją, czem jest miłość ojczyzny i jakie obowiązki nawet najmłodszym nakłada, to też nauczyciele Augusta, chociaż nie śmieli zachęcać go w szlachetnym popędzie, jednak żadnym krokiem, ni słowem nie starali się go powstrzymać, przeciwnie, jak sam August pisze, mówili, że «zapewne ojciec znajdzie jego wyjazd bardzo naturalnym».

August, dowiedziawszy się, że x. Leonowa Sapieżyna, przebywająca wówczas w Paryżu, czeka tylko na powrót męża[1]) z Londynu, ażeby z nim do kraju się udać, pojechał do niej w nadziei skorzystania z paszportu siostry, by z nią do Warszawy wrócić. Ale po tygodniu, nie doczekawszy się Leona Sapiehy, za radą jego, «by się czemprędzej wybrał do Polski», ruszył w drogę z Alexandrem Walewskim, Michałem i Teodorem Mycielskimi; dla braku paszportu towarzyszył im jako służący. Z drogi pisał do brata, Władysława:

«Berlin, 31 stycznia 1831.

...Dojechałem do Głogowy bez trudności, ale tu nas zatrzymano przez siedm dni i kazano jechać do Berlina z eskortą żandarmów. W drodze Walewski i Mycielski Teodor uciekli, a Michał ze mną dojechał do Berlina. Jemu dali paszport, ale mnie nie chcą żadnym sposobem, bo się spytali pana Alopeusa[2]), który zakazał im dać mi paszport. Byłem u niego prosić go, ale bardzo źle przyjął, powiedział, że dwóch towarzyszów moich uciekło, a mnie trzyma, więc będę za nich cierpiał. I dołożył, że wy wszyscy bracia moi jesteście zdrajcami

[1]) Ur. w Warszawie, 10 wrześniu 1803.

[2]) Posła moskiewskiego.

waszego króla, a ja będę za to wszystko odpowiadał. Powiedział nareszcie, że nie da mi paszportu, jak tylko do Petersburga, bo tam jest mój ojciec.

Prosiłem, by mnie puścił przynajmniej do Poznania, bo nie mam za co tu żyć, a tam byłbym u siostry (Działyńskiej). Powiedział, że chciałbym wziąć tę samą drogę, co Walewski[1]). Muszę więc tu siedzieć. Michał odjechał do Poznania. Nie uwierzysz, jak mi się żal zrobiło. Poszedłem do x. Radziwiłła, który był bardzo łaskaw dla mnie, ale cóż z tego, nie może mi pomódz. Napisz mi, co mam robić, bo prawdziwie boję się, żebym nie zwaryował, tak rozpaczam. Zatrudniam się, jak mogę, czytam historyę polską, którą mi posłałeś do Genewy.

Pięknie się popisałeś, winszuję ci i bardziej się teraz bratem swoim szczycę, niż kiedykolwiek. Coś tu złe nowiny dochodzą. Słowo ci daję, że jadę z Genewy, abym zginął za ojczyznę, a boję się, że mi Pan Bóg tej łaski nie zrobi[2]).»

« Zaczęto przecie myśleć o postawieniu wojska na stopie wojennej. Do komisyi organizacyjnej wojska zostali powołani między innymi: Skrzynecki, Turno, Chłapowski, Mroziński, Morawski, Lewiński. Jen. Mroziński został szefem sztabu głównego, jen. Morawski jenerałem służby, pułk. Żwan naczelnikiem biura informacyjnego, podpułk. Prądzyński był kwatermistrzem jeneralnym[3]).

[1]) Walewski dotarł przez Poznań do Warszawy i został adjutantem naczelnego wodza.

[2]) August Zamoyski, Zygmunt Krasiński i Henryk Reeve odbywali razem nauki w Genewie i prawie jednocześnie stamtąd wyjechali. Zygmunt pisał o Auguście do Reeva z Rzymu, 22 stycznia 1831: «Zamoyski jest mężny i szlachetny. Jeśli kiedyś się spotkamy, to czoło przed nim uchylę.» (Correspondance de S. Krasiński et de Henry Reeve. T. I, str. 41)

[3]) Bez urzędowego tytułu.

Chłopicki zamknął się u siebie; robił jednak nadzieję, że towarzyszyć będzie jeneralnemu sztabowi; wreszcie objeżdżał okolice Siedlec i Pułtuska dla rozpoznania pozycyi obronnych.

Zaraz w pierwszych chwilach po utworzeniu komisyi organizacyjnej zostałem do niej zawezwany, przedstawiony przez Turnę i mianowany szefem sztabu dywizyi jazdy Łubieńskiego[1]). Wyznałem otwarcie moje zdziwienie, bom się nie czuł do tego przygotowany. Nie byłem nigdy dotąd użyty do sztabowej służby, wręcz też odpowiedziałem, że nie mam o niej jasnego wyobrażenia. Odparto mi, że komisya odpowiadać będzie za włożony na mnie obowiązek i że szczegóły służby sztabowej wskaże mi mój dowódca, a Skrzynecki, naówczas jeszcze pułkownik 8 pułku liniowego, dodał: «Oceniliśmy twoje zdolności; czego nie umiesz, prędko się nauczysz». Tę dobrą opinię zawdzięczałem po części przedstawieniu Turny, a po części stosunkom, jakich zawsze szukałem ze starszymi w wojsku, a które mi ułatwiał, mimo nizkiej rangi, charakter adjutanta przy wodzu naczelnym. Jako adjutant miałem przystęp otwarty do każdego jenerała i pułkownika; do nich w obozie przed musztrą i po niej wstępowałem; usiłowałem ich wyciągać na rozmowy o przeszłych czynach wojennych, w których uczestniczyli. Stąd i oni widzieć mogli, żem był z tą przeszłością obeznany i w rzemiośle wojennem zamiłowany. Uległem rozkazowi i zameldowałem się jen. Łubieńskiemu[2]), mojemu nowemu dowódcy,

---

[1]) Dnia 21 lutego Łubieński mianowany został dowódcą II korpusu jazdy: Zamoyski pozostał przy nim szefem sztabu.

[2]) Jen. Tomasz Łubieński przez część grudnia i stycznia zastępował ministra spraw wewnętrznych, ale kiedy Lubowidzki, były wiceprezydent miasta, skłuty bagnetami w Belwederze 29 listopada, a potem pod aresztem w szpitalu trzymany, uciekł z tego więzienia, padło podejrzenie na Henryka Łubieńskiego, brata ministra, że mu dopomógł w ucieczce. Wzburzenie, jakie stąd nastąpiło w stolicy, skłoniło Tomasza Łubieńskiego do złożenia urzędu ministra, podczas gdy brat jego został uwięziony i miał pójść pod sąd. Do sądu jednak nie przyszło. Nie-

którego od lat kilku spotykając w towarzystwie warszawskiem, w domach przezemnie najwięcej uczęszczanych, znałem tem poufalej, że od upadku Napoleona opuścił służbę wojskową[1]). Jen. Łubieński przyjął mnie nader uprzejmie i ośmielił mnie zapewnieniem, że «we dwóch damy sobie radę».

Zaraz po upadku dyktatury Chrzanowski i Prądzyński zostali do Warszawy napowrót ściągnięci i coraz byli przez naczelnego wodza do rady powoływani. Niełatwe miał zadanie wódz naczelny między tymi dwoma doradcami, którzy zawsze byli przeciwnych sobie zdań; przytem tak jeden, jak drugi, zostawiali wodzowi obszerne pole do decyzyi i wielką odpowiedzialność. Prądzyński nieustannie podawał nowe plany: niejeden z nich trzeba było odrzucić, ale było w czem wybierać. Nie mogło być wymówki do stracenia czasu na próżnej zwłoce, bo plany Prądzyńskiego, co dnia, niemal co godzina przedstawiane, zastosowane były do coraz nowych wypadków. Chrzanowski mniej planów tworzył, podawał je bez najmniejszego zapału, nie zapowiadając z wykonania ich stanowczych korzyści; rada jego była przecie zawsze gotowa, wytrawna i bystra, tylko sąd o planach Prądzyńskiego nad miarę surowy. Słowem, jeden drugiemu psuł kredyt i zmniejszał znaczenie, jakiegoby każden pojedyńczo mógł używać. Do wodza należało Chrzanowskiemu dodawać ostrogi, Prądzyńskiego miarkować, a nadewszystko jednego czy drugiego wysłuchawszy, użyć.

Do pierwszych dni lutego nic wiadomem nie było o zamiarach nieprzyjaciela. Główne jego magazyny były

którzy utrzymują, że Chłopicki pierwszy podał myśl ucieczki Lubowidzkiemu. Zdaje się, że i Lelewel do niej panią Lubowidzką namawiał, czy to ze względu na dawne stosunki i na bezpieczeństwo Lubowidzkiego, czy w myśli, że to się przyczyni do rozjątrzenia ludności warszawskiej przeciw dyktatorowi. Mówią, że podobne propozycye robiono Moskalom uwięzionym, jak Buturlinowi. (W. Z.)

[1]) Po upadku Napoleona Łubieński wstąpił do wojska Królestwa Polskiego; otrzymał dymisyę na własne żądanie w 1816 roku.

w Białymstoku; stamtąd mógł się skierować czy to na lewo ku Siedlcom, czy na prawo ku Ostrołęce, czy też iść środkiem ku Kamieńczykowi, którędy przechodził dawny gościniec warszawsko-białostocki.

Pierwszy projekt Chrzanowskiego był: skoncentrować się ku Zambrowowi, naprzeciw Białegostoku, w pogotowiu uderzenia na nieprzyjaciela, skoroby tenże ruch jaki rozpoczął. Wszelkie plany działań upadają, bo żaden z podwładnych jenerałów nie czuł się na sile ani pokierowania ruchem, ani wykonania planu. Chłopicki sprzeciwia się wszelkim planom tego rodzaju, myśl jego prostsza, on chce tylko jednej bitwy «dla honoru» i to jak najbliżej Warszawy, w silnej pozycyi. Pozycya Zambrowa niepewna też była, z powodu Bugu, któryby nas oddzielał od szosy siedleckiej; trzeba było przynajmniej trzymać Granno i Brześć, by wiedzieć, że nas nieprzyjaciel z daleka nie oskrzydli. Gdy się okazało, że nieprzyjaciel nie przeprawi się przez Narew pod Białymstokiem, ale że się zwraca ku południowi, powstał drugi projekt: zająć silne stanowisko Liwa i przeszkodzić tym sposobem, by nieprzyjaciel nie przeprawił się przez Bug pod Grannem. Trzeba było mieć straże wysunięte przed Siedlcami, by nas nieprzyjaciel nie mógł na szosie uprzedzić. Te dwa plany miały może dobre strony, ale i ujemne, między innemi, stawiały nas poza dwoma gościńcami, wśród gruntów na których, szczególniej w zimie, przewozy i ruchy wszelkie były trudne.

Oba niżej przytoczone plany koncentracyi pod Zambrowem, albo pod Liwem, były opracowane przez Chrzanowskiego, ale Chrzanowski przedstawiał swoje projekty w sposób, który obrażał miłość własną starszych, mianowicie Chłopickiego, a w Prądzyńskim wzbudzał zazdrość; jego plany upadły, mimo że Radziwiłł był chwilowo pod jego urokiem.

Prądzyński, czy to z własnego przekonania, czy Chłopickiemu schlebiając, zdawał się dzielić tegoż zapatry-

wanie, co do walki odpornej w pobliżu Warszawy, a choćby co do obrony samejże stolicy. Posądzono Prądzyńskiego, że zamiarem jego było ułatwienie jakobinom objęcia władzy, do czegoby nie doszli, gdyby im nie pomogła obawa wśród mieszkańców Warszawy, wywołana obecnością nieprzyjaciela pod jej murami; zresztą Prądzyński nie przypuszczał, by nieprzyjaciel mógł gdzieindziej zmierzać, jak ku dolnej Wiśle. Wielu wojskowych zdanie to podzielało. Zdawało się oczywistem, że póki szańce przedmostowe na Pradze będą w naszych rękach, póty wszelkie korzyści, odniesione przez Rosyan na prawym brzegu Wisły, nie będą dla nich stanowcze. Zdawało się od początku, że los wojny na lewym brzegu rozstrzygnąć się musi; że nieprzyjaciel, zmierzając ku dolnej Wiśle, aby się przeprawić pomimo trudności, jakie przedstawiało uskutecznienie tego zamiaru, miał tam więcej widoków powodzenia, niż na jakimkolwiek innym punkcie tej rzeki, a nadto był tam najbliżej źródła swych dostaw.

Wobec tego przypuszczano, że pomaszeruje na Płock, zagrażając Modlinowi, zajmując Serock i Zegrze.

Zamiast tego Dybicz ruszył zrazu, zdaje się, dawnym gościńcem ku Kamieńczykowi, ale nie mogąc armat przez Bug przeprowadzić, gdy mu dwie zatonęły, cofnął się na Granno i Nur, gdzie mógł dogodnie mosty sobie budować.

Naraz, 6 lutego, dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel wkroczył do Królestwa na pięciu czy sześciu rozmaitych punktach[1]). Wahanie z naszej strony tem bardziej się wzmogło.

---

[1]) Feldmarszałek Dybicz w raporcie z 27 stycz./8 lut., ogłoszonym w Dzienniku Petersburskim z 5/17 lutego, wylicza siły swoje i punkta wkroczenia: Jen. Szachowski przez Kowno do Augustowa, jen. Manderstern przez Grodno do Augustowa, jen. Geismar przez Włodawę do Siedlec, jen. Kreutz przez Uściług do Lublina, pułk. Anrep pod Brześciem, jen. Pahlen pod Tykocinem, jen. Rosen przez Suraż ku Wysokiemu Mazowieckiemu, jen. Witt przez Ciechanowiec ku Nurowi, w. x. Konstanty Pawłowicz, rezerwa, pod Surażem. Razem 96 batalionów, 155 szwadronów, 396 dział, 10 pułków kozackich. (W. Z.)

Pod żadnym względem nie byliśmy gotowi; sama nawet wiadomość o wkroczeniu Moskali z niepojętem opóźnieniem nas doszła. Prywatne listy, pocztą odebrane, pierwsze nas o tem uwiadomiły. Do tej pory wielu wyobrażało sobie, że do wojny nie przyjdzie. W chwili przerażenia, sprawionego tą wiadomością, Chrzanowski otrzymał od Radziwiłła rozkazy, zgodne z planami jego, co do zajęcia pozycyi pod Liwem. Główna kwatera, stosownie do tej myśli, skierowała się do Okuniewa a, mówiąc nawiasem, jakże nędznie wyglądała ta główna kwatera.

Pod Okuniewem nowe wahania paraliżują wszystkie ruchy. Prądzyński, wbrew zdaniu Chrzanowskiego, chce, aby wojsko posunęło się do Serocka. Radziwiłł, pozostawszy sam jeden przy zdaniu Chrzanowskiego, gdy Chłopicki i Prądzyński przeciw niemu się oświadczyli, sam od niego odstąpił, cofnął dany rozkaz i aby się Chrzanowskiego pozbyć, przyłączył go jako kwatermistrza do korpusu Żymirskiego.

Prądzyński i Chłopicki przekonani teraz, że nieprzyjaciel nadejdzie od Pułtuska, przenieśli główną kwaterę do Jabłonnej, a wojsko całe posunęli w lewo.

Mija ośm dni na marszach i kontrmarszach. Organizowanie jazdy tak późno się rozpoczęło, że, dopiero po wkroczeniu Moskali, skorzystano z tych ośmiu dni, ażeby łączyć brygady i dywizye, zmieniając jeszcze i modyfikując, co dnia prawie, ich organizacyę. Ostatecznie wojsko nasze ustawia się w ten sposób: Jankowski wysunięty ku Ostrołęce, Krukowiecki pod Zegrzem, Giełgud na prawo od niego, dalej Skrzynecki pod Dobrem, Szembek z tyłu, Żymirski w Kałuszynie i Siedlcach, Łubieński za nim na gościńcu..., Umiński...

Sądząc z pozoru, miałem przekonanie, że wojna ta do kilku dni się ograniczy. Wyobrażenie to było dość powszechne, chociaż się nikt z niem nie odzywał. Brakowało naczelnego dowództwa; dawne pułki nie były wcale odnowione; nie usunięto z nich mnóstwa starych

oficerów, szczególniej pułkowników i oficerów wyższego stopnia, którzy niechętnie szli naprzód; znaczną część wojska znękano marszami, zanim się nawet z nieprzyjacielem zetknęło. Oddziały jazdy nowej formacyi, — nowej piechoty jeszcze nie było, — dużo ucierpiały wskutek złej organizacyi i przeszkód, jakie dyktator ich rozwojowi stawiał. Brakowało im dobrych oficerów i instruktorów i to wśród wojska, w którem trzy czwarte starszych żołnierzy na instruktorów się nadawało. Kilku jenerałów okazywało wyraźną złą wolę, zwłaszcza Żymirski. W wojsku, a przynajmniej w korpusie Żymirskiego, panowało wielkie zniechęcenie; w niektórych korpusach poczęły zachodzić ciężkie przekroczenia karności.

Skądinąd jednak w większości wojska, wśród stopni niższych i ogromnej liczby ochotników, zapełniających szeregi, była stanowczość, z której można było na pewno wnosić, że przyjdzie do starć ostrych z nieprzyjacielem. To też, jeżeli odczuwałem smutek głęboki, przewidując klęski, jakie na ojczyznę spaść miały, to czułem zarazem, że jedyny sposób służenia jej polegał w tej chwili na tem, żeby każdy z nas, w każdem spotkaniu z nieprzyjacielem, wytężył całą dzielność, do jakiej był zdolny, tak żeby nasze klęski nawet stały się chwalebne.

Osobiście czułem się szczęśliwy, mając sposobność poświęcenia się ojczyźnie w sposób, jak się zanosiło, chlubny. Całe życie marzyłem o tem szczęściu, jako o największem, jakieby mnie spotkać mogło. Życie położyć dla ojczyzny, to było moim ideałem; znaleźć przytem trochę chwały, a przynajmniej jakiś udział w chwale ojczyzny, to już przekraczało nawet moje marzenia. Od samego początku powstania, od samej nocy listopadowej, zdawało mi się, że raz wydobywszy pałasz z pochwy już go nie schowam i czułem jakąś rozkosz, marząc o żołnierskiej śmierci; nie przypuszczałem wówczas, żebym miał choćby trzy miesiące życia przed sobą. Postanowiłem nie unikać żadnej sposobności, jakie wojna do wa-

lecznej śmierci nastręcza i radowałem się z dobrej sławy, jaką sobie przez taką śmierć zdobędę.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Warszawa, 8 lutego 1831.

Nareszcie nadeszła chwila. Zaledwie mam czas na dwa słowa. Kocham, ściskam, żegnam drogą Matkę. Bądź Matka odważna na największe ciosy. Nie przestawaj być tą spójnią, co całą rodzinę naszą utrzymuje w jedności. Własnym spokojem i odwagą dodawaj nam hartu. Chciej za mnie pożegnać ojca, którego serdecznie kochałem. List jego ostatni, chociaż pisany w niewiadomości wypadków, przypomina mi się boleśnie. Potrzeba mi dzisiaj błogosławieństwa jego, niech mi go udzieli.

Idziemy na walkę straszną. Nie godziłoby się łudzić co do jej niebezpieczeństw. Jednakowoż Bóg jest wielki i sprawiedliwy, może cudu dokonać. Bóg, — serce moje należy do niego. On zmiłuje się nademną. Zobaczę jeszcze Matkę i uściskam. Przebaczy mi Bóg grzechy moje, bo kochałem bardzo rodziców, ukochanych rodziców[1].»

[1] Prawie równocześnie, bo 10 lutego, pani Zamoyska pisała z Puław do córki, Działyńskiej: «My tu jesteśmy same kobiety, wszyscy nas porzucili. Z Lublina także poszli za Wisłę. Moskale są między Lublinem a nami, o trzy mile. Mogą tu być lada chwila. Staramy się dodawać sobie nawzajem odwagi. Moja matka spokojna, prawie wesoła. Płaczemy, modlimy się i koszule dla pułku szyjemy.» Wkrótce potem, 21 lutego, pani Zamoyska znowu pisała do córki: «Mamy tu obóz moskiewski, który nas dusi. Posłałam małe sprawozdanie o wszystkiem, co się wkoło nas dzieje, bo gdyby tu jaki oddziałik mógł wpaść, byliby ich wszystkich wzięli, zmiażdżyli. Na tej stronie tylko dwieście ludzi zostało, a Wisła bardzo zła, jednak przechodzą. Polecam ci list do p. Prądzyńskiego, on nam tu swoją żonę powierzył, bardzo miła osoba i jak my, mocno niespokojna. Postaraj się o list od niego do niej, będzie to dobry uczynek. Powiedz braciom, że jestem mężna, bo ufność, jaką w Bogu pokładam, jest bezgraniczna; jestem mężna, bo mnie o to prosili, bo tym sposobem mogę im być pożyteczną.»

Po wyruszeniu z Warszawy z dywizyą Łubieńskiego:

«Kobyłka, 11 lutego 1831.

Droga Matko. Słówko przez posłańca, idącego do miasta. Walka jeszcze nie rozpoczęta, sądzę, że rozpocznie się w przedniej straży zapewne jutro, a pojutrze spodziewam się, że sam tych panów zobaczę. Trzech synów będzie Matka miała od strony Pułtuska, dwóch przy naszym pułku.»

16 lutego 1831.

Już mi wstyd, moja Matko droga, że nic o sobie donieść nie mogę; ani śladu kozaka jeszcze nie ujrzałem, a pewno nikt nigdy do swojej ukochanej goręcej nie wzdychał, niż ja do nich. Wściekam się i rozpaczam. Dwie już bitwy zaszły, obie szczęśliwe, Dwernickiego świetna. Czemuż mnie tam nie było! Całem mojem marzeniem nabyć jak najwięcej doświadczenia, zanim nadejdzie chwila stanowcza... Moja Matko biedna, wszak mi Matka przebaczasz takie życzenia, przebaczasz, boś taka dobra, mężna Matka; podwójnie za to kocham. Czy dojdzie ten list? Ten cymbał kuzyn [1]) dał się wychłostać. Prawdziwie wstydemby było, gdybyśmy mu dali ujść. Biedna ciotka, co to za chwila dla niej, przejście tego korpusu nieprzyjacielskiego i co ją jeszcze czekać może, bo rozjątrzenie wielkie przeciwko temu niecnemu człowiekowi.

Jak Matce wiadomo, jestem przy Łubieńskim, który dowodzi piękną dywizyą, złożoną z sześciu pułków jazdy. Pełnię obowiązki szefa sztabu dywizyi, figura nielada, proszę wierzyć. Zanim doczekam się ognia, piórem pracuję siła. Dla zadowolenia Matki powiem, że mnie to stanowisko zabezpiecza od wielu trudów, a zostawia mi radość udziału w bitwach. Biedni bracia nie mogą tego o sobie powiedzieć. Konstanty upiera się, aby być prostym żołnierzem, ale to nań ściąga o tyle więcej

[1]) X. Adam Wirtemberski.

uwagi ze strony przełożonych. Jego dowódca Zdzisław doskonale sobie radzi. Obydwaj należą do dywizyi Łubieńskiego. Nasz pułk dobrze wygląda, tutaj są tylko dwa szwadrony, trzeci przybędzie za kilka dni. Wie Matka, że Dwernicki wziął dziesięć dział i trzystu jeńców. Czemu mnie tam nie było!

O braciach mam staranie, ile możności. Jesteśmy o cztery mile tylko od Warszawy, tak iż coraz im mogę prowianty przesyłać, ale z tym nowym pułkiem podwójną mają robotę.»

Z tejże daty pozostał list pisany do Zamoyskiego, zapewne z głównej kwatery, przez pułkownika Karola Turnę, członka komisyi organizacyjnej:

«16 lutego.

Mój drogi. Wczorajszy list mój musiałeś odebrać, a więc wiesz wszystko. Dzień walki się zbliża. Skrzynecki pierwszy się spotka i dobrze, bo poszedł od Dobrego ku Liwu. Jeżeli nieprzyjaciel cofnie się za Liwiec, były to tylko demonstracye; jeżeli przyjmie walkę, znać, że w masie od Węgrowa idzie ku nam. Pod Brokiem przeprawiał się przez Bug i miał dwa działa stracić przez załamanie się lodu. Koncentrujemy się. Pierwsza więc utarczka będzie nad Liwcem, druga nad Rzonzą [1]), rzeczką, trzecia nad Długą pod Okuniewem, a potem koło Grochowa, na miejscu, gdzie Jan Kazimierz walczył tak długo i upornie ze Szwedami. Takie jest moje zdanie. Może się też rzuci główną siłą na szosę kałuszyńską, a wtenczas ty mu Wielkie Łuki przypomnisz. O wozy pisałem pięćkroć sto tysięcy razy do K(omisyi) R(ządowej) W(ojny). Co to za nieład z tą służbą zdrowia i z wozami pod żywność. Teraz dopiero wzięli się do wszystkiego, kiedy może już nie czas. Kłócę się ząb za ząb z Izydorem (Krasińskim). Im bardziej nieprzyjaciel się zbliża,

---

[1]) Rządzą.

tem bardziej w Chłopickim dusza rośnie i pewno on nas będzie w bitwie prowadził, co daj Chryste Panie! Czy nie macie o Dwernickim jakiej wiadomości? Gdzie on poleciał? ani słówka o nim od przejścia Wisły nie wiemy. Pac organizatorem armii rezerwowej. Nieprawda, że to właśnie «caput» do organizowania. Jankowski potrzepał trochę kozaków, cóż, gdy tylko patrolem, a więc rzecz niewiele znacząca.

Z Ostrołęki, gdzieśmy most spalili i z Pułtuska ściągamy się do Zegrza i Serocka. Giełgud w Tule, Szembek w Radzyminie, Skrzynecki za Dobrem ku Liwu, Krukowiecki w Zegrzu i Serocku.

Wielopolski wrócił, czy pisał z Anglii, gdzie zaklinano, żeby nie było mowy o detronizacyi, aby negocyacye można wspierać na traktatach.

Pod Puławami przeszło coś kozaków i dragonów. Klicki uformował trzytysięczny korpus i posyła z nim Sierawskiego. Szkoda, że dwa szwadrony strzelców byłej gwardyi i cały pułk krakowski, arcypiękny w tę samą stronę odchodzi. Czyż Żymirski, zajęty tylko biernym oporem, pomyślał chociaż, by zbliżyć się ku Skrzyneckiemu, dla podania mu ręki w razie potrzeby? Krukowiecki rozumuje doskonale we wszystkiem, co pisze i wydaje dobre rozporządzenia. Kochanowski z partyzantami jest w Udrzyniu pod Brokiem. Koss ma przyspieszyć roboty na Pradze i w Warszawie. Kupcy nie chcą na obronę miasta zezwolić. Magazyny żywności są wielkie na Pradze. Owsa 136.000 racyi, siana 64.000. Adieu, piszę w nocy. Ściskam serdecznie Wosia (Morawskiego), Łubieńskiego i ciebie i całą waszą dywizyę, którą zapewne Dybicz przeklinać będzie.

Powiedz jenerałowi, że komisarza wojennego od trzech dni mu posłano. Pije zapewne gdzie bestya na wiwaty, a wam bieda. Piszcie wprost do K(omisyi) R(ządowej) Wojny, co wam tylko nie dostaje, bo przezemnie dłużej trwa. Czas ginie na korespondencyach.

Najlepiej posyłajcie oficera do niej, aby nie odstąpił, póki nie otrzyma.

Sztummer tak ułożył służbę polową zdrowia, że chorych i rannych będziecie po polach zostawiać. Łaję, grzmię, krzyczę, ale złe się stało i Bóg wie, jak z tego wynijdziem. Prądzyński ci się bardzo kłania. Razem zawsze prawie jesteśmy. On przynajmniej jest czynny, ma męską duszę i głowę dobrze zorganizowaną. Jeżeli jednak nieprzyjaciel nadejdzie przez Węgrów, nie on, lecz Chrzanowski lepiej widział.

Jeżeli wam nie dostaje lekarzy lub aparatów i narzędzi chirurgicznych i amputacyjnych, poślijcie wprost do Sztummera, który ma rozkaz wydania wszystkiego, co potrzeba, a przynajmniej, co ma gotowego. Bóg z tobą kochany.»

IV

WAWER (19 LUTEGO). — GROCHÓW (25 LUTEGO)

« Wreszcie nieprzyjaciel pokazał się od strony Siedlec i Liwu, przeprawił się pod Grannem i spieszył do gościńca. Ale że Liw nie był przez naszych obsadzony, VI korpus Rosena minął go i przypuścił (17 lutego) atak na Skrzyneckiego pod Dobrem. Walka tam zaszczytna dla Skrzyneckiego; zdobył sobie głośne imię opóźnieniem pochodu nieprzyjaciela i umiejętnym odwrotem. Wojska nasze miały rozkaz raczej obserwowania nieprzyjaciela, niż stawiania mu oporu. Przemagała zawsze widocznie myśl Chłopickiego skoncentrowania armii pod Warszawą i tam, jeżeliby już koniecznie przyszło do bitwy, stoczenia jej tylko dla honoru.

Dnia 17 lutego jen. Żymirski cofa się z Kałuszyna i walczy pod Mińskiem, zrana 18 cofa się dalej, nieprzyjaciel dosięga go na polach pod wsią Wielkie Dębe, a chociaż Łubieński podtrzymuje Żymirskiego, ten jednak nie zwalnia odwrotu.

Dnia 18 lutego po raz pierwszy znalazłem się w ogniu. Moja radość. O ile poprzedniego dnia niewymownych doznawałem udręczeń, słysząc przez cały dzień kanonadę, a nie mogąc wziąć udziału w bitwie, o tyle się cieszyłem, spotkawszy się nareszcie z nieprzyjacielem. Pamiętam pierwsze wrażenie, jakie zrobił na mnie ogień działowy. Wyznaję, żem niewymownej doznał rozkoszy, gdym się przekonał, że kule armatnie obudzały we mnie wewnę-

trżne zadowolenie, żem się czuł wśród niebezpieczeństwa spokojny. Ziemia była zmarznięta, zagony szły wzdłuż naszej linii, więc bijące w nie na poprzek kule armatnie, gdy w bok zagonu trafiały, odbijały się prostopadle od ziemi na dwadzieścia i trzydzieści stóp. Jakże mnie uderzyło, że przed niejedną rykoszetującą prosto ku mnie kulą mogłem ustąpić i że to się dawało wykonać, nawet wśród innego zajęcia.

Dzień ten pierwszy, który zaczął się na polach wsi Dębe Wielkie, później wsławionych naszem zwycięstwem, zeszedł na niczem. Moja pierwsza radość ze spotkania z nieprzyjacielem wnet się przemieniła w zmartwienie. Jen. Żymirski, dotarłszy do dywizyi Łubieńskiego[1]), polecił temu jenerałowi zasłaniać jazdą dalszy odwrót z pod wsi Dębe. Cofaliśmy się tedy smutnie przez kilka godzin; nieprzyjaciel posuwał się ku nam zwolna, zwolna też ustępowaliśmy przed jego artyleryą. Nie było rozkazu stawiania oporu na jakimkolwiek punkcie.

Wieś Dębe Wielkie rozciąga się wzdłuż gościńca między dwoma bagnami. Gdy 4 pułk strzelców konnych, który tworzył nasze prawe skrzydło, przesuwał się między wsią a bagnem, zwlekając z ustąpieniem placu nieprzyjacielowi, został napadnięty; ale dzielnie odparł nieprzyjaciela i w porządku cofnął się dalej, nie ponosząc żadnych strat.

Od pierwszego dnia uderzył mnie wpływ przeważny bitego gościńca na tego rodzaju spotkania. Nieprzyjaciel nieustannie kierował swój ogień działowy na gościniec, który będąc linią naszego odwrotu, stałym jakoby środkiem pozycyi, przez naszą aryergardę zajmowanych, był jakby regulatorem tego odwrotu. Dosyć było skłonić środek do ustąpienia, żeby i skrzydła nierozległej linii musiały ustępować. Taka droga bita wydała mi się jakby nieskończoną cieśniną, której opanowanie stanowi o posiadaniu okolicy.

---

[1]) Pod Kobiernem.

Tegoż dnia rano, między Mińskiem a Stojadłami, gdy jedna z armat dwunastofuntowych straciła na gościńcu wśród lasu koło, kanonierzy odcięli popręgi i armatę na szosie zostawili; ale ten przykład zdemoralizowania był jedynym tego rodzaju wypadkiem przez cały przeciąg wojny. Artylerya najdzielniej oparła się demoralizacyi, która później się objawiała wśród innych broni.

Chrzanowski pod Dębem został raniony w rękę odłamem granatu. Taki był zniechęcony, a było czego, że wyglądało, jak gdyby był rad, że ma powód do oddalenia. Jużeśmy go nie widzieli aż po Grochowie.

W Brzezinach na skraju lasu, Żymirski ustawił swoje baterye i nieco piechoty na wyniosłem wzgórzu, do którego gościniec dochodzi prostopadle, trafiając w sam środek wzgórza. Stanowisko wyjątkowo dobre: wojsko, o las oparte, było osłonione również lasem, który ciągnie się stamtąd przez trzy mile aż do Wawra; po prawej zaś i lewej stronie były trzęsawiska, zarośnięte krzakami; front nie ma i tysiąca kroków rozciągłości: stanowisko dla artyleryi bardzo korzystne. Żymirski nie wytrwał tam i piętnastu minut. Starałem się go powstrzymać, nie zwracał uwagi na moje słowa.

Żymirski i Skrzynecki mieli rozkaz wykonania odwrotu w jednej linii. Taki rozkaz musi prowadzić do spiesznego cofania się, bo każdy jest w ciągłej obawie, żeby go drugi korpus nie prześcignął; każdemu się zdaje, że słyszy kanonadę za sobą i tak się właśnie wówczas stało. Potyczki pod Stanisławowem i Okuniewem przyspieszyły nasz odwrót, który ze swej strony spowodował cofanie się Skrzyneckiego i Szembeka.

Zapomniano o jednym pośrednim batalionie między dwiema kolumnami; była obawa, że stracony, ale lasami dobił do swoich bez strat. Moskale nadzwyczajnie lasów się obawiali, będąc przekonani, że są zajęte pospolitem ruszeniem.

W Brzezinach pan Żymirski powiedział mi, że wojsko bić się nie chce. Oburzony byłem. Wnet dowiodło ono, że to był fałsz, ale przyznać trzeba, że sposób w jaki Żymirski ten odwrót prowadził wszystkich nareszcie znudził i zniechęcił. Dla wojska, po raz pierwszy w ogniu się znajdującego, wszelki odwrót ciężką jest próbą. Nasze oburzało się, że ma opuszczać bez oporu korzystne stanowiska, na to aby się dać ostrzeliwać bez pożytku w otwartem polu, gdzie je regularnie, acz bez celu zatrzymywano. Żadnego nie dostrzegłem zapału; była tylko żołnierska przyzwoitość, a przytem ogólny wyraz jakiegoś smutku i niepewności, bo też ducha nic podnieść nie mogło, skoro natchnienia brakowało od naczelnej władzy. Podczas naszego odwrotu przez rozległe pola Dębego, kilkakrotnie ale napróżno podsuwałem myśl szarżowania naszą jazdą artyleryi nieprzyjacielskiej na gościńcu. W tem miejscu wzdłuż gościńca ciągnęły się z prawej i lewej jego strony szerokie rowy. Jazda mogła szarżować plutonami w trzy oddziały, z których jeden lub dwa mogłyby dotrzeć do armat nieprzyjacielskich, prawdopodobnie bez straty. Było to jedyne miejsce, na którem kawalerya kłusem puszczać się mogła; na zoranych polach, przy silnym mrozie bez śniegu, było to niemożebne. Takie właśnie szarże, w tym samym czasie, wyśmienicie się powodziły żołnierzom Dwernickiego. Były one w duchu naszego wojska, naszej wojny, naszego charakteru narodowego.

Od Brzezin dywizya kawaleryi Łubieńskiego wzięła czoło; Żymirski ze swoją piechotą znów objął straż tylną, idąc lasami. Pierwszy szwadron pułku 1 ułanów, pełniący służbę na lewem skrzydle, wpadłszy znienacka na oddział kozaków, niebacznie naprzód wysunięty i we wsi rozłożony, zdobył na nim jakie trzydzieści koni i jeńców.

Zatrzymano się w Janówku, który tworzy wśród lasu rodzaj zasłony długiej i dość wyniosłej; stanowisko to bronić lub atakować może jedynie piechota; ale przed

wieczorem ustawiono się znowu na podobnem stanowisku w Miłosnej. Tam czekano na nieprzyjaciela i tam zaszła dość żywa utarczka piechoty, w której jen. Czyżewski odniósł lekkie rany. Nieprzyjaciel nadchodził z liczną piechotą. Bitwa przeciągnęła się w noc, poczem Żymirski cofnął się aż pod Wawer, dokąd wyprawił jeszcze przed nocą całą jazdę Łubieńskiego.

Tego samego dnia Skrzynecki, cofający się po utarczce pod Stanisławowem, zluzowany został przez Szembeka w Okuniewie; Szembek zaś po silnej kanonadzie także Okuniew opuścił. Wreszcie, 19 lutego do dnia, całe wojsko nasze zebrane było na polach Wawra i Grochowa.

Nieprzyjaciel krok za krokiem podążał za nami po drodze z Mińska i Okuniewa. Znęcony naszym odwrotem bezopornym, zamierzał prawdopodobnie dalej nas pędzić przed sobą, a rozmaite oznaki kazały się domyślać, że następnego dnia silniej nacierać będzie.

Wieczór i część nocy z 18 na 19 lutego przepędziłem na uzupełnianiu wszystkiego, czego naszej dywizyi brakowało, by gotowa była do boju; nazajutrz po przebudzeniu z niemałem zdziwieniem dowiedziałem się, że żaden rozkaz z kwatery głównej nie nadszedł.

Sztab główny i wódz naczelny stali na placu, wojsko całe czekało rozkazów, bo poprzedniego dnia dywizye rozłożyły się na chybił trafił, prawie bez żadnego wyraźnie oznaczonego porządku. Skupiono się na odległość strzału armatniego od lasu, z którego nieprzyjaciel mógł wypaść każdej chwili. Wielkie szkody byłby nam zadał, gdyby nagle wystąpił o ósmej z rana.

Ale ósma godzina minęła. Zdziwiony, że rozkazy nie nadchodzą, z polecenia jen. Łubieńskiego wsiadłem na koń i pojechałem szukać naczelnego wodza. Dopytałem się wkrótce o dworek we wsi Grochowie, w którym stanął wódz naczelny, x. Michał Radziwiłł. W bramie stał szyldwach, ale na dziedzińcu pusto. Nie było ruchu i zgiełku, zwyczajnego przy głównej kwaterze.

Wszedłem do domu, a nie napotkawszy nawet służącego, udałem się na pierwsze piętro: wszędzie pustki. Idąc od pokoju do pokoju, otworzyłem nakoniec drzwi, za któremi znalazłem się naprzeciw samego naczelnego wodza. Siedział w białym pudermantlu, a kamerdyner golił go. Przy nim stało paru adjutantów. Cofnąłem się, przepraszając. Wyszedł za mną adjutant, oficer z jazdy wojewódzkiej i rzekł: «Już xiążę nie dowodzi, zdał dowództwo na Chłopickiego». Z radością usłyszałem te słowa; świadczyły one, jeżeli nie o dzielności i zdolności x. Radziwiłła, to niezaprzeczenie o zacności jego. Było to bowiem własnem jego postanowieniem, że, nie usuwając się do pewnego stopnia od odpowiedzialności za naczelne dowództwo, zdał komendę, do której nie czuł się zdolny, na człowieka, o którym całe wojsko mniemało, że jest najzdolniejszy na wodza.

Pospieszyłem natychmiast do innego w Grochowie dworku, w którym miał kwaterę jen. Chłopicki. I tu mało ruchu zastałem i nic, coby wyglądało na główną kwaterę. Było wszakże kilka koni na podwórzu i kilku adjutantów na pokojach.

Prądzyński i Lewiński, szef sztabu kawaleryi, przychodzili prosić o rozkazy, a raczej poddawać i podpowiadać swoje plany. Niemało się zdziwiłem, widząc, że niczego nie przygotowano, niczego nie postanowiono, co do sposobu, w jaki się miało nieprzyjaciela przyjąć. A wszakże wszyscy czuli, że cofać się już nie można; widzieliśmy już wieże Warszawy; nadszedł dzień walki, rozstrzygający dla dobrej sławy wojska. Chłopicki głosił zawsze, że bić się będzie tylko pod samą Warszawą; wiadomo było, że przez dwa dni ostatnie objeżdżał pola Grochowa z mapą w ręku. Spodziewano się walnej bitwy, a przygotowania do niej nie było.

Sztab główny w wilię tego dnia dopiero opuścił Jabłonnę. Chłopicki był obecny przy odwrocie z Okuniewa, a przybrał pozór srodze zagniewanego, dowiedziawszy się, że

Żymirski opuścił ostatnie stanowisko w Miłosnej; wszakże rozkazu nie dano, by tam wytrwać do upadłego.

Gdy mnie Chłopicki ujrzał, począł ze zwykłą względem mnie uprzejmością rozprawiać, jak gdyby go nic nie nagliło. «A co», rzekł, «nie mówiłem, bić się nie chcą. A jakże tam byli twoi przez te kilka dni?» Musiałem go zapewniać, że w moim korpusie nie było żadnej oznaki niechęci, chociaż był smutek nieunikniony przy odwrocie bez oporu, bo i bez rozkazu, by opór stawiano. Chłopicki się skarżył: «Wojsko zawalone nowemi zaciągami, które tylko zamieszanie powodują. Czyż racyi nie miałem, gdym się opierał tym nowym formacyom i chciał zachować nietknięte wojsko dawne? Z trzydziestu tysiącami dzielnego wojska można było dać się pobić z honorem. Ale tego jest pięćdziesiąt tysięcy; z tem inaczej trzymać się trzeba i cóż to za wojsko zresztą.» To była treść myśli Chłopickiego od chwili, gdy cesarz odmówił z nim traktować, od chwili, gdy naród uniemożliwił wszelkie układy: dać się pobić z honorem, dać ubić z dziesięć tysięcy Polaków, potem wydać stolicę Moskalom i być zmuszonym do przyjęcia warunków! Wiadomości o nieprzyjacielu niedokładne tylko były. Nie można było wiedzieć, czy nadciągało wiele więcej nad pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Zwróciłem uwagę jenerała na to, że forpoczty nieprzyjaciela dotykają się naszych. O ile zaś miarkować mogę, stoją już za niemi znaczne siły. Czekamy rozkazów, stoimy obozem, żadnej nie zajmujemy pozycyi; co chwila spodziewać się można ataku nieprzyjaciela. Dodałem jeszcze kilka słów o lepszej nadziei, odkąd znowu jemu powierzono dowództwo i o radości z jaką ta wiadomość przyjęta będzie w całem wojsku. Tego zaledwie chciał słuchać. Kazał jednak podać sobie konia. Towarzyszył mu dość liczny sztab, bo tak nakazał x. Radziwiłł, dwóch tylko przy sobie zatrzymując adjutantów, którzy sami mu towarzyszyli w ciągu dni następnych, kiedy stał w ogniu spokojny, ale zupełnie bierny

Wojsko całe stało pod bronią, ale bez szyku żadnego. Każdy oddział zajmował miejsce, które w wilię zaległ obozem. W miarę jak się Chłopicki zbliżał do którego pułku lub oddziału, adjutanci, wyprzedzając go, oznajmiali, że on znowu naczelnie dowodzi. To budziło powszechny entuzyazm. Witały go szeregi okrzykiem, a on z niecierpliwością kazał im milczeć, mówiąc: «Dosyć tej karczemki!» Szedł za moją wskazówką ku stronie, gdzie stała moja dywizya i gdzie od Miłosnej po szosie spodziewać się należało największej siły nieprzyjaciela. Zaledwo doszedł do naszej linii i przywitał mego dowódcę, jen. Łubieńskiego, kiedy nadeszły raporty, że znaczna siła nieprzyjacielska wychodzi z lasu poza prawem skrzydłem naszem, na którem stała dywizya 2, Żymirskiego. Pospieszył w tym kierunku Chłopicki ze swym sztabem. Ja już zostałem przy moim dowódcy. Wkrótce nadszedł rozkaz do Łubieńskiego, żeby ku prawemu skrzydlu wyprawił jedną brygadę jazdy. Po chwili nadszedł podobny rozkaz o drugą i trzecią brygadę. Chciałem już z drugą pomaszerować, bo ogień było słychać gęsty w tym kierunku, ale mnie mój dowódca nie puścił, tylko sam z resztą dywizyi w tym kierunku się posunął. Okolicę tę znałem doskonale i z rozpatrzenia się w niej na mapie i z polowania z wyżłem, kiedyś w tej stronie odbytego. Spostrzegłem więc odrazu, że dotykamy się młyna, poza który wyciągnione wojsko tyłem oparte będzie o Wisłę, czyli o łachę wiślaną, że przeto wszystko, co poza ten młyn idzie, nie ma innego odwrotu, jak napowrót obok tegoż młyna. Błąd był oczywisty. Gdy to przedstawiłem jen. Łubieńskiemu, pozwolił na moje naleganie, acz niechętnie, bym sam, stosując się do powyższego rozkazu, trzecią brygadę poprowadził. Zaledwie z nią minąłem ów młyn, kiedym spotkał wracającego jen. Chłopickiego z całym sztabem. Pozwoliłem sobie z uszanowaniem zwrócić jego uwagę na topografię miejsca, dodając: «Tędy odwrót jedyny dla całej siły, która dalej poszła». Zdziwiony

Chłopicki kazał sobie podać mapę, a rozpatrzywszy się, rzekł do mnie: «Każże im wszystkim natychmiast się cofnąć».

Tak więc ów plan mniemany, którym się Chłopicki zastawiał przeciwko wszelkim nastręczanym sobie planom do śmiałych zaczepnych przeciw nieprzyjacielowi działań, okazywał się nie zamiarem wytrawnym, ale argumentem dla pozbycia się natrętów. Nie tylko plan ten nie był przygotowany, ale widocznie jen. Chłopicki nie zadał sobie tej nawet pracy, by się obeznać z mapą okolicy, w której miał stoczyć walną bitwę.

Pospieszyłem ku prawemu skrzydłu naszemu. Siła nieprzyjacielska zakryta była krzakami na całej linii. Jeden przecie batalion moskiewski wystąpił naprzód w kolumnie. Natychmiast uderzyło nań parę szwadronów 5 pułku strzelców konnych byłej gwardyi. Patrzałem z boku na tę szarżę z równą dzielnością wykonaną i przyjętą. W mgnieniu oka batalion, otoczony przez naszych, mimo gęstego z szeregów ognia, został jakby stratowany. Gdym nadjechał na miejsce, jakie zajmował, można było doskonale, po leżących na polu trupach, rozpoznać cztery kąty kwadratu i oniemal szeregi. Kilkunastu strzelców konnych padło przed frontem. Józef Mycielski, adjutant jen. Łubieńskiego, miał udział w tej świetnej szarży. Kula ubiła mu konia. Mycielski padł z nim tak blizko frontu, że z moskiewskiego szeregu wyskoczył ku niemu żołnierz i leżącego na ziemi Mycielskiego pchnął bagnetem w głowę. Zalany krwią, odurzony, leżał czas jakiś, udając nieżywego, aż go powtórna a stanowcza szarża z groźnego wybawiła niebezpieczeństwa.

Tymczasem pułk 4 strzelców pod dowództwem pułkownika Kamieńskiego, rozciągnięty w linii, na ostatniem już prawem skrzydle naszem, bez mojej wiedzy, nie wiem z czyjego rozkazu, szedł całą linią do szarży. Dowiedziałem się później, że ten rozkaz po dwakroć mu był ponawiany, a za drugim razem już z przycinkiem. Dowódca bowiem

na pierwszy rozkaz przekładał, że szarżować krzaki, nie wiedząc, jaka w nich siła się kryje, to szaleństwo. Za powtórnem przecie rozkazem poszedł z całym pułkiem i w mgnieniu oka zniknął w krzakach. W tej samej chwili wprost przedemną, o jakie tysiąc kroków, poczęła wychodzić z krzaków moskiewska kolumna jazdy, szwadronami, kłusem i widocznie zamierzała zajść tył naszemu 4 pułkowi strzelców. Obejrzawszy się i widząc za sobą dwa szwadrony 4 pułku ułanów, krzyknąłem: «Za mną wiara! ratujmy strzelców». Jakoż z tych dwóch szwadronów bliższy mnie tak żwawo odpowiedział wezwaniu mojemu, że odrazu całym pędem rzucił się naprzód, krzycząc: «hura!» Nie tego żądałem. Do nieprzyjaciela odległość była zbyt wielka, by nań z miejsca szarżować. Było nas też za mało, bo jeden tylko szwadron przeciwko kolumnie, której już pięć do sześciu szwadronów wyszło z krzaków, a jeszcze nie było widać jej końca. Zamiarem moim było posunąć się kłusem naprzód, tak aby kolumna nieprzyjacielska musiała przed nami defilować, pozwalając z boku na siebie uderzyć, albo też zwrócić się musiała na nas. Nam zaś wystarczało zwolna przed nią ustępować, by ją naprowadzić na naszą rezerwę i, co było najpilniejsze, nie dać jej odciąć 4 pułku strzelców. Daremne było moje wołanie, zapał wziął górę nad rozwagą, nad wyraźnym nawet rozkazem. Chciałem zrazu próbować, czy ich nie zatrzymam przykładem, pozostając w tyle, zwłaszcza, żeśmy pędzili oranem polem, a do nieprzyjaciela tak jeszcze było daleko, że wiedziałem, iż tchu koniom naszym nie stanie do skutecznego uderzenia. Alem pomyślał, że to po raz pierwszy miałem sposobność moją osobistą odwagę w oczach współtowarzyszów wypróbować, czułem się zmuszony wraz z nimi dzielić dobre i złe losy. Nie wolno mi jeszcze było kierować się większą od innych rozwagą. Jednakże pamiętam, jak, pędząc przez orane zagony, ubolewałem raz jeszcze, że Polacy zawsze dają przewagę gorącym popędom nad rozwagą

i miarą; pamiętam, żem wspominał niewczesne, niedowarzone wywołanie powstania i tę konieczność kojarzenia sił wobec nieprzyjaciela, która z wytrawnych, pracowitych, doświadczonych czyni u nas narzędzia dowolnie używane przez młodych wartogłowów.

Trwała ta medytacya tak długo, jak nasze pędzenie cwałem, ale, w miarę, jakeśmy się zbliżali do nieprzyjaciela, po tak długim biegu i siły opadały i niejednemu zapewnie późna przychodziła rozwaga. Kolumna też jazdy moskiewskiej zwróciła czoło ku nam i zebrawszy konie, zbliżyła się krótkim galopem. Naraz, bez komendy nasz szwadron się zatrzymał. Gdyby Moskale wtenczas śmiało na nas uderzyli, mogli wszystkich wyłapać, bo ich było na każdego z nas zadyszanego kilku świeżych, nie przegonionych. Ale im zabrakło tej śmiałości. Sami o jakie pięćdziesiąt kroków od nas podobnie się zatrzymali. Po obustronnym okrzyku «hura!» nastąpiła cisza. Ja wtenczas do swoich, po minucie wytchnienia: «Teraz, wiara, nie czas się namyślać, nie usłuchaliście mnie przed chwilą, słuchajcież teraz. Teraz nam dotrzeć trzeba koniecznie, inaczej przepadliśmy. Panowie oficerowie, dajmy przykład, idźmy naprzód, za nami wiara!»

I poszła ta garstka za nami, ale był to przykład może jedyny w dziejach wojennych jazdy. Poszła stępa i stępa doszła do linii nieprzyjacielskiej, stojącej w miejscu, w głębokiem milczeniu, wyrównanej, ściśnionej, jakby zdumionej takiem szalonem męstwem. Szło nas sześciu oficerów przodem, tak że, doszedłszy na cztery kroki od moskiewskiej linii ułanów, znaleźliśmy się między dwoma liniami, bo nasza raz jeszcze tu się zatrzymała. Przed frontem nieprzyjaciela żadnego nie było oficera. Spostrzegłem jednego młodziuchnego za frontem, któremu z wytrzeszczonych oczu patrzał strach, jak to u nich później spostrzegałem przy każdem prawie blizkiem w bitwie spotkaniu. Zawołałem na niego: «Panie oficerze, a cóż się tam z tyłu kryjesz? prosimy naprzód», ale daremnie.

Nie pozostawało, jak tylko samemu wcisnąć się do szeregu. Ale ułany moskiewskie w ściśniętych rotach, skierowali na mnie kilkanaście lanc. Na chwilę nie wiedziałem, jak ten żelazny mur przełamać. Podniosłem w górę pałasz i bokiem pod szereg nadjeżdżając, uderzyłem po lancach, tak iż w nich zrobiłem lukę i wcisnąłem się do niej. Naraz uczułem się bezpieczniejszym dla wielkiego ściśnienia, które nie pozwalało lanc przeciwko mnie użyć. Pamiętałem dobrze, że zadaniem oficera kawaleryi jest torować drogę podwładnym, dawać przykład, dlatego powinien on poprzestawać na zasłanianiu się pałaszem od otaczających, nie tracąc czasu na uderzenia. Tak czyniąc i zasłaniając się pałaszem, doczekałem się zupełnego zmieszania naszej linii z nieprzyjacielską i uniknąłem wszelkiej rany. Po pierwszej chwili spostrzegłem, że nasi, przed przemagającą liczbą wroga, poczynają zabierać się do ucieczki. Nie było też nic innego do czynienia, ale tu znowu chciałem ruchowi wstecznemu nadać kierunek, więc wyrwałem się z pomiędzy Moskali i spiesznym pędem wyprzedzając naszych w odwrocie, wołałem: «Za mną!» i zdołałem kilkunastu zebrać tak, aby goniącego za nami nieprzyjaciela napaść z boku. To się udało zupełnie, bo nieprzyjaciel gonił nieśmiało i nielicznie. Gdy więc mijało nas kilkudziesięciu w rozsypce, uderzając na nich, wywróciliśmy kilkunastu, reszta zaniechała pogoni. Ale w tem ostatniem spotkaniu klacz moja od krzyku i zgiełku, a może i od jakiego uderzenia w głowę, zaczęła waryować. Rzucała się na oślep między konie. Poznawszy, że szaleje, że kierować nią nie mogę, dałem jej pójść za pierwszą kupką koni naszych, byle nie wpaść między wrogów. Już wtenczas nie było innej rady, jak tylko z wszystkimi pędem uciekać. Taki to los kawaleryi; po nieskutecznej szarży jedynie tylko pozostaje ucieczka do miejsca, gdzieby się na nowo sformować mogła.

Już wszyscy na tem prawem skrzydle, według rozesłanych przezemnie rozkazów, podobnież około młyna

spiesznie ustępowali. Tylko pułk 4 strzelców konnych, jakkolwiek nie odcięty przez kolumnę, którą na siebie skierowałem, odparty i pędzony częścią nieprzyjacielskiej jazdy, nie znając okolicy, wpadł na zmrożoną łachę. Przeszedł kępę i po załamującym się lodzie, po utracie kilkudziesięciu koni, dostał się na lewy brzeg Wisły.

Przykrzyła mi się niemało przymusowa ucieczka, zwłaszcza, że już nawet nieprzyjaciel za nami nie gonił. Ale się klacz moja nie dała upamiętać. Ilekroć ją chciałem zatrzymać, rzucała się szalenie. Nareszcie ujrzałem niedaleko stojącą linię strzelców pieszych, a przed frontem stał dowódca dywizyi, jen. Szembek. Nie mogłem znieść myśli defilowania przed nim w takiej paradzie, oddałem więc cugiel żołnierzowi, który pędził przy mnie, a przerzuciwszy nogę przez szyję konia, spuściłem się na ziemię. Było jeszcze pięćdziesiąt kroków do piechoty. Doszedłem więc pieszo do jen. Szembeka i bez wstydu mogłem mu opowiedzieć odbytą przeprawę. Wkrótce potem spotkawszy się z poczciwym żołnierzem, który mnie z oka nie spuścił, wsiadłem znowu na konia i czas jakiś przy Szembeku pozostałem, bom widział, że się cała moja dywizya w drugą linię cofnęła. Nieprzyjaciel znowu się zbliżył, a siły nasze poczęły się cofać. Ruch na nowo wprawił klacz moją w szał. Rzucała się nieznośnie, aż się siodło podemną przekręciło i z konia spadłem. Stały w pobliżu nasze karabiniery; podjechał jeden ku mnie i zsiadł z konia, żeby mnie ratować, a widząc, że kule armatnie gęsto padały, rzekł: «Niech się pan nie boi». Dotknięty tem posądzeniem, rzekłem do niego: «Zabierz tę szkapę, pożycz mi swego konia, dostaniesz innego z szeregu» i dobywszy dukata: «Weź to na pamiątkę, a nie myśl, żem ci ze strachu dał dukata zamiast złotówki».

Ciężyła mi na sercu ta nasza ucieczka. Widziałem, żem przy dywizyi mojej niepotrzebny, nie mogłem się przeto oderwać od linii bojowej. Gdy zaszedł wieczór,

poszedłem szukać mego dowódcy. Wtem na gościńcu, przy 5 pułku, spostrzegłem braci moich: Konstantego, Zdzisława i Andrzeja, przybyłego z Warszawy. Gdy mnie z daleka ujrzeli, wzruszyli się do łez, widząc bowiem konia mego odprowadzanego, mniemali, żem został na polu bitwy. Witając mnie serdecznie, upominali, żebym nie szukał niebezpieczeństwa ponad obowiązek i wymawiali mi, żem się przy linii bojowej upierał, kiedy moja dywizya już była w tył cofnięta. Wyznaję, że mnie widok troskliwości braci wzruszył. Po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że, daremnie ginąc, zadałbym rodzinie żal głęboki. Jednakże za dzień ten, gdy się o nim rozeszły szczegóły, gdy zwłaszcza w dniach następnych przybyli oficerowie z 4 pułku strzelców i dowiedziano się, że ten pułk uratowany został przez szarżę jednego szwadronu 4 pułku ułanów, niemało słów uprzejmych usłyszałem. A gdy następnie, już po bitwie grochowskiej, wódz naczelny pierwsze rozdawał krzyże, mianował i mnie między pierwszymi za bitwę 19 lutego. W miesiąc potem, gdym odbywał lustracyę 4 pułku strzelców, podczas chwilowego jakby zawieszenia broni, które po naszem ustąpieniu za zamarzłą, ale już niepewną Wisłę nastąpiło, witany byłem w tym pułku, jako dobrze względem niego zasłużony.»

W nocy z 19 na 20 lutego, Zamoyski z pola bitwy pisał do matki:

«Nareszcie więc chrztu się doczekałem, choć jeszcze niezupełnie po mojej myśli. Bądź spokojna, droga Matko, prawdziwie, że kule mnie nie chcą, cztery czy pięć lanc tylko, źle wymierzonych, płaszcz mi przeszyło.

Ufam, że bracia wyjdą szczęśliwie, ale radbym bardzo postarać się dla nich o świetną jaką szarżę, uciesz szyliby się.

Żegnam drogą Matkę, jestem z nóg ścięty, a do jutra już tylko trzy godziny snu.»

« Nazajutrz (20 lutego) nieprzyjaciel nie napierał. Przed południem zwołani zostali dowódcy korpusów, dywizyi i szefowie sztabu do głównej kwatery. Chłopicki już na dobre wystąpił, jako wódz naczelny, ale munduru wdziać nie chciał. Miał na sobie długą granatową kapotę, a na głowie, niefortunnym przypadkiem, furażerkę z wypustkami amarantowemi taką, jaka była przepisana dla cywilnych sług oficerskich. Przy Chłopickim ujrzeliśmy z radością oficera, którego całe wojsko uważało za celującego w sztabie kwatermistrzostwa, podpułkownika Prądzyńskiego.

Dnia tego Chłopicki zamierzył sobie rozpoznać pozycyę, jakiej ostatecznie bronić postanowił przeciwko całej prawdopodobnie nieprzyjacielskiej armii. Chciał, by mu towarzyszyli wszyscy główni dowódcy, tak ażeby każdy się przejął obowiązkiem i zadaniem, jakie miał spełnić na tej części linii, którą miał rozkaz zająć. Prawe skrzydło nasze, oparte o Wisłę, zajmował Szembek z dywizyą 4 piechoty. Środek, a przed nim wsławioną następną bitwą olszynę, zajmowały: dywizya 2 piechoty pod Żymirskim i dywizya 3 pod Skrzyneckim. Przed frontem mieliśmy obszerne bagno, w jednem tylko miejscu przecięte, jakby szerokim, suchym zagonem. To bagno okrążone było lewem skrzydłem dywizyi 3, tak, że obszerna była przerwa między naszym środkiem, a lewem skrzydłem, które składała dywizya 1, stojąca pod Białołęką, aż na trakcie ku Jabłonnie. Linia nasza od prawego do lewego skrzydła tworzyła półkole, którego środkiem było przedmieście Praga. Forpoczty nieprzyjaciela, dotykały naszych na całem półkolu od Miłosnej, od Stanisławowa przez wieś Ząbki, od Białołęki i od Jabłonnej. Pozycya nieprzyjaciela na przeciwnej stronie bagna nieco górowała nad naszą.

Do prawego skrzydła naszego, po obu stronach szosy, przystęp był otwarty, dla jazdy sposobny. Przed naszym środkiem olszyna była bagnista, ale dla piechoty przystępna. Dalej ku lewemu skrzydłu bagno nieprzebyte.

Dwie tylko były na niem przerwy: ów zagon, wyżej wspomniany, po którym jazda przejść mogła szwadronami, i grobla od Ząbek do Pragi. Od Białołęki do traktu ku Jabłonnie ciągnęło się znowu pole suche i otwarte.

Za prawem skrzydłem naszem i za środkiem stał korpus II jazdy, Łubieńskiego, za nim w pewnej odległości korpus jazdy rezerwowej i kilka batalionów piechoty w rezerwie. Za lewem skrzydłem stał I korpus jazdy, Umińskiego. W środku półkola Praga naprędce oszańcowana, w niej pułki artyleryi, służba zdrowia, administracyi itp. Na Wiśle dwa mosty łyżwowe, a przed niemi mocny szaniec przedmostowy.

Na kilku punktach przed linią naszą rozkazano wysypać okopy dla artyleryi, mianowicie dla bronienia przystępu do olszyny, którą przed linią zajmowała nasza piechota. Pod koniec tego rozpoznawania linii, której mieliśmy bronić, Prądzyński i podpułkownik Lewiński, szef sztabu jazdy, wziąwszy mnie ze sobą i stanąwszy nawprost przejścia suchego między dwoma bagnami, tak mówili do mnie: «Pod koniec bitwy nieprzyjaciel prawdopodobnie będzie usiłował tędy rzucić swoją jazdę i przełamać nasz lewy środek. Tu więc twoje zadanie i korpusu II jazdy; miejże w pogotowiu czem ją zatrzymać tam, gdzie nad jeden szwadron jeszcze się nie będzie mogła rozwinąć, inaczej wpadnie nam w tył i przed nami dojdzie do Pragi. Strzeż więc tego punktu, jak oka w głowie». Ale tegoż dnia sam jen. Chłopicki dał mi rozkaz, który następnie, w dzień bitwy grochowskiej, 25 lutego, pociągnął za sobą skutki nieprzewidzianego rozmiaru. Na mocy tego rozkazu, jedna brygada jazdy miała być co dnia rano odkomenderowana do głównej kwatery. Chłopicki chciał ją mieć, jak się wyraził, ciągle w pogotowiu, «pod ręką». Gdy następnego dnia rano zameldował się Chłopickiemu dowódca tak wykomenderowanej przezemnie brygady, Chłopicki zapytał go, jakie są w niej pułki, a usłyszawszy, że brygada, jak wszystkie naówczas,

składała się z jednego starego i jednego młodego pułku, odesłał ten młody pułk do mnie z naganą i objaśnieniem, że on chce brygady z dwóch pułków starych złożonej. Nie dość było tego; przywoławszy mnie, rzekł: «Ja z nikim z jazdy nie chcę mieć do czynienia, jak tylko z tobą i Łubieńskim. Pamiętaj, abym miał co dnia rano dwa świeże pułki, a stare.» Nie dość tedy, żeśmy mieli naczelnego wodza, który nie dowodził, ale ten, co go w dowództwie wyręczał, chciał pomijać podrzędnych dowódców, a dowolnie w ich miejsce używać, kogo sam sobie upatrzył.

Tak więc jazda nasza, mając z kolei dostarczać dwa pułki stare, nie od dowódcy jazdy, jen. Weyssenhoffa, nie od sztabu jego odbierała do tego rozkazy; zamiast takich rozkazów, pisałem jakby zaproszenia do dowódców jazdy, aby raczyli przyjąć kolej w dostarczaniu codzień, na żądanie jen. Chłopickiego, dwóch pułków starych do kwatery głównej. Że takie zaproszenie, pozbawione wszelkiego charakteru służby regularnej, zostało wysłuchane, to jedno wystarcza, żeby dać pojęcie o dziwnych ze wszech miar warunkach, w jakich się to pierwsze nasze spotkanie z nieprzyjacielem odbywało.

Dnia 24 była kolej na korpus II; wykomenderowanemi pułkami 2 i 4 ułanów dowodził Kicki[1]. Że zaś dnia 25 bitwa rozpoczęła się przed godziną, o której te dwa pułki zwykły się luzować, pozostał więc Kicki z tą brygadą i przez dzień następny. Ale wskutek tego do obrony przejścia między bagnami, którego miał przed nieprzyjacielem bronić, «jak oka w głowie», korpus II w dzień bitwy 25 przy czterech pułkach młodych liczył dwa już tylko stare.

Dzień 21, 22, 23 zeszły cicho; nieprzyjaciel widocznie gromadził siły swoje. Doszły i do nas niektóre pułki nowe i po dywizyach rozdzielone zostały.

---

[1]) Ludwik Kicki mianowany jenerałem brygady 9 marca 1831.

Otrzymaliśmy wiadomość o szczęśliwem spotkaniu jen. Dwernickiego pod Stoczkiem, gdzie same młode pułki i szwadrony, z wysłużonych żołnierzy nowo uformowane, zdobyły na nieprzyjacielu dwanaście dział. Niemniej Chłopicki, do którego codzień dojeżdżałem z raportem, wygadywał na wszystkie nowe formacye. Liczba ich dochodziła do 20.000. Stare wojsko nasze liczyło 35.000. Z tego ogółu jednak mieliśmy na placu tylko 39 do 40 tysięcy i dział 96. Nieprzyjaciel w dzień bitwy grochowskiej liczył przeszło 80.000 wojska i 300 dział.

Chłopicki, jak niemal wszyscy starsi w wojsku, zaszczycał mnie łaskawością i zwierzał mi się. Widział we mnie gotowość do służby, ale przedewszystkiem to mnie jemu zalecało, żem zarówno z nim uważał rzecz całą za niewczesną i że bodźcem moim była nie nadzieja powodzenia, ale poczucie powinności.

Jednego razu, mówiąc o znacznej liczbie pułków nowej formacyi, rzekł: «Na co mi się ta trzoda przyda? Z dawnem wojskiem dośćby było 6.000 trupem położyć i skończyć z honorem. Teraz i 10.000 zaledwie wystarczy.» Zapytałem, co w razie przegranej bitwy zamyśla uczynić i dodałem: «Odwrotu nie mamy, na tyłach naszych dwa mosty nie wystarczą, lód na Wiśle niepewny. Czy będziemy bronili Pragi?» Na to Chłopicki: «Jak nas Moskale do ustąpienia zmuszą, cofnę się pod Modlin; niech sobie Warszawa radzi, jak chce, jam tej burdy nie zaczął, ludzi też darmo tracić nie myślę, bylebym jakkolwiek honor uratował[1].» Pod takim to wodzem ważyły się losy ojczyzny naszej. Szło mu o tak zwany honor,

---

[1]) Tkwiło w pamięci Chłopickiego po niedawnej podróży do Włoch świeże jeszcze w pamięci wszystkich nędzne zachowanie się Neapolitańczyków, gdy, zerwawszy się do rewolucyi (1820), haniebnie ulegli bez boju przed nadesłanem na poskromienie ich wojskiem austryackiem; nigdzie przed żadnym oddziałem awangardy austryackiej nie dotrzymali placu i ściągnęli na siebie śmieszność i powszechną pogardę. (W. Z.)

ale o nic więcej. To też o żadne przygotowania się nie troszczył, a widocznie ufał, że nasz stary żołnierz plamy na siebie nie ściągnie. Żadnej też nie miał inicyatywy. Ktoś o nim później powiedział, że, gdyby go Dybicz nie zaczepił w olszynie, stałby pod nią po dziś dzień. Ale zaczepiony bronił się jak lew. Skoro 25 rano rozpoczął się ogień w olszynie, podjechał pod nią i stał na tem miejscu godzin kilka w gęstym ogniu. Batalion po batalionie wyprawiał na zluzowanie znużonych, zdziesiątkowanych w olszynie. Przykład jego, ciągła komenda, nawet ten ton brutalny, jakim ją dawał, przyczyniły się do przedłużenia obrony.

W południe, gdy zdawało się Chłopickiemu, że nieprzyjaciel się chwieje i że to pora właściwa do uderzenia nań jazdą, widząc, że korpus moskiewski Szachowskiego ciągnie wzgórzami od prawego skrzydła ku środkowi, wyprawił adjutantów do jen. Krukowieckiego, aby podobnież większą część siły swojej dywizyi 1 piechoty i korpusu I jazdy ku środkowi naszemu wyprawił. Do jen. Łubieńskiego zaś wysłał adjutanta z rozkazem, aby natychmiast brygadę mu nadesłał. Oba te rozkazy nie zostały wykonane.

Około trzeciej po południu nieprzyjaciel w przemagającej sile wyparł naszych z olszyny, a w tej samej chwili granat utkwił w koniu Chłopickiego i, pękając, mocno mu obie nogi zranił. Wyniesiono go z placu. Żymirski, dowódca dywizyi 2, padł śmiertelnie ranny, piechota się cofnęła, artylerya odsłoniona musiała opuścić swój szaniec.

Chłopicki ranny, odwieziony do Warszawy, gorzko narzekał na nieposłuszeństwo Łubieńskiego i Krukowieckiego. Przez dni następne nieraz się nawet w tych słowach odzywał, które cała Warszawa za nim powtarzała: «Gdybym był istotnie wodzem naczelnym, oddałbym Krukowieckiego i Łubieńskiego pod sąd. Obaj zasłużyli na rozstrzelanie.»

Co w istocie zaszło na naszem lewem skrzydle, nie wiem. Domyślać się tylko mogę, że nieprzyjaciel starannie ukrył przed stojącą naprzeciw siebie linią odwrót większej części sił swoich ku środkowi, że przeto Krukowiecki nie czuł się zrazu bezpieczny od natarcia, którego w wilię doświadczył w sile znacznej. Że zaś Chłopickiego nie uważał za istotnego wodza, nie wahał się zapewne opóźnić z wykonaniem rozkazu, który mu nie trafiał do przekonania. Rozkaz ostatecznie został wykonany, ale dopiero w kilka godzin, po kilkakrotnem powtarzaniu, nie prędzej jednak, jak po ustąpieniu z placu jen. Chłopickiego i kiedy już opuszczona była olszyna i cała pierwsza linia nasza.

Co do jen. Łubieńskiego, on także przysłanego sobie rozkazu nie wypełnił. O powodach do tego mogę tem pewniej świadczyć, że, jeżeli zawinił, wina spada i na mnie, bo, będąc przy nim, podzielałem z całem przekonaniem odpowiedzialność za jego decyzyę.

Gdy nam adjutant Chłopickiego przyniósł rozkaz wyprawienia jednej brygady ku prawemu skrzydłu w pierwszą linię, zapytałem go natychmiast: «A Kickiego brygada czy już była użyta?» Gdy zaś odpowiedział, że żadna dotąd jazda w pierwszej linii użyta nie była, rzekłem: «A więc ten rozkaz nie do nas się stosuje, ale do Kickiego. On tam jest pod ręką jen. Chłopickiego, nam tutaj kazano bronić przystępu nieprzyjacielowi. Dwa pułki nasze stare są z Kickim na przodzie, my tu mamy tylko dwa stare pułki oprócz młodych; a patrz, naprzeciw nas stoi dywizya ułanów nieprzyjacielskich gotowa przejść między błotami, skoro spostrzeże, że część naszej siły odchodzi i wpaść w tył naszej linii. Jeżeli na prawem skrzydle potrzeba więcej jazdy, to jej żądaj od rezerwy, która za nami stoi.» Ale tu właśnie był sęk, że Chłopicki nie znał i znać nie chciał nikogo w jeździe, prócz Łubieńskiego i mnie. Gdzie był jen. Weyssenhoff, gdzie pułkownik Lewiński, nie wiem, ale to

pewne, że, gdyby rozkaz dostawienia brygady był doszedł do dowódcy lub szefa sztabu jazdy, wykonanie byłoby nastąpiło niezwłocznie. Przekonany jestem, że Chłopicki, przysyłając po brygadę do Łubieńskiego, mniemał, że dona z któregokolwiek korpusu jazdy będzie mu dostarczona. Nie odgadł tego Łubieński, ani ja nie odgadłem.

Tymczasem naprzeciw prawemu skrzydłu naszemu nieprzyjaciel wystąpił w ogromnej sile jazdy. Kirasyery w kolumnie szwadronowej, mijając sformowane w czworobok bataliony nasze, zapędziły się wzdłuż szosy aż pod naszą jazdę rezerwową. Przed nią się zatrzymały i znów popędziły napowrót. Skoro dostrzegłem kurz wielki i hałas w kierunku prawego skrzydła, ruszyłem za pozwoleniem dowódcy w tę stronę i byłem świadkiem osobliwego spotkania przy samym żelaznym pomniku na szosie. Pułk 2 ułanów z brygady Kickiego odkomenderowany do boku naczelnego wodza, pominięty w pierwszej linii przez kirasyerów, cofając się teraz w porządku zupełnym, znalazł się naprzeciw nich, ale oba pułki szły w odwrotnych do ogólnej pozycyi kierunkach. Pułk 5 ułanów szedł w pogoń za kirasyerami, którzy tym sposobem znaleźli się między dwiema liniami jazdy naszej i wkrótce zniszczeni zostali, albo w niewolę wzięci przez naszych i to w oczach rozwiniętej linii jazdy nieprzyjacielskiej, tak blizko stojącej, że niejeden z rozbitych kirasyerów zdołał do niej uciec pieszo. Miło mi było patrzeć na te trzy szwadrony pułku 5, imienia naszego, po raz pierwszy a tak dzielnie nacierającego na starą liniową jazdę moskiewską, podczas gdy czwarty szwadron tego pułku jeszcze się formował na przedmieściu Pradze. Jeden z naszych ułanów w oczach moich wśród pomieszanych szeregów, dobywszy pistoletu zsiadł z konia. Zapytałem: «Poco zsiadasz?» a on: «Cóż, panie, kiedy ich się lanca nie chwyta», i w tej chwili strzelił do kirasyera, przyłożywszy mu pistolet niemal do samych piersi.

Jednocześnie nasza baterya rakietników, przybywszy z rezerwy, dała ognia do jazdy nieprzyjacielskiej z niepospolitym skutkiem. Broń ta mało jeszcze była w użyciu. Race nasze rzuciły postrach między jazdę i rozległą jej linię zatrzymały. Dywizya jazdy nieprzyjacielskiej, stojąc naprzeciw wiadomego między dwoma błotami zagonu, widząc, że po drugiej stronie tej cieśniny stoimy w pogotowiu, nie ośmieliła się przez nią puścić. Niemniej przecież cała piechota nasza, opuściwszy olszynę i zajmowaną na prawem skrzydle pozycyę, choć w zupełnym porządku, jednak zwolna ustępowała. Nieprzyjaciel, minąwszy błota, zajął pozycyę, którąśmy opuścili, ale widocznie był znużony, bo za nami szła już tylko jazda, nie piechota. Podobnie było z naszą piechotą; znużona sześciogodzinnym zaciętym bojem, minęła korpus II jazdy, który rozwinął się we dwie linie i przez resztę dnia, luzując się z naszą jazdą rezerwową, zasłaniał nasz odwrót, wytrzymując gęsty ogień działowy.

Na tem się dzień ten zakończył, a że smutno było, łatwo się domyśleć. Pod wieczór już cała piechota przechodziła Pragę i przez mosty szła do Warszawy. Kto rozkazał, nie wiem, bo od chwili, kiedy Chłopickiego uniesiono z placu, każdy dowódca korpusu lub dywizyi radził sobie na własny domysł. Nikomu zaś, prócz Chłopickiego, nie przyszło na myśl opuścić Warszawę tem bardziej, że nas nie cisnął nieprzyjaciel i że mogliśmy spokojnie przez most przechodzić. Nie wiem, co było powodem, że nas nieprzyjaciel nie parł ku mostowi. Mógł posunąć swą artyleryę nad Wisłę tak, aby pod wieczór mostu dosięgała. Znał przecie doskonale i pozycyę naszą z mostem na tyle i położenie mostu; niszcząc most, mógł, o ile nie całe wojsko, to znaczną część jego odciąć od Warszawy i, jeżeli nie otoczyć na Pradze, to zmusić do ustąpienia pod Modlin. Przypisać to należy chyba nieśmiałości, jaką wszystkie ruchy nieprzyjaciela przed bitwą i po niej były nacechowane. Być może, że w ten dzień

przyczyniło się do tego i wrażenie, jakie na całej armii nieprzyjacielskiej zostawiły nasza piechota i artylerya oporem, stawionym przez większe pół dnia siłom tak wiele przemagającym. Artylerya nasza bez zmiany przez cały dzień odpowiadała na baterye nieprzyjacielskie, które po dwa, a w niektórych punktach po trzy razy się luzowały. Słyszeliśmy, że po bitwie grochowskiej sto dział moskiewskich, mniej więcej uszkodzonych, odprowadzono w tył[1]). Chlubne zaiste świadectwo dla celnych strzałów naszych 96 dział! Nie wiem, ilu ludzi stracił w tej bitwie nieprzyjaciel. Gazeta petersburska podała stratę armii moskiewskiej na 8.000 ludzi. Naszych liczono 6.000 poległych, a w szpitalach Warszawy 13.000 rannych, w części i nieprzyjacielskiego żołnierza.

O artyleryi naszej nadmienię szczegół, którego byłem świadkiem. Pod koniec dnia, kiedy korpus II jazdy cofał się na Pragę, mniemałem, że to być może stanowczą dla nas przegraną, a przeto uległem pokusie zostania się w tyle przy jeździe rezerwowej, która po nas linię zajęła. Na wzgórzu stała przy niej i dzielnie się odstrzeliwała baterya konna podpułkownika, późniejszego jenerała, Konarskiego. Po jakimś czasie Konarski zameldował dowódcy, jen. Skarżyńskiemu[2]), że nie ma więcej amunicyi, że musi się cofnąć, by się w nią na nowo zaopatrzyć. Gdy z działami odstąpił, ogień artyleryi nieprzyjacielskiej naturalnie cały się skierował na jazdę; co chwila kule po jednej rocie wyrywały z szeregu. W moich oczach pułkownik Zielonka, dowódca 5 pułku strzelców konnych, rzucony został z koniem o ziemię, ale powstał zdrów. Skoro mu innego podano konia, zwróciłem jego uwagę na bardzo niekorzystną pozycyę, jaką pułk jego zajmował, bo na samym wierzchołku wzgórza był naj-

---

[1]) Dla braku artylerzystów, według raportu jen. Dannenberga.

[2]) Kazimierz Skarżyński mianowany jenerałem brygady 9 marca 1831.

dogodniejszym celem dla artyleryi. Radziłem posunąć się o dwieście kroków ku nieprzyjacielowi, a tem samem zejść niżej. Niemałej doznałem radości, widząc o wiele mniejszą liczbę, ubywających z szeregu, ludzi i koni. Nie wiem, czy minęło pół godziny, kiedy Konarski cwałem z bateryą wrócił na pozycyę i na nowo rozpoczął ogień.

Inny szczegół charakterystyczny. Z korpusu I jazdy od lewego skrzydła przybyła do naszego środka jedna dywizya i przedłużyła naszą linię. Gdy pod wieczór korpus II opuszczał linię i cofał się ku Pradze, odsłonił tem samem prawe skrzydło korpusu I. Nie miałem obowiązku meldowania dowódcy korpusu I tego, co się tuż przy jego skrzydle działo, ale jen. Umiński taką miał sławę złośliwego upatrywania cudzych win, że, choć to było zbyteczne, dojechałem do jego linii i zapytałem o niego. Zastałem przed frontem dowódcę dywizyi, jen. Tomickiego, niegdyś mego pułkownika w 1 pułku ułanów; pod jeneralską furażerką miał czarną jedwabną szlafmycę, wciśnioną na uszy. Ogień armatni był srogi, ale linii nieprzyjacielskiej już nie było widać. Słońce zachodziło, za nami wszystko ustąpiło na Pragę, nie było już co zasłaniać. Po dawnej znajomości pozwoliłem sobie rzec do Tomickiego: «Jenerale, jabym sądził, że niema powodu dłużej się upierać i ludzi tracić daremnie, mógłbyś choć zwolna ustępować.» A on na to swoją mazurską wymową: «Mas racyę, ale cóz chces z tym Umińskim; gotów cłeka zbesceścić, jak ustąpię bez rozkazu.» Tak to karność, wpojona w serca ludzi zacnych, tworzy bohaterów mimo wiedzy; tak to rozkaz, dany przez nieobecnego dowódcę, bywa święcie wykonany, chociaż najwyższej wymaga ofiary.

Jeszcze tu nadmienię o moich braciach, o Konstantym i o Zdzisławie, poruczniku. Konstanty wyjątkową uprosił sobie łaskę, żeby nie nosić lancy, miał za to doskonałą lunetę. A że mu się nudziło stać nieczynnie w szeregu, zwłaszcza pod ogniem armatnim, pocieszał się śle-

dzeniem ruchów nieprzyjaciela. Jakoż zadziwił mnie, gdy po bitwie opowiadał, jak zrazu widział, że jazda nieprzyjacielska gromadzi się naprzeciw naszego prawego skrzydła, a jak znowu po południu widział wielką siłę nieprzyjaciela, piechotę i artyleryę, ciągnącą od lewego skrzydła wzgórzem ząbkowskiem ku środkowi naszemu. Był to w istocie korpus Szachowskiego, który niósł pomoc głównej armii. Gdy następnie pułk 5 szedł do szarży i, przywitany gęstym kartaczem nieprzyjacielskim, zatrzymał się, Zdzisław, jak należało dowódcy plutonu, widząc zamieszanie w szeregu, w którym kilku ludzi padło, zakomenderował: «Od prawego do trzech rachuj się!», na co Konstanty z szeregu do młodszego brata: «Człowieku, tu przecie nikt trzech nie zliczy!» Zliczyli przecież, a pułk 5 dnia tego zdobył sobie w armii dobre imię. Nie przestał być liczonym do pułków młodych, ale ilekroć od tej pory dowódca chciał młodego pułku użyć, żeby stare oszczędzać, dawał pierwszeństwo pułkowi 5, jako wzbudzającemu więcej od innych zaufania.

Nie zaszło jeszcze słońce, kiedy z obu stron zawieszono strzały. Gdym wszedł na Pragę, właśnie korpus II wchodził na most ku Warszawie Przechód wojska odbywał się w porządku wzorowym. X. Michał Radziwiłł, który przez cały ciąg bitwy z godnością trwał pod ogniem, ale w zupełnej nieczynności, stał teraz przy moście od strony Pragi z głównym sztabem i do późnego wieczora czuwał nad przechodem wojska, aż całe przeszło, prócz tej części piechoty i artyleryi, która pozostała na szańcach, otaczających Pragę i w szańcu przedmostowym.»

Władysław Zamoyski do panny d'Arnaud:

z lutego 1831.

«...Staliśmy przez tydzień naprzeciw siebie po prawej stronie Wisły pod Warszawą, w końcu 25 wieczorem ich artylerya zmusiła nas do opuszczenia stanowiska. Najstarsi żołnierze nie pamiętają takiego ognia. Moskale,

co robią, robią na pewno, nic na przypadek nie zdając. Ich wojsko zaledwie widzimy, atakują prawie wyłącznie armatami, jakby w czasie oblężenia. Tracą działa, odpieramy ich, gdy się naprzód posuną, w końcu jednak liczba armat przeważa. U nas męstwa nie brak, nawet starym, ale jakaż nieudolność! Wasi jenerałowie zdobyliby tu sławę i pieniądze, gdyż, choć trudno temu uwierzyć, najmniej nam brak pieniędzy, ale zato ludzi! ludzi!»

Ludność warszawska przypatrywała się zdala walkom, rozgrywającym się między 19—25 lutego u wrót Pragi. Pani Działyńska pisała do panny d'Arnaud: «Całe dnie spędzałam na tych nieszczęsnych wałach (Warszawy), z których widać było toczące się bitwy z drugiej strony Wisły.»

«Korpus II miał sobie przeznaczoną główną kwaterę za rogatką Mokotowską. Otrzymałem jednak od jen. Łubieńskiego pozwolenie przenocowania w domu. Widział, żem był mocno zmęczony, kazał mi spocząć do następnego dnia, alem niewiele użył tego spoczynku. Poszedłem najprzód do x. Adama. Kilka osób tam zebranych dało mi pojęcie o powszechnym po bitwie rozstroju. Każdy pytał, co to będzie. Chłopicki ciężko ranny, wojsko bez naczelnika, każdej chwili spodziewano się od nieprzyjaciela somacyi pod groźbą zarzucenia miasta granatami z prawego brzegu Wisły. Późny już był wieczór, a nie widziałem, by dochodziło do jakiegokolwiek postanowienia. Umyśliłem udać się do dwóch oficerów, do których miałem największe zaufanie: Chrzanowskiego i Prądzyńskiego. Pierwszy mieszkał aż na Lesznie. Było po dziesiątej; był w łóżku, spał głęboko. Mimo to, przebudzony, przyjął mnie uprzejmie, przyznał, że radzićby należało i że przededniem koniecznie postanowienie powinno być powzięte. Opowiedziałem, że x. Adam zwołał rząd na godzinę czwartą rano do namiestnikowskiego pałacu. Obiecał, że się tam stawi na zawołanie. Łatwo się domyśleć, ile ze strony Chrza-

nowskiego było narzekania na wszystkich i na wszystko. To bowiem było u niego zwykłym wstępem do każdej narady. Ale to mu przyznać winienem, że uderzający był kontrast między jego przekonaniem, że żadnej nie ma dla nas nadziei, a jasnym i jędrnym poglądem na środki, jakiemiby rozpoczętemu dziełu w danych okolicznościach nadać można kierunek najkorzystniejszy.

Od Chrzanowskiego udałem się na Nowy Świat do Prądzyńskiego, ale po drodze wstąpiłem do mego szwagra, Działyńskiego. Było po dwunastej; spał i on, jak nieomal cała Warszawa, zwłaszcza wojskowi, których tydzień cały w nieustannem zetknięciu i kilkakrotnem ścieraniu się z nieprzyjacielem zmęczył doskonale. Na moją prośbę zerwał się Działyński, by pójść ze mną do Prądzyńskiego, którego i on wysoko cenił i potrafił sobie ująć. Prądzyński, jak drudzy, spał, bo i cóż miał robić? Ja, w bliższym będąc stosunku z x. Adamem i wiedząc o mającej się zebrać przededniem radzie rządu, starałem się pobudzić zdolniejszych, by każdy w miarę możności radził, jak naglącej zapobiedz potrzebie. Prądzyński, stosując się do zaproszenia x. Adama, obiecał stawić się przededniem w namiestnikowskim pałacu.

Wówczas nie wolno jeszcze było w Warszawie jeździć powozami, musiałem więc chodzić piechotą, ale tak byłem znużony i tak mnie sen ogarniał, że mnie bracia pod rękę prowadzili, bo, idąc, spałem. Wróciwszy do x. Adama, zdałem sprawę z rozmowy z Chrzanowskim i Prądzyńskim. Była godzina pierwsza rano. Nie wiedząc, cobym jeszcze mógł począć, poszedłem nareszcie szukać spoczynku.

Nazajutrz rano, 26 lutego, skorom wstał, doszła mnie wiadomość, że w nocy na radzie rządu okazał się niemal powszechny upadek ducha. Każdy z obecnych zapytywał, co poczniemy, gdy feldmarszałek Dybicz zagrozi spaleniem miasta, jeśliby mu wstępu do niego broniono. Jenerałowie byli tak potrwożeni, że mówili o zło-

żeniu broni. Na to x. Adam, który tylko co odebrał wiadomość, że mu dobra na Wołyniu i Podolu zostały skonfiskowane, zawołał: «Poco ją składać? niechże Moskale przyjdą po nią», a potem dodał spokojnie: «Jeszcze przecie nas żadna nie doszła somacya, nie o niej więc radźmy. Usiłujmy sami tak się postawić i przygotować, żebyśmy każdej odpowiedzieli potrzebie. Idzie przedewszystkiem o wojsko, a więc o naczelnego wodza.»

W istocie pierwszem teraz zadaniem rządu było mianowanie naczelnego wodza, bo nikt Radziwiłła za takowego już nie uważał. Ale między starszymi w wojsku żaden nie miał potrzebnego uroku, trzeba więc było wybierać między młodszymi. Rząd, zasięgnąwszy zdania kilkudziesięciu oficerów, zamianował wodzem naczelnym Skrzyneckiego[1]). On to na czele dywizyi 3 pod Dobrem 17 lutego, potem w olszynie i w odwrocie pod Grochowem, a wreszcie i na tej właśnie naradzie, okazał niezaprzeczoną wyższość wojskową i obywatelską. Jasny sposób, w jaki opowiadał bitwę grochowską i wyliczał popełnione w niej błędy, zjednał mu ogólne uznanie. Radziwiłł szlachetnie głosował za Skrzyneckim, pomimo, że tenże ostro na niego napadał.

Sejm, który ogłosił się przy huku armat «nieustającym» i zastrzegł sobie możność obradowania nawet za granicami Polski, byleby się z obu izb zebrało trzydziestu trzech członków, a ci z grona swego wybrali prezesa, d. 26 lutego, mając sobie przedłożoną nominacyę tymczasową Skrzyneckiego na naczelnego wodza, zatwierdził ją jednomyślnie. Jen. Krukowiecki jednocześnie przez rząd powołany został na gubernatora miasta Warszawy. Nowy wódz naczelny szefem sztabu mianował podpułkownika Chrzanowskiego, a kwatermistrzem jeneralnym podpułkownika Prądzyńskiego, awansując obu na pułkowni-

[1]) Jan Skrzynecki mianowany jen. brygady 6 lutego 1831.

ków. Rząd Narodowy obydwóch mianował później jenerałami[1]).

Ministrem wojny po Izydorze Krasińskim mianowany został jen. Morawski, sekretarzem jeneralnym komisyi wojny pułkownik Zieliński, ten sam, co spisał kapitulacyę Modlina.

Po zmarłym jen. Żymirskim, dowódcą dywizyi 2 mianowany jen. Giełgud, po Skrzyneckim dowódcą dywizyi 3 jen. Małachowski, po Krukowieckim[2]) dowódcą dywizyi 1 jen. Rybiński.

Wszystkie prawie dywizye i pułki dostały nowych dowódców.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Warszawa, 26 lutego 1831.

Jedno słowo przez ogrodnika. Otóż znowu jesteśmy w Warszawie. Nieprzyjaciel przed Pragą po ciężkiej walce wczorajszej: oto, do czego nas doprowadziło malowane dowództwo Radziwiłła, któreśmy bezmyślnie tak długo znosili. Nareszcie wczoraj, gdy jego doradca Chłopicki został raniony, nie mogło tak dłużej trwać. Mamy teraz wodza prawdziwego. Czy mu się powiedzie, tego nie można przewidzieć, ale działać będzie, naprzód nas poprowadzi, to się zdaje niewątpliwem.

Wczoraj braliśmy górę aż do pierwszej, kiedy rana Chłopickiego i niespodziana szarża kawaleryi pomieszały nam szyki. Za tę szarżę odpłaciliśmy się, bo pułk kirasyerów, który ją na nas przypuścił, zniszczony został i to przez 2 pułk ułanów z jednej strony, a przez 5 pułk z drugiej. Więc nasz młody pułk już się dosłużył dobrego imienia; straty w ludziach poniósł, ale mu się powiodło. Opisać nie umiem, jak rad jestem z udziału, jaki w tem

---

[1]) 1 kwietnia 1831.

[2]) Krukowiecki oświadczył, że nie przyjmie naczelnego dowództwa chociaż nikt nie myślał mu go ofiarować. (W. Z.)

mieli bracia. Ja przypadkowo znajdowałem się przy 2 pułku ułanów. Jednakowo odwrót już się rozpoczął, a, żeśmy byli bez wodza, znaleźliśmy się na Pradze, a potem w Warszawie, sami nie wiedząc, jakim sposobem, i bardzo niezadowoleni.

Obozujemy wkoło Warszawy aż do nowego rozporządzenia. Prosimy o wiadomości, ale proszę pismo zmieniać, by się nie narażać.»

V

DĘBE WIELKIE (31 MAR.). — KAŁUSZYN (1 KWIET.)

«Doczekało się nareszcie wojsko wodza, nie pozornie albo mimowolnie, jak dotąd, sprawiającego swój urząd, ale dzielnego, doświadczonego i chętnego. Wojsko było znużone, straciło niemało wyrobionych żołnierzy, których zastępowano rekrutami. Jakkolwiek mężny opór w spotkaniach z nieprzyjacielem stawiało, było przecież pod wrażeniem ciągłego dotąd ustępowania z pola bitwy, a co najgorsze, po bitwie grochowskiej, tak w wojsku jak w stolicy, chwilowe przemagało wrażenie, że wszystko skończone, że już teraz do układów przyjdzie.

Wśród takich okoliczności, pierwszem zadaniem było podnieść ducha w całem wojsku, wrócić nadzieję, ośmielić wszystkich do nowych ofiar, utwierdzić przekonanie, że na wojsku wielkie jeszcze ciężą obowiązki. Zaledwie dni kilka minęło, kiedym z radością spostrzegł, jak dzielnie, zacnie, rozumnie Skrzynecki tej części swego zadania odpowiadał. Chłopicki częstował wszystkich samem tylko jakiemś rozpaczliwem pojęciem honoru. Skrzyneckiego słowa i rozkazy dzienne tchnęły poczuciem obowiązku i ufnością w sprawiedliwość Boga. Imię «Bóg» w rozkazie dziennym samo przez się było nowością niesłychaną w tych czasach, mocno jeszcze przesiąkłych niewiarą XVIII wieku. Za Chłopickiego i Radziwiłła nie było nigdy wzmianki o jakiejkolwiek za czyny wojenne nagro-

dzie; zdawało się, jak gdyby w nieuniknionej dla kraju klęsce nie było miejsca dla nagrody za bezowocne czyny lub usługi. Jedną z pierwszych czynności Skrzyneckiego było rozdanie krzyża wojskowego świeżo zasłużonym. Krzyż ten o tyle większy miał urok, że, postanowiony przez sejm nasz konstytucyjny, nie był nigdy przez żadną obcą władzę rozdawany ani splamiony. Każdy Polak, ozdobiony wstążką niebieską i czarną, otrzymał ją z rąk prawowitej polskiej władzy. Rozdanie pierwszych krzyżów odbyło się we wszystkich korpusach z wielką okazałością i najzbawienniejsze w wojsku wywarło wrażenie. Jeżeli we mnie cośkolwiek to wrażenie osłabiło, to chyba wiadomość, że sam na tej liście zostałem umieszczony.

Rzetelnie mi się zdawało, że dotychczas nie dana mi była jeszcze sposobność do żadnego czynu ponad ścisły obowiązek, a cześć i pragnienie, z jakiemi zwykłem patrzeć na ten nasz krzyż wojskowy, łączyły się z przekonaniem, że ta nagroda należy się tylko za czyny, przewyższające obowiązek. Jen. Łubieński, widząc moje zdziwienie, gdy nadeszły z sztabu głównego imiona krzyżem ozdobionych, a wśród nich moje, powiedział mi, że za główny powód do przedstawienia mnie uważał uderzenie 19 lutego z jednym szwadronem na kolumnę szwadronową nieprzyjaciela, a przez to uratowanie pułku 4 strzelców konnych od klęski, która mu groziła.

Jak wyżej powiedziałem, korpus II miał główną kwaterę w dworku za rogatką Mokotowską. Nie wyliczam prac, przez mego dowódcę i przezemnie podjętych dla wprowadzenia porządku i ścisłej służby w korpusie. Powiem tylko, żeśmy starania ku temu dołożyli pilnego. W każdym pułku z kolei odbywała się szczegółowa lustracya. Najczęściej sam takowe odbywałem. Korpus II po większej części rozłożony był wzdłuż Wisły.

W jednej z takich przejażdżek po pułkach wstąpiłem do Góry Kalwaryi, gdzie miał swoją kwaterę jen. Rybiński, dowódca dywizyi 1 piechoty. Znałem go tylko

z widzenia i uważałem za oficera celującego. Rybiński przetłomaczył na polski język i wydał dzieło arcyxięcia Karola «Zasady strategii». Sam wybór tego klasycznego dzieła między wieloma, które po skończonych wojnach napoleońskich drukiem wyszły, zalecał tłomacza. Gdym się Rybińskiemu zameldował w przejeździe, przyjął mnie uprzejmie i na cały wieczór zatrzymał. Rozmowa z nim pod korzystnem uprzedzeniem o jego wyższości zostawiła mi niezatarte wspomnienie. Mówił o każdej rzeczy krótko, zwięźle, sentencyonalnie. Że ganił niemal wszystko, co dotąd zaszło, nie mogło mnie dziwić. Wszystko też i wszystkich potępiał, ale z taką miarą i powagą, żem się na wszystko godził. Prawda, że do nagan się ograniczał, a nie wskazywał, coby robić należało; nie spostrzegłem tego jednak odrazu i odjechałem szczęśliwy, żem napotkał męża wielkiej nadziei. Niestety, cała ta rozmowa może dlatego utkwiła w mojej pamięci, że powziętej w niej nadziei żaden następny czyn Rybińskiego nie stwierdził. Com tylko potem widział lub słyszał o jen. Rybińskim, odznaczało się, zwłaszcza na polu bitwy, niezrównaną biernością. Podkomendny jego, jen. Ramorino[1]), później mój dowódca, powiadał mi o nim, że trzeba zawsze rozkazy z niego korkociągiem wydobywać. Postać jego nie tylko mnie, ale i innych złudziła, co stało się powodem, że, po wzięciu Warszawy, po złożeniu z dowództwa jen. Małachowskiego, on w Modlinie mianowany został wodzem naczelnym.

W tym samym czasie, kiedy powziąłem tak korzystne wyobrażenie o jen. Rybińskim, powziął je o mnie wódz naczelny, Skrzynecki. On to już przed rozpoczę-

---

[1]) Ramorino Hieronim (1792—1849), ur. w Genui, bardzo młodo wstąpił do wojska francuskiego, odbył kampanie 1809—1815. Do wojska polskiego zaciągnął się w marcu 1831. W wojnie Piemontu z Austryą w 1849, jako dowódca dywizyi lombardzkiej, oskarżony o zdradę, rozstrzelany został w Turynie.

ciem wojny w komisyi, która wojsko nasze organizowała, najbardziej mnie ośmielał do podjęcia obowiązków szefa sztabu II korpusu. Teraz znowu, za pierwszej mojej bytności u niego w namiestnikowskim pałacu, przy rannym meldunku, skoro mnie spostrzegł między licznymi oficerami, skinął na mnie i rzekł: «Nie odchodź, aż z tobą pomówię». Wszystkich odprawiwszy, rzekł znowu do mnie: «Powiedz mi, jak to było z Łubieńskim pod Grochowem, bo Chłopicki ciężką mu zadaje winę; twierdzi, że on i Krukowiecki, nie dopełniając kilkakrotnie ponawianych rozkazów, przeszkodzili mu stanowczo pobić nieprzyjaciela». Opowiedziałem, jak rzecz się miała co do Łubieńskiego. Dodałem, że, jeżeli Łubieński winien, to i ja z nim, bo byłem świadkiem dochodzących go rozkazów i z nim wspólnie, bacząc na instrukcyę, daną nam przed bitwą, mniemałem, że rozkazy mylnie nam przez adjutantów były tłomaczone, skoro się sprzeciwiały temu, co szef sztabu armii i szef sztabu jazdy razem mnie i memu dowódcy zalecali, jako przeważne zadanie korpusu II. Skrzynecki niedługo mnie badał, wnet zrozumiał i usprawiedliwił tłomaczenie moje i rzekł: «To mi wystarcza»; zaraz potem dodał: «Teraz jeszcze słowo: trzeba, żebyś mi dał sposobność posunięcia cię w jak najkrótszym czasie na pułkownika». Odpowiedziałem: «Nie widzę na to innego sposobu, jak tylko, żeby mnie pan jenerał stawiał pod ogniem jak najczęściej». Byłem wówczas porucznikiem, tego samego dnia mianował mnie kapitanem, pozostawiając nadal szefem sztabu II korpusu kawaleryi.»

Ustęp z rozkazu dziennego, wydanego w kwaterze głównej w Warszawie, dnia 1 marca 1831:

«Postępują na wyższe stopnie:

Z pułku 5 ułanów, za odznaczenie się w pełnieniu swoich obowiązków i w boju dnia 19 lutego r. b.: Po-

rucznik hrabia Zamoyski Władysław na kapitana z przeznaczeniem na szefa sztabu korpusu II jazdy.

Za zgodność z oryginałem
Generał służby
Generał brygady
Morawski

Naczelny wódz
Siły zbrojnej narodowej
(podpisano) Skrzynecki»

《Pułk 5 ułanów, choć należał do rezerwy, stał także pod Warszawą. Trwało więc porozumiewanie się moje z dowódcą, pułkownikiem Gawrońskim, we wszystkiem, co organizacyę i opatrzenie pułku tego miało uzupełnić. Już też czwarty szwadron był skompletowany. Dzieło było dokonane. Wódz naczelny ogłosił zasługę «fundatora» i skromny, osobisty jego udział.》

Uczynił to następującym rozkazem dziennym:

«Rozkaz dzienny

W kwaterze głównej
w Warszawie

Dnia 1 marca 1831.

Pułk 5 ułanów, imienia Zamoyskich, nie tylko podług uczynionej krajowi ofiary został już wystawiony, ale i w bitwach 18 i 19 a zwłaszcza 25 lutego dał dowody niepospolitej waleczności. Nim oficerowie i żołnierze, którzy odznaczyli się w boju, zasłużone od wdzięcznej ojczyzny odbiorą nagrody, chcąc okazać, jaką cenę przywiązuję do bezinteresownego i pełnego skromności postępowania Konstantego Zamoyskiego, który dotąd z własnej woli, jako żołnierz tego pułku i służył i walczył, mianuję go kapitanem tegoż pułku, a za waleczność okazaną w boju, przeznaczam mu krzyż wojskowy żołnierski.

Za zgodność z oryginałem
Pułk. szef sztabu głów.
Chrzanowski

Naczelny wódz
Siły zbrojnej narodowej
(podpisano) Skrzynecki»

≪W miejsce Konstantego przybył do szeregów 5 pułku inny ochotnik z rodziny naszej. Nazajutrz po bitwie grochowskiej przyjechał z zagranicy mój brat August. Zawiedziony w swych nadziejach, że poseł rosyjski Alopeus da mu paszport do Warszawy, znalazł się w Berlinie w tem trudniejszem położeniu, że wyczerpały się jego szczupłe zasoby pieniężne, i nie wiem, jakby dojechał do kraju, gdyby nie zdarzenie, które mu niespodziewanie w pomoc przyszło. Poszedł bowiem o zakład, że się utrzyma na bardzo dzikim koniu i że go ujeździć potrafi i wygrał na tym zakładzie dwadzieścia dukatów. Uszczęśliwiony, wyszukał sobie człowieka, który się podjął zawieźć go do Poznania. Przyjechawszy tam i usłyszawszy przypadkiem, że do hotelu, w którym stanął, zajechał także jakiś polski jenerał, nie pytając o jego nazwisko i pewien, że ten jenerał dąży też do Warszawy, ofiarował mu miejsce w zapewnionym dla siebie powozie. Był to jen. Kosecki, niegdyś podsekretarz stanu przy namiestniku Królestwa, bynajmniej do powstania nieskory, owszem rad, że się z kraju wyrwał.

Po takich i tym podobnych przeprawach, dostał się August nareszcie przez Poznań i przez granicę do Warszawy. W kilka godzin po przyjeździe już był w mundurze prostego żołnierza pułku 5 i tak przybył do mnie za rogatkę Mokotowską.≫

Władysław Zamoyski do matki:

«Mokotów, 2 marca 1831.

August jest w pułku. Podoba mi się: dobry, prosty i pełen zapału; żal mu nauk genewskich. Pułk nasz nie należy już do mojego korpusu. Żałuję, bo nas to rozłącza. Ale się Matka pocieszy, gdy się dowie, że pułk należy do rezerwy; tam mniejsze niebezpieczeństwa i nie tyle zmęczenia, a wystąpienia świetniejsze. O nas, o naszych nadziejach nic nowego. Wszakże nowy wódz

wielkie we mnie wzbudza nadzieje; przynajmniej zrobi wszystko, co położenie zrobić dozwala. Znakomity talent wojskowy, męstwo wielkie, dusza ognista. Nie wszystkim podobała się jego odezwa, bo mamy niepohamowane upodobanie do złudzeń; prawdy nie chcemy. Zdaje mi się, że w naczelnym wodzu dusza jest zupełnie na wysokości mowy. Przy takiem też tylko uczuciu spodziewać się można działania, którego siła i dzielność odpowiedziećby mogły potrzebie. Mówią, że poznano w. xięcia, odbywającego rekonesanse na forpocztach rychło z rana. Trudno mi wierzyć, żeby się do tyla zbliżał. Dochodzi mnie ustna wiadomość o bitwie na dziedzińcu puławskim, której babunia miała się z okien przypatrywać. Zawstydza nas babka swojem męstwem.

Przeszliśmy przez ogień, o którym mówią najstarsi, że podobnego nie pamiętają, a czy uwierzy Matka, że znajomych, a szczególniej młodych, zaledwo jednego czy dwóch policzyć mogę między poległymi, a wszyscy odznaczyli się odwagą i zdolnością.»

W działaniach armii rosyjskiej pod Warszawą zaszła przymusowa przerwa. «Wisła, dobra patryotka», pisze Zamoyski w swoich notatkach, «niepewnym lodem zasłania nas. Nieprzyjaciel ustępuje z pod Pragi w nocy z 8 na 9 marca. Dnia 10 jen. Jankowski robi rozpoznanie pod Grochów, przyczem pułk. Błędowski na czele 3 pułku strzelców konnych traci nogę i dostaje się do niewoli.» «Biedny, biedny Błędowski!», pisze Zamoyski do matki. «Rad jestem, że Działyńskiemu[1]) powierzono rokowania o jego wymianę. Jemu w to graj. Ale Dybicz nie załatwi się z nim w trzech słowach, bo szwagierek nie ze Sparty rodem.»

Tytus Działyński pozostawił następujący opis tego wydarzenia:

---

[1]) Tytus Działyński, ur. w Poznaniu, 24 grudnia 1797.

«Prosiłem x. Czartoryskiego, żeby mi otrzymał upoważnienie posłania na forpoczty służącego z rzeczami potrzebnemi Błędowskiemu, z którym jestem spokrewniony. Wódz naczelny natychmiast po mnie posłał i rozkazał, żebym sam pojechał i ofiarował Buturlina, adjutanta cara i ulubieńca carowej w zamian za Błędowskiego. Pojechałem tedy na forpoczty i tam, póki czekałem na oficera sztabu rosyjskiego, otoczyli mnie kozacy nader po przyjacielsku. Jednemu, który się chwalił, że w ostatniej potyczce życie któremuś z naszych ocalił, dałem rubla. Zaczęli rozprawiać o przyczynach, które wywołały wybuch, a chociaż doskonale je rozumieli, nie mogli się nadziwić, że do takiego doprowadziły wyniku. Powiedziałem kapitanowi: «Pamiętajcie, że kiedyś i wy będziecie mieli waszą rewolucyę.» Odpowiedział: «Wiem o tem dobrze, ale nie tak prędko do tego przyjdzie. Jeszcześmy nie gotowi, ale budet, budet.» Po chwili nadszedł baron Korff i zaspokoił mnie, co do stanu Błędowskiego, któremu dopiero co nogę pod samem biodrem odcięto[1]. Oddałem mu dwanaście butelek wina od wodza naczelnego dla jen. Geismara i umówiliśmy się, że wymiana jeńców nastąpi nazajutrz. Ale jen. Geismar tak się uprzejmie pospieszył, że spotkałem biednego pułkownika Błędowskiego na noszach, zanim minąłem nasze forpoczty. Tam opowiedziano mi, że baron Korff, wysłany dla oznajmienia powrotu Błędowskiego, zdziwiony był, widząc na forpocztach naszych żołnierzy, z bronią przerzuconą przez ramię, grających i palących ze swymi oficerami. Jeden z żołnierzy przystąpił ku niemu

---

[1]) Jak nasi ranni znosili swoje kalectwa, pokazuje się z listu Konstantego Zamoyskiego do Tytusa Działyńskiego: «Chodkiewicz z oburzeniem odrzucił ofiarowane mu w twojem imieniu kupno koni. Jeśli w całem wojsku jest równie stanowcze postanowienie niepoddawania się kalectwu, jak u Błędowskiego i Chodkiewicza, przyjdzie nam chyba konie tylko od poległych kupować. Chodkiewicz jest jednak w opłakanym stanie i rozumiem, że Błędowski lepiej, niż on, ruch konia znosić może; wszakże dla honoru raczej umrze, niżby konia sprzedał.»

i po rosyjsku powiedział: «Jestem z gubernii petersburskiej, ale wolę być żołnierzem tutaj, gdzie walczą o wolność, niż oficerem w Rosyi.»

W początkach marca, po pierwszym rabunku Puław, pani Zamoyska zjechała na kilka dni do Warszawy dla widzenia się z synami. Władysław przytrzymany obowiązkami szefa sztabu w kwaterze głównej II korpusu za rogatkami Mokotowskiemi pisze do matki:

«Matka w Warszawie, a ja tu siedzę! i właściwie nic nie robię, tylko co chwila rozkazów oczekuję i dla tego siedzieć muszę, choć mi żal okrutnie, że tak blizko Matki mojej, a bez niej.

Sztab główny widać ma uwagę całkiem na prawy brzeg Wisły zwróconą i tam natchnienia szuka, nam zaś nic nie mówią. Co to jest? Czyż już wiedzą, w którą stronę główna siła nieprzyjacielska idzie? Co wnoszą?

Moi posłańcy wrócili, przywieźli mi rozmaite wiadomości, ale same rzeczy stare; dowodzi to tylko, że można było, gdyby się chciało, o niejednem się dowiedzieć. Istna zgroza, żeśmy tak mało powiadomieni o ruchach nieprzyjaciela. Proszę wujowi o tem powiedzieć. Przekonałem się, ile w tem niedbalstwa i jak łatwo chcącemu między nich się dostać. To ja doniosłem sztabowi głównemu, że jazda Witta i 8.000 piechoty udały się w pogoń za Dwernickim. Codzień dziesięciu takich wysłańców powinno znosić nam wiadomości od tyłów armii moskiewskiej, jeżeli nie z jej środka. Do środka wiem dobrze że trudno się dostać, póki oni zajmują okolicę niezaludnioną[1]).

---

[1]) W tymże czasie major Felix Breański, później pułkownik 1 pułku strzelców pieszych, pisał do Zamoyskiego:

«Góra, dnia 20 marca 1831.

...Żydek, którego Kruszewski wysłał, nie doszedł do Łukowa i mało nam przyniósł wiadomości; zeznanie jego w raporcie do JW. jen. Łubieńskiego co do Nadbrzeża zdaje się być zgodne z rzeczy-

Proszę także powiedzieć o Sierawskim. Mówią, że on jest koryfeuszem jakobinów. Zapewne, że rozumem jest na ich miarę, a jego środki działania są takie, jakieby im zostały, gdyby się raz przestano liczyć z nimi. Co do Sierawskiego, tysiąc razy lepiej byłoby dać mu brygadę w głównej armii; tam pod rozkazami Małachowskiego, dałaby się jego odwaga zużytkować.»

W przeddzień wyjazdu matki z Warszawy Zamoyski pisał do niej:

«Piaseczno, 13 marca 1831.

Już tylko listem raz jeszcze pożegnam moją Matkę drogą. Odjechać stąd żadną miarą nie mogę. Żałuję tego wieczoru, który byłbym jeszcze przy Matce spędził na miłem, choć tak żałosnem pożegnaniu. Łzy Matki, których dziś byłem świadkiem, przejęły mi serce do żywego. Ludzie nie dowiedzą się nigdy, ile mi trzeba będzie męstwa, żeby się śmiało na niebezpieczeństwa narażać, gdy wspomnę na te łzy. Zmiękło mi serce, gdym na nie patrzał. Alem się na ich znaczeniu nie pomylił. Wiem, że one pochodziły z przekonania, że niebezpieczeństwa nieledwie szukać powinienem, by sobie zasłużyć nadal na własny i Matki szacunek i na tę jej miłość, tak sercu drogą, tak nieocenioną, która jest dla mnie najsilniejszym, nieomal jedynym węzłem, co mnie do życia wiąże.

Śmiało rzec mogę, że życie moje do mnie nie należy; oddawna je oddałem ojczyźnie i tyle tylko o nie stoję, o ile jej służyć może.

Przewidywanie bolesnej dla kraju przyszłości doprowadza do częstego myślenia bez wstrętu o szlachetnej śmierci. Brak mi nieraz odwagi na myśl długiego, wy-

---

wistością, bo i od innych to samo się dowiedziałem. Przybycie zaś świeżego wojska i przeprawa przez Wisłę są bardzo wątpliwe, gdyż pochodzą z pogłosek, jakie sami Moskale rozsiewają. Spodziewam się dzisiaj dwóch wysłańców i od nich pewniejszych wiadomości. Z twoich wysłańców jeden zaraz powrócił, drugi poszedł i to niedaleko; zdał sprawę z swojej misyi Kruszewskiemu, jak powracał.»

gnańczego życia, na myśl, że może już nie powrócę do służby ojczyzny, albo że będę mógł jej przynieść już tylko wiekiem stargane siły. Wolałbym zgon przedwczesny. Chciałbym należeć do tych, którzy obronę ojczyzny wieńczą szlachetną śmiercią i których zasług chwalebna pamięć przyczyni się do wskrzeszenia jej kiedyś, ale łzy Matki mojej drogiej, ukochanej, sprawiają, że, chociaż krajowi służyć chcę z całych sił moich, to jednak już tylko w taki sposób, jaki mi Opatrzność przeznaczy, niczego w szczególności nie pragnąc. Poprzestanę na tem, co mi obowiązek nakazuje, oczywiście obowiązek szeroko pojęty. Ale teraz proszę o męstwo, a także o nadzieję. Nie wszystkie kule trafiają, a choć trafią, nie zawsze zabiją.»

Pani Zamoyska z Warszawy wybierała się do Wysocka pod Radymnem, dokąd matka jej i siostra już się schroniły. Po drodze zatrzymała się dwa dni w Falentach, gdzie Zdzisław i August przebywali przy 5 pułku ułanów, następnie trzy dni w Częstochowie. Do Krakowa przybyła 24 marca, część kwietnia spędziła przy matce w Wysocku, poczem obrała Kraków na stały pobyt do końca powstania, bo tam najłatwiej było o wiadomości tak z Warszawy, jak z Wysocka i Petersburga. Z każdego jej ówczesnego listu widać, jaki ją dręczył niepokój o męża, od którego nie odebrała wiadomości od trzech już blizko miesięcy. Listy do niego wysyłała na ręce x. Antoniego Radziwiłła w Berlinie, prosząc męża, by tą samą drogą jej odpisywał. Widocznie jednak przesyłki te zalegały w drodze całemi miesiącami, bo i ordynat dla braku wiadomości niepokoił się o swoich. Dopiero w maju otrzymała pani Zamoyska naraz trzy listy z Petersburga. Odpowiadając na nie, tak opisuje mężowi warunki, w których opuściła na zawsze ukochane Puławy:

«W Puławach przebyliśmy rzeczy straszne, kule do pokojów naszych padały. Ale za wiele byłoby do powie-

dzenia, żeby zdać sprawę z tych okropności. Niech Bóg przebaczy tym, którzy je powodują i popełniają. Opuściłyśmy Puławy 6 marca w szkaradną niepogodę, z moją biedną matką chorą, truchlejąc o jej życie. Cudem prawdziwie wyratowaliśmy ją mimo wszystkiego, co tam zaszło.

Moja biedna siostra okropnie cierpiała; jej syn zachował się niegodziwie, barbarzyńsko. Prosiła go od pierwszej chwili, żeby się oddalił do Stuttgartu, co łatwe było, ale on wolał służyć i wystąpić przeciwko własnej matce; nawet jej nie odpisał. Jego zachowanie się, jego słowa, wszystko było bezecne. Babce groził, wszystkie pociski skierował na jej siedzibę. Nieszczęsny, trzeba się nad nim litować.

Wiele mi rzeczy zginęło, zapewne w Puławach. Wyjechaliśmy, a raczej wyszliśmy piechotą po lodzie przez Wisłę [1]) i to nagle, mało co mogłam wziąć ze sobą. Ordynacya i inne nasze dobra dużo ucierpiały, jak wszystkie na prawym brzegu Wisły. Oficyalistów naszych dużo poszło do wojska. Wielkie, ogromne straty, ciężki ten czas; w przyszłości zapewne da się to wszystko odczuć, ale w tej chwili inne boleści i trwogi tak serce przepełniają, że już tamtych czuć niepodobna. O mój drogi, co to za szkoła to cierpienie, jak inaczej o rzeczach się sądzi, jaka bolesna nauka, ale jakich sił nieznanych dusza nabiera i Bóg dobry ich dodaje w miarę, jak doświadcza.»

W kilka tygodni później Dymowski, rządca w jednym z majątków ordynata, donosił mu o powtórnym rabunku Puław, dokonanym w kwietniu:

«...Puławy, jak i całe Lubelskie, okropnie zniszczone. Puławy spalone, pałac porujnowany. Z biblioteki nieprzyjaciel zabrał dziesięć pak książek do Lublina;

---

[1]) Do Góry puławskiej, gdzie pani Zamoyska rozstała się z matką i siostrą.

my temi czasy wywieźliśmy sto pak do Warszawy; jest nadzieja, że i tamte dziesięć pak wrócą się z Lublina, jak będzie można[1]). Gniewkowski i Schmid byli wzięci parę razy i uwożeni do obozu, ale naczelnicy odesłali ich zdrowych na miejsce. Panna garderobiana od Xiężnej Matki była też uwieziona do Końskiej Woli, ale powróciła zdrowa po odbytej kampanii.»

« W ciągu marca, podczas przerwy w działaniach wojennych, Skrzynecki próbował układów z Dybiczem. Wszyscy jenerałowie skłaniali się do tego. Gdy mnie razu jednego Skrzynecki zapytał w rozmowie o zdanie, odpowiedziałem: «Ja też jestem za tem, wszakże nie dlatego, bym się spodziewał, że się to uda, przeciwnie, dlatego, bo mam przekonanie, iż się nie uda. Nie widzę lepszego sposobu podniesienia ducha w wojsku, jak uczynić zadość temu żądaniu: odpowiedź, jaką otrzymamy, pogodzi wszystkich; pokaże ona raz jeszcze, że musimy wybierać między hańbą a wojną na zabój.»

W istocie rokowania okazały się daremne. Dybicz na obszerne listy Skrzyneckiego odpowiedział, że zgodzić się może tylko na bezwarunkowe poddanie się i natychmiastowe złożenie broni. W rozkazie dziennym z 27 marca Skrzynecki oznajmił wojsku o przebiegu rokowań i ich wyniku, drukiem ogłaszając dla powszechnej wiadomości wszystkie cztery listy, które w tym celu przez Mycielskiego

---

[1]) Znaczna część biblioteki i starożytności puławskich uratowaną została przez wiernych urzędników, życzliwych włościan i sąsiadów. Dopiero po dziesięciu latach, kiedy Tytus Działyński, ożeniony z siostrzenicą x. Adama Czartoryskiego, wygrał proces z rządem pruskim o dobra kórnickie, skonfiskowane mu za udział w powstaniu, opiekunowie puławskich zabytków przewieźli potajemnie przez pruską granicę do Kórnika skarby, które tak wiernie i z takiem narażeniem się przechowywali. Zabytki te, zwrócone następnie przez Tytusa Działyńskiego x. Adamowi Czartoryskiemu, stanowią dzisiaj znaczną część biblioteki x. x. Czartoryskich w Krakowie.

do Dybicza wysyłał. Odezwę kończył słowy: «Widzicie już sami, żołnierze, że innej polityki mieć nie możemy, jak tę, która się zawiera w naszem jedynem haśle: zwyciężyć lub z honorem zginąć za ojczyznę».»

Władysław Zamoyski do brata, Jana:

«Piaseczno, 15 marca 1831.

Wiadomo ci, że od bitwy 25 lutego nic ważnego nie zaszło. Był to czas spoczynku dla wojska, lecz nie dla mnie. Co do niebezpieczeństw naszych, rozumować nad niemi trudno. Rozsądkiem każdyby nas pobił, ale cuda bywają na świecie, a nie jestże to już cud, że my i tyle się trzymamy, kiedy z naszej strony nie tylko nie zrobiono wszystkiego, co należało dla utrzymania sprawy, ale owszem, zdaje się, iż bez zdrady więcej przeciwko niej zrobić nie można było, jak to, co zrobił przez dwa miesiące Chłopicki, a przez miesiąc Radziwiłł.

Po tylu błędach, które na ostatku nawet ducha w wojsku osłabiły, bo widziało, że wodza niema, nie jestże to cud, żeśmy się zdołali tej potędze jakkolwiek oprzeć? Że nieprzyjaciel, rzadkiej lękliwości dając dowody, nie korzystał z tylu słabych stron naszych i chwil sposobnych, że do Pragi nie śmiał przystąpić, że się na ostatek cofnął, że po miesięcznej, krwawej kampanii, wojsko nasze większą liczy siłę w żołnierzu wymusztrowanym i regularnym, niż ją kiedykolwiek miało, że kraj choć wycieńczony i do połowy zajęty zdoła takie wojsko regularnie płacić i żywić, że czynności skarbu i banku narodowego ciągle idą swoim torem, że wojsko w stratach swoich liczy nieużytecznych i szkodliwych dowódców, którzy od młodszych i zdatniejszych są zastąpieni; — nie sąż to wszystko cuda? i cuda takie, że ktoś zrobił wotum wystawienia złotego posągu bogini szaleństwa, jeżeliby się nam ostatecznie powiodło! Nie jestże to cud nareszcie, żeśmy im wzięli i zniszczyli dotąd do dwudziestu pięciu armat, z których dwadzieścia jeden nam służy, my zaś

cztery tylko w bitwach postradaliśmy; że Dybicz odstąpił od Pragi i szuka przejścia przez Wisłę w wielkiej odległości od Warszawy[1])?

Jak z tego położenia korzystać będziemy, tego ci nie powiem, lecz to pewna, że wojsko z odnowionym walczyć będzie zapałem. Przejęcie się świętym i szlachetnym obowiązkiem z korzyścią zastępuje miejsce lekkomyślnych nadziei i marzeń »

« Pod koniec marca wojsko było w porządku i gotowe do boju. Dybicz, znużony napotykanym pod Warszawą oporem, szukał, kędy się przeprawić na lewy brzeg Wisły powyżej Warszawy; ufał, że wojsko nasze nie ośmieli się z Warszawy za Wisłę wystąpić. Większą więc część swego wojska ściągnął ku ujściu Wieprza, gdzie most rzucić zamierzał. Jenerał Rosen z VI korpusem zasłaniał Mińsk na szosie; naprzeciw Pragi stała jego awangarda pod jen. Geismarem.

Prądzyński już od połowy marca, skoro tylko lody pękły, zaczął nalegać na zaczepienie nieprzyjaciela. Skrzynecki się ociągał. Już od owej chwili rozpoczęły się nieporozumienia między Skrzyneckim a Prądzyńskim. Nie wiedziałem o tem, przebywając wtedy za rogatkami Mokotowskiemi w Piasecznie, dopiero później się dowiedziałem. Wiadomo było, że łączyła ich dawna przyjaźń i że ocenili się szczególniej pod Grochowem, gdzie Prądzyński wraz z Chłopickim palmę zdolności i odwagi przyznał Skrzyneckiemu; wreszcie poróżnili się. Prądzyński rozchorował się z niecierpliwości i smutku; z łóżka co chwila pisał

---

[1]) Xiężna de Lieven, żona posła moskiewskiego w Londynie, pisała stamtąd do brata swego, jen. Alexandra Benkendorf: «Nie wystawiasz sobie, ile nam szkodzi tu i wszędzie przeciąganie się naszej wojny» i dodawała: «Lord Grey otrzymał list od x. Adama Czartoryskiego z 20 marca. Według lorda Grey list ten pisany jest w bardzo umiarkowanym tonie. Ciekawam, co on zowie umiarkowaniem, bo co do mnie, to w tym przedmiocie wcale umiarkowana nie jestem.»

(Letters of Dorothea princess Lieven, 1812—1834, str. 300.

do Skrzyneckiego, układając plan bitwy, w dziesięć dni później wykonany.

Nareszcie 25 i 26 marca ruch wojska naszego się rozpoczął. Rzecz się gotowała w ścisłej tajemnicy. Oba korpusy jazdy z małą liczbą piechoty odebrały rozkaz pomaszerowania do mostu, rzuconego naprzeciw Modlina i do przejścia na prawy brzeg Wisły.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Modlin, 30 marca 1831.

Korzystam z krótkiej chwili, przy rozpoczętym znowu ruchu, by Matce kochanej o sobie donieść. Już się i nudno robiło tak długo oczekiwać, póki ziemia trochę stężeje, żeby wojsko ruszyć mogło. Co będzie i dokąd idziemy, o tem cicho, aż miło. Jest to jedna z tych dobrych oznak, które rokują skutek pomyślny, jest to również warunek niezbędny powodzenia, tem bardziej, że równocześnie nie zasypiamy sprawy. Na rezurekcyę bodajby i pierwszy, stanowczy krok do rezurekcyi ojczyzny mógł nastąpić!

Braci od wyjazdu Matki prócz Konstantego mało widziałem, przecież dostrzegłem, że potrzeba, aby Matka nad młodszymi czuwała i uczyła ich wartości ścisłej między nimi przyjaźni. Nic nie zaszło, ale jakaś oziębłość dziecinna się okazuje. Niechże Matka kochana wkłada na Zdzisława obowiązek zatrudniania się kształceniem Augusta. Lecz na to potrzeba, żeby wzbudził w nim zaufanie. Proszę mu przypomnieć, jak on sam cierpiał niegdyś, a nawet i teraz czasami cierpi, kiedy starsi bracia oziębłość mu okazują, jak mnie był wdzięczny za okazywanie mu serca i za wpływ, jaki przez to nad nim zdobyłem. Jest on w wieku, w którym uwagi niechętnie się przyjmuje nie tak, jak w pierwszej młodości i w wieku dojrzalszym. To też proszę mu nie mówić o nim, ale namawiać go, żeby się młodszym bratem serdeczniej zajmował.

Widzi dobra, droga Matka, że nawet wśród wojny nie zwalniam jej od wywierania na nas swego zbawiennego i niczem nie dającego się zastąpić wpływu. Rad też myślę, że będzie to dla Matki zajęciem, oderwaniem od tego niepokoju nieustannego, który ją trawi...

Duch wojska podniósł się doskonale. Niecierpliwość do boju wzmogła się przez wypoczynek i nudy obozowania. Przyczyniło się też do tego zerwanie nawiązanych rokowań z powodu hańbiących warunków, jakie nam podano.

Dybicza przezwano nie feldmarszałkiem, ale waldmarszałkiem. Przedstawiają go, pijącego z Wisły wodę, która mu kołtun sprawia, a z tego spadają jego tureckie wawrzyny. I na to zdobyli się Niemcy! Pułkownik Ramorino otrzymał komendę brygady piechoty. Żeby to więcej tych zagranicznych, a dobrych! tego jeszcze nie znamy.»

«Z 30 na 31 marca w nocy cała piechota z artyleryą przeszła na Pragę. Mosty pokryte były słomą, największa cichość zalecona. Przededniem pierwsza dywizya nasza już była za Pragą i pod Ząbkami wpadła na nieprzygotowane prawe skrzydło Geismara. Pomagała naszym mgła gęsta. Na czele dywizyi świeżo przybyły pułkownik Ramorino, dowódca brygady, rozbijał bagnetami wszelki opór nieprzyjaciela i zabierał licznych niewolników. Jen. Geismar, wyparty z obozu swego pod Grochowem, oparł się o jen. Rosena. Korpus Rosena pod Miłosną również uległ przed natarczywością naszych i zebrał się dopiero o dwie mile dalej pod wsią Dębe Wielkie.

Tymczasem II korpus jazdy już 30 na noc ściągnął od Modlina pod Pragę i postępował drogą bitą ku Miłośnie za zwycięskiem wojskiem naszem. Jen. Łubieński i ja, wyprzedzając korpus, znaleźliśmy się przy Skrzyneckim, kiedy ten wieczorem zatrzymał się pod Dębem Wielkiem i wydawał rozkazy celem opanowania wsi; sam nawet ustawiał armaty na polu, grzązkiem po świeżej odwilży.

Spostrzegłszy mnie, Skrzynecki zawołał: «Wróć się do swego korpusu i każ mu zająć obóz na noc. Niech wypocznie, bo jutro będzie kolej na was.» Zaledwie ten rozkaz był wypełniony, kiedy nas doszła wiadomość o nowem świetnem zwycięstwie naszem.»

Naczelny wódz tak o niem pisał do Rządu Narodowego:

«Siennica, 3 kwietnia 1831.

...Za nadejściem zmroku kazałem sformować kolumnę jazdy: dwa szwadrony 2 pułku strzelców konnych na czele, za niemi dwa szwadrony karabinierów i dwa poznańskie, za któremi postępował w rezerwie 5 pułk ułanów, imienia Zamoyskich. Kazałem jen. Skarżyńskiemu, ażeby poprowadził tę kolumnę przez wieś Dębe, po większej części jeszcze przez nieprzyjaciela zajętą i po tamtej stronie uderzył na linię bojową nieprzyjaciela. Jen. Skarżyński wypełnił jak najświetniej to polecenie, poprowadził kłusem i szóstkami tę waleczną jazdę przez długą cieśninę: 2 pułk strzelców i karabinierzy... uderzają na działa, na piechotę i na konnicę. W mgnieniu oka konnica rozpędzona, bataliony rozbite i w znacznej części pojmane, działa zdobyte... Noc i lasy chronią nieprzyjaciela od zupełnej zagłady... W dniu tym szanowny prezes Rządu Narodowego, jaśnie oświecony xiążę Adam Czartoryski, naoczny świadek wszystkich wypadków dnia tego, po kilkakroć znajdował się w ogniu...»

«Ścigano nieprzyjaciela do dziesiątej wieczór, zabrano trzynaście czy czternaście armat, dwa do trzech tysięcy jeńców, między nimi jednego jenerała. Rosen i Geismar ledwo w cwał ujść zdołali.

Kiedy po rozłożeniu się naszego korpusu chciałem pospieszyć naprzód z raportem, dowiedziałem się, że mimo tak świetnego opanowania przez naszych wsi Dębe, sztab główny rozłożył się na noc nie tam, gdzie należało, ale się

cofnął do wsi Brzeziny. Był to błąd oczywisty i skutki jego okazały się nazajutrz. Gdy o świcie prowadziłem czoło korpusu przez wieś Dębe, napotkałem na drodze, która była cieśniną między dwoma błotami, taką masę zdobytych armat, wozów nieuprowadzonych i takie w drodze zapory, że dwie godziny na uprzątaniu ich zeszło, co o tyle opóźniło pogoń naszą za pobitym nieprzyjacielem. Byłoby inaczej, gdyby sztab główny, jak Skrzynecki sam tego żądał, zanocował w Dębem. Takie niedbalstwo w uprzątnieniu głównego traktu nie byłoby zaszło pod okiem głównej kwatery. Powodem cofnięcia głównej kwatery było, że kuchnia sztabu już się w tyle we wsi Brzezinie rozłożyła i tam wieczerzę zgotowano.

Monsieur Georges, były kuchmistrz mego ojca, a dziś przy sztabie głównym personat, zaprotestował, gdy mu dano rozkaz przeniesienia nastawionych rondli o ćwierć mili dalej. Chrzanowski, szef sztabu, nieraz potem narzekał, że uległ powolności naczelnego wodza dla kuchmistrza. Przypisywał to w części znużeniu i powszechnemu upojeniu tak świetnem zwycięstwem, po nocy i dniu całym natężenia umysłu i duszy. W tym stanie znużenia zastałem Skrzyneckiego. Zbył mnie krótko, ponowił tylko rozkaz, by korpus II równo z dniem poszedł w pogoń za nieprzyjacielem.

Dnia 1 kwietnia byliśmy na koniu ze świtem. We wsi Dębe opóźnieni, jak powiedziałem, pospieszyliśmy tembardziej, gdyśmy ją minęli. Na szpicy naszej szedł kłusem szwadron pułku 4 ułanów. Niebawem natrafił na liczne oznaki spiesznej ucieczki nieprzyjaciela. Gdzieniegdzie oddział nieliczny piechoty stawiał chwilowy opór, ale za nadejściem czoła kolumny wszystko uciekało, albo składało broń[1]). Szedł na czele naszej kolumny jen. Łubieński

[1]) W tych utarczkach odznaczył się major Breański, szef sztabu dywizyi pierwszej piechoty i podporucznik Bernard Potocki, adjutant jen. Łubieńskiego. (Raport W. Z. z 6 kwietnia 1831)

i ja przy nim ze sztabem. Tak postępując szosą, ciągle kłusem, w trzy godziny doszliśmy pod wieś Jędrzejów[1]).

Tu, nakoniec, z wyższego nieco punktu, ujrzeliśmy nieprzyjaciela, rozłożonego na gościńcu przy wejściu do lasu, a brzeg lasu osadzony piechotą. Nieprzyjaciel stał na wzgórzu, tak iż mogliśmy widzieć jego kolumnę w wielkiej głębokości. Sądząc po mnóstwie żołnierzy, których po drodze ujęliśmy, mniemać było można, że się cofał w nieładzie i że stanowisko, które zajął, jakkolwiek korzystne, nie musi być mocno strzeżone. Szwadron na szpicy zawsze nas poprzedzał, ale już tylko szedł stępa. Miarkując, że dochodzimy na odległość, w którejby nas działa nieprzyjaciela razić mogły, rzekłem do mego dowódcy: «Jenerale, jakże, to oni dział nie mają?» A wiedząc, że Moskale mają za zasadę zawsze działami się zastawiać, choćby je w odwrocie stracić mieli, dodałem: «Jeżeli tak, to ta piechota nasza». Jakoż za przyzwoleniem jen. Łubieńskiego, kazałem po szwadronie skierować na prawo i na lewo cd gościńca[2]) i niemi skrzydła nieprzyjaciela zagrozić. Do szpicy zaś jeden w dodatku szwadron posławszy, poleciłem majorowi Kuderowskiemu, który go prowadził, by natychmiast kolumną, szóstkami po szosie szarżował na środek linii. Wkrótce ujrzałem, że major Kuderowski sprowadza moje dwa szwadrony z szosy na pole w linię, nie bacząc, że pole było jeszcze po świeżej odwilży przesiąkłe jak bagno. Na widok tak grubego błędu, nie pytając już dowódcy, ruszyłem naprzód pędem, i, dotarłszy do majora Kuderowskiego, rzekłem z gniewem, nie ważąc słów: «Nie tak, majorze, nie tak!» Zaledwom to wyrzekł, uczułem, że ten brak formy względem oficera

---

[1]) W raporcie Zamoyskiego z 6 kwietnia wieś ta nazwana jest Janowem.

[2]) Były to pierwszy i drugi szwadron 4 p. ułanów, prowadzone przez majora Filleborna i kap. Zajączkowskiego. (Raport W. Z. z 6 kwietnia 1831)

starszego stopnia naprawić mogę już tylko, sam pokazując, jak rzecz się wypełnić powinna.

Nie było zaprawdę moją rzeczą prowadzić tę szarżę, a zaniedbać czuwania nad ruchem naszym ogólnym. Ale tu chodziło o zadanie stanowcze, a nie dopełniał go ten, któremu było polecone. Ściągnąwszy szwadrony napowrót na szosę, kazałem im iść za sobą kłusem. Ledwośmy z miejsca ruszyli, kiedy strzały piechoty zaczęły nam gwizdać około uszu. Nie było chwili do stracenia. Zakomenderowałem: «galopem», ale galop był krótki. Tym razem nie dałem się prześcignąć nikomu; szliśmy w ścisłym porządku, skutek też na nieprzyjacielu otrzymaliśmy pożądany: środek jego linii rozpierzchł się i puścił nas w tył za siebie w las, ale piechota, jakkolwiek nie w porządku, zalegała obie strony szosy za rowami i dawała do nas ognia; ogień to był jednak bardzo niepewny. Widziałem, że, zamiast brania nas na cel, piechury z pod łokcia w górę karabiny wystrzeliwali. Znowu mnie uderzyły ich oczy rozwarte, zatrwożone. Jednakże z tych strzałów, między któremi szliśmy, jakby przez rózgi, jedna kula trafiła mnie o dziesięć kroków w prawą rękę, zgruchotała mi jeden palec, a przechodząc środkiem ręki, skaleczyła drugi i złamała rękojeść u pałasza; inna kula dała mi pocałunek, przechodząc z boku między ustami i oparzyła obie wargi. Rana w ręce nie sprawiła mi żadnego bólu, tylko coś, jakby szum silny przez ramię przeszedł po całem ciele. Tak byłem zajęty nieprzyjacielem, tak przejęty odpowiedzialnością przedsięwziętego przezemnie ruchu, którego nie widziałem końca, żem w tej pierwszej chwili nie rzucił nawet okiem na rękę. Dość mi było, że mi rana nie przeszkadzała dalej przewodzić. Czułem, że dla całego oddziału niebezpieczeństwo rosło w miarę, jakeśmy się dalej wśród nieprzyjaciół zapędzali, a zatrzymać się było niepodobna, dopókąd nam żadnego nie stawiono oporu; śmiałość zaś nasza nie otrzymała żadnego,

choćby częściowego, skutku. Na takiej medytacyi zeszło kilka minut, podczas których pędziliśmy ciągle galopem, aż i nieprzyjaciele z rowów przestali do nas strzelać, co nam później wytłomaczyli. Poprostu wzięli nas za pułk ułanów litewskich, których mundury bardzo były podobne do naszych i mniemali, że to była ucieczka, nie atak. Przyczynił się może do tego jeden z moich oficerów, porucznik Senakiewicz,[1]) rodem Ukrainiec, który, pędząc przy mnie, wołał po rusku do strzelających z za rowu: «Nie strzelajcie, wy bracia nasi, wam żadna nie będzie szkoda!» Tymczasem niepokój tak we mnie brał górę, żem już przemyśliwał, jak i gdzie się zatrzymać, kiedy przecież ujrzałem przed sobą o małą odległość na szosie batalion ze sztandarem. Natychmiast krzyknąłem do swoich: «Za mną wiara, bierzcie ten sztandar!» i w mgnieniu oka sztandar był w naszem ręku; batalion rozbity składał broń, wielu żołnierzy z za rowu, po chwili zdumienia, jakby do siebie przychodziło. Na nasze wołanie, że im żadna nie będzie szkoda i żeby nie łamali broni, rzucali karabiny na ziemię, zdejmowali szako i dobywszy z nich furażerki, szako z radością rzucali o ziemię. Widocznie czuli się wyzwoleni; bo też to nie byli Moskale, ale Rusini i Litwini. Jeden podoficer sztandarowy nie chciał sobie dać wydrzeć sztandaru. Działo się to tuż przy mnie; gdy mu sztandar wydarto, przyskoczył do mnie, powtarzając kilkakrotnie: «Niech mnie pan przynajmniej zrani, kiedy cześć moją straciłem», a że mówił doskonale po polsku, zapytałem z zadziwieniem: «Cóż pan za jeden jesteś, że się tego po polsku domagasz? Idź pan w tył i daj mi pokój» i pokazując zakrwawioną rękę, dodałem: «Nie mam też i czem pana uderzyć.»

Podczas tej rozmowy, wśród zgiełku, gdy zastanawiaem się, co dalej począć, boć trzeba było myśleć o odwrocie,

---

[1]) Jan Senakiewicz mianowany kapitanem 4 pułku ułanów 6 lutego 1831; otrzymał krzyż złoty 1 maja 1831.

spostrzegłem, że mnie cały mój oddział wyminął, pędząc coraz dalej i żem się został sam jeden przy zdobytej chorągwi, którą niósł podoficer naszych ułanów, otoczony parąset żołnierzy nieprzyjacielskich, wprawdzie rozbrojonych, ale broń ich leżała na gościńcu. Puściłem się więc za swoimi, wołając «stój!» ale, gdym dopędził do czoła, znowu w blizkości spostrzegłem sztandar moskiewski, otoczony oddziałem piechoty, uchodzącej w widocznym nieporządku. Oczywista, że towarzyszyłem poczciwym moim ułanom, aż i ten drugi sztandar wzięli; ale tu całej użyłem energii, żeby ich nie puszczać dalej. Kilkudziesięciu przecież się przemknęło, pędząc ku szosie, a po chwili na wzgórzu postrzegłem, że trzeci sztandar zdobyli. Ubiegliśmy dobre ćwierć mili wśród lasu, po szosie. Tu po naszej lewej stronie było pole[1]). Niepodobna było myśleć o odwrocie szosą. Zostawiliśmy za sobą z 6.000 piechoty, a, choć część jej przed nami rzuciła broń, większa część od prawego i lewego skrzydła ciągnęła za nami. Wnet i ognia poczęli do nas dawać. Jedna kula, widać strzał daleki, trafiła mnie w kolano, ale tylko kontuzyę i spuchnięcie sprawiła. Ułany moje poczęły się chwiać i wyrzekać na jen. Łubieńskiego, mówiąc: «To zdrada! czemu nie poszedł za nami?» O mało, że cały mój oddział nie poszedł w rozsypkę. Krzyknąłem do oficerów: «Panowie, do frontu, formujcie plutony, zbierzcie ludzi w kupę, nie dajcie się rozproszyć!» Ale, że pilno było i kilku oficerów się wahało, bo w istocie sami wpadliśmy w nieporządek, po kilka razy powtarzałem: «Panowie oficerowie, teraz się pokażcie, sformujcie front! Nie pomogą zdobyte sztandary. Kto teraz nie dopisze, tego sam podam do zdegradowania.» I dzięki Bogu, usłuchali.

Obok szosy, sformowaną linią poszliśmy kątem prostym na lewo przez pole w las, pędząc przed sobą paruset

---

[1]) «Na otwartem polu w pewnej odległości stała linia nieprzyjacielska. Dwie armaty dawały ognia z pod Kałuszyna.» (Raport W. Z. z 6 kwietnia 1831)

niewolników. Las nie był gęsty; chciałem dojść nim do jakiejkolwiek drogi, którąbyśmy się mogli wrócić do naszych. Przypuszczałem, że cała ta nieliczna aryergarda nieprzyjacielska cofać się będzie szosą. Sądziłem, że boczna droga zapewne wolna będzie. Kazałem karabinierom, których mieliśmy szesnastu w każdym szwadronie ułanów, pozsiadać z koni i otoczyć linię naszą tak, aby w potrzebie mogli dać ognia z karabinów, gdyby się ku nam pojedyńczy żołnierze nieprzyjacielscy zbliżyli, bo przypuszczałem, że tylko pojedyńczo iść będą. Wyprawiłem naprzód paru oficerów dla wyszukania drogi, a z tyłu kazałem nie spuszczać z oka szosy, aby wiedzieć, co się na niej dzieje. Z tej to strony po chwili przyszło zbawienie. Po przejściu kilku batalionów piechoty, ukazało się czoło naszej jazdy. Kazałem oddziałowi wrócić się ku szosie i na tem samem polu, na które z szosy zeszliśmy poprzednio, wystąpiliśmy, niosąc przed sobą trzy zdobyte sztandary rozwinięte.»

O tej szarży polskich ułanów zdaje sprawę historyk niemiecki Smitt w swej «Historyi polskiego powstania i wojny z 1830 i 1831 [1]». Opisawszy ruchy korpusu Geismara, który najprzód zasłaniał odwrót pobitego w dniu poprzednim pod Dębem Rosena, a następnie sam cofnął się ku Kałuszynowi, tak dalej mówi: «Podczas kiedy on (Geismar) był zajęty ustawianiem dział swoich i brygady Faesiego, nagle, nieco w tyle, powstało straszne zamieszanie w pułkach jenerała Briesemanna. Kozacy, przez polskich ułanów napadnięci, uciekając gościńcem, wpadli na kolumnę piechoty, ścigani przez hufiec tychże ułanów pod dowództwem hrabiego Zamoyskiego. Nim się piechota zmiarkować zdołała, już ułani wraz z kozakami

[1] Geschichte des polnischen Aufstandes und Krieges in den Jahren 1830 und 1831 nach authentischen Quellen dargestellt von Friedrich von Smitt. Berlin 1839.

w pośrodku niej byli, wydarli chorągiew 49 pułkowi strzelców, położyli trupem chorążego 59 pułku strzelców i zabrali temuż pułkowi obydwie jego chorągwie, chociaż oficerowie i żołnierze szybko rzucili się na nich, żeby im odebrać te znaki honorowe. Na darmo. Nieustraszony Zamoyski, choć dwa razy raniony, przebił się ze swymi ułanami przez tłum żołnierzy, zwrócił się w lewo i szczęśliwie uniósł swą zdobycz. Nuż niechęć, wyrzuty, zrozpaczenie, zwalanie winy jeden na drugiego, choć nikt właściwie nie zawinił: ułani zjawili się zanadto prędko, zanadto gwałtownie i dokonali swego śmiałego ciosu wprzód, nim dostrzeżono ich obecność. O utracie ludzi nie było mowy, ale bolesną i dojmującą rzeczą była utrata chorągwi. To zbiło ich z tropu zupełnie. Z rozdartem sercem pisał Rosen do feldmarszałka o ostatniem starciu: «Cały korpus VI w żałobie. Wczoraj jen. Ungebauer szukał śmierci w przednim szeregu, ale nie mógł jej znaleźć; inni, nie tak skorzy, stracili odwagę i siłę. Co do mnie, czysty w sumieniu, staram się o ile mogę ducha żołnierzy ożywić i wewnętrzną moją zgryzotę przed podwładnymi ukryć. Nieznośnem mi się staje widzieć moją długą, uczciwą służbę naraz skutkiem losu i okoliczności, splamioną. Strata chorągwi, dział, ludzi, da się powetować, ale cóż powróci utratę wiary w siebie i szacunku osobistego?»

Jeden z żołnierzy 4 pułku ułanów, A. Łęski, w dwadzieścia siedm lat później, na podstawie osobistych wspomnień, tak szarżę kałuszyńską opisał: «Służyłem w 4 pułku ułanów, który był w awangardzie pod Kałuszynem w korpusie jen. Łubieńskiego. Na czele tego pułku Władysław Zamoyski zrobił szarżę niepamiętną w dziejach wojskowych. Wykrzyknął: «Hułani, za mną, w imię Polski!» i wpadł jak bohater z garstką ludzi, którym jego tylko przykład dodał odwagi i męstwa, bo któż byłby śmiał iść w zawody podobne przeciwko chmurze i ścianie bagnetów rosyjskich. Poszliśmy za nim. Była to chwila chwały i walki przeciwko 14.000 bagneta. Roz-

biliśmy, połamaliśmy szyki, zabraliśmy trzy sztandary w jednem oka mgnieniu. Zamoyski w nagrodę utracił palec u ręki a, gdy sztandary wyniesiono przed dywizyę, on, dziękując oficerom i żołnierzom, powiedział, że, jeśli kiedykolwiek któremu z nas potrzeba będzie jego pomocy lub usługi, to mu jej nigdy nie odmówi.» Autor listu dodaje: «Gdybym znał styl wysoki w pisowni, tobym więcej oddał chwały temu czynowi bohaterskiemu.»

«Jak nas witali nasi, łatwo sobie wyobrazić, bo mieli nas za straconych. Łubieński ściskał mię ze łzami w oczach, ale nie bez wyrzutu, żem się puścił na rzecz szaloną. Czy była szalona, nie wiem, skutek był piękny. Gdyby jen. Łubieński był popierał nasz ruch coraz nowemi szarżami na szosie, bylibyśmy mogli o wiele liczniejszego niewolnika zabrać i tylną straż rosyjską zniszczyć.

Z moich dwóch szwadronów padło tylko dwudziestu czterech ludzi rannych i zabitych. Kilku lżej rannych wsadziwszy na koń, chorągwie oddałem trzem podoficerom i ruszyłem z tym oddziałem ku Warszawie. Wojsko nasze szło natenczas prawie całe szosą od Warszawy, więc oddział nasz ze swą piękną zdobyczą miał to rzadkie szczęście, że odbył jakby tryumfalny pochód w oczach całego wojska Za zbliżeniem się naszem, na widok rozwiniętych chorągwi, każda pojedyńcza kolumna rozstępowała się przed nami na szosie i witała nas okrzykiem. Potem następowały rozpytywania i powinszowania, a w końcu znowu na drogę wiwaty.

Jakby dla uzupełnienia mego powodzenia w tym dniu, dostrzegłem niespodzianie przy jednej kolumnie piechoty pana Jana Ledóchowskiego w mundurze któregoś z naszych wojewódzkich pułków. Niedaleko Mińska napotkałem jadącego kolaską naczelnego wodza. Tu znowu mnie spotkało uprzejme powitanie. Jen. Skrzynecki wypytywał o moją ranę, a, żem powiedział, iż nie myślę dla niej opuszczać szeregu. wypytywał o szczegóły. Gdy

usłyszał, że mi kula przestrzeliła palec, wspomniał zaraz o własnym palcu u nogi przestrzelonym r. 1813 i rzekł: «Nie żartuj z tem, rana w palec zawsze niebezpieczna. Ani się waż zostać przy korpusie, jedź do Warszawy i wprzód mi się zamelduj, nim wrócisz do czynnej służby.» Dodał jeszcze: «Szkoda, bo mam nadzieję, że teraz mieć będziemy kilka pięknych dni», i natychmiast polecił sztabowemu doktorowi, Marcinkowskiemu[1]) mnie opatrzyć. Doktor Marcinkowski, mimo głośnej już reputacyi jako lekarz, przybył wraz z Tytusem Działyńskim, moim szwagrem, z Poznania i wraz z nim zaciągnął się, jako ochotnik do tak zwanych szwadronów poznańskich. Do trzech chorągwi wódz naczelny odkomenderował adjutanta, żeby je odprowadził i rządowi przedstawił; ja zaś zjechałem z doktorem z traktu do wsi poblizkiej. Przed pierwszą stodołą zsiedliśmy z koni. Marcinkowski, obejrzawszy ranę, radził przestrzelony palec do reszty uciąć, inaczej leczenie rany o wiele dłużejby trwało; staw był zgruchotany. Operacya krótko trwała, nawet nie przysiedliśmy, bo i nie było na czem, ale zaraz po usunięciu palca musiałem się na wznak położyć, żeby nie omdleć. Leżało tam już kilku rannych. Tymczasem wystarano się nie bez trudności o furę chłopską, wysłano ją jako tako słomą, żeby mnie odwieźć do Warszawy, alem fury nie użył. Wsiadłem znowu na konia, a furę oddałem młodziuchnemu towarzyszowi, któremu kula przestrzeliła rękę nad łokciem. Był to szesnastoletni Felix Wołowski, który wśród zgiełku zwrócił moją uwagę, bo i zacięcie

[1]) Doktor Karol Marcinkowski (1800—1846), wiekopomny założyciel poznańskiego Towarzystwa pomocy naukowej, założyciel Bazaru, pierwszego polskiego domu zajezdnego w Poznaniu ze sklepami wyłącznie Polakom wynajmowanemi, autor szeregu dzieł lekarskich, nagrodzony w 1833 r. złotym medalem akademii paryskiej. Miłosierny bez granic, pełen gorącej miłości ojczyzny, niespożyte położył zasługi, zdobywając w Wielkopolsce wpływ, jakiego tam nikt inny nigdy nie miał.

rąbał pałaszem i cugli od konia nie trzymał, będąc już w lewą rękę ranny. Odstąpienie mu woza było potem początkiem serdecznej przyjaźni z jego rodzicami.

Wkrótce jednak sam począłem czuć wielkie zmęczenie. Gdy więc, minąwszy Mińsk, napotkałem próżną warszawską dorożkę, z wielką do niej wsiadłem przyjemnością i szczęśliwie na noc dojechałem do Błękitnego pałacu. Nazajutrz rano opatrzył mnie na nowo wojskowy chirurg i opatrywał codzień aż do wyleczenia. Rana ta mało mi bólu sprawiała; najbardziej cierpiałem przy codziennym opatrunku, kiedy powietrze raziło odkryte nerwy. Ale niejeden doktor później przypisywał tej ranie ogólną systemu nerwowego drażliwość, która została mi na resztę życia. Przez pół roku, już po zgojeniu rany, miewałem niespodziane drgania ręki aż do ramienia.

Trzeciego dnia po naszem zwycięstwie była Wielkanoc. Poszedłem na święcone do x. Adama a potem do ministra wojny, jen. Morawskiego. Wszyscy mnie witali uprzejmem słowem. Jeden przecież napotkałem wyjątek. U ministra wojny, w prymasowskim niegdyś pałacu, w obecności mnóstwa oficerów na dziedzińcu przysunął się ku mnie jen. Krukowiecki, który rozciągał do mnie niechęć, jaką miał do x. Adama, za niepoparcie go na naczelnego wodza i głośno rzekł: «Tak to młodzi rycerze szukają byle jakiego zadraśnięcia, byle się niem zastawić i od dalszych trudów i niebezpieczeństw uwolnić.» Nie pamiętam wcale, czym co odpowiedział, pamiętam tylko, że wobec powszechnie okazywanego mi współczucia, słowa te mnie zadziwiły.

Niebawem ogłoszony został raport jen. Skrzyneckiego o zwycięstwie 31 marca i jego następstwach. Wzmianka o mnie przechodziła wszystko, czegom się mógł spodziewać, a słowa «kapitan Władysław Zamoyski okrył się sławą» tkwią po dziś dzień w mojej pamięci i po dziś dzień wydają mi się dowodem życzliwości wodza nad zasługę moją. »

Te są słowa raportu:

«W kwaterze głównej w Siennicy, d. 3 kwietnia.

Do Rządu Narodowego

Wódz naczelny siły zbrojnej narodowej.

Kapitan Władysław Zamoyski przez kilka godzin prowadził trzy szwadrony 4 pułku ułanów i okrył się sławą, rozbijając do szczętu kilka batalionów nieprzyjacielskich, przyczem zdobył trzy chorągwie. Waleczny ten oficer, w zdarzeniu tem mocno ranny kulą karabinową, mianowany został natychmiast podpułkownikiem za świetne swoje odznaczenie się.

(podpisano) Skrzynecki»

« Mnie ten szybki awans zaledwie właściwym się wydał, tem bardziej, że przy tych samych zostawiał mnie obowiązkach i że wyższy stopień nie rozszerzał pola mego działania. Starsi w stopniu odemnie oficerowie, przykomenderowani do sztabu, żadnej mi nie okazali drażliwości. Zaledwie ją czasem postrzegać mogłem w jenerałach, dowodzących dywizyą lub brygadą, kiedym do nich rozkazy pisał, chociaż zawsze je zaczynałem od słów: «Z polecenia dowódcy mam zaszczyt etc.» Najmilsze mam z owej okoliczności wspomnienia o życzliwości, powszechnie mi okazywanej przez kolegów i rówienników, których tak naraz w stopniu prześcignąłem. Zrazu lękałem się zawiści, ale szczerze powiedzieć mogę, żem żadnej nie dostrzegł. Owszem, dawni koledzy, winszując mi, wypytywali, gdzie i jak się przygotowałem do obowiązków szefa sztabu. Niejeden zapytywał, co na to umieć potrzeba. Odpowiadałem, że najbardziej, zdaje się, trzeba umieć gramatykę, bo strasznie jest dużo do pisania.

Nim jeszcze doszła nas wiadomość o raporcie naczelnego wodza, pierwszą wieść o moim awansie przyniósł mi mój szwagier Działyński, adjutant jen. Skrzyneckiego. Sam też przyniósł mi w darze pierwsze szlify nowego stopnia. Tem droższym mi był ten dowód życzliwości

jego, że nie odrazu ją zdobyłem. Od tej pory doświadczałem jej niezmiennie, a im bliższy mnie z nim wiązał stosunek, tem silniej mnie uderzała jego rzadka szlachetność i połączenie u niego najliberalniejszych nowoczesnych pojęć z zamiłowaniem rycerskich wspomnień, jakie nam minione wieki przekazały. Podobno ostatecznie zdobyłem sobie jego życzliwość na polu grochowskiem. Porównywując mnie z innymi, którzy się walecznością odznaczali, mówił: «On w ogień idzie, jak baba na targ».»

Darowane szlify przypięła po raz pierwszy rannemu bratu siostra jego, Celina Działyńska; była mu ona wówczas naraz siostrą miłosierdzia i sekretarzem. Pozostało z tego czasu kilka listów, jej ręką pisanych, w części od niej samej, w części dyktowanych przez brata:

Pani Działyńska do matki:

«Warszawa, 3 kwietnia 1831.

Moja Matko kochana!

Dziękuj Bogu. Władysław jest ranny w rękę, dlatego sam pisać nie może. Niech się Matka droga o niego nie niepokoi. Gdybym śmiała pragnąć czegoś, coby mnie dogadzało, tobym pragnęła, żeby każdy z naszych był ranny, jak on, w rękę. Na zawsze piękna pamiątka, a przynajmniej na teraz jest bezpieczny. Chciałabym też, żeby każdy, tak jak on, ranny został przy zdobyciu trzech sztandarów; z tego dwóch, będąc już rannym. On nieborak pochlebia sobie, że za kilka dni będzie mógł rozpocząć na nowo.»

Dyktowane przez Władysława: «W chwili, kiedy się spodziewać możemy świetnych korzyści nad nieprzyjacielem, z niemałym żalem przyszło mi iść za piec. Musiałem jednak poddać się, ażeby później nie być skazanym na dłuższą bezczynność... W bitwie pod Dębem miałem sposobność patrzeć z blizka i długo na naczelnego wodza i najlepsze o nim powziąłem wyobrażenie. Jego spokój i stałość, z jaką czekał bez zniechęcenia i bez niecierpli-

wości skutku walki, kiedy nikt dokoła niego już nic pomyślnego się nie spodziewał, dały mi o nim wysokie wyobrażenie. Dodam, że mało cierpię «na ranę», ale dużo z powodu, że nie jestem w boju...»

Do panny d'Arnaud:

«Sprawy nasze zdają się z dnia na dzień lepszy brać obrót. Zniesienie czy rozproszenie trzydziestotysięcznego korpusu jest dobrym początkiem, dało nam jak najkorzystniejsze stanowisko, choć zawsze siły nasze nie dorównywują tym, które nieprzyjaciel rozrzucił po obszarze ziemi naszej. Od dziś za dni kilka wiele rzeczy się rozstrzygnie, wojsko nasze znajduje się w pośrodku trzech korpusów nieprzyjacielskich o różnych siłach.

Dowiadujemy się dzisiaj, że Francya czuje się obrażona interwencyą Austryi w państwie kościelnem; niechże przeszkodzi podstępnemu a złośliwemu mieszaniu się w sprawy nasze innego państwa niemieckiego (Prus). Zatrzymuje ono gwałtem nasze kapitały, uniemożliwia stosunki z Europą, przejmując korespondencye, zatrzymuje przyjeżdżających i wyjeżdżających, bezlitośnie zabrania przybywać do nas doktorom i chirurgom, których rząd nasz wzywa. Rannych i chorych mamy w Warszawie obecnie dwanaście tysięcy, a wojna i cholera, panująca w wojsku moskiewskiem, może tę liczbę tylko zwiększyć. Jeńców wzięliśmy dwanaście do czternastu tysięcy, między nimi sześćdziesięciu oficerów, armat pięćdziesiąt, sztandarów do dwunastu lub więcej. By ocenić zasługę naszych wojsk, trzeba sobie przypomnieć częste skargi Napoleona na brak jeńców moskiewskich.»

Pani Działyńska do siostry, x. Leonowej Sapieżyny:

«27 kwietnia 1831.

Może wiesz, że pierwsza zdobycz, pod dowództwem Skrzyneckiego na Moskalach wzięta, jest prześliczny ołtarz grecki Najświętszej Panny. Skrzynecki wziął to za dobrą wróżbę. Mąż mój jest teraz przy nim, mianował go przed

kilku dniami adjutantem, ma pracować w jego tajnej kancelaryi; to miejsce daje mu ogromnie wiele pracy, ale jest niem zachwycony. Konstanty adjutantem Skarżyńskiego, dowodzącego korpusem rezerwowym jazdy. Długobym mogła opowiadać o tem, jak pięknie i z jak przedziwną szlachetnością prowadzą się w tej wojnie nasi, nawet prości żołnierze[1]). Odwaga ich i zapał nie do opisania, nienawiść do Moskali, zdawałoby się, straszna, a zaledwie nieprzyjaciel wzięty, czy ranny, obchodzą się z nim, jak z bratem. Nieprzyjaciel inaczej postępuje z naszymi; jeńcy, których, cofając się z Mińska, pozostawił za sobą, w opłakanym byli stanie. Trzy czwarte tych biedaków umiera z wycieńczenia; w więzieniu cierpieli na brak wszystkiego, niektórych obdarto do koszuli. A jakie rabunki tam, gdzie Moskale przeszli! Moje biedne Ręczaje są w opłakanym stanie. Wszystko spalone z wyjątkiem murów, bo te im służyły za schronienie. Nie pomogło dostarczanie im drzewa na opał, nie chcieli go, brali krzesła, stoły, pługi. Teraz odeszli, zjadłszy nam i naszym wieśniakom wszystko, co się zjeść dało. Nie został ani jeden koń, ani wół, niema ani ziarnka zboża na zasiew. Ubrania wieśniaków żydom sprzedali. Żyję tu jak można najoszczędniej, jadamy jak najmniej, pijamy tylko wodę, chodzimy w poniszczonych sukniach, nie trzymamy już koni, odprawiliśmy służących; zostały tylko kobiety, których nie mam serca oddalać. Trochę czasem trudno do niektórych rzeczy się przyzwyczaić. Sprzedaj, co tylko będziesz mogła, zwłaszcza klejnoty; przez długie lata teraz nikt nie będzie miał czem się przystrajać, a ci, którzy klejnotów nie sprzedadzą, wstydzić się ich będą. Niech cię moja bieda nie zasmuca. Byle Bóg zacho-

[1]) X. Alexandrowa Sapieżyna pisała 17 kwietnia: «Żołnierze w wielu pułkach prosili o obniżenie marnego ich żołdu na rzecz szpitali; ranni poddają się chętnie największym cierpieniom, byle prędko do wojska wrócić. Nasze kobiety z niezmordowanem poświęceniem obsługują chorych dniem i nocą, tak swoich, jak nieprzyjaciół.»

wał mi męża i braci, będę wesoła i gotowa śmiać się z niewygód i braków. Jeżeli Polska żyć będzie, dumni będziemy z naszego ubóstwa.»

X. Leonowa Sapieżyna do matki:

«Paryż, 12 kwietnia 1831.

W gazetach była mowa o braciach i pochwała o ich pułku. Żebyście wiedzieli, z jakim entuzyazmem mówią tutaj o naszem malutkiem, kochanem Królestwie, z jaką radością dobre wieści są przyjmowane. Czemuż tutejszy rząd wszystko psuje i ziębi swoją obmierzłą dyplomacyą [1]). Moskale nie śmieją się nigdzie pokazywać. Tyle tu nagadali, że jesteśmy pchłą, która słoniowi wojnę wydaje, że ten bunt będzie poskromiony w kilka dni, że o tyle większy wstyd dla słonia, iż się dał pobić przez biedną pchłę. Tutaj ludzie truchleją, mówiąc o potędze cara, my jedni, słabi, z wszystkiego wyzuci, śmieliśmy jemu się oprzeć, ale też co za chwała. Jakie umiarkowanie, jaka skromność w powodzeniach, jaka różnica między raportami Skrzyneckiego a Dybicza. Pierwszy zwycięstwa Panu Bogu przypisuje, drugi swemi przechwałkami nikogo w błąd nie wprowadzi.

Mój biedny Leon wyjechał do kraju stąd 22 marca, w Pradze kazano mu się cofnąć. Chciał na Wiedeń jechać, także go nie puszczono. Ostatni jego list wysłany z Mona chium, pisze, że jeszcze jednej drogi chce próbować, ufam, że mu się lepiej powiodło tym razem. Może już dojechał, musi być szczęśliwy, ja też staram się być szczęśliwą, pomnąc, że on obowiązek spełnia. Zresztą, potrzeba mi widzieć, że jest szanowany, jak na to zasługuje, musi się okazać takim, jakim jest [2]).»

---

[1]) W innym liście z tego czasu donoszono, że Ludwik Filip posłał następcę tronu do ambasadora moskiewskiego, Pozzo di Borgo, dla przeproszenia go, że w ambasadzie wybito szyby na wieść o polskich zwycięstwach.

[2]) X. Adam, uwiadamiając panią Zamoyską o powrocie do kraju x. Sapiehy, pisze, 9 maja 1831: «Leon miał rozkaz pozostania (w Pa-

Pani Zamoyska pragnęła, by syn jej, Władysław, korzystając z chwilowej bezczynności i z pobytu w Warszawie jakiegoś paryskiego malarza, dał wykonać obraz, przedstawiający szarżę pod Kałuszynem. Nie przyszło wówczas do tego. W parę lat później August Zamoyski, pragnąc zadość uczynić życzeniom matki, opisał dla polskiego artysty, Januara Suchodolskiego[1]), chwilę jedną tej bitwy:

«Rzecz dzieje się na szosie w dzień pogodny, o godzinie ósmej z rana; słońce od strony Kałuszyna. Szosa przechodzi w kierunku prostym pod górę; w głębi wierzchołek pagórka. Most na szosie przez rzeczkę szeroką na dziesięć łokci blizko; brzegi okryte trawnikiem i krzaczkami olszowemi, rzadkiemi i nizkiemi. Na wierzchołku pagórka las sosnowy i świerkowy gęsty, ale nierówny; bliżej rzeczki, na schyłku, rzadszy las i pojedyńcze sosny i olchy, wysokie i gołe odziomki; 1 kwietnia, drzewa liściaste bez liści.

Na moście stoi oddział jazdy po szarży i zdobyciu dwóch chorągwi, gdy tymczasem na wzgórzu jeden pluton zdobywa trzecią chorągiew. Wszystkie konie pomęczone i zgrzane. Oddział ten, rozbiwszy linię piechoty nieprzyjacielskiej, zapędził się w las, przez to odcięty i już rażony z tyłu ogniem piechoty, ale ta okoliczność nie da się zapewne wyrazić w obrazie. Na moście i przed mostem znać skutki utarczki, jako to: ranni ludzie i konie, niektórzy zabici, leżące kaszkiety piechoty, broń, patrontasze itp.

---

ryżu) przy Kniaziewiczu i Platerze, teraz byłby w Londynie na miejscu Walewskiego, ale nie chciał pozostać. Zbyt mu było przykro nie dzielić niebezpieczeństw, opinia za granicą dokuczała mu, słowem nie mógł na sobie przemódz, aby nie przybył.»

[1]) Suchodolski po wojnie 1831 kształcił się w francuskiej akademii sztuk pięknych w Rzymie, pod Horacym Vernet. Malował poprzednio utarczkę pod Kuflewem, w której się odznaczył August Zamoyski.

Na lewo pluton, zdobywający chorągiew. Ponieważ w tem miejscu wznosi się wierzchołek pagórka, rowów przy szosie nie masz i las szeroko wycięty, utarczka plutonu z piechotą nieprzyjacielską i chorągiew zdobyta odbijają się na tle błękitnego nieba.

Bliżej mostu, pomiędzy pojedyńczemi drzewami, Moskale zaczajeni. Niedaleko szosy oddziały piechoty nieprzyjacielskiej z tyralierami, którzy nierówno ognia dają; widać ich po całem wzgórzu przez rzadki las, z drzew wysokich a gołych od dołu złożony. Przed tą piechotą paru oficerów na koniach i dwóch kozaków ordynansowych; piechota liniowa z korpusu litewskiego. Nad wodą, prawie pod mostem, ranni i niewolnicy, między niewolnikami sztabsoficer, pop i kozaków paru.

Na pierwszym planie ma być Władysław Zamoyski, major Kuderowski z 4 pułku ułanów, kapitan Senakiewicz z tegoż pułku, porucznik Suchodolski, Mikułowski, kapitan sztabu, wachmistrz szwadronowy z szewronami i czoło trzeciego szwadronu 4 pułku ułanów, formujące się po szarży. Dwóch ułanów konno stoi na moście z chorągwiami; jedna rozwinięta, druga w pokrowcu z ceraty.

Władysław Zamoyski w surducie mundurowym, sztabowym; szlify kapitańskie, pas od ładownicy srebrny służy za temblak dla ręki rannej; na ręku rękawiczka biała, zakrwawiona, dwa palce strzaskane. Pałasz prosty, schowany w pochwę, ma gardę mosiężną, strzaskaną od strzału. Koń siwy z ogonem polskim, długą grzywą czarną, zmachany stoi w miejscu. Furażerka sztabowa lekko na bakier, z łańcuszkiem srebrnym do podpinania wkoło furażerki spiętym, z tyłu rozdarta od kuli karabinowej. Surdut w wysokości kolana także od kuli rozdarty. Kuderowski krępy, blond włosy i wąsy. Senakiewicz mały blondyn, wąsy długie, jasne. Mikułowski, chudy, nędzny, czarne włosy, średniego wzrostu na gniadym koniu, furażerka sztabowa, podpięta łańcuszkiem.»

Juliusz Falkowski, który w późniejszych latach zupełnie inaczej Zamoyskiego sądził, tak się o nim z czasów powstania wyraża: «Pamiętam pułkownika Zamoyskiego młodym oficerem, a ostatni raz widziałem go w Warszawie na wiosnę 1831 roku, gdy był na garnizonie z pułkiem w stolicy. Miał on rękę na temblaku wskutek rany, odniesionej w szarży na czele pułku Zamoyskich [1]) w bitwie pod Kałuszynem; na piersiach jego błyszczał krwią zdobyty krzyż «virtuti militari».

Był to bardzo przystojny mężczyzna, wybujały i wysmukły jak palma, z kruczemi, nieco kędzierzawemi włosami; wyraz twarzy miał męski, oczy myślące, obejście się uprzejme i pełne godności. Tej powierzchowności odpowiadał charakter jego rycerski i umysł poważny. Obrawszy sobie zawód wojskowy, pokochał go całem sercem i starał się nabyć wiadomości, które nie mniej potrzebne, niż męstwo, aby się sławy dobić na tej drodze. Będąc już oficerem i adjutantem w. xięcia, nie miał sobie za ujmę uczęszczać na kursa nauk wojskowych w szkole aplikacyjnej.»

---

[1]) Nie pułku Zamoyskich, lecz 4 pułku ułanów.

VI

PRZERWA W CZYNNEJ SŁUŻBIE

«Zmuszony przez chirurgów i naczelnego wodza do przebywania w Warszawie, codziennie odwiedzałem x. Adama; pozwalał mi nie tylko wypytywać siebie, ale i moje zdanie wypowiadać. Zrazu uwaga nasza wyłącznie była skierowana na wojsko i na dalsze jego ruchy. Tkwiły mi w pamięci słowa Skrzyneckiego: «Teraz możemy się spodziewać kilku świetnych dni.» Ale kilka dni minęło, a żadna od kwatery głównej wieść nas nie dochodziła. Co dnia po południu wyjeżdżaliśmy z x. Adamem kolaską ku Miłośnie w nadziei, że spotkamy adjutanta Skrzyneckiego z wiadomością o następstwach odniesionego zwycięstwa. Wrażenie, jakie dał o sobie Skrzynecki, najlepsze obudzało nadzieje. Ja sam przez drugą część dnia 31 marca, towarzysząc mu bezczynnie, pilnie śledziłem każdy jego ruch i każde słowo, tak w chwilach powodzenia, jak kiedy napotykał zapory, a wrażenie moje w tych słowach przed x. Adamem streszczałem: «Myślę, żeśmy się doczekali wodza naprawdę».

Minęło dni dziesięć. Do nieczynności naszej przyczyniło się rozproszenie nieprzyjaciela na tak rozległej linii, że niewiadomo było, gdzie szukać jego głównej siły. Nie chciało się schodzić z szosy, bo wszystkie inne drogi były w stanie opłakanym. Na szosie zaś nieprzyjaciel nie stawiał oporu, ale zapędzać się na niej nie było

podobna, bo Dybicz miał kwaterę główną w Rykach, a siłę znaczną przy ujściu Wieprza do Wisły, więc mógł śmiałym ruchem odciąć nas od Warszawy. W tak trudnem zadaniu Skrzynecki musiał być w tem większej niepewności, że, równie jak jego poprzednik, miał do rady dwóch jenerałów, coraz wyższe zdobywających znaczenie, a zawsze, jakby pod wpływem przeznaczenia, sprzecznie się zapatrujących na wypadki i na sposób korzystania z nich. Prądzyński nie przestawał śmiałych nastręczać przedsięwzięć. Chrzanowski z wielką siłą przekładał niedostateczność wiadomości o pozycyach, zajętych przez nieprzyjaciela.

Dnia 10 kwietnia nareszcie wysłano siły nasze w kierunku Żelechowa. Natrafiły one na kolumny nieprzyjacielskie, ciągnące ku północy i Siedlcom. Rozpoczęła się na naszem prawem skrzydle bitwa[1]), a Łubieński, stojący na lewem skrzydle pod Boimiem, otrzymał rozkaz przejścia przez błota, które miał przed sobą. Przeszedł, ale dopiero po kilku godzinach. Korpus jego nie rzucił mostów wprost przed sobą na szosie, szukał przejścia o milę na lewo. Stąd opóźnienie i głośne znowu narzekanie na Łubieńskiego. Nieprzyjaciel, wyparty ze wsi Iganie uderzeniem naszego prawego skrzydła, poniósł wprawdzie porażkę, ale byłby wiele więcej ucierpiał, gdyby mu Łubieński spiesznym ruchem tył zaszedł. Przy narzekaniu na Łubieńskiego wspomniał niejeden o jego szefie sztabu. Chciano łaskawie przypuszczać, że, gdyby on był przy korpusie, rzeczby wzięła inny obrót. Wspomniał przytem niejeden, że po zwycięstwie pod Wawrem i Dębem, awangarda nasza póty nieprzyjaciela ścigała i rozbijała, póki on z nią szedł na czele. A przecież na miejscu mojem, jako szef sztabu, był kapitan Leons Rzewuski, znakomity uczeń szkoły aplikacyjnej, który w po-

---

[1]) Pod Iganiami, chlubna dla Prądzyńskiego, który w niej dowodził.

przednich bitwach, jako adjutant naczelnego wodza, okazał świetną odwagę. Sam po części przyczyniłem się do zamianowania go na moje miejsce, chwaląc go przed Skrzyneckim; mówiłem mu podczas przerwy po bitwie grochowskiej: «Kiedy mnie komisya kazała być szefem sztabu korpusu, wątpiłem, czy odpowiem zadaniu; dziś już śmiało powiadam, że do tych obowiązków potrzeba oficerów młodych, byle mieli dobrego dowódcę. Czuję, że w tym krótkim czasie rozwinęły się we mnie zdolności, których się nawet nie domyślałem. Są i inni młodzi, którzy, podobnie użyci, zapewne tak samo zdolności okażą i rozwiną je do większych jeszcze rozmiarów.» Przytem wymieniłem ich kilku, a w pierwszym rzędzie Leonsa Rzewuskiego i Tomasza Potockiego, również ucznia szkoły aplikacyjnej, pierwszego w klasie, a później adjutanta naczelnego wodza.

Pod Iganiami wzięliśmy znowu parę tysięcy niewolnika i kilkanaście dział, ale to było jak gdyby ostatnie wysilenie. Nastąpiły znowu cztery tygodnie bezczynności. Dybicz cofnął wszystkie siły swoje aż pod Brześć, a tymczasem gwardya rosyjska pod w. x. Michałem szła do Tykocina i Łomży. Nieczynność Skrzyneckiego tem była wszystkim dotkliwsza, że wojsko nasze, po dwóch świetnych zwycięstwach, wielkim było ożywione duchem. X. Adam często pisywał do Skrzyneckiego, przekładając powody do korzystania z chwili pomyślnej. Sam nawet do głównej kwatery dojeżdżał. Wszystko było daremne. Skorom na tyle wyzdrowiał, począłem i ja dojeżdżać do głównej kwatery i korzystając z wielkiej przychylności jen. Skrzyneckiego, we własnem i xięcia imieniu ośmielałem się ubolewać nad nieczynnością wojska. Skrzynecki zbywał mnie żartem, podziwiając jakoby poglądy wojenne x. Adama. Mawiał, że x. Adam mógłby istotnie być «dobrym jenerałem brygady».

W rzeczywistości Skrzynecki, jak Chłopicki i wielu innych, chorował na niewiarę w możność pokonania wroga.

Od chwili objęcia naczelnego dowództwa, puścił się na marne i jałowe rozpisywanie listów do feldmarszałka Dybicza i do rządów zagranicznych. Wśród publiczności nie wiedziano, co pisał, ale wysyłki do forpoczt nieprzyjacielskich odbywały się jawnie; wprawdzie obudzały powszechne narzekanie, ale wyznam, że mi dziwnie wspomnieć, jak mało wywoływały oburzenia. Zdawało się, że nieomal każdy, choć gotów był do największych z siebie ofiar, w głębi duszy nie potępiał braku nadziei, jaka się okazywała, tak w nowym, jak i poprzednim wodzu. Oczywistym był chaos, jaki nam stworzyły sejmowe uchwały, stawiające w niezależności od Rządu Narodowego naczelnego wodza, mogącego bez wiedzy rządu traktować o losach kraju z Moskwą i obcemi państwami.

Skrzynecki pisał na własną odpowiedzialność, według własnych pomysłów; łatwo się domyślеć, jak pisał. Znany był z wielkiego oczytania i poglądów paradoksalnych; był arcykonserwatystą i arcykatolikiem, był nadewszystko pełen szlachetności, a tem samem patryotyzmu, ale mu nie dostawało miary. A czegóż potrzeba temu, co się puszcza na polityczne pisma, jeżeli nie miary przedewszystkiem? Listy jego do feldmarszałka Dybicza, powtórzone w dzienniku urzędowym, mogły dać wyobrażenie, czem prawdopodobnie były listy pisane do rządów zagranicznych. Musiała przedewszystkiem uderzać sprzeczność między słowem a czynem, bo słowem błagał, a w czynie okazał dzielność i śmiałość niepospolitą. Możnaby zapytać, poco błagał, kiedy tak oczywiście błaganie musiało być daremne, a co gorsza, pozwalało mniemać, że się lada czem damy zaspokoić i żeśmy popadli w zwątpienie. Doczekał się też Skrzynecki bezwzględnej odprawy od Dybicza. Najbardziej mnie raził bezrząd, jakiego ta korespondencya była dowodem. Przekładałem x. Adamowi i pozwalałem sobie wymawiać mu, że zawodzi ufność narodu, kiedy pod pozornem jego przewodnictwem, a bez jego wiedzy,

tak ważna sprawa była prowadzona. Doradzałem, aby xiążę wyjaśnił swoje stanowisko i wymagał od kogo należy, by przy odpowiedzialności służyła mu odpowiednia władza, albo by, w braku władzy, przestał dźwigać odpowiedzialność. Ale postawienie takiego warunku nie było w charakterze xięcia. Wstręt miał nieprzezwyciężony do tego wszystkiego, coby mogło rzucić na niego pozór, że się domaga większej władzy, chociażby taką władzą największą mógł oddać przysługę. Xiążę grzeszył skromnością, ale nadewszystko przemagało u niego i wszelkie inne uczucie tłumiło przekonanie, że nasze zadanie było nad siły, nad wszelką dzielność i ofiarę, nad roztropność, choćby najgłębszą. Nie brakło nigdy między nami takich, co, w tylekroć ponawianych powstaniach podobnem dręczeni zwątpieniem, nie wysilali się na środki niezbędne do zbawienia, uważając, że ono jest niepodobnem, a sumienie sobie zaspakajali składaniem ofiar z własnej osoby lub majątku.

Razu jednego powiedziałem Skrzyneckiemu, kiedy był na kwaterze głównej w Jędrzejowie, jeszcze upojony zwycięstwem pod Dębem: «Jenerale, Bóg świadczy nam wielką łaskę, dając nam dwóch takich ludzi, jak ty i Czartoryski. Ale pomnij, jenerale, że potomność uważać was będzie nie za zbawców narodu, ale za godnych przekleństwa, jeżeli nie dopełnicie koniecznego warunku do tryumfu powstania.» «Jakiego?» zapytał. — «Oto, żeby z was dwóch zrobić jedno, a to się robi», tu tłomaczyłem się gestami, «podporządkowując jednego drugiemu. Nie jestem upoważniony od xięcia do tych oświadczeń, ale mogę zaręczyć, że, jeśli jenerał chce być nad xięciem, xiążę będzie z chęcią pod nim. Lecz, jeśli jenerał uważa, że powstanie straciłoby na powadze, gdyby na czele jego nie stał człowiek tak znany, jak Czartoryski, to sam jeden tylko, jenerale, możesz xięcia postawić nad sobą.» Długo jeszcze mówiłem o konieczności zmiany rządu. Skrzynecki milczał. Nareszcie: «Ja nie mogę robić 18 Bru-

maire'a», odpowiedział, i na tem rozmowa się skończyła.

Jak niezależnie od rządu puszczał się Skrzynecki na dyplomatyczne działania, tak również chciał być niezależny na polu wojennem. Daremne były wszelkie zachody, listy, namowy xięcia i innych członków rządu. Otrzymane zwycięstwa nie były mu zachętą do dalszych zwycięstw, ani do korzystania z przewagi moralnej, jakąśmy nad nieprzyjacielem zdobyli. W oczach jego jedyny z nich owoc mógł przyjść od rządów Zachodu, którymby te zwycięstwa stały się zachętą i ośmieleniem. Mawiał często: «Dobrze, że się nam raz i drugi powiodło, że mamy wojsko i urok zwycięstwa. Mamże to wszystko narażać na przegraną? A kto mi da inne, jak to stracę lub zamęczę? Czekajmy, może się przecież Paryż lub Londyn przebudzą.» I znowu, jakby drugi Chłopicki, kończył, że na bitwę ostateczną zawsze będziemy gotowi, ale że szukać jej nie widzi powodu.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Warszawa, 16 kwietnia 1831.

Od 10 kwietnia nie zaszło nic nowego, tylko Umiński na lewem skrzydle pod Liwem musiał przed przemagającą siłą ustąpić cokolwiek. Ale w tym odwrocie mój dawny pułk 1 ułanów wpadł na huzarów i wziął im ludzi trzystu, koni sto pięćdziesiąt.

Zdaje mi się, że naczelny wódz więcej od Warszawy oddalać się nie myśli. Teraz czekać tylko będziemy, póki nieprzyjaciel przez swoje poruszenia, a może przez błąd jaki da nam chwilę korzystną. Ta Warszawa, której odstąpić nie możemy, wiele nam przeszkadza. Gdyby naczelny wódz był pewny, że Warszawa potrafi oprzeć się choć godzin sześćdziesiąt, mógłby śmielej działać. Dybicz widać nie umie swego menueta inaczej tańczyć, jak tylko od pieca. Całą armią obchodzi znowu wkoło nas, żeby na szosie stanąć i znowu temi samemi drogami

iść, jak za pierwszym razem. Może też i my, unikając ogólnej a stanowczej rozprawy, zbierzem się znowu aż pod Pragą, gdzie teraz obwarowanej pozycyi małemi siłami bronić możemy. Natenczas Dybicz z główną siłą będzie musiał gdzie dalej próbować przejścia przez Wisłę, co dla nas znowu będzie chwilą korzystną do natarcia na rozdwojone siły jego. Tak, bez wielkiej bitwy, może nam zejść znowu miesiąc cały i więcej, bo Dybicz widać jest tego zdania, że «chi va piano, va sano».

To wszystko są moje domysły z wieści, jakie mnie tu dochodzą. Nie zgadzałoby się może to całe postępowanie z moim charakterem; możebym działał śmielej, a przez to gorzej. To pewna, że w położeniu naszem mitrężyć czas nieprzyjacielowi jest już zwyciężać. Na Wiśle musiał nieprzyjaciel popalić ogromne przygotowania do mostów, to jeden z największych ciosów przez nasze zwycięstwo mu zadanych.

Powstanie szerzy się na Litwie. Ta interwencya lepsza od wszystkich gabinetowych. Jakże mi żal Andrzeja [1]) i tych trudów, które ponosi na nic, bo ten Metternich nigdy nic nie zrobi, a lękam się bardzo, by biedny Andrzej nie zagrzązł tam na długo. Toby było bardzo smutne.

Alem się też już zmęczył [2]). Bracia zdrowi. Cholery niema, ale dysenterye zaczynają się mocne. Posyłam braciom przeciw temu dobre wiktuały i doktorskie przestrogi.

Oficerowie moskiewscy powiadają, że powstały także gubernie rosyjskie. Niech Bóg dopomaga.»

W kilka dni później, 21 kwietnia, przyszło do krwawego starcia pod Kuflewem między przednią strażą głównych sił polskich a oddziałem moskiewskim, wysłanym tamże dla odbycia rekonesansu. W potyczce tej pułk 5 ułanów stracił 80 ludzi; dziewiętnastoletni August Zamoyski,

---

[1]) Andrzej Zamoyski wysłany był w marcu przez Rząd Narodowy do Wiednia.

[2]) Pismo jeszcze nieczytelne wskutek rany.

który dostąpił w nim dnia poprzedniego stopnia podporucznika[1]), pisał do brata:

«Mój drogi. Mieliśmy tu małą przeprawę onegdaj i dosyć ucierpieliśmy, bo zapędzali się bardzo daleko bez porządku żadnego. Pułkownik (Gawroński) był ranny, ale lekko. Trzy razy porwany był przez kozaków i trzy razyśmy go odbili. Mnie kozacy dwa razy kolnęli, ale tylko płaszcz na tem trochę ucierpiał i konia mego to jest ogiera Konstantego dwa razy kolnęli piką ponad okiem, ale i to mała rzecz. Gutowski zabity, ale zarąbał dwóch kozaków, a trzeciego mocno zranił. Junga, młody kadet, podał konia pułkownikowi i pojechał do Warszawy ranny. Mówiłem mu, żeby poszedł do ciebie i u nas mieszkał. Odesłałem Remsa (służącego), bo mam innego a nie miałem konia; dzisiaj mam konia, którego zdobyłem w odwrocie, zsadziwszy kozaka. Teraz odeślij mi Remsa, bo nie mogę sobie poradzić z koniem, a przedtem nie wiedziałem, co robić z Remsem. Dosyć jesteśmy zadowoleni z pułku. Dobrze się zachowywał i dzielnie, ale rejterada była okropna przez rowy, dla nieporządku[2]).»

O potyczce tej Władysław Zamoyski wspomina w liście do matki z 24 kwietnia: «Pułk nasz miał spotkanie twarde, ale bardzo chlubne pod Kuflewem. August żwawo się znalazł. Byli w potężnem starciu. Zdzisław już był przy sztabie naczelnego wodza i okrutnie żałuje, że w bitwie nie wziął udziału.

Dziś pierwszy raz jadę do obozu na wizytę.»

---

[1]) Rozkazem dziennym z 20 kwietnia 1831, podpisanym w kwaterze głównej w Jędrzejowie pod Kałuszynem przez wodza naczelnego, Skrzyneckiego i szefa sztabu, jenerała brygady Chrzanowskiego.

[2]) Zygmunt Krasiński pisał o Auguście Zamoyskim do Henryka Reeve, 18 maja 1831: «Zamoyski w obronie swego pułkownika, którego zabierano w niewolę, zabił trzech kozaków. Gdyśmy byli razem, nieraz myślałem, że, jeżeli jeden z nas ma się odznaczyć, to ja nim będę. Bóg zarozumiałość moją ukarał.» (Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Reeve. T. I, str. 55)

≪ Przed końcem kwietnia dwie już nas spotkały porażki. Jen. Sierawski, cofnięty z Zamościa, miał sobie powierzony korpus kilkotysięczny naprzeciw Puław i Kazimierza. Korpus ten był złożony z samego młodego żołnierza. Ośmielony świeżem ustąpieniem Dybicza, Sierawski przeszedł Wisłę, ale wnet przemagającą siłą został pokonany[1]), musiał się cofnąć napowrót za Wisłę, zostawiwszy w ręku nieprzyjaciela około dwóch tysięcy ludzi. Najdotkliwszą w tej porażce stratą była śmierć Juliusza Małachowskiego, który, zasłaniając odwrót na czele batalionu strzelców, przez niego samego sformowanych, zginął jak bohater. ≫

Pod wrażeniem tej śmierci Władysław Zamoyski pisał do matki:

«Warszawa, 22 kwietnia 1831.

Zawsze dotąd nic nowego, a przynajmniej nic ważnego; same tylko potyczki na forpocztach, zresztą spokojnie i długo tak być może. O Sierawskim już tam wiecie. Wielką nam zrobił szkodę ten stary waryat. Nadewszystko strata dotkliwa w osobie Małachowskiego, podpułkownika. Podobno znała go matka w Puławach i tem bardziej stratę tę odczuje. Potrzeba ojczyźnie najlepszych jej synów; tę prawdę należy sobie powtarzać nieustannie mimo boleści, jaką sprawia. Jeżeli ojczyzna ma zginąć, niema co ich żałować, zazdrościć im raczej trzeba będzie. Jeżeli przeciwnie Opatrzność uwieńczyć zechce sprawę naszą, to pozostaną jednak ojczyźnie potrzebni do jej istnienia synowie. Małachowski padł ofiarą błędów swego dowódcy, o tyle jest do pożałowania i nie można nie żałować bardzo straty jego; ale co do niego dopełnił obowiązku, dopełnił go sowicie.»

Pani Zamoyska odpisała:

---

[1]) Pod Wronowem 17 kwietnia i pod Kazimierzem 18 kwietnia.

«Kraków, 5 maja 1831.

Rzewnie się spłakałam, czytając twój list o stracie biednego Małachowskiego. Zgadłeś aż nadto, jakie ta strata na mnie zrobi wrażenie. Poznałam go tak zaszczytnie w Puławach; obok tak znakomitego męstwa widziałam go tak dobrym, czułym, przywiązanym synem; powzięłam dla niego tyle szacunku. Biedna matka jest tu. Prawdziwie podziwu godna w swojej boleści i swojem poddaniu. W ostatnim liście syn pisał do niej: «Dopiero byłem u spowiedzi, mam spokój duszy a opatrzony matki błogosławieństwem, mogę bez obawy stanąć przed Bogiem, jeżeli taka będzie wola Jego.» Szkoda go wielka dla kraju. Ten nieszczęsny Sierawski, wszak ci mówiłam, że on nic zrobić nie potrafi. Od dnia, w którym mnie prosił, żebym mu przeczytała przesłane mu rozkazy i pytał mi się: «gdzie to ten Wieprz płynie?», pomyślałam sobie, że to nieświetny jenerał. Mam nadzieję, że to nie on będzie gubernatorem. Sierawski jest niezdara, a przytem w ścisłej przyjaźni z wszystkimi klubistami; sam mi to powiedział. Uczciwy człowiek, ma prawy charakter, ale sumiennie w dobrej wierze utrzymuje, że klubiści są to ludzie najlepsi, najpożyteczniejsi, mający najlepsze chęci, gorąco ich broni.»

« Zaledwieśmy ochłonęli z bolesnego wrażenia, wywołanego śmiercią Juliusza Małachowskiego, kiedy nas doszła wiadomość o klęsce jeszcze dotkliwszej. Dwernicki, ośmielony powodzeniem głównej armii, licząc na dalsze i bardziej jeszcze stanowcze z jej strony postępy, w połowie kwietnia wkroczył z województwa lubelskiego na Wołyń. Przez cały marzec o nim jednym pisały dzienniki, zwłaszcza petersburskie, donosząc o ciągłych i daremnych usiłowaniach jenerałów Kreutza, Witta i Dawidowa, żeby go otoczyć i zniszczyć. Jak poprzednio pod Stoczkiem, tak teraz pod Boremlem (19 kwietnia) rozbił zwycięsko nieprzyjaciela. Nieporównany był zapał młodych pułków

naszych, a zwłaszcza dzielność dodatkowych szwadronów z wysłużonych żołnierzy, odrębnie Dwernickiemu oddanych.

Pierwsza wiadomość o wkroczeniu Dwernickiego na Wołyń wywołała w sztabie głównym postanowienie poparcia go nową cząstkową wyprawą. Powierzono jej dowództwo Chrzanowskiemu, który od początku wojny nalegał, żeby sił naszych nie koncentrować, ale używać ich częściowo na wywołanie powstania tam, gdzie ludność znaku tylko i zachęty wyglądała, a gdzie nieprzyjaciel był mniej przygotowany. Chrzanowskiemu nadarzyła się tedy sposobność do wykonania przedsięwzięcia, którego plany tylokrotnie podawał, a Skrzynecki tem chętniej zapewne się zgodził na takie oddalenie się jednego ze swoich dwóch doradców, że codzienną sprzecznością ich zdań czuł się już znużony. Wyprawa ta jednak nie doszła do rozmiarów, zamierzonych przez Chrzanowskiego. Zaledwie wyruszył z jedną brygadą piechoty i jedną jazdy, kiedy rozeszła się wieść, że Dwernicki ze szczątkami swego korpusu schronił się 27 kwietnia do Galicyi.

Jakkolwiek był to cios ze wszech miar bolesny, nie odrazu zrozumieliśmy zgubną doniosłość tego wypadku. Im większa była popularność Dwernickiego, zasłużona zresztą, bo obok wielu wad miał on przymioty godne naśladowania, tem gorszy był przykład, dany po raz pierwszy w tej wojnie, wyprowadzenia korpusu za granicę, nie wśród boju, nie przed przemagającą siłą, ale wskutek nieszczęsnej rachuby o niepodobieństwie przedłużenia walki i w zamiarze «przechowania sił na inny raz». W podwładnych możnaby to nazwać rozstrojem w danych razach nieuniknionym; w dowódcy, kiedy się temu rozstrojowi poddaje, jest to pierwszorzędne przewinienie, za które co najmniej powinien być oddany pod sąd wojenny.

Nie taki jednak spotkał Dwernickiego sąd opinii publicznej. Żałowano go, potępić nikt nie umiał, ani się domagano bliższego i surowego rozpoznania rzeczy,

jak gdyby już wtenczas każdy przeczuwał, że go podobna ostateczność czeka i zawczasu sobie rozgrzeszenie zabezpieczał. Inaczejby się zapewne zapatrywano na to przejście korpusu przez granicę, gdyby ono było zaszło pod dowódcą mniej powszechnie lubionym.

Na nazwę dowódcy Dwernicki ledwo zasługiwał. Był on tylko wykonawcą myśli, które się w jego otoczeniu wytwarzały; otaczała go zaś młodzież najgorętsza, która w nim upatrywała gorącego patryotę, a tem bardziej go sobie upodobała, że nie był ścisły ani surowy w zapatrywaniach swoich, nawet na rzeczy najważniejsze. Lekceważenie ich przyprawiło go jeszcze za rządów w. xięcia o następstwa bolesne dla człowieka honorowego. Ale Dwernicki miał w sobie coś, co ujmowało i pociągało serca, a czegoby mu każdy naczelnik mógł pozazdrościć. Karność u niego była luźna, porządku brakło, ale miłość dla dowódcy wywoływała wśród jego podkomendnych cuda waleczności. Skądinąd waleczność ta, nie ujęta w karby wolą dowódcy, sprowadzała czasem niepożądane skutki, wciągała bowiem korpus w stanowcze rozprawy, bez względu na to, czy chwila i okoliczności były odpowiednie. W każdej prawie bitwie Dwernicki z początku rozpaczliwie usiłował powstrzymać szaleńców, których w następnej godzinie, skoro się bitwa powiodła, nagradzał, jako bohaterów.

Możnaby powiedzieć, że Dwernicki był jakby uosobieniem powszechnych w naszym narodzie przymiotów i przywar. Stąd pobłażliwość dla czynu, jakiego się dopuścił, wyprowadzając korpus za granicę, czynu, który następnie, w miarę upadku ducha, był o tyle śmielej naśladowany, a na który nie zgodziłby się żaden rzetelny patryota, nadewszystko żaden żołnierz, gdyby się w nim nie zwichnęło pojęcie obowiązku. Cóż prostszego nad to, że żołnierz, mający sobie powierzoną broń i cześć ojczyzny, powinien się czuć obowiązany do bronienia tej czci kosztem życia swego, i że nie ma prawa złożyć broni, chyba pod

naciskiem tak przeważnej siły, że już jej przemódz nie zdoła najsilniejsza wola. W każdym narodzie musi być władza polityczna, której zadaniem rozstrzygnąć, kiedy należy z nieprzyjacielem rozpocząć walkę, a kiedy wchodzić w układy, lub ostatecznie dać za wygraną. Nie jest to, a przynajmniej nigdy być nie powinno zadaniem wojskowego dowódcy, najmniej zaś dowódcy odrębnego korpusu.

Niestety w tym, jak w tylu innych kierunkach, grzeszymy brakiem ścisłego, jednego a zasadniczego poglądu na najważniejsze zadania życia publicznego; co więcej, posuwamy do zadziwiającego stopnia śmiałość w sądzeniu i rozstrzyganiu o sprawach publicznych, nie troszcząc się, czy posiadamy warunki potemu. W jednym tylko naszym narodzie mogło powstać przysłowie: «Polak do wszystkiego zdolny, choćby flotą komenderować.» U nas każdy sądzi, że miłość dla kraju daje mu prawo stanowić o jego losie, że dość być Polakiem, aby w każdej polskiej sprawie mieć głos stanowczy. Stąd zdania i czyny grzeszą pomieszaniem pojęć, nietrafnem stosowaniem zasad, pochodzących nie z tego pola, na jakiem mają być przeprowadzone, naprzykład stosowaniem pojęć i zasad politycznych tam, gdzie tylko wojskowe względy i obowiązki przemawiać powinny. Bywą to u nas źródłem bezrządu, klęsk i zakały. Takie mniemanie szczególniej w wojsku jest zgubne. Wojsko stoi na karności, bez niej staje się niesfornym motłochem; ale karność tam tylko utrzymać się może, gdzie dowodzący sam wyższej władzy ulega, gdzie za wojenne czyny odpowiada wódz, ale o politycznym kierunku wojny rząd wyłącznie stanowi.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Warszawa, 4 maja 1831.

Przez Galicyę smutne nas dochodzą wieści. Kto winien? Powiem, że my wszyscy, bo wszyscy po szalonemu uwierzyliśmy w niezawodne powodzenie Dwerni-

ckiego, a tego nie opieraliśmy na żadnych faktach, nawet nie na domysłach o stanie Wołynia i sił, tam będących. Że on sam o sobie nie pamiętał, to źle, ale i z naszej strony zezwalać na taką nieroztropność, było bardzo źle. Cokolwiekbądź i jakiekolwiek nas mogą spotkać chwilowe i miejscowe porażki, nie zmniejszy to naszej wiary w ogólne powodzenie sprawy, do czego mamy niejeden powód. Chwila stanowczych wypadków zbliżać się zdaje, a przecież może się też i opóźni, bo pan Dybicz coś bardzo mądrego zapewne gotuje, wręcz zaś, jak na wstępie, już nie ma ochoty po raz drugi z nami się próbować.

Cholera czasem się zmniejsza, czasem się wzmaga, ale ludzi ostrożnych mało dotyka.

Pułk 4 ułanów, który mi dnia 1 kwietnia towarzyszył, przysłał do mnie deputacyę, zapytując, czy pozwalam, żeby prosili naczelnego wodza, aby mnie im dano na dowódcę. Odmówić nie mogłem, a przechodziło to najzaszczytniejsze moje nadzieje, ale co będzie z tego, nie wiem. Jutro z wujem przejadę się do głównej kwatery, ale wrócę jeszcze na kilka dni.»

Pani Zamoyska do syna, Władysława:

«Kraków, 12 maja 1831.

Na Wołyniu Moskale popełniają okropności, są to skutki nieszczęsnej wyprawy Dwernickiego. Jeżeli to po ludzku możebne, nie dajcie się wyprawić ani na Litwę ani na Wołyń, pozostańcie przy naszej armii; równie tam pożyteczni będziecie i narażeni na dosyć niebezpieczeństw, niestety. Słyszę, że Chrzanowski ma być wysłany na Wołyń, Zdzisław przy nim. Cóż teraz począć na Wołyniu? a takie tam mordy, szubienice, ręka się wzdryga nawet pisać o tem. Konstanty niezdrów; zmiłuj się, czy nie mógłby, sama nie wiem, co powiedzieć, o co prosić, uczyń dla niego, co się da. Ty mi się wydajesz ich wszystkich aniołem stróżem; czuwaj nad nimi, nad sobą. Czy macie, co potrzeba, żeby się od chorób chronić: flanele, dobre

obuwie, bulion? czy każdy ma trochę pieniędzy przy sobie?

Miło mi, że cię cenią, jakeś wart. Kochany 4 pułk ułanów!»

《 Wobec wejścia korpusu Dwernickiego do Galicyi, Chrzanowski nie poszedł na Wołyń, przebił się pod Lubartowem przez korpus nieprzyjacielski jen. Kreutza i dostał się pod Zamość. Jakkolwiek wyprawa Chrzanowskiego zamierzonych korzyści nie przyniosła, miała jednak ten pożytek, że dała mu sposobność spróbowania swoich zdolności do naczelnego dowództwa, choć na małą skalę. Próba była szczęśliwa; Chrzanowski zdobył sobie uznanie, a pułki, które mu towarzyszyły, nabyły większej pewności i ufności w siebie, co się w dalszym ciągu wojny niejednokrotnie z korzyścią okazało, tak na nich, jak na ich wodzu. 》

Władysław Zamoyski do matki:

«Warszawa, 15 maja 1831.

Moja matko droga, moja najlepsza, najukochańsza Matko! Dzisiaj Matki imieniny, czemuż nie mogę z nich święta zrobić dla niej? Natomiast przepędzasz Matka dzień ten, jak wszystkie, w smutku i niepokoju. Miałem nadzieję, że będę mógł dać jaką wiadomość dobrą, ale los Dwernickiego i Sierawskiego niech Matki nie niepokoi. Tu inna głowa prowadzi, przytem inne wojsko, wojsko wyborowe. Już im się jedno w Kocku udało. Z Lubartowa dochodzą wieści o nich pyszne. Urzędowych wiadomości dotychczas nie mamy, wszelako to pewna, że odnieśli tam zwycięstwo. Zła wiadomość jużby nas doszła. Z dobrą mniej pilno.

Konstanty, August i Działyński są przy sztabie głównym, dokąd i ja się dzisiaj wybieram. Zmartwię Matkę, donosząc, że zdrowie nareszcie na to mi pozwala. Co do mnie, biorę sobie za dobrą wróżbę, że dziś właśnie wracam do wojska. Wódz naczelny, który niezmiernie jest

dla mnie łaskaw, pozwolił mi dwa tygodnie przy sztabie swoim przepędzić, aż będę mógł pałaszem władać i objąć na nowo służbę szefa sztabu. Rana zagojona.

Wszak pisałem, że oficerowie 4 pułku ułanów, moi towarzysze z dnia 1 kwietnia, prosili o mnie na dowódcę pułku. Skoro się 5 pułk (nasz) o tem dowiedział, upominał się o to samo, jakby z prawa. Chcieli, żebym zastąpił Gawrońskiego, który ma brygadą dowodzić. Nic z tego wszystkiego nie będzie, bo wódz naczelny raczył powiedzieć, że pożyteczniejszym będę na miejscu szefa sztabu. Tyle łask, tyle zaszczytów na mnie spływa ze wszech stron, że nie mam czasu czego zapragnąć. Ale będę miał zasługę, jeżeli mnie to nie popsuje... Oby to wszystko mogło być rękojmią, że nam Opatrzność dla ojczyzny toruje drogi. Bez tego nie ma dla mnie radości, nic mnie nie zaspokoi. Wszystkie zaszczyty nie tyle warte, co ta nadzieja. Modliłem się serdecznie dzisiaj za Matkę i za siebie także trochę, skoro nie mogę zapomnieć o sobie, żeby Matki nie martwić. Zabraliśmy się teraz do wielkich rzeczy. Niech nam Bóg sprzyja.»

«Czwarta wieczór.

Dopiero co list wyprawiłem do kochanej Matki. Pospieszam donieść o dobrych wiadomościach, które nareszcie oficyalnie nadeszły z Zamościa. Jest to dopiero raport z poczty, ale niewątpliwy. Donoszą, że Chrzanowski nieprzyjaciela pobił pod Lubartowem, że wziął ośmset jeńców, że potem nieprzyjaciel trop w trop za nim szedł i nieustannie na niego nacierał, podczas gdy on maszerował ku Zamościowi, dokąd nareszcie szczęśliwie przybył 12 b. m. Pobito potem jeszcze raz nieprzyjaciela wczoraj pod Starym Zamościem. Załoga przysłała posiłki. Rozeszła się wieść, że dzielny Ramorino ciężko ranny; zdaje się, że to nieprawda, bo w raporcie wymieniają go, nie mówiąc o tem.

Oto podarunek, który chciałem na imieniny przesłać Matce drogiej. Chwała Bogu!

Nasz Zdzisław musiał się tam odznaczyć, mam to przekonanie. Nie wiem, czym pisał, że Chrzanowski już przed odjazdem bardzo go polubił.»

«Tymczasem przy głównej armii naszej zabijającą bezczynność przerywała niemal jedynie tylko cholera, szerząca się w wojsku; zjawiła się u nas najprzód po bitwie pod Iganiami, jak się zdaje przez jeńców przyniesiona i wkrótce liczne między nami położyła ofiary. Trwoga opanowała Warszawę, której stosunki z wojskiem były o tyle liczniejsze, że wojsko stało nieczynne w obozie, o mil kilka tylko odległym. Żony przyjeżdżały do obozu dla odwiedzania mężów. Przykład tego dawała sama pani Skrzynecka. Pamiętam, że siostra moja, Działyńska, przepędziwszy noc na biwaku przy mężu, rano spostrzegła, że obok niej leżą dwa choleryczne trupy.

Z Litwy pod ten czas zaczęły nas dochodzić wieści o powstaniu tamże, co jeszcze dodawało boleści do tej, jaką powszechnie sprawiała bezczynność wojska. Poczęto myśleć o wyprawie na Litwę, jak przedtem projektowano wyprawę Chrzanowskiego na Wołyń.

Pułkownik Chłapowski, mianowany jenerałem, otrzymał rozkaz przeprowadzenia na Litwę kilkuset oficerów i podoficerów piechoty, jazdy i artyleryi na kadry do mającego się formować z powstańców korpusu jeneralnego na Litwie. Wszystkim dane były konie, a jedyną dla nich eskortą był pułk 1 ułanów i dwa działa. W tym razie zadaniem dowódcy było nie przebicie się z większym korpusem przez siły nieprzyjacielskie, jak to miał uczynić Chrzanowski w zamierzonej wyprawie na Wołyń, ale prześlizgnięcie się, o ile podobna niepostrzeżenie, między główną armią nieprzyjacielską a korpusem gwardyi moskiewskiej, który już zajmował cały brzeg Narwi od granic Litwy po Łomżę.

Jak po bitwie grochowskiej, tak po zwycięstwach naszych pod Wawrem, Dębem i Iganiami, bezczynność

nasza była nieprzyjacielowi na rękę, bo sam rad był wytchnąć i wyglądał coraz nowych posiłków. W jednym i drugim razie nieprzyjaciel również nieczynnością zawinił, pozostawiając nas w zupełnym spokoju; nie tylko na żadnym punkcie naszej linii niczego nie przedsięwziął, ale w oddali i rozproszeniu szukał tylko spoczynku. Po bitwie grochowskiej posunął lewe skrzydło swoje po Wisłę, gdzie sobie gotował przeprawę. Teraz prawe skrzydło wyciągnął poza Bug aż ku Narwi, jakby podaniem ręki korpusowi gwardyi chciał nas nieprzerwanym otoczyć łańcuchem. Takie jego rozłożenie wyprowadziło nakoniec Skrzyneckiego z bezczynności. Postanowił z gościńca brzeskiego ukrytym marszem przerzucić się z całą siłą na prawe skrzydło nieprzyjaciela, na gwardye, stojące w trójkącie między Bugiem a Narwią, a na dotychczasowem stanowisku pozostawić tylko część korpusu Umińskiego, jako zasłonę, polecając mu, żeby ustąpił choćby znowu pod Warszawę, gdyby się nieprzyjaciel w tym kierunku zapędzał.

Ruch ten znalazł w całej Europie u doświadczonych wojskowych powszechne uznanie. Policzono Skrzyneckiego do genialnych wodzów. Nawet długą poprzednią bezczynność policzono na karb obrachowywania sił i chwili sposobnej.

Prawdopodobieństwo zaskoczenia gwardyi było o tyle większe, że rozłożyły się one na szerokim obszarze w zupełnem bezpieczeństwie, opierając się o Narew, przez którą tylko w Łomży, Tykocinie lub Złotoryi przeprawić się mogły. Znaną była niesłychana ilość ich wojennych bagaży. Gwardye składały się z synów najznakomitszych rodzin rosyjskich i były wojskiem wyborowem, nie tyle pod względem dzielności, jak zewnętrznej świetności. Mikołaj przysłał je nie dla walki, ale dla wjazdu tryumfalnego do Warszawy, gdy ta już zdobytą zostanie. Zniszczenie gwardyi obiecywało wielkie korzyści przez wrażenie moralne, jakieby sprawiło na Moskalach, na Peters-

burgu, gdzie już i tak panowało zniechęcenie. Gdyby za tem było poszło powszechne powstanie na Litwie, losy wojny zostałyby rozstrzygnięte.

Co do niebezpieczeństwa odsłonięcia stolicy wobec stojącego w pobliżu Dybicza, mniemano i słusznie, że Dybicz każdemu innemu korpusowi byłby dał się cofać na własne ryzyko, a tymczasem byłby próbował uderzyć na Pragę i przez Wisłę się przeprawić, ale że gwardyi nie byłby nigdy narażał na spotkanie się z przeważającą siłą. Było więc rzeczą oczywistą, że Dybicz gwardyom na pomoc pospieszy, ale na to, żeby na czas przybyć, musiałby być uwiadomiony o naszym zamiarze, zanim ruch naszego wojska się rozpoczął. Co więcej, musiałby dokładnie wiedzieć o planach wodza naczelnego, bo nasz odwrót z Jędrzejowa do Pragi mógł zapowiadać całkiem inne zamiary, a plan maszerowania na gwardye stał się oczywisty dopiero za naszym trzecim marszem, kiedy potrzeba było co najmniej dwadzieścia cztery godzin, by wiadomość o tem doszła z Pragi do Kałuszyna, gdzie Dybicz noc spędzał po słabym ataku na Jędrzejów.

Dla wojska naszego było niemałem świadectwem wyćwiczenia, że zadanie tak wielkiego rozmiaru zdołało wykonać pod okiem nieprzyjaciela i bez jego wiedzy. Ale bardziej jeszcze pocieszające świadectwo dała ludność cała, ściśle zachowując tajemnicę o wielkim ruchu wojska, odbywającym się pod samą stolicą. Zaledwie pojąć można, że z pośród tak wielkiej ludności, liczba tych, którzy nieprzyjacielowi wiadomości dostarczali, okazała się tak małą. Ruch wojska ośmiomarszowy już był prawie dokonany, kiedy się dopiero o nim dowiedział feldmarszałek Dybicz.

Skrzynecki, przeszedłszy Bug pod Zegrzem, szedł śmiałym marszem wzdłuż Narwi przez Długosiodło. Lewem skrzydłem swojem wyparł nieprzyjaciela z Ostrołęki. Gwardye zaledwie nam opór stawiły. Jednakże w przedniej naszej straży było starć kilka, w których się nieje-

den z naszej młodzieży męstwem odznaczył. Jeden z nich, najpiękniejszych nadziei, a przytem i pięknej urody, Tomasz Potocki, adjutant przy naczelnym wodzu, na czele oddziału jazdy, wpadając do wsi Długosiodło, zajętej przez celnych strzelców finlandzkich gwardyi, padł tak ciężko przestrzelony przez szyję, że prawie cudownem wydało się jego ocalenie[1]).»

Zamoyski, acz bez pałasza i z ręką na temblaku, towarzyszył głównemu sztabowi. Z obozu pisał do x. Adama:

«Xiężopol, o dwie mile na prawo od Ostrołęki.
18 maja 1831, siódma rano.

Wczoraj zrana kwatera główna opuściła Długosiodło. Pomiędzy Czerwinem a Sokołowem natarto na nieprzyjaciela, stojącego za rzeką Orz: cofnął się po małej kanonadzie, która przeciągnęła się aż do przejścia błotnistego strumienia Rus, gdzie noc przerwała walkę. Nieprzyjaciel cofa się z pospiechem, niszczy mosty, ale jednak nie daje sobie czasu, żeby je zniszczyć zupełnie. Gdyby wojsko nasze nie było znużone pochodami, a nadewszystko brakiem żywności, która nie może zdążyć za nami po tych piaszczystych drogach, bylibyśmy, żywiej nacierając, zdobyli więcej. Dotąd kończy się wszystko na kilku jeńcach, z których trzech oficerów. W tej chwili czekamy na wiadomości od Łubieńskiego, który szedł prawym brzegiem Bugu. Wczoraj, o czwartej zrana, opuścił Brok, w zamiarze dojścia do Nura przed południem, uprzedzenia Dybicza i zniszczenia tam przygotowań, już porobionych do budowy mostu. Wszystko nam każe spodziewać się, a zwłaszcza żywo pragnąć, ażeby mu się udało.

---

[1]) Tomasz Potocki przeżył jeszcze dwadzieścia lat, ale reszta życia straszną mu była męką z powodu nerwowych cierpień tą raną wywołanych. Potrafił przecież służyć krajowi, jako obywatel światły i wyborny pisarz, mianowicie o stosunkach włościańskich. (W. Z.)

Jest z nim Kamieński. Jeżeli mu się uda, zasłuży na szlify jenerała dywizyi, prawie żałuję, że tam nie jestem. Na nieszczęście jest stąd do Nura dziewięć mil. Trzeba czekać na wiadomości dwadzieścia cztery godzin, bo nie można iść prosto. A najmniejsze opóźnienie straszliwą szkodę sprawić może. Tymczasem Giełgud ruszył do Ostrołęki, dokąd Dembiński spieszy szosą. Sacken będzie musiał zmykać, zostawiając w ręku Dembińskiego swoje posterunki, rozłożone wzdłuż Omulewa. Co do nas, będziemy dążyli prosto do Łomży, skoro tylko dowiemy się, że Łubieński zabezpieczył nam tył. Zdaje się, że gwardye nie domyślają się jeszcze, że mają do czynienia z naczelnym wodzem.

Co za okropne nieszczęście, strata tego dzielnego Tomasza Potockiego. Rana jego na nieszczęście jest tak ciężka, że zagraża życiu. Gdyby nawet wyszedł, stracony będzie dla tej wojny, a to strata dla wojska i dla kraju. Mówią, że on i Wolski, szwagier Krukowieckiego, też zdolny młodzieniec, zginęli przez zapał nierozważny. Żałuję ich w dwójnasób. Bolesne jest po takiem nieszczęściu słyszeć jeszcze odzywających się: Poco tam lazł? Nie mogę nie bronić młodych, gdy łakną niebezpieczeństwa, dodaję jednak, że moja kolej już przeszła!

Usycham za wiadomościami od Łubieńskiego. Już na niego mruczą, a nie pamiętają, że stąd dziewięć mil.

Konstanty, August i Działyński zdrowi. Ściskam Wuja z całego serca.»

Równocześnie z kwatery głównej między Ostrołęką a Warszawą Tytus Działyński pisał do żony: «Zajęliśmy Ostrołękę (18 maja). Miałem zaszczyt dowodzić przednią strażą 4 pułku strzelców i szczęśliwie mi się udało powstrzymać ogień między naszymi, którzy swoich nie poznawali, wskutek marszu przedsięwziętego dla oskrzydlenia nieprzyjaciela. Los wydarł mi jednak śliczną sposobność do chlubnego czynu, nasyłając mi pułkownika Szydłowskiego, który, chociaż przybył tylko jako amator,

objął komendę[1]) a tak wziął na Narwi pięć galarów z tysiąc pięciuset korcami zboża, jednego oficera i czterdziestu żołnierzy. Była to istna bitwa morska. Kule padały gęsto i z blizka, a nikt nie zginął, co dowodzi, że trzeba wyraźnej woli niebios, ażeby zabijały. Gwardye umykają. Myślę, że Łomżę jutro zdobędziemy. W najbliższych dniach zajdą niewątpliwie wypadki wielkiej wagi, może wkroczymy na Litwę. Ostatecznie nasz marsz, tak naprzód wysunięty, sprowadzi, jak mam nadzieję, zmianę w prowadzeniu wojny. O tyle mniej żałuję, że cię tu niema, bo odwiedziny do Białegostoku byłyby niebezpieczne. Dotąd mało mamy jeńców z wyjątkiem powozów i mundurów huzarskich, obszytych złotem, jen. Biströma, jakiegoś głupiego xięcia Zasiekina i kilku oficerów. Jestem bardzo znużony, bom ogromne marsze odbył konno.»

«Doszło nareszcie wojsko nasze (18 maja) nad rzeczkę Rus, płynącą błotnistem korytem, półćwierci mili szerokiem; przecinały je długie o kilku mostach groble. Tu, po szybkim pięciodniowym marszu, nagle napadła Skrzyneckiego wątpliwość, a z niej wynikło powstrzymanie dalszego pochodu. W ciągu forsownego marszu żywność nie zdążała za wojskiem, niedostatek dokuczał dotkliwie, ale każdy czuł, że na pospiechu zależy, nie było więc dotąd narzekania. Narzekanie głośne odezwało się dopiero wtedy, kiedy, mając przed sobą tylną straż gwardyi przypartą do grobli na szerokiem błocie, zamiast uderzyć na nią i zniszczyć ją niemal na pewno, wódz naczelny nie zaufał sobie, zatrzymał się, nieustannie się oglądał na tył swego prawego skrzydła, przypuszczając, że lada chwila z tej strony zjawić się może Dybicz z główną

---

[1]) Tytus Działyński był wówczas porucznikiem; rozkazem dziennym z 25 maja, wydanym przez naczelnego wodza z kwatery głównej w Troszynie pod Ostrołęką, postąpił na kapitana.

armią; pytał ciągle, co o sobie donosi Łubieński, a Łubieński może za mało o sobie donosił[1]).

Uprzejmość Skrzyneckiego dla mnie dała mi w czasie tej rozprawy sposobność do częstych z nim rozmów i do coraz bliższego ocenienia jego wielkiej zacności i niepokonanej odwagi osobistej obok nieumiarkowanej skrupulatności, posuniętej aż do trwożliwości, gdziekolwiek nie szło o niego, ale o bezpieczeństwo powierzonego mu wojska, albo, jak zwykł był mówić, o samą ojczyznę.

---

[1]) Dowodem tego przechowany własnoręczny z owej chwili list Prądzyńskiego:

«Do JW. Generała Łubieńskiego

Brak przez dwa dni wiadomości od Generała, których i dotąd nie mamy, przymusił Wodza Naczelnego do zawieszenia ataku na gwardye i Łomżę, i tymczasem w dniu dzisiejszym atakowaliśmy Ostrołękę po obu stronach Narwi. Nieprzyjaciel ustąpił, i mamy już dwa mosty w Ostrołęce, co nam daje możność większej śmiałości w działaniach. Wszystko jest udysponowane do ataku na gwardye i Łomżę w dniu jutrzejszym rano. Ostatnie postanowienie w tej mierze zależeć będzie od wiadomości, jakie (W. N.) jeszcze dzisiaj i w nocy odbierze zwłaszcza od Generała, którego przeznaczenie w tem się tylko modyfikuje, że, gdybyś został naciśniony przemagającemi siłami Dybicza, masz ustępować nie już do Serocka, ale ku nam i ku Ostrołęce. Głównego zaś wojska rozstawienie dziś na noc jest następujące: generał Giełgud pod Miastkowem, między Ostrołęką i Łomżą, generał Jankowski z Rybińskim pod Nadborami o trzy mile od Łomży en présence gwardyów, Skarżyński pod Pyskami, Małachowski i główna kwatera w Troszynie. Wódz N. oczekuje z jak największą niecierpliwością wiadomości od Generała, który raczysz obmyśleć sposób korespondowania z główną kwaterą.

W tym tylko przypadku, gdyby ten list zastał Generała już pod Brokiem, a siły Dybicza były przed nim, odwrót jego musiałby iść na Serock.

Gdybyś JW. Generał cofał się ku nam, tedy masz wysłać dwa oddziały jazdy do Serocka, jeden na Brok, drugi na Długiesiodło, które wszystkich maroderów i bagaże mają zawrócić do Serocka.

Gdybyś się Generał ku nam cofał, masz wysłać natychmiast rozkaz komendantowi Serocka, ażeby zwinął most na Bugu, idący od Kępy do prawego brzegu tej rzeki.

I. Prądzyński

Ostrołęka, 18 maja 1831, wpół do siódmej wieczór.»

Pięknie był pojęty i obmyślany ruch jego na gwardye, ale warunkiem powodzenia było nie tylko ciche i spieszne jego wykonanie, ale i śmiałe uderzenie na korpus nieprzyjacielski. Tego drugiego warunku nie dopełnił Skrzynecki.

Powszechna w szeregach objawiła się niecierpliwość, kiedy wieczorem 18 musieliśmy patrzeć na ustępujące po groblach kolumny nieprzyjacielskie bez żadnego z naszej strony nacisku. W istocie wielka była ochota. Cały wieczór na biwaku pocieszali się wszyscy nadzieją, że nazajutrz będzie walna bitwa w korzystnych dla nas warunkach. Ja sam w podobnej myśli położywszy się w stodole, we wsi Troszynie, gdzie była główna kwatera, nie mając komendy ani odpowiedzialności, wczesnego szukałem spoczynku. Ufałem, że ze świtem dowiem się o rozkazach w nocy wydanych na dzień następny.

Gdym się przebudził w jasny już dzień, uderzyła mnie cichość niespodziewana. Tak byłem przygotowany na wczesny ruch wojska, że sobie wystawiłem, iż jakieś zaszło nieporozumienie, że wojsko odeszło, a mnie zostawiono. Mój służący, poczciwy Stanisław Niewiadomski, zwykł był troskliwie czuwać i wywiadywać się tak, aby mnie budzić na czas, a nie przed czasem. Mniemałem, że mnie zawiódł, ale zerwawszy się widziałem, że, jak ja, tak wszyscy wysypiali się dowoli, bo nie było rozkazu. Nie mogąc się doczekać wyjaśnienia tego, co się działo, pospieszyłem do głównej kwatery. Od wymarszu Chrzanowskiego szefem sztabu głównego był Prądzyński. Zapytałem go z uniesieniem, co się dzieje? skąd to zatrzymanie się? Prądzyński choć zwykle przyjacielski, nie dał mi żadnej odpowiedzi, ale na twarzy jego był wyraz smutku, nieomal rozpaczy. Po chwili zaczął coś pisać i podał mi przez stół świstek papieru, na którym nakreślił słów kilkanaście, zaczynających się od: «Powstaję przed Bogiem i przed ludźmi przeciwko temu, co się tu dzisiaj dzieje». Potem dopiero rozwodził się nad brakiem decyzyi Skrzyne-

ckiego, opowiadał, jak z wieczora, acz z trudnością, Skrzynecki przyzwalał na uderzenie dnia następnego całą siłą na gwardye i na przedzieranie się ku nim po groblach. Opowiadał, jak przed północą miał wygotowane rozkazy do wszystkich korpusów i dywizyi, naznaczające każdemu, co w szczególności miało być jego zadaniem w przeprowadzeniu planu ogólnego. Opowiadał następnie długie daremne naleganie swoje, aby Skrzynecki te rozkazy podpisał i wyprawić pozwolił. Skrzynecki upierał się przytem, że nie może walnej bitwy wydawać, nic nie wiedząc o Dybiczu i nie mając pewności, że mu nie zajdzie tyłów podczas bitwy.»

Zapewne jeszcze przed spotkaniem z Prądzyńskim, Zamoyski pisał do x. Adama:

«Troszyn, 19 maja.

Półtory mili w prawo od Ostrołęki, siódma rano.

Kochany Wuju. W ciągu dnia wczoraj prawieśmy się nie bili, a jednak zdobyliśmy tę nieocenioną korzyść, żeśmy dotarli do Ostrołęki i most zastali prawie nienaruszony.

Umiejętne i mądre pokierowanie ruchu, a przytem dzielność wojska otrzymały nam to powodzenie. Nasi żołnierze z Kałuszyna do Ostrołęki zrobili dwadzieścia, a niektórzy dwadzieścia pięć mil drogi w pięć dni. Żywność i furaż się opóźniały, a mimo to żołnierze naprzód szli, o boju tylko myśląc. Gwardye zaskoczone wszędzie uciekają, często w nieładzie. Zdobyliśmy dużo bagaży, między innemi bagaże jen. Biströma, dowódcy piechoty gwardyi, wraz z jego papierami. W Ostrołęce znaleźliśmy znaczne magazyny i 15.000 złotych zapomnianych w jakiejś pace. O jedną godzinę wcześniej, a bylibyśmy wzięli cały korpus Sackena. Mamy nieco jeńców. Tymczasem Łubieński dobrze się sprawił w Nurze. Przeprawa przerwana, Łubieński przygotuje nam inną na przypadek, gdyby Dybiczowi zachciało się zmierzać ku Puławom.

Potyczki, którym zawdzięczamy te zwycięstwa, byłyby nieznaczne, gdyby nie strata bardzo dotkliwa kilku dzielnych oficerów. Oprócz dwóch, o których wczoraj pisałem, poległ 17 maja pod Nurem Skarszewski ze strzelców gwardyi. Wielka to strata. Z papierów jen. Biströma dowiedzieliśmy się, że duch pułków gwardyi moskiewskiej wielce niepokoi dowódców. Zdaje się niewątpliwe, że Łomża dzisiaj będzie nasza. Magazyny tam ogromne, dalej takież w Kolnie! Gwardye, jeżeli dotrzymać zechcą, pobić musimy niezawodnie.

Wódz naczelny dał mi przeczytać listy swoje do Wuja i Wuja do niego. Jeżeli to prawda, że Dybicz się z miejsca nie rusza, to zdaje mi się, że powinniśmy go zmusić, by poszedł za nami na Litwę i iść z Chłapowskim, który dzisiaj się puszcza.»

Zaraz prawdopodobnie po rozmowie z Prądzyńskim, pod wrażeniem konieczności spiesznego i stanowczego działania, Zamoyski pisał znowu do x. Adama:

«Troszyn, 19 maja w południe.

Wuj dobrze wie, jak nierad jestem widzieć go na polu bitwy, ale w pewnych chwilach, naprzykład teraz, jakże pożądaną rzeczą, żeby się Wuj pokazał w głównej kwaterze. Gdyby Wuj mógł przybyć jutro do Ostrołęki, błagam o to. Przypuszczam, że wodzowi naczelnemu, którego przezorność jest zresztą bardzo uznania godna, potrzeba tego, by mógł odpowiedzialność z Wujem podzielić.

Wszystkie warunki są po temu, żebyśmy gwardye doszczętnie zniszczyli. Ale strasznie się obawiam, że poprzestaniemy na poturbowaniu ich i że damy im się wymknąć.

Zdaje się, że przyszła chwila radzić o wejściu na Litwę. Jeżeli gwardye zniszczymy, to o wejściu na Litwę już powątpiewać nie można, takie jest także zdanie Prądzyńskiego. Dlatego przyjedź Wuju kochany, przyjedź przemówić, może nawet w imię rządu.

Wkraczając na Litwę, zagrażając wszystkim komunikacyom Dybicza, zmusimy go, żeby za nami poszedł. Ściskam Wuja.»

«Zeszedł, niestety, na niczem cały dzień 19 maja, dzień wiecznie a żałośnie pamiętny, kiedy straciliśmy porę najpomyślniejszą do zaatakowania gwardyi, jedyną chwilę, w której, według wszelkiego podobieństwa, mogliśmy im zadać cios stanowczy.

Tymczasem nasze lewe skrzydło pod jen. Giełgudem, przeszedłszy rzekę bez oporu, posuwało się pod Łomżę. Nieczynność reszty naszego wojska mogła stać się zgubą oderwanej dywizyi Giełguda. Gwardye nieprzyjacielskie mogły użyć danego sobie wczasu na zgniecenie jej. Ale w. x. Michał na to się nie zdobył, czując się zagrożonym, ściągał zewsząd oddziały, rzucone na drodze do Tykocina. Na drugi dzień z niemałem zadziwieniem dowiedzieliśmy się, że już nawet nie broni długich grobli, na których od ognia działowego mogliśmy ucierpieć. Ruszyliśmy też naprzód, ale, zamiast zapału, przemogło teraz w szeregach uczucie znużenia i niedostatecznej żywności. Każdy mówił: «Nacóż znowu pędzić i zadyszeć się w upał, jeżeli, doszedłszy do nieprzyjaciela, znowu mu pozwolimy ujść przed nami, nie uderzając na niego». Najbardziej rozstrojony był Prądzyński. Martwo wykonywał rozkazy Skrzyneckiego. Po gniewie i rozpaczy, z których przedemną obszernie się tłomaczył, chociaż tego wówczas nie czynił jeszcze tak głośno, jak później, nastąpiło między nim a naczelnym wodzem wzajemne dąsanie się. Prądzyński żądał pozwolenia udania się do dywizyi Giełguda, żeby nią Łomżę opanować, a potem umocnić szańcami. Dziwnem było oddalenie się szefa sztabu głównego dla celu tak małej wagi, ustąpienie bowiem całego korpusu gwardyi ku Złotoryi i Tykocinowi samo przez się zostawiało Łomżę w naszem ręku. Lecz Skrzynecki rad zapewne na chwilę uwolnić się od przygania-

jącego mu spojrzenia Prądzyńskiego, chcąc także, co widocznem było, pokazać, że się bez niego obejść może, pozwolił na to oddalenie się w chwili, kiedy cała armia wchodziła znowu w ruch i w pogoń za nieprzyjacielem, który co chwila mógł się odwrócić do bitwy i który w istocie stoczył dnia tegoż (20 maja) pod wieczór bitwę dość krwawą, wcale dla nas niepożyteczną.

Rzecz tak się miała. Drogę na Tykocin pod wsią Rudki przecina las dwumilowy. Tu po raz pierwszy aryergarda w. x. Michała, przyparta w lesie między Rudkami a Mężeninem, stawiła nam opór. Piechoty naszej było tam ośmset żołnierza. Póki się piechota z piechotą w gęstym lesie mierzyła, Skrzynecki kazał dywizyi rezerwowej jazdy pod jen. Skarżyńskim z dwoma konnemi bateryami, pod komendą pułkownika Bema, szybkim pochodem obejść las i z tyłu nieprzyjacielowi zagrozić. Mnie zaś rozkazał towarzyszyć Skarżyńskiemu i służyć mu radą. Ruch ten otrzymał zamierzony skutek. Nieprzyjaciel się cofnął, jednakże bez wielkiej szkody.

Nazajutrz rano Prądzyński był już znowu przy sztabie głównym, ale gorzej czynił, niż dnia poprzedniego, bo choć był obecny nie robił nic: Skrzynecki zaś, acz wydał swe rozkazy do dalszego ruchu podpułkownikowi Klemensowskiemu, który tymczasowo zastępował szefa sztabu głównego, ufał przecież, że Prądzyński dojrzy ich wyexpedyowania. Prądzyński, przeciwnie, pozostał zupełnie nieczynny.

Wynikło z tego zamieszanie powszechne. Jedne dywizye były bez rozkazu, inne odebrały krzyżujące się rozkazy.

Mnie Skrzynecki polecił udać się do jen. Jankowskiego, który z dywizyą Skarżyńskiego miał pospieszyć na zajęcie przeprawy pod Złotoryą. Lecz spostrzegłszy po drodze, że zaszło w rozkazach zamieszanie, wracam się. Spotykam jen. Skrzyneckiego we wsi Mężeninie wśród tłoku i oczywistego nieładu; tłomaczę mu niepo-

rozumienia, których już doszedłem przyczyny i zaklinam, żeby, wstąpiwszy do domu pocztowego, zaczął od przywrócenia porządku w sztabie głównym, a mianowicie od skarcenia a razem ułagodzenia jenerała Prądzyńskiego.

Skrzynecki każe mi wołać Prądzyńskiego do siebie. Przyprowadziwszy go, a po drodze przygotowawszy, zostawiam go z wodzem naczelnym; sam najprzód przy drzwiach zostaję, potem przywołany jestem. Rozmowa między nimi była dość długa, wymawiali sobie winy wzajemne, a nakoniec ze łzami uściskali się z obietnicą zapomnienia z obu stron o przeszłości. Skrzynecki ze zwykłą sobie szlachetnością oświadczył, że bez Prądzyńskiego nie da sobie rady, Prądzyński obiecał szczerą znowu gorliwość i pilność. Zgoda, ile to było w mocy jednego i drugiego, była w chęciach szczera, o tem jestem przekonany, ale czy mimo szczerości zupełnej była ona możliwą? Oczywiście nie, bo charaktery zostały te same a stąd i te same powody do różności zdań i do ciągłego ich ścierania się. Prądzyński nieustannie zajęty tworzeniem coraz nowych planów wojennych, najczęściej genialnych, odwykł od bliższego zapatrywania się na szczegóły wykonania, ufał, że wykonanie samo przez się pójdzie, nie uważając je już prawie za rzecz swoją. Zdawał się on nie pojmować tej wielkiej prawdy, że warunkiem powodzenia najdoskonalszego planu jest ścisłe dopilnowanie najdrobniejszych czasem jego szczegółów przez tego, który plan obrał i wykonać rozkazał. Skrzynecki mniej szybki w tworzeniu planów operacyjnych, mało nawet z tą częścią sztuki wojennej obeznany, nierównie zaś bieglejszy w tem wszystkiem, co dotyczy ruchów taktycznych wojska i użycia tegoż, przywiązywał wagę niemal wyłączną do wczesnego obrachowania wszystkich środków działania, ale żadnemu z poszczególnych dowódców, sobie nawet, co do trafnego i umiejętnego wykonania nie ufał. «Nie mam jenerałów», było zwykłą jego odpowiedzią na wszelkie plany i projekty, kiedy w bliższe rozpoznanie

ich wdawać się nie chciał. Przytaczał chętnie przykład Napoleona, który mógł odrazu zwyciężyć, bo znalazł narzędzia gotowe, wyrobione kilkoletnią już wojną, w znakomitych dowódcach dywizyi. Uwaga ta nie była bez słuszności, zwłaszcza, kiedy chodziło o ruchy trudniejsze i na rozległych przestrzeniach wykonywane.

Zgoda, jakby gwałtem narzucona, ludziom o tak sprzecznych charakterach i sądach nie pożytek, ale szkodę nam przyniosła. Przez kilka następnych dni ani jeden, ani drugi woli mieć nie umiał. Każdy, choć w duchu narzekał, ustępował zdaniu drugiego. Ten brak woli w naczelnem dowództwie objawił się nieszczęśliwie w dzień bitwy pod Ostrołęką.

Tymczasem Skarżyński, podobnie jak w wilię, usiłując oskrzydlić nieprzyjaciela, doszedł pod Złotoryę nad Narwią. Tylna straż gwardyi ruszyła ku Tykocinowi, większa część ustąpiła za Narew pod Złotoryą. Przeszedłszy rzekę, nieprzyjaciel zniósł most. Zanim to jednak nastąpiło, dwie baterye Bema zajęły pozycyę, z której most w całej długości ostrzeliwały. Artylerya nieprzyjacielska z za rzeki nam odpowiadała. Bem stał przy działach i ja tam dojechałem. Wkrótce zauważyłem, że kule nieprzyjaciela, acz pozycyjne, zaledwie nas dosięgały, że przeto nasze działa lekkie sześciofuntowe nie czyniły żadnej nieprzyjacielowi szkody. Pozwoliłem sobie z uszanowaniem nastręczyć Bemowi posunięcie bateryi o kilkaset kroków naprzód. Wskazałem nad samą rzeką brzeg nieco wzniesiony, za którym działa nasze bezpieczniej stać mogły i dwa domy przy moście, któreby także za zasłonę służyły. Bem po chwili namysłu spojrzał na mnie nieco zdziwiony, pochwalił radę i wydał rozkaz. Byłem wiekiem wiele od niego młodszy, więc zapamiętał i później wspominał to pierwsze, jak się wyrażał, poznanie się nasze. Na nowej pozycyi baterya nasza mało ucierpiała, choć nas kule nieprzyjacielskie gęsto dochodziły, bo nas albo górą mijały, albo w brzegi rzeki uderzały. Po chwili

most zniesiony został; nie było więc powodu do dalszego strzelania.

Już się ściemniało, do Tykocina było trzy mile. Pospieszyłem do głównej kwatery. Dojechawszy tam w nocy, dowiedziałem się, że nieprzyjaciel tak był silnie party przez naszych w Tykocinie, że nie zdołał zniszczyć za sobą mostu, po którym nasz pułk 1 strzelców pieszych ścigał go krok w krok. Na czele szli: dowódca brygady, Langermann, Francuz niedawno przybyły i dowódca pułku, pułkownik Breański, który tam odniósł ciężką ranę. Nieprzyjaciel nie tylko most, ale i miasto Tykocin zostawił w ręku naszych. Oficerowie zwiedzali tam kościół, w którym spoczywają zwłoki Stefana Czarnieckiego. Oprowadzał ich najbardziej obeznany z dziejami i wyjątkowo dbały o polskie pamiątki Tytus Działyński.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Tykocin, 22 maja 1831.

Mimo wszelkich usiłowań nie udało nam się dojść gwardyi, tak ażeby do czego stanowczego przyszło. Tyle tylko mamy zaszczytu i korzyści, że cała gwardya przeszła za Narew, a nasze wojsko wstąpiło na ziemię litewską. Bagaży mnóstwo, niewolnika niewielka liczba. Dosięgały gwardyi nieliczne oddziały jazdy naszej, jedyne, które zdążyć potrafiły. Przed niemi z niesłychanym pospiechem uchodziły całe pułki kirasyerów; ci, co nie zdołali ujść, dawali się chwytać, byle się nie bić. Wielkie to nieszczęście, że nam się te gwardye wymknęły. Może nasza w tem wina. Trzeba ufać, że takie było przeznaczenie i że tak może lepiej.

Sprawiamy tu obchód żałobny dla Stefana Czarnieckiego, bohatera Tykocina.

Konstanty, August, ja i Działyński wszyscyśmy zdrowi. O Zdzisławie dochodzą najzaszczytniejsze szczegóły, o jego odznaczeniu się w pochodzie do Zamościa. Oficerowie, którzy go dawniej nie znali, w listach prywatnych

o nim piszą. Co zrobił, nie wiem, bo wszyscy piszą, ale on nie pisze.

Dybicz zapewne przejdzie wkrótce Bug. Więc pierwszy punkt sporu byłby rozstrzygnięty. Możnaby prawie sądzić, że nam Pan Bóg odmówił dalszego zwycięstwa, abyśmy się nad miarę w próżność nie wzbili. Dotychczas jeszcze skromni jesteśmy, ale to z czasem przyjdzie.

Dowiaduję się, że Jadwisia (x. Sapieżyna) szczęśliwie urodziła córkę. Dobrze, że nam męża przysłała, inaczéj bylibyśmy ją o brak patryotyzmu obwinili, bo nam ludzi potrzeba. Brak nam ludzi. Mamy nowego pułkownika Francuza, pana Langermanna. Odznaczył się wczoraj niezmiernem męstwem. Przybył do wojska w przeddzień. Krzyż mu dano.

Jestem tu dotąd tylko jako amator, ale ręka dobrze; wkrótce do obowiązków wrócę.»

VII

OSTROŁĘKA (26 MAJA)

«Niedługo cieszyliśmy sie naszą przewagą i odpoczynkiem w Tykocinie. Skrzynecki, trapiony ciągle obawą nadejścia głównej armii pod Dybiczem i odcięcia nas od Warszawy, wydał w nocy rozkaz odwrotu ku Ostrołęce.

Obawa była słuszna teraz. Dybicz, jakkolwiek nader późno spostrzegł ruch armii naszej, ruszył nakoniec z obozu pod Suchą gwardyom na pomoc i dnia 22 maja przeszedł Bug pod Grannem. Jen. Łubieński, który miał sobie polecone strzeżenie Bugu i przeszkadzanie w miarę możności przeprawie Dybicza, posunął się w tym celu do Nura i tam zatrzymawszy się, zniszczył przygotowane materyały do mostu. Na wiadomość o przejściu Bugu przez Dybicza pod Grannem, powinien był Łubieński natychmiast opanować z całym korpusem swoim Ciechanowiec, przez który armia nieprzyjacielska koniecznie iść musiała. Tu czekać był winien na nieprzyjaciela, a potem, w miarę jego napierania, nie tracąc go z oka, ustępować przez Czyżew ku armii głównej. Nieopanowanie wczesne Ciechanowca, a potem niepospieszenie na ten punkt bez godziny zwłoki, gdy wiadomość przyszła o przejściu Bugu przez Dybicza, było ciężkim błędem.

Zamiast pospiechu, zamiast ruszenia całym korpusem, jen. Łubieński wyprawił połowę korpusu swego dnia 23 rano ku Czyżewu pod dowództwem jen. Józefa Kamień-

skiego, sam zaś aż do wieczora pozostał w Nurze, zatrzymując przy sobie pięć batalionów brygady pułkownika Krasickiego, sześć szwadronów i dziesięć armat.

Wyruszywszy wieczorem ku Czyżewu, natrafił na przednią straż nieprzyjacielską pod dowództwem jen. Berga, który, uważając korpus ten za odcięty, zbliżył się, a wezwawszy jen. Łubieńskiego do rozmowy, przekładał mu położenie jego i nakłaniał do złożenia broni. Jen. Łubieński oświadczył, iż potrafi bagnetem sobie drogę otworzyć. Nieprzyjaciel natychmiast kartaczami odpowiedział i kirasyerów rzucił na bataliony brygady Krasickiego, w czworobok sformowane.

Pułk 14, młody, świeżo na linię przybyły, częścią jeszcze w kosy uzbrojony, przyjął kilkakrotnie szarżę jazdy nieprzyjacielskiej z najzimniejszą krwią. Sam jen. Łubieński i jen. Henryk Kamieński, dowódca dywizyi 5 piechoty, musieli schronić się do czworoboków. Kirasyery Berga padali pod ogniem naszej piechoty aż przed samym frontem. W tem spotkaniu, uderzając na nieprzyjaciela, znalazł śmierć chwalebną Skarszewski, synowiec arcybiskupa warszawskiego, niegdyś, jako komendant plutonu, mój pierwszy dowódca, a potem przyjaciel.

Jazda nasza nie mogła placu dotrzymać. Kapitan Kołysko, dowódca bateryi 2 lekkiej, acz dobry skądinąd i zasłużony żołnierz, ratując ludzi, pierzchnął z przodkarami czterech dział, które przy 14 pułku zostały i przez tenże z nieugiętą odwagą i wytrwałością uprowadzone zostały, prócz jednego.

Jen. Józef Kamieński [1]), który podczas tej bitwy wieczornej stał już pod Czyżewem, choć słyszał gęsty ogień, nie umiał nic przedsięwziąć. Gdyby się posunął napowrót drogą, którą maszerował dnia tegoż, nie tylko byłby się przyczynił do ocalenia reszty korpusu, ale byłby wziął we dwa ognie nieliczną jeszcze, a śmiało naprzód rzuconą

---

[1]) Józef Kamieński mianowany jen. brygady 9 marca 1831.

awangardę Dybicza. Wina zbyt często, niestety, powtarzana w ostatniej wojnie naszej, wina, z której tłomaczono się brakiem rozkazu, kiedy ze wszystkich rozkazów najwyraźniejszy i najpilniejszy jest ten, który głoszą strzały działowe i który do każdej duszy prawej, do każdego rozumu, nie zaciemnionego widokiem osobistym, zdaje się wołać głosem potężnym: do mnie, wiara, do mnie!

Noc pokryła cofanie się naszych. Nieprzyjaciel nie umiał korzystać z okoliczności i dozwolił cofnąć się Łubieńskiemu, pomimo że bez wielkiego wysiłku mógł rozpędzić dwie jego brygady. Jen. Łubieński, omackiem maszerując noc całą bez drogi, potrafił nadedniem połączyć się pod Czyżewem z jen. Kamieńskim, który miał go już za straconego i, zwoławszy radę wojenną, już wyprawił raport o tem do wodza naczelnego. Szczęściem raport ten nie doszedł; kapitan Leons Rzewuski, wyprawiony z nim, dognany został w drodze przez kapitana Bernarda Potockiego, którego z nowym raportem wysłał jen. Łubieński po przybyciu do Czyżewa.

Tymczasem główna armia nasza, w odwrocie od Tykocina, stanęła 24 maja na lewym brzegu rzeki Rus i znowu wzdłuż tej błotnistej rzeczki się rozłożyła. Korpus jen. Łubieńskiego złączył się z nami tegoż wieczora i stanął blizko wsi Nadbory na prawem skrzydle linii. Łubieński szedł dnia 24 od Czyżewa, nie ścigany przez nieprzyjaciela, a przyznać trzeba, że w tem znowu uchybił; pierwszym bowiem obowiązkiem jego było nie tracić nieprzyjaciela z oka, a przeto nie ustępować inaczej, jak tylko przed siłą, zmuszając tem samem nieprzyjaciela do pokazania jej.

Błędy Łubieńskiego w niezajęciu Ciechanowca i inne popełnione potem, w pierwszej chwili niejako zasłonione zostały dzielnem znalezieniem się odciętej chwilowo części korpusu i samego dowódcy pod Czyżewem. Wódz naczelny, nagradzając czyn ten, zapowiedział rewię korpusu na dzień 25 rano i udał się w tym celu pod wieś Nad-

bory, gdzie rozdzielał pochwały i krzyże. Towarzyszył mu jen. Prądzyński i ja z nim przybyłem z kwatery głównej, która się znajdowała, jak i poprzednio w Troszynie.

Naczelny wódz, widząc, iż przez ciąg tej wyprawy, acz niezupełnie jeszcze wyleczony z rany, znosiłem trudy zarówno z innymi przy sztabie głównym, przystał na moją prośbę i rozkazał objąć napowrót czynności szefa sztabu przy korpusie Łubieńskiego, wypełniane poprzednio, podczas wyprawy nad Bug, przez pułkownika Lewińskiego.

Pytanie teraz zachodziło, jak prędko i skąd spodziewać się należy armii Dybicza. Wprawdzie zdawało się wszystkim, że celem jego, gdy się dowiedział, że gwardye ocalały, powinno być uprzedzenie armii naszej w Ostrołęce, wskazane najmniej bystremu przeciwnikowi przez daremne zapuszczenie się nasze aż pod Tykocin. Cały korpus Łubieńskiego świadczył, iż ta część armii Dybicza, która między Ciechanowcem a Czyżewem zastępowała mu drogę, nadejść może co chwila. Lecz jen. Prądzyński dowodził z rozmaitych powodów, że Dybicz długo jeszcze nadejść nie może, a raczej nie tyle dowodził, ile się upierał przy tem, aby nie ustępować z lewego brzegu Narwi, co zmusiłoby do opuszczenia Łomży i do wyjawienia odrazu nicości rezultatów tyle rokującej wyprawy. Upierał się, ale jasnej myśli już nie miał, mieć nie mógł i nie pokazał jej też w dalszych rozkazach.

Za Rusem widać było dość liczne wojsko nieprzyjacielskie. Rozległa równina pozwalała obu stronom rozwinąć obszerne linie jazdy. Było dla nas rzeczą pierwszorzędnej wagi, przekonać się, czy to w. x. Michał, a więc czoło gwardyi, następujących za nami od Tykocina, czy też połączony już z nim Dybicz. Od tego zależało większe lub mniejsze bezpieczeństwo nasze. Wobec samej tylko gwardyi mogliśmy stać bezpiecznie za Rusem, przeciwnie, jeśli to był Dybicz, to siła jego przemagająca i strona, z której ku nam zmierzał, zagrażały naszemu

prawemu skrzydłu i czyniły pozycyę armii naszej na lewym brzegu Narwi bardzo niebezpieczną.

Dla pewniejszego przekonania się o tem, Skrzynecki polecił mi dnia tegoż, 25 maja, wziąć listy jeńców, którzy się do nas w niewolę dostali i pojechać z niemi do obozu nieprzyjacielskiego, jako parlamentarz. Zamiarem jego było, żebym z forpocztów nieprzyjaciela zmiarkował, czy nas ściga gwardya czy linia. Dopełniając rozkazu, ruszyłem z jednym tylko trębaczem i ordynansem ułanem. Jechałem zwolna gościńcem przez groblę i most na Rusie, w milczeniu, pragnąc dotrzeć jak najbliżej do forpocztów nieprzyjacielskich; dopiero, gdyby nam już niebezpieczeństwo groziło, trębacz miał się odezwać, a ja miałem białą chustką machać.

Niemałe było moje zdziwienie, gdy naraz, właśnie kiedym dochodził do linii, przez kozaków strzeżonej, ujrzałem o jakie sto kroków młodziuchnego oficera nieprzyjacielskiego od szaserów gwardyi, który sam jeden, bez trębacza, widocznie ku nam chciał się zbliżyć i znaki dawał, wznosząc pałasz i chowając go z ostentacyą do pochwy. Zbliżył się nareszcie i zawołał po francusku: «Czy chcesz ze mną porozmawiać?» A gdy byliśmy tylko o kilkanaście kroków od siebie, raz jeszcze zapytał: «Broni nie użyjemy, nieprawdaż?» Odpowiedziałem: «Zgoda», a zarazem pokazałem, że mam prawą rękę na temblaku i że jestem bez pałasza. Młody oficer przyskoczył do mnie i zaczął od wyrażania podziwu i uwielbienia dla nas, Polaków. Dalej, pytał, czy to prawda, że, przy takich cudach męstwa naszego, jesteśmy zarazem tyle, ile słychać, ludzkimi dla rannych i jeńców. Nareszcie począł chwalić całą naszą sprawę, a ubolewać nad sobą, że musi przeciw niej walczyć. Zapytałem: «A panże kto jesteś, że tak czujesz, a pomimo tego tu jesteś?» Odpowiedział: «Kto jestem? oczywiście niewolnik, nie mający do wyboru czy służyć lub nie. Kto u nas nie służy carowi, ten niczem nie jest, nie jest człowiekiem;

ale mogę pana zapewnić, że moje serce, moje życzenia są z wami. Przeszłego roku, kiedy doszła wieść o waszem powstaniu, byłem w Petersburgu, w szkole podchorążych, junkrem. W pierwszej chwili, gdy przyszła wiadomość, czego w Warszawie dokazała wasza szkoła, cała szkoła nasza marzyła o naśladowaniu waszych podchorążych, o zrzuceniu despoty. To też zaledwie dni kilka upłynęło, kiedy nas rozesłano do pułków i już tylko nam pozostało słuchać w szeregach.» Opowiedział mi jeszcze, że jest rodem z Moskwy, że się zowie T..., że się brzydzi tą wojną. Powtarzał: «Wy jesteście bohaterami, ale nie wiecie, co to za siły na was idą. Niestety, one was zgniotą. Czyż niema ratunku, sposobu pojednania? czy cesarza nie możecie czemś ułagodzić?» A gdym odpowiedział, że nie nam propozycye czynić, rozpaczał nad końcem, który nas czeka i nad szkodą, którą upadek nasz przyniesie ludzkości i samejże Rosyi. Ale w oddali spostrzegliśmy oficera starszego, z tegoż pułku[1]), z trębaczem kłusem ku nam zmierzającego. Przeto mój młody i poczciwy entuzyasta, przewidując łajanie, chciał już tylko dopełnić zlecenia, jakiego się podjął od polskiego oficera z 4 pułku strzelców konnych[2]), wziętego przed kilku dniami w niewolę w utarczce, w której pułk ten z pod dowództwa jen. Giełguda popędził dragonów rosyjskich niedaleko Śniadowa i wziął im kilkadziesiąt koni. Poczciwy Moskal obiecał temu oficerowi, który pisać nie zdążył, iż doniesie o nim do obozu polskiego, że żyje i że tylko lekko ranny. Na moje zapytanie, jak też oni się z jeńcami obchodzą, zapewniał, że dobrze, póki jeńcy są przy wojsku, ale co dalej z nimi robią, to niewiadomo.

Wtem pułkownik nadjechał, surowo na niego spojrzał, zburczał go i kazał w tył ustąpić. Mnie zapytał, z czem przybywam. Wręczyłem mu listy. Nie przyszło

---

[1]) Pułkownika Hoffmanna. (Raport W. Z. z 25 maja 1831)
[2]) Porucznika Kamińskiego. (Raport W. Z. z 25 maja 1831)

z nim do żadnej rozmowy[1]). Wróciłem więc do swoich, przekonawszy się, że tu same gwardye, skoro gwardye są na forpocztach. Wódz naczelny już odjechał. Napisałem do niego raport; lecz zaledwie był wyprawiony, gdy przyszło pisać drugi z doniesieniem, że na kilku punktach od strony Czyżewa i Andrzejowa, na naszem prawem skrzydle i poza prawem skrzydłem, wznoszą się wysokie tumany kurzu, które zapowiadały niewątpliwie postęp kilku kolumn; kolumny te zaś, sądząc po ich kierunku i liczbie, nie mogły być czem innem, jak armią Dybicza.

Godzina mogła być druga po południu. Jen. Łubieński, umocniwszy artyleryą pozycyę, broniącą długiej grobli, przez błotnisty Rus idącej, zmienił front swój prawem skrzydłem w tył i przysposobił wszystko do przyjęcia nieprzyjaciela, a raczej do porządnego odwrotu, z tej bowiem strony nie miał żadnej pozycyi obronnej, podczas gdy rozległa równina pozwalała nieprzyjacielowi na rozwinięcie nieograniczonej liczby jazdy i artyleryi.

Około godziny czwartej po południu doszedł nas rozkaz, na mocy którego wojsko miało dnia tegoż przejść Narew pod Ostrołęką po dwóch mostach, wbrew zdaniu i gorącemu życzeniu jen. Prądzyńskiego. Każdej dywizyi naznaczona była kolej i godzina do wymarszu. Korpusowi jen. Łubieńskiego, składającemu się, jak w czasie wy-

---

[1]) W raporcie z 25 maja, Zamoyski pisze: «...(Wszcząłem z pułk. Hoffmannem) rozmowę o niewolnikach, powiedziałem, że uważamy wielką różnicę w postępowaniu gwardyi, a postępowaniu wojska feldmarszałka. Że, tak z mężnego ich oporu, jak z ludzkości, poznajemy ludzi wychowania lepszego, że żałujemy konieczności bicia się z ludźmi, których uczucia do naszych tak podobne. Przerywał oświadczeniem, że nie umieją dyskutować rozkazów swego pana... Na wymówkę moją o zostawionych 800 chorych w Łomży, tłomaczył się małą liczbą doktorów, których cholera w państwie wyniszczyła. Na słowa jego o posłuszeństwie ślepem powiedziałem, że może nas zgniotą, ale kiedyś sami żałować będą.» (Oryginał w archiwum hr. Jerzego Moszyńskiego w Krakowie)

prawy pod Nur, z korpusu II jazdy i dywizyi 5 piechoty jen. Henryka Kamieńskiego, jako stojącemu w tyle, rozkazano formować straż tylną i nie ruszać z miejsca aż pod wieczór, tak iżby marszem nocnym doszedł do Ostrołęki i most przeszedł.

Już słońce miało się ku zachodowi, kiedy owe kolumny nieprzyjacielskie, tumanami kurzu zapowiedziane, poczęły się w oczach forpocztów naszych pokazywać i rozwijać. Płaszczyzna w tem miejscu jest tak równa, iż nizkie krzaki brzozowe zasłaniały wzajemnie jedno wojsko przed drugiem.

Jen. Łubieński, uwiadomiony przez wysłanych ku forpocztom adjutantów, że nieprzyjaciel postępuje okryty rozległą linią flankierów jazdy, rozsypał podobnie swoich flankierów z pułku mazurów i 5 pułku strzelców konnych, postawiwszy te pułki w piewszej linii, z artyleryą konną w środku i na skrzydłach, z piechotą zaś rozpoczął ruch odwrotny we dwie linie w szachownicę z dużemi odstępami.

Wieczór był piękny, równina obszerna, widok śliczny, gdziekolwiek z małego wzgórza dały się dostrzedz obie linie flankierów, nasza i nieprzyjacielska. Liczba ich ze strony nieprzyjaciela była większa nad wszystko, co mi się kiedykolwiek naraz widzieć zdarzyło. Postawa naszej jazdy wszędzie była wzorowa; albo stała ona niewruszenie przeciw nacierającym, tak iż nieprzyjaciel nie śmiał do niej dotrzeć, albo na krótką odległość sama przypuszczała atak, przed którym pierzchał nieprzyjaciel. W jednym i drugim razie po naszej stronie była cichość poważna, widocznie nieprzyjacielowi imponująca, gdy po tamtej stronie, przeciwnie, zgiełk i wrzawa nieopisana. Krzyki, jakiemi jeźdźcy nieprzyjacielscy napełniali powietrze, były tak przeraźliwe, że, choć nie uderzali istotnie na żadnym punkcie, przecież nie można się było obronić od nieprzyjemnego wrażenia, mimo że odwrót nasz robił się stępa i w największym porządku. Krzyk ten, niepokojący widocznie żołnierza naszego w szeregu, mniej nierównie

działał na samychże flankierów naszych, którzy kilka razy zmuszali szwadrony nieprzyjacielskie do odwrotu po krótkiej szarży.

Artylerya nasza niemało się przyczyniła do hamowania śmiałości nieprzyjaciela. Wymierzając ciągle granaty w stronę, gdzie gęściej flankierów dostrzegała, spędzała ich z tego punktu, jakby muchy. Gromadziła się ich wprawdzie tem większa liczba na innym punkcie, gdzie próbowali szczęścia, lecz próbowali daremnie. Brygada jazdy jen. Turny z jedną bateryą konną wystarczyła na osłonięcie odwrotu aryergardy naszej, wobec dwóch przynajmniej dywizyi jazdy nieprzyjacielskiej, flankierami nacierającej, a raczej straszącej. Ale potrzeba było pilnej baczności na naszej linii, coraz to na innym punkcie zagrożonej.

Wkrótce też pole ścieśniać się zaczęło. Rus zasłaniał od początku nasze lewe skrzydło; na prawem zaczęły się trafiać błota i krzaki. Gdy więc dochodziliśmy do miejscowości, w których nadarzały się chwilowe cieśniny, wielką było ulgą szybko przez nie przeprowadzać naszą jazdę, a osadzać je choć nielicznemi oddziałami piechoty. Kompania pułku 3 piechoty liniowej, zostawiona na grobelce pod kapitanem Valentin, oczekując w zasadzce nieprzyjaciela, przyjęła, przy zmroku już, zbliżonych flankierów dobrze wymierzonym ogniem ręcznym; co powtórzywszy raz i drugi na podobnych przeprawkach, pozbyliśmy się hałaśliwego towarzystwa około godziny dziesiątej wieczór. Jednakże pamiętam, żem wielkie czuł znużenie po kilkogodzinnym odwrocie w takich warunkach.

Dalszy nasz marsz odbywał się spokojnie wśród jasnej nocy przez Troszyn, traktem ku Ostrołęce. Mniemaliśmy, że dotrzemy do Ostrołęki, przeprawimy się przez most za Narew i tam znajdziemy odpoczynek. Ale około pierwszej w nocy, na gościńcu przy wsi Ławy o sześć wiorst od Ostrołęki, spotkaliśmy czekającego nas pułk. Lewińskiego, który oznajmił jen. Łubieńskiemu ustnie,

iż wolą jest wodza naczelnego, aby korpus nasz tu stanął obozem.

Rozkaz ten, jako sprzeczny z poprzednim, zadziwił nas. Pułk. Lewiński nie mógł nam objaśnić powodu tej zmiany, ani też wskazać pozycyi, w którejby nam obozem stanąć wypadło, bo sam, dopiero co tu przybywszy, pozycyi nie znał. Noc teraz stała się ciemna, musieliśmy się oryentować jakokolwiek z mapy przy latarni i rozstawić na resztę nocy. Następnie, zebrawszy się w przydrożnej karczmie, jenerałowie Łubieński, Turno, Henryk Kamieński i ja, poczęliśmy z mapy odgadywać, jakaby też być mogła myśl wodza naczelnego w wydaniu nam tak niespodzianego rozkazu. Była to dla nas rzecz oczywista, że teraz, nocą, moglibyśmy się bezpiecznie przez Narew przeprawić, ale że nazajutrz, za dnia, przy takiej asystencyi, jaka nam dziś z wieczora towarzyszyła, będzie to o wiele trudniejsze, a nawet niepodobne do wykonania bez znacznej dla nas szkody. Trzymać się przeciwko armii Dybicza, połączonej z gwardyą, nie mogły dwie nasze słabe dywizye, a przecież pułk. Lewiński zapewniał, że wszystkie inne dywizye, stosownie do rannego rozkazu, przeszły na prawy brzeg Narwi i że już tylko brygada piechoty jen. Bogusławskiego zostaje na lewym brzegu, na trakcie ku Łomży.

W takim stanie rzeczy zdawało się jasnem, ze powodem do tej zmiany rozkazu musiało być przekonanie jen. Prądzyńskiego, jakobyśmy mieli przed sobą same tylko gwardye. Przeto jen. Łubieński, dając mi swą instrukcyę do napisania raportu o naszym wieczornym marszu, polecił mi szczególnie i jak najspieszniej dać wiedzieć naczelnemu wodzowi, że nie gwardye, ale najniezawodniej pułki jazdy liniowej z awangardy Dybicza szły za nami przez cały wieczór, na co patrzeliśmy o kroków kilkadziesiąt.

Czy raport mój doszedł przed wydaniem nam dalszego rozkazu, nie wiem, a nawet przychodzi mi wątpić

o tem. Jakkolwiekbądź, o szóstej rano nadszedł rozkaz od jen. Prądzyńskiego, nakazujący jen. Łubieńskiemu, aby na «mocnej» pozycyi pod Ławami trzymał się, choćby go atakowały gwardye «przez dzień cały!» Przytem jen. Prądzyński uwiadamiał go, że, stojący na lewem skrzydle naszem, a raczej w tyle od nas na trakcie łomżyńskim, jen. Bogusławski z brygadą piechoty przechodzi pod jego rozkazy.

Gdy jen. Łubieński odczytał rozkaz ten Kamieńskiemu i Turnie, których zdania z szczególną ufnością zasięgał, zdumienie ich było bez granic. Aż Turno przerwał i rzekł: «A więc będziemy dziś mieli Berezynę». Już naówczas, przy świetle dziennem, lepiej jeszcze niż z mapy mogliśmy ocenić, co była warta owa «mocna pozycya», o której nam ze sztabu głównego pisano. Była to pozycya żadna: rzeczka błotnista, krzakiem olszowym okryta, wszędzie piechocie przystęp i przejście dająca, brzeg zaś jej ze strony nieprzyjaciela górujący nad naszym. O nieprzyjacielu więc tyle tylko wiedzieć można było, o ile nam o nim donieść mogły nasze placówki, poza olszyną rozstawione.

Łatwo było przewidzieć, że za tak wielką masą kawaleryi iść musi niedaleko odpowiednia ilość piechoty, która, gdy nadejdzie, wnet dorówna jednej słabej dywizyi piechoty naszej, liczącej tylko dwa pułki stare a dwa młode, znużonej przytem wyprawą i marszami. Jazda nasza do bronienia pozycyi nie mogła się przydać, artylerya zaś, acz wzmocniona nadesłaną bateryą z ośmiu granatników pruskich pod dowództwem kapitana Najmanowskiego, mogła działać tylko na te masy nieprzyjacielskie, któreby już na naszej stronie błota się znajdowały, nie widziała bowiem poza krzaki olszowe. Wobec tego nieprzyjaciel w przemagającej sile mógł dojść do samej rzeki, której przeprawy bronić mu mogła tylko nasza piechota w olszynie.

Opierać się długo na takiem stanowisku przeciw siłom dziesięćkroć przemagającym było niepodobieństwem;

przecież, gdy taki był rozkaz, potrzeba było wytrzymać pierwsze przynajmniej uderzenie. W tym celu należało przygotować piechotę w olszynie, przypuścić nieprzyjaciela na najbliższą metę i uderzyć nań silnie, a gdyby się udało odeprzeć ze stratą pierwsze jego bataliony, niezwłocznie z odparcia nieprzyjaciela korzystać, by się od niego oderwać i cofnąć. Tę część zadania poleciwszy jen. Kamieńskiemu, sam jen. Łubieński stanął w drugiej linii z jazdą i większą częścią artyleryi, która, jak mogła, korzystała z terenu, żeby sobie zapewnić działanie jak najskuteczniejsze, gdy nieprzyjaciel już się przez błotko dostanie i jen. Kamieńskiego do odwrotu zmusi.

Rozesławszy stosowne rozkazy, udałem się do jen. Kamieńskiego i z nim raz jeszcze objechałem linię, którą z dywizyą swoją zajmował. Dwa pułki stare, 3 i 6, stanęły po obu stronach na trakcie do Troszyna, mając linię forpocztów poza rzeczką; pułki zaś nowe, 20 i 14, z dwoma działami, oparte prawem skrzydłem o Narew, zajęły dwie wsie i przeprawy na prawem skrzydle, z rozkazem nie ustępowania, dopóki przemagającą siłą nie będą do tego zmuszone.

Tak rozstawione wojsko objechawszy z jen. Kamieńskim, zsiedliśmy z koni pod drzewem na trakcie, czekając ataku i myśląc, jakby dopełnić obowiązku, a nie doczekać się zguby pewnej. Po krótkiej a dosyć smutnej rozmowie nad niepojętym dla nas rozkazem, znużeni bardzo bezsenną nocą usnęliśmy. »

Przechował się, w własnoręcznym odpisie Zamoyskiego, następujący rozkaz, nadesłany jen. Łubieńskiemu tegoż rana z kwatery głównej:

«Nr. 835 W kwaterze głównej w Ostrołęce,
dnia 26 maja 1831, o godz. 7 rano.

Sztab Główny do JW. Generała Łubieńskiego.

Wódz Naczelny, odebrawszy raport JW. Generała, nie wątpi, iż w stanowisku, które zająłeś, potrafisz się

utrzymać przez cały dzień dzisiejszy; jakoż wyraźną jest wolą Naczelnego Wodza, abyś JW. Generał trzymał tę pozycyę, jak będzie można najdłużej. Wojsko zgromadzone pod Ostrołęką, w przypadku wielkiego ciśnięcia JW. Generała, może go na każdym punkcie wesprzeć. Raczysz JW. Generał dać rozkaz generałowi Bogusławskiemu i Węgierskiemu, aby oprócz raportów, które JW. Generałowi przesyłają, zawiadamiali także o ważniejszych wypadkach Wodza Naczelnego w Ostrołęce.

Kwatermistrz Generalny, Generał Bdy
(podpis) J. Prądzyński.

To, co się zdaje JW. Generałowi z wojska jego zbytecznem do osaczenia tej pozycyi, poszczególniej z artyleryi, raczysz JW. Generał odesłać do Ostrołęki, gdzie zajmie miejsce za mostem, które przez sztab główny wskazanem będzie.

(podpis) J. P.»

«Około dziewiątej rano strzały karabinowe zapowiedziały zbliżenie się kolumn nieprzyjacielskich, co potwierdził przybyły z poza rzeczki adjutant jen. Kamieńskiego. Nieprzyjaciel nacierał wolno; widząc przed sobą nie bronione rzekę i błoto, nie spodziewał się widocznie nas tu zastać w sile, ale przyjęty ogniem gęstym przez tyralierów naszych, broniących lasku olszowego, wysłał kolumnę piechoty na lewo, by nas obejść przez wieś Rzekuń po grobli tam będącej. Ta kolumna natrafiła na nasze prawe skrzydło, wysunięte naprzód, które ogniem armatnim i ręcznym zatrzymało ją, a zmieszało nieco tę, która na głównym trakcie nas atakowała i teraz mniemała zapewne, iż ją nasze siły oskrzydlają.

Kamieński w tejże chwili rzucił naprzód dwa bataliony swoje; te, dopadłszy z bagnetem nieprzyjaciela, zmusiły go do odwrotu i potrafiły odciąć i wziąć w niewolę około stu tyralierów z czterema oficerami. Nieprzyjaciel, nie ścigany, ustąpił nieco poza falistość gruntu i zawiesił bitwę. Ja zaś, widząc w niewolnikach samych tylko

wojskowych z linii, uprowadziłem natychmiast owych wziętych czterech oficerów, a rozkazawszy, aby im dano cztery konie z frontu i eskortę, wyprawiłem ich z adjutantem do sztabu głównego na pokazanie, że stosownie do tego, jak w nocy już donosiłem, nie z gwardyami mamy do czynienia, ale z armią Dybicza. Czyniąc to, myślą moją było usprawiedliwić nasz marsz wsteczny, do którego jen. Łubieński w tej chwili wydawał rozkaz, a razem obudzić całą uwagę wodza naczelnego na ruchy wojska nieprzyjacielskiego, których ważność widocznie dotąd nie była w sztabie ocenianą. Ruch nasz wsteczny rozpoczął się na przestrzeni milowej ku Ostrołęce.

Od pozycyi pod Ławami aż pod miasto Ostrołękę kraj jest płaski, gdzieniegdzie rzadkiemi zaroślami okryty, sama zaś Ostrołęka otoczona jest łańcuchem pagórków piaszczystych, dość wysokich. Jazda nasza, zostając w drugiej linii, ustępowała zwolna, gotowa poprzeć piechotę, gdyby nieprzyjaciel jazdą chciał nacierać, gdy zaś przyszła pod wzgórza odłamała się kłusem w tył i przeszła most. Jen. Łubieński, spuszczając się na umiejętność i odwagę jen. Kamieńskiego w kierowaniu dywizyą piechoty, która jedna tylko miała właściwe pole do działania, udał się naprzód z jazdą do mostu dla dopilnowania porządnej przeprawy.

Tymczasem jen. Kamieński, opuściwszy pierwszą pozycyę nad błotem, cofnął się najprzód poza linię zajętą przez nasze baterye, te zaś, dawszy ognia po kilka razy, pospieszyły w tył, aby zająć korzystną dla siebie pozycyę na wzgórzach, pod zasłoną której piechota nasza bezpiecznie dalej cofaćby się mogła. Lecz wzgórza te zajęła przed niemi baterya konna pułk. Bema, przysłana z za rzeki. Wobec tego jen. Łubieński rozkazał swojej artyleryi przejść most za jazdą, poczem piechota, ustępując w porządku, słabo napierana przez nieprzyjaciela, którego działa nasze trzymały w odległości, przeszła most podobnież w największym porządku. Prawe jej skrzydło,

pułk 14, mniej jeszcze party, tak się nawet w odwrocie ociągał, że pułk 20, pod dowództwem pułk. Podczaskiego musiał aż wracać dla eszelonowania go, gdy jazda nieprzyjacielska zaczęła się zbliżać i zagrażać mu odcięciem.

Co do mnie, jak szefowi sztabu przystało, zostawałem przy aryergardzie i patrzałem z przyjemnością na porządek zachowany przez wojsko nasze w tym odwrocie, na postawę jego i działanie artyleryi. Cieszyłem się już szczęśliwem nadspodziewanie ocaleniem korpusu naszego, cieszyłem się także przytomnością umysłu i znajomością rzeczy, jaką okazywał jen. Henryk Kamieński. Nie przewidywałem, niestety, że i klęski ciężkiej dnia tego nie ujdziemy i wielką jeszcze poniesiemy stratę w osobie samegoż Henryka Kamieńskiego, wojskowego największych nadziei.

Widząc, że postanowieniem Łubieńskiego było ustąpić z całą powierzoną sobie komendą na prawy brzeg Narwi, zdziwiłem się i nową niespokojnością przejęty zostałem, gdy, wjechawszy na wzgórza, skąd raz jeszcze ruch nieprzyjaciela i siłę jego ocenić chciałem, dowiedziałem się od dowodzącego bateryą Bema porucznika x. Stanisława Jabłonowskiego, że baterya ta jest pod rozkazami Paca i Małachowskiego, którzy, wraz z brygadą Bogusławskiego, zajmują Ostrołękę i mają rozkaz tam pozostać. Ponieważ brygada Bogusławskiego poprzedniego dnia oddana była pod rozkazy Łubieńskiego, dosyłałem jej przeto w ciągu rana rozkazy ruchu odwrotnego, jaki wykonywaliśmy. Zaniepokoiłem się, widząc, że znowu ruch ten wstrzymano.

Ostrzegłem Jabłonowskiego, że nasz korpus ma rozkaz przejść za Narew, że przeto jego baterya za chwilę zostanie odkrytą. Poczciwy Jabłonowski, Staś, jakeśmy go nazywali, ze zwykłą sobie porywczością rzekł do mnie: «To ja tu sam pozostanę. Pierwszy raz dowodzę bateryą, nie ustąpię bez rozkazu.» Zbiegłem na dół do jen. Łubień-

skiego, a przekonawszy się, że nasz korpus w znacznej części przeszedł mosty i niebawem cały będzie na drugiej stronie Narwi, otrzymałem pozwolenie wrócenia do Jabłonowskiego, ażeby go skłonić do ustąpienia. Jabłonowski się upierał i, gdzie mógł, raził nadchodzącego nieprzyjaciela. Niebawem jednak tyralierzy moskiewscy poczęli obchodzić wzgórze z jednej i z drugiej strony. Nie było rady, trzeba było działa zaprzodkować i niezwłocznie z niemi do mostu pospieszyć.

Tymczasem dywizya jen. Paca, stosując się do wyższego rozkazu, upornie zajmowała Ostrołękę. Pac czuł doskonale, że go czeka klęska, ale i on bez rozkazu nie chciał się cofnąć. Ruszyłem pędem do miasta i, znalazłszy tam jen. Paca, począłem przekładać mu zupełne niepodobieństwo utrzymania się z tak małą siłą w Ostrołęce wobec sił ogromnych, które już najwyraźniej spostrzedz można było, wyjechawszy z miasta na wzgórze. Te same uwagi były mu już przedemną czynione przez jen. Łubieńskiego. Ulegając nareszcie prośbom, odprawił za most i swoją pieszą bateryę. Rad byłem, że choć te dwie baterye ustąpiły.

Obowiązek już mnie nie trzymał na lewym brzegu Narwi, nie chciałem przecież ustąpić, aż się przekonam, że ostatnia armata cofającej się bateryi przeszła przez most. Gdy się już znalazłem na prawym brzegu Narwi, jadąc za ostatnią armatą, usłyszałem, jak oficer saperów, podobno Nowosielski, pytał, czy to ostatnie działo, czy ich więcej na lewym brzegu nie pozostało. Gdym odrzekł, że tak jest, dodał: «Kiedy tak, to rozbieram most, taki mam rozkaz. Piechocie wystarczy most na łyżwach», i niezwłocznie przystąpił do dzieła. Ale zaledwie saperzy sprzątnęli poprzeczne bale mostu, kiedy granaty nieprzyjacielskie zapaliły już miasto, a piechota nieprzyjacielska zewsząd je okrążyła.

Pełen niespokojności o los pozostałego za rzeką wojska, myślałem właśnie udać się do swojego korpusu,

kiedy ujrzałem ustępujące biegiem do obu mostów oddziały brygady Bogusławskiego, która nie zdołała uprzedzić nacierającego ze wszech stron nieprzyjaciela, z prawej i lewej strony piechotą zachodzącego jej do tychże mostów drogę. Po moście na pół rozebranym przeszła część pułku 4, za nią zaś, a raczej z nią razem pomieszane grenadyery moskiewskie, wszystko w nieładzie okropnym. Sam wśród nich pędzony tłumem przybyłem na pole drugiej dnia tego bitwy i patrzałem z niewymownym żalem na uciekające rozbitki tego walecznego 4 pułku, który naówczas nie był już do siebie podobny. Żołnierze nieszczęśliwi biegli, niczyjego głosu nie słysząc i wołając: «zdrada». Działa z bateryi Bielickiego, naprzeciw mostu postawione, nie mogły w tę pomieszaną masę swoich i obcych ani razu dać ognia i wpadły w ręce nieprzyjaciela.

Tak mało się tam spodziewano tego napadu, że podobno ani przodków, ani koni do tych armat na miejscu nie było.

Batalion weteranów i część 4 pułku, oraz reszta piechoty przeszły po moście na pontonach. Pac i Małachowski zacnie trwali na lewym brzegu, by jakikolwiek utrzymać porządek, nareszcie, przyparci przez nieprzyjaciela, chroniąc się od niewoli, konie własne porzuciwszy, przeszli po belkach podłużnych jeszcze nie odciętych stałego mostu. Nieprzyjaciel, przypadłszy do stałego mostu, nie dopuścił naszych saperów do przecięcia belek a wkrótce nowemi balami nowy złożywszy pomost, spiesznie po nim przeszedł na prawy brzeg i natychmiast usypał tam dla swoich dział szaniec przedmostowy.

Tymczasem most łyżwowy pod cisnącą się na nim piechotą, obciążony ludem, zatopił się. Kilkuset naszych utonęło; około tysiąca, odciętych na lewym brzegu, dostało się do niewoli. Nie byłem świadkiem tej okropnej klęski i dziękuję Opatrzności za to.

Było i tak dosyć smutku ciężkiego, pomnąc zwłaszcza, że klęska ta jakby samochcąc była sprowadzona,

bo, mimo błędnych poprzednio danych rozkazów, mimo przewidywanej, zrana z Berezyną porównanej przez jen. Turnę klęski, którą te rozkazy sprowadzić miały, okoliczności tak przecież szczęśliwie się składały, że był czas wystarczający na oderwanie się wczesne i zupełne od nadchodzącej siły nieprzyjacielskiej. Był czas, ale uporne mniemanie, że to sama gwardya tylko się zbliża, i że gwardyą nieprzyjaciel nie uderzy na Ostrołękę, sprawiło, że czasu tego należycie nie użyto. Odpowiedzialność cięży na jenerałach Skrzyneckim i Prądzyńskim.

Trudne jest wytłomaczenie a raczej odgadnienie przyczyn, które sprowadziły tę klęskę. Przychodzi chyba robić przypuszczenia, szukać przyczyn mniej widocznych. Nim przejdę do drugiej części tego dnia, czyli do właściwej bitwy pod Ostrołęką, powiem, jak sobie tłomaczę klęskę, jakąśmy w pierwszej połowie dnia tego ponieśli.

Jak wyżej nadmieniłem, udało mi się na parę dni przed bitwą nakłonić Skrzyneckiego i Prądzyńskiego do przebaczenia sobie wzajemnych uraz. Chęć mieli szczerą obydwaj niewątpliwie, ale cóż wynikło z owej podlepionej w Mężeninie zgody między ludźmi, których natury nigdy zgodzić się nie mogły? starszemu brakło woli lub przewagi moralnej nad młodszym do nakazania mu posłuszeństwa, a młodszemu tej umiejętnej, wyrozumiałej cierpliwości, która sprawia, że poddaje się bezwarunkowo, kiedy sam przewagi w radzie zyskać nie zdołał. Wynikło wzajemne ustępowanie sobie, mniejszy upór jednego i drugiego przy własnej myśli, ale zarazem brak stanowczej woli u jednego i drugiego. Skrzynecki odtąd nieśmiało rozkazywał, a Prądzyński nie odmawiał przeprowadzenia myśli jego, ale, korzystając z powolności wodza, narzucał mu choć w części zdanie własne, przeciwne.

I tak myślą Skrzyneckiego, nie rozkazem niestety, było, by dnia tego dać wojsku, zmęczonemu dwunastodniowym forsownym marszem, spoczynek na prawym

brzegu pod zasłoną Narwi. Jednocześnie gorącem życzeniem Prądzyńskiego było utrzymanie lewego brzegu Narwi jak najdłużej, co dawało nam politycznie linię lepszą, bo Łomżę w naszych rękach zostawiało. Plan jednak Prądzyńskiego był niebezpieczny, a korzyści tylko dawał pozorne, i każdy dziś podobno uzna myśl Skrzyneckiego za praktyczniejszą i pewniejszą. Ale nie wchodząc w to nawet, który plan był lepszy, każdy zapewne zgodzi się na to, że trzeba było albo jedną albo drugą myśl przyjąć, a przyjąwszy wykonać z całą odpowiednią uwagą i pilnością.

Otóż błąd i wina pod Ostrołęką były w tem właśnie, że dwie myśli sprzeczne kolejno a nawet jednocześnie, ale częściowo tylko, zostały wykonane. Stąd całemu wojsku dnia 25 wydano rozkaz ustąpienia za Narew, a w wieczór dnia tegoż rozkazano korpusowi aryergardy pozostać na lewym brzegu.

Jen. Skrzynecki, ustępując w tem upornemu naleganiu Prądzyńskiego, przekładał mu zaraz niebezpieczeństwo takiej pozycyi. Prądzyński mówił na to: «I cóż najgorszego może nastąpić? Że nieprzyjaciel zmusi ten jeden oderwany korpus do odwrotu, że wpadnie wraz z nim na nasze mosty. A to tem lepiej. Bodajby się tak stało. Trzeba mu dać wszelkie ułatwienie ku temu. Mając całe nasze wojsko na prawym brzegu, zgniecierm na miazgę pierwszą dywizyę jego, która się na ten brzeg odważy.»

Lecz mówiąc tak, co według teoryi brzmi nieźle, choć samo w sobie nie dało się tutaj zastosować, czy wydał jen. Prądzyński, szef sztabu głównego[1]), rozporządzenie stosowne do takiego przypuszczenia? Czy przysposobił na brzegu prawym wszystko, co potrzebne było na przyjęcie tej, niby tak pożądanej dywizyi nieprzyjacielskiej, to jest na zniszczenie jej w jednej chwili, zanimby nieprzyjaciel zdążył większe siły przeprawić? Nie pytam już, czy wydał rozkazy dywizyom całego wojska, wskazujące

---

[1]) Jen. Prądzyński był kwatermistrzem jeneralnym, obowiązki szefa sztabu głównego pełnił w zastępstwie.

im choćby najodleglejsze podobieństwo, że taka na nie służba w tym dniu wypaść może; pytam, czy sam rozpoznał lub kazał rozpoznać pole, na którem ta pożądana bitwa stoczona być miała? czy wydał rozkazy do umocnienia terenu robotami wojennemi na korzyść naszą, a przynajmniej do zniesienia tych, które nieprzyjacielowi korzyść zapewniały? Na to wszystko jedna odpowiedź: nie, nie i nie.

Jen. Prądzyński, szef sztabu, którego głównem zadaniem jest czuwanie nad tem, aby wszystkie rozkazy zgadzały się ze sobą i wspierały wzajemnie, jednej części wojska, i to mniejszej, rozkazał bronić się upornie «dzień cały» na lewym brzegu, a dla drugiej części zostawił, nie zmieniając ich, poprzednio wydane rozkazy rozłożenia się na prawym brzegu dla spoczynku i wygody.

Ale wina niewiele mniejsza i wodza naczelnego, który na nikogo spuszczać się w tak ważnej sprawie nie powinien. Owszem, powinien był czujność swą podwoić, kiedy pozwolił na przymieszanie myśli cudzej, sprzecznej, do swojej własnej myśli, już na pół wykonanej. Poświęcając zgodzie z podwładnym myśl własną, Skrzynecki zbłądził i naraził nie tylko dywizyę, za mostem pozostawioną, ale i całe wojsko, które rozesłał po wsiach okolicznych na odpoczynek, a które, gdy nieprzyjaciel nam wydarł most, w pospiechu rozrzucone, nieprzygotowane, w najgorszych warunkach musiało stawać do walnej bitwy.

Tak to raz jeszcze objawiło się błędne pojęcie o pożądanej u nas «zgodzie i jedności». Na brak jedności zwykliśmy ciągle narzekać, wszyscy nam go zarzucają: był on w istocie zbyt częstem piętnem dziejów naszych, chociaż nam nie brakło nigdy upominania się wzajem do «zgody». Niestety, nie dość jest chcieć zgody; nie zdobywa się jej, chcąc sprzeczne zdania pogodzić. Zdania z konieczności muszą być rozmaite, jedność nie w zdaniach, ale w czynach objawiać się powinna. W przygo-

towawczych rozprawach nie jedność, ale rozmaitość zdań jest niezbędna i zbawienna. Kiedy jednak te rozmaite zdania już sa należycie wzięte na wagę i wszechstronnie ocenione, a przychodzi do postanowienia, jednostki powinny się na to postanowienie godzić i poprzeć je, choćby było niezgodne z ich osobistem zapatrywaniem. Jedność w działaniu utrzymać jest zadaniem odpowiedzialnej władzy, a zadaniem ogółu przestrzegać posłuszeństwa dla władzy, póki jest władzą. Władza zaś zadania swego nie wypełnia, kiedy sama z sobą jest w niezgodzie, kiedy z namysłem obranej drogi się nie trzyma. Zachodzą wprawdzie okoliczności, przed któremi władza mądra ulega, chwytając się środków wprost przeciwnych tym, które poprzednio obrała. Ale, póki taka przeważna ostateczność nie zachodzi, władza uchybia najżywotniejszemu swemu zadaniu, jeżeli, trwając przy pierwotnem przekonaniu, daje się wstrzymywać, plątać pobocznemi względami.

Tak, niestety, stało się pod Ostrołęką. Pozostawienie na lewym brzegu Narwi jednej dywizyi nie obudziło w nieprzyjacielu wahania, owszem, ośmieliło go do silnego na nią uderzenia, po pierwsze dlatego, że była odcięta od reszty naszego wojska, a powtóre dlatego, że dopóki stała na lewym brzegu Narwi, most na Narwi był do zdobycia, a to już samo przez się nakazywało nieprzyjacielowi śmiałe uderzenie.

Jak powiedziałem, oddziały wojska naszego w chwili przejścia za Narew odebrały rozkaz udania się do wsi i miasteczek okolicznych na spoczynek, a że część ich już dnia poprzedniego przechodziła, niektóre oddaliły się o mil dwie i trzy. Inne, w pobliżu rozłożone obozem, tak się czuły bezpieczne, że rozstawiły ognie, rozpoczęły czyścić broń, nawet bieliznę prać. Skrzynecki z sztabem głównym niemniej się czuł bezpieczny. Śniadanie się kończyło, kiedy usłyszano pierwsze strzały przy moście. Wnet doszła wiadomość, że dywizya 3 w połowie zniszczona i że

most w ręku nieprzyjaciela. Od tej chwili Skrzynecki, jakby z letargu zbudzony, jeżeli nie wodzem doskonałym, to bohaterem przez dzień cały się okazał. Rozesłani na wszystkie strony adjutanci jeden nieśli rozkaz do wszystkich: spieszyć wszystkiemi siłami ku mostowi i siły nieprzyjaciela, przez most przeprowadzane, jeszcze na prawym brzegu nieliczne, ile możności ścierać i do rzeki wpędzać. Jakoż rzuciło się wszystko ku mostowi. Uderzały kolumny nasze raz po raz, ale pojedyńczo, bez związku, bez planu. Sam Skrzynecki niejedną kolumnę pod ogień kartaczowy prowadził, ale wszystko nadaremnie. Miejscowość była nader korzystna dla nieprzyjaciela. Wzniesiony naprzeciw mostu dla naszych dział okop z łatwością się zamienił na szaniec przedmostowy moskiewski. Gościniec ku Warszawie na prawym brzegu Narwi zwraca się kątem prostym od mostu na lewo, wzdłuż rzeki, na wysokiej grobli. Za nią piechota moskiewska korzystnie i bezpiecznie linię przeciwko nam tworzyła. Ale najbardziej przysłużyło się Moskalom to, że lewy brzeg Narwi znacznie jest wyższy od prawego i że pod Ostrołęką Narew półkolem okrąża brzeg prawy; to też w przeciągu godziny sto armat z tej wysokości koncentrowało swój ogień przeciwko naszym zastępom, broniącym nieprzyjacielowi przeprawy. W tych to warunkach najkorzystniejszych dla Moskwy, najgorszych dla nas, wojsko nasze przez siedm godzin do późnego, jak w maju, zachodu słońca składało nowy dowód bohaterstwa, utrzymując się na polu bitwy i nie puszczając nieprzyjaciela na krok poza szaniec przedmostowy i wysoki gościniec, ciągnący się wzdłuż rzeki.

Jak przedtem, tak i w tym razie nie mam zamiaru opowiadania wszystkich szczegółów tej wojny. Nadmieniam tylko o tem, w czem osobisty miałem udział. Nie będę przeto opowiadał, jaką koleją wszystkie dywizye naszej piechoty i jazdy, to wśród krzyżowego ognia w ścieśnionych kolumnach szły na nieprzyjaciela, to znowu,

po daremnem wysileniu, w małej odległości zajmowały linie obronne. Korpus II, po rannem w aryergardzie spotkaniu, po przejściu Narwi, spoczywał godzin kilka w tyle. Przez ten czas towarzyszyłem Skrzyneckiemu, gdy po dwakroć prowadził kolumny do ataku; raz przed samą kolumną, której czoło było jakby tarczą, do której strzelano ze stu dział nieprzyjacielskich. Z krzyżujących się kul armatnich jedna ugodziła w mego konia, dobrze już zasłużonego siwego kozaka, i powaliła go o ziemię. Nim zdołałem stanąć na nogach, piechota nasza, mijając, pozostawiła mnie za sobą. Ogień działowy na tem miejscu był tak gęsty, że o kilkadziesiąt kroków w bok już było bezpieczniej; prosty zmysł nakazywał spiesznie w bok się usunąć. Dziwiło to kilku towarzyszów moich, żem się ociągał przy ubitym koniu. Pytali, czym ranny, a widząc, że odpinam za siodłem mantelzak, jeden rzekł do mnie: «Musisz chyba mieć trzos dukatów w tym mantelzaku, że się z nim rozstać nie chcesz, choć w tym piekielnym ogniu.» A widząc, żem zdrów, poszli dalej za kolumną. Nie o dukaty mi chodziło, ani o mantelzak, ale o płaszcz, z którym z zasady nigdy się nie rozstawałem, bo szczerze powiedzieć mogę, że kuli i rany się nie lękałem, ale nie chciałem dla przeziębienia być skazanym do szpitala.

Pod wieczór korpus II wystąpił z kolei na pierwszą linię, ale Skrzynecki już zaniechał uderzania na linię nieprzyjacielską. Wszystkie poprzednie usiłowania tak piechoty, jak jazdy, by nieprzyjaciela wpędzić do rzeki, okazały się daremne. Oprócz wyżej przytoczonych, korzystnych dla nieprzyjaciela warunków, przed samą linią jego były łąki w wielu miejscach grzązkie, dla jazdy nieprzystępne. Michał Mycielski na czele pułku ułanów, po dwakroć ponawiając szarżę, dwa razy na taką natrafił przeszkodę. Mówił potem, że mu Skrzynecki kazał «szarżować nie na linię, ale na kule nieprzyjacielskie». Linia nasza pod ogniem, okrążającym ją z za Narwi,

sama usiłowała okrążyć występującego na prawy brzeg nieprzyjaciela. Prawe skrzydło nasze dochodziło do gościńca warszawskiego, który bliżej mostu służył nieprzyjacielowi za okop. Na prawem skrzydle, pod gęstym, krzyżowym ogniem armatnim i karabinowym, stał Skrzynecki, zaledwie kilku przy sobie mając adjutantów. Reszcie sztabu kazał się trzymać w oddali, żeby nie zwracać uwagi. Szef sztabu Prądzyński był w stanie zupełnego rozstroju. O ile wyobraźnia jego była twórcza, gdy chodziło o zaczepne plany, o tyle znowu w przesadzonych rozmiarach przedstawiała mu grożącą klęskę. Spotkawszy go na początku popołudniowej bitwy, siedzącego nieczynnie pod krzakiem, zapytałem: «W jakim kierunku odwrót?» W istocie ci, co nie pamiętali ogólnej pozycyi, ustępując przed nieprzyjacielem, szli prostopadle od linii, jaką on zajmował po przejściu Narwi. Ten zaś kierunek, odkrywając drogę do Warszawy, prowadził nas do granicy pruskiej, o kilka mil tylko odległej. Jakąż mi dał odpowiedź, mnie szefowi sztabu korpusu, szef sztabu głównego, którego powinnością było kierunek nadać rannym i bagażom taki, aby nie plątać ruchu, nie zatykać komunikacyi. Prądzyński odpowiedział: «Niema odwrotu, wszystko stracone, takiego to mamy wodza». To mówiąc, miał łzy w oczach. Daremnie dowodziłem, że powinniśmy się ratować. Już go nie widziałem tego dnia aż wieczór. O tyle śmielej, pomimo zakazu, o którym mi powiedzieli adjutanci, podjechałem do Skrzyneckiego, pytając, co ma począć korpus II, teraz w pierwszej linii stojący. Odpowiedział Skrzynecki: «Trzeba stać do nocy». Ale, niestety, aż nadto jawne były oznaki upadłego w całem wojsku ducha. Linia tyralierów coraz rzadsza się stawała. Ludzie padali, albo po kilku za jednym rannym uchodzili. To samo się działo na samej linii. Zwróciłem na to uwagę Skrzyneckiego, a że nie odpowiadał, dodałem: «To choć sam, jenerale, ustąp, żebyśmy się przecie bez wodza nie zostali». Po chwili milczenia dodałem

znowu: «Zamianuj przynajmniej, jenerale, swego zastępcę, kiedy widocznie już tylko czekasz śmierci». Spojrzał na mnie z gorzkim uśmiechem i rzekł tylko: «Zostaw mnie, nie ściągajmy na siebie uwagi nieprzyjaciela». Ujechawszy jakie kilkadziesiąt kroków, takie naraz uczułem znużenie, żem zsiadł z konia i, w zbożu się położywszy, zdrzemnąłem się, kiedy przejeżdżający przypadkowo brat mój Konstanty, poznawszy mego ordynansa z koniem przy mnie stojącego, zawołał: «Cóż tu leżysz, gdzie kule karabinowe po większej części do ziemi się chylą? na koniu bezpieczniej, bo wyżej». Wsiadłem znowu na konia i z bratem rozmawiałem, kiedy kula nie karabinowa, ale armatnia tak blisko mego brata przeszła, że go z konia zrzuciła. Sam go z ziemi dźwignąłem i, przekonawszy się, że tylko odurzony, wyraźnie się ucieszyłem, gdy go dwóch ludzi z pola uprowadziło. Obecność jego w niczem dopomódz nie mogła, a na dobre imię już sobie sowicie zasłużył. Alem się niedługo cieszył; w pół godziny Konstanty był już znowu z nami w ogniu. Brat mój August także dnia tego szczęśliwe miał z kulą armatnią spotkanie. Urwała mu podeszwę od buta, ale go nie zraniła[1]).

Pod zachód słońca ogień z obu stron ustał. Cisza była uroczysta, widać było, że się Moskale namyślają, co dalej począć i czy się co więcej da zrobić dnia tego. Naraz Skrzynecki rozkazał całej linii posuwać się naprzód

---

[1]) Henryk Reeve do Zygmunta Krasińskiego:

«Londyn, 23 czerwca 1831.

Poczta przyniosła mi dwa listy: jeden od ciebie, drugi od Augusta. Poczciwy August, że do mnie z namiotu (pod Ostrołęką) pisze. Ze zwykłą sobie prostotą opowiada mi niektóre szczegóły swego życia. Zawsze mawiałem, że ten człowiek napróżno życia nie położy... On ciebie kocha, mój drogi, tak jak ja ciebie kocham, z tą różnicą, że on jest żołnierzem, a ja próżniakiem. Część jego listu przetłomaczyłem do Timesa. Czytać go będą we wszystkich częściach świata. August, mimo wiedzy i woli, został autorem.»

(Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Reeve. T. I, str. 109)

w asekuracyi kilku bateryi konnych, które, pędem pod linię nieprzyjacielską na strzał kartaczowy dojechawszy, miały, albo ją zmusić do ustąpienia, albo przynajmniej opóźnić jej pochód nocny za nami. Bem na czele bateryi konnej byłej gwardyi naszej prowadził tę istotną szarżę artyleryi. Konni kanonierzy, wyprzedzając swe działa, dotarli aż do tyralierów nieprzyjacielskich i z pozycyi przez tychże opuszczonej dali ognia kartaczami. Natychmiast odezwały się znowu wszystkie działa nieprzyjaciela; kanonada głośniejszą się zdawała po chwilowej poprzedniej ciszy. Ale niedługo trwała; nie uszło pół godziny, kiedy baterya Bema tylu utraciła oficerów, ludzi i koni, że pozostało jej już tylko o czem działa z pola uprowadzić.

Noc też zapadła, i tak skończyła się ta pamiętna pod Ostrołęką bitwa. Ciekawy szczegół doszedł nas później o wrażeniu, jakie na nieprzyjacielu sprawił stawiony mu przez dzień cały opór, a w końcu, kiedy już sam był znużony, ta szarża naszej artyleryi. Podczas chwili milczenia, która poprzedziła to ostatnie wysilenie nasze, feldmarszałek Dybicz, chcąc zapewne bliżej się przypatrzeć naszej linii, puścił się na czele licznego sztabu i eskorty przez most na prawy brzeg Narwi. Ruch ten wzięty był przez nas za wystąpienie czoła jazdy, mającej, jak zwykle pod koniec walnej bitwy, próbować szczęścia przeciwko znużonej i osłabionej piechocie. Na ten to widok Bem, a za nim w asekuracyi cała linia nasza, rzuciły się naprzód. Przywitany na tak krótką metę naszym ogniem kartaczowym, Dybicz (nie wiem czy to prawda, ale tak nam mówiono), dojechawszy do przedmostowego szańca, zsiadł z konia i dla bezpieczeństwa na ziemi się położył. Bądź co bądź, pomyślał zapewne, żeśmy jeszcze nie złamani na duchu, bo krokiem dalej się nie posunął.

Opowiadając wypadki, które według mego mniemania spowodowały klęskę pod Ostrołęką, powiedziałem,

że wódz, a z nim jego najbliższy doradca, winni dźwigać odpowiedzialność za tę ze wszech miar nieszczęśliwą dla nas bitwę. Nie uczyniłbym wszakże zadość obowiązkowi sumienia, gdybym nie dodał, że w dniu tym osobista bohaterska, niczem niezachwiana odwaga jen. Skrzyneckiego ocaliła wojsko nasze od zagłady.

Nastąpiła wraz z nocą cisza zupełna. Przy wodzu naczelnym zebrali się wszyscy jenerałowie i ich sztaby. Wszyscy zgodnie radzili korzystać z nocy, by spiesznie się cofnąć, choćby nad ranem przyszło zająć znowu pozycyę do boju, w każdym razie mniej niekorzystną. Jeden Skrzynecki trwał upornie przy zdaniu, że należy nocować na polu bitwy, że tym jedynie sposobem odbierzemy nieprzyjacielowi śmiałość do wszelkiego działania, jakieby teraz przeciwko nam chciał przedsięwziąć. To zdanie nie przemogło[1]). Nastąpił rozkaz do odwrotu traktem ku Warszawie. Korpus II znowu miał sobie powierzoną tylną straż armii.

Jen. Łubieński, o ile nie był skory do śmiałych zaczepnych ruchów, o tyle po klęsce nie upadał na duchu. Widział jasno, co nakazuje obowiązek, na co pozwalają okoliczności; oceniał je zimno, bez przesady. Korpus jego stał do północy na polu bitwy przy szeroko rozpalonych ogniach. Wówczas począł iść za wojskiem, które go całe wyprzedziło. Około dwunastej ściągnął ostatnie swoje wedety i już tylko umarłych, lub umierających za sobą zostawił.

Przez kilka godzin postępowaliśmy, nie dostrzegając żadnych za nami podjazdów nieprzyjacielskich. Nato-

---

[1]) Jen. Prądzyński utrzymywał, że on także głosował za tem, żeby pozostać na polu bitwy i czekać na przybycie Giełguda z Łomży w nadziei, że Dybicz nazajutrz nie ośmieli się atakować, lecz że przegłosowali go inni jenerałowie, którzy dowodzili, że Dybicz zapewne od rana przypuści atak, na który narażać się niepodobna, mając piechotę zupełnie rozbitą. Prądzyński wielką wagę przywiązywał do tego sprostowania, które popierał piśmiennemi świadectwami jenerałów Łubieńskiego i Lewińskiego. (W. Z.)

miast, skoro dnieć poczęło, ujrzeliśmy obok kolumn naszej aryergardy mnóstwo pojedyńczych żołnierzy naszych, którzy widocznie zbiegli podczas bitwy, a teraz spieszyli znowu do swych pułków. Po takiej klęsce, kiedy niejeden z batalionów stopniał do nicości, z pociechą patrzyliśmy na tych rozproszonych, co do szeregów wracali. Podobnież było nam pociechą, gdy zrana mogliśmy się przekonać, że nieprzyjaciel nie spieszy za nami, że zaledwo trochę kozaków ruch nasz śledzi.

Nie czując się potrzebnym przy tylnej straży, a pamiętając wyraz rozpaczy na twarzy i w słowach Skrzyneckiego, gdy wbrew własnemu zdaniu zezwalał na odwrót, prosiłem jen. Łubieńskiego o pozwolenie dopędzenia naczelnego wodza i zdania mu sprawy ze wszystkiego, co świadczyć mogło, że klęska przez wojsko nasze poniesiona jest mniejsza, niżeśmy wszyscy mniemali. Łubieński pochwalił myśl moją i kazał mi ją wykonać.

Około ósmej rano, 27 maja, dojechałem do Rożanu, gdzie Skrzynecki część nocy spoczywał. Powiedziano mi, że wódz naczelny nikogo jeszcze od rana nie przyjmował. Wprowadzony natychmiast do niego przez służbowego adjutanta, zastałem go już przy pracy z Prądzyńskim. Rad byłem dobremi wiadomościami Skrzyneckiego pocieszyć, ale to, że się Moskale zatrzymali, że się wojsko odnajduje, że bataliony się wypełniają, nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia, dało tylko powód do rozmowy o całem sprawy naszej stanowisku, a mianowicie o bezrządzie, jaki nad nią panował, bo sejm w istocie chciał rządzić, a tak zwany Rząd Narodowy był bez władzy i powagi. Rzuciłem, nie po raz pierwszy, myśl opanowania władzy jakby dyktatorskiej. To jednak było nad siłę jego. Zbywał mnie stale odpowiedzią: «Je ne ferai pas un 18 Brumaire». Nareszcie rzekłem: «Nie tu nasza klęska, nie w wojsku, ale w anarchii politycznej. Z nieładu w Warszawie płynie niemoc na całą armię i na

całą sprawę. Jenerale, jedź do Warszawy i powiedz im: «Dopóki wojsko było zwycięskie, mało znaczyło, coście wy tutaj robili; powstanie było w armii, jego sprawa na placu boju się rozstrzygała. Lecz dzisiaj armii już niema, ja zaledwo was mogę zasłonić, dzisiaj myślcie o zrobieniu porządku politycznego.» Trafiły te słowa do przekonania Skrzyneckiemu. «Dobrze», odpowiedział, «tak zrobię».⟩

Przedstawiając Skrzyneckiemu potrzebę zaprowadzenia porządku politycznego w Warszawie, Zamoyski miał na myśli niebezpieczeństwo, zagrażające krajowi ze strony partyi jakobińskiej.

⟨[1]) Wielka była zaciekłość partyi demokratycznej, a zwłaszcza jej naczelników, w ciągu powstania w Warszawie. Mając stosunki z najniższą klasą ludności, usposabiali oni ją wcześnie do rzezi. Już w marcu rozchodziły się między ludem wieści, że rząd pozwoli wieszać szpiegów. Współcześnie rozbudzano nieufność do wszystkich, którzy stanowiskiem lub imieniem się odznaczali. Póki jednak powstanie wiodło się pomyślnie, nie było pola dla takich, jak J. B. Ostrowski i jemu podobnych. Gniewało ich poświęcenie, gniewał szlachetny czyn lub tryumf człowieka ze znakomitem imieniem. «Co to za bieda z tymi arystokratami, nie można będzie wszystkich wywieszać!» Lecz, w miarę jak się wzmagało niebezpieczeństwo dla sprawy narodowej z powodu klęsk wojennych, umysł ludu, z natury podejrzliwy, łatwiejsze dawał ucho podżegaczom, rozpacz bardziej jątrzyła namiętności, nieufność przemieniała się w otwartą niechęć. Opinia publiczna nie widziała dostatecznej rękojmi w zawiłym ustroju rządu; rozprawy sejmowe nie mogły zastąpić

[1]) Cudzysłowem pojedyńczym ⟨...⟩ oznaczone są urywkowe wspomnienia jen. Zamoyskiego pisane w 1832 lub w kilku następnych latach.

władzy skupionej w jednem ręku, któraby ani krytyce ani powątpiewaniu podnosić się nie dozwalała. Im zaś gorzej szło powstaniu, tem śmielej i energiczniej stawiali się demokraci, tem bardziej zachmurzał się horyzont polityczny i groził nawet w tym przypadku, gdyby się nam udało wziąć górę nad nieprzyjacielem. Ruch narodowy zmieniał się w ruch rewolucyjny, stolica szła do ulicznego teroryzmu.»

Jedyny środek zaradczy dla zażegnania niebezpieczeństwa upatrywał Zamoyski w przyznaniu silniejszej władzy rządowi. Jeszcze przed wyprawą ostrołęcką pisał do matki, 6 maja: «Możemy się spodziewać zmiany formy rządu, w celu dania większej władzy mniejszej liczbie członków. Jedni chcą trzech na czele, inni jednego. To się zrobi bez hałasu. Lelewel i kluby poniosą cios ostateczny, a z nimi część Kaliszan, którzy im rękę podawali. Na xięciu ciężyć będzie większa odpowiedzialność, ale też i władza będzie większa i możność działania i większe coraz u dworów zaufanie do naszych zasad i jedności naszej.»

Po krótkiej bytności x. Adama w obozie, Zamoyski pisał do niego:

«Stara wieś, nie doszedłszy do Śniadowa.
23 maja 1831, wieczór.

Nie byłbym podobno zapraszał Wuja kochanego do nas, gdybym był przewidział, że tak mnie ten pobyt zmartwi. Z drugiej strony cieszę się, że mi to dało powód zwrócenia na nowo uwagi kochanego Wuja na nieznośny stan wielu w kraju rzeczy. Potrzeba zmian coraz więcej czuć się daje. Gdyby Wuj nie był, sam przez się, wielką i jedyną w kraju potęgą, gdyby nie był człowiekiem jedynym, niezbędnym, tym jednym, za kim wszyscy ludzie zacni pójdą, pójdą wszędzie, sprawiedliwieby Wuj mógł szukać poparcia czy to w izbie, czy to w wojsku, ażeby przeprowadzić zmiany w formie rządu. Ale te zmia-

ny, których potrzebę wszyscy uznają, zależą jedynie od woli samego Wuja. Trzeba przyznać wodzowi naczelnemu, że on lepiej od Wuja kochanego umie się opierać względom osobistym. Prawda, że on działa trochę despotycznie, ale tego nam na razie potrzeba. Odprawa dana Umińskiemu[1]) nie tylko, że mnie nie oburza, chociaż mi żal człowieka, ale uważam, że to jest przykład dla Wuja kochanego do rozważania i naśladowania. Niech mi Wuj moją szczerość przebaczy, ale Wuj sam mnie jej względem siebie nauczył. Im bardziej się zastanawiam, tem lepiej rozumiem surowość wodza naczelnego dla tych, którzy śmieją rozkazom jego się opierać, lub mu uchybiać. Żadne względy urodzenia, stanowiska i t. p. go nie zatrzymują; jak tylko widzi, że kto niesforny i że obecność jego szkodliwa, bezwzględnie go wydala.

Może Wuj powie, że on kieruje się uprzedzeniem; być może, ale ja zwracam uwagę tylko na stanowczość, z jaką postępuje względem każdego bez wyjątku, skoro nabiera przekonania o jego szkodliwości. Jabym chciał, żeby Wuj teraz tak samo robił. Czyby nie można wystosować, czy to do rządu, czy do sejmu pisma, w którem, przystępując do rzeczy bez ogródki, wykazałby Wuj ujemne strony obecnej formy rządu i wyraźnie oświadczył, że trzeba ją zmienić i że Wuj stanowczo odmawia naczelnictwa rady, w której nie ma większości za sobą. Proszę się zresztą odwołać do tego, co Wuj powiedział, gdy go na naczelnika rządu obierano. Wuj mówi, że w izbie też nie ma stronnictwa za sobą, ależ to samo dowodzi, że nie istnieje stronnictwo przeciwne. W całym kraju dosłownie niema człowieka, któryby śmiał głośno przeciw Wujowi się odezwać. Zawsze to mówiłem, że Wuj musi objąć władzę, którą,

---

[1]) Skrzynecki, rozgniewany na jen. Umińskiego, odebrał mu dowództwo korpusu. Rzecz ta, postanowiona widocznie jeszcze przed bitwą ostrołęcką, dokonała się dopiero w początkach czerwca, po powrocie Skrzyneckiego do Warszawy.

prawdę powiedziawszy, cały naród mu porucza, boć wszyscy są przekonani, że to Wuj ją istotnie piastuje. Do wszystkich innych ofiar musi Wuj dodać jeszcze jedną: wyrzeczenie się pozorów bezinteresowności. Wuj nie powinien, i to w brew własnym przekonaniom, służyć za narzędzie tym, co go wyzyskują w imię ojczyzny. Trzeba z nimi zerwać i prędko. Co do pisma, które Wujowi proponuję, skoro niema sposobności przeczytania go izbom, trzeba je podać do dzienników. Mógłby Wuj, oddając wszystkie możebne hołdy członkom rządu, ganić tylko jego formę. Trzebaby tę naganę poprzeć przytoczeniem faktów, przykładów i zakończyć wyraźnem, nie połowicznem oświadczeniem, któreby jasno postawiło dążenie Wuja do ujęcia władzy we własne wyłącznie ręce.

Niech Wuj opowie, czemu poprzednio przyjął naczelnictwo rządu a dzisiaj go odmawia i czemu, pragnąc zmiany formy rządu, woli raczej innemu sprawowanie najwyższej władzy zostawić, niż w obecnych warunkach sam ją nadal sprawować. Proszę nie taić, że Wuj dotąd był narzędziem, często wbrew swojej woli, i zakończyć złożeniem władzy w ręce izb sejmowych. Taka odezwa będzie może miała niemiłe podobieństwo do pospolitych zamachów stanu, ale to nie powinno Wuja wstrzymywać. Wszak i w kraju i w całej Europie Wuj dobrze jest znany; chociażby go chwilowo fałszywie sądzono, niemniej trzeba to znieść dla ojczyzny. Nieraz mówiliśmy, że nam potrzebaby było jakiego xięcia krwi królewskiej, któryby służyć mógł za ogólny łącznik. Dzisiaj Wuj jest tym łącznikiem i, jeżeli nie zechce zająć tego stanowiska, może kraj na zagładę narazić. Nie mam na myśli, żeby się Wuj o koronę dobijał, ale żeby, dopókąd nie znajdziemy lepszego, sam jeden dźwigał ciężar korony i sprawował władzę do niej przywiązaną.

Błagam Wuja, żeby się zastanowił nad zamiarem, jaki mu podaję. Obym mógł Wuja przekonać, że to, co

śmiem radzić, jest dzisiaj najpilniejszym obowiązkiem!... Jeżeli Wujowi potrzeba kogo do pomocy w tej pracy, jeżeli Wuj myśli, że jabym mu do tego posłużyć mógł, to gotów jestem od wojska się oddalić, chociażby to było w sam przeddzień bitwy, tak jestem przekonany, że to rzecz nagła.

Ściskam Wuja bardzo serdecznie, ale z ciężkim smutkiem, bo nie mogę się ustrzedz od obawy, że nas Wuj pozbawi ratunku, który w mocy jego leży.

Jankowski ma zastąpić Umińskiego, ale na to i on i Łubieński muszą być mianowani jenerałami dywizyi.»

Następne dwa listy pisane pod świeżem wrażeniem bitwy ostrołęckiej. Wobec poniesionej klęski ujęcie władzy przez x. Czartoryskiego wydaje się Zamoyskiemu rzeczą podwójnie pożądaną:

«Pułtusk, 27 maja, dziesiąta wieczór.

Napisałem do Wuja kartkę ołówkiem, zanim poszedłem do kwatery głównej. Teraz znów wracam do bitwy, wczoraj przegranej pod Ostrołęką. Wojsko zdezorganizowane, trzeba nam czasu, żeby do ładu powrócić. Czy nieprzyjaciel zostawi nam czas potemu, jak po Grochowie? Bitwy pod Grochowem są niczem w porównaniu z Ostrołęką, ze względu na ciosy, przez nas poniesione, szczególniej co do utraty oficerów. Około czterdziestu wyższych oficerów zginęło. Wojsko raczej rozbite, niż zniszczone, żołnierze wracają wprawdzie do szeregów, ale takie wstrząśnienia wywierają głębokie wrażenie na duchu wojska. Nie rozpisuję się o tem, bo chodzi mi o rzeczy najpilniejsze.

O rokowaniach nie może być mowy dzisiaj, mniej, niż kiedykolwiek. Wszakże musi nadejść czas, w którym za pomocą rokowań trzeba będzie rozstrzygać kwestye polityczne. Niechże się Wuj do tego zawczasu przysposobi. Zapewne, że teraz chwila nieodpowiednia do złożenia władzy, trzeba szukać innego sposobu, ale bądź co bądź trzeba, żeby Wuj sam jeden wziął na siebie

całą odpowiedzialną władzę i cały kierunek spraw. Co do wojska, proszę nalegać, żeby wódz naczelny otwarcie względem rządu postąpił, nic przed nim nie ukrywając. Niechże nareszcie rząd całą prawdę pozna. Przystoi teraz wodzowi naczelnemu bez ogródki mówić; przecież sam siebie głównie obwiniać będzie.

Upadam ze zmęczenia. Proszę pamiętać o wszystkiem, czego wojsku nie dostaje, o zorganizowaniu czynnego sztabu głównego.»

«Serock, 28 maja wieczór.

Kochany Wuju, ścigam Wuja mojemi listami, ale bo też naprawdę ważna teraz chwila. Zdaje mi się, że ze wszech miar niemądrą byłoby rzeczą ukrywać naszą klęskę, nie tylko przed rządem ale i przed Europą. Starajmy się jednak, żeby nieprzyjaciel o naszej dezorganizacyi się nie dowiedział; powiedzmy, że chociaż liczba nasza była tak mała, bitwa tak niespodziana, siły rozproszone, rozkaz zniszczenia mostu nie wykonany, że, mimo tak opłakanego stanu, przez kilka ostatnich godzin bitwy trzy czy cztery marne bataliony i bohaterska baterya Bema same wytrzymały i wstrzymały nacieranie całej armii i artyleryi nieprzyjacielskiej. Niech z tego zmiarkują Moskale, jakie ich trudności czekają jeszcze, pomimo że siły nasze tak srodze uszczuplone.

Ale najważniejsza rzecz, żeby skorzystać z tej okoliczności dla przeprowadzenia reformy rządu. Oczywiście teraz musimy walczyć, nie czas rokować. Wszakże po walce, jakkolwiek długiej, musi przyjść do rokowań, chociażby dla oznaczenia naszych granic. A wówczas nastąpi coś mądrego w rodzaju detronizacyi, jeżeli szaleńcy będą nami rządzili. Tych nic nie zadowolni, gotowi wymagać od cesarza konstytucyi dla Rosyi. Zresztą, kto wie, czy nie będziemy zmuszeni zaraz rozpocząć rokowań, aby zyskać na czasie, jeżeli Dybicz napierać na nas będzie. Jeszczebyśmy za szczęście to sobie poczytywać musieli, gdyby się dał w takim razie do roko-

wań nakłonić. Prawda, że obecnie wcale nie naciera. Ale co to ma znaczyć? co on przez ten czas robi? nic nie wiemy. Szczęście, żeśmy pędem nóg dostali się do przejścia Bugu, gdzie druga klęska mogła nas spotkać. Wielka liczba żołnierzy pojedyńczo wraca do pułków, ale kto nam powróci stratę oficerów? Wuju, na gwałt szefa sztabu. Niech się tam rząd gniewa. Na polu bitwy brakło naboi, żadnego ambulansu, żadnej policyi, chorzy szli niewiadomo dokąd, zbiegów na miejsce nie zwracano. Ponieważ biliśmy się naprzeciwko mostu pod Ostrołęką, maruderzy przeprawiali się przez Omulew i zbiegali ku Prusom. Wódz naczelny uparł się, żeby nie oznaczyć linii odwrotu; oto, co nas do reszty zgubiło. Ale mam nadzieję, że jutro o tem pomówimy. Piszę na popasie.»

Powrót Skrzyneckiego do Warszawy po klęsce ostrołęckiej nastręczył Zamoyskiemu następujące uwagi:

«Skrzynecki, wracając do Warszawy po bitwie ostrołęckiej, zawiadomił rząd i sejm, że przyjeżdża do stolicy dla zdania sprawy z poniesionej klęski. Dałem o tem znać także x. Adamowi. Xiążę ocenił piękny krok Skrzyneckiego i chcąc pokazać, jak mimo klęski rząd i sejm szanują wodza naczelnego, nakłonił, aby wyjechano na jego spotkanie.

Widok wyjeżdżającego naprzeciw niemu sejmu i rządu zbił Skrzyneckiego z tropu. Zapomniał z czem przyjeżdża i, zamiast wystąpić skromnie, postawił się nie tak, jak należało. Powinien był sam siebie szlachetnie obwinić, powinien był stawić się przed rządem i powiedzieć członkom sejmu: «Straciłem połowę, a przynajmniej trzecią część wojska» i z tego wyznania wyprowadzić wniosek, co trzeba uczynić dla ratowania kraju, dla wzmocnienia wpływu ludzi roztropnych. Rozumiał Skrzynecki myśl, jaką mu podałem, miał powagę potrzebną, żeby w imię roztropności do szaleńców przemówić, ale

dowody szacunku i zaufania, okazane mu przez władze krajowe i stolicę, głowę mu zawróciły. Zdało mu się, że te oznaki wynikały nie z wyrachowania politycznego, ale z istotnego zaufania do jego zdolności. Podniósł się na duchu i, zamiast samego siebie oskarżyć, stał się wyniosłym, zraził do siebie wszystkich, zapuścił się w osobiste przeciwko Krukowieckiemu i Umińskiemu zarzuty.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Warszawa, 1 czerwca 1831.

Droga, dobra Matko, pisać nie mogłem, ani wytchnąć nie miałem czasu. Pisałem tylko do wuja, myśląc, że listy moje Matce pośle, ale znajduję je teraz na jego biurku. Po zmęczeniu i stratach ostatniej wyprawy pracujemy co siła, żeby się na nowo zorganizować, a jednocześnie skorzystać z pobytu w Warszawie, żeby okiełznać szaleńców i przewrotnych.

Tomasz Łubieński mianowany szefem głównego sztabu. Ufam, że ta nominacya będzie bardzo korzystna. Brak dobrego szefa sztabu był jednym z głównych powodów klęsk ostatniej naszej wyprawy. Chłapowski dopiero nad Narewką wziął, prawie bez bitwy, dwa pułki piechoty, jeden jazdy i pięć armat. Wpadł na nich znienacka z pomocą siedmiu tysięcy powstańców. Bałta w ręku Podolaków.

Turno ma zastąpić Łubieńskiego, a ja przy nim pozostaję. Dosyć mi to na rękę.

Andrzej wrócił (z Wiednia), cudów dokazał[1]); mam nadzieję, że go tam znowu wkrótce wyprawią. Jeżeli się kształt rządu zmieni, Konstanty zapewne pojedzie do Anglii; w imieniu pięciogłowego rządu nie chce i słusznie.

---

[1]) Ob. «Moje Przeprawy» Pamiętnik Andrzeja Zamoyskiego o czasach powstania listopadowego (1830—1831) Kraków, 1906.

«Warszawa, 9 czerwca 1831.

List Matki kochanej smutny, ja też nic bardzo wesołego nie doniosę; to jedno przecież, że Zdzisław wrócił. Cieszę się radością, jaką ten powrót sprawi Matce kochanej. Leon także przybył, ale sam życzy powrócić do Zamościa. I on i Roman Sanguszko czują, iż dla ciągłych stosunków z Wołyniem są tam pożyteczniejsi, ale na Wołyń zapewne tak prędko nie pójdą. Więc też niema powodu do większej o nich, niż o nas obawy.

Strata pod Ostrołęką dotkliwa, nie tyle z powodu ogólnej liczby poległych, jak tem, że dwustu oficerów zostało niezdatnych do boju [1]). Strata ogólna nie wynosi 3000 ludzi. Ale wielkie z tej wyprawy wynikło znużenie. Robią się poszukiwania co do opuszczonych posterunków. Niestety, nie rozstrzelają nikogo. Wszystko, co mówiono o zdradach popełnionych w sztabie głównym, jest nieprawdą.»

Pani Zamoyska do męża:

«Kraków, 12 czerwca 1831.

Pod Ostrołęką, w tej okropnej rzezi, było naszych trzech synów i Działyński. Bóg wszystkich zachował. Nasi synowie, wszyscy trzej, mieli konie pod sobą zabite, August dwa.

Okropne to dla mnie zmartwienie, że cię moje listy nie dochodzą, ale nie daję się zniechęcić i dalej ci o wszystkiem donoszę, w nadziei, że może któryś z listów moich cię dojdzie. — Konstanty jest kapitanem w 5 pułku, wszyscy mi mówią, że w ogniu jest zimnej krwi, jak rzadko. W czasie cholery w Warszawie biednych cholerycznych pielęgnował, napoje im przyrządzał, podawał, na rękach dźwigał, czuwał przy nich. To też wszyscy, co go bliżej poznać mogli, za nim przepadają...

Celina (Działyńska) w Warszawie, udzieliliśmy jej trochę pieniędzy, bo nie ma poprostu z czego żyć, mieszka

---

[1]) Między poległymi znajdowali się jenerałowie Henryk Kamieński i Ludwik Kicki.

z Anielą (Zamoyską) w pałacu Błękitnym. Jéj mąż jest kapitanem w pułku poznańskim, ale przy Skrzyneckim. Jadwisia (x. Sapieżyna) jeszcze w Paryżu, po urodzeniu córki; wybiera się do nas, okropnie o męża niespokojna. Wszystkie w takiem udręczeniu żyjemy od siedmiu miesięcy.

Andrzej także chciał w wojsku służyć, aleśmy otrzymali, nie bez przykrości dla niego, żeby się został i interesami zajmował. Poleciłam mu załatwienie wszystkich spraw naszych, mnóstwo ludzi odprawił. Chromowicz, Charzyński, Mączkowski, Eliasiewicz, Dziarski poszli do wojska; nikogo nie biorą, wszyscy sami się cisną [1]).

Przez granicę trudno się przedostać, trzeba kwarantannę odbywać. Celinę, jadącą do Kórnika, trzy tygodnie przetrzymano na granicy Królestwa; chcieli ją zmusić do do trzech drugich tygodni na granicy pruskiej. Przemęczywszy się w szkaradnej dziurze z braku wszystkiego, wyrzekła się jazdy do Poznania i wróciła do Warszawy.

Z twoją siostrą Anną (x. Sapieżyną) i z Różą (Zamoyską) tu żyjemy, wspieramy się wzajemnie, jak możemy. Życie tu dosyć tanie. Dla dzieci się zbytku nie obawiaj, bo stół nasz z konieczności bardzo prosty. We wszystkiem trzymam się twoich wskazówek.

Dziękuję ci za wszystkie szczegóły, które mi o sobie dajesz, ale jakżebym chciała, żebyś mógł już stamtąd wyjechać. Wszystkie dzieci cię ściskają, kochają, tęsknią za tobą. Błogosław im, drogi mój, błogosław codziennie, ażeby Bóg im błogosławił i strzegł ich od niebezpieczeństw, na które są nieustannie wystawieni. Nad wszelki

[1]) Między papierami pani Zamoyskiej przechował się list, pisany przez żonę jednego z ochotników: «Kochany Joachimie. Boleśnie mi jest bardzo, że nie mogę się z tobą pożegnać. Przekonywam się teraz, że Bóg nie dopuści na człowieka, czegoby nie mógł wytrzymać, kiedy ja w takim stanie i takich nieszczęściach żyję jeszcze. Najukochańszy mężu, pamiętaj o nas, nie narażaj się na niebezpieczeństwa, o ile w twojej mocy być może. Żadne mocarze świata nie są w stanie nagrodzić biednej twej familii nieszczęść, które ją spotkać mogą, jeżeli was mała garstka przeciw zbuntowanej Rosyi potykać się będzie.»

wyraz dobre, zacne, szlachetne dzieci. Sprawiedliwie mówisz o twoich synach, że są doskonali; mało takich ludzi na świecie, mało nawet takich, coby zdolni byli ich ocenić. Nie mówię tego przez macierzyńskie zaślepienie, istotna to prawda, że codzień i w każdej okoliczności więcej ich cenić trzeba. O tobie mówią i myślą z największą czcią i wdzięcznością, czują ile zawdzięczają twojej troskliwości i wychowaniu, jakie im dałeś. Boże, gdzie się podziały te dni szczęścia i pokoju, kiedyśmy razem byli w lubem gronie naszem.

Od nagłej śmierci feldmarszałka Dybicza[1]), nic nie zaszło między wojskami, ale zapewne znowu zajdzie. Ta myśl przeraża i dręczy ustawicznie. Gazetom wcale wierzyć nie można, niema słowa prawdy w tem co donoszą, aż śmiesznie.»

W początkach czerwca poruszono na sejmie naglącą potrzebę nadania silniejszej władzy rządowi, który «złożony z pięciu członków, mających rozmaite zapatrywania,

---

[1]) Dybicz umarł 10 czerwca, rzekomo z cholery, a według powszechnego wówczas mniemania, otruty przez Orłowa z rozkazu cesarza.

We dwa tygodnie po Dybiczu, 24 czerwca, umarł w Witebsku w. x. Konstanty także jakoby z cholery. O śmierci w. xięcia znajduje się następująca wzmianka w notatkach Zamoyskiego: «Opowiadano mi, że dr. Kalisch, niegdyś lekarz xiężnej Łowickiej, który towarzyszył w. xięciu i jej od ustąpienia z Warszawy aż do śmierci obojga, zaręcza, że oboje zostali otruci. W przeddzień swej śmierci, 23 czerwca 1831, w. xiążę był na herbacie u strasznego Orłowa. Powróciwszy do siebie o jedenastej wieczór, uczuł się niezdrów. Przyzwyczajony sam siebie leczyć, nie przywołał lekarza. Kalischa przywołano dopiero o czwartej rano. Pierwsze i jedyne środki, jakich użył, to antydoty przeciwko truciznom, ale już było zapóźno. O czwartej po południu w. xiążę życie zakończył, a Kalisch utrzymuje, że śmierć jego nie przedstawiała żadnych oznak cholery. Orłow nie dopuścił do badania zwłok i kazał je czemprędzej do trumny zamknąć. Kalisch opowiada, że xiężna Łowicka, która umarła w rok po śmierci męża, miała jakieś straszne sceny z cesarzem, któremu mówiła, że wie, iż jej śmierć postanowiona, że tego nie ujdzie.»

nie mógł posiadać jednolitości niezbędnej do sprężystego działania». Zamoyski, nie przyznając sobie dostatecznej powagi, by myśl tę we własnem imieniu popierać, uczynił to bezimiennie w dziennikach.

«Rzadko się zdarza», pisał w obszernym artykule z 5 czerwca, «aby do ratunku kraju jedna tylko była droga. Nie śmiałbym tego twierdzić co do nas. Któż potrafi wszystko przewidzieć? I najlepiej obmyślony system upaść może nieprzewidzianym zbiegiem okoliczności, szczególniej w czasie wojny.

Ostatecznie mógłbym przypuścić, że każdy system rządu dałby się u nas z korzyścią zastosować, prócz jednego systemu jakobinów, bo ten nic nie umie tworzyć, umie tylko obalać. Z wyjątkiem tego jednego, możnaby się zgodzić na wszelką formę rządu, od despotyzmu jakiego genialnego człowieka aż do republiki.

Któż nam teraz wskaże rodzaj rządu najlepiej zastosowany do naszego obecnego położenia? By to pytanie rozstrzygnąć, trzeba się zastanowić nad tem, jakie są nasze obecne potrzeby. Pierwszą, by nie powiedzieć jedyną, siła. Siła przeciw zewnętrznemu wrogowi, siła przeciw wewnętrznym rozterkom. Rozterki te mogłyby w innych czasach doprowadzić do światła, do postępu, do rozwoju w niektórych kierunkach; ale dzisiaj wszelkiemi sposobami tłumić je trzeba, ażeby nie osłabiały naszej siły. Siła potrzebna nam, ażeby obcym rządom wpoić zaufanie, że jesteśmy w stanie utworzyć państwo niepodległe, zdolne do utrzymania się o własnej mocy i potrzebujące od nich tylko uznania. Siła potrzebna nam, by te rządy przekonać, że przewrotny duch jakobiński nie zakorzeni się u nas pod cieniem niepodległości i swobody.

A teraz, gdzie szukać siły? Jaki pierwszy do niej warunek? — Jedność. Jedność nie może istnieć w radzie, złożonej z pięciu ani też z trzech członków... Niektórzy dla widoków osobistych przeciwią się skupieniu władzy w jednem ręku, bo wiedzą, że ani oni, ani ich poplecznicy nie dostaliby się

do rządu, gdyby ten był oddany w ręce jednego. Inni jednak nie mają widoków osobistych na celu, nie pragną władzy ani dla siebie ani dla swoich, dobro publiczne jedynie ich obchodzi, ale, pomni na dyktaturę, lękają się, żeby się to doświadczenie nie powtórzyło. W grudniu głosowaliśmy wszyscy za dyktaturą, w styczniu dyktatura sprowadziła nam rząd pięciu. To prawda; ale jedność w rządzie to jeszcze nie dyktatura. Znamy teraz ujemne strony tej formy, czemużbyśmy ich uniknąć nie potrafili?

Jeżeli w pierwszym zapale przekroczyliśmy miarę, jeżeli ten, któremuśmy bez żadnego ograniczenia powierzyli losy kraju, nie zrozumiał swego zadania, nie umiał się z niego wywiązać, czyż mamy dlatego stracić wiarę w natchnienie jednozgodne, które wówczas nami pokierowało, czy nie powinniśmy raczej do niego powrócić, starając się tylko o zachowanie roztropnej miary? Poco wymyślać nowe formy, tworzyć nowe instytucye, skoro nasze instytucye, nasze zwyczaje, nasze wspomnienia wskazują nam zgodnie królewskość republikańską, dającą się zastosować za pomocą regencyi.

Jeżeli wspomnienie dyktatury sprawia, że boimy się tak wielkiej władzy udzielić jednemu człowiekowi, ograniczmy nieco tę władzę, odbierzmy jej prawa, które w obecnych okolicznościach powinny należeć do izb.

Chcemy więcej jeszcze ograniczyć władzę jedynego naczelnika rządu, ograniczmy czas jej trwania, ale nie zmieniajmy jej istoty, nie osłabiajmy jedności.»

Władysław Zamoyski do matki:

«9 czerwca 1831.

W tej chwili izba poselska obraduje nad zmianą rządu. Być może, iż postanowią poprzestać na jednym namiestniku, a tym zapewne będzie x. Adam. Bodajby to nie było zapóźno[1]). Nieszczęściem naszem jest brak

[1]) Projekt reformy rządu, to jest oddania najwyższej władzy jednemu z tytułem regenta lub namiestnika, upadł, przegłosowany w izbie nieznaczną większością głosów, dnia 11 czerwca 1831.

ludzi. Chęci wszystkich niemal są najlepsze, ale niewiadomość i zaślepienie okropne. Ci, którzy działać umieją, działaniu bez przerwy poświęceni, nie zdołają przytem mówić i pisać, coby nieskończenie pożytecznem być mogło. Zdobyłem się wśród licznych służbowych zatrudnień na rzucenie myśli, które mnie dręczyły swoją jasnością, a dręczyły tem więcej, iż tak małej liczbie dobrze nawet usposobionych są wiadome. Jest to praca jednego dnia napisana, drugiego wydrukowana. To politykowanie jest mi nieznośne; tylko oburzenie pchnęło mnie do pisania, jak Chodźkę, oburzenie, że lepsi nie piszą i zawsze poprzestają na pogardliwem gderaniu. Moją polityką jest wojna, zaczynam cierpieć nad naszym przedłużonym wypoczynkiem. Obawiam się, abyśmy nie odebrali wiadomości z północy, po których żałować przyjdzie tej bezczynności. Chociaż trochę wypoczynku potrzebowaliśmy koniecznie.»

Z powodu toczących się rozpraw w izbie, Zamoyski spisał również swoje uwagi o stanowisku politycznem ówczesnego prezesa rządu: «Kocham i uwielbiam x. Adama dla jego wzniosłego charakteru i szlachetnych zalet; mimo to ganiłem prawie bez przerwy jego działalność od 1 grudnia 1830.

Naród, widząc nazwisko jego na czele rządu od pierwszego dnia powstania, myślał, że on jest jego główną sprężyną, i to właśnie wpłynęło na rozpowszechnienie ruchu. Zarzucić xięciu można, że wówczas sam władzy nie wziął, że znając Chłopickiego, jemu dał ją objąć, że w pierwszych dniach szedł niewyraźną drogą, a następnie ustępował wobec klubu i Lelewela. To też odpowiedzialność prawie za wszystko, co się źle uczyniło, albo czego się nie uczyniło, niektórzy na x. Adama zrzucają. Było to sprawiedliwe aż do chwili, kiedy sejm stał się istotnym rządem, bo wówczas wpływ x. Adama się zmniejszył, ale i wtedy mógł on jeszcze wszystko zmienić, gdyby wyraźnie odmówił swego współudziału, gdyby

podał dymisyę opartą na zasadzie, że nie może brać na siebie odpowiedzialności za czyny członków rządu i sejmu, a zatem usuwa się od władzy i nie pierwej ją przyjmie, aż mu ją naród odda w zupełności. Nikt, sądzę, nawet Lelewel, nie byłby mu głosu swego odmówił, gdyby mu przyszło wybierać między xięciem samym u steru, albo sobą bez xięcia. Ale xiążę nie zdobył się na tę stanowczość, poświęcił swoje imię, podpisywał nieraz akta wręcz przeciwne swym przekonaniom, poprzestając na tem, że zdanie własne zaciągał do protokółu. A tak wszystkie błędy popełnione czy przez rząd, czy przez sejm, czy przez ministrów, czy przez Skrzyneckiego spadły na xięcia Adama... Nie brak świadków, którzyby dowieść mogli, z jakim naciskiem i jaką wytrwałością xiążę starał się wpłynąć na Skrzyneckiego, ale że się to działo między nimi dwoma, że skądinąd x. Adam cenił Skrzyneckiego, że szczerze i gorąco pragnął go przy wojsku zatrzymać i urok jego podnosić przed publicznością, milczał o różnicy zdań między nimi. Delikatność ta źle zrozumianą była z jednej strony przez naród, z drugiej przez Skrzyneckiego. Skrzynecki nie chciał korzystać z przestróg, poufnie mu dawanych, nie rozumiał, że to, co xiążę widział już od pierwszych dni kwietnia, co mu nie przestawał zarzucać przez cały ciąg wojny, spostrzegą z czasem członkowie rządu i sejmu, spostrzeże ostatecznie cały naród.»

VIII

BUDZISKA (19 CZERWCA). — KAŁUSZYN (14 LIPCA). — KOCK (19 LIPCA)

<Od bitwy ostrołęckiej zdawano się budować największe nadzieje na wyprawie Giełguda na Litwę i na powstaniu litewskiem. Chrzanowski stał dotąd w Zamościu i nie widział możności uskutecznienia wyprawy na Wołyń. Mając 6.000 ludzi wobec dwóch dywizyi Kajzarowa i oddziałów, jakie Rüdiger mógł za nim wysłać, przedstawił naczelnemu wodzowi, że wyprawa na Wołyń dałaby się wykonać dopiero w takim razie, gdyby poprzednio pokonano Rüdigera, a następnie utworzono korpus z 12–14.000 ludzi[1]).

W tym celu została postanowiona wyprawa na Rüdigera, z więcej jak dostatecznemi siłami, pod dowództwem jen. Jankowskiego[2]). Jankowski siły swoje rozrzucił i na

---

[1]) O wypadkach wojennych od 15 czerwca do końca lipca Zamoyski mało wspomina w późniejszych pamiętnikach. Natomiast streścił w 1832 roku z «Memoryału» Chrzanowskiego niektóre ustępy, dotyczące między innemi tych sześciu tygodni, przeplatając je własnemi uwagami. Streszczenie to, jako wyrażające myśl Zamoyskiego, zostało w tym rozdziale w paru miejscach użyte, wraz z innemi jego pismami z tego czasu.

[2]) Ciekawe szczegóły o trudnościach, jakie trzeba było zwalczać dla doprowadzenia do tej wyprawy, znajdują się w «Korespondencyi Prądzyńskiego z Chłopickim», udzielonej w kopii Zamoyskiemu lub Działyńskiemu, prawdopodobnie przez samego Chłopickiego. Pisze

porażkę naraził, potem, kiedy mógł na nowo atakować, otrzymał z głównej kwatery rozkaz szybkiego powrotu do Warszawy niejasny zresztą, który można było dwojako tłomaczyć. Rozkaz ten spowodowany został mylnem doniesieniem jen. Ambrożego Skarżyńskiego, że Moskale przeprawiają się przez Narew pod Serockiem i zmierzają ku Warszawie. Wśród popłochu sprawionego tą wiadomością, Skrzynecki dał rozkaz Jankowskiemu cofnięcia się do Warszawy, myśląc, że Jankowski odniósł już korzyści nad Rüdigerem, jakich się spodziewano[1].

---

w niej Prądzyński: «Ratowanie Litwy i Giełguda zostawiał (wódz naczelny) panu Bogu, a naszego ratunku wyglądał od tejże Litwy i tegoż Giełguda. Mnie trudno było robić mu jakie przedstawienia. Przystęp do niego mieli natenczas najwięcej nowy szef sztabu jen. Łubieński, a potem także pan Władysław Zamoyski. Obydwaj ci panowie, pałający najczystszemi chęciami, przejęci gorliwością dla naszej sprawy i rozpaczając niemal z nieczynności naszej, odwiedzali mnie codziennie, czasem po kilka razy na dzień. Zawsze nasza rozmowa ściągała się do naszego położenia i do koniecznej potrzeby uderzenia masą na nieprzyjaciela. Zgadzaliśmy się na to, że martwa nieczynność jest na wojnie śmiercią i że jest życiem czynność, że działania jedynie zaczepne do powodzeń prowadzić mogą, których w owej chwili jak najmocniej potrzebowaliśmy dla zatarcia złego wrażenia wypadku ostrołęckiego tak u swoich, jako i za granicą. Położenie zaś wojsk sobie przeciwnych nastręczało nam sposobność łatwego powodzenia: oczyszczenia dwóch naszych województw, otworzenia wstępu na Wołyń i komunikacyi z Giełgudem. Nie przestając na rozmowach naszych, pozwoliłem sobie nalegać jeszcze na piśmie. Jenerał Łubieński użył wszystkich zdolności swoich dyplomatycznych na wynegocyowanie u wodza naczelnego ruchu zaczepnego naprzód. Nakoniec dnia 11 czerwca jenerał Łubieński z panem Władysławem wpadają do mnie zdyszani, uradowani, wołając: Victoire! zdecydował nakoniec ruch zaczepny, mamy redagować rozkazy...»

[1]) Jen. Puzyrewski pisze, że kapitan Działyński przywiózł Jankowskiemu z kwatery głównej rozkaz cofnięcia się ku Warszawie, jeśli się jeszcze z Rüdigerem nie spotkał, a ruszenia na niego, jeśli go już dosięgnął. Widząc, jak rzeczy stoją, Działyński nalegał na Jankowskiego, żeby bez zwłoki uderzył na Rüdigera, ale Jankowski, «fizycznie chory i moralnie rozstrojony, cofać się postanowił.» (A. Puzyrewski. Wojna polsko-ruska 1831 r. str. 330).

Ruch Moskali okazał się prostą demonstracyą jen. Tolla, chwilowo dowodzącego armią rosyjską po śmierci Dybicza.>

Zamoyski, który w tej wyprawie wziął udział jako szef sztabu jenerała Turny, przesłał o niej do kwatery głównej następujący raport:

«Dnia 18 czerwca wiadomości powzięte o nieprzyjacielu wykazały kilkotysięczny korpus, który, przeszedłszy Wieprz w bród pod Łysobykami, zmierzał ku Serokomli. Jen. Jankowski, mając natenczas cały swój korpus zebrany pod Adamowem, w marszu do Serokomli, postanowił podzielić takowy na dwie części. Jen. Turno z czterema batalionami piechoty i czterema działami z bateryi czwartej pozycyjnej pieszej pod dowództwem jen. Wronieckiego, oraz z siedmioma szwadronami jazdy i czterema działami z bateryi drugiej lekkokonnej pod dowództwem jen. Jaraczewskiego, udał się na noc do wsi Budziska. Jen. Jankowski poprzedzony rekonesansem, złożonym z dwóch szwadronów legii litewsko-wołyńskiej i jednego batalionu piechoty, który zajął Kock, mając przy sobie resztę dywizyi czwartej piechoty, czternaście szwadronów jazdy i dwadzieścia dwa działa, pomaszerował na noc do Serokomli [1]).

---

[1]) Jankowski mniemał, że ma przed sobą tylko małą awangardę Rüdigera a i wobec niej przeciwiłem się takiemu rozdrobnieniu. Gdybyśmy byli wiedzieli w Adamowie, że cały Rüdiger jest na tej stronie Wieprza, nie byłby Jankowski takiego planu działania przyjął. Czułem tak mocno, że takie rozdrobnienie jest nieostrożne, że nalegałem na jego szefa sztabu, M. Brezę, by zamieścił w rozkazie, iż strzał armatni, gdziekolwiek usłyszany, będzie hasłem i dyrekcyą koncentracyi wszystkich oddziałów, coby było zapobiegło złemu, bo kraj ten otwarty, oddziały, choć rozrzucone, mogły maszerować ku sobie bez przeszkody. Breza lenił się napisać te słowa w rozkazie, których brak posłużył Bukowskiemu za wymówkę; gdym go naglił, odpowiedział, iż to się rozumie. (W. Z.)

Prócz rekonesansu wysłanego do Kocka, Jankowski porozstawiał oddziały w Annapolu i Rudzie.

Jenerałowi Ramorino, o którym przez mieszkańców tylko wiedzieliśmy, że obozował pod Sobieszynem, posłano rozkaz przybycia na nasze prawe skrzydło. W takiem położeniu całem usiłowaniem naszem było, nie dając poznać sił naszych, ani zbliżenia się naszego, uderzyć na część sił nieprzyjacielskich na prawym brzegu Wieprza znajdującą się i odciąć jej zupełnie odwrót. Stąd celem jednej i drugiej kolumny, korpus Jankowskiego składających, było stanąć jak najspieszniej nad Wieprzem i zająć silnie dwie przeprawy w Kocku i Łysobykach, nimby nieprzyjaciel mógł takowe osiągnąć albo, gdybyśmy go uprzedzić nie zdążyli, uderzyć na niego w chwili przeprawy i wpędzić do Wieprza. Tak więc postanowionem zostało, że ze stanowisk swoich nocnych obie kolumny razem wyruszą o godzinie drugiej zrana; jedna i druga, postępując w równej wysokości, miały rzucić się prosto na dwa punkty przeprawy; jedna, słysząc kanonadę drugiej, miała natychmiast zwrócić największą część sił swoich ku tej stronie.

Jenerałowi Turno w szczególności, gdy spodziewano się zastać nieprzyjaciela w okolicy między Łysobykami a Krępą, rozkazano uderzyć z największą natarczywością na wszystko, co napotka, z zaleceniem, aby w tem uderzeniu użył wszystkich sił swoich, nie zachowując żadnej rezerwy, tę bowiem formować miał za pierwszym wystrzałem armatnim cały korpus jen. Jankowskiego.

Rozkaz ten w dniu 19 czerwca został wykonany przez jen. Turnę jak najściślej. Wiadomości powzięte w nocy przez emisaryuszów o wielkim obozie nieprzyjacielskim, zajmującym przestrzeń między Charlejowem a Krępą, dalekie od wstrzymania jego działań, dały mu tem pewniejszą nadzieję wzięcia tyłu nieprzyjacielowi i wprowadzenia go między swój korpus, a nasze lewe skrzydło. Tak więc jen. Turno udał się w jednej kolumnie drogą najprostszą ku Łysobykom i, przeszedłszy las około tysiąc pięćset kroków długi, równo z dniem znajdował

się na polach pod wsią Przytocznem. W tej chwili jen. Jankowski przysłał jenerałowi Turno rozkaz, którym, uwiadamiając go, iż cały korpus Rüdigera znajduje się po tej stronie Wieprza, rozkazywał mu prowadzić swoją kolumnę przez Charlejów. Uwiadamiał go oraz, iż przymuszony w nocy wysłać jazdę swoją dla zasłonięcia zagrożonego punktu, Kocka, dał rozkaz tejże jeździe, dwunastu działom i dwom batalionom pod dowództwem jen. Bukowskiego będącym, zwrócić się do Rudy i na pierwszy wystrzał maszerować ku wsi Charlejów. Sam zaś, idąc od Serokomli drogą przez las do tejże wsi z dwoma pułkami piechoty, dwoma szwadronami jazdy i dziesięciu działami, miał formować naszą rezerwę. Wrócić się na Charlejów nie było już podobieństwem, gdy nas od tej wsi dzielił obóz nieprzyjacielski. Jen. Turno miał przeto kontynuować marsz swój ku Łysobykom, kiedy boczne straże kolumny uwiadomiły go o nieprzyjacielu, ukazującym się w lesie na prawo i w tyle naszej kolumny[1]). Jeżeli nieprzyjaciel zostawiony na lewo pod Charlejowem nie mógł wzbudzić w nas żadnej obawy, gdyż zdawał się być poświęconym na zdobycz dla jen. Jankowskiego, nieprzyjaciel na prawo nas znajdujący się przymusił nas do wstrzymania pochodu, dopókiby huk dział nie przyspieszył zbliżenia się dwóch kolumn jen. Jankowskiego i nie zapewnił nas o współdziałaniu jen. Ramorino, o którego poblizkości wiedzieliśmy wprawdzie, ale nie mieliśmy z nim jeszcze zupełnie zapewnionej komunikacyi. Gdy więc nieprzyjaciel wystawił na naszem prawem skrzydle ośm dział, dwa bataliony piechoty i kilka szwadronów jazdy, jen. Turno postanowił na tym punkcie rozpocząć walkę, lecz dla zabezpieczenia tyłu swego przymuszony został podzielić swój korpus na dwie części. Sam pozostał na tem miejscu z trzema batalionami pułku 3 strzelców pieszych opartemi prawem skrzydłem o las

---

[1]) Był to jen. Dawidow wysłany przez Rüdigera na Podlodów do Budzisk, podczas gdy sam Rüdiger kierował się na Charlejów.

i czterema działami pozycyjnemi; jazdę zaś swoją, cztery działa lekkokonne i jeden batalion grenadyerów odesłał w tył za las, co tem spieszniej uskutecznionem być musiało, że już tyraliery nieprzyjacielskie zachodziły nam z prawego skrzydła w tył i zaczynały zajmować drogę naszą, przez las idącą. Batalion grenadyerów oczyścił wkrótce tę drogę i odparł daleko nieprzyjaciela.

Lecz w chwili, kiedy pułki: 4 strzelców konnych i 7 ułanów wychodzić zaczynały z lasu, liczny nieprzyjaciel okazał się na wzgórzach od Charlejowa. Jen. Jaraczewski ustawił natychmiast brygadę swoją w linii i czterema działami lekkiemi przez godzin trzy wytrzymywał na tym punkcie ogień dwunastu dział pozycyjnych, w tak małej odległości stojących, iż po kilka razy dawały ognia kartaczami.

Tymczasem jen. Turno po dwugodzinnej walce, nie słysząc z żadnej strony oczekiwanych posiłków i przyprowadziwszy nieprzyjaciela w lesie i za lasem będącego do odwrotu, widział się przymuszonym rozpocząć ruch wsteczny z piechotą swoją. Sam, przybywszy przed front brygady jazdy, został lekko ranny w czoło od granata, co jednak nie przeszkodziło mu zatrzymać komendę i wszędzie przykładem, zimną krwią i trafnem rozporządzeniem wzbudzać w żołnierzu najzupełniejszą ufność. Piechota Turny pod zasłoną jazdy, jak mur pod ogniem armatnim stojącej, cofnęła się aż za wieś Krzówkę na mocną pozycyę między tą wsią a lasem, który przed naszym frontem tak ścieśniał tę przestrzeń, że, przez obsadzenie piechotą lasu i wsi i przez postawienie naszych ośmiu dział w tyle na wzgórzu, pozycya ta stawała się prawie niedostępną. Jazda, przeszedłszy wieś pod gęstym ogniem armatnim, stanęła w rezerwie. Wkrótce też nieprzyjaciel, który piechoty naszej wcale nie ścigał, owszem siły swe całe gromadzić się zdawał pod Charlejowem, zaprzestał ognia i zaczął zwracać swój front prawem skrzydłem w tył, co nam domyślać się kazało, że czoła kolumn jen. Jankowskiego

zaczynają się pokazywać. Godzina była ósma rano. Jen. Turno, który przez ciąg bitwy ciągle dosyłał jen. Jankowskiemu raporty, doniósł mu, iż stoi na pozycyi, w której jest w stanie wstrzymać nieprzyjaciela tak długo, ile tylko potrzeba będzie, żeby dać czas jen. Jankowskiemu znieść przeszkody, tamujące dotąd jego nacieranie; że jen. Ramorino, który nocuje w Okrzei[1]), wyruszył z obozu na pierwszy wystrzał armatni i uwiadomił go przez adjutanta, iż o godzinie dziewiątej będzie pod Budziskami; że przeto, skoro atak jen. Jankowskiego stanie się niewątpliwym, (on, Turno) rozpocznie na nowo natarczywy swój atak. Wkrótce potem jen. Jankowski, uwiadamiając jen. Turnę o nowych z Warszawy odebranych instrukcyach, rozkazał mu cofnąć się na Czarną, gdzie wszystkie części korpusu zebrać się miały.

---

[1]) «Ramorino rozkazem z sztabu głównego został zawiadomiony, że korpus kilkunastotysięczny pod dowództwem jen. Rybińskiego (w ostatniej chwili miejsce Rybińskiego zajął Jankowski) wysłany zostanie od głównej armii, znajdującej się pod Wodyniami, na pobicie jen. Rüdigera i zupełne oczyszczenie Lubelskiego i że tenże korpus 19 czerwca znajdować się będzie w Kocku. Jen. Ramorino miał z swoim korpusem, zebranym w Gniewoszowie (województwo sandomierskie, niedaleko Kozienic), przejść Wisłę pod Gołębiem, Wieprz pod Bobrownikami, stamtąd maszerować prawym brzegiem tej rzeki, połączyć się w Kocku z jen. Rybińskim i z nim dalej wspólnie działać. Wskutek tego rozkazu wyruszył jen. Ramorino 16 wieczorem z Gniewoszowa do Bobrownik, nazajutrz 17 około południa stanął pod Sobieszynem, tam nocował. Dnia 18 około południa doniesiono jen. Ramorinie, że mocna kolumna nieprzyjacielska zaczyna się przeprawiać w bród pod Łysobykami na prawy brzeg Wieprza. Jen. Ramorino, mając przed sobą tak silnego nieprzyjaciela, nie mogąc wiele ufać swej piechocie, po części uzbrojonej w kosy, a od patrolów, które wróciły, nic się o marszu jen. Rybińskiego nie dowiedziawszy, zdecydował się nocą cofnąć do Okrzei, to jest w kierunku nadejść mających posiłków. Stanąwszy w Okrzei po północy, jen. Ramorino dowiedział się dopiero, że całą wyprawą na Rüdigera nie jen. Rybiński, lecz Jankowski dowodzi i że tenże znajduje się już niedaleko Serokomli na drodze do Kocka.» (Manuskrypt niewiadomej ręki przechowany w papierach Zamoyskiego).

Pułki: 3 strzelców pieszych, 4 strzelców konnych, 7 ułanów, 3 batalion pułku grenadyerów, oraz półbaterye: 4 pozycyjna piesza i 2 lekkokonna, które wszystkie zarówno z najświetniejszą odwagą i zimną krwią wytrzymały przez godzin pięć walkę z potrójnemi siłami, przyjęły rozkaz ustępowania z uczuciem prawdziwej rozpaczy...»

W urzędowym raporcie z 24 czerwca do Rządu Narodowego, umieszczonym w dodatku do Gazety Warszawskiej z 25 czerwca Nr. 108, jen. Skrzynecki pisał: «Straty jen. Turno w tej chlubnej walce wyniosły dwieście siedmdziesiąt rannych i zabitych, między którymi jest sześciu oficerów rannych. Ale oprócz tego oddziały nieprzyjacielskie, wkradłszy się między rozrzucone kolumny jen. Jankowskiego, pojmały dwóch adjutantów, wiozących jego rozkazy [1]) i majora z kwatermistrzostwa, Butryma. Podobnież zabrały kilkanaście jaszczyków z amunicyą i kasę jednego pułku, co wszystko bez eskorty było zostawione.

Po bitwie stoczonej przez jen. Turno, tegoż samego dnia około południa, wszystkie siły znajdujące się pod komendą jen. Jankowskiego były zebrane pod Gutowską Wolą, gdy Rüdiger ściągał swoje pod Przytyczą[2]). Jen. Jankowski rozpoczął ruch odwrotny ku Warszawie, a jen. Rüdiger podobnież się cofnął.

Jenerałowie Jankowski i Bukowski powołani są do wytłomaczenia się ze swojego postępowania. Na ostatnim cięży zarzut, że, będąc ze swoją kolumną najbliżej jen. Turno, na odgłos jego walki nie przyszedł mu w pomoc.»

Pod wpływem oburzenia na dowódców, którzy całe przedsięwzięcie o haniebną klęskę przyprawili, Zamoyski pisał jeszcze z obozu do x. Adama:

«22 czerwca 1831.

Kochany Wuju. Spieszę z przesłaniem wiadomości o Romanie Sanguszce, ażeby Wuj nie myślał, że on zgi-

---

1) Do Bukowskiego, by spieszył z pomocą jen. Turnie.

2) Przytocznem.

nął, jak myśmy sądzili. Wzięty był w niewolę na gościńcu, gdy niósł rozkazy 19 rano przed naszą bitwą[1]).

Kapelan 3 pułku strzelców konnych, który był jednocześnie pojmany, ale któremu się udało umknąć tegoż rana, mówi, że widział Romana zdrowego, chociaż na razie nie wiedział kto to jest, bo do owej chwili nikt jeszcze go nie poznał. Roman, nie mówiąc kapelanowi swego nazwiska, oddał mu ukradkiem swój pulares i polecił powiedzieć, gdyby go przy nim znaleziono, że to była własność oficera przed dwoma dniami zabitego. Kapelan zaraz potem się wymknął; robi nam nadzieje, że Romanowi uda się zataić swoje nazwisko. Z oficerami tego pierwszego dnia przyzwoicie się obchodzono.

Wuju, jakaż to hańba ta nasza wyprawa. To też oburzenie powszechne. Podejrzeniom końca niema. Co do mnie, widzę w tem tylko niedbalstwo, ale takie, które się równa zobojętnieniu, jakieś safandulstwo niepojęte. Niemniej przekonany jestem, że sprawa ta wymaga wymiaru sprawiedliwości, a szczególniej potrzebuje być zbadana.

Dopuścić do sromotnej porażki przy spotkaniu z nieprzyjacielem o wiele od nas słabszym, przez nas otoczonym, a do tego mającym obie swe linie odwrotu zam-

---

[1]) Michał Budzyński słyszał od wziętego pod Janowcem do niewoli kapitana dragonów kargopolskich, Rybickiego, następujące szczegóły o pojmaniu x. Romana: «Rybicki objeżdżał posterunki korpusu Rüdigiera, gdy nad ranem zbliżył się do niego oficer ze sztabu Skrzyneckiego i pytał go: «Czy tu jen. Jankowski?» «Tu» odpowiedział mu kapitan i skinąwszy na żołnierzy, chciał go rozbroić. X. Roman, postrzegłszy, że omylił się na białych kołnierzach kargopolców, których wziął za drugi pułk ułanów, pomknął konia i chciał umknąć niefortunnego spotkania, ale już kilkunastu pogoniło za nim. «Oto są», mówił kapitan, «pistolety xięcia, z których strzelił i potem rzucił je za sobą. Ale pęd konia zbawić go nie mógł, ujrzał bowiem przed sobą stojące pułki rosyjskie.» «Kapitan Tadeusz Przyborowski (który dowodził oddziałem polskim pod Janowcem)», pisze dalej Budzyński, «wziął te pistolety na pamiątkę ze sobą.»

(Wspomnienia z mojego życia T. I, str. 81)

knięte i przypartym do rzeki, to nie uchodzi, tego się nie powinno znieść. Ktoś za to musi zapłacić przynajmniej własną osobą. Nie o to chodzi, żeby wieszać lub strzelać, ale ukarać trzeba. Inaczej każdy bez obawy mógłby się podjąć każdego dowództwa, skoroby to nie pociągało za sobą żadnej odpowiedzialności.

Trzeba temu koniec położyć. Niech na przyszłość wiadomo będzie, jaka odpowiedzialność ciąży na wodzach, którzy przez niedołęstwo, miękkość, albo dla jakiej nikczemnej rachuby obowiązkom swoim nie dopisują. Niechaj ci, co się nie czują na sile do wywiązania się z poruczonego im zadania, raczej uchylą się od niego, niżby je źle wypełnić mieli. Nie możemy dłużej zostawać bez surowej kontroli, bez dozoru nad zachowaniem się naszych dowódców; oburzenie, nieufność wojska, powodzenie sprawy zarówno tego wymagają. Jenerałowie Jankowski i Bukowski muszą być oddani pod sąd. Powiedziałem to samemu Jankowskiemu, który od kilku dni każe mi zastępować swego chorego szefa sztabu. Mogę więc wszędzie tego głośno się domagać. Jeżeli koniecznie potrzeba, sam będę ich oskarżycielem, a Wuj dosyć mnie zna, ażeby wiedzieć, że uczynię to nie przez nienawiść, namiętność, chęć zemsty, ale na zimno, jako rzecz pierwszorzędnej wagi dla pomyślnego obrotu naszej sprawy. Jeżeli pana Bukowskiego nie wypędzą z wojska, to wojsko w oczy pluć mu będzie, a ja najpierwszy. Wojsko, pod jego rozkazami będące, w jakiej takiej karności się utrzymuje jedynie dlatego, że ma przekonanie, iż on będzie wydalony. Leon Sapieha powie o szczegółach. Zresztą szkody zadane przez niedołęstwo czy złą wolę jednego, czy obu tych panów, dają się obliczyć na pieniądze. Czemużby nie kazano tym panom opłacić ich z własnej kieszeni? to jedyna kara dla nich dotkliwa. Co do szkody moralnej, jaką nam zadali, ta obliczyć się nie daje. Znajdowaliśmy się w najlepszych warunkach, plan, podany przez szefa sztabu Brezę, tak wyśmienity, że najlepszy skutek zdawał

się niewątpliwy. Jen. Rüdiger byłby chyba sam tylko wpław umknął.

Zamiast tego prosta demonstracya Tolla, której dokonać musiał z tem większą fanfaronadą, że nie miał zamiaru wydawać na seryo bitwy, demonstracya, która była dlań jedynym sposobem niesienia pomocy zagrożonemu Rüdigerowi, wystarczyła, żeby nas ściągnąć na powrót pod mury Warszawy na tak długo zapewne, dopóki Moskale sił swoich nie skupią. Mojem zdaniem jest w tem także wina Prądzyńskiego i wodza naczelnego. Dali nam rozkazy do odwrotu, a te zostały tu przyjęte aż nadto chętnie, bo za wymówkę posłużyły.

Dość, że jesteśmy pod Warszawą. Czy długo mamy tu zostać? Ależ jesteśmy dzisiaj zupełnie w tem samem położeniu, co przed wymarszem. Z tego wnioskuję, że powinniśmy natychmiast rozpocząć taki sam ruch na nowo. Dwa tygodnie temu Kreutz przed nami defilował, teraz Rüdiger dostanie się do Bugu. To okropne, naprawdę. Upadam ze snu. Żegnam Wuja drogiego, ściskam go z całego serca.»

«Potycza[1]), 22 czerwca w nocy.

Odsyłam Wujowi pulares Romana S., ażeby czemprędzej doszedł rąk jego ojca. Proszę listy moje dać do czytania Andrzejowi, żeby wiedział o mnie i matce donosił.»

⟨Sprawa Jankowskiego i Bukowskiego koniecznie wymagała podług mnie sprawiedliwości i zbadania. Dlatego, że konwencya francuska karała niegdyś śmiercią jenerałów, którym się nie powodziło, że w Wiedniu był Hofkriegsrath, który indagował i karał jenerałów nieszczęśliwych w boju, wrażenie tych niesprawiedliwych wyroków wtrąciło nas w drugą ostateczność zupełnie bezrozumną, to jest, że jenerałowie nie poczuwali się do żadnej

[1]) Potycz.

odpowiedzialności. Najsprawiedliwiej dzieje się w Anglii, gdzie sąd honorowy rozbiera skrupulatnie całe postępowanie dowódcy, uniewinnia go, lub karze na majątku. Błagałem, aby unikniono rozlewu krwi; że zaś na karę więzienia skazywać byłaby rzecz próżna, najlepszą zdawała mi się kara pieniężna, zwłaszcza że Jankowski i Bukowski byli bogaci.

Złożono z dowództwa obu jenerałów[1]) i oddano ich pod sąd, ale sąd ich uniewinnił. Ten brak sprawiedliwości obudził podejrzenia i namiętności rozpalił.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Warszawa, 26 czerwca 1831.

Moja Matko droga. Bardzo dawno nie pisałem, ale wiedziałem, że Matkę dochodzą wiadomości o mnie. Byłem też nieustannie i niezmiernie obarczony zajęciem podczas wyprawy do Kocka. Tę wyprawę do Kocka nazywamy bardzo nieszczęśliwą; wprawdzie w żadnej tak małych strat nie ponieśliśmy, ale też w żadnej nie straciliśmy takiej sposobności. Korpus z 12.000 ludzi gotów był złożyć broń przed nami, prawie bez walki. Gdybym był pisał o tem natychmiast, inaczejbym o tem mówił, niż dzisiaj. Byłem oburzony, byłem w rozpaczy i osłupieniu na widok wodzów, jakim losy nasze są powierzone, na widok braku ludzi, na widok nieudolności naszej. Ale dzisiaj, gdyby odemnie sąd zależał, broniłbym raczej Jankowskiego, tak się to niedorzeczne, wyszczekane miasto zacietrzewia przeciwko człowiekowi, który teraz jest nieszczęśliwszy od nas. Domyślam się niepokoju Matki. Proszę nie dawać wiary ani na chwilę tym nieustannym pogłoskom i posądzaniom o zdradę. Niema w tem słowa prawdy.

Nieudolność jednych, opieszałość innych, kilka nieprzewidzianych wypadków i niesłychane zniechęcenie wo-

---

[1]) Dowództwo nad korpusem Jankowskiego objął jen. Ambroży Skarżyński.

dza, który miał w ręku zwycięstwo najpewniejsze i najzupełniejsze, — oto niestety czem wszystko aż nadto wytłomaczyć można. Ale niedołęgi, którzy przy własnej niedołężności powinni, zdaje się, cudzą lepiej zrozumieć, nie mogą jednak nigdy pojąć powodów prostych i naturalnych, muszą wszędzie szukać tajemnicy i zbrodni. Wściekłość ich dochodzi do tego stopnia, że aż prawdziwie obrzydzenia doznaję do tego motłochu i żal mi, że nie można tych krzykaczy posłać do wojska, jedynej i doskonałej szkoły roztropności, sprawiedliwości, skromności i wielu innych zalet.

Ja sam pragnąłem, żeby zachowanie się niektórych jenerałów zostało osądzone i potępione. Naprzykład jen. Bukowski przez pięć godzin przypatrywał się naszej bitwie i czekał na rozkazy, żeby z siłą dwa razy większą, niż miał nieprzyjaciel, napaść go z tyłu. O tym, wyznaję, iż mam uczucie, że uchybił najprostszemu obowiązkowi żołnierskiemu, ale powtarzam, że ten motłoch, który się ofiar domaga, obrzydzenie mi sprawia; jeżeli go nie potrafimy opanować, to wszyscy jego ofiarą padniemy. Podobien jest on do tych żab w bajce, które spostrzegłszy, że kłoda niemi rządzi, czy zdaje się rządzić, zrazu zbliżały się ostrożnie, a potem lżyły.

Bezwładna ręka nami kieruje. Tak w rządzie cywilnym, jak w wojsku, siły brak. Każdy się boi zarzutu, że jest chciwy władzy i osobistego wywyższenia. Mimo wielkiej ogólnej ofiarności, nikt nie jest zdolny posunąć poświęcenia tak daleko, by się przed tym względem nie cofać. A wszakże, kto się nie rwie do ratowania ojczyzny o własnych siłach i choćby na własną odpowiedzialność, ten nigdy rewolucyą nie owładnie. Szaleństwem jest mniemać, że taka śmiałość budzi nieufność. Właśnie brak stanowczego i silnego kierunku budzi nieufność i sprawia, że najlepsi nawet wystawiają sobie, iż są obowiązani wglądać w czynności rządu, kontrolować je, naglić, a tem samem przeszkadzają. Ten brak sta-

nowczości służy wreszcie wichrzycielom za wymówkę do rowijania własnej działalności.

Mieliśmy — my znaczy Turno i ja — świetną rozprawę; przez pięć godzin, w porozumieniu ze sobą, ale każdy na własną rękę, walczyliśmy z nieprzyjacielem trzy razy silniejszym, nie dając się zachwiać. Mówię my, bo Turno, który dowodził i zrazu rzucił się na tył nieprzyjaciela, widząc, że nikt nam w pomoc nie przychodzi, musiał siły swoje rozdzielić; sam został na przodzie, a mnie polecił, bym z drugą połową zabezpieczył mu odwrót. Wnet oczyściłem drogę na czele batalionu piechoty i broniłem jej przez trzy godziny, pod ogniem czterykroć silniejszym. Nareszcie Turno, straciwszy wszelką nadzieję, by tamte korpusy przyszły nam w pomoc, jak należało, musiał porzucić stanowisko, na którem chciał się ich doczekać i cofnął się ku mnie, na mnie bowiem nacierała główna siła nieprzyjaciela i już przewidywałem, że lada chwila zmiażdży moje siedm szwadronów.

Bitwa ta, chociaż tyle tylko przyniosła korzyści, że ocaliła oddział trzech tysięcy ludzi, zagrożony przez nieprzyjaciela, dla Turny jest bardzo zaszczytna; mnie zaś dała sposobność działania na szerszą skalę, niż dotąd, a że mi się powiodło, tyle mam wewnętrznej pociechy; mała to jednak pociecha wobec srogiej boleści ogólnego niepowodzenia. Dzisiaj mowa już nie o pułku dla mnie, ale o brygadzie. Oto wojna. Czy Matka uwierzy, po starszeństwie między oficerami zdolnymi do takiej komendy, liczą, że jestem piątym czy czwartym! Czy mi dadzą brygadę, nie wiem. W istocie jestem bardzo młody. To pewna, że chętnie zostanę nadal szefem sztabu; stanowisko to dogadza mi.

Zdzisław pracuje teraz i uczy się przy jen. Prądzyńskim, który zdolności ma znakomite, ale charakter trudny.»

Do sprawy Jankowskiego wraca jeszcze Zamoyski w jednym z późniejszych listów do matki:

«Matka pisze o oburzeniu wszystkich na Jankowskiego. I ja znajduję, że trzeba oddawać pod sąd i karać jenerałów, choćby tylko głupich, ażeby się zawczasu sami usuwali. Ale musiała Matka odtąd słyszeć, jak ludzie chciwi krwi, których w rewolucyach zawsze pełno, chwycili się tej sposobności, żeby pierwszą krew wylać, i jak ludzie zacni zmuszeni byli bronić człowieka, który, chociaż okropną zadał nam szkodę, jednak w żadnym razie nie zdradził.»

<W czasie wyprawy Jankowskiego, Chrzanowski wyszedł z Zamościa dla współdziałania z nią. Korzystając ze sposobnej chwili, wysłał dwadzieścia sześć armat z Zamościa do Warszawy i skierował je ku Wiśle, sam zaś wyruszył w stronę Piasków i Krasnegostawu w zamiarze zastąpienia drogi Rüdigerowi, czy to na drodze do Chełma, czy to w Łęcznej na drodze do Włodawy, w razie gdyby Rüdiger został pobity przez Jankowskiego. Z pewnych oznak domyśliwszy się, że Jankowskiemu się nie powiodło, Chrzanowski ruszył ku Lublinowi, ażeby zasłonić konwój owych dwudziestu sześciu armat wysłanych do Warszawy, podczas gdy Rüdiger posuwał się z Lubartowa ku Łęcznej. Z Lublina posłał Chrzanowski kilku oficerów dla przygotowania przeprawy na Wiśle pod Gołębiem.

W kilka godzin później pokazała się rosyjska awangarda, złożona z kawaleryi; zatrzymał ją aż do wieczora swoimi tyralierami, poczem umknął nocą, przechodząc przez okolicę całkiem odkrytą aż do Końskiej Woli (sześć mil), dokąd doszedł o dziewiątej rano. Wieczorem tegoż dnia, ścigany tylko przez kozaków, dotarł do Gołębia, gdzie most stawiano. Most ten kazał już na wszelki przypadek stawiać Ramorino, gdy się dowiedział, że wyprawa Jankowskiego chybiła i że wskutek tego Chrzanowski może być zagrożony. Most skończono o czwartej z rana; Chrzanowski przeszedł Wisłę natychmiast, w części brodem. Gdy o ósmej

zjawiła się przednia straż moskiewska, on już był przeszedł i most znoszono. Stanąwszy w Gniewoszowie, pozostał tam dwa tygodnie.

Po śmierci Dybicza naczelne dowództwo nad armią rosyjską objął Paskiewicz (25 czerwca). Odtąd armia ta, która, wbrew wszelkim pojęciom wojskowym, upierała się w zagrażaniu nam od siedleckiego gościńca, skierowała się na właściwe pole działania, jakie od początku zająć była powinna. Paskiewicz od Pułtuska pomaszerował wzdłuż granicy pruskiej ku dolnej Wiśle ruchem flankowym. Wskutek powstania na Litwie miał sobie przeciętą komunikacyę z cesarstwem, ale Prusy dostarczały mu wszystkiego, choć przed Europą głosiły swoją neutralność.

Dla nas nastręczyła się sposobność pobicia nieprzyjaciela. W wojsku panowało niezadowolenie. Nie tylko korpus Jankowskiego, ale i całe wojsko, wskutek mylnej wiadomości podanej przez Skarżyńskiego, zmuszone było do forsownych marszów, a to niepotrzebne zmęczenie znacznie powiększyło upadek ducha. Mimo to Skrzynecki udał się do Modlina (8 lipca) z trzema dywizyami piechoty i dwiema kawaleryi, ażeby zagrozić flankowemu marszowi Moskali.

Jednocześnie (7 lipca) Chrzanowski otrzymał rozkaz objęcia dowództwa nad wojskiem znajdującem się między Bugiem a Wieprzem, z poleceniem osłaniania Warszawy od tej strony i przeszkodzenia Rüdigerowi w przeprawieniu się na lewy brzeg Wisły.

Wojsko, nad którem Chrzanowski objął dowództwo, składało się z dywizyi Rybińskiego, z dywizyi jazdy Jagmina i z korpusu Ramoriny, który był dawnym korpusem Sierawskiego z tą tylko różnicą, że zamiast 22 pułku liniowego, miał 5 pułk liniowy, odkąd pułk ten wrócił pod Chrzanowskim z Zamościa. Chrzanowski przyprowadził nadto z Gniewoszowa 1 pułk liniowy, swoje ośm szwadronów i ośm armat, a nad górną Wisłą zostawił Szeptyckiego z 22 pułkiem liniowym, jednym batalionem

podolskim, jednym strzelców sandomierskich i czterema armatami czterofuntowemi.»

Zamoyski 2 lipca mianowany został szefem sztabu II korpusu armii, który wszedł w skład wojska, działającego między Wieprzem a Bugiem. Dowództwo nad tym korpusem objął jen. Ramorino. Z nowego stanowiska pisał Zamoyski do matki:

«Garwolin, 8 lipca 1831.

Nie mówę o naszych ruchach. Matka powinna dowiadywać się o nich tylko przez buletyny. Zresztą nie stoimy jeszcze wobec nieprzyjaciela. Obie strony manewrują, mierzą się. Przybyłem tu do zupełnie nowego dla mnie korpusu, ledwo kilka figur trochę mi znajomych. Stąd uważam, że moja powaga daleko większa, niż kiedy byłem otoczony dawnymi kolegami i towarzyszami. Dziwi mnie to i co chwila zaskakuje znienacka, ale uzbrajam się natychmiast w całą powagę, do jakiej jestem zdolny, a że przytem staram się być przyjacielski, zdaje mi się, że te dwa środki jednają mi przychylność i poważanie w korpusie.

Zresztą, ponieważ jenerał niemy i głuchy[1]), wszystko musi przez moje ręce przechodzić. Dużo mamy młodego wojska; byli oni już wprawdzie w ogniu, ale się jeszcze nie otrzaskali, tchną jeszcze ruchawką i butą szlachecką, ale tę szlacheckość miło napotkać, mimo wad jej, kiedy się uprzykrzyła wrzawa warszawskich nowych Polaków.»

List ten, wysłany na ręce x. Czartoryskiego, zawierał następującą kartkę do samego xięcia:

«Nie mam prawie nic do dodania. Ramorino bardzo czynny, podoba mi się ze wszech miar, tylko Francuz oszczędny. Jam się bez zapasów i bez rondla wybrał, licząc na mego jenerała, jak dotąd. To też pierwszy dzień z postem przebyłem, bo i w mieście mało, albo nic nie dostanie. Teraz już em się urządził i rad jestem.

[1]) Ramorino nie umiał po polsku.

Ramorino mi wczoraj mówił: «Z tym korpusem, jakkolwiek na pozór słabym, gdy będę miał moją dwunastofuntową bateryę, nie zawaham się atakować podwójnych sił.» Jest on dbały o żywność dla wojska, więc ufam, że korpusowi jej nie zabraknie. Warto tego wszystkiego się nauczyć. Ale nasza kawalerya licha, po większej części rajtuzów niema, przecież duch jak najlepszy. Jutro wychodzimy w marsz, przez most w Potyczy, w stronę Łukowa. A wódz naczelny, czemu nie jest już za Modlinem? Jeżeli Litwa upadnie, póki my zdrajców pośród siebie szukamy, to ona nas zdrajcami nazwie i sprawiedliwie.»

Wymarsz z Garwolina nie nastąpił nazajutrz, jak się Zamoyski spodziewał. Świadczą o tem listy do x. Adama pisane stamtąd w których obok trosk wojskowych, przebija niepokój o inne sprawy publiczne [1]):

«Garwolin, 9 lipca rano.

Zdziwi się Wuj, że tu jeszcze czekamy na rozkazy, które wiecznie nas za późno dochodzą. Nie posunęliśmy się ku nieprzyjacielowi, to też o nim nie mamy dokładnej wiadomości, wieki na każdą czekać trzeba. Takież same stanowisko wodza naczelnego względem Paskiewicza sprawia, że nawet w kwaterze głównej źle byli powiadomieni. To też cieszę się, że nareszcie wódz naczelny ruszył do Modlina. My się znosimy z Rybińskim, gotowi na każde jego skinienie uderzyć czy na korpus, idący z Siedlec, czy na ten, co zajmuje Lublin. Z Warszawy przyszła pogłoska, że Skrzynecki ma być zastąpiony przez Sułkowskiego!!! Tego się nie obawiam, ale to pokazuje, jak się ruszają nieprzyjaciele jego. Gorzej się o Jankow-

---

[1]) Zamoyski zapytany 26 lipca przez jednego z posłów, czy cierpi jeszcze na zranioną pod Kałuszynem rękę, odrzekł: «Powiem jak niegdyś Saryusz powiedział Łokietkowi: nie rana odniesiona w sprawie ojczyzny mnie boli, lecz boli nierząd w kraju, lekkomyślność, szkalowanie się w sejmie, nie cierpienie osobiste, ale troska o przyszłość ojczyzny.»

skiego niepokoję. Nie dopuść Wuj do wylewu krwi. Każ Wuj dziennikom powtarzać wszystko, co się mówiło we Francyi podczas procesu pana de Polignac, w jaki sposób stronnicy Karola X pobudzali do gwałtu przeciw oskarżonym, by doprowadzić do anarchii. Mówią też czasem o Wuju na wodza naczelnego. Zdaje mi się, że Wuj powinienby coś uczynić, żeby temu zapobiedz. Tak Sułkowskiego jak i Wuja naprzód wysuwają jedynie, by osłabić poważanie dla wodza naczelnego. To samo przez się dowodzi, że niema na razie, kim go zastąpić, a ręczę że ci, co Sułkowskiego i Wuja przy każdej sposobności naprzód wysyłają, najbardziejby im byli przeciwni, i tylko w braku innych, dla postrachu, waszemi nazwiskami się posługują.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Warszawa, 10 lipca 1831.

Pierwszy to raz słyszę o Sułkowskim. Tutaj, o ile wiem, niema o nim mowy. Możesz być przekonany, że będę popierał wodza naczelnego, mimo jego zachodów, żeby się ze mną poróżnić. Wypalił nam ogromną odpowiedź na odezwę (Rządu Narodowego), w której mówi rzeczy wręcz przeciwne temu, co mówił dotychczas. Utrzymuje w niej, że o jednej tylko wojnie i biciu się myśleć trzeba i napada na naszą dyplomacyę, którą oskarża, iż myśli o układach, a która według niego nie powinna nigdy w niczem ustąpić i o nic zresztą się nie kłopotać. Zgoda; ależ to pierwszy raz tak się odzywa. Jest to zdaje się wymierzone przeciwko mnie i to w chwili, kiedyśmy powinni być zjednoczeni, jak dwa palce u ręki. Nie rozumiem tego wystąpienia i tego tonu. Ale to nie przeszkodzi, żebym go nie popierał dla dobra sprawy.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Garwolin, 10 lipca wieczór.

Posyłam Wujowi raporty urzędowe i poufne, które wyprawiam do kwatery głównej, chciej Wuj przeczytać i czemprędzej odesłać. Ponieważ chodzi o rzeczy do zre-

formowania, zdawało mi się, że Wuj powinien o nich wiedzieć, ażeby mógł dopomódz.

Rybiński pod rozkazami Chrzanowskiego: to znowu próba, która z pewnością się źle uda. Ten biedny Rybiński, a raczej biedni my. Jestem zrozpaczony, bo to znowu jeden człowiek mniej i już nie wiem komu wierzyć, ani jak według pozorów sądzić[1]). Ten Cezar, ten Alexander, co najwyżej przydałby się na Fabiusza i to z rodzaju tych Fabiuszów, którzy jednym tylko rysem charakteru tego wodza są obdarzeni, mianowicie, że działać nie chcą. To pewna, że rozkazywać nie umie, a pod Chrzanowskim i słuchać nie potrafi. Proszę też wpłynąć na wodza naczelnego, żeby rozkazy były lepiej dawane. Zobaczy Wuj, że w liście do Prądzyńskiego piszę o tem bez ogródki, ale daleko do tego, żebym powiedział wszystko, co potrzeba. Rzecz to nie do przebaczenia, że Rybińskiego nie uwiadomiono o rozkazach nam wydanych. Postawić go w takiem położeniu, że stracił nadzieję, abyśmy się do niego przyłączyli, w sam dzień, kiedy na rozkaz sztabu głównego docieraliśmy do jego prawego skrzydła, oto przewinienie, które w innym razie mogłoby samo przez się Rybińskiego uniewinnić. Ale na nieszczęście, albo na szczęście nasze, ze względu na to, co nam jeszcze do czynienia pozostaje, to jego nie usprawiedliwia. Ze swemi dwiema dywizyami miał czem pokonać nieprzyjaciela, przed nim na szosie stojącego...

Co słychać o sprawie Jankowskiego? Czy nas Wuj uchowa od sromoty? Wuju kochany, Wuju kochany, w imię Wuja niepokalanej dobrej sławy, w imię przyszłości ojczyzny naszej, tak się Wuj postaw, ażeby mu nie można było, co do tej sprawy, zarzucić grzesznej słabości. Nie umiem powiedzieć, coby Wuj uczynić powinien, bo sam nie mam o tem zdania, nie wiedząc, jak rzeczy stoją. Ale w imię Boga, kochany Wuju,

[1]) Te słowa odnoszą się do niedołężnych działań Rybińskiego, zanim Chrzanowski objął dowództwo.

niechaj w tej sprawie nie wymogą na Wuju kroku jednego więcej, niż to, co Wuj sam uzna za sprawiedliwe i właściwe. Stań Wuj jak skała. Może też nadszedł wreszcie dzień, w którym trzeba się okazać równie nieubłaganym względem zapaleńców, jak względem oziębłych.»

X. Adam do Zamoyskiego:

«Warszawa, 8 lipca 1831.

Mieliśmy dwie rady wojenne, na których byłem obecny. Nalegałem ile mogłem na konieczność działania z naszej strony, bo to jest jedyny czas, kiedy działać można. Ufam, że może wódz naczelny się na to zdecydował, ale ostatecznie nic jeszcze pewnego nie wiem. Wszystko cicho. O Litwie nic nie wiemy i nie jesteśmy bez obawy o Giełguda.»

Tytus Działyński do Zamoyskiego:

(Z kwatery główn. w Modlinie, około 10 lipca 1831.)

«Mój drogi. Los wysila się na dostarczanie nam szczęśliwych zdarzeń, a my jesteśmy niezmordowani w niekorzystaniu z nich; staraj się więc zwrócić uwagę tamtejszych jenerałów na wiadomość pewną a największej wagi. Moskale, zaniepokojeni stanowiskiem przez nas zajętem, dozwalającem nam uderzyć na jakąkolwiek część ich wojska, skoroby pierwsza przeprawiła się przez Wisłę, postanowili porzucić przygotowania do mostu w Płocku i zejść w dół Wisły, żeby nam być mniej pod ręką[1]). Ten ruch zostawia wam i czas i wspaniałą sposobność zgniecenia wszystkiego, co znajdziecie przed sobą i powrotu, zanim my będziemy na gwałt potrzebowali waszej pomocy.

Ambroży Skarżyński zajął Pułtusk, porobił tam piękne zdobycze, idzie na Mławę i Ostrołękę. To wszystko musi niepokoić nieprzyjaciela. Uwolnijcie nas od tego, co macie przed sobą, a ta przysługa może się stać rozstrzygającą. Postaraj się, by ci panowie dobrze zrozumieli, że jedno piękne zwycięstwo jest może warunkiem naszego

---

[1]) Paskiewicz opuścił Płock 12 lipca.

zbawienia i że wśród tylu imion przyćmionych, nietrudnoby było stać się niezrównanym. Żegnam, bądź wymowny. Między innemi wzięto kolaskę Paskiewicza i kasę wojskową w Pułtusku.»

Przypisek jen. Prądzyńskiego:

«Kochanemu panu Władysławowi bardzo dziękuję za jego list i za piękne rzeczy, które dla mnie zawiera. Zdania zupełnie i we wszystkiem podzielam, ale cóż na to robić? Rezygnacya i wytrwałość aż do ostatniego końca, quand même, — niech będzie naszem godłem, boć wiele co więcej nie możemy. Polecam mnie łaskawej pamięci, proszę o więcej, przyjaciel i sługa

I. Prądzyński»

Jenerał Prądzyński do Zamoyskiego:[1])

(Z kwatery głównej w Modlinie, prawdopodobnie 14 lipca 1831.)

«Armia nieprzyjacielska w sile co najwyżej 50.000 ludzi obozowała wczoraj około Kikoła i Lipna; nie ma ona już innej komunikacyi, jak przez Prusy. Wczoraj nie rozpoczynała jeszcze przejścia. Chrzanowski ma przynajmniej dwa tygodnie czasu, nawet więcej w razie stanowczego zwycięstwa; zwycięstwo bowiem nad Rüdigerem znaczyłoby dla nas, którzy znajdujemy się wobec Paskiewicza, tyle, co piętnastotysięczne posiłki. Jeżeli więc rzeczywiście nie może go pobić, powinien się na czas stawić w Warszawie. Ale jeśliby mu się udało zbić go i za Bug wyrzucić, może się śmiało opóźnić o kilka dni. Chrzanowski musi działać, działać. Te piętnaście dni, które ma przed sobą, złota warte. Każde pół dnia bezczynności jest stratą niepowetowaną, jest zbrodnią. Co prawda, wódz naczelny powinienby tam być osobiście. Mniejsza z tem, że kilka dni zostaniemy bez regularnych dystrybucyi, jeżeli zwycięstwo od tego zależy.

Pisuję do Chrzanowskiego codzień, jenerał Łubieński również. Dodaję mu bodźca na wszelkie możliwe sposoby,

[1]) Oryginał po francusku.

schlebiam mu, pobudzam jego ambicyę. Posłałem mu na szefa sztabu jego przyjaciela, Konarskiego. Nawet od naczelnego wodza ma rozkaz, żeby działał i atakował i nawet upoważnienie szukania nieprzyjaciela po drugiej stronie Wieprza. Obawiam się jednak, iż tego nie zrobi. Powinienby w sile spaść na Siedlce[1]), zgnieść wszystko, co napotka, a potem zwrócić się w prawo i zniszczyć nieprzyjaciela, zajmującego województwo lubelskie. Ale na to trzeba iskry świętego zapału. Boję się, czy mu właśnie tego nie brak. Polecam się twej przyjaźni.

Ukłony dla twego wodza. Trwamy tu w najzupełniejszej bezczynności. Jestem w rozpaczy.»

<Po wyjściu z Garwolina Ramorino działał w okolicach Żelechowa, następnie Paryszewa, a Rybiński na szosie. Przed samem przybyciem Chrzanowskiego, Rybiński ustąpił przed Gołowinem od Kałuszyna aż do Brzezin; wskutek tego Ramorino cofnął się z Siennicy do Glinianek; tam połączył się z nim Chrzanowski. Chrzanowski dał natychmiast rozkaz Rybińskiemu ruszenia wieczorem do Stojadłów, zostawienia głównej siły w lesie i atakowania Mińska przednią strażą. Dywizyę Ramoriny poprowadził przez Rudę na szosę.

W przypuszczeniu, że Gołowin ma dwanaście do piętnastu tysięcy wojska[2]), Chrzanowski skupiał swe siły, by módz z nim bitwę stoczyć, do czego był upoważniony; siły swoje ukrywał w lesie, mając posterunki na prawo i lewo.

Nazajutrz (14 lipca) przed piątą zrana, nieprzyjaciel zaatakował jednocześnie naszą przednią straż i posterunki

---

[1]) Siedlce zajął 4 lipca Gołowin z poleceniem oczyszczenia Podlaskiego z nieprzyjaciela, jakoteż utrzymania komunikacyi z Rosenem, strzegącym Brześcia, oraz z Rüdigerem i Kajzarowem, zajmującymi Lubelskie. Dnia 9 lipca oddział Gołowina opanował Kałuszyn i Mińsk.

[2]) W istocie Gołowin miał tylko pięć do sześciu tysięcy wojska.

na prawo i lewo; lewy posterunek straciliśmy dzięki niedbalstwu Henryka Małachowskiego. Dwa razy w dniach poprzednich udało się tak samo Gołowinowi, gdy atakował znienacka i na kilku naraz punktach. Ale w tym razie napotkał z naszej strony siły nowe i znaczniejsze zapewne, niż się spodziewał.

Chrzanowski ruszył do Stojadłów. Widząc, że siły nieprzyjacielskie na szosie są słabe, wyobraził sobie, że to atak fałszywy i że nieprzyjaciel chce go oskrzydlić dawnym gościńcem. Tam więc skierował ośm szwadronów, pięć batalionów i dziesięć armat, ale gdy się osobiście na miejsce udał, znalazł jeszcze mniej wojska, niż na szosie; to go przekonało, że siły Gołowina były mniej liczne, niż sądził. Zostawił tedy na starym gościńcu Jagmina z rozkazem zniesienia oddziału, który się tam ukazał, a sam, powróciwszy do Mińska, wypadł stamtąd na nieprzyjaciela z dziesięciu batalionami i czternastu szwadronami. Nieprzyjaciel, ustępując, dał sobie odciąć dwa bataliony, które można było zabrać, gdyby jazda nasza spełniła swój obowiązek.

Tymczasem Chrzanowski, zostawiwszy Ramorinę na prawo od Mińska ku Siennicy z sześciu batalionami i sześciu szwadronami na spotkanie nieprzyjaciela, któryby z tamtej strony mógł się zjawić, posunął się na szosie, ale skoro się dowiedział, że Jagmin dał umknąć oddziałowi nieprzyjacielskiemu, przed nim będącemu, dał rozkaz Jagminowi udania się do Kałuszyna, a sam zwolnił swój ruch. Gdy Jagmin zaraportował, że już jest pod Kałuszynem, ale że go nie zajął, Chrzanowski, obawiając się, żeby nieprzyjaciel mu się nie wymknął, żywo naciera. Wojsko sprawia się należycie, a że Jagmin jednocześnie atakuje z boku, udaje się nam odnieść pewne korzyści. Poza Kałuszynem kilka rozproszonych batalionów rosyjskich na nowo się formuje; Jagmin szarżuje na nie jazdą i pędzi je aż do Kostrzynia, zdobywając znowu trochę jeńców, choć ze stratą z naszej strony. Przez ten czas

Ramorino nie oddalił się od Mińska; wedle słów Chrzanowskiego, dał sobie zaimponować patrolami, które się posunęły ku Karczewowi i Wiązownej.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Kałuszyn, 14 lipca 1831.

Pospieszam donieść Wujowi o dniu dzisiejszym. Zdobyliśmy armatę z całym zaprzęgiem, trzy jaszczyki, około tysiąca karabinów, sześćset jeńców, z których dwunastu oficerów. Mimo to zły jestem, bylibyśmy mogli wziąć sześć armat i pięć tysięcy jeńców, gdyby nasze stare safanduły temu nie przeszkodziły. Śmiem powiedzieć, że miałem porządny udział w tej rozprawie. Muszę donieść Wujowi o tem, o czem z urzędowych raportów się nie dowie. Jen. Chrzanowski, trzynastego, zgromadził swoje trzy korpusy i pięćdziesiąt dział przed Dębem, przednią strażą sięgając Mińska. Za łaską nieba, o której już wątpić nie mogę, tak się ją często w tej wojnie spotyka, jen. Gołowinowi przychodzi na myśl, aby nas z wiele mniejszą siłą napaść, a co więcej, chce nas oskrzydlić, a jednocześnie na środek nasz uderzyć. Dla obrony lewego skrzydła Jagmin przerzuca się ku Brzuzie, a ja z trzema batalionami, trzema szwadronami i czterema armatami ku Cygance Ten szybki ruch wstrzymuje nieprzyjaciela i odpiera go całkowicie na lewo przez Mistów i Łaziska. Tymczasem w Mińsku wszczyna się kanonada. Uderzywszy na prawo, ażeby ścigać odpartego nieprzyjaciela, znajduję się w tyle za Jagminem, osobiście do niego docieram i otrzymuję, że, póki w Mińsku się biją, on uda się wprost do Kałuszyna na Jakubów i Przytokę. Ostrzegam o tem Chrzanowskiego, który nieprzyjaciela zabawia tak skutecznie, że mimo całej powolności i oględności Jagmina udaje mi się ściągnąć go na wystrzał karabinowy pod Kałuszyn, póki toczyła się bitwa pod Jędrzejowem. Wypadamy z lasu i rzucamy się na tyły nieprzyjaciela. Ale główną rzeczą było zdo-

bycie Kałuszyna na nieznacznej załodze, która go trzymała. Dwa razy zdobywam ten rozkaz na Jagminie, dwa razy się zatrzymuje, tracąc więcej, niż godzinę czasu... Zamiast zdobycia Kałuszyna, już tylko szosę przecinamy. Nieprzyjaciel rzuca się na prawo w stronę Cegłowa, i w tym to boju zdobywamy na nim armatę i jeńców. Gdybyśmy na godzinę przedtem zdobyli Kałuszyn, wpadlibyśmy czołem, a nie bokiem, na odwrót nieprzyjaciela; moglibyśmy odbić jeńców, których nam dziś rano wzięto w niewolę, z powodu karygodnego opieszalstwa Henryka Małachowskiego; bylibyśmy zniszczyli całą dywizyę nieprzyjacielską, a tak nadwerężyliśmy ją tylko. Może ją jutro dobijemy, ale, prawdę powiedziawszy, niewiele na to liczę. Nie podoba mi się komenda Chrzanowskiego: brak dokładności, akuratności, jakieś niedbalstwo, jakaś szorstkość, zbyt częste narzekanie na przewinienia podwładnych, do których można było niedopuścić. Zresztą, wolę ma najlepszą, ale brak mu pewności siebie; widać, że, mimo wielkiej miłości własnej, sam sobie nie ufa.

Wśród zmartwienia jedna rzecz mnie zastanowiła, a to poważanie, jakie mi w wojsku okazują; Wujowi mogę się do tego przyznać. Co chwila wśród bitwy oficerowie wszelkiego stopnia pytają mnie o rozkazy i to w obecności jenerałów; pułki, idące do boju, żegnają mnie, zaręczając, że zasłużą sobie na mój szacunek. Nareszcie, w dodatku do tego wszystkiego, jakieś wieści niesłychane i przesadne rozchodzą się po całym obozie o moich walecznych czynach, a ja zmuszony jestem pytać się, coby to być miało. Czy potrzebuję mówić Wujowi, że to wszystko mało mnie cieszy: widzę aż nadto, że powodem do tego rozpaczliwy brak ludzi, stąd chwytają się każdego pozoru.

Powiedziano tu wczoraj, że Francya wydała wojnę Moskwie, a Prusy, na dowód swej neutralności, zwróciły nam nasze 20 milionów. Czy jest w tem co prawdy? Jeżeli wojsko nasze dojdzie do Ostrołęki i tam się

utrzyma, podczas gdy Moskale będą w Nieszawie, będzie to jaskrawy dowód neutralności Prus. Spodziewam się, że Wuj to wyzyska[1].»

List ten przesłał x. Adam pani Zamoyskiej z następującym dopiskiem:

«Pospieszam z przesłaniem ci listu tego poczciwego Wł., który jest niezrównany. Wszystko u niego połączone: gorliwość, charakter, zdolności; nie wiem, coby mu zarzucić można, sam chyba powiedzieć nam to musi. Niech mu Bóg szczęści. Jego list uraduje i zasmuci cię. Ciesz się, droga moja, uznaniem i szacunkiem, jakie go otaczają, ale nie mów o tem, ani o rozmaitych szczegółach.»

Zdanie swe o położeniu i ludziach dobitniej jeszcze wyrażał Zamoyski w liście do jen. Skrzyneckiego:

«Cegłów, 15 lipca 1831, wieczorem.

Nie potrafię dostatecznie podziękować Jenerałowi za obszerne listy jego, pisane wśród tylu i takich zajęć; są one dwodem przyjaźni, z której dumny jestem. Odpowiadam jednocześnie na dwa listy. Dużobym miał do powiedzenia o sprawach, których dotyczą, ale zaczynam od tego, co pilniejsze.

Dzień wczorajszy nasunął mi kilka uwag, które muszę Jenerałowi przedstawić. Pierwsza i najdotkliwsza, że spostrzegłem straszne braki Chrzanowskiego: chwiejny, bierny, w boju spokój traci, byle niespodzianka szyki mu miesza, rozkazów nie wydaje i w wojsku, w którem taki

---

[1]) Neutralność była wielce pożądana, choćby ze względu na toczące się wówczas pertraktacye z bankierami londyńskimi o pożyczkę. Pisze o niej w dniu 10 lipca Mostowski, były minister spraw wewnętrznych, przebywający podówczas w Berlinie: «Pożyczka cała byłaby rozebrana w Anglii i Francyi, jak tu świadomi zapewniają, gdyby przeprowadzenie funduszów przez kraje neutralne zaręczono, ku czemu bankierowie londyńscy mają podać adres do rządu swego, z prośbą o wstawienie się do mocarstw przyjaznych. Te fundusze bowiem są widocznie innej natury, jak bankowe polskie i powody, które służyły za pozór do wstrzymania tych, tamtym narzucone być nie mogą.»

brak dobrych dowódców niższego stopnia, na ich roztropność i przenikliwość spuszcza się ze wszystkiem, a tem samem wszystko puszcza na los szczęścia.

I tak 13 wieczorem zebraliśmy się wszyscy przed Dębem. Przednia straż, dywizya piechoty, stanęła w Mińsku, jako wabik dla nieprzyjaciela. Cały zaś korpus miał przez las zajść tył nieprzyjacielowi, zajętemu na błoniach Mińska. Nieprzyjaciel, który w tej wojnie zawsze to czyni, czego my pragniemy, istotnie napadł ze świtem, ale myśmy nie byli gotowi! Małachowski traci dwa szwadrony, dając się zaskoczyć!

Nie dość na tem, że nieprzyjaciel napadł na trzykroć liczniejsze siły nasze, ale czynił to na trzech czy czterech punktach naraz tak, że nas na chwilę z tropu zbił. Uwierzyliśmy, że siły jego o wiele znaczniejsze i że nasz odwrót zagrożony. Chrzanowski w owej chwili zupełnie mi się nie podobał; wahający się, całem swem zachowaniem musiał wzbudzić niepokój w wojsku. Byłem wówczas posłany przez niego na lewo od gościńca. Nieprzyjaciel pospiesznie się cofnął przed nami. Po tej stronie znajdował się Jagmin w kierunku Brzuzy, ale nie wiedział, co miał robić w razie powodzenia. Czy uwierzy Jenerał, że cały dzień od dziewiątej rano nie dostał ani jednego rozkazu.

Tymczasem pod Mińskiem rozpoczyna się bitwa. Jagmin dociera do Mistowa i Jakubowa, cały oddział jego woła, aby maszerował na tyły nieprzyjaciela, on boi się, żeby jego samego nie odcięto. W tej chwili ja, który byłem najpierw posłany na jego lewe skrzydło ku Cygance, a obecnie znajdowałem się w tyle, dobijam do czoła jego kolumny. Nieprzyjaciel już wyraźnie rejterował.

Obznajmiony poprzedniego dnia z zamiarem Chrzanowskiego, otrzymuję, nie bez trudności, od Jagmina, żeby się rzucił na Kałuszyn i dwoma raportami raz po raz donoszę o tem Chrzanowskiemu. Ten ruch wyśmienicie się udaje. Oddział, który tworzył prawe skrzydło

nieprzyjaciela odrzucamy ku Zimnej Wodzie i maskujemy batalionem, umieszczonym w Wiszniewie. Reszta, cztery bataliony, dziewięć szwadronów i ośm armat docierają do Kałuszyna, kiedy pierwsze strzały armatnie ze stanowiska pod Jędrzejowem dają się słyszeć.

Byłem na placu moich powodzeń z dnia 1 kwietnia. Te wspomnienia dobrze mi wróżyły i, przy tak korzystnem stanowisku, zdawały się zapowiadać zdobycie wszystkiego, co się znajdowało na szosie kałuszyńskiej. Ale przedewszystkiem trzeba było opanować Kałuszyn, broniony przez dwa bataliony i dwa działa. Ofiaruję się zdobyć miasto, wpadając do niego z dwoma szwadronami. Jagmin nie pozwala. Proponuję, by cztery szwadrony lasem objechały i stanęły w poprzek szosy o wiorstę w tył. Jagmin się nie zgadza, nalegam, ale nadaremnie. Ośm dział naszych staje równolegle do szosy, oddzielone od niej bagnem. Z tego stanowiska patrzeliśmy, bez możności zbliżenia się, jak przesuwały się przed nami po szosie niedobitki, które zdołały ujść naszej piechocie w lesie. Kule naszych dział przecinały tylko poprzecznie szosę, bo, czy Jenerał uwierzysz, «gdybyśmy się dalej posunęli, piechota nieprzyjacielska, znajdująca się jakoby w mieście, mogłaby nam kanonierów pozabijać.»

W rzeczy samej na tem silnem stanowisku nie straciliśmy ani jednego człowieka, ale też i nieprzyjaciel nic nie stracił. Jedynie dzięki flankowemu uderzeniu na szosę zdobyliśmy niejakie korzyści, ale jakże nieznaczne w porównaniu z temi, jakich mogliśmy się spodziewać, gdybyśmy byli dotarli do Kałuszyna na godzinę przed nieprzyjacielem. Co sobie krwi napsułem przez tę godzinę, może sobie Jenerał wyobrazić. Jeżeli przyjdzie do tego, że Jankowskiego rozstrzelają czy powieszą, to będzie straszne, bo jenerałów równie jak on winnych jest zatrważająca liczba. Nareszcie, kiedy tak działa i kolumny nieprzyjacielskie przesunęły się przed nami i opuściły Kałuszyn, nasza kawalerya tryumfalnie miasto zajęła

i dopiero, dotarłszy szybko szosą do Kostrzynia, garstkę Moskali odcięła i wzięła do niewoli.

Czy się myliłem, nie chcąc Jagmina na czele tej dywizyi? Gdyby to Müller był na jego miejscu, mielibyśmy dzisiaj 5.000 niewolnika i 6 armat. Wieleż jeszcze trzeba nam podobnych doświadczeń? Niedołęgów koniecznie usunąć trzeba. Pod takimi dowódcami marne będą każdego zwycięstwa wyniki. Wracając do Chrzanowskiego, brak mu niezbędnych dla wodza zalet: wysypia się po dwanaście godzin na dobę, nie zdobywa sobie w wojsku ani posłuszeństwa ani miłości, zapału nie wzbudza, jest zimny i wiecznie się waha. Pod takim wodzem i żołnierz mniej dzielnie się bije, a on dziwi się, że wojsko miękkie. Toż samo zarzucał wojsku Żymirski, zarzucało tylu innych, którzy sami tej miękkości sprawcami byli. A jednak mam przed oczami przykład uderzający: nie było oddziału bardziej zdemoralizowanego, bardziej upadłego na duchu, jak nasz po Sierawskim i Dziekońskim, a czy Jenerał wie, że z tymże korpusem jen. Ramorino dzisiaj nie wahałby się mierzyć z dwa razy silniejszym wrogiem? Zapał tego młodego wojska i zaufanie do wodza są zupełne, to też widok Ramoriny pociesza mnie z niejednego wojskowego smutku. Co dzień i co godzinę więcej go cenię. Istotnie, sposób, w jaki dowodzi tym ośmiotysięcznym oddziałem, jak nim zarządza, jak go zaopatruje, jak siły swoje wyzyskać umie, jego spokój, przekonanie, że go usłuchają, że za nim pójdą, jego wiara, że zwycięży, a przynajmniej, że większej szkody nie poniesie, chociażby mu walczyć przyszło ze znacznie większemi siłami, to wszystko sprawia, że mógłby, mojem zdaniem, dwa razy większym korpusem dowodzić lepiej, niż którykolwiek z jenerałów, jakichby na to miejsce mianować można. Niestety, wczoraj nie widziałem go w ogniu. Mnie wyprawiono na lewo z częścią naszego korpusu, jego zatrzymano w Mińsku, tam pozostał bezczynnie i bez rozkazu cały dzień. Otrzymaliśmy dzisiaj palące instrukcye jen.

Prądzyńskiego, odnoszące się do zniszczenia korpusu Rüdigera. Dwa tygodnie czasu. Ciarki przechodzą. Po przebytych doświadczeniach tak się boję, żeby ten czas tak drogi, ostatni może, jakiego nam niebo udziela, straconym znowu nie został. Nie Chrzanowski go zużytkować potrafi. Nasze wczorajsze zwycięstwo niewątpliwie było dosyć świetne; oczywista rzecz, że nieprzyjacielowi potrzeba będzie dziesięciu dni, by rozbite siły pozbierać, że straty jego są dotkliwe, ale naprawdę czy nasza w tem zasługa? szczególniej czy Chrzanowskiego, który przez cały dzień ani Jagminowi, ani Ramorinie najmniejszego rozkazu nie posłał, najmniejszej nie dał wiadomości o tem, co sam czyni? Dywizya nieprzyjacielska przyszła jakby z umysłu rozbić się o nasz korpus. Ściśle rzecz biorąc, należałaby się nam nagana, żeśmy położenia nie wyzyskali. Czyż Rüdiger podobny błąd popełni? Czyż on przeciwnie nie jest rozpaczliwie przezorny? mimo wszystkich naszych ruchów, nie jestże on jeszcze za Wieprzem? Właściwie trzebaby go szukać pod Lublinem; obecnie w Siedlcach nikogo już niema. Trzebaby się przenieść nad Wieprz i poza Wieprz. Czyż to zrobić możemy z naszymi 20.000 ludzi? Czyż się możemy tak oddalać od Warszawy? Czyż zresztą tego potrzeba dla pobicia Rüdigera? Mojem zdaniem do tego wystarczałoby teraz 10.000 ludzi. Niech reszta pozostanie pod Warszawą, albo niech dobija Gołowina, lub wzmacnia główną armię. Ale z tych 10.000 ludzi trzeba utworzyć zwarty korpus, dać mu dobrego wodza; pod nim kilku porządnych dowódców i zupełną swobodę. Niechby jedynem zadaniem jego było zniesienie Rüdigera. Niech go pod żadnym warunkiem nie odwołują; stawiam to zastrzeżenie, chociaż przekonany jestem, że wystarczyłyby temu korpusowi dwa tygodnie, aby być w razie potrzeby z powrotem po zupełnem zwycięstwie. Słowem, poślij tam Jenerał Ramorinę, oddaj mu dowództwo korpusu, przydaj mu jego dawny pułk 1 liniowy, porządną brygadę jazdy i jedną bateryę konną.

Z tem, chociażby Rüdiger skupił swoje 18.000 wojska w województwie lubelskiem, najdalej do dziesięciu dni połowę uprowadzimy w niewolę.

Nie sądź Jenerał, by Ramorino mnie był ujął, czy opanował. Jest to człowiek zimny, a chociaż bardzo prosty i przystępny, stosunki moje z nim są wyłącznie służbowe; on zresztą na nic innego czasu sobie nie daje. Pomyślałem o nim poprostu z rozpaczy, patrząc na Rybińskiego, Jagmina, wreszcie Chrzanowskiego. Przedstawiłem mu mój plan bez ogródki; sposób, w jaki mi odpowiedział, najlepsze mi daje nadzieje... Charakter Ramoriny wydaje mi się zupełnie szlachetny, bezinteresowny, wolny od nędznej żądzy wyłącznego dla siebie dowództwa. Widziałem, jak chętnie przyjmował połączenie korpusów, które go niezależności pozbawiało i stawiło pod rozkazami innego jenerała, najprzód Rybińskiego, potem Chrzanowskiego. Jedną tylko myślą jest zajęty: dopomódz nam do zwycięstwa. Wówczas nie czuł się dość silny, by występować samemu. Dzisiaj, kiedy ujemne strony Chrzanowskiego na czele tak licznego wojska jaskrawiej jeszcze występują, ta sama rzetelna, ofiarna gorliwość o powodzenie nasze sprawia, że szczerze radby sam puścić się na czele korpusu, choćby mniejszego, niż ten, którym dowodzi dziś Chrzanowski...

Żegnam drogiego Jenerała. Muszę być mocno przekonany, kiedy się tak rozpisuję. Langermann mógłby być odpowiedni na kwatermistrza, albo na podszefa sztabu, ale nie dość go znam, abym mógł o tem stanowczo sądzić. Cudzoziemiec na tem stanowisku byłby dobry przez jakiś przynajmniej czas; nie mieszałby się do spraw osobistych ani do wewnętrznej polityki. O tyle mniejby miał roztargnień, które nam wszystkim dużo czasu zabierają. Jednak brak mu zimnej krwi i trochę fanfaron.

Nie wiemy, co jutro robić mamy...»

Nietylko Władysław Zamoyski miał w owej chwili tak pochlebne zdanie o Ramorinie. W «Nowej Polsce»,

mianującej się «dziennikiem opozycyi», znajduje się prawie współcześnie podobna ocena przymiotów jego w artykule z dnia 28 lipca, pod tytułem, Hieronim Ramorino:

«... Trudno namiętniej kochać wolność, wolność ludzkości, jak ją kocha, jak dla niej walczy Ramorino... Zaledwie na odgłos wolności przybył w marcu r. b. nad Wisłę, już zaraz w wyprawie wielkoczwartkowej przekazał sławie swe imię.

Odtąd Iganie, Lubartów, Stary Zamość były świadkiem jego odwagi i spowodowały naczelnego wodza do powierzenia mu dowództwa korpusu. Tu Ramorino rozwinął prawdziwe przymioty obywatelskie jenerała. Główną potrzebą każdego wodza jest zjednać sobie przychylność żołnierzy, oraz zaufanie, wiarę ich w pewność zwycięstwa pod jego sprawą. Ramorino szedł w tym zawodzie śladem jenerałów francuskich, którzy, jak wiadomo, podczas kampanii żyją jak najściślej i ciągle między żołnierzami. Codziennie z nimi rozmawiają i każdym krokiem starają się przelać w nich największą ufność w zwycięstwo, podwoić siłę moralną... Nasi jenerałowie rzadko rozmawiają i żyją z żołnierzami. Jeden tylko Dwernicki umiał sobie zjednać największą popularność w swoim korpusie... Ale bo też Dwernicki umiał przelać ten zapał, który jego ożywiał; żył ciągle z żołnierzami, sypiał obok nich na gołej słomie; idąc do szarży, zawsze widzieli go na przodzie z wyniesionym w górę pałaszem. Podobnie zupełnie postępuje Ramorino, w tem wyższy od Dwernickiego, że obok tego wszystkiego umie utrzymać porządek i subordynacyę. Od przybycia Ramorina do korpusu, żołnierze piją dwa razy na dzień wódkę. Ramorino chodzi do każdego kociołka, kosztuje, je z żołnierzami. Codziennie rewiduje ich ubiór, ogląda trzewiki; słowem największe ojcowskie o każdym żołnierzu ma staranie. W nagrodę tego pozyskał zupełną przychylność korpusu, żołnierze pójdą za nim w najtęższy ogień, w pie-

kło samo, gotowi nawet, gdyby tego potrzeba było, ogłosić go wodzem naczelnym.»

Powyższy artykuł stał się przedmiotem dyskusyi sejmowej. Mianowicie poseł Roman Sołtyk, na posiedzeniu izb połączonych, 30 lipca, zwracał nań uwagę obradujących, upatrując w zakończeniu artykułu «zamach na prerogatywę izb sejmowych». «Nowa Polska» pisze z tego powodu dnia 1 sierpnia: «Właśnie kiedy szanowny poseł rozbierał ten artykuł, tłumy ludu witały najradośniejszemi okrzyki: «Niech żyje!» jenerała Ramorinę, wjeżdżającego do Warszawy i prowadziły go niemal w tryumfie przez całe Krakowskie Przedmieście. Zdaje nam się, że zaszczyt ten nie spotkał dotąd żadnego z naszych jenerałów.»

Chrzanowski małe stosunkowo powodzenie wyprawy na Gołowina przypisywał temu, że wojsko źle się biło. Mówił, że ta wyprawa, w której po raz pierwszy widział wojsko nasze walczące tak marnie, pomimo że siła przemagająca była po naszej stronie, zniechęciła go do najwyższego stopnia, że odtąd przewidywał, iż z takiem wojskiem «niema co liczyć na zakończenie walki z honorem».

Nazajutrz po bitwie, wskutek zawiadomienia, że Rüdiger pod Kockiem przez Wieprz się przeprawia, Chrzanowski skierował się na Kuflew, zostawiając tylko osłonę na szosie pod Rychłowskim.

W Kuflewie niespodzianie zjawił się Skrzynecki (16 lipca). Wyprawa jego pod Modlin skończyła się na tem, że jedna tylko dywizya piechoty Mühlberga i jedna jazdy pod dowództwem Turny poszły obserwować flankowy marsz nieprzyjaciela. Znowu rekonesans zamiast ataku. Nie wiem, co wpłynęło na taką zmianę postanowień Skrzyneckiego...

Aby czasu nie tracić zupełnie bezczynnie, Skrzynecki sam idzie (20 lipca) z Domanic ku Siedlcom, a Chrzanowskiego z pięciu batalionami i ośmiu szwadro-

nami wyprawia przez Biardy do Zbuczyna dla przecięcia szosy z tyłu za Gołowinem. Ale Gołowin, w czas ostrzeżony, spieszy prosto z Siedlec do Mordów tak, że tylko nieco bagaży na nim zdobyto. Dla powzięcia dokładnych wiadomości o Rüdigerze, posłano Ramorinę (19 lipca) w stronę Kocka z czterema batalionami i ośmiu szwadronami. Ponieważ wiadomość o przejściu Rüdigera przez Wieprz okazała się fałszywą, Ramorino wrócił.»

Buletyn z 20 lipca:

«Podpułkownik Zamoyski, wysłany przez jenerała Ramorinę, by podszedł w Kocku część awangardy Rüdigera, z jazdy złożoną, stanął w dniu wczorajszym przededniem pod tem miastem i tak korzystnie umiał swej piechoty i jazdy użyć, że, natarłszy na nieprzyjaciela, zabrał mu 54 niewolnika wraz z końmi z pułku dragońskiego, niemniej przyprowadził nieprzyjaciela o stratę 60 przeszło ludzi w zabitych i rannych.

Jenerał Ramorino oddaje zasłużone pochwały podpułkownikowi Zamoyskiemu, który, gdziekolwiek użyty, odznacza się walecznością i roztropnością.»

Wkrótce potem, rozkazem dziennym z 24 lipca 1831 roku, Zamoyski został mianowany pułkownikiem.

Ale, jak z ówczesnych listów widać, sprawą, która wtedy najbardziej wszystkie umysły zajmowała, było posuwanie się głównej armii moskiewskiej w dół Wisły, z widocznym zamiarem przejścia jej i uderzenia na Warszawę od zachodu. Jeszcze w pierwszych dniach lipca, Andrzej Zamoyski, w chwili powtórnego wyjazdu do Wiednia z polecenia Rządu Narodowego, pisał do x. Adama:

«Kraków (bez daty)

Nareszcie tej nocy wyjeżdżam. Oddawcą tego listu jest hr. Konstanty Linowski, który powraca z zagranicy wraz z pułkownikiem Komierowskim. Obaj chcą się za-

ciągnąć pod nasze sztandary. Chciej Wuju kochany im dopomódz.

Wielkie wydarzenia nas czekają. Wojska naprzeciw siebie stoją. Nie dajmy się uwieść demonstracyom Paskiewicza. On nam odsłania drogę na Litwę, ażeby tam pułapkę zastawić. Długo o tem mówiłem z Chłopickim i zgadzaliśmy się na to, że trzeba wpaść na Moskali pod Płockiem i pobić ich zanim sprobują przejść Wisłę. A gdyby się przez nią mimo nas przeprawili, to trzeba będzie natychmiast rzucić się między Warszawę a Płock, dla wydania im bitwy.

Moskale niewątpliwie obawiają się przejścia Wisły; strach mieć za sobą taką rzekę. Paskiewicz jednak z pewnością sprobuje przejścia; będzie chciał zniszczyć resztę kraju, nasze zakłady, rezerwy; zresztą na Warszawę będzie się kusił na wszelki sposób.»

Nie doznawszy przeszkody ze strony Polaków, przeprawił Paskiewicz główne swe siły na lewy brzeg Wisły pod Osiekiem, nad granicą pruską, między 16 a 20 lipca. Następnie skierował się w stronę Łowicza.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Róża, w marszu z Łukowa do Seroczyna, 21 lipca rano.

Wuju drogi, Wuju kochany, dokądże nas wiodą? Jakaż fatalność nami kieruje! Zdaniśmy na los szczęścia, w letargu odrętwiali. Jakież dziwne nasze położenie. Nieprzyjaciel zagraża nam od Płocka, a my w tej chwili, tak niezmiernie dla nas ważnej, dzielimy siły, a sam wódz naczelny przebiega okolicę, w której zaledwie kilka luźnych oddziałów pozostało, by z wielkim wysiłkiem zdobywać bezbronne miasteczka i załogi z kilkuset żołnierzy. Słowem, na wiatr strzela, mając pod ręką nieprzyjaciela groźnego, któremu mógłby zadać cios stanowczy. I gdybyśmy tu przynajmniej coś pożytecznego robili, ale temu dziesięć dni, kiedy trzy korpusy Chrzanowskiego, Ramoriny i Rybińskiego się zeszły, kiedy błagaliśmy, żeby użyć tych sił czy to na Brześć, czy na Lublin, i tam stanowczo

uderzyć, zarzucano, że mamy młode głowy, wołano, że niema na to czasu. Czas potrzebny do obu tych wypraw, bo każdą można było połową sił wykonać, już przeminął, a cóżeśmy zrobili? Mogłoby się zdawać, że nawet od Płocka nic nam nie grozi, tak się tu czujemy bezpieczni, tak na niczem czas marnujemy. Kto wie, czy nam znowu lada chwila nie rozkażą na jakąś wieść fałszywą, czy prawdziwą, biedz forsownym marszem ku Warszawie, ażeby utkwić znowu pod jej murami wśród tysiącznych niepewności.

Muszę przyznać, że w istocie niema już dostatecznego powodu do upierania się przy obecnym naczelnym wodzu. Jego cenne zalety doszczętnie nikną wobec martwoty, jaką zaraża wszystkie nasze ruchy wojenne. Nie chodzi już nawet o wybór między tym lub owym planem, jest to jakaś śmiertelna niemoc. Jego nieustanne zajmowanie się warszawskiemi błahostkami, jego bezczynność, zaniedbanie sprawy, wszystko to woła, jeżeli nie o pomstę, to przynajmniej o szybki ratunek. Ja, co tak niedawno błagałem, żebyś Wuj go popierał, sam też straciłem wszelką cierpliwość. Ośmielmy się nareszcie myśleć o obaleniu niektórych przeszkód. Ja taki niezdolny do intryg i knowań, śmiałbym dzisiaj puścić się na tę trudną i niebezpieczną drogę. Może też i zaczynam spostrzegać, jaki udział mieć mogę w takich wypadkach, stąd poczucie obowiązku, że udział ten śmiało wziąć powinienem.

Zbawić nas może tylko siła. Bierzmy ją, gdziekolwiek się znajdzie. Szukajmy jej w pojęciach, szukajmy w ludziach.

Czemu to nie Wuj ster uchwyciłeś silną dłonią? Myśl, Wuju kochany, zawczasu, co począć, by sprawę naszą ratować. Jeżeli trzeba, bym się poświęcił, zgubił nawet chwilowo w oczach niektórych, wydał się ambitnym i intrygantem, gotów jestem na to, ja i kilku innych, za których ręczę, byleś nam Wuj wskazał jedno na dziesięć prawdopodobieństwo powodzenia.

Nad Wieprzem nieprzyjaciel nieliczny; zdaje nam się, że Rüdiger część wojska odesłał. Czy się myliłem, gdym dowodził, że Ramorino sam byłby go zniósł, a przynajmniej pobił i wypędził? Jak też można było przepuścić sposobność tak bajeczną, jak przeprawa nieprzyjaciela przez rzekę i nie wpaść na jego rozdwojone siły? To więcej niż grzeszne, to zbrodnia gorsza niż Jankowskiego.»

<Chrzanowski przekonał Skrzyneckiego, że wszystkie wyprawy na prawym brzegu Wisły już do niczego nie prowadzą, że, skoro się nie wyruszyło z Modlina na wojsko rosyjskie, idące marszem flankowym, już nic innego nie pozostaje do zrobienia, jak ruszyć niezwłocznie ku Nieszawie; że naładowane statki, mogące posłużyć wojsku za most, powinny Wisłą za wojskiem dążyć i dać mu możność panowania nad obu brzegami rzeki, w małej odległości od nieprzyjaciela. Zalesiony lewy brzeg Wisły mógł nas w danym razie chronić od skutków porażki, albo ułatwić obronę każdej piędzi ziemi.

Z takiem postanowieniem Skrzynecki odjechał. Zgodnie z tem, co zostało ułożone, Chrzanowski cofnął się ku Warszawie, chociaż Prądzyński i Łubieński przysyłali mu co chwila zachętę, żeby na Rüdigera ruszał. Chrzanowski odpowiadał, że Rüdiger będzie się przed nim cofał bez końca, że takie oddalenie się od Warszawy utrudnia jej obronę. Naglony, oświadczył, jak sam mówi, że nie podjąłby się wykonania takiego rozkazu. Naraz przychodzi rozkaz, polecający Chrzanowskiemu eskortowanie przewozu 20.000 korcy zboża, które miały się znajdować w okolicy Białej.>

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Mińsk, 22 lipca, wieczór.

Przybywszy do Mińska, dowiadujemy się, że mamy przez Warszawę całą siłą iść na Paskiewicza. Może sobie

Wuj wystawić moją radość, a wyznać muszę i zdziwienie, wobec tak pięknego postanowienia! Ale radość nie trwała i godziny, rozkaz odwołano. Naraz chcą użyć dwudziestotysiącznego naszego korpusu do ściągania zboża w okolicy Białej!!! Nie mówiąc o marszach i kontrmarszach, które nam odbywać każą, czyż to nie wybieg, do którego Skrzynecki się ucieka, ażeby nas nie mieć pod ręką i nie być na sile do stoczenia bez zwłoki stanowczej bitwy? Dopókądże tak będzie? to już zgroza o pomstę wołająca. Na miłość Boga, wybaw nas Wuj z tak rozpaczliwego położenia. Czemu wódz naczelny naraz porzucił zamiar uderzenia całą siłą na Paskiewicza? Słyszę, że Paskiewicz ruch swój zwalnia, i to ma być powodem? Mojem zdaniem, toby był jeden powód więcej, żeby na niego napaść, skoro coś im przeszkadza i wstrzymuje ich. Jeżeli są w małej liczbie na lewym brzegu, idźmy na Modlin, biorąc za sobą most, któryby w jednej chwili rzucić można, czy w Płocku, czy gdzieindziej. Ale trzebaby człowieka, a takiego nie mamy. Trzebaby pomyśleć o stworzeniu lub wygrzebaniu go.

Jakież wieści z zagranicy?»

W braku człowieka odpowiedniego na stanowisko naczelnego wodza, Zamoyski szukał sposobu zmuszenia Skrzyneckiego do działania. Kilkakrotnie w tej sprawie udawał się do szefa sztabu głównego, jen. Tomasza Łubieńskiego, posyłając swoje listy na ręce x. Adama, a 23 lipca pisał z Mińska do samego xięcia:

«Otóż znowu list do Łubieńskiego. Piszę do niego, żeby pomówił z wodzem naczelnym. Niech wódz naczelny od siebie wystąpi z prośbą o radę nadzorczą. To może jeszcze jedyny sposób, żeby go nam zachować przy dowództwie. A cokolwiek mu można zarzucić, więcej on jednak wart od tych wszystkich, którychby na jego miejscu postawić można.

Giełgud wszedł tedy istotnie do Prus! A czy wierzy Wuj, nam kazano iść do Siedlec po zboże. Zanim

wojsko, które Litwinów rozbiło, tutaj dociągnie, możemy jeszcze i powinniśmy koniecznie napaść na Paskiewicza i z nim skończyć.

W tej chwili dochodzi wiadomość, że izby zrzuciły wodza naczelnego. Ale kogo na jego miejsce postawią? Mój Boże, co to za przyszłość nas czeka, kiedy sami nie wiemy czego mamy pragnąć.»

Zamoyski do siostry, Celiny Działyńskiej:

«Mińsk, 23 lipca 1831.

«... Bardzo chciałbym wiedzieć, co tam w Warszawie knują i czy to jest wymierzone przeciwko wodzowi naczelnemu. Powiedz mężowi, że taki podaję sposób: żeby wodzowi naczelnemu sejm lub rząd dodał rodzaj rady nie na to, aby nim kierować, ale poprostu, żeby odbierać od niego tygodniowe raporty. Te raporty byłyby zachowywane w tajemnicy, równie, jak uwagi, któreby co tydzień przesyłano mu w odpowiedzi, aż do chwili, w której rada uznałaby za konieczne przedstawić rządowi niepodobieństwo pozostawienia nadal dowództwa w jego ręku. Wódz naczelny zachowałby w ten sposób zupełną swobodę działań i ruchów, ale miałby sąd nad sobą, poparcie, a w danym razie bodziec do energiczniejszego działania. Byłby to rodzaj areopagu. Powinienby działać w imię rządu, dlatego należałoby dać przewodnictwo x. Adamowi i mianować dwóch członków, Prądzyńskiego i Chrzanowskiego. Obaj równie zdolni do tej służby, równie niezdolni do dowództwa.»

Do trosk publicznych przyłączyło się w tym czasie dla Zamoyskiego dotkliwe zmartwienie rodzinne. Dnia 20 lipca sejm wykreślił ordynata Zamoyskiego z liczby senatorów, jako jednego z tych, którzy aktów powstania nie podpisali. Wskutek tego kroku izb Konstanty Zamoyski, nastarszy syn ordynata, podał się do dymisyi z wojska. Napaści na ojca w prasie i w izbie poselskiej,

a więcej jeszcze milczenie wobec tego ludzi umiarkowanych i światłych, mianowicie x. Adama, dawniej już podsuwały mu myśl opuszczenia Królestwa, zwłaszcza że cały kierunek nadawany sprawie publicznej wydawał mu się zgubnym. Na krótko przed postanowieniem izb sejmowych, pisał do ojca:

«Gruszczyn, 9 lipca 1831.

Odebrał Ojciec jedyny list odemnie po wybuchu powstania. Kilka razy odtąd próbowałem pisać, ale listy te nadto były ponure, spaliłem je.

Cierpię niewymownie, że się stałem dla Ojca powodem wygnania, namawiając go do wyjazdu. Zdawało mi się, że obecność Ojca w Petersburgu da cesarzowi sposobność powiadomienia się o stanie rzeczy i zasięgnięcia bezpiecznej rady. Ale złudzenia te rozwiało wstąpienie wojsk cesarskich do naszego kraju.

Ojciec tak ciężko chorował, a nielitościwie wypuścić go nie chcą. Jakiż cel może mieć cesarz, Ojca chorego tam zatrzymując, skoro zaufania do niego nie ma? Wszakże od ośmiu miesięcy żadnego znaku życzliwości mu nie dał, ani się Ojca radzi, ani go ceni. Wielka to szkoda dla naszego kraju.

Moja żona jedzie do Krakowa, stamtąd może łatwiej będzie list do Petersburga wysłać, stąd trudno. Listy nasze są czytane, kontrolowane, jak za dawnych czasów. Z jednego jarzma poszliśmy pod drugie. Ojciec zna kraj i wie, jakie tu zazdrości nurtują względem ludzi, mających trochę mienia, nas też zna i wie, że własnych korzyści nie szukamy, ani też od obowiązku nie odstąpimy, choćby się komu niepodobać miało.

Ale, by mówić o rzeczach mniej smutnych, żniwa zapowiadają się takie, jakich nikt z nas nie pamięta. W Podzamczu cudne podobno; mniej ucierpiały, niżem przewidywał z pobytu głównej kwatery rosyjskiej w Rykach. Jenerałowie Witt i Kreutz[1]) zachowali się tam,

---

[1]) Kreutz, urodzony na Litwie, uważał się za polskiego szlachcica, pisał nawet historyę polską (W. Z.) X. Alexandrowa Sapieżyna wy-

jak ludzie przyzwoici, ale nasz kuzyn Wirtemberski jest straszny. Jen. Witt nie mógł wyjść z podziwu, gdy się dowiedział od Malhomme'a, żem wszedł do wojska na prostego żołnierza. Ale czyż można było inaczej okazać niezadowolenie z rewolucyi, której rzuceni zostaliśmy na pastwę przez poprzednie rządy, jak poprzestając na żołdzie i racyi prostego żołnierza? Zresztą obowiązek żołnierza był prosty, wytknięty przez pismo w. xięcia, podczas gdy zadanie reszty narodu, wśród tak nieprzewidzianych i burzliwych wypadków, niełatwo było oznaczyć, a szczególniej niełatwo było innych do własnego zdania nakłonić. To też wszyscy hurmem rzucili się do wojska, gdzie trzeba słuchać bez rezonowania. Prawdę powiedziawszy, zmuszeni byliśmy teraz do wojska wstępować z winy poprzedniego rządu, który nie dopuszczał ludzi zdolnych do wywierania na opinię w kraju jakiegokolwiek wpływu, chociaż ten wpływ mógł być zbawienny i zrównoważyć wpływ umysłów niespokojnych. Ale od nas wymagano tylko milczącego posłuszeństwa na uboczu i to otrzymano; z tego jednak wynikło, że, kiedy wybuchła rewolucya, nikt nas nie znał, nikt w nas zaufania nie pokładał, nie mieliśmy wpływu.

W zawodzie, któremuśmy się obecnie oddali, stoimy, jak następuje: Władysław podpułkownikiem, niedługo będzie czekał na stopień jenerała; Zdzisław i ja kapitanami; August podporucznikiem, za siłę jego pięści mogę ręczyć; Andrzej prostym żołnierzem w straży bezpieczeństwa. Władysław, Zdzisław i ja otrzymaliśmy krzyże, August nań zasłużył; Andrzej wziął udział w bitwie pod Grochowem, ale po amatorsku; Leon dobrze się ma i dobrze się bije. Ale kto jest takim, jak należy, i bardzo rozsądnym, to szwagier Działyński, ten niewątpliwie nas wszystkich przewyższa...

---

raża się o nim z największem uznaniem: «Jen. Kreutz wszędzie odznacza się ludzkością. Oszczędza mieszkańców, opiekuje się naszymi więźniami rannymi. Należy mu się publiczna pochwała w dziennikach.»

Nie lubię wojny, rewolucyi nienawidzę, nie wierzę, żeby krajowi można się przysłużyć, ściągając nań wszystkie klęski: wojnę, głód, zarazę, ale w czasie bitwy doznaję najżywszego zajęcia. Jakaś miłość własna się w to miesza, jakby przy partyi szachów. Niech się Ojciec o nas nie niepokoi, to rzadki wypadek, żeby być zabitym, ranę nawet nie każdy oberwie. Proszę nie sądzić o nas wedle strat moskiewskich; ma to swe dobre strony być w mniejszej liczbie, bez porównania mniej się też ludzi traci. Niech się Ojciec też nie troszczy o nasze utrzymanie; pobieramy żołdy, które nam mniej więcej wystarczają. Nasze żony na teraz mają z czego żyć, matka także, a co do przyszłości, jaka będzie taka będzie.

Ponieważ dobra Ojca są po tamtej stronie Wisły, stosunki z oficyalistami były przerywane i utrudnione, tem bardziej, że wszyscy jesteśmy w obozie, nie w Warszawie. O ile domy i ogrody w Podzamczu mało ucierpiały, o tyle majątki zrujnowane. Chłopi są bardzo pożałowania godni: nędza i głód. Nie spodziewaj się, Ojcze, dochodów, ani przesyłek pieniężnych, niema o tem mowy. Nawet na spłacenie procentów fundusze nie wpływają. Moi wierzyciele, a mam ich po raz pierwszy w życiu, nie naprzykrzają mi się, bo w ogniu musieliby mnie szukać.»

Po odebraniu wiadomości o uchwale sejmowej z 20 lipca, pani Zamoyska wyraziła x. Adamowi swą boleść z tego powodu i obawę, jak synowie ten krok izb przyjmą. X. Adam odpisuje 29 lipca: «Nie trap się, sprawiedliwość będzie oddana twemu mężowi; czystość jego zamiarów jest i będzie uznana. Sejm zastosował tylko do niego, jak do innych, prawo orzekające, że którykolwiek z członków senatu na dany termin nie przystąpi do rewolucyi, utraci krzesło w senacie[1]. Nic

---

[1]) Senatorów: Mostowskiego, x. Maxymiliana Jabłonowskiego i x. Józefa Lubomirskiego pozostawiono w zawieszeniu.

w tem niema hańbiącego. Był to krok niepotrzebny i niepolityczny, ale niczyjej czci nie uwłacza. Nieobecni zawsze będą mieli prawo upomnienia się, jeżeli tego zapragną. Konstanty wziął jakiś głupi artykuł gazeciarski za dekret sejmowy[1]) i od tej chwili nie posiada się, tak, że niepodobna z nim o tem mówić. Trzeba mu zostawić czas, by ochłonął.»

Pani Zamoyska do syna, Konstantego:

«26 lipca 1831.

Z tobą cierpię i czuję. Gorzko zapłakałam, przeczytawszy o twoim ojcu w gazecie. Myśl o waszem cierpieniu, dobre, drogie dzieci, wskroś mi serce przeszyła, ale chwila zastanowienia uspokoiła duszę moją. Ci, co go nie znają, nie oddają mu sprawiedliwości; my, co czujemy, ile godzien szacunku, ile charakter jego jest cnotliwy, nieskażony, my, co wiemy, ile jest przywiązany do kraju, nie możemy być dotknięci postępowaniem sejmu względem niego. Gdyby był zasłużył na nie, wolałabym umrzeć, ale dziś wznieść się powinniśmy nad te chwilowe sądy, które nie są sądem narodu; wznieść się nad żal do ludzi, nad siebie samych i spokojnie czekać sądu historyi. Wszak pewni jesteśmy, że ojciec wasz będzie w niej wspomniany tak, jak sercom naszym tego potrzeba. To niech nam będzie pociechą i uspokojeniem. Lękam się, żebyście w pierwszej chwili żalu nie chcieli porzucić służby, bo znam przywiązanie i cześć waszą dla najlepszego ojca. Dlatego piszę spiesznie do ciebie, i do braci twoich razem się tu odzywam. Nie radzę, nie proszę, ale wymagam jako matka, aby żaden z was tego nie uczynił. Postępowanie sejmu trzeba zupełnie rozróżnić i odłączyć od świętej, najświętszej sprawy ojczyzny. Ojczyznę bronić w chwili niebezpieczeństwa jest tak

---

[1]) W dzienniku «Polak sumienny» dowodzono, że ordynat Zamoyski należał do tych, którzy wykreśleni zostali z senatu, jako zdrajcy ojczyzny.

wielkim obowiązkiem, że nic, nawet to, co teraz cierpimy, od niego uwolnić nie może. Nic usprawiedliwić nie może opuszczenia służby w takiej chwili. Nie wiedzą, co ojczyzna, ci, co tak uczynili. Ojciec wasz, który wpoił w was przywiązanie do kraju, powiedziałby wam to samo. Jakże silne musi być moje przekonanie, skoro żądam, żebyście służyli, choć we łzach żyję, w cierpieniu i trwodze o was. Mój Kostulu ukochany, niech głos matki wróci spokojność sercu twojemu i niech będzie usłuchany. A gdybyś nawet już był wziął dymisyę, co Boże broń, nikogo nie zadziwi, że dobry syn, uniesiony żalem, tak w pierwszej chwili uczynił, a każdy go szanować będzie, że ten żal przemoże i wróci do obowiązku. Niegodnieby to było, gdybyśmy dla własnej krzywdy przestali służyć ojczyźnie, kiedy jej wszystkiemi siłami bronić trzeba. Zostawmy takie uczucia tym, co lepiej czuć nie umieją. My, zaspokojeni własnem przekonaniem, pełńmy obowiązki do końca, pełńmy je, choć nam sprawiedliwości nie oddają; wszak, co czynimy, czynimy dla dobra prawdziwego, a nie dlatego, żeby nas chwalono.»

List ten nie zastał już Konstantego Zamoyskiego w Królestwie. Władysław Zamoyski, boleśnie dotknięty naraz obelgą wyrządzoną ojcu i wyjazdem brata, stara się jednak przedewszystkiem matkę pocieszyć i uspokoić:

«Miłosna, 29 lipca 1831.

Dobra, droga Matko. Dziś o Konstantym chcę pisać. Słów nie mam, by Matkę pocieszać w nieszczęściu tak strasznem, prawie niepowetowanem, przedewszystkiem dla niego samego. Od jakiegoś czasu tak był rozgoryczony na cały kierunek sprawie naszej nadawany, iż nie wiele było potrzeba, żeby go byle jaka okoliczność do wybuchu doprowadziła. Okoliczność się nadarzyła, a choć srodze dotkliwa, jest przynajmniej tego rodzaju, że może niemal usprawiedliwić krok Konstantego i nie przeszkadza mu na przyszłość postąpić, jak roztropność i uczucie mu wskażą. Nie tyle mnie martwi bezcelowa nie-

sprawiedliwość izb względem ojca, nie tyle obelgi przez nikczemników nań miotane i nierozważny, gwałtowny krok Konstantego, ile mnie niepokoi i przeraża uczucie nienawiści, jakie go ogarnąć musiało i że odtąd czuć się będzie w fałszywem położeniu wobec wszelkiej pracy dla kraju. Zawsze będzie miał wrażenie, że zawinił względem narodu, tak jak izby zawiniły względem nas. To wrażenie chciałbym z duszy jego usunąć, bo ono mu stanąć może na przeszkodzie do powrotu i objęcia w kraju stanowiska, jakie mu się z tylu miar należy. Takie to powody oddalają często od ojczyzny najzacniejszych, szczerze do niej przywiązanych ludzi, którzy zbyt są dumni, by się z niektórymi w kompromisy wdawać. Niema ofiary, którejbym chętnie nie poniósł, ażeby taką przyszłość od nas i od Konstantego odwrócić. Starajmy się tedy, żeby od razu wiedział i zrozumiał, że, chociaż kroku jego pochwalić nie można, to jednak wszyscy porządni ludzie go rozumieją i usprawiedliwiają, bo pobudka tak zacna.

A co do niecnych, których liczba zresztą wiele tu mniejsza, niż się zdaje, niechaj Konstanty będzie przekonany, że jego oddalenie się im właśnie na korzyść wychodzi, i że, godząc w ojca, niewątpliwie nas chcieli dotknąć, abyśmy naszą liczbą i naszem poświęceniem nadto nie urośli w oczach narodu. Naszą rzeczą nie wpaść w sidła, jakie nam zastawiają, to pochlebstwem, żeby nas popchnąć do panoszenia się, to znowu złośliwem drażnieniem, żeby nam odjąć równowagę. Konstanty całkowicie wpadł w tę pułapkę. Jakżeby pożądane było, ażeby on raz jeszcze, nie wiem w jaki sposób, głośnym czynem kłam oszczercom zadał, raz więcej dowodząc, że to wśród nas, nie wśród nich szukać trzeba prawdziwego poświęcenia, prawdziwego wyrzeczenia się siebie. Przyjdzie czas, że oszczerstwa w proch zetrzemy, byleśmy postępowali jak należy, nie dawali się wywieść w pole i poświęcali się bez granic.

Jan Zamoyski też był rozgoryczony na współobywateli i chciał, żeby mu na nagrobku wyryto: «Tu spoczywa Jan Zamoyski, który dużo dla ojczyzny, ale więcej od niej ucierpiał». A jednak przemógł to uczucie i przez to większym sie jeszcze okazał.

Ale gdzie tego biednego Konstantego szukać? Wyjechał, nie mówiąc dokąd jedzie i wogóle nic nie mówiąc. Od jakiegoś czasu stronił odemnie, różniliśmy się w zdaniach. Boleśnie mi, ale przyjdzie chwila, kiedy zrozumie, jakie dla niego miałem i mam serce. Jedynie poświęcenie dla kraju może mi przeszkodzić w poświęcaniu się dla braci; służyć im jest dla mnie potrzebą serca i szczęściem.»

Konstanty Zamoyski do Tytusa Działyńskiego:

«29 lipca 1831.

Opuściłem Warszawę. Co do uszanowania względem naczelnego wodza, nie ustępuję nikomu, ale prawdy mu nie oszczędziłem, chociaż gniew mój nie przeciw niemu był zwrócony. To też przed odjazdem ucałowaniem ręki okazałem mu uszanowanie, którego słowami wyrazić już nie umiałem. Nie pożegnałem się z nikim, bo pożegnania w takich warunkach są straszne, a moje serce tak jest zbolałe, że się nie posiadam. To mnie martwi, że z wszystkich wódz naczelny najwięcej ucierpiał na mojem zmartwieniu, chociaż bynajmniej na to nie zasłużył. Jak znajdziesz miejsce i czas potemu, wyraź mu moją skruchę. Jedno jego słowo mnie zabolało: powiedział, że ojciec odłączył się od narodu. Zewnętrznym czynem tak, ale tego ani chciał, ani przewidział. Któż czwartego dnia powstania mógł przewidzieć, że przyjdzie do narodowej wojny o niepodległość? W Mokotowie Władysław i x. Adam powiedzieli mi, że wszystko poświęcą, ale nie cesarza [1]). Gdyby nie to powiedzenie, cóż byłoby ojca zniewoliło jechać do Lubomli? Dla ratowania majątku,

---

[1]) Słowa te, jak z innego listu Konstantego Zamoyskiego widać, odnoszą się do detronizacyi Mikołaja, której x. Adam był przeciwny.

gdyby taki był jego zamiar, wystarczyło pojechać do Oleszyc [1]). Tylekrotne poprzednie nalegania Alexandra i Mikołaja nie potrafiły nakłonić ojca, by się wybrał do Petersburga; jeżeli teraz pojechał, to zmuszony.

Ojciec słyszeć o tem nie chciał; ja mu to doradzałem, bo ani przypuścić mogłem, że dojdziemy do stanu, w jakim obecnie jesteśmy. Byłem przekonany, że x. Adam w żadnym razie z Moskwą zrywać nie zechce. Jednak koniec końcem, nie wskutek moich rad, ale wskutek wyraźnego rozkazu cesarza ojciec do Petersburga pojechał i tam dotąd przebywa. Wiecie przecież, że cesarz nawet do wód zagranicznych wyjechać mu nie dozwolił, oświadczając, że na krok go nie puści, póki sprawy polskie nie będą załatwione. Powtórz to wszystko wodzowi naczelnemu, bo on się myli, kiedy mówi, że ojciec odłączył się od narodu. Dlaczegoż x. Adam w Mokotowie nie rozkazał mi przywieźć ojca do Warszawy? Gdy mu tę myśl poddałem, powiedział: «Niech Bóg zachowa». Słowa na nic nie służą, wiem o tem, niemniej mówię. Ale właśnie dlatego, żem się przekonał o bezsilności moich słów, zdecydowałem się dać dymisyę. Może to więcej sprawi wrażenia. Bóg z tobą, smutna to rzecz kraj swój opuszczać, rzecz straszna, ale być może, że rozpacz jednego pobudzi drugich do energii. W rozpaczy jestem, że wyjeżdżam, może w przeddzień bitwy. Przyślij mi moją dymisyę do Krakowa, żebym był w porządku wobec naczelnego wodza.»

Konstanty Zamoyski do Tytusa Działyńskiego:

«Mysłowice, 1 sierpnia 1831.

Mój drogi. Przyjechałem tutaj bardzo zmartwiony i smutny; jużem do siebie przyszedł, a także wytrzeźwiałem już ze złudzeń, które mi w Warszawie do głowy wpakowano. L(eon) S(apieha?) nigdzie nie dotrze, A(ndrzej) drogi sobie toruje pod opieką przemytników;

---

[1]) Majątku pani Zamoyskiej w zaborze austryackim.

na wielkie niebezpieczeństwa jest narażony. J(erzy) S(obolewski), jeden z najzacniejszych z naszej młodzieży, którego ci bardzo polecam, przybył tu[1]). Trudności przedostania się do Galicyi uważa za nieprzezwyciężone. Dużo z nim rozmawiaj, ma on doskonały sąd o rzeczy, wykształcenie, znajomość świata, dziesięć lat przebył w Petersburgu między ministrami, mężami stanu itd. Mimo to i mimo długiej zażyłości z M(atuszewiczem) pomylił się co do tego człowieka, który, jak się okazuje, jest renegatem dla nas straconym[2]). A tyś to odgadł. W Presburgu powstały zaburzenia; nasi waryaci cieszą się niemi, gdy martwićby się trzeba. Przedstawienia palatyna na

---

[1]) Syn Ignacego, pierwszego ministra sekretarza stanu przy Alexandrze, od 1825-1830 ministra sprawiedliwości.

[2]) Adam Matuszewicz, świetny uczeń liceów paryskich, kolega szkolny Zamoyskich (ob. t. I, str. 16), wstąpił do służby dyplomatycznej moskiewskiej. X. de Talleyrand pisze o nim w swych pamiętnikach: «Hr. Matuszewicz posłany był do Londynu dla wzięcia udziału w rokowaniach, tyczących się Grecyi i został w Londynie, jako tymczasowy przedstawiciel Rosyi, na czas nieobecności x. Lieven. Zastałem go na tem stanowisku, kiedy przyjechałem do Londynu we wrześniu 1830 roku. Na początku konferencyi o Belgię okazywał usposobienie bardzo pojednawcze, mimo że znał wstręt cara do nowego porządku rzeczy we Francyi. Ale po wybuchu powstania w Polsce potrzebował wielkiej przebiegłości, aby módz się nadal utrzymać na urzędzie pełnomocnika i znalazłszy się, jako Polak, w położeniu dwuznacznem, stał się odtąd mniej łatwym w rokowaniach.»

Następujący list Matuszewicza, pisany do wicekanclerzowej rosyjskiej, hrabiny Karolowej Nesselrode, 14 stycznia 1831, daje go dobrze poznać: «List Pani był dla mnie istotną pociechą w zmartwieniu, jakie mi sprawiło szalone, zbrodnicze i nieszczęsne powstanie Polski. Od chwili, kiedy wszedłem w służbę rosyjską, temu lat dwanaście, powiedziałem sobie, że Rosya będzie odtąd moją ojczyzną, że do niej mnie wiążą honor i obowiązek. Dziwnym zbiegiem okoliczności z wszystkich części Europy Polskę najmniej znam, jednak boleję na widok zbrodni, jakiemi się kala. W rozpaczy jestem, że x. Adam Czartoryski figuruje na czele podżegaczy. Daleko od tego, bym miał osobiste z nim stosunki, ale był przyjacielem mego ojca, jego matka wychowała moją siostrę, z tradycyi wierzyłem w jego cnotę. Ufam, że cesarzowi przy-

nic się nie przydały, kazano więc huzarom węgierskim szarżować pospólstwo, co też uczynili; bez miłosierdzia i z największą satysfakcyą zamordowali kilku studentów a innych wypłazowali. Mogłoby i w Wiedniu przyjść do podobnych rozruchów.

Kilkuset warchołów potrafiłoby zaniepokoić miasto, a raczej siedzibę xięcia Metternicha, któremu przypisują wszystkie klęski tego świata: cholerę, drożyznę itp. Ale xiążę, przezorny, nie da się powiesić dla przyjemności warszawskich polityków, którzy upatrują ratunek własnego kraju w mordach, zaburzeniach, klęskach u innych. Co do Austryi, ta cieszy się, że rosyjskie wojska w Polsce marnieją, ale jakie dla nas stąd szkody, to jej obojętne. Prawi o humanitarności, cieszy się z niepowodzenia Moskali i ich strat, stąd ma pozór sympatyzowania z wiedeńską publicznością i ludami Europy, które istotnie z nami współczują. Ale to żadnej nam korzyści nie przyniesie, nie łudźcie się. Jeśli Austryacy nie przeszkadzają dostawom, idącym z Galicyi do Królestwa, to dlatego tylko, że te dostawy wojnę podtrzymują i dążą do zniszczenia wojska moskiewskiego. Pod tym względem jej zachowanie równa się temu, co czynią Prusacy, którzy Moskali jawnie wspierają. W istocie zdaje się, że Austrya i Prusy działają w porozumieniu, by obu stronom pomagać, a tak przedłużać klęski wojny, która Polskę gubi a Moskwę poniża. Nie zdaje się, by Austrya zamierzała wyrzec się Galicyi; daleko od tego. A co do własnego jej bezpieczeń-

---

padnie chwała szybkiego pokonania tej rewolucyi.» (Lettres et papiers du chancelier comte de Nesselrode. T. VII, str. 169)

Zaszczyty, spotykające Polaków, zapierających się własnej ojczyzny, miały swoją odwrotną stronę, niezależnie od carskiego zmiennego humoru. Tak było i dla Matuszewicza; widać to z listu hrabiny Nesselrode do męża z 5 lipca 1831: «Położenie Matuszewicza w Londynie jest bardzo przykre z powodu polskich spraw i ogólnego współczucia dla tego narodu. Wprost go zaczepiano i w gazetach wychodzą artykuły przeciw niemu.» (Lettres et papiers du chancelier comte de Nesselrode. T. VII, str. 188 i 189)

stwa, Austrya oburza się ale już nie drzy na wspomnienie głośnego profesora[1]). Jakobinizm zwyciężony. Dowodem obrót rzeczy w Belgii i wynik wyborów we Francyi. Odilon-Barrot upadł, Lafayette słabo stoi, wybory przychylnie wypadły dla ministeryum. Zważ, że to już po raz drugi Francyi udaje się szczęśliwie znaleźć izbę «introuvable», jak w 1815 roku. Austrya, uspokojona co do postępów jakobinizmu w Belgii i we Francyi, lekceważy go sobie w Polsce i pozwoli mu tam na wszystko, póki tylko Moskalom on szkodzi. A co się tyczy hrabiego Sebastiani, co go kosztuje posłać do Polski kuryera z frazesami? Mowa tronowa niewątpliwie zawierać będzie czułostkowe wyrażenie dla nas. Powiedzą, że Polska jest przedmiotem czynnych układów, że kuryer wyprawiony; może nawet zaspokoją troskliwość izb, obznajmiając je z treścią depesz etc. Ale dlaczego? Dlatego, że ministeryum jest przekonane, iż posłowie teraz obrani nie będą go naglili do wojny. Czemu Sebastiani dotąd względem nas był głuchy? Bo nie był pewien, jak wypadną wybory. Ale odkąd ministeryum czuje się bezpieczne, że izby nie będą chciały wojny, odważa się i na wysłanie kuryera i na głoszenie frazesów. Nie tylko, że go to na nic nie naraża, ale te dowody życzliwości dla Polski o tyle lepiej usposobią izby dla ministrów. Zgodni co do czynów, kłócić się nie będą o uczucia. Ministeryum, izby, naród jednozgodnie wojny nie chcą, to pewna. O tem cała Europa jest przekonana. Cieszą się z tego Moskwa, Austrya i Prusy; jedni Polacy sami siebie łudzą i to w chwili, kiedy każde złudzenie tak drogo przypłacić wypadnie.

Pan de Flahaut[2]) od dawna już z Berlina do mojej matki pisał, że Francya dla nas nic uczynić nie może.

---

[1]) Lelewela?

[2]) Poseł francuski w Berlinie. X. de Talleyrand mówi o nim w jednym ze swych listów: «Pan de Flahaut, wysłany do Berlina jako poseł francuski, zamiast starać się tam o zjednanie przychylności rządu pruskiego, występował tak gwałtownie w obronie sprawy polskiej, że po paru miesiącach musiał opuścić swe stanowisko.»

List ten posłano do Warszawy. Czyż panu de Flahaut nie godzi się wierzyć? Czyż pod tym względem słowa jego nie mają tyleż wagi, co Sebastianiego? Wreszcie, gdyby nawet ministeryum chciało, gdyby cała Francya chciała, ona nic dla nas uczynić nie może. Sebastiani popełnia rzecz niecną, niegodziwą, oszukując nas pięknemi słówkami jedynie na to, żeby sobie urok pozyskać wobec izb. Przyznaj, że rząd angielski już jest uczciwszy, nie wyzyskuje naszej głupoty, schlebiając naszym złudzeniom. Wyrzekam na Sebastianiego, ale w rzeczy samej można do Polski stosować: «decipiatur, si vult decipi». Wierzycie tedy w interwencyę państw. A więc zgoda, ale jakiż będzie skutek tej interwencyi? Oddadzą was w pazury Moskwy. Szczytem tej interwencyi byłoby otrzymanie amnestyi, obejmującej Litwę i Wołyń. Przypomnijcie sobie interwencyę w 1826 roku w sprawie Greków: alboż ona przyniosła jakąkolwiek korzyść przed zwycięstwem Greków pod Nawarynem? bynajmniej. A jednak, jakież to względy mogły wówczas państwa powstrzymywać? Jedynie sympatye Anglii dla jej dawnego sprzymierzeńca, sułtana. Jakaż tedy może być obecnie interwencya przy trudnościach stokroć większych ze względu na Austryę i Prusy, które szmaty ziemi polskiej w ręku trzymają. Przecież wszelkie prawa przyznane nam wobec Moskwy, Austrya i Prusy musiałyby nam przyznać wbrew samym sobie. Na litość, nie pozwalajcie sobie na takie złudzenia, nie łudźcie wojska i narodu oczekiwaniem jakiejkolwiek pomocy z zagranicy. Byłoby to zbrodnią nie do przebaczenia[1]). A jednak Polacy czynią to bezustannie, jedni umyślnie, drudzy, bo sami siebie oszukują. Gdyby nasz rząd, tak jak z innemi bywa, okłamywał naród, ażeby się przy władzy utrzymać, tobym mu to jeszcze przebaczył, ale

---

[1]) Władysław Zamoyski mawiał: «Oglądanie się na cudzą pomoc tem nam głównie szkodzi, że, spuszczając się na innych, nie wytężamy własnych sił, któreby były dostateczne, byleśmy ich właściwie użyli.»

w naszem dzisiejszem położeniu, to prowadzi wprost do zupełnego zniszczenia Polski. Nasz wódz naczelny, taki podziwu godny pod wszelkiemi względami, umie w buletynach swoich wyrażać się z tak szlachetną szczerością, że zdobyła mu ona uznanie całej Europy, nawet Rosyi; pamiętasz, Scharnhorst nam to mówił. Czemuż rząd nasz nie idzie za przykładem, danym mu przez naczelnego wodza? Nie łudźcie się i drugich nie łudźcie. Rozróżniajcie chwile, w których walczyliście o ratunek Polski, od tych, w których musielibyście walczyć tylko dla «honoru». Postawienie sprawy, jako kwestyi honorowej, to dobre dla oficerów, dla szlachty, ale nie dla prostych żołnierzy, nie dla ludności wiejskiej. Niech oficerowie i szlachta odmówią służby pod rządem rosyjskim, niech wyjadą za granicę, niech czekają na pomyślniejszą sposobność do wywalczenia sobie ojczyzny, zgoda na to; ale poświęcając szczątki wojska i wiejskiej ludności na bezowocną walkę, wydziera się Polsce na pół wieku wszelką możność korzystania ze sprzyjających wypadków, jakieby się nadarzyć mogły. Zgódźcież się na takie pojęcia patryotyzmu i honoru, jakiemi rządzą się narody cywilizowane, chrześcijańskie. Zdawałoby się, że Polacy swoje pojęcia patryotyzmu zaczerpnęli albo wśród ludów najbardziej barbarzyńskich, albo w jakichś romansach.

Przepraszam cię, mój drogi, za te wywody, które lepiej odemnie potrafiłbyś rodakom wykładać. Co do mnie, zawsze ci wdzięczny będę, żeś mi pozwalał przed sobą się wygadać i to w chwili, kiedy nie mogłem otrzymać posłuchania u nikogo. Z pewnością nie szukałem dla siebie stanowiska; na razie tylko we wojsku służyć chciałem. Ale kiedy spostrzegłem, że kraj widocznie do zguby prowadzą, wydało mi się, że mam obowiązek przemówienia do prezesa rządu. Jakkolwiekbym chciał utrzymać się na najniższem stanowisku, nie mogę sam przed sobą ukryć, że moje wychowanie, moje mienie i stosunki wkładają na mnie obowiązek wdania

się, o ile to uczynić mogę, w sprawy, kiedy one dochodzą do takiej ostateczności. Może słowa moje nie zasługiwały na uwagę, jakiej się domagałem, ale nie jestem o tem przekonany, a nie chcąc mieć na sumieniu odpowiedzialności, że nic nie starałem się uczynić dla przeszkodzenia złemu, próbowałem mówić. Moje słowa na nic się nie przydały; to też oburzyłem się. Naraziłem się na to, że mnie bezcześcić będą, jak uczyniono to już względem mego ojca. Wolę to, niż żeby mi kiedyś zarzucano: «Stosunki twoje z przewódcami były takie, że mogłeś i powinieneś był na nich wpływać, do rozumu ich przemówić». Starałem się o to, jak mogłem; wszystko na próżno; więc, żeby to jawnem uczynić, kraj opuściłem, narażając się na obelgi. Jak zechcecie być ludźmi roztropnymi, utworzyć porządne stronnictwo, jak nie będziecie przestawać na «honorowej sprawie», wówczas za zaszczyt będę sobie uważał przyłączenie się do was. Tymczasem Moskali pobijecie i dacie mi dowody, że mnie moja roztropność pomyliła. Mniejsza o to, byleby Polska na tem dobrze wyszła.»

Pani Zamoyska do męża:

«sierpień (bez bliższej daty)

...Mój brat, który nie zasiada w izbach, a zatem nie był obecny na posiedzeniu (20 lipca), wniósł rodzaj protestacyi, dowodząc, że rzecz niewłaściwą względem ciebie zrobiono.

Powstrzymuję się od wszelkich uwag. Same tylko zmartwienia i boleści dokoła; pisać nawet z ufnością nie można.

Słyszę, że jakieś oddziały moskiewskie znaczne szkody porobiły w ordynacyi, że Zwierzyniec zrabowały, że biedny Malhomme ledwie z życiem uszedł. Piękna rzecz wojna, żadnej nam plagi nie brak. W istocie ta wojna nie prowadzi się w sposób rycerski, wszystkie o niej szczegóły są straszne, wstrętne, obrzydliwe. Męstwo czasami bardzo mi nie dopisuje, wcale go nie mam, kiedy o synów

truchleję. Cierpię, co tylko wycierpieć można, ile razy słyszę, że zaszła jaka bitwa, albo że się na jakąś zanosi. Czekanie na wiadomości jest wtedy istnem konaniem, którego wyrazić niepodobna. Nie pojmuję, jak mogę przeżyć takie cierpienia. Jedynie modlitwa mnie podtrzymuje. To też modlę się z ufnością bez granic. Jakże się inaczej świat i ludzi sądzi i widzi po takich doświadczeniach, przy takich cierpieniach.»

W jednym z późniejszych listów pani Zamoyska podaje mężowi szczegóły o napadzie na Zwierzyniec w nocy z 25 na 26 lipca:

«Moskale otoczyli Zwierzyniec, wyciągnęli w nocy z łóżek panów Malhomme, Michelisa, księdza kapelana, piętnastu innych oficyalistów i drugie tyle sług i wszystkich w niewolę zabrali. Jednak tej samej nocy wypuścili Malhomme'a, Michelisa i księdza; Głowackiego zaś, Kruczkiewicza, Jaworskiego, Hałaburdę, Podczaszkiewicza, Glogera i innych popędzono pieszo do Józefowa, a stamtąd o głodzie i przy największych obelgach żołnierstwa do Krasnobrodu, Krynic, Łabuń, a nareszcie do Borowiny Sitanieckiej, gdzie główna kwatera jen. Kajzarowa. Ucierpieli biedacy w ciągu dni ośmiu rozmaite niedole. Po śledztwie wypuszczono wszystkich, ale prawie nagich. Kozacy zrabowali kasę; zabrali 23.318 złp. srebrem, 15 dukatów złotem. Oficyaliści skarżą się nieboracy, że nawet nie wydali kwitów, które im do rachunków potrzebne. Wszystko, co kto z mieszkańców posiadał, a co się zrabować dało, Moskale zrabowali, resztę porąbano w kawałki. Biedni ci ludzie wszystko stracili. Bojarskiego, pisarza fabrycznego, zraniono w głowę i ramię i w więzieniu go trzymano niewiadomo za co.»

«Kraków, 14 sierpnia 1831.

Nic tu ważnego nie zaszło, ale każdy dzień jest męką. I pragnę i lękam się każdego listu, każdej osoby, która do pokoju wchodzi, a te przedziwne i szlachetne dzieci do reszty serce mi rozdzierają przez wszystkie

dowody przywiązania, jakie mnie od nich dochodzą z pośród tylu niebezpieczeństw i tylu zmartwień. Z chlubą o nich myślę, a jednak prawiebym chciała, żeby mniej mieli cnoty i wartości, abym, mniej ich kochając, mniej przez nich cierpiała. Zmiarkuj, czego chwilami doznaję, jeśli takie uczucie mogło choć na krótko mieć przystęp do mojej duszy. Nadmiar boleści je zrodził, ale się go wypieram i dzięki składam Bogu za ich cnotę.»

Wśród tylu zmartwień i stale trawiącym ją niepokoju o mocno zagrożone zdrowie męża, wielką pociechą stał się dla pani Zamoyskiej przyjazd z Petersburga doktora Denoix, Francuza, domowego lekarza i wiernego przyjaciela Zamoyskich. Dr Denoix, odwiózłszy ordynata do Petersburga i zabawiwszy jakiś czas przy nim, spieszył na Kraków do Warszawy, by usługi swe ofiarować polskiemu wojsku. Pani Zamoyska pisze o nim do męża, 24 sierpnia: «Dobry to człowiek; gdy mówi o tobie, łzy mu w oczach stoją. Ciągle go wyciągam na rozmowy o was, nie mogę się nasłuchać opowiadań jego. Niezmiernie przywiązany do ciebie, Jasia wielbi.» — Radość z przybycia dr Denoix wpłynęła zapewne na nieco weselszy ton dalszej części listu: «Wystaw sobie, że taki rycerski zapał ogarnął naszego Jakóbka, że raptem zaciągnął się do jakichś ochotników i znienacka mi się w tem umundurowaniu przedstawił. Taki mi się zabawny wydał, że chociaż Bóg wie, iż nie jestem teraz skłonną do śmiechu, nie mogłam się nie roześmiać. Róży[1]) Franek to samo zrobił, kuchcik także. I tak zostałyśmy tu z jednym Klauzowskim.»

Dr Denoix, prócz ustnych wiadomości, przywiózł i długi list do Władysława od brata, Jana:

«1 lipca 1831.

O dyplomacyi nic nie umiem powiedzieć. Heytesbury i Mortemart [2]) nie wiem co tu robią, ale podobno

---

[1]) Pani Andrzejowa Zamoyska.

[2]) Posłowie angielski i francuski.

nic zgoła. Samo ogarnienie przedmiotu nader wielu i znacznym ulega dla nich trudnościom. Słusznie Montesquieu powiedział, że gdy Azyatyk w głupocie swojej z ważniejszemi Francyi stosunkami w jednym roku obznajmić się zdoła, Francuz ledwo w dziesięciu latach będzie mógł poznać państwo jakie azyatyckie. Zważyć w dodatku winniście, że Francuzi w tej Azyi, w obecnych okolicznościach, ani z rzeczami, ani z ludźmi żadnej prawie styczności mieć nie mogą; żyją tu jakby zupełnie ze społeczeństwa wytrąceni, a jeszcze miecz nad głową wisi [1]).

Tutaj trwa dotąd niewzruszone postanowienie uśmierzenia powstania siłą. Dały się też słyszeć najstraszniejsze groźby, lecz zdaje się, że bohaterska wasza waleczność i mocny duch całego narodu nieco pohamowały chęć dokonania zupełnej naszej zagłady, do czego dwaj godni, zawsze w takich zbrodniczych sprawach wierni sprzymierzeńcy, mało wątpliwą gotowość swem postępowaniem okazali.

Opinia publiczna, małą wagę w Rosyi mająca, o której istnieniu nawet trudno się przeświadczyć, nie zdaje się dziś rządowi przeciwna. Brak zupełny dzielności umysłów i charakterów tyle tu wydaje ciemnoty, podłości i nikczemnego służalstwa w wyższych klasach, a u najbiedniejszych posłuszeńswa i nieograniczonej cierpliwości, ile ich tylko życzyć sobie może przewrotny i w ślepej dzikości najzapamiętalszy władca.

Powodów i początkowych zarodów do rewolucyi znajdziesz tu tysiące, lecz istotnych skłonności i gotowych przysposobień do niej mało; może tedy szkaradny potwór zdoła jeszcze ukończyć z pomyślnym skutkiem dzisiejszą niszczącą go walkę.

Wojsko moskiewskie nie pokrzepiwszy się po ogromnych stratach w Turcyi, — niemniej jak 200.000 ludzi, —

---

[1]) Wiadomo, że Mikołaj I nienawidził Ludwika Filipa i marzył o obaleniu nowego porządku rzeczy we Francyi.

całe wysłane zostało do Polski. Złemu obmyśleniu środków opatrzenia go w żywność można w części przypisać niepowodzenie wojny. Po wielu poborach rekrutów i uszczupleniu wojska w niepotrzebnych wojnach nie ośmielił się Najjaśniejszy nowego poboru nakazać. Ucieka się do nadzwyczajnych, ostatecznych środków, użytych na Pugaczewa i Napoleona. Nakazał niby dobrowolne wydanie rekrutów (jak levée en masse), bierze popowiczów do wojska; ale to ostatnie obruszyło duchowieństwo, a lud rozważa, że dziś granice samej Rosyi nie są, jak przedtem, zagrożone.

Finanse są w bardzo złym stanie. Niedobory podatków corocznie się zwiększają. Cholera dużo wpływów umniejszyła. Na ten rok zapowiadają deficyt 250 milionów. Źródła zamożności w kraju powszechnie i bardzo się zmniejszyły. Teraz tylko handel wychodowy z Anglią skarb zasila. Mnóstwo prywatnych majątków upada.

Największy nieład i zawikłanie wzrastają we wszystkich gałęziach administracyi. Jeden Kankryn [1]) umiejętny człowiek w rządzie.

Uciążliwe kordony kwarantanny sprawiły przed kilku miesiącami mało znaczące zaburzenia chłopów. Rozruchy, które powstały w dobrach apanażowych, z powodu nieprzyjemnej chłopom i w celach fiskalnych dokonywanej regulacyi, knutem uśmierzają skutecznie. W kolonii wojskowej najmniejszej, w Mohylewskiej gubernii, małe zaburzenia wkrótce uśmierzono.

Wszyscy oficerowie burzliwego temperamentu zginęli lub uspokoili się na Kaukazie, w Persyi i Turcyi, wojsko więc ze złego ziarna oczyszczone. W Moskwie i Petersburgu najzupełniejsza spokojność. Rada Najjaśniejszego i dumne bojary utrzymują, że choćby całą Polskę w step zamienić wypadło, żadne z tego złe skutki dla Rosyi wyniknąćby nie mogły.

---

[1]) Minister skarbu od 1823—1844.

W patryotów wmówił Karamzyn, że narody polski i rosyjski żadną miarą istnieć przy sobie nie mogą; że jeden z nich koniecznie drugiego ujarzmić lub wytępić powinien. Oświeceni Rosyanie, statyści i filantropowie utyskują nad okropnością teraźniejszej walki, przyznają, że sprawa Polaków jest święta, o mało, że łez nad ich niedolą nie ronią, lecz zważywszy, że wymierzenie sprawiedliwości Polakom pociągnęłoby za sobą poświęcenie zasady nienaruszalności absolutyzmu, przekonywują się, że w ostatecznym razie cały naród polski wytępić wypada. — Gmin cały, więcej niż gdziekolwiek głupi, tylko narzeka na Niemców, im przypisywał niepowodzenie wojny. Wszyscy prawdziwie ruscy, od bojarów do mużyków, trzykrotnie przeżegnali się na wiadomość o śmierci Dybicza i sławili swego Boha ruskiego, że ich pozbawił tego Niemca. I dobrze się stało dla Najjaśniejszego, że odłączył swoją sprawę od dybiczowskiej, ponieważ już głośne krzyki i rozpacze były z powodu przeciągania się kampanii, a biada carowi, który osłabi wiarę, jaką ma naród w Bohu i szczęściu Rosyi.

Współczucia nigdzie nie obudziła sprawa Polski. Przecież wielu niższych urzędników, półoświeconych i niecierpliwie własne jarzmo znoszących, cieszyło się ze zwycięstw Polaków, jako mogących pomyślne zmiany w Rosyi przyspieszyć.

Nowa, najmłodsza generacya i młodzież szkolna znacznie się od starszych odróżnia; czuła na niedolę własnej ojczyzny, bez nienawiści jest ku Polakom. Lecz i to może wnet sparszywieje.

Wogóle, więcej tu jest odrętwienia myśli, obojętności i niewiadomości, niżeli fanatyzmu przeciwko Polakom.

W wielu prowincyach ledwo wiedzą, że toczy się wojna z Polakami. W wielkorosyjskich powszechnie rządowi są ulegli. Kozacy wszyscy, zniechęceni do najwyższego stopnia, łatwoby się zaburzyć mogli. Małorosyanie wielce w uczuciach swoich, skłonnościach, usposobieniach

moralnych różniący się od Moskali, do oddzielnej swojej własnej narodowości przywiązani, mocno Polakom sprzyjają. Słychać, że ciągle trwają powstania w okolicach Kijowa; o szczegółach nie można się dowiedzieć.»

IX

SOCHACZEW. — BOLIMÓW. — ZABURZENIA WARSZAWSKIE

Przeprawienie się w połowie lipca wojska rosyjskiego przez Wisłę, bez żadnego oporu z naszej strony, spowodowało przeciwko jen. Skrzyneckiemu wybuch nieufności. Z upadkiem powstań litewskich i ruskich nadciągały ze wszech stron korpusy moskiewskie. Przedstawiano Skrzyneckiemu, że trzeba uprzedzić połączenie się nieprzyjaciela i o ileby się dało pobić go, zanim urośnie w siły zbyt poważne. Ale wszystkie działania wodza naczelnego kończyły się na rekonesansach, na ruchach nakazywanych i zaraz odwoływanych, a wojsko nadaremnie męczących. To też nieufność, od dłuższego już czasu nurtująca w rządzie i sejmie, zaczęła się także szerzyć w wojsku; nie tylko już cywilni i posłowie, ale sztab cały wygadywał na Skrzyneckiego. Nieufność tę podniecało kilku zaciętych jego nieprzyjaciół, mianowicie Krukowiecki, Umiński i, acz bezwiednie, Prądzyński, który tamtym za narzędzie służył.

Postanowiono przeprowadzić indagacyę nad postępowaniem Skrzyneckiego, w tym celu zwołano radę wojenną, przypuszczając do niej członków rządu i deputacyę sejmową. Jen. Prądzyński wystąpił poniekąd jako oskarżyciel Skrzyneckiego i, chociaż nie zaczepił jego intencyi, sporządził memoryał z krytyką wszystkich wojskowych

jego czynności od chwili objęcia przezeń naczelnego dowództwa. Memoryał ten mógł obalić wszelkie do Skrzyneckiego zaufanie. Prądzyński przeczytał go głównym członkom rady przed zebraniem.

Rada wojenna, zebrana w Warszawie 27 lipca, odmówiła rozbierania tego, co już minęło. Chociaż ogół uznawał błędy popełnione przez Skrzyneckiego, ale jego osobisty charakter, jego całe zachowanie się, zdobyły mu takie poważanie ogólne, że członkowie rady prawie jednomyślnie odrzucili zamiar rozsądzania przeszłych kroków jego i postanowili radzić jedynie o sprawach obecnych i przyszłych.

Jednomyślnie zgodzono się na to, że skoro nieprzyjaciel już Wisłę przeszedł jedna tylko rzecz do uczynienia pozostała, podążyć na jego spotkanie, ani dnia nie tracąc, i bitwę mu wytoczyć. Skrzynecki jeden sprzeciwił się temu zamiarowi, chcąc oczekiwać nieprzyjaciela pod murami Warszawy i nie potykać się z nim inaczej, jak pod zasłoną jej szańców; nie krył się z tem, że pragnął zwlekać jak najdłużej i o ile podobna bitwy unikać. Ale wśród członków rady, tak cywilnych jak i wojskowych, przemogło zdanie przeciwne t. j., żeby natychmiast szukać spotkania z nieprzyjacielem, co najlepsze dawało nadzieje pokonania go, ze względu na stanowiska, przez obie strony zajmowane. Najmniejsze zaś zwycięstwo nasze tem większą miałoby doniosłość, że byłoby nastąpiło w chwili wielkiego rozprzężenia wśród wojska moskiewskiego i w początkach nowego naczelnego dowództwa, przyjętego przez Moskali z tak powszechną radością.

Skrzynecki oświadczył wówczas, że skoro zapał jest tak wielki i jeżeli mu polecają tylko prowadzenie wojska, wszelką z niego odpowiedzialność zdejmując, to on potrafi dowieść, że nie dla swojej osoby bitwy się lęka. Poczem rozkazał całemu wojsku, które na trzech głównie punktach było rozrzucone, pod Modlinem, nad Bzurą i na gościńcu brzeskim, żeby się zgromadziło pod Socha-

czewem. Ten ruch jednak wolno się wykonał. Nareszcie całe wojsko było zgromadzone nad Bzurą 31 lipca. Skrzynecki zapowiedział, że dnia tego przeniesie główną kwaterę do Sochaczewa, dokąd w jednym dniu dostanie się z Warszawy, i że nazajutrz zaraz wyruszymy na nieprzyjaciela. Wszyscy czuli, że głównym warunkiem powodzenia było wpadnięcie na nieprzyjaciela jakby znienacka, a mianowicie rozbicie, jeżeli podobna, czoła kolumny nieprzyjacielskiej, w marszu będącej, zanimby nieprzyjaciel miał czas cofnąć się ku głównej swej sile lub przygotować się na nasze przyjęcie.

Okoliczności były tego rodzaju, moralna konieczność stoczenia bitwy tak nagląca, że trzeba było wpaść na nieprzyjaciela zapamiętale, gdziekolwiekby się znajdował. Myśl tę wyrażono, mówiąc, że chociażby nieprzyjaciel wdrapał się na szczyt wieży kościelnej, to jednak nicby nam do czynienia nie pozostawało, jak go tam atakować, choćby na złamanie karku. Otóż, kiedy wszyscy przejęci byli potrzebą pospiechu, kiedy ostatnie dywizye nad rankiem dociągnęły nad Bzurę, a jenerałowie, stosownie do polecenia, zjechali się do głównej kwatery po rozkazy do ataku, kiedy każda godzina miała tak wielkie znaczenie, Skrzynecki, zatrzymany w Warszawie jakiemiś szykanami swoich przeciwników, przybył do Sochaczewa około dziewiątej wieczorem.

Oświadczywszy na ostatniej radzie wojennej, że, mimo własnego przekonania, zastosuje się do ogólnego życzenia wojska, o szczerości którego mocno zresztą powątpiewał, Skrzynecki oznajmił zarazem, że, skoro idzie nie za własnem przekonaniem, ale za wolą wojska, to i nadal uciekać się będzie po rady do wojska, by się do życzeń jego stosować itd. A tak, stanął na fałszywem stanowisku, bo cóż to za naczelne dowództwo w takich warunkach spełniane; cóż warte działanie podjęte i wykonane wbrew przekonaniu; skąd zapał niezbędny do powodzenia we wszelkiem przedsięwzięciu wojennem za-

pał, którego główna siła pochodzi z pewnej nadziei zwycięstwa, przynajmniej chwilowego? Czyż mógł ten zapał powstać z narad wojennych?

Skrzynecki nie powinien był czynić takiego ustępstwa. Skoro miał przekonanie, powinien był tego przekonania bronić uporczywie, lub z niem upaść. Gdyby był ze stanowczością głosił swoje zapatrywanie, co do sposobu uratowania sprawy, a przynajmniej przedłużenia walki, gdyby był nie dopuścił do oporu i dyskusyi i nakazał milczenie, przynajmniej wojsku, byłby władzę swoją wzmocnił. Gdyby okazał, że wierzy w swoje zapatrywanie, choćby był sam jeden swego zdania, byliby mu ustąpili, bo wojsko nasze ubogie w ludzi zdolnych do wydawania sądów; zresztą nic tak do przekonania nie trafia, jak samo przekonanie, o wiele bardziej, niż najumiejętniejsze wywody. Ale takiego istotnie silnego przekonania nie okazywał Skrzynecki; przeciwnie, wyglądał zniechęcony, przygnębiony, i to właśnie dodawało wagi zdaniom przeciwnym. Jeżeli, według Skrzyneckiego, oddalenie się od Warszawy było wielkim błędem, a nie miał siły przeprowadzić swego zdania, powinien był usunąć się od naczelnego dowództwa a nie radzić się dzień w dzień rady wojennej, przez siebie samego obranej i wykonywać rozkazy, większością głosów dawane. Takie stanowisko było niegodne Skrzyneckiego, było fałszywe i do klęsk jedynie prowadzić mogło.

Ulegając zdaniu rady wojennej, Skrzynecki, po przyjeździe do Sochaczewa w najwyższem rozdrażnieniu z powodu przykrości, doznanych w Warszawie, postanowił niezwłocznie wyruszyć na nieprzyjaciela. Zaraz za przyjazdem rozpatrzył się w mapie i, stosownie do powziętych wiadomości, po naradzie z Kołaczkowskim, wówczas kwatermistrzem jeneralnym, Łubieńskim, Ramoriną i kilku innymi, wydał rozkaz wymarszu na drugą zrana nazajutrz. O nieprzyjacielu wiadomo było tylko, że zajął Łowicz, punkt, który myśmy powinni byli wcześniej zająć, gdyż była to najsilniejsza pozycya obronna

z tej strony przed Warszawą; ale nie zajęliśmy jej i zostawiliśmy nieprzyjacielowi bezpieczne przejście przez Bzurę. Zdawało się jednak, że zaledwie przednia straż nieprzyjacielska do Łowicza dotrzeć mogła, a że główne jego siły są dopiero w marszu z Rybna do Łowicza. Cały plan działania naszego w tem przypuszczeniu był obmyślony. Mieliśmy w trzech miejscach przez Bzurę się przeprawić i maszerować ku Rybnu jakie półtory mili; stamtąd zaś, gdybyśmy nie trafili z boku na rosyjskie kolumny, zwrócić się na lewo lub na prawo, albo wreszcie zatrzymać się frontem.

Że planu tego nie mogliśmy oprzeć na żadnej pewnej wiadomości o ruchach nieprzyjacielskich, to było nie do darowania, pomnąc, że marsz nieprzyjaciela na nas był skierowany. Wobec tego plan był ryzykowny, wykonanie jego mogło być niebezpieczne, tem bardziej, że wojsko nasze nie było w ruchach obrotne. Ale skądinąd mogliśmy mieć niejakie widoki powodzenia. Idąc trzema kolumnami, odległemi nie więcej, jak pół milki jedna od drugiej, mając za sobą trzy dobre przeprawy, maszerując w sile, mogliśmy wpaść znienacka na nieprzyjaciela nieprzygotowanego, albo ostatecznie cofnąć się bez straty, gdybyśmy napotkali zbyt wielkie przeszkody. W każdym razie, wyprawa ta, zaspakajając niezmierną niecierpliwość wojska, przedstawiała pewne korzyści, i nawet drobne niepowodzenie nie byłoby sprawiło tak szkodliwego wrażenia, jak to, które sprawił rozkaz odwrotu.

W wyprawie tej korpus Ramoriny miał stanowić straż przednią. Ponieważ rozpoczęcie ruchu naznaczone było na drugą zrana, awangarda już przed północą przeszła rzekę i od dwóch godzin była w marszu, kiedy przyszedł nagle rozkaz odwrotu.

Rzecz się tak miała. Jen. Chrzanowski, który dowodził korpusem tworzącym prawe skrzydło, nie był obecny na radzie jenerałów, kiedy Skrzynecki plan ruchu postanowił. Otrzymawszy niespodzianie rozkaz do wy-

marszu dla swego korpusu, udał się natychmiast do głównej kwatery, dotarł do Skrzyneckiego, mimo że ten był niedostępny dla wszystkich, i tak mocno powstawał przeciw przedsięwziętej wyprawie, że Skrzynecki dany już rozkaz cofnął.

Chrzanowski dowodził, po pierwsze, że niewiadomo, gdzie się nieprzyjaciel znajduje, a na los szczęścia iść się nie powinno; powtóre, że plan marszu oparty jest na przypuszczeniu, jakoby nieprzyjaciel znajdował się w drodze z Rybna do Łowicza, on zaś, według wszelkiego prawdopodobieństwa, już całą siłą w Łowiczu zgromadzony; po trzecie, że w takim razie zwrócenie się na lewo, aby nieprzyjaciela tam szukać, stawiałoby nas w najgorszych do boju warunkach, ze względu na rozległe błonia dokoła Łowicza, korzystne dla ogromnej kawaleryi nieprzyjacielskiej; po czwarte, że w tym marszu na oślep nasze kolumny, choć blizko siebie maszerujące, niemniej byłyby jednak rozdzielone nieprzepartemi przeszkodami, jak bagna, strumienie, lasy [1]). Nareszcie, po piąte, dowodził Chrzanowski, że, gdyby nawet nieprzyjaciel nie był jeszcze w Łowiczu licznie zebrany, gdybyśmy główne jego siły spotkali w kierunku Rybna, to armia ta, ustępując przed nami, mogłaby nas pociągnąć za sobą, a tymczasem korpus, stojący w Łowiczu, poszedłby wprost na Warszawę i mógłby ją zdobyć bez wystrzału.

Z tych wszystkich dowodzeń Chrzanowskiego jedno tylko miało znaczenie istotnie wojskowe, to mianowicie, które się opierało na przypuszczeniu, że nieprzyjaciel wszystkie swe siły zgromadził już w Łowiczu, ale i wówczas, napierając naszą przednią strażą na tyły nieprzyjaciela, rzucilibyśmy popłoch w jego szeregi w sposób, który wojska naszego wcale nie narażał, gdyż pozwalał nam cofnąć się tego samego dnia. Piąte przypuszczenie mia-

---

[1]) Rekonesans, jaki tegoż dnia odbyłem, przekonał mnie, że bagna były wyschnięte, mosty dla artyleryi liczne, a w rzekach brodów nie brakowało. (W. Z.)

łoby podstawę wtedy jedynie, gdybyśmy byli wobec nieprzyjaciela bardzo przedsiębiorczego, nie takiego, z jakim mieliśmy do czynienia.

Bądź co bądź rozkazy do ruchu odwołano. Dywizye powróciły do poprzednich obozów, ale powróciły z rozpaczą w duszy i z głębokiem zniechęceniem. Wtedy to i ja straciłem cierpliwość. Od początku dowództwa Skrzyneckiego widziałem, rozumiałem jego błędy i byłem szczegółowo o najmniejszych powiadomiony. Prądzyński na długo przedtem, zanim zaczął o nich głośno mówić i kiedy jeszcze był serdecznie Skrzyneckiemu oddany, zawsze mi się zwierzał ze swoich z nim rozpraw i zmartwień z jego powodu. To też śmiem powiedzieć, żem ciągle Skrzyneckiego uważał za takiego, jakim on był istotnie; a chociaż jego charakter, szlachetność jego uczuć i niektóre jego zalety wojskowe sprawiały, że stale pragnąłem, aby zaufanie do niego i wpływ jego się wzmagały, choć należałem do tych, którzy mu podpowiadali, żeby koniec położył wzmagającemu się rozprzężeniu, opanowywując władzę, mimo to martwiły mię często jego błędy i w poufnych z kilku przyjaciółmi rozmowach zwracałem uwagę na pewne strony jego charakteru, które mi na przyszłość obawy nastręczały. Jednakowoż, jakkolwiek zawsze dość jasno sprawę sobie z tego zdawałem, jakkolwiek zawsze starałem się rozumieć wszystkie sprężyny, powody, najmniejsze szczegóły naszych wojskowych wypadków, to zarazem niezmiernie się strzegłem, ażeby nigdy nie udzielić otaczającym mnie oficerom niepokojów i zgryzot, jakich sam doznawałem przez Skrzyneckiego i z jego powodu. Mogę nawet powiedzieć, że mi się to udało.

Ale wówczas w Sochaczewie, powtarzam, straciłem cierpliwość. Wiedziałem, jakie trudności trzeba było przezwyciężyć, żeby Skrzyneckiego do tego ruchu nakłonić. Czułem, że jedyny i niezbędny warunek powodzenia polegał na szybkiem wykonaniu rzeczy. Opóźnienie ruchu uniemożebniało jego wykonanie. Może już i wtedy za-

późno było, tak przynajmniej twierdził Chrzanowski, który także chciał szukać spotkania z nieprzyjacielem, ale wcześniej, zaraz po przejściu Moskali przez Wisłę. Zresztą czułem, że jeżeli nieprzyjaciel przez Bzurę się przeprawi pod Łowiczem, to już może żadna sposobność do bitwy się nie nadarzy przed Warszawą; od stycznia zaś, kiedy myśl tę na piśmie podałem dyktatorowi, zawsze uważałem obronę Warszawy nie jako niepodobieństwo, ale jako sposobność, ułatwiającą tryumf jakobinom. Przypominałem sobie oblężenie Lugdunu i wiele innych wypadków, w których nagłe niebezpieczeństwo dostarczyło kilku łotrom sposobności do roznamiętnienia tłumu. Widząc tedy, że tracimy możliwość powodzenia, o której przypuszczałem, że jest ostatnią, wpadłem w niezmierną rozpacz.

Rzuciwszy swój korpus, popędziłem do Sochaczewa, do głównej kwatery, by się dowiedzieć, co spowodowało odwołanie rozkazów. Noc jeszcze była. Wpadłem do pierwszego pokoju w domu przez Skrzyneckiego zajmowanym, zastałem tam kilku oficerów sztabu. «Co się stało? dlaczego rozkazy odwołane?» pytałem. Odpowiedziano mi, że Chrzanowski wodza do tego namówił. Jeden z oficerów, Prószyński, przyjaciel Chrzanowskiego, tłomaczył mi rzecz, dowodząc matematycznie, że ruch był nieroztropny. Odpowiedziałem, że to są powody czerpane z teoryi, ale tu praktyka ma niezłomne wymagania: «Nie uważacie na stan wojska, na naszą anarchię polityczną.» Wtedy po raz pierwszy w przytomności czterech oficerów, wyraziłem się w słowach ostatniej rozpaczy: «Wszystko zginęło, ostatnia nadzieja stracona!» Oficer przerwał mi i powiedział, że zamiast tego ruchu obmyślono kilka rekonesansów, i że właśnie dowództwo nad jednym z nich wódz naczelny dla mnie przeznaczył. «Głupstwo», zawołałem, «uda mi się złapać jaki szwadron, a, przy manii awansowania, zrobi mnie jeszcze jenerałem, i to wszystko. Rekonesanse ostrzegą nieprzyjaciela, kiedy

na nieostrzeżonego teraz napaść można.» Ubolewałem nad wpływem Chrzanowskiego, skoro takie zeń skutki, głośno zwalczałem argumenty jego. Słowem, nie mogłem żalu mego pohamować. Nie wiem dokładnie, kto oprócz Prószyńskiego był przytomny tej rozmowie, która się odbyła nocą, między trzecią a piątą rano. Zdaje się, że słowa moje były powtórzone, bo nazajutrz wcześnie z rana, przyszło do mnie czternastu oficerów, mało mi znanych, których poprzednie ze mną stosunki nie upoważniały do takich rozmów. Przyszli, pytając czy prawda, że powiedziałem w nocy głośno w sztabie głównym, że Skrzynecki zdradza. Widząc potrzebę wytłomaczenia się z tego, co powiedziałem, i jeszcze pod wrażeniem opłakanego braku stanowczości ze strony Skrzyneckiego, wdałem się w rozmowę, której mi karność żołnierska nie dozwalała.

Naówczas pytali mnie oficerowie, czy mam zaufanie do Ramoriny, bo jego chcą zrobić wodzem naczelnym, a mnie szefem sztabu głównego. Z oburzeniem odpowiedziałem, że to jest zbrodnia, że o tem ani mówić, ani myśleć nie chcę. Jeden z oficerów przerwał mi, iż trzeba Skrzyneckiemu w łeb wypalić, bo to widoczne, że zdradza. Na to zawołałem: «Śmiało utrzymuję i ręczę, że Skrzynecki nie zdradza, a pewny jestem, że gdyby był przekonany, iż stracił zaufanie wojska, toby sam komendę złożył; lecz jakże go o tem przekonać?» — «Wszakże to oczywiste.» — «Wcale nie oczywiste», odrzekłem, «że was kilkunastu tak mówi, to niczego nie dowodzi. Gdybym was nie czternastu, ale pięciuset widział, tobym sam poszedł do wodza naczelnego i w imieniu wojska zażądałbym, aby złożył władzę.»

Rozeszli się, ale rozpisali na wszystkie strony do armii i do Warszawy, że Zamoyski chce pięćset nazwisk, aby stanąć na czele protestacyi i zrzucić Skrzyneckiego.

Tego samego dnia, spotkawszy dwóch adjutantów Łubieńskiego, opowiedziałem im moją rozmowę i prosiłem, żeby natychmiast ją Łubieńskiemu powtórzyli.

Pozostaliśmy nad Bzurą z trzema dywizyami piechoty i trzema kawaleryi. Jedną dywizyę piechoty pchnięto ku wsi Kozłów Biskupi, inną naprzeciw Łukowa. Wojsko składało się z 32.000 piechoty, 9.000 jazdy i 136 armat. Czekano, ale napróżno, żeby nieprzyjaciel próbował zdobyć przeprawę pod Sochaczewem; był on już panem przeprawy w Łowiczu. Naradzano się, czy nie zaatakować Łowicza z lewego brzegu, ale zaniechano tej myśli, obawiając się odcięcia od Warszawy. Postanowiono tedy udać się nad Rawkę do Bolimowa i tam zająć stanowisko, zostawiając dwie brygady w Sochaczewie pod Rybińskim.

Pod Bolimowem wojsko rozstawione było, jak następuje: w samym Bolimowie nad Rawką jedna dywizya piechoty pod dowództwem Ramoriny; nad niższą Rawką trzy brygady piechoty i jedna dywizya kawaleryi (Turny) pod dwództwem Chrzanowskiego; w rezerwie z tyłu poza Bolimowem dwie dywizye piechoty i dwie kawaleryi; posterunki w Budach; bagaże wojskowe między Szymanowem a Kaskami, z rozkazem natychmiastowego cofnięcia się do Błonia na odgłos pierwszego armatniego wystrzału; park artyleryi w Święcicach. Drogi, będące z tyłu za nami, jedna przez Szymanów, druga przez Wiskitki i Grodzisk, zostały naprawione. Na takiem stanowisku mogliśmy czekać na atak nieprzyjaciela, ale, że on nie atakował, zaczęto znowu roztrząsać, co czynić należy, by atakować wroga na jego stanowisku. Wszakże po rekonesansie na Nieborów, dokonanym przez Ramorinę, powzięto przekonanie, że armia rosyjska nie przyjmie bitwy inaczej, jak za Nieborowem, na groblach Łowicza.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bolimów, 7 sierpnia 1831.

Ratuj, Wuju, ratuj.

Źle z nami, gorzej być nie może. Nasz wódz naczelny już wcale nie dowodzi.

Liczne rady wojenne po dwa razy na dzień się zbierają. Dla ocenienia szkody, jaką nam zadają, odwołuję się do wszystkiego, com Wujowi powiedział o radach wojennych w ostatniem mojem piśmie, kiedy tej rady na jeden raz pragnąłem dla skłonienia Skrzyneckiego do wydania bitwy[1]). Mówiłem wówczas Wujowi, że wiem, iż nic tak wojska nie psuje, jak obradowanie i to liczne, ale wówczas widziałem konieczną potrzebę rady na jeden dzień, dla postanowienia o niezbędnem wydaniu bitwy.

Teraz rady wojenne służą tylko do usprawiedliwienia tego wszystkiego, co bitwy uniemożliwia. I tym sposobem, te nieustające rady są jednem złem więcej, wielkiem złem. W dodatku do tego wszystkiego, co nam grozi od nieprzyjaciela, one wojsko do rozkładu prowadzą. W wojsku wszystko kipi, starsi zaczynają przewidywać i to bez wielkiego zmartwienia blizkie zakończenie wojny; niżsi, którzy nie tak daleko patrzą i jeszcze mają jakąś nadzieję, mówią o spiskach, zamachach, nawet zemście. Wódz naczelny zdaje się zrzucać wszelką z siebie odpowiedzialność na radę. Cokolwiek jest do czynienia, to się odkłada z rana na wieczór, a z wieczora do rana. Zamiast żeby wojsko naprzód się posuwało, zawsze się kończy na bezowocnych rekonesansach. Te rekonesanse dwakroć służyły na pokazanie tylko, jak doskonale moglibyśmy naprzód iść, byle w sile. Ale już nie czas, a przynajmniej nie czas o tyle, że trzy czwarte korzyści stracone, bo nieprzyjaciel ostrzeżony. Pamięta Wuj, że to samo się stało, kiedy z 20.000 ludzi, przeznaczonych przeciwko Rüdigerowi, zaledwie sześć szwadronów pchnięto ze mną do Kocka. Teraz tego rodzaju błędy jeszcze bardziej stanowcze szkody zadają. Nasza sprawa przepada. A jednak, czy można ręce zakładać, czy należy sobie powiedzieć, że wszystko skończone?

[1]) Zapewne mowa o radzie z 27 lipca.

Nie, tego powiedzieć nie mogę. Nikomu tego mówić nie wolno. Czasami ostatni wysiłek zmienia całą postać rzeczy. Starajmyż się jeszcze skupić wszystkie nasze środki i siły. Pierwszym powodem naszej bezsilności: wódz naczelny. Trzeba go zmienić; trzeba zamianować wodza, któryby miał nad obecnym choć maleńką wyższość, o tyle przynajmniej, żeby mu miłość własna nie przeszkadzała używać Prądzyńskiego. Wuj wie, dlaczego ten na naczelne dowództwo nie odpowiedni. On jest dobry tylko do rady. Zmienić wodza naczelnego; zmienić go, żeby mieć choć szansę powodzenia na przypadek, że się jakaś jeszcze do tego sposobność nadarzy; a z nieprzyjacielem tak bojaźliwym i nieśmiałym zawsze się sposobność do zwycięstwa nadarzyć może; zmienić go, żeby wojsko ocalić od hańby, żeby zapobiedz buntom podwładnych, rozkładowi armii.

Skrzynecki wczoraj na radzie powiedział, że gotów się podać do dymisyi i objąć dowództwo dywizyi. Weźcie go za słowo. On, jako człowiek honorowy, poda się do dymisyi. Od biedy mianujcie Łubieńskiego lub Dembińskiego.»

Przejęty koniecznością natychmiastowej walki z nieprzyjacielem, Zamoyski spisał w obozie pod Bolimowem pogląd swój na obecną chwilę, jak zwykł był czynić pod wpływem silniejszych wzruszeń:

«8 sierpnia

W obecnych okolicznościach, jeżeli walczyć, to walczyć niezwłocznie, szukać sposobności, szukać ich koniecznie, korzystać z każdej nadarzającej się okoliczności i prędko się decydować.

Za tem zdaniem przemawia to, że każde opóźnienie ruchu z naszej strony wzmaga siły nieprzyjacielskie, a nasze zmniejsza, zarówno materyalnie jak moralnie, że wojsko rezonuje, że trzeba je zająć i to jak najprędzej, inaczej wybuchną niezadowolenia, czego nadewszystko uniknąć trzeba, choćby dla naszej dobrej sławy narodowej i dla naszych przyszłych losów, które zależeć będą od tego, jak się teraz w dziejach zapiszemy.

Ale są dwa różne sposoby walczenia: albo regularne bitwy, albo potyczki drobne, służące do wprawienia wojska, do nużenia nieprzyjaciela, onieśmielania go gwałtownością naszych uderzeń i ułatwiania tym sposobem rokowań, któreby się toczyły równocześnie z działaniem wojennem.

Zdaje mi się, że zajmujemy obecnie nad Bzurą stanowisko podobne pod niektóremi względami do tego, jakiebyśmy mieli, dopuszczając nieprzyjaciela pod Warszawę. Mocno zająć linię Bzury po obu jej brzegach, rzucić przez nią kilka mostów, założyć obóz obronny naprzód od Sochaczewa, wpadać znienacka na oddziały nieprzyjacielskie, to na prawym, to na lewym brzegu: taką kampanię, mojem zdaniem, powinniśmy teraz prowadzić.

Zresztą, trzeba wojsko nasze hartować, dowódców kształcić; trzeba, żeby dowódcy zdobyli sobie zaufanie u wojska i żeby wojsko samo do siebie zaufania nabrało; trzeba zmniejszyć tak w naczelnikach, jak w podkomendnych, przesadzone pojęcia o potędze nieprzyjaciela. Trzeba nieprzyjaciela nużyć nieustannie, częściowo, ale ostro nań uderzając, ścierając się z nim w odrębnych potyczkach, starając się wszelkiemi sposobami drobne zwycięstwa sobie zapewniać, nie kusząc się o wielkie, mając szczególniej na myśli podniesienie ducha. Gdybyśmy przytem utracić mieli kilkaset, a nawet kilka tysięcy ludzi, nie przypłacilibyśmy zbyt drogo tych wysiłków, byleby ich wynikiem było moralne podniesienie wojska.

W chwili opuszczenia Bolimowa dla przeniesienia się pod Sochaczew, trzebaby silnie natrzeć na nieprzyjaciela naszą przednią strażą, którąby poparły w danym przypadku wszystkie siły nasze, rozstawione w odstępach. Atak trzeba przypuścić z wieczora, ażeby nie dać czasu korpusom rosyjskim, stojącym na lewym brzegu Bzury, do przybycia na pomoc. Ta walka powinnaby być krótka i energiczna, rozstrzygnięta w parę godzin.

Trzeba zamaskować nasz wymarsz z Bolimowa, idąc lasem, a lewe skrzydło posuwając prosto na Pieńki, potem na Bobrowniki. Wieczorem wrócić wstecz, aby nieprzyjaciel myślał, że to nocny rekonesans, że za nim pójdzie nazajutrz atak na Łowicz...»

Tymczasem armia pod Bolimowem, jak poprzednio w Sochaczewie, znowu przez kilka dni stała bezczynnie.

< Po niejakiej przerwie odnowiły się w Bolimowie też same, co poprzednio rozmowy. Nie tylko już niżsi, ale i sztabowi oficerowie wyrzekali głośno na Skrzyneckiego i naglili, aby temu niedołęstwu koniec położyć. Kiedy wróciłem ze swoim korpusem z rekonesansu pod Nieborów do Bolimowa, przyszło do mnie trzech pułkowników (Kruszewski, Wysocki i...[1]), ponawiając żądanie, które już po tylekroć słyszałem. Nadeszła wówczas wiadomość o szczęśliwym odwrocie Dembińskiego. Przybył dopiero co z Litwy i przywiózł sobie stamtąd pewną popularność, a o wiele większą jeszcze zdobył odrazu w stolicy. Jeżeli dotąd nie widziałem następcy po Skrzyneckim, teraz mniemałem, że Opatrzność wskazuje nam nowego wodza. Nie tyle już, co dawniej, broniłem Skrzyneckiego, lecz mimo to trzymałem się biernie względem oficerów, czując, że ci gwałtem mię wciągają do nieporządku wojskowego. Aby temu zapobiedz, dawałem znać do kwatery głównej o rozmowach w armii prowadzonych; ostrzeżenia te jednak nie odniosły skutku.

Oficerowie napierali na mnie coraz bardziej, oświadczając, że, jeżeli się nie podejmę inicyatywy, sami postąpią z wodzem naczelnym, jak zasłużył. Przy oburzeniu, jakie panowało w armii, lękać się należało, aby nie przyszło do gwałtu na osobie Skrzyneckiego. Nakoniec zażądali oficerowie, abym przyszedł na ostateczną rozmowę 10 sierpnia o godzinie piątej wieczorem; gdybym zaś nie

[1]) Leski?

przyszedł, powiedzieli, że udadzą się sami do Skrzyneckiego. «Dobrze, przyjdę», odpowiedziałem, «i pójdę z wami do wodza naczelnego, jeżeli mi przysiężecie, że oprócz mnie nikt ani słowa do niego nie przemówi.» Przystali i schadzka ogólna została umówiona na godzinę piątą u pułkownika Kruszewskiego.

Była godzina dwunasta w południe. Przez te dni odbywały się w kwaterze głównej ciągłe narady, lecz bez żadnego wyniku. Ramorino w południe wyjeżdżał znowu na radę. Zatrzymałem go na odjezdnem i rzekłem: «Jenerale, nie zdałem ci sprawy z tego, co się tu działo, a co było poza obrębem służby; oficerowie zmawiają się przeciw wodzowi naczelnemu. Uprzedziłem szefa sztabu głównego, ale nie przedsięwzięto żadnego środka. Zaklinam cię, jenerale, abyś powiedział wodzowi naczelnemu, że mnie znaczna ilość wyższych oficerów przynagla, żebym oświadczył naczelnemu wodzowi, iż stracił zaufanie u wojska. Przez dziesięć dni naglono mnie, opierałem się, jak mogłem; nareszcie przyrzekłem, że dziś wieczór pójdę na liczne zebranie oficerów. Zaklinam, aby wódz naczelny kazał mnie poprzednio aresztować, bo to może rzucić postrach na oficerów i odwieść ich od ostatecznego kroku. Jeśli mnie do piątej nie zaaresztuje, już będzie za późno. Pójść muszę przez troskliwość o osobę naczelnego wodza.»

Odjechał Ramorino. Do godziny piątej byłem w swojej kwaterze lub na polu, czekając na wiadomość z kwatery głównej. Nie przyjeżdżał nikt. O piątej wsiadłem na koń i pojechałem do Kruszewskiego.

W tym samym czasie Bem na tyłach armii robił doświadczenia artyleryjne. Odgłos armat, aczkolwiek z tyłu dochodzący, zatrzymał oficerów tak, że zaledwie dwunastu zeszło się u Kruszewskiego. Czekałem godzinę, a gdy ich więcej nie przybyło, powiedziałem obecnym, że już odtąd do niczego więcej się nie mieszam, a teraz jadę do kwatery głównej, zdecydowany oskarżyć się przed naczelnym wodzem.

Przyjechawszy do kwatery głównej, dowiedziałem się na dziedzińcu, że Skrzynecki składa naczelne dowództwo i że prawdopodobnie obejmie komendę korpusu. Zameldowałem się. Przyjął mię w obecności jednego z wyższych oficerów sztabu. Opowiedziałem mu rzecz całą; tłomaczyłem, że wahania się naczelnego wodza, opuszczenie przez niego najlepszych sposobności pobicia nieprzyjaciela, rozjątrzyły armię; że była obawa, aby nie użyto gwałtu przeciw niemu. Zapytałem, czy odebrał moje poprzednie o tem doniesienia. Skrzynecki przyznał, że odebrał. «Musiałem przyjąć mandat oficerów», mówiłem dalej, «był to jedyny sposób zasłonięcia wodza naczelnego od gwałtu, bom wymógł na oficerach słowo, że, oprócz mnie, nikt więcej do niego nie przemówi. W mojem sumieniu czuję się czysty, ale, jako wojskowy, wiem, że byłem w pozycyi nieregularnej i nie byłbym spokojny, gdyby mi jenerał sam nie oświadczył, że uznajesz, iż tylko moja troskliwość o jego osobę znagliła mnie do tego kroku.»

Skrzynecki słuchał w milczeniu, nareszcie wziął mię za rękę i rzekł: «Przyznaję». Mimo to, czy dlatego, że to, co musiałem powiedzieć, było przykre dla niego, czy dlatego, że milczący świadek naszej rozmowy wdał się po mojem odejściu w nieprzyjazne dla mnie komentarze, dość że Skrzynecki, chociaż uznał moje postępowanie za uczciwe, odtąd mnie widzieć nie chciał i chował do mnie urazę.

Stało się to, jak wyżej wspomniałem, 10 sierpnia. Wśród zamieszania, jakie panowało w armii, padło na mnie podejrzenie, jakobym bunt wojska rozdmuchiwał, a czynił to podżegany przez x. Czartoryskiego, w celu objęcia, za jego poparciem, naczelnej komendy. Myśl ta do tego stopnia daleką była odemnie, czującego się jeszcze niemal tak nizkim oficerem, jak na początku kampanii, że nie przypuszczałem nawet, aby ktokolwiek mógł mię o nią posądzać. Wprawdzie brat mój Zdzisław ostrzegał mnie, mówiąc, że narażam się na pozory, ale, czysty w sumieniu, nie rozumiałem nawet ostrzeżenia.

Pewnego dnia jen. Chrzanowski spotkał mnie w kwaterze głównej i rzekł w wielkiem oburzeniu: «Rozsiewasz na mnie oskarżenia, to niepięknie, panie Zamoyski, ja ci nie będę przeszkadzał do naczelnej komendy.» Wówczas to po raz pierwszy spostrzegłem, na jak ciężkie naraziłem się podejrzenie. Tem mniej spodziewałem się tego zarzutu ze strony Chrzanowskiego, że, słysząc, jak on na Skrzyneckiego wyrzekał, przestrzegałem go i mówiłem, że jemu samemu to psuje opinię, a opinia tak dobrego jenerała ma dla wojska wielką wagę. Teraz, uderzony słowami Chrzanowskiego, zawołałem: «Jenerale, nie wiesz, jak srodze mnie krzywdzisz.» A zwracając się do obecnych, zapytałem: «Jakto, panowie, czyż w istocie mogło ciążyć na mnie takie podejrzenie?» Jen. Lewiński odpowiedział: «Już to ja widzę, że nie zdałeś sobie sprawy ze stanowiska, jakie masz w wojsku i naraziłeś się na to, co cię spotkało.» Stało się, jak to bywa, że ten, co chciał złemu zaradzić, został uznany winnym wszystkiego. Dowiedziałem się potem, iż opowiadano o mnie, że objeżdżałem obozy, że zbierałem u siebie nocne schadzki, żeby knować przeciwko Skrzyneckiemu i że, kiedy poszedłem do niego, aby mu oświadczyć, że stracił zaufanie wojska, tak niewłaściwie względem niego się zachowałem, że obecny temu wyższy oficer sztabowy zrobił mi uwagę.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Szymanów, 15 sierpnia 1831.

List Wuja doszedł mnie wczoraj. Właśnie stwierdziłem prawdziwość tego, o czem mi Wuj donosi. Dziękuję za to ostrzeżenie, list Wuja jest dla mnie nieocenionem świadectwem i usprawiedliwieniem. Pokazuje się z niego, że nic Wujowi nie napisałem o tem, co się działo, poza listem, pisanym w przeddzień wyjazdu Wuja i który prawdopodobnie Wuja nie doszedł. Jest to dla mnie ważne, bo podejrzywają, że pisząc do Wuja, starałem się

na niego wpłynąć. A z listu Wuja pokazuje się, że, dziwnym trafem, przez te ośm do dziesięciu dni wcale do Wuja nie pisałem. Wiem, że Wujowi takich dowodów nie potrzeba. Ale moi najlepsi przyjaciele posądzili mnie o to; ci, co szczerą przyjaźń dla mnie mają, przypuścili, że uległem upojeniu miłości własnej, a co najmniej jakiejś chęci wyniesienia się i nie wiem czego; słowem, posądzają mnie, że spiskowałem, intrygowałem, w myśli ogólnego dobra zapewne, ale także i w myśli osobistej korzyści. Ci ludzie nie czują, nie wiedzą, że to podejrzenie bardziej jest ubliżające w moich oczach, niż gdyby mnie za całkiem niezdatnego mieli, że to, o co mnie posądzają, ja nazywam podłością. Straszna to dla mnie nauka, ale, wszystko obliczywszy, sam sobie winien jestem. Może mi też wolno pocieszać się twierdzeniem, że mało ludzi jest w stanie zrozumieć i uwierzyć, ażeby można być wolnym od osobistych względów i od szukania osobistych korzyści, jak ja od tego wolny jestem. A zatem źle zrobiłem, nie mając się na baczności przed nimi, w istocie, ani mi to na myśl nie przyszło. Ja po dziś dzień we własnych oczach byłem podporucznikiem, bez znaczenia, jak i bez stanowiska.

W twardy i bolesny sposób dają mi odczuć, że wśród ślepych zaczynam być zaliczany do tych, którzy cośkolwiek widzą. Zapomniałem, że moje stosunki z Wujem są znane; dość że szedłem za własnem przekonaniem, popędem, z poświęcenia bez miary, uważając siebie za nic i za nikogo, jak gdyby mnie nikt nie widział, nikt nie znał. Nauka surowa. Otóż teraz na jakiś czas gnębić mnie będzie nazwa intryganta. Byłbym raczej przypuścił, że wszystkie inne nieszczęścia spaść na mnie mogą, niż właśnie to jedno. Trzeba przynajmniej, żeby mi ta nauka posłużyła. Teraz na długo zamknąć się muszę w obrębie moich osobistych obowiązków, nie pozwalając sobie poza nie wychodzić ani na krok. Ten mój popęd do czynu, do pracy, na który dotychczas, tak zwierzchnicy jak

rówiennicy, życzliwie patrzyli, jest mi na przyszłość wzbroniony. Tak się od wszystkiego uchylę, że, bądź co bądź, przekonają się ludzie z czasem, że więcej mam serca, niż sądzą. Ale mimo to, czy podobno, żebym nie widział, iż nieszczęsny system ociągania się, trwonienia czasu, zaczyna opanowywać już i Dembińskiego, kiedy wszystko pozwalało mniemać, że nareszcie dostanie się wojsku wódz jednego z nim ducha. To zmartwienie gorsze od pierwszego, ale teraz już nie wolno mi się do tego mieszać.»

Pani Zamoyska do męża:

«Kraków, 24 sierpnia 1831.

Wyobraź sobie, że w gazecie z 13, która mnie tu doszła, mówią, że Skrzynecki miał złożyć dowództwo, a raczej, że sejm żądał, żeby je złożył; a dalej piszą, że nowego wodza naczelnego wybierają, czy wybierać będą, z pomiędzy czterech kandydatów i wymienieni są jenerałowie: Prądzyński, Dembiński, Tomasz Łubieński i pułkownik Zamoyski. Możesz pojąć moje zdziwienie. Mam przekonanie, że jego nie obiorą, ale że o tem myśleć mogli, już mnie strachem przejmuje.»

(Bez daty)

«We wszystkiem, co się działo i we wszystkich okolicznościach Wł. jedną myśl miał tylko: powodzenie sprawy, której służył z namiętnem poświęceniem. Ale Skrzynecki, widząc jego nazwisko, jako kandydata do naczelnego dowództwa, wyobraził sobie, że były jakieś knowania ze strony Wł. przeciw niemu i że one to Wł. natchnęły słowa, które mu poprzedniego dnia powiedział; widział w tem niewdzięczność za tyle dowodów przywiązania, uznania i opieki. Ch (rzanowski), obrażony jakąś uwagą, zrobioną mu przez Wł., skorzystał z tej okoliczności, ażeby utwierdzić Skrzyneckiego w jego podejrzeniach.»

<Tymczasem deputacya izb i rządu zjechała do Bolimowa[1]). Zwołano na radę wszystkich dowódców korpu-

[1]) Dnia 11 sierpnia o siódmej rano. Należeli do niej prezes i wiceprezes Rządu Narodowego; senatorowie: Antoni Ostrowski, Fran-

sów. Niżsi oficerowie zebrali się tłumnie na placu przed kwaterą główną. Było to oburzające; karność ostatecznie przepadła. Tłum, oblegając wejście, groził śmiercią tym, coby o układach z nieprzyjacielem mówili. Na radzie mało było takich, którzyby się ośmielili swoje istotne zdanie przed deputacyą jawnie wyrazić. Głosy większej części jenerałów wówczas, jak i 27 lipca, były natchnione jedynie obawą narażenia się krzykaczom, których liczba wzmagała się w wojsku. Tylko Chrzanowski śmiało dowodził potrzeby rozpoczęcia układów z nieprzyjacielem.

O tem, kto Skrzyneckiego zastąpi, nie myślano prawie. Gdy się podał do dymisyi, deputacya, w braku lepszego, Dembińskiemu tymczasem dowództwo ofiarowała [1]. Skrzynecki objechał z nim szeregi, aby go przedstawić, a samemu z wojskiem się pożegnać. Szlachetne zachowanie się Skrzyneckiego sprawiło, że wojsko żegnało go serdecznie; w kilku korpusach przyjęto go wiwatami, bo Dembiński mało był znany i mało wzbudzał zapału. Skrzynecki wnioskował z tego, iż fałszem jest, aby stracił zaufanie wojska; my, ślał, że go oszukano. A jednak niewątpliwa to rzecz, że, gdyby się nie był usunął, toby nie był z życiem uszedł...

Dembiński przez chwilę myślał o szukaniu spotkania z nieprzyjacielem, zamierzał zaatakować go naszem lewem skrzydłem, a jednocześnie polecić Chrzanowskiemu, żeby swemi trzema brygadami piechoty, 3.000 jazdy i 26 armatami wolną utrzymał całą przestrzeń między Nieborowem a Bzurą. Ale Chrzanowski dowodził, że się to nie da wykonać, najprzód dlatego, że nieprzyjacielowi będzie zależało na ściągnieniu tam właśnie wszystkich sił swoich, a powtóre, że z powodu zdania, jakie wygłosił na radzie,

---

ciszek Wężyk; posłowie: Ignacy Dembowski, Teodor Ślaski, Józef Świrski, Wincenty Tyszkiewicz i Teodor Morawski. (Teodor Morawski «Dzieje Narodu Polskiego» T. VI, str. 413)

[1]) Jen. Skrzynecki złożył urzędowo naczelne dowództwo 12 sierpnia. Tegoż dnia jen. Dembiński mianowany został zastępcą naczelnego wodza, a zatwierdzony na tem stanowisku 17 sierpnia.

on podjąć się tego nie może, ażeby w razie niepowodzenia nie oskarżono go, że dał się pobić ze złej woli.

Robiono jeszcze różne inne plany ataku, ale wszystkie odrzucone zostały, jako zbyt trudne do wykonania, a dające mało nadziei zwycięstwa.

Mimo że Chrzanowski utrzymywał, iż lepszego stanowiska, jak w Bolimowie, nie znajdziemy, postanowiono Bolimów opuścić. Wyobrażano sobie, że, cofnąwszy się do Szymanowa, można będzie atakować nieprzyjaciela, podczas gdy ten się zapuści w cieśninę, tam prowadzącą; ale ani to stanowisko, ani sposób, w jaki wojsko rozstawione zostało, nie nadawały się do ataku. To też za zbliżeniem się rosyjskich kolumn zabrano się do dalszego odwrotu, w czasie którego korpus Ramoriny, zaatakowany w znacznej sile przez nieprzyjaciela we wsi Szymanowie, po żywej utarczce ustąpił w porządku, spaliwszy obydwa mosty.

Była jeszcze mowa o bronieniu stanowiska Utraty, ale wiadomość o bezeceństwach, popełnionych 15 sierpnia w Warszawie, budząc obawę, aby się one nie powtórzyły, wywołała postanowienie ściągnięcia wojska pod samą Warszawę i rozłożenia go między miastem a nowemi fortyfikacyami.

Jak przyszło do haniebnych wypadków 15 sierpnia? Od czasu, jak nieprzyjaciel stanął o dwa dni ledwie marszu od Warszawy, kto tylko z mieszkańców stolicy zdołał bronią władać, spieszył do obozu. W Warszawie zostali ranni, kalecy i trochę rekrutów. Powszechna prawie zgodność uczuć między Polakami sprawiła, że zaniedbano niektórych środków ostrożności, zawsze potrzebnych względem pewnej części pospólstwa w wielkich miastach. Nikczemnicy skorzystali z coraz groźniejszego zbliżania się nieprzyjaciela, ażeby ludność podburzać pogłoskami o zdradach naczelników wojska i rządu[1]). Zaręczali, że

[1]) Pani Działyńska pisała z Warszawy 13 sierpnia: «Ludzie, podający się za wielkich patryotów, głośno dowodzą, że wszystko źle

nieprzyjaciel zajdzie armię z tyłu i że stolica wydaną będzie bez obrony; przedstawiali, na jaką zemstę będzie wystawiona. Nalegali szczególnie na to, że wypuszczona wówczas zostanie z więzienia cała zgraja służalców w. xięcia, będących niegdyś narzędziami jego okrucieństw, a teraz zamkniętych, po części, żeby ich ustrzedz od sprawiedliwej zemsty ludu, po części, żeby się od ich szpiegostwa zabezpieczyć. Mówiono, że nędznicy ci będą puszczeni na wolność, aby swobodnie powrócić mogli do poprzedniego rzemiosła. Oprócz dawnych szpiegów w. xięcia[1], było uwięzionych w zamku kilku Moskali, jako też Polaków, których aresztowano za liczne dowody porozumiewania się z nieprzyjacielem. Czekali oni w więzieniu na wyrok po indagacyi, w ich sprawie prowadzonej. Między nimi byli jenerałowie, mający stanąć przed sądem wojennym, jedni z powodu ciężkich przewinień, popełnionych w dowództwie powierzonego im wojska[2], inni dla rzuconego na nich podejrzenia zdrady[3].

Łatwo pojąć, jak wszystkie te pogłoski i podejrzenia, zręcznie po mieście rozsiewane, rozjątrzały ludność, która już przewidywała straszną zemstę zwyciężającego nieprzyjaciela. To też, kiedy naraz zgraja najwstrętniejszych wyrzutków społeczeństwa pod dowództwem kilku łotrów, mieniących się patryotami, wdarła się do więzień, kiedy dziki, choć nieliczny motłoch przebiegał ulice w morderczych zamiarach, uczciwa część ludności warszawskiej zachowała się biernie, a straż bezpieczeństwa obowiązkowi swemu nie odpowiedziała. Dzień ten na zawsze w dziejach naszych haniebnym zostanie.

idzie, bo dotąd nikt nie został powieszony i pocichu wymieniają, od kogo trzebaby zacząć. Moskale przez swoich emisaryuszów głoszą, że, póki walczyli z nami żelazem i ołowiem, przegrywali, bo żołnierz nasz bitny, ale, odkąd zaczęli walczyć złotem, sprawa nasza upada. Ludzie, którzy podobne wieści rozsiewają, uważani są za bohaterów.»

[1]) Trzymanych głównie w więzieniu za rogatkami Wolskiemi.

[2]) Jankowski i Bukowski.

[3]) Hurtig i Sałacki.

Sprawa publiczna musiała bardzo nizko upaść, aby podobny zamach mógł się uskutecznić, zamach od dawna przygotowywany przez ludzi nikczemnych, jakich się napotyka w każdem społeczeństwie w chwilach podobnych przesileń, ludzi zdolnych do wszelkiej zbrodni, byleby siebie na widownię wynieść pod maską patryotyzmu.

Kto, mimo takiego usposobienia ulicy, wytrwał do końca w służbie kraju, ten dał dowód wielkiego patryotyzmu. Służyć ojczyźnie z całą wiarą, z nieograniczonem poświęceniem, co chwila stawiać za nią los swój i życie, a obok tego widzieć jasno, że nawet swoi potępią, że zaślepiony lud ukamienuje obrońców narodu, — na to trzeba było bohaterstwa. To też znajdowali się tacy, co mówili: «Póki wojna, to możem i musim służyć krajowi, ale, gdy się naród na wolność wybije, uciekać trzeba będzie z kraju[1])».

---

[1]) Do jakiego stopnia morderstwa warszawskie były na rękę Moskalom, o tem świadczą między innemi listy hrabiny Nesselrode do męża, wicekanclerza rosyjskiego, dwa pierwsze pisane przed, a trzeci po 15 sierpnia:

«Londyn, 20 lipca 1831.

Trzeba być za granicą, żeby zdać sobie sprawę do jakiego stopnia jesteśmy w tej chwili znienawidzeni i prześladowani. Czy zwyciężymy, czy przegramy, zawziętość przeciw nam tylko wzrośnie.»

«Londyn, 24 lipca 1831.

Mam przekonanie, że jeśli Paskiewicz odniesie zwycięstwo, to Rosyanie, mieszkający w wielkich miastach, będą musieli czasowo się ukrywać.»

«Londyn, 2 września 1831.

Dzielę zdanie tych, co twierdzą, że nic lepszego dla nas zdarzyć się nie mogło, jak to, co zaszło w Warszawie. Polacy zniszczyli współczucie, jakie dotychczas wzbudzali, okazując się takimi, jakimi są i zawsze byli. Ci, co za nimi przemawiali, muszą głowę spuszczać. Przypuszczam, że to wam pomoże w przeprowadzeniu tego wszystkiego, coście w tym kraju uczynić zamierzali. Jakże ten wypadek zmienił postać rzeczy. Talleyrand wygląda jak zmyty. Rzeczy biorą obrót dobry.» (Lettres et papiers du chancelier comte de Nesselrode. T. VII, str. 202, 205, 215)

Całe wojsko zgromadziło się pod wałami Warszawy 16 sierpnia. Główną kwaterę założono na Czystem. Ramorino objął dowództwo na lewo od Woli, Umiński na prawo. Przerażenie w kwaterze głównej wobec stanu miasta, wobec spisu osób, które miały być powieszone: x. Adam, Skrzynecki, Chrzanowski. Chrzanowski chciał, aby mu powierzono przywrócenie porządku w mieście. Gdy się wahano, oświadczył, że jeżeli go nie zamianują gubernatorem miasta, to, nie mając ochoty być powieszonym przez swoich, uda się do obozu rosyjskiego, aby tam prosić o schronienie i opiekę: otrzymawszy żądaną nominacyę, wszedł do miasta z 1 pułkiem piechoty i 1 strzelców i natychmiast kazał aresztować przewódców rozruchu 15 sierpnia, a nasamprzód Puławskiego. Dnia 17 sierpnia Dembiński został mianowany wodzem naczelnym przez dotychczasowy Rząd Narodowy[1]). Chrzanowski namawia go do zamachu stanu. Chce kazać powiesić sprawców 15 sierpnia przed zamkiem, podczas gdy Dembiński ogłosi się naczelnikiem rządu, sejm rozwiąże i t. d. Dembiński zgadza się, pod dziwnym jednak warunkiem, że zostanie zamianowany przez sejm. Ale sejm, w tym samym dniu 17 sierpnia zebrany, oddaje władzę, z tytułem najprzód prezesa ministrów, potem prezesa rządu, Krukowieckiemu, a ten, chociaż potwierdza Chrzanowskiego na urzędzie gubernatora Warszawy, każe wypuścić z więzienia morderców 15 sierpnia, a w parę dni potem, 20 sierpnia, odejmuje naczelne dowództwo wojska Dembińskiemu, oddając mu tylko komendę dywizyi.

W dniu 16 sierpnia pewna liczba oficerów z różnych korpusów zebrała się celem wypowiedzenia swej zgrozy na bezprawia poprzedniego dnia w stolicy popełnione. Liczne uzyskano podpisy na projektach adresów do jen. Dembińskiego, które w pospiechu z różnych stron nade-

[1]) Nominacya podpisaną została jeszcze przez x. Adama, który tegoż dnia, wraz z innymi członkami rządu, ustąpił.

słano. Jen. Krukowiecki, prezes rządu, nie był zdolny pochwalić tak szlachetnego oburzenia. Kazał prywatnie roznieść po obozach wyraz swego niezadowolenia z przygotowującego się adresu, a głośniej odzywającym się prywatnie zagroził, że rozstrzelać ich każe. Wnet też, gdy jen. Dembińskiemu naczelnictwo wojska odjął, nie było już komu adresu tego wręczyć.

Dnia 17 sierpnia wydano korpusowi II rozkaz odbycia rekonesansu z kawaleryą i armatami, chociaż nasz korpus nie miał wówczas wcale artyleryi konnej, a bardzo mało jazdy[1]). Instrukcye dane zostały pułkownikowi Gallois. Gallois był chciwy odznaczenia, zazdrościł chwały zdobytej przez swoich dwóch poprzedników, Ramorinę i Langermanna. Mimo że był trochę oczytany w dziełach wojskowych, dowiódł w tym wypadku, że nie umie używać rozmaitej broni, ani ocenić właściwości terenu. Sposób, w jaki się następnie wymknął z rąk Moskali, ściągnął na niego niesprawiedliwe posądzenie. W potyczce ranny był od dwóch uderzeń lancą. Pułk. Dąbrowski oskarżył go z obawy, by mu nie odebrano komendy brygady i z żalu, że Gallois pułk mu zatracił.

Celem rekonesansu było nastraszyć burzliwych mieszkańców Warszawy hukiem armat; wojskowego znaczenia nie miał. Na dobrą sprawę, jak mi mówił Prądzyński, nie trzeba go było wcale wykonywać. Krukowiecki chciwie skorzystał z tej sposobności, by wszystkie winy na mnie zrzucić i wymówić mi w bardzo przykry sposób, że sam w rekonesansie udziału nie brałem, nie widząc, że to, co mówił, było dla mnie właściwie wobec wojska pochwałą. >

Podczas tego rekonesansu dwa nasze bataliony i trzy szwadrony walczyły z dziesięciu szwadronami jazdy nie-

---

[1]) 9 pułk ułanów i 2 pułk kaliski.

przyjacielskiej. Pułk. Gallois opisał Zamoyskiemu przebieg tej walki w liście z 19 marca 1832:

«Po bitwie pod Szymanowem (15 sierpnia), cofaliśmy się dalej ku Warszawie. Począwszy od Błonia, dowodziłem aryergardą korpusu z batalionem trzecim pułku trzeciego. Deszcz padał ulewny, drogi były złe; przybyłem na pozycyę późno w nocy, żołnierze tego batalionu bardzo byli pomęczeni, wogóle cała moja brygada wycieńczona, boś nas Pułkownik, ku naszemu zadowoleniu, nie oszczędzał. Popełniłem wielki błąd, biorąc nazajutrz ten sam batalion na rekonesans, bo ufałem jego dowódcy. To się stało głównym powodem mego niepowodzenia.

Nie wspominam o odebranych instrukcyach. Były one takie, jakie w podobnych razach daje się zaufanemu oficerowi. Mówi mu się: «Idź i zrób jak najlepiej». Wtajemnicza się go w cel misyi, nie obarczając drobnemi poleceniami, które, wskutek tysiącznych okoliczności, okazują się zwykle całkiem niewykonalne.

Posuwałem się kolumną. Moje dwa bataliony opierały się z lewej i prawej strony o szosę, w odstępie między niemi umieściłem na drodze oba działa. Jedną kompanię i saperów pozostawiłem w rezerwie w niewielkiej odległości od Woli, we wsi, której nazwiska nie pamiętam. Przodem wysłałem trzy swadrony jazdy kaliskiej, nienajlepszej w wojsku polskiem. Spostrzegłszy dość znaczną gromadę kozactwa, rozkazałem pułkownikowi przepędzić ją na drugą stronę wsi, przed nami będącej; były to Bronisze, jak się później dowiedziałem. Kozacy zsiedli z koni. Jazda nasza się nie ruszyła. Wobec tego sam wystąpiłem naprzód, a nie chcąc narażać mych biednych szwadronów, w których wielu żołnierzy pierwszy raz było w ogniu, kazałem posunąć się naprzód kolumnie, która się zatrzymała. Poprzedziłem ją tyralierami, ci przepędzili kozaków, co nam umożebniło przejście na drugą stronę wsi. Jeden z moich batalionów wysunął się nieco

poza nią. Wówczas dopiero zrozumiałem całą grozę położenia. Zewsząd zmierzały ku nam pułki jazdy. Kazałem dać ognia z armat, — odpowiedziano. Gdyby Bronisze posiadały jakiekolwiek środki obrony, byłbym drwił z tej masy kawaleryi, ale wioska ta składa się z kilku chałup, bez drzew ni płotów, a stojący opodal lasek świerkowy tak jest rzadki, że nie stanowi żadnej osłony od kul działowych. Wiedziałem, że nieprzyjaciel nie pozostawi mnie w spokoju, ale ufałem jeszcze, że potrafię go odeprzeć. Dwom kompaniom, które z lewego skrzydła wysunęły się w stronę lasku, posłałem rozkaz powrotu, poczem rozpocząłem odwrót w tym samym porządku, w jakim przyszedłem. Kazałem też powrócić tyralierom, znajdującym się po bokach kolumn i trzymać się tuż przy nich. Te różne rozkazy nie zostały wykonane dość szybko; wogóle zauważyłem, że polscy żołnierze, a bardziej jeszcze oficerowie, są niezmiernie powolni. Zaledwieśmy uszli kilkaset kroków, gdy nieprzyjaciel zbliżał się przez wieś ku nam. Sądząc, że przygotowuje się do uderzenia, zatrzymałem kolumnę i dałem rozkaz majorowi Gérard, dowodzącemu batalionem trzecim, by sformował go w czworobok. Korzystając z chwilowego zamieszania, wywołanego w szeregach nieprzyjacielskich przejściem dość głębokiego strumyka, dałem kawaleryi hasło do ataku. Rozkaz nie został wykonany i, na dobrą sprawę, cóż mogły biedne trzy szwadrony przeciw takiej sile! Moje dwie armatki dały parę razy ognia, kładąc licznego trupa.

Widząc, że batalion drugi, choć na dwie części podzielony, uszykował się w porządku, wróciłem do batalionu trzeciego, który miał wytrzymać pierwsze uderzenie. Jakaż była moja boleść, gdym go znalazł w najokropniejszym nieładzie. Major Gérard, straciwszy całkiem głowę, krzyczał jak opętany, oficerowie również krzyczeli, żołnierze wyglądali jak stado wylęknionych owiec. Jeden rzut oka przekonał mnie, że los batalionu rozstrzygnięty.

Ukrywając bolesne wzruszenie, wyrzekłem kilka słów zachęty, a nie mogąc przedrzeć się przez tę bezładną masę, powróciłem do artyleryi. Nieprzyjaciel posuwał się ciągle naprzód. Gdy się przybliżył na jakie trzydzieści kroków, młody, dzielny dowódca plutonu artyleryi dał ognia. Rzuciłem się w czworobok batalionu drugiego, dowodzony przez majora Kuhn. Tu winienem nadmienić, że batalion drugi podzielony był na dwie części dlatego, iż w chwili rozpoczęcia odwrotu dwie jego kompanie pod majorem Thieme wysunięte naprzód, nie zdążywszy złączyć się z dwiema drugiemi kompaniami, sformowały się osobno.

Tymczasem batalion trzeci, mimo nieładu, jaki w nim panował, dwukrotnie odparł nieprzyjacielskich ułanów, ale za trzecim atakiem poszedł w rozsypkę. Inny pułk ułanów został również trzykrotnie przez naszych odparty. Ataki stawały się słabsze, jeszcze chwila a bylibyśmy mogli odetchnąć i przygotować się do stawienia czoła dwom pułkom kirasyerów, cwałem ku nam pędzącym.

Niestety widok rozbicia batalionu trzeciego tak zniechęcił młodych żołnierzy batalionu drugiego, że rzucili broń o ziemię. Waleczni majorowie Kuhn i Thieme, ten ostatni jeden z najdzielniejszych i najlepszych żołnierzy z całego wojska, tudzież mój poczciwy adjutant, Józef Gurowski, otrzymali po kilka ran. Po złamaniu czworoboku staliśmy się świadkami gwałtów nie do opisania. Moskiewscy oficerowie krzyczeli, by zabijać oficerów, a oszczędzać tylko żołnierzy. Co do mnie, założywszy ręce, dałem folgę memu oburzeniu przeciw barbarzyńcom, nakazującym mordować bezbronnych. Otrzymałem jeszcze trzy pchnięcia lancą; wreszcie major ułanów, który od kilku chwil zdawał mi się przysłuchiwać, kazał zaprzestać rzezi, a zagadnąwszy do mnie po francusku, wziął mnie w opiekę.

Był to, jak się następnie dowiedziałem, major, później pułkownik Kotzebue. Kazał mi podać konia jakiegoś zabitego kozaka, bo wskutek znacznego upływu krwi

zesłabłem i odprowadził mnie do głównej kwatery, gdzie jen. Witt przysłał mi swego chirurga. Nieprzyjaciel miał w zabitych i rannych: jednego pułkownika, trzech majorów, dwunastu do piętnastu oficerów i dwustu do dwustu pięćdziesięciu żołnierzy. Z naszej strony padło czterdziestu pięciu oficerów i około trzystu żołnierzy[1]).»

---

[1]) Według Puzyrewskiego (Wojna polsko-ruska 1831 r., str. 413) Moskale ujęli wraz z pułkownikiem Gallois 16 oficerów, 1322 szeregowców i 2 działa.

X

WYPRAWA NA ROSENA

KRYNKI — ZEMBRY (28 SIERPNIA). — MIĘDZYRZEC — ROGOŹNICA (29 SIERPNIA). — TERESPOL (2 WRZEŚNIA)

⟨ Na radzie wojennej (19 sierpnia) powstał zamiar wyprawienia korpusu II na prawy brzeg Wisły. Daremnie Chrzanowski opierał się temu, dowodząc, że trzeba bitwę stoczyć przed szańcami Warszawy, sił nie rozdzielając i uderzając na nieprzyjaciela znienacka na jakimkolwiek punkcie. Większość (dwanaście głosów na ośm), postanowiła wyprawić II korpus pod dowództwem Ramoriny dla oczyszczenia Podlasia i zapewnienia żywności dla stolicy; Łubieńskiego z kilkotysięcznym oddziałem wysłano do województwa płockiego. Osłabiając w ten sposób obronną siłę Warszawy, zdawano ją na łaskę Paskiewicza. Gdy Bem przyniósł mi rozkaz wymarszu dla korpusu, powiedziałem: «To pierwszy krok do wydania stolicy». Zdaje się, że Krukowiecki już wówczas zamierzył tak rzeczy postawić, by zmusić stolicę do wejścia w układy z nieprzyjacielem i przygotować do nich umysły[1]).⟩

---

[1]) Część dokumentów i wspomnień w tym i następnym rozdziale zawartych, wydrukowana została w Paryżu, pod tytułem «O zarzucanem niedopełnieniu rozkazów», w czasopiśmie emigracyjnem «Trzeci Maj», numery z 15, 22, 29 czerwca i 6 lipca 1844.

Zamoyski w listach z czasów emigracyjnych częste czyni wzmianki o dokumentach, odnoszących się do działań korpusu II w sierpniu i wrześniu 1831. I tak, pisze do x. Adama z Anglii, 20 września 1832: « . . . Co porabia mój były dowódca (Ramorino)? Jeżeli jest w Paryżu, proszę Wuja, jako o wielką łaskę, postarać się, by mi wydał papiery,

Jen. Małachowski, mianowany przez Krukowieckiego «zastępcą naczelnego wodza», wydał, po francusku, następujące instrukcye dla II korpusu[1]):

---

dotyczące naszego korpusu. Jeśli nie chce się z niemi rozstać, niech pozwoli przepisać. Czyby się Sienkiewicz tego nie podjął, rozumie się na mój koszt. Wolałbym nierównie, by mi Ramorino odstąpił te papiery w oryginałach, ja zaś zaręczę mu zwrot w kopiach i tłomaczeniach francuskich. Do spisania tej części naszej wojny są one koniecznie potrzebne.»

Ostatecznie niewiadomo, co się z temi papierami stało. Tu przytoczone dokumenty, podane są, po największej części, z własnoręcznych odpisów Zamoyskiego, lub z brulionów, ręką jen. Ramoriny pisanych.

[1]) «N. 259. Au Quartier général à Czyste, le 20 Août 1831.

A S. E. M. le Général Ramorino, Commandant le 2me corps

J'ai l'honneur de vous prévenir, mon Général, que vous êtes désigné pour commander l'expédition sur la rive droite de la Vistule, qui sera composée de votre corps, de la division de cavalerie du Gal Skarżyński et d'une batterie d'artillerie à cheval.

Le but de cette expédition est:

1ent battre le corps de Gołowin et le rejeter au delà du Bug, et détruire tous les ponts ainsi que les moyens de passage que pourrait avoir l'ennemi.

2ent faire évacuer à l'ennemi les Palatinats de Podlachie et de Lublin et y réinstaller l'autorité légale de notre Gouvernement.

3ent faire tous vos efforts, de concert avec les commissions palatinales afin d'approvisioner les troupes cantonnées aux environs de Varsovie et faciliter le transport des vivres pour cette ville. Il va sans dire que les vivres et les fourrages, tant pour les troupes de Varsovie que pour celles sous votre commandement, doivent être prises en réquisition. Vous tâcherez pourtant, mon Général, que cela se fasse avec ordre — et que la réquisition ne se change en pillage.

4ent Vous tâcherez, mon Général, de réorganiser les gardes de sureté (Straże bezpieczeństwa) et même la pospolite, qui soutenus par des détachements de troupes régulières, tant de la garnison de Zamość que de votre corps, couperaient toute communication entre l'ennemi, occupant la rive gauche de la Vistule et la Volhynie.

5ent Vous ferez tous vos efforts, mon Général, pour faciliter l'enrôlement des volontaires et le recrutement de nouvelles levées, et vous vous entendrez avec la commission de la guerre sur les dispositions qu'elle fera à ce sujet. Surtout il est urgent de se procurer des cavaliers

«Nr 259. W kwaterze głównej na Czystem
20 sierpnia 1831.

Do JW. Jenerała Ramorino, dowódcy II korpusu

Mam zaszczyt uwiadomić Pana Jenerała, że jesteś przeznaczony do objęcia dowództwa nad wyprawą na prawy brzeg Wisły. Do wyprawy tej należeć będą: korpus Jenerała, dywizya kawaleryi jen. Skarżyńskiego i jedna baterya artyleryi konnej.

Celem tej wyprawy jest:

1. Pobić korpus Gołowina[1]) i przepędzić go za Bug, zniszczyć wszystkie mosty i środki przeprawy, które nieprzyjaciel mieć może.

---

qui puissent compléter nos régiments de cavalerie déjà éxistants.

6ent Enfin, si les évènements de la guerre ne nous portent pas à vous prescrire une nouvelle direction, vous vous porterez sur la rive droite du Bug, pour occuper Brześć Litewski, ce qui, sans contredit, serait pour nous un grand avantage.

Le mode d'exécution des détails ci-dessus mentionnés est laissé à votre sagacité et à vos talents. Il paraît cependant que dans l'état actuel des choses, il faudrait commencer par un mouvement sur Gołowin, cantonné entre Mińsk et Kałuszyn, se portant en masse sur Stanisławów, afin de pouvoir se jeter sur le flanc du corps ennemi et le rejeter de sa direction de Brześć. Quant à l'ennemi occupant le Palatinat de Lublin, il faudrait marcher sur lui dans la direction de Lubartów vers Lublin. Sur la rive droite de la Vistule, l'ennemi ne présente actuellement aucune masse qui exige l'emploi de toutes vos forces réunies. Par conséquent vous trouverez peut-être à propos de commencer votre mouvement sur deux colonnes; l'une maicherait sur Gołowin, l'autre remonterait la rive droite pour détruire tous les préparatifs de pont et de passage. Ce partage de forces vous faciliterait les subsistances et accélèrerait l'évacuation du pays par l'ennemi.

Pour marcher dans le Palatinat de Lublin vous réuniriez vos colonnes, si les nouvelles de l'ennemi annonçaient que vous y dussiez trouver des forces imposantes. Pour attaquer ces dernières vous chercheriez toujours à prendre une direction telle que, par suite d'une victoire, vous rejetiez l'ennemi de sa retraite naturelle.

(Signé) le Général de division, commandant en chef par intérim
Małachowski.

[1]) Właściwie Rosena, którego Gołowin stanowił przednią straż.
(W. Z.)

2. Oczyścić z nieprzyjaciela województwa podlaskie i lubelskie i przywrócić w nich prawą władzę naszego rządu.

3. Wszelkich wysileń dołożyć, wspólnie z komisyami wojewódzkiemi, dla zaopatrywania wojska, znajdującego się pod Warszawą i ułatwiania dowozu żywności dla tego miasta. Rozumie się, że żywność i furaż, tak dla wojska pod Warszawą, jak dla korpusu Jenerała, mają być pobierane drogą rekwizycyi; jednakowoż dopilnujesz Jenerał, by to się robiło z ładem i by rekwizycya nie zamieniła się w rabunek.

4. Będziesz się Jenerał starał wskrzesić straże bezpieczeństwa, a nawet pospolite ruszenie, które, poparte przez oddziały wojska regularnego, tak załogi Zamościa, jak korpusu Jenerała, przecięłyby wszelkie komunikacye między nieprzyjacielem, zajmującym lewy brzeg Wisły, a Wołyniem.

5. Ułatwisz Jenerał wszelkiemi sposobami zaciąganie się ochotników i pobór rekruta. Porozumiesz się Jenerał z komisyą wojny, co do rozporządzeń, jakie w tej mierze wyda. Szczególnie naglącem jest dostarczyć jeźdźców, mogących uzupełnić nasze pułki jazdy.

6. Nakoniec, jeżeli wypadki wojenne nie każą nam nadać Jenerałowi innego kierunku, udasz się Jenerał na prawy brzeg Bugu dla opanowania Brześcia Litewskiego; zajęcie jego niezaprzeczenie byłoby dla nas z wielką korzyścią.

Sposób wykonania powyższych rozporządzeń pozostawiony jest przezorności i zdolnościom Jenerała. Zdaje się jednak, iż w obecnym stanie rzeczy, należałoby rozpocząć od ruchu przeciw Gołowinowi, znajdującemu się między Mińskiem a Kałuszynem; udać się w sile na Stanisławów, wpaść na nieprzyjaciela z boku i spędzić go z drogi do Brześcia. Co zaś do nieprzyjaciela, zajmującego województwo lubelskie, trzebaby iść na niego na Lubartów, ku Lublinowi.

Na prawym brzegu Wisły nieprzyjaciel nie znajduje się obecnie w takiej liczbie, by zmuszać do użycia przeciw niemu wszystkich sił. Wskutek tego uznasz może Jenerał za właściwe rozpocząć ruch swój dwiema kolumnami. Jedna szłaby na Gołowina, druga w górę prawym brzegiem, niszcząc wszystkie przygotowania do mostów i przepraw. Taki podział sił ułatwiłby Jenerałowi wyżywienie korpusu i przyspieszył oczyszczenie okolicy z nieprzyjaciela. W województwie lubelskiem połączyłbyś Jenerał swoje kolumny, gdyby wieści o nieprzyjacielu zapowiadały, że tam spotkasz znaczne siły. Dla uderzenia na nie obierałbyś Jenerał zawsze taki kierunek, by, wskutek odniesionego zwycięstwa, zepchnąć nieprzyjaciela z linii jego naturalnego odwrotu.

Jenerał dywizyi, zastępca naczelnego wodza
Małachowski.»

Zamoyski na własnoręcznej kopii powyższego rozkazu, przy słowach: «trzebaby iść na niego na Lubartów ku Lublinowi», dodał na marginesie następną uwagę:

«NB. Co dalej następuje, jest napisane ręką jen. Prądzyńskiego i opuszczone w polskiem tłomaczeniu, wydanem z głównej kwatery w Koszykach z datą następnego dnia i z tymże podpisem. Natomiast, po tychże słowach, rozkaz polski zawiera co następuje: — Minister wojny otrzymał polecenie wypłacenia na żołd dla korpusu JW. Jenerała sto pięćdziesiąt tysięcy (150.000). Jakiekolwiek JW. Jenerał zastaniesz fundusze w kasach, bądź miejskich, bądź rządowych, zechcesz je niezwłocznie odsyłać do Warszawy, a nawet, według możności, urzędnicy ściągać winni podatki i odsyłać je również do Warszawy.

Zast. N^{o} W^{a} Gen. Dyw. Małachowski.—»

<Wszyscy w Warszawie nalegali na to, by przedewszystkiem dosięgnąć Rosena i pobić go, a potem, skierowawszy się ku Lublinowi, dostarczyć jak najwięcej żywności. Zaręczano nam, że, bylebyśmy Rosena pobili

i zapewnili żywność dla miasta i wojska, to szańce Warszawy obronią się przeciwko Paskiewiczowi. O niczem innem nie rozprawiano, jak tylko o marszu forsownym szosą na Rosena, wyobrażając sobie, że Rosen jest u wrót Pragi i zapominając, że powody, dla których myśmy koniecznie chcięli go dosięgnąć, stanowiły dla niego powód, aby on na nas czekać nie zechciał. Mówiono do mnie: «Przetniecie armii, stojącej pod Warszawą, komunikacye przez górną Wislę; może nawet ta armia się zmniejszy, może Paskiewicz zechce korpus jeden od niej oderwać i na prawy brzeg Wisły przeprawić na was. Wyprzedźcie ten korpus, pobijcie go, macie siły do tego potrzebne, ale przedewszystkiem zniszczcie Rosena!» Nie chciano, abyśmy dopuszczali nawet myśli jakiegokolwiek niebezpieczeństwa dla stolicy; utrzymywano, że nie jesteśmy potrzebni dla jej obrony. Te zaręczenia niewiele zaufania wzbudzały we mnie.

Nie miałem żadnego udziału w postanowieniu o wyprawie naszego korpusu, ale osobiście ucieszyłem się z tego. Warszawa tak mi zbrzydła, że, chociaż byłem w obozie u jej rogatek, prawie że nogą nie postałem w mieście. Przeczuwałem, że obrona stolicy będzie zwycięstwem tchórzliwych, że się ludność sfanatyzuje, że się wzmoże to, co się już stało przed oblężeniem. Zdawało mi się pożądanem, żeby całe wojsko opuściło stolicę, że wówczas dopiero sprawa stanie się czysto wojskową i doprowadzi do rozstrzygnienia. Wielkim podług mnie było błędem czekać na szturm. Trzeba było opuścić miasto z wojskiem, nie rozprzężonem jeszcze, a potem traktować w polu i tak szaleńców do rozumu doprowadzić, jak się później zrobiło pod Modlinem, ale zapóźno.

Bądź co bądź, rozkaz dla naszego korpusu był wyraźny, dobitny. Zająłem się tylko tem, by go jak najskuteczniej wypełnić.〉

Zaraz po odebraniu rozkazu, Zamoyski spisał następujące uwagi, co do sposobu wykonania go:

«20 sierpnia.

Według zawiadomień, jak się zdaje niewątpliwych, Gołowin i Rosen są w Miłosnej z szesnastu do dwudziestu armatami i sześciu czy ośmiu tysiącami żołnierza[1]). Stosownie do tego, sądzę, że trzeba ruch korpusu rozłożyć, jak następuje: Chcąc napaść na nieprzyjaciela znienacka i nie dać mu się wymknąć, należy rozpocząć ruch przededniem, o tyle wcześnie, żeby piechota miała czas całkowicie zniknąć w lesie okuniewskim tak, aby jej nie dostrzegli ani kozacy, rozproszeni pod Wawrem, ani wojsko nieprzyjacielskie, znajdujące się na wyżynach Służewa. Żeby dojść do lasu, trzeba dwóch godzin, idąc na Ząbki, a zatem, żeby cała kolumna przeszła, trzeba wymaszerować na cztery godziny przededniem, zwieść nieprzyjaciela pozornym ruchem kawaleryi ku szosie i tak zdobyć czas potrzebny do zajścia mu tyłów przez Stanisławów. Nieprzyjaciel ma główną kwaterę w Mińsku. Idąc szosą, nie moglibyśmy go dogonić, bo jest o dwa marsze przed nami. Ażeby go omylić co do naszych zamiarów, trzeba wziąć inny kierunek, a potem dotrzeć zwrotem w bok. Mamy zarazem rozkaz przekonać się, czy nieprzyjaciel ma mosty na Wiśle w stronie Góry, a jeżeli ma, to je zniszczyć. Z główną zatem częścią korpusu pójdziemy przez Wiązownę, Kołbiel; jeden mocny oddział pójdzie brzegiem Wisły, drugi, złożony z jazdy, zamaskuje ruch nasz, ukazując się na gościńcu, ale nie nacierając.»

⟨Korpus II liczył w dniu wymarszu z Warszawy 15.276 piechoty, 4.207 jazdy i 40 dział. Skład jego był następujący:

Piechota

Dywizya 5: Jenerał Sierawski.

---

[1]) Dnia 20 sierpnia, niejaki Sokołowski przywiózł z obozu nieprzyjacielskiego wiadomość, że Gołowin i Rosen znajdują się w Miłosnej i okolicy z dwunastu tysiącami wojska i dwudziestu sześciu armatami.

1 brygada: pułk. Dąbrowski w zastępstwie jen. Węgierskiego.
2 brygada: jen. Zawadzki.
Dywizya 6: Jenerał Bieliński.
1 brygada: pułk. Urbański w zastępstwie jen. Sierakowskiego.
2 brygada: pułk. Rychłowski.

Jazda

Dywizya 3: Jenerał Gawroński[1]).
1 brygada: jen. Sznayde.
2 brygada: jen. Konarski.
3 brygada: pułk. Kruszewski[2]).

Artylerya

podpułkownik Turski.

X. Adam towarzyszył wyprawie; Krukowiecki dał znać, że jest jego życzeniem, aby xiążę opuścił stolicę.»

Dziennik[3]):

«21 sierpnia 1831. — Korpus przeprawia się na Pragę, od dziewiątej wieczór do czwartej z rana.

22. — Postój na Pradze dla zorganizowania się.

23. — Korpus wyrusza o drugiej rano, dywizya 5 na czele. Jen. Zawadzki ze swoją brygadą piechoty i z brygadą 3 konnicy rusza na Karczew[4]), dla przekonania się, czy nieprzyjaciel nie próbuje przeprawy przez Wisłę. Pułk 3 ułanów bierze tam 60 jeńców. Dywizya 6 zajmuje Wiązownę. Dywizya 5 staje na prawym brzegu

---

[1]) W miejsce dotychczasowego dowódcy, jen. Kazimierza Skarżyńskiego.

[2]) Dowódca po Gawrońskim 5 pułku ułanów; dowództwo brygady otrzymał w chwili wymarszu korpusu II z Warszawy.

[3]) Zestawiony z dziennika Zamoyskiego (21. 8 do 17. 9) i z kopii dziennika kapitana Horocha (21. 8 do 11. 9), pisanej ręką Zamoyskiego. W dziennikach tych niema sprzeczności, a wzajemnie się dopełniają.

[4]) Zgodnie ze wskazówką, daną przez jen. Prądzyńskiego w dopisku do rozkazu z 20 sierpnia.

Świdra, przed Mlędzem. Kwatera główna w Mlędzu. Konarski z brygadą 2 w Miłosnej.

24. — Jen. Sznayde z brygadą 1 i jednym batalionem piechoty wyprawiony przez Białki do Osiecka, by tam pozbierać rozbitki napadu na Karczew. Zawadzki rusza na Osieck. Dywizya 6 trzyma się prawego brzegu Świdra. Konarski idzie za nią i zajmuje Starą Wieś, gdzie się korpus zbiera na noc. Dywizya 5 posuwała się lewym brzegiem Świdra.

25. — Cały korpus rusza na Osieck. Tylko pułk artyleryi zostaje w Sufczynie pod strażą dwóch batalionów i dwóch szwadronów.

Wobec sprawozdań, jakie złożyli Sznayde i Zawadzki, że aż do Potyczy nie widać nieprzyjaciela, korpus zwraca się ku Garwolinowi i noc przepędza w Łucznicy. Konarski ze swoją brygadą udaje się do Kołbiela, by lepiej park zasłonić.»

⟨Dotychczasowy kierunek korpusu i pogłoska, puszczona przez Ramorinę, że idzie na Wołyń, skłoniły nieprzyjaciela do posunięcia się z Mińska i Miłosnej w okolice Róży, a więc do opuszczenia szosy. Było to wielce pożądane dla stolicy i zgodne z celem wyprawy, gdyż oswobodziło drogę, po której dogodnie iść mogły dostawy żywności z Siedleckiego.⟩

W raporcie nr 3, pisanym z obozu pod Łucznicą, 26 sierpnia rano, jenerał Ramorino, po zdaniu sprawy z ruchów korpusu w ciągu upłynionych dni, dodawał:

«Drogi są tak niegodziwe, a moja artylerya tak źle zaprzężona, że nie mogłem ruchu tego wykonać tak prędko, jakbym chciał. Musiałem też zmniejszyć niezliczoną ilość wozów, które ciągną za korpusem od wyjścia z Warszawy; bardzo ich wiele odprawiłem. Konie do

niczego i w takim stanie, że najlepiejby było, skoro wozy do Warszawy dociągną, upoważnić mnie do sprzedania ich lub rozdania między włościan, u których zawsze w razie potrzeby dostaćby ich można.

Z Łucznicy, gdzie noc spędziłem, idę do Łukowa. Zostawię za sobą silny oddział jazdy z poleceniem, żeby się dalej posunął na zwiady po tej stronie Wisły i żeby się nieustannie trzymał ruchomą kolumną od Potyczy do Warszawy, ułatwiając dowóz żywności do miasta.»

Z Łucznicy również wydał jen. Ramorino rozkaz dzienny:

«Żołnierze!

Doszła mnie wiadomość, że niektórzy z pomiędzy was, sądząc mylnie o obecnym ruchu naszym, rozumieją, iż jest skutkiem albo niepomyślnych wypadków wojennych, albo krytycznego położenia stolicy. Odzywam się do was, aby was wywieść z błędu, w którybyście w tej mierze popaść mogli. Wierzcie mi, nie tylko, że się nie wydarzyło nic nieszczęśliwego, ale, owszem, święta sprawa nasza nowej mocy nabiera przez naszą wyprawę. Wyprawa ta przy pomocy Boga i obok męstwa, żołnierzowi polskiemu wrodzonego, rokuje nam jak najważniejsze i jak najbardziej pomyślne wypadki. Warszawa ma dostateczny garnizon i pełnych energii wodzów, którzy potrafią oprzeć się nieprzyjacielowi, choćby nawet jeszcze był liczniejszym. Bądźcie tylko wytrwali, bądźcie waleczni, jak zawsze, niechaj was nie zrażają trudy i znoje, niech porządek i karność między wami się utrzymują, a mogę was śmiało zapewnić, że oręż nasz najpomyślniejszemi będzie uwieńczony skutkami.»

Dziennik:

«26 (sierpnia) rano. — Jen. Prądzyński przyjeżdża z Warszawy z szczególnemi instrukcyami[1]). Korpus rusza

---

[1]) Jen. Małachowski polecił jen. Umińskiemu przeznaczyć jeden szwadron dla eskortowania Prądzyńskiego, ale Prądzyński wyjechał

w kierunku Żelechowa. Dywizya 6 i brygada 3 kawaleryi pod rozkazami pułk. Kruszewskiego dociąga do Górzna o dziesiątej rano. Droga trudna dla wozów i artyleryi. Ulewa. Dywizya 5 w tylnej straży dosięga Górzna dopiero o szóstej wieczór. Tam się nocuje.

27. — Przednia straż napotyka w Żelechowie oddział moskiewskiej konnicy; pułk 1 ułanów uprowadza 30 jeńców i kuryera wysłanego przez Rüdigera do Rosena[1]). Korpus dociera do Żelechowa w południe, po wypoczynku ciągnie dalej do Łukowa, nocuje w Staninie. Brygada 2 kawaleryi przerzucona na lewo, by ruch zasłonić, mija Ciechomin, Wnętrzne i staje na wysokości Stanina, między Uninem a Tuchowcem[2]).

28. — Korpus dosięga Łukowa o jedenastej rano i tam wypoczywa. Nieprzyjaciel spiesznie ustępuje z Róży do Krynek i Zbuczyna. Korpus II idzie wprost ku Krynkom, dościga tylną straż nieprzyjaciela i silnie na nią naciera. Nieprzyjaciel cofa się w porządku ku Zembrom i Maciejowicom. Nasza kawalerya okrąża lasek i napada tylną straż nieprzyjaciela przy wyjściu z lasu. Lekka artylerya (nowa baterya) źle służbę pełni. Szarże kawaleryi na nieprzyjacielską piechotę daremne. Nieprzyjaciel broni wsi Zembry, nasz pułk 5 liniowy zdobywa ją na bagnety, nieprzyjaciel traci 200 ludzi.

Jen. Prądzyński, chcąc ściągnąć Rüdigera na prawy brzeg Wisły[3]), namawia jen. Ramorinę, by jen. Zawadzkiego wyprawił do Kocka z jedną brygadą, szwadronem jazdy i sześciu działami. W tym celu Zawadzki zatrzymuje się w Łukowie.»

---

z Warszawy, nie czekając eskorty, która później dopiero wyruszyła w jego ślady; goniony przez kozaków, straciwszy konie wierzchowe, sam dopędził korpus II pod Garwolinem. (W. Z.)

[1]) Z ważnemi depeszami. (W. Z.)

[2]) Tuchowiczem.

[3]) Jen. Rüdiger opuścił Lubelskie i przeprawił się na lewy brzeg Wisły 7 sierpnia, pod Józefowem, dla połączenia się z Paskiewiczem.

< Wyprawę jen. Zawadzkiego ku Kockowi doradził jen. Prądzyński, — nie z powodu, że już tracił nadzieję dopędzenia Rosena, ale owszem wtenczas, gdy d. 28 w południe sądziliśmy się już być pewnymi, że nie ujdzie nam Rosen, że go przymusim do walki, — a doradził ją w przekonaniu, że nasza siła wystarczy na pobicie Rosena, nawet bez Zawadzkiego. Takie było zdanie jen. Prądzyńskiego, które przeważyło moje własne. >

Nazajutrz, 29 sierpnia, przyszło do bitwy między wszystkiemi siłami Rosena a korpusem II na dwóch punktach: pod Międzyrzecem i pod Rogoźnicą. Ramorino zdaje z obu spotkań sprawę w raporcie nr 5:

«Międzyrzec, 30 sierpnia, po południu.

...Moja główna kwatera na noc (28 sierpnia) była w Zembrach. Nieprzyjaciel zajął groblę Maciejowice, zniszczył most i już w nocy począł się cofać do Międzyrzeca. Nazajutrz, 29, bacznie dalej się posuwałem i moja przednia straż dotarła do nieprzyjaciela pod Międzyrzecem, gdzie się upornie trzymał. Kazałem jen. Konarskiemu, dowodzącemu przednią strażą, zabawiać nieprzyjaciela, póki nie okrążę pozycyi przez dywizyę piechoty, która z Tłuścca udała się do Rogoźnicy. Jen. Bieliński miał sobie powierzone wykonanie tego ruchu. Około piątej wieczór pułk. Rychłowski na czele przedniej straży z niezwykłą dzielnością rzucił się z pułkiem 5 piechoty na wieś (Rogoźnicę) zajętą przez nieprzyjaciela. Bagnety 5 pułku, tyle razy już wypróbowane, w mgnieniu oka wieś opanowały. Dwa bataliony nieprzyjacielskie, jeden sztandar, tysiąc karabinów, wraz z jen. Werpachowskim, który wsi tej bronił, zostały się w naszych rękach. Pułk 2 strzelców natarł na dwa szwadrony rosyjskich ułanów z tak dobrym skutkiem, że zaledwie 15 koni umknąć zdołało. Wszystko, co było z tej strony mostu w chwili, kiedy nasza dywizya wystąpiła, zostało pojmane lub zabite. Przez ten czas jen. Prądzyński, ostrzeżony hukiem

dział pod Rogoźnicą, a mając bardzo mało sił do przeciwstawienia kolumnom rosyjskim, które raz po raz występowały z Międzyrzeca, przetrzymał nadzwyczaj gorącą kanonadę, w celu powstrzymania nieprzyjaciela na gościńcu, dopókąd lewe skrzydło nie zdążyło nadejść do miasta drogą od Białej, odpierając po drodze kolumny nieprzyjacielskie, które ku Białej zdążać się zdawały.

Ponieważ wzgórza dokoła Międzyrzeca obsadzone były liczną i dobrą artyleryą, postanowiłem zwolnić stanowczy ruch ku zdobywaniu miasta, dopóki nie zostanę poparty przez silne oddziały jen. Zawadzkiego, który za osobnemi rozkazami udał się w przeciwną stronę. O dziewiątej wieczór wydałem tedy rozkaz dywizyi Bielińskiego, żeby się na pozycyi zatrzymała, a sam udałem się pod Międzyrzec, aby poczynić rozporządzenia i czekać na jen. Zawadzkiego. Ten przybył o czwartej rano. Dałem rozkaz spróbowania ataku, ale nieprzyjaciel, mimo swych sił, opuścił szosę i dokonał odwrotu pospiesznie i w cichości, a tak nas na szosie pozostawił, sam zaś, aby się dostać do Brześcia, musi iść drogą o wiele dłuższą i bardzo złą.

Jakkolwiek wojsko moje jest strudzone, muszę iść dalej, bo zapał tych zacnych ludzi nie do opisania, mimo braku wszelkiej wygody i trudów, jakie przez te dwa dni wycierpieli[1]).»

W bitwie pod Międzyrzecem Władysław Zamoyski znajdował się przy jen. Prądzyńskim na prawem skrzydle, tem właśnie, które wytrzymało najgorętszy ogień. Został lekko ranny kartaczem w usta.

---

[1]) Dziennik zawiera pod datą 29 sierpnia te same szczegóły, co raport jen. Ramoriny, tylko nieco krócej. Warto jednak przytoczyć z niego jedno zdanie, odnoszące się do chwili, gdy dywizya 6 piechoty jen. Bielińskiego ruszyła do Rogoźnicy, podczas gdy równocześnie bój wrzał pod Międzyrzecem: «Ramorino spostrzega, że jest za słaby, żeby działać na tak rozległej linii bez pomocy brygady Zawadzkiego. Posyła po nią, ale ona jest o trzy mile odległości!»

Dziennik:

«30 (sierpnia). — W dniu wczorajszym nieprzyjaciel stracił 2.000 ludzi, nasze straty nie przeszły 250. Między rannymi, po naszej stronie, Rychłowski, ranny w nogę. Legia nadwiślańska, będąca po raz pierwszy w boju, bardzo spokojnie znosi zabójczy ogień, od którego traci 14 żołnierzy, 1 oficera, 40 koni. Zawadzki przybywa o świcie. Z rana spostrzeżono się, że nieprzyjaciel opuścił Międzyrzec i rzucił się częścią ku Brześciowi przez Zahajki, Strzyżówkę, Kozły i Łomazy, częścią przez Dołhę, Sokule do Białej. Zajmujemy Międzyrzec, na noc idziemy do Białej.

31. — Korpus opuszcza Białę rano i dochodzi do Piszczaca, ale nieprzyjaciel umknął[1]). Stajemy na noc w Woli Dobrzyńskiej[2]). Adjutant Leons Rzewuski przywozi nam rozkaz «wolnego» odwrotu ku Warszawie. Jen. Prądzyński odjeżdża do Warszawy.»

Krótki raport Ramoriny nr 6, pisany w Dobrzynce 31 sierpnia, podaje, że wojsko rosyjskie zostało zmuszone do opuszczenia Podlasia, że «jutro» będzie odparte za Bug, a «pojutrze» korpus rozpocznie odwrót, kierując ku Warszawie, ile się tylko da, zapasów żywności.

Dziennik:

«1 września. — Główne siły w Dobrzynce.»

Rozkaz dzienny jen. Ramorino do II korpusu:

«W obozie pod Dobrzynką, 1 września 1831.

W chwili, kiedy mnie zaszczycono waszem dowództwem, cel był nam wskazany: wyprzeć za Bug korpus Gołowina; jenerał ten, wzmocniony już oddziałami jenerałów Rosena i Włodka, długo jednak unikał bitwy. Dwa razy dościgniony, mimo korzystnych swoich pozycyi, wyparty z nich ze stratą, musiał cofnąć się do Litwy.

---

[1]) Zakryty szeroką, błotnistą rzeką Cną (W. Z.)

[2]) Wólka Dobrzyńska.

Chorągiew wzięta, więcej tysiąca jeńców, między którymi jenerał i kilku oficerów wyższych; oto są korzyści jednego dnia, w którym nieprzyjaciel śmiał nam stawić czoło.

Waszem męstwem silny, rokowałem z pewnością sobie, że wzięciem Brześcia uwieńczym tę świetną wyprawę. Lecz, gdy jeden z korpusów nieprzyjacielskich zagraża niebezpieczeństwem stolicy, pospieszam przeciwko niemu. Powołuję was do nowych trudów, które już w samych zaszczytnych niebezpieczeństwach znajdą nagrodę. Potrzebuję wynurzyć przed wami całe moje zadowolenie, nie już dla męstwa, właściwego żołnierzowi polskiemu, lecz dla tej niezachwianej wytrwałości, z jaką znosicie wszelkie trudy i niedostatki, towarzyszące marszom forsownym w kraju nowo wyzwolonym, gdzie administracya nie może jeszcze zaspokoić potrzeby wojska.

Żołnierze, zasłużyliście się dobrze sprawie ojczyzny. Dawny żołnierz, poświęcony obronie waszej niepodległości, oddaję wam to świadectwo tem radośniej, że je we własnem waszem sumieniu znajdujecie. Miłym dla mnie będzie obowiązkiem przedstawić Rządowi Narodowemu zasługi wasze i zapewnić was, iż zawsze będę miał sobie za szczęście i chlubę przewodniczyć wam na tej niezmiennej drodze, którą wam honor i ojczyzna wskazywać będą.

Jenerał dywizyi, dowódca korpusu II
(podpisano) Ramorino.»

Dziennik:

«1 września wieczorem. — Pod Kobylany i Lebiedziów. Sztab w Woli Małaszyckiej.

2. — Jen. Ramorino wyprawia jeszcze rekonesanse nad Bug aż do Terespola, skąd Zawadzki spędza nieprzyjaciela około siódmej wieczorem. Nieprzyjaciel, uchodząc pali mosty i magazyny w Brześciu i Terespolu i zasypuje Terespol kartaczami całą noc, myśląc, że my

tam jesteśmy w znacznej sile. Ale Zawadzki tylko chwilowo się tam zjawił, w celu zakrycia naszego odwrotu, który tejże nocy odbył się szosą do Woskrzenic.

Wyciąg z raportu nr 7:

«Jen. Ramorino do Naczelnego Wodza

Woskrzenice, 3 września, ósma rano.

Po utarczce w Krynkach i bitwie pomiędzy Międzyrzecem i Rogoźnicą szybko pchnąłem mój korpus, 30 sierpnia na gościniec do Białej, ale tam dowiedziawszy się, że mosty do Woskrzenic są zniszczone, zwróciłem się na Piszczac i nie zatrzymałem się aż przed Dębinką[1]), chociaż konie artyleryi nie były odprzężone od szesnastu godzin, a żołnierze od pięćdziesięciu dwóch godzin ciepłej strawy nie otrzymali. W tym marszu wzięliśmy w niewolę mnóstwo piechurów rosyjskich, którzy nie mogli zdążyć za wojskiem, uciekającem przed nami w największym pospiechu. Przekonawszy się, że niepodobna nieprzyjaciela doścignąć przed Brześciem, pozwoliłem wówczas, ale dopiero wówczas, wojsku ciepłą strawę zgotować. Jednocześnie kazałem zbadać okolicę do Bugu, a szosę aż do Kobylan.

Przededniem 31, moja dywizya 5 była w Kobylanach, a dywizya 6 w Lebiedziowie. Takie biorąc stanowisko, chciałem pokazać nieprzyjacielowi, że mam zamiary na Brześć i tym sposobem go ściągnąć.

Przykro mi było wskutek otrzymanego rozkazu zaniechać zamiarów na Brześć i to w chwili, kiedy wszyscy moi wysłańcy i wiarogodni mieszkańcy donosili mi o przerażeniu Moskali. Postanowiłem tedy uciec się do środka zgodnego z rozkazem. Posłałem parlamentarza do jen. Rosena pod pozorem wymiany jeńców, aby dać mu do zrozumienia, że jeżeli dobrowolnie Brześć opuści, to oszczędzi miastu klęsk szturmu. Odpowiedź jego wymijająca zdecydowała mnie do ostrego wystąpienia, co przyniosło

---

[1]) Dobrzynka.

skutek niebywały w dziejach wojskowych. Pod noc wyprawiłem, pod rozkazami jen. Zawadzkiego, dwa szwadrony i jeden batalion dla zajęcia Terespola. Jeden pułk konnicy i pięćset piechurów zajmowało miasto. Wystarczyło ognia dwóch kompanii, ażeby nieprzyjaciel pospiesznie za most się przeprawił, poczem dał ognia z licznych bateryi ustawionych na wzgórzach naprzeciw miasta, ażeby Terespol i Brześć bombardować. Jednocześnie podpalił trzy mosty, łączące te dwa miasta i tak życzenie moje wykonywał. W strachu przed nami gradem kartaczy skierowanych na przedmieście, będące na drodze do Adamowa, jako na punkt najbardziej do ataku przystępny, pali własne magazyny i, mimo pożaru, nie przerywa kanonady do jedenastej wieczór, kiedy myśmy już daleko byli od Terespola.

Póki nieprzyjaciel tak sam siebie wściekle atakował i niszczył własne zasoby, moje kolumny zwolna się kierowały w części drogą do Białej, w części do Piszczaca.

Dzisiaj, 3 września, zajmuję stanowisko za Woskrzenicami na szosie i w Ortelu, na drodze z Piszczaca do Białej.»

Parlamentarzem, o którym wspomina Ramorino, był Tytus Działyński; po tej przeprawie, pisał on do żony: «Z rana prowadziłem rokowania z Rosenem, aby go doprowadzić do opuszczenia Terespola. Wieczorem otrzymałem od Ramoriny, wbrew wyraźnemu zdaniu Władysława (Zamoyskiego) i większości oficerów, pozwolenie przypuszczenia ataku na miasto. Jenerał zgodził się na rozpoznanie jednym batalionem piechoty i dwoma szwadronami pod rozkazami jen. Zawadzkiego, do którego mnie posłał z pełnomocnictwem. Budowałem na wiadomościach, jakie otrzymałem o stanowiskach nieprzyjaciela. Namówiłem Zawadzkiego, żeby nas poparły dwa bataliony piechoty. Zdobyliśmy Terespol. Weszliśmy do miasta po kładkach z Zawadzkim piechotą, na czele naszej kolumny. Na rynku wszyscyśmy się uściskali. Moskale, uraczywszy nas jakiemi czterdziestu bombami, podpalili wszystkie mosty, własne magazyny i część Brześcia.

Kupiłem butelkę wina szampańskiego dla jenerała. Cofnęliśmy się, pokłoniwszy się raz jeszcze Litwie. X. Adam i Władysław powitali mnie, mianując hr. Terespolskim.»

Zanim raport nr 7 doszedł do Warszawy, jen. Małachowski, dowiedziawszy się od jen. Prądzyńskiego o szczegółach bitwy pod Międzyrzecem, pisał do jen. Ramoriny:

«Warszawa, 2 września.

Wyprawa pańska na Rosena jest zupełnie chybiona, a śledząc uważnie ruchy pańskie, jako też i nieprzyjaciela, doszedłem do przekonania, że, przy trochę większym wysiłku, byłbyś Jenerał mógł pobić zupełnie Rosena i znieść go częściowo, jeżeli nie doszczętnie. Miałeś ku temu sposobność, mianowicie w Krynkach, Międzyrzecu i Piszczacu, gdzie powinieneś go był wyprzedzić.

Żądałem wyjaśnień od jen. Prądzyńskiego, który tylko co powrócił. Zwracam uwagę Jenerała, że na wojnie, i to w ważnych chwilach, potrzeba wysiłków nie tylko na polu bitwy, ale i w marszach. Zniszczenie korpusu Rosena i zdobycie Brześcia, któreby za tem poszło, zasługiwały na taki wysiłek; warto było wojsku odbyć parę forsownych marszów, choćby miało być z tego powodu pozbawione gorącej strawy. Tego zwłaszcza zrozumieć nie mogę, jakim sposobem, gdy nieprzyjaciel opuścił Międzyrzec, kiedy wyście już zajęli Rogoźnicę, a on musiał skierować się na Łomazy, wyście go nie wyprzedzili w Piszczacu, mając drogę krótszą i lepszą.

Ale skoroście już raz nieprzyjaciela wypuścili, to marsz na Terespol nie tylko był bez pożytku, ale pociągał wielką stratę czasu, a to w chwili, kiedy nieprzyjaciel gotuje się do przeprawy pod Górą, a Rüdiger, który ma most na Wiśle, może napaść wasze tyły.

Wypada tedy, żebyś się Jenerał cofnął.

Zdaje mi się, że powinieneś Jenerał stanąć z główną częścią swego korpusu w Łukowie, jako punkcie centralnym, silnemi posterunkami przedniej straży zająć

Międzyrzec i Kock i na tem stanowisku wyczekiwać wypadków, gotów napaść na nieprzyjaciela, skoroby z której strony ku wam się zbliżył. W ten sposób chroniłbyś przed wrogiem znaczny obszar kraju i ułatwiał dostawę żywności do Warszawy. Odwrót pański nie potrzebuje być zbyt pospieszny[1].»

W sam dzień rozpoczęcia odwrotu, Zamoyski skreślił plan następujący:

---

[1] «Le Commandant en chef au Général Ramorino

Varsovie, 2 septembre.

Votre opération contre Rosen est tout à fait manquée, et en suivant avec attention vos mouvements ainsi que ceux de l'ennemi, j'ai acquis la conviction qu'avec un peu plus d'activité vous auriez pu, Monsieur le Général, battre complètement Rosen, ou au moins l'entammer fortement, pour ne pas dire que vous aviez l'occasion de le détruire entièrement, notamment à Krynki, Międzyrzec et à Piszczac, où vous auriez dû le prévenir.

J'ai demandé des explications au Général Prądzyński qui vient d'arriver.

Je vous observerai, mon Général, qu'à la guerre et dans une occasion importante, il faut faire des efforts, non seulement sur les champs de bataille, mais aussi dans les marches.

La destruction du corps de Rosen et la prise de Brześć, qui s'en serait suivie, méritait bien que cet effort fut fait, que la troupe exécutât une ou deux marches forcées, même au risque de ne pas faire la soupe. Je ne conçois pas surtout, comment, lorsque l'ennemi est parti de Międzyrzec, lorsque déjà vous occupiez Rogoźnica, et qu'il a dû se diriger par Łomazy, vous ne l'ayez pas prévenu à Piszczac, ayant une route meilleure et plus courte.

Mais, une fois que Rosen vous est échappé, une marche sur Terespol était non seulement inutile, mais vous faisait perdre beaucoup de temps, tandis que l'ennemi fait des préparatifs de passage à Góra et que Rüdiger, qui a un pont sur la Vistule, peut déboucher sur vos derrières.

Il vous convient donc, Monsieur le Général, de faire un mouvement rétrograde.

Je crois que le point de Łuków est un point central où vous devez être, avec le gros de vos forces, occupant par de fortes avant-gardes Międzyrzec et Kock.

Dans cette position d'attente vous pourriez voir venir les évènements et seriez à même de tomber vigoureusement sur le premier ennemi, qui s'avancerait sur vous.

«2 września, w Wólce pod Terespolem.

W naszym odwrotnym marszu na szosie musimy się spodziewać, że korpus Rosena będzie szedł za nami, a zarazem, że spotkamy przed sobą inny korpus, który nam szosę przetnie i uderzy na nas z frontu, albo raczej, co jeszcze prawdopodobniejsze, będzie nas atakował na naszem lewem skrzydle, starając się rękę podać Rosenowi, a mimo to nie zostawiając nam wolnej komunikacyi z Warszawą. Trzeba tedy, posuwając się spiesznie na szosie, opóźniać jednak, ile podobna, pochód Rosena, który też niewątpliwie działać będzie na naszem lewem skrzydle, i to całemi siłami, ażeby nas wyprzedzić i połączyć się z korpusem, naprzeciwko nas idącym.

Wobec tego niezbędną rzeczą rozstawić korpus wzdłuż szosy jak następuje: silna przednia straż, silna tylna straż, w środku bagaże i park artyleryi; główna siła przed lub za bagażami, według tego, czy z frontu, czy z tyłów większe niebezpieczeństwo. Jeden oddział w każdym razie rozpocznie lub zamknie pochód bagaży, bo awangarda lub aryergarda będą musiały często zejść z szosy, by po bokach korpus osłaniać, dlatego środek powinienby mieć osobny oddział, czy to przedniej czy tylnej straży, któryby wcale szosy nie opuszczał.

W marszu, korpus powinien baczyć nietylko na bezpieczeństwo; musi też zostawić dostateczne odstępy między oddziałami dla furażowania. Postanowiłbym, jako ogólną zasadę, dwumilową odległość między czołem a tyłami kolumny tak, żeby na pierwsze zawołanie wszystko skupić się mogło na zagrożonym punkcie. Ten obszar utrzymywałby oba korpusy nieprzyjacielskie w pewnej od siebie odległości i jednocześnie przeszkadzałby ich połączeniu. Skoroby zaś jeden z tych dwóch korpusów

---

Dans cette position encore vous tiendrez une assez grande étendue de pays libre et par conséquent faciliterez les arrivages de vivres à Varsovie.

Votre mouvement rétrograde n'a pas besoin d'être trop précipité.»

przybliżył się do naszego o tyle, żebyśmy go dosięgnąć mogli, trzebaby wpaść nań wszystkiemi siłami.

Zapewne, że przedewszystkiem musimy nasz korpus zachować, ale, powtóre, musimy nieprzyjaciela pobić, gdziekolwiek zdołamy go doścignąć. Doścignienie Rosena było szczęściem, na które trudno było liczyć. Zatrzymaliśmy się nad Bugiem, nie dlatego, żebyśmy celu dopięli, przerzucając Rosena za Bug, ale dlatego, że doścignięcie go na nowo zabrałoby nam co najmniej tydzień. Tymczasem nieprzyjacielski korpus, nadchodzący ku nam od Wisły, zapowiada nam możność zużytkowania tego tygodnia w sposób o wiele dla sprawy pożyteczniejszy i bardziej stanowczy. Przez pobicie tego korpusu odniesiemy dwie korzyści: uszczuplimy armię, oblegającą Warszawę, i przywrócimy sobie z nią komunikacyę.

Czego potrzeba dla uskutecznienia tego planu? Ukrywać najstaranniej nasze ruchy przed okiem i atakami Rosena, odnaleźć korpus, idący od Wisły, napaść go i pobić; tym sposobem Warszawa odetchnie. Dopiero po pobiciu tego korpusu trzeba będzie rzucić się na Rosena, jeżeli się ośmieli do nas przybliżyć. Dzisiaj myśleć o zaopatrzeniu Warszawy jest niepodobieństwem. Jeżeli nie załatwimy się szybko z tem, co nam poprzednio zrobić wypada, to te dostawy wcale na miejsce przeznaczenia nie dojdą.

Ale gdzie szukać korpusu z nad Wisły? Na szosie, bo on właśnie tę szosę chce nam przeciąć. Trzeba iść szosą, a potem, zwróciwszy się na lewo, atakować nieprzyjaciela z boku, skoro się zbliży na odległość naszych strzałów. Ale trzeba iść naprzód, nie tracić czasu na sprawy administracyjne. Biała i Międzyrzec dostarczą nam żywności na sześć dni, Siedlce też nam coś dadzą, resztę dosztukujemy ziemniakami. Staranie o żywność dla Warszawy musimy mieszkańcom zostawić, my poprzestańmy na biciu korpusów, które, kraj zajmując, przeszkadzają dostawom.»

Będąc tylko szefem sztabu korpusu, Zamoyski nie mógł swoich planów przeprowadzać. Sam pisze o tem: «Ktokolwiek zajmował podobne położenie lub z blizka patrzał na nie, ten wie, ile wszelkie dowództwo na wojnie wymaga niepodległości w dowódcy, szybkości i stanowczości w postanowieniach; łatwo przeto odgadnie, że, przypuszczając nawet pewną powolność ze strony wodza dla najbliższego doradcy, doradca ten zawsze podrzędnem narzędziem pozostać musi. Jeżeli na główne ruchy i przedsięwzięcia czasem poważnie wpłynąć może, to przecież nigdy nie zdoła przelać w dowódcę całej myśli swojej, ani impetu, potrzebnego do wykonania jej[1].»

Dziennik:

«4 (września). — Rano w Woskrzenicach, gdzie przywrócono komunikacye. Wieczór w Białej.»

Raport nr 8:

«Jenerał Ramorino do Prezesa Rządu

Biała, 4 września, czwarta po południu.

Zmuszony jestem zawiadomić, że cholera szerzy się w sposób zatrważający. Wczoraj mieliśmy stu chorych, dzisiaj stu dwudziestu, z tego trzecia część choruje na cholerę. Mimo wszelkich ostrożności i najsurowszego dozoru, mnożą się wypadki dezercyi. Gdyśmy opuszczali Warszawę, rozsiewano pogłoskę, że Moskale dają pięć dukatów każdemu żołnierzowi polskiemu, wracającemu do domu. To skusiło wielu młodych żołnierzy, szczególnie z 11 p. piechoty, rekrutowanego w tem województwie.»

---

[1]) W parę lat później wspomnienia z tej epoki życia nastręczyły Zamoyskiemu następującą uwagę: «Przebyłem całą wojnę 1831 roku na stanowisku szefa sztabu, wiem, ile na niem, nawet przy dobrych chęciach dowódcy, cierpieć i bolesnego doznawać przychodzi zawodu. Otwarcie wyznaję, że, acz obowiązki szefa sztabu dla młodego, jakim byłem wówczas, oficera, są bardzo pouczające, nie radbym przecie nigdy i nie życzyłbym nikomu sprawować ich pod wodzem, któryby nie posiadał zupełnej przewagi, tak przez znajomość rzeczy, jak nadewszystko przez wyższość i hart duszy.»

Dziennik:

«5 (września). — Korpus staje w Międzyrzecu.»

Zamoyski do matki:

«Międzyrzec, 5 września 1831.

Cudem to będzie, jeśli Matka droga ten list odbierze, ale najmniejszy pozór podobieństwa wystarcza, bym próbował choć dwa słowa napisać.

Matko moja droga, ileż to wypadków, odkąd ostatni raz pisałem, ileż strasznych chwil. Czego doznałem, domyśla się Matka aż nadto. O nadziei, jaką mieć można, trudniej coś powiedzieć. Struna się naciąga i, pomijając jakie winy i błędy doprowadziły do obecnego stanu rzeczy i sprawiły, żeśmy utracili najpiękniejsze sposobności do zwycięstw, zdaje się, że się zbliżamy do jakiegoś przesilenia. Pod względem wojskowym my się tu wysilamy, ile możemy, po pierwsze, by otworzyć dla Warszawy łatwiejsze komunikacye, powtóre, by uciec od polityki, która się stała nieprzystępną dla ludzi uczciwych. Wpadła ona w ręce tych, co może potrafią, kto wie, lepiej ją poprowadzić, niż ludzie uczciwi. W tym stanie rzeczy do jakiegośmy doszli, chyba jedno nam tylko pozostaje pragnienie, abyśmy mogli kiedyś przebaczyć tym mordercom ich sposoby działania dlatego, że ojczyznę zbawili.

Byliśmy w Terespolu. Mimo dwóch porządnych szturchańców, zadanych Rosenowi, żyje on jeszcze. On ma dłuższe nogi do zmykania, niż my do ścigania. Zabraliśmy jednego jenerała, jeden sztandar, tysiąc jeńca, doprowadziliśmy Rosena do spalenia mostów na Bugu, a co najważniejsza, otworzyliśmy całemu Siedleckiemu drogę do Warszawy i dostaw bez liku już tam poszło.

Jestem obarczony robotą więcej, niż kiedykolwiek; nie pojmuję, skąd mi siły na to wszystko starczą. Nie umiem jeszcze cudzą pracą się wyręczać, wszystko sam robię. Zmęczenie niczemby było, ale czasami smutek mnie ogarnia, bo sam wszystko robiąc, czyż mogę wszystko zrobić dobrze? Staram się jak mogę dzielić się pracą, ale tak

mało kto umie pracować wytrwale, z poświęceniem, bez przerwy.

Niezmierną dla mnie radością jest obecność przy nas wuja, który po swoich nieszczęściach, a wyznać trzeba i błędach politycznych, pięknie wygląda na polu bitwy i bardzo jest dobrym doradcą wojskowym, a co więcej, naszemu korpusowi i naszej wyprawie dodaje powagi. Kilku innych jeszcze, wygnanych przez rząd obecny, nam towarzyszy: Gustaw Małachowski, Wężyk etc. Przyjemne towarzystwo, żal mi, że nie mam paru wolnych godzin, żeby z niego korzystać. Jesteśmy teraz w powolnym odwrocie ku Siedlcom i Warszawie, ażeby się spotkać z korpusem, prawdopodobnie przez Paskiewicza ku nam wysłanym i którego niecierpliwie oczekujemy. My, Polacy, jesteśmy dotąd zdolni tylko do boju i pewnie dlatego doszło do okropności 15 sierpnia, że nas tak długo doń nie prowadzono.

W tej chwili obiega tu pogłoska, że Paskiewicz proponuje układy. To zaledwie do uwierzenia, a jednak, jakżeby się to inaczej skończyć mogło? Jedno tylko wyjście, żeby cesarz okazał się wspaniałomyślnym i sam warunki podał. Dla zwycięzcy wszelkie warunki są chwalebne, zwyciężony żadnych podawać nie może.

Dziwny przypadek mi się zdarzył. Kartacz trafił mnie w usta, nie szkodząc bardziej, jak przez silne uderzenie. Zgojone to już prawie, a zdobyło mi mnóstwo dowodów przyjaźni i życzliwości, nawet od żołnierzy, co mi bardzo miłem było.

August z pułkiem przy nas, Działyński przy naszym sztabie. Zdzisław z powodu zdrowia musiał z wielkim żalem zostać w Warszawie. Wnet go tu oczekuję, pomoc z niego będzie nielada. On żywo boleje nad wszelkiem złem i nad słabością tych, co pragną dobra, sprawiedliwości, rozwagi. Proszę mu w listach powtarzać, że trzeba, by ten smutek, ten ból, wzmocniły w nim postanowienie walczenia ze złem, z niedorzecznością, ze złą

wiarą. Powiedz mu Matka, że gdyby to obrócić się miało w zniechęcenie, w omdlenie, byłoby to tylko wymówką, jaką się leniwcy posługują.»

Dnia 5 września wieczorem nadszedł do II korpusu następujący rozkaz:

«Wódz Naczelny do Jenerała Ramorino

Warszawa, 4 września 1831.

Od dni kilku jesteśmy bez żadnej wiadomości od was, nic nie wiemy, co robicie i kiedyście przybyli do Dobrzynki (Dębinka). Jest bardzo prawdopodobne, że korpus Rüdigera przeciwko wam pomaszeruje, przeprawiając się przez Wisłę pod Kazimierzem, albo też pod Górą Kalwaryą, jeżeli mu się uda postawić tam most, do którego dotychczas przygotowania tylko są poczynione. Staramy się opóźniać im postawienie tego mostu, ale najprawdopodobniej nieprzyjaciel ostatecznie celu swego dopnie z powodu korzystnego dlań stanowiska pod Górą. W takim razie, jeżeli nie poczynicie jakich skutecznych a stanowczych kroków, korpus wasz będzie mocno narażony.

Powinniście przeto postarać się najprzód o postawienie mostu na Bugu między Wysockiem a Brokiem, albo pod Wyszkowem, co Jenerał osądzisz za właściwsze. Rozumiesz Jenerał całą doniosłość tego mostu, zabezpieczającego wam odwrót w razie, gdyby przeważny korpus nieprzyjacielski, nacierając na was od Góry, nie pozwolił wam dostać się na Pragę lub do Modlina, czy to gościńcem, czy drogą na Stanisławów. W obecnym stanie rzeczy główne wasze siły nie powinny się wysuwać poza Siedlce. Zresztą będziemy się starali z Warszawy ostrzegać was o tem, co się dzieje w Górze. Na tem stanowisku nie spuszczaj Jenerał z oka głównego swego zadania, to jest zaopatrywania Warszawy w żywność i paszę[1]).»

---

[1]) «Le Commandant en chef au Général Ramorino

Varsovie, 4 septembre.

Depuis plusieurs jours nous n'avons aucune nouvelle de vous et ignorons complètement ce que vous faites depuis votre arrivée à Dobrzynka

Rozkaz postawienia mostu na Bugu, o którego doniosłości zastępca naczelnego wodza pisał z takim naciskiem, przechował się w brulionie:

«Nr 865. Międzyrzec, 5 września 1831.

Do Wielmożnego Kapitana Bielińskiego
z korpusu inżynierów

Mam honor zawiadomić W. Kapitana, iż jenerał dowódca korpusu poleca mu, abyś się natychmiast udał do Siedlec, a dalej do Broku, gdzie zajmiesz się niezwłocznie stawieniem mostu na Bugu i dalej na Narwi pod Pułtuskiem.

Na wsparcie tej czynności, weźmiesz W. Kapitan pułkownika Janowicza, który się teraz z dwoma szwadronami jazdy i 180 ludźmi piechoty w Siedlcach znajduje, jako też i majora Trzcińskiego, który się z jednym batalionem piechoty w Mińsku znajduje, ażeby wyżej wymienioną czynność wspierali, na co im powyższy rozkaz okazać możesz.

Jen. dowódca korpusu żąda przy tem, ażeby codziennemi raportami o postępie roboty był zawiadomiony, a także, abyś mu doniósł, czyli most ten na kozłach, lub na statkach postawiony będzie.

Należy także, ażeby W. Kapitan wprost do sztabu głównego o swojej czynności zdawał raporta.»

(Dębinka). Il est très probable que le corps de Rüdiger marchera contre vous, en passant la Vistule près de Kazimierz ou bien à Góra Kalwarya. Alors votre corps pourrait se trouver compromis, si vous ne preniez pas à temps des mesures efficaces et énergiques.

La première est de faire construire un pont sur le Bug entre Wysock et Brok ou près de Wyszków, comme vous le jugerez à propos.

Vous sentez toute l'importance de ce pont à fin que vous ayez une retraite assurée en cas qu'un corps ennemi supérieur, débouchant contre vous par Góra, vous empècherait de gagner Praga ou Modlin par la grande route ou par celle de Stanisławów. Dans l'état de choses actuel, le gros de vos forces ne doit pas être plus avancé que Siedlce. Au reste on tâchera de Varsovie de vous tenir au courant de ce qui se passe à Góra. Dans cette position vous ne perdrez pas de vue votre grand objet d'approvisioner Varsovie en vivres et fourrages.»

Raport nr 8 bis:

«Jenerał Ramorino do Naczelnego Wodza

Międzyrzec, 5 września 1831, wieczór.

... Przybyłem dziś rano do Międzyrzeca; moja tylna straż pozostanie przed tem miastem aż do jutra wieczór w celu wydobycia stąd jak najwięcej żywności dla Warszawy i upieczenia jak najwięcej chleba dla mego korpusu.

Wiadomości moje od Wieprza i Wisły nie są tak groźne, jak te, które tu czytamy w liście Jenerała. Zaręczają mi, że Rüdiger jest w Radomiu, że korpus jego jeszcze w całości się nie przeprawił, ale że Kajzarow w istocie opuścił okolice Zamościa i z Rüdigerem się połączył. A zatem, by stawić opór idącemu za mną nieprzyjacielowi, o którym sądzę, że nie jest bardzo silny, a zarazem by zająć pozycyę, z którejbym mógł widzieć nadchodzącego nieprzyjaciela i najlepiej dostarczać Warszawie żywności, udaję się do Siedlec.»

Raport ten wysłany został nazajutrz rano. Cały dzień przepędzono w Międzyrzecu, skąd tegoż dnia poszedł następny raport, nr 9:

«Jenerał Ramorino do Naczelnego Wodza

Międzyrzec, 6 września, czwarta po południu.

... Łatwość dostarczenia stąd żywności tak dla stolicy, jako też dla mego korpusu, a także zaopatrzenia się w konie, sukno, płótno, kożuchy, skłoniła mnie do zatrzymania się na tem samem stanowisku przez dzień dzisiejszy, do czego mię upoważniły, wraz z rozkazem z 4 b. m., wiadomości otrzymane o nieprzyjacielu. Nic ważnego nie doszło mnie jeszcze od strony Wieprza i Wisły.

Posłałem oficera inżynieryi, kap. Bielińskiego, dla postawienia mostu na Bugu. O skutku dowiesz się JW. Jenerał równocześnie ze mną.

Brak wszelkiej karności, okazujący się między oficerami, przybyłymi w ostatnich czasach z Warszawy i częste przewinienia, jakoto rabunki, łupiestwa i inne, zmusiły mnie do utworzenia stałego sądu wojennego. Idąc za

radą otaczających mnie osób, zebrałem trybunał wojskowy z województwa podlaskiego, tembardziej, że to jest zgodne z postanowieniem sejmu. Kilku oficerów, wszyscy z tak zwanej kompanii honorowej, stają obecnie przed sądem.

Poczty, wyprawione tak do Łosic, jako też do Łukowa i Radzynia, trzymają na wodzy oddziały kozaków i ułanów nieprzyjacielskich, które się tam pokazały.

Kazałem zniszczyć wszystkie piece do chleba, przez Moskali tu postawione.

Jutro cofać się będę dalej na Zbuczyn. Forpoczty moje z Radzynia cofną się do Łukowa, z Łosic do Mordów.»

Wieczorem 6 września, po wyprawieniu z Międzyrzeca do sztabu głównego raportu nr 9, dowódca korpusu odebrał od prezesa rządu i od zastępcy wodza naczelnego rozkaz powtórny wolnego odwrotu ku Warszawie i ściągania żywności do stolicy. Przytem prezes rządu w listach do dowódcy korpusu i do x. Czartoryskiego, pod datą 5 września, obok wzmianki o parlamentowaniu z Paskiewiczem i żartów z rzymskich odpowiedzi sejmu, potwierdzał ostrzeżenie o zagrażającym nam korpusie, mającym przejść przez Wisłę pod Górą Kalwaryą, którym ma dowodzić w. x. Michał, i ponawiał tem silniej rozkaz zabezpieczenia się przez niezwłoczne postawienie mostu na Bugu. Póki Warszawa była nasza, ruch ten nie tylko zabezpieczał nam pewne schronienie, ale, skoro nas w Warszawie nie chciano, mógł paraliżować w pozycyi za Bugiem z szańcem przedmostowym większe siły nieprzyjaciela.

O tem, że załoga warszawska gotowała się w tymże dniu 5 września do boju, mającego rozstrzygnąć losy wojny i narodu, prezes rządu pozostawiał dowódcę jednej trzeciej części naszych sił zbrojnych w zupełnej niewiadomości.

A przecież jen. Krukowiecki, jak sam twierdził potem i w dziennikach ogłaszał, już dnia 4 z rana «wiedział

najdowodniej», że nieprzyjaciel gotuje się do niezwłocznego szturmu [1]).

Jednak nie tylko 5 września nie donosił o tem dowódcy korpusu II, ani nie wydawał rozkazów, mających na celu obronę zagrożonej stolicy: przeciwnie, wiadomości i rozkazy, które nam prezes rządu przysłał, sprzeczne były z przekonaniem jego, sprzeczne z istotą rzeczy, bo nie czas było marszałkowi Paskiewiczowi rozrywać siły swoje w tak stanowczej chwili i żadnych też istotnych przygotowań do przejścia Wisły naówczas nie było. Ale my nie wiedzieliśmy o tem. Kiedy załoga warszawska odbierała ostateczne rozkazy do należytego przyjęcia szturmu, którego blizkość wszystko rozstrzygała, korpus II w tejże samej chwili miał sobie zalecony wolny odwrót ku Warszawie; co większa, nadmieniano mu tylko o własnem jego niebezpieczeństwie i rozkazywano schronienie poza Bug.

Oto jeden z rozkazów, które dnia 5 do wszystkich dowódców załogi warszawskiej wydane były:

«Nr 345. w Warszawie, dnia 5 września 1831.

Sztab Główny do JW. Generała Dembińskiego

Z odebranych doniesień zdaje się, że nieprzyjaciel przygotowuje się do ataku, wolą zatem jest zastępcy naczelnego wodza, ażeby wszystkie dzieła na noc osadzone

[1]) Dnia 3 września przysłał Paskiewicz na miejsce umówione» jen. Dannenberga w celu porozumienia się «z osobą od rządu polskiego przysłaną, czyliby, dla położenia tamy rozlewowi krwi, nie można wejść w układy». Ponieważ delegowany od prezesa rządu jen. Prądzyński «nie miał innego zlecenia, jak wysłuchanie tego, co mu zakomunikowane zostanie», właściwą odpowiedzią na propozycyę układów był tegoż dnia napisany list jen. Krukowieckiego do feldmarszałka Paskiewicza. List ten kończy się słowami: «Polacy podnieśli oręż za niepodległość narodu w dawnych między Rosyą a Polską granicach, o ile przeto cesarz Rosyi do tego skłonić się zechce, Rząd Narodowy oczekiwać będzie od JW. Feldmarszałka wiadomości.»

Łatwo było przewidzieć, że Paskiewicz odpowie na ten list przypuszczeniem szturmu do Warszawy. (W. Z.)

były, ostrożność i czujność wszędzie podwojona, uwaga zwrócona na sygnały rakietne, by za danym na to sygnałem wszystko pod broń stawało. O godzinie drugiej po północy całe wojsko ma być pod bronią.

Szef Sztabu Głównego
(podpisano) J. Lewiński Generał Bdy.»

W chwili zatem, kiedy pod Warszawą staczały się bitwy ostateczne, dowódca II korpusu, mając sobie zalecony «wolny» odwrót ku Warszawie i nakazane staranie o bezpieczeństwo własnej tylko komendy, postanowił zostać w miejscu jeszcze dzień jeden (7 września) i dopiero nocą marsz swój odbyć z Międzyrzeca do Siedlec. Chodziło zresztą i o pomnożenie dowozu żywności, wypadało też opóźniać postęp korpusu Rosena, który, wzmocniony nowemi siłami, zebranemi za Bugiem, postępował krok w krok za nami.

Lecz dzień 7 września nie upłynął jeszcze, kiedy poczęły nas dochodzić pogłoski o rozpoczętym szturmie Warszawy. Kobiety, przybyłe do Siedlec z okolicy Warszawy, pierwsze doniosły o mocnym huku dział a komendant placu w Siedlcach wiadomość tę przesłał nam sztafetą do Międzyrzeca.

Natychmiast po otrzymaniu sztafety, jen. Ramorino posłał do Warszawy oficera z naglącą prośbą o rozkazy i z raportem nr 10, w którym donosił, że się kieruje na Siedlce ku Bugowi, będąc zawsze gotowym udać się w stronę, gdzie armia mogłaby go potrzebować.»

Równocześnie zwołał Ramorino do głównej kwatery korpusu radę wojenną (7 września). Pozostał z tej rady niedokończony protokół, pisany w pierwszej części przez Tytusa Działyńskiego, w drugiej przez Gustawa Małachowskiego, gdyż Działyński w ciągu obrad wysłany został przez Ramorinę do parlamentarza, przybyłego z obozu Rosena. Na radzie obecni byli oprócz dowódcy kor-

pusu II i obu sekretarzy: x. Adam, Franciszek Wężyk, jenerałowie Gawroński i Zawadzki, pułkownicy Starzyński i Zamoyski, majorowie Ledóchowski i Zabiełło i porucznik Sanguszko, pełnomocnik jen. Bielińskiego.

Jen. Ramorino zawiadomił radę o rozpoczętym w dniu 6 września szturmie Warszawy i przedstawił konieczność powzięcia postanowienia, co do dalszych ruchów korpusu. Po dłuższej rozprawie «przeważyło zdanie, by czekać do wieczora i zastosować się do wiadomości, któreby się do tego czasu zebrać dały. Jen. Ramorino poparł te głosy, mówiąc, że w każdym razie trzebaby odbyć pochód nocny dla ukrycia ruchu naszego przed nieprzyjacielem.»

Z zapisków Zamoyskiego, 9 września:

«W czasie rady, zebranej 7 września, przyjechał jen. Langermann dla objęcia brygady 2 w dywizyi 6 po walecznym pułk. Rychłowskim, rannym w zwycięstwie pod Rogoźnicą. On pierwszy, potwierdzając ustnie niektóre wieści, już poprzednio zasiągnięte, dał nam poniekąd pewność, że nieprzyjaciel zaczął atak na stolicę.

Wkrótce potem o samym zmroku przybył adjutant, przywożąc bliższe szczegóły o wypadkach, zaszłych dnia poprzedniego w Warszawie; przywiózł także rozkaz od zastępcy wodza naczelnego.»

Oto ten rozkaz:

«Nr 350.

Wódz Naczelny do Jenerała Ramorino

Warszawa, 6 września, wieczór.

Dzisiaj 6 o świcie nieprzyjaciel silnie nas zaatakował. Bitwa trwała prawie dzień cały. Strata ludzi u nas nie jest znaczna, ale nieprzyjacielowi udało się zdobyć trzy dzieła zewnętrzne, między niemi Wolę z 20 działami szańcowemi. Niektóre bataliony miękko wystąpiły. Zechcesz Jenerał, po otrzymaniu niniejszego, udać się do Kałuszyna z większą częścią swojej piechoty, Siedlce zaś i okolice tego miasta zająć kawaleryą. Późniejsze wy-

padki może wymagać będą połączenia wszystkich sił naszych.

Zastępca wodza naczelnego
(podpisano) Małachowski[1].»

Z zapisków Zamoyskiego, 9 września:

«Jen. Ramorino, po tak wyraźnym rozkazie nie wahał się ani chwili. Nie wyszło kwadransa, a główna kwatera ruszyła do Siedlec, poczem cały korpus wziął ten sam kierunek.»

⟨O ile pierwsza pogłoska o przypuszczonym szturmie do Warszawy wprawiła wszystkich w głęboki żal i smutek, przez obawę, że los Warszawy albo będzie rozstrzygnięty, nim zdołamy przyjść jej na pomoc, albo już się rozstrzygnął, o tyle znowu wiadomość o mniej stanowczym rezultacie krwawej dnia 6 bitwy i rozkaz jen. Małachowskiego, donoszący, że się wojsko nasze źle biło, obudziły powszechny, niczem niewypowiedziany zapał, żeby czemprędzej nieść ratunek broniącej się jeszcze stolicy.

Jakkolwiek dowódca korpusu nie podzielał nadziei temu zapałowi towarzyszących, jakkolwiek wszystko potwierdzało w nim dawno powzięte przekonanie, że Warszawa obronioną nie będzie, uznał jednak, że nie powinien domysłów podobnych objawiać, że natomiast obowiązkiem jego i koniecznością spieszyć w tej chwili na ratunek walczącego w obronie stolicy wojska. Nie spu-

[1]) N. 350 Le Commandant en chef au Général Ramorino
Varsovie, 6 septembre au soir.

Aujourd'hui le 6 à la pointe du jour, l'ennemi nous a attaqué vigoureusement. La bataille a duré presque toute la journée. Nos pertes en hommes ne sont pas considérables, mais l'ennemi a réussi à s'emparer de trois ouvrages extérieurs y compris Wola avec 20 p. d'artillerie de rempart. Quelques bataillons ont donné mollement. Vous voudrez bien, M. le Général, au reçu de la présente, vous porter à Kałuszyn avec la majeure partie de votre infanterie, occupant Siedlce et les abords de cette ville par votre cavallerie, les événements subséquens pouvant nécessiter la réunion de toutes nos forces.

Le Commandant en Chef provisoir (signé) Małachowski.»

szczając z myśli uskutecznienia pierwszego swego zamiaru (dotarcia do Warszawy), tymczasem przedsięwziął wszystkie środki, aby jak najspieszniej wykonać rozkaz zajęcia Kałuszyna, co pozwalało nam zbliżyć się do stolicy mil ośm czy dziesięć. Wyruszywszy naprzód do Siedlec, mnie pozostawił przyspieszenie pochodu i opuszczenie w porządku Międzyrzeca, gdzie mieliśmy znaczny szpital i niemałe zasoby.

Za nadejściem nocy wyruszyła piechota. Przednia straż, stanowiąca czoło kolumny, złożona z brygady jen. Zawadzkiego, przed nocą jeszcze marsz swój rozpoczęła. Wreszcie, o późnej dopiero godzinie i w najgłębszej cichości, ruszyła z obozu większa część jazdy, przeznaczona do tylnej straży. Piechota odbyła pięciomilowy marsz prawie bez wytchnienia. Pułk 5 przewieziony został na podwodach. Dnia 8, o godzinie szóstej rano, cała piechota była już zgromadzona pod Siedlcami. Przednia straż, która nocą już dociągnęła do Siedlec, wyruszyła o ósmej z rana w dalszy pochód traktem do Kałuszyna; reszcie korpusu dano po pięciomilowym marszu spoczynek.»

W Siedlcach wydał jen. Ramorino następujący rozkaz dzienny:

«Siedlce, 8 września 1831.

Żołnierze!

Bohaterska stolica wasza jest w niebezpieczeństwie. Spieszmy jej w pomoc. Żądam od was forsownego marszu. Na tej drodze są trudy, ale jest i pociecha, że się ratowało braci i towarzyszów broni. Tam was woła, co tylko jest świętem u ludzi. Spieszmy więc, żołnierze, spieszmy! Zapomnijcie o znużeniu waszem, o przebieżonej przestrzeni, pomni tylko na tę, która was jeszcze od murów stolicy oddziela, w której najezdnik przelewa krew braci, ojców, matek i żon waszych! Do boju, bracia! Pośpiech jest zwycięstwem. Dla Polaka, bieżącego w pomoc ojczyźnie i swoim, nic niepodobnego.»

⟨Pod wieczór dnia 8 września już korpus cały był znowu w pochodzie, wszystkie bowiem pogłoski z okolic Warszawy potwierdzały wiadomość o nieustającym huku dział i utrzymywały nas w przekonaniu, że gdyby najmniejsza cząstka naszego korpusu, zdołała pokazać się na wałach Warszawy, wystarczyłoby to do przeważenia szali zwycięstwa na naszą stronę przez samo zaufanie, jakieby stąd w mieszkańcach Warszawy wzrosło.

Lecz zaledwie dowódca korpusu ze sztabem swoim posunął się z Siedlec o milę ku Warszawie, kiedy około dziewiątej wieczorem jeden z adjutantów jego[1]) przyniósł żałosną wiadomość o zawieszonym pod Warszawą boju i o kapitulacyi, mocą której nieprzyjaciel gotował się zająć nie tylko miasto, ale i most i szaniec przedmostowy praski. Wkrótce potem adjutant major K. Zabiełło doniósł przez sztafetę, że most i szaniec przedmostowy już są przez Moskali zajęte, że przeto niepodobna mu było wjechać do Warszawy.

Inni też adjutanci zaczęli wracać jeden po drugim, a wszyscy twierdzili jednozgodnie, że wojsko nasze maszeruje ku Modlinowi przez most, oddany już pod straż nieprzyjaciela. Żaden z nich rozkazu dla nas nie przywiózł. Mówili, że daremne czynili usiłowania, aby otrzymać jeżeli nie rozkaz, to przynajmniej piśmienne, a choćby ustne zawiadomienie, któreby tłomaczyło stan rzeczy.⟩

Między oficerami, którzy wówczas do korpusu II z Warszawy powrócili, był pułk. Gallois, ten sam, który dostał się w niewolę pod Broniszami, 17 sierpnia. Odesłany przez Moskali do Łowicza zdołał stamtąd zbiedz i dnia 5 września o ósmej rano stanął w Warszawie,

[1]) Od powzięcia pierwszej wiadomości o szturmie Warszawy jen. Ramorino ciągle posyłał tamże oficerów ze sztabu swego po rozkazy, jednakże napróżno. (W. Z.)

skąd 7 września wieczorem wyruszył w stronę Siedlec. Pobyt swój ówczesny w Warszawie opisał Gallois Zamoyskiemu w liście z 19 marca 1832: «...Ledwom przybył do Warszawy, zawezwano mnie do prezesa rządu, stanąłem przed nim przyodziany jeszcze chłopską sukmaną, w której uciekłem z Łowicza. U prezesa rządu naradzano się, o ile zmiarkować mogłem, nad tem, jaką dać odpowiedź Paskiewiczowi na jego pierwsze propozycye. Rozmawiano ciągle po polsku, tyle więc tylko zauważyłem, że zdania były podzielone. Zapytywano mnie, co wiem o nieprzyjacielu. Mówiłem, że Moskale w Łowiczu bardzo byli przygnębieni, że konie jenerałów stały osiodłane dniem i nocą; udzieliłem niektórych szczegółów o korpusie Kreutza. Resztę dnia i część nocy spędziłem z Langermannem, aż do chwili jego wyjazdu o północy do korpusu II. Dowiadywałem się od niego, czy nie zawozi listu do jen. Ramoriny, czy nie myślą o ściągnieniu korpusu II do Warszawy. Odpowiedział mi, że nie.

Nazajutrz (6 września) przebudziły mnie wystrzały armatnie, puściłem się w kierunku Woli. W tejże chwili napotkałem jen. Bema, cofającego wstecz bateryę lekkiej artyleryi. Odniosłem wrażenie, że przybył on na swoje stanowisko późno, i że wogóle dnia tego artylerya nasza niezbyt szczęśliwie była użyta. Przez długi czas pozostałem w szańcach między Wolskiemi a Jerozolimskiemi rogatkami. Ogień był tak żywy, iż przez chwilę myślałem, że nieprzyjaciel w tę właśnie stronę chce główne siły swoje skierować. U naszych oficerów i żołnierzy zauważyłem sporo wahania się, nie robili wrażenia ludzi na wszystko gotowych[1]). Tę samą uwagę zrobił przedemną

[1]) Nazajutrz jednak powszechnie zauważono, że to wahanie ustało, waleczność polskiego żołnierza w dniu tym wywołała podziw nieprzyjaciela. W parę lat później jen. Kreutz mówił o szturmie Warszawy: «Moje grenadyery dobre, posłuszne, bitne, ginęli jak muchy, ale to nie polskie wojsko, temu za obronę Warszawy należą się mogiły, jak mogiła Kościuszki.» (W. Z.)

Leons Rzewuski, adjutant naczelnego wodza, piękną zachowujący postawę wśród kul armatnich. Tylko ksiądz jeden, zdaje mi się kapelan pułku 6 strzelców, wprawił Rzewuskiego i mnie w podziw[1]). Wszedł na mur okopu, nie zważając na świszczące dokoła kule, i obchodził go, dodając otuchy oficerom i żołnierzom, co im nie przeszkadzalo schylać głowę przed każdym przelatującym pociskiem. Resztę dnia spędziłem w reducie nr 73, przy Krukowieckim. To Krukowiecki sam, dzięki swej lunecie, dostrzegł Paskiewicza, przebiegającego z sztabem linię bojową i kazał do niego strzelać; pozatem przez cały ten dzień nie widziałem, ażeby wydał choć jeden rozkaz. Ogień ustał między trzecią a czwartą (po południu). Na krytyczne położenie, w jakiem znajdowaliśmy się, patrzył Krukowiecki niemal obojętnie, ani zdawał się być przejęty utratą Woli. Pytałem kilkakrotnie w ciągu dnia, czy Ramorino otrzymał rozkaz powrotu, odpowiadał wymijająco. Wieczorem wróciłem do tej samej reduty. Ubolewaliśmy z Rybińskim nad wzięciem Woli. Rybiński mówił mi, że istnieje zamiar pokuszenia się o wydarcie jej Moskalom w nocy. Oświadczyłem gotowość należenia do wyprawy. Równocześnie poleciłem jednemu kapitanowi od inżynierów, by Umińskiego poprosił odemnie w tym celu o kilka batalionów. Umiński kazał mi odpowiedzieć, że rzecz zaniechana. Niezrażony udałem się do Mokotowa, gdzie zastałem Rybińskiego z Umińskim. Nalegałem, by mi dozwolono spróbować, czyby się nie udało odebrać nieprzyjacielowi to ważne dzieło. Moskale musieli być z nóg ścięci, tak zmęczeniem jak wódką, którą im obficie rozdano. Rybiński mnie popierał, Umiński uporczywie przeciwił się nam. «Za

[1]) Od pierwszych dni powstania ogół księży naszych celował ofiarną miłością ojczyzny. Już w grudniu 1830 pani Zamoyska pisała: «Duchowieństwo odznacza się patryotyzmem. Biskupi wyrzekają się dochodów, zakonnicy z przełożonymi swymi na czele idą z łopatą w ręku sypać szańce, wespół z całą ludnością warszawską.»

mało mamy żołnierza», mówił, «by się o taką rzecz kusić, mogłoby to nas kosztować z 2.000 ludzi. Trzeba bronić szańców, potem wałów, wreszcie ulic.» Te były jego własne słowa.

Dnia 7 o drugiej (po południu), Moskale wznowili atak. Myśląc, że Prądzyński weźmie udział w rozpoczynającem się działaniu, przyłączyłem się do niego, za upoważnieniem prezesa rządu. Ale Prądzyński występował w roli parlamentarza, zmiarkowałem to dopiero, gdyśmy się zbliżali do terenu neutralnego. Ponieważ nie było przy nim żadnego oficera, sądziłem, iż nie należy mi go opuszczać. Paskiewicz długo kazał się szukać i nadaremnie, — bo był ranny. W reducie 53, zabranej przez Moskali w dniu poprzednim, spotkałem pułkownika moskiewskiego, znanego mi z Algieru, gdzie go car Mikołaj posłał, żeby towarzyszył naszej wyprawie. Szczególne to było spotkanie! Wojsko moskiewskie, któremu miałem czas dobrze się przypatrzeć, wydało mi się piękne: 60—70 tysięcy żołnierza. Ich baterye liczyły co najmniej sto pięćdziesiąt dział. Ponieważ Paskiewicza nie można było widzieć, zaprowadzono nas do jen. Tolla, który, jak mi się zdawało, z wielką sprężystością kierował działaniem. Odesłał nas do w. x. Michała. W. xiążę wziął Prądzyńskiego na stronę i rozmawiał z nim zdala od oficerów sztabu, wśród których i ja zostałem. Tylko przy rozstaniu się z Prądzyńskim podniósł głos, mówiąc: «Powiedz im, że cesarz, mój brat, chce przedewszystkiem uniknąć rozlewu krwi i że odpowiedzą za tę, która od tej chwili będzie przelana».

Powróciliśmy (do stolicy) z jen. Bergiem. Skoro tylko dowiedziałem się, że układy podpisane, postanowiłem opuścić Warszawę z zamiarem ostrzeżenia was o tem, co się stało. Smutek ogarnął całe miasto; oficerowie, żołnierze, mieszkańcy zarówno byli przygnębieni. Wyjechałem z Warszawy w największym pospiechu o siódmej (wieczór) i, choć dwa razy zabrakło mi koni

pocztowych, połączyłem się z korpusem II o dwie mile za Siedlcami.»

Pani Działyńska obecna w Warszawie podczas szturmu, pisała do panny d'Arnaud, 20 września 1831: «Krukowiecki zupełnie głowę stracił, Małachowski najzacniejszy z ludzi, ale ma siedmdziesiąt trzy lat[1]) i dlatego tylko został mianowany zastępcą naczelnego wodza, że Krukowiecki chciał sam przez się być wszystkiem, a tymczasem okazał, że jest niczem. Małachowski rozkazów nie wydawał, sądząc, że jest pod komendą Krukowieckiego, ten zaś, nie wiem co robił, ale tak mało i tak źle, że powstało powszechne pojęcie, iż zdradza. Nie wierzę temu; mógł nas zdradzić, nie narażając Moskali na utratę 20.000 ludzi. Słowem, ci dwaj naczelnicy rozkazów nie wydawali, to też nikt nie wiedział, co czynić. W mieście wszyscy przygotowani byli bronić się do upadłego i raczej miasto spalić, niż je oddać, ale Krukowiecki podpisał kapitulacyę. Jenerałowie, widząc okropny bezrząd i że już przepadła możność rokowań, nie chcieli nadaremnie miasta gubić i kazali wojsku wymaszerować na Pragę. Żołnierze opuszczali szańce ze łzami w oczach, przeklinając wodzów, błagając, by dozwolono bronić się jeszcze. Z rana, ósmego, Moskale weszli do miasta. Ulice były opustoszone, okna i domy pozamykane, nigdzie żywej duszy, z wyjątkiem żydów. Tak było głucho i milcząco w mieście przez następne dni, że Moskali lęk ogarniał. Chcą się okazać wspaniałomyślnymi, dużo mówią o amnestyi, ale wspominają o ogromnej liczbie wyjątków. Nie skąpią nam pozorów łaski, ale co pod tem tkwi! Pocieszamy się myślą, że chociaż zwyciężeni, nie podpisaliśmy żadnych układów, któreby nas mogły wiązać na przyszłość.»

X. Alexandrowa Sapieżyna, siostra ordynata, pisała do niego z Warszawy 2 października 1831:

---

[1]) Jen. Kazimierz Małachowski urodził się w 1765 roku, ale 1831 roku czynił, według wielu ówczesnych świadków, wrażenie złamanego wiekiem starca.

«Celina (Działyńska) tu jest ze mną. Przebyłyśmy rzeczy straszne. Kanonada okropna trwała przez dwa dni z przerwą tylko w nocy. Ostatniego dnia całe przedmieście od Jerozolimskich rogatek do Woli płonęło. Na Grzybowej Woli kule padały, ludzi zabijając, na Marszałkowskiej ulicy i na Nowym Świecie bitwy się toczyły. Szczęściem, umowa zawarta przez jen. Małachowskiego, otrzymała, że wojsko nasze mogło wymaszerować z bronią w ręku i bagażami, a tak, oszczędziła Warszawie okropności rabunku. Wśród tego okropnego szturmu wyjechałyśmy z Celiną i dziećmi do Jabłonny. Przebywszy tam straszną noc, pocichutku wróciłyśmy do Warszawy i czekamy teraz na wiadomość od swoich, co ze sobą począć i gdzie się udać.»

XI

PO UPADKU WARSZAWY

Zawieszenie broni było rzeczą oczywistą, ale jak przyszło do niego, na jak długo było zawarte, na jakich warunkach, czy obejmowało i nasz korpus, dlaczego armia warszawska szła ku Modlinowi, kiedy w dniu poprzednim wódz naczelny, rozkazem do dowódcy II korpusu, wskazywał pozycyę pod Kałuszynem jako punkt, na którym połączenie wszystkich sił naszych mogło z konieczności nastąpić, — na te i podobne pytania żaden z adjutantów nie umiał dać dostatecznej odpowiedzi ani objaśnienia. Słyszeli tylko o kapitulacyi i widzieli jej wykonanie; słyszeli, iż przez zdradę, a przynajmniej bez dostatecznego umocowania została zawartą; słyszeli, iż, wskutek jej zawarcia, prezes rządu przez sejm z urzędu złożony został; utrzymywali, że kapitulowało miasto, a nie wojsko. Wogólności malowali stan stolicy i wojska, jako stan zamieszania i rozpaczy, a jeżeli pocieszali zapewnieniem, iż wojsko przez cały dzień 7 września walczyło z niepospolitem męstwem i zadało krwawe ciosy nieprzyjacielowi, z drugiej strony zasmucali, nawet przerażali obrazem rozprzężenia, jakie nastało od chwili, kiedy batalionom i bateryom rozkazano opuścić niezdobyte przez nieprzyjaciela szańce i przechodzić przez most na Pragę. O tem, że wydano załodze warszawskiej rozkaz ogólny maszerowania do Modlina, wiedzieli wszyscy adjutanci, ale nie-

którzy wiedzieli zarówno, iż dowódcy korpusów, pułków i bateryi, pojedyńczy oficerowie, jenerałowie nawet, zmawiali się, czyby wbrew odebranemu rozkazowi i przez wzgląd na wątpliwe jego pochodzenie, — bo jen. Krukowieckiego głośno oskarżano o zdradę, — nie zmienić nakazanego kierunku, nie udać się wprost ku korpusowi II, o którym wiedziano, że jest w marszu ku stolicy.

W rzeczy samej dziwił się każdy, dlaczego zamiast łączenia się z korpusem II, z wyborowego wojska złożonym, zamiast zajęcia silnych pozycyi między Kałuszynem a Siedlcami, wybrano kierunek oddalający od tego korpusu, zdający się nawet czynić do pewnego stopnia niepodobnem połączenie się jego z armią, która nieprzyjacielowi oddała most i Pragę. Jeżeli bowiem przypuszczano, że, wskutek zawieszenia broni, nieprzyjaciel pozwoli korpusowi II odbyć spokojnie marsz z Siedlec do Modlina, to czyż, na mocy tegoż zawieszenia, załoga warszawska nie powinna była raczej połączyć się szosą w Siedlcach z korpusem II, o trzy marsze od Warszawy stojącym, albo na stanowisku pośredniem, w Dębem Wielkiem, do którego II korpus mógł dotrzeć, tam zaś, pod jego zasłoną wypocząwszy i zreorganizowawszy się, wnet znowu groźne czoło nieprzyjacielowi stawić. Armia, tak połączona w Siedlcach, mogła powtórnie zgnieść Rosena i niedobitki jego za Bug przepędzić, mogła utrudniać nieprzyjacielowi komunikacyę z cesarstwem, rozciągnąć się na północ czy na południe, miała przed sobą całą niemal Polskę.

Dodać trzeba, że, skoro zachodziło zawieszenie broni na niewiadomych dla nas oparte warunkach, droga obrana do Modlina budziła mimowolne podejrzenie, iż prowadzi do ostatecznego zawieszenia broni, prowadziła bowiem do Płocka, gdzie cesarz Mikołaj od początku wojny nakazywał nam koncentrować wojsko, kładąc to za pierwszy i konieczny warunek swojej łaski. Trudno było sobie wytłomaczyć, jakie mogły być korzyści pozycyi Modlina dla wojska polskiego, chcącego dalej prowadzić wojnę. W pierwszej chwili po doznanej klęsce, dla wojska znu-

żonego, a zwłaszcza dla całej masy nieobozowych wychodźców z Warszawy, Modlin, jako forteca, broniona dwiema wielkiemi rzekami, opatrzona niektóremi zapasami, mógł wprawdzie wydawać się jedynym punktem oparcia, znajdującym się w blizkości, ale co do operacyi wojennych, jakieżby rozpocząć można z tego punktu, z tego kąta ścieśnionego między dwiema rzekami granicą pruską i siłami, prowadzonemi z Litwy przez jen. Tołstoja? Nie można było zataić sobie, że wojsko, stojące pod Modlinem, było odcięte, że tak powiem, od całego kraju, dotąd nie zajętego przez nieprzyjaciela, że, pominąwszy trudności wyżywienia licznej załogi na tym punkcie, zachodziła poważna obawa, że nieprzyjaciel, mając wielką łatwość, przy pomocy dwóch rzek, paraliżowania ruchów naszych, swobodnie tymczasem opanuje całe województwo sandomierskie, kaliskie, samo nawet krakowskie. Przeciwnie, pozycya między Kałuszynem a Siedlcami pozwalałaby zgromadzonym resztom wojska naszego różne jeszcze przedsięwziąć działania. Nawet ruch na Litwę, jedyny, który z Modlina podjąć było można, był nierównie łatwiejszy, czy to dążąc ku Wilnu, czy też przenosząc teatr wojny przez Brześć w Pińszczyznę. Prócz tego można było z Siedlec iść w Lubelskie i na Wołyń, albo próbować przejścia Wisły i rzucić się w sandomierskie góry i lasy. Słowem, w Modlinie był koniec wojny: z Kałuszyna i Siedlec można było wojnę, jakby nową, na nowych rozpocząć podstawach.

Takie było uczucie wielu znakomitych osób nawet przy armii warszawskiej, takie też było zdanie dowódcy korpusu II, który uznał za stosowne zdanie to przełożyć wodzowi naczelnemu przez jednego z adjutantów swoich.

Dnia 8 o godzinie dziesiątej wieczór, szwagier mój, kapitan Działyński, odebrał rozkaz udania się na ten cel do kwatery głównej. Polecono mu oznajmić ustnie naczelnemu wodzowi, że dowódca korpusu, w braku rozkazu, pomaszeruje przez górną Wisłę w województwo

sandomierskie, ale polecono zarazem oświadczyć najwyraźniej, iż przedstawienie to robi się tylko w przypuszczeniu, że nie będzie nadesłany rozkaz ze sztabu głównego, i przy zupełnej gotowości zastosowania się do tego, coby rozkazanem być mogło. Działyński, zbliżając się do Modlina, natrafił na silne oddziały jazdy nieprzyjacielskiej, tamujące przystęp do fortecy. Ujrzawszy niepodobieństwo dostania się do kwatery głównej bez dalekiego objeżdżania, a stąd opóźnienia, któreby udaremniło misyę jego, umyślił zlecenie swoje uskutecznić przez posłańca, ze wsi wziętego, któremu dał krótkie pismo do naczelnego wodza.

Wyprawiwszy Działyńskiego, dowódca postanowił dać spocząć wojsku, znużonemu forsownym marszem, rozkazał więc pułkom rozłożyć obozy wzdłuż traktu, na punktach, gdzie się każdy zatrzymał. Sam zajął kwaterę główną w folwarku Opole, przy gościńcu, i tam przez całą noc oczekiwał dalszych wiadomości i rozkazów. Tymczasem powracający jeszcze adjutanci jego żadnych nowych wiadomości nie przywozili, wreszcie, równo ze dniem (9 września), przybył ostatni z nich, podporucznik Zwierkowski [1]), wysłany z Międzyrzeca, jeszcze przed dojściem pogłosek o ataku Warszawy. Ustna jego relacya tak zdała się ważna, że dowódca korpusu kazał mu zrobić z niej raport na piśmie, co Zwierkowski uczynił w następujących słowach:

«W Opolu pod Siedlcami, d. 9 września 1831, rano.

Odkomenderowany d. 7 b. m. i r. dla oddania ekspedycyi naczelnemu wodzowi w Warszawie, wyjechałem z Międzyrzeca o godzinie jedenastej z rana, a o godzinie

---

[1]) Prawdopodobnie Wacław Zwierzchowski. Dwa te nazwiska brano niejednokrotnie jedno za drugie. Naprzykład w «Xiędze pamiątkowej, wydanej w 50 letnią rocznicę powstania roku 1830», major 2 p. krakusów, Walenty Zwierkowski, który 4 października 1831 otrzymał krzyż złoty nr 3590, (str. 164) wykazany jest na str. [illegible], wśród majorów 2 p. krakusów, jako Walenty Zwierzchowski.

pierwszej w nocy stanąłem w stolicy. Wjeżdżając widziałem ognie na przedmieściach Warszawy, a tłumy wojska naszego, szczególniej kawaleryi, obozujące na Pradze. Za przybyciem do pałacu rządowego, zastałem jenerałów: Krukowieckiego, Małachowskiego, Prądzyńskiego, Dembińskiego i innych, zatrudnionych umową z parlamentarzami rosyjskimi, i w tychże przytomności doręczyłem ekspedycye podług adresów. Jen. Małachowski powiedział mi, że odpowiedź odbiorę na Pradze z rana. Około godziny ósmej pałac rządowy (namiestnika) został pusty, a wszyscy wojskowi udawali się na Pragę, zostawując stolicę, którą mieli natychmiast zajmować Rosyanie, stosownie do podpisanej już, jak powiadano głośno, umowy. Zatrzymany w jednym domu na Nowym Świecie do godziny dziesiątej z rana i o tej porze wychodząc, widziałem całe Krakowskie Przedmieście napełnione gwardyą rosyjską pieszą, ubraną w całej paradzie; ich artylerya spuszczała się ulicą Bednarską i dosięgała mostu. Gwardya, przeszedłszy tę ulicę, obracała się dołem ku zamkowi. Na Pradze zastałem wojsko polskie, wyruszające w masie drogą do Modlina, a sam jen. Małachowski nakazywał pospiech. Dognawszy tego jenerała już w marszu, gdym zapytywał o obiecane rozkazy dla korpusu jen. Ramorino, powiedział mi: «Widzisz, co się dzieje, więc to opowiedz, a ja z pierwszego noclegu poślę do jen. Ramorino. Praga, jak wszyscy powiadali, miała być w tymże momencie zajętą przez Moskali. Wojska nasze odchodziły spiesznie, zabierając amunicyę, furgony i bagaże.

(podpisano) W. Zwierkowski, podp.»

Wszystkie te szczegóły i słowa jen. Małachowskiego wprawiły dowódcę korpusu w najwyższe zdumienie i wywołały zgrozę nieporównaną. Miał tedy już pewność, że umowa została zawarta z nieprzyjacielem, że ruch armii warszawskiej, przy zawieszonych krokach wojennych, rozpoczęty i to w stronę od korpusu II przeciwną, że,

przy tak stanowczym ruchu jednej części naszego wojska, przeznaczenie tej drugiej, lepszej może teraz jego połowy, albo nie jest postanowione, albo wyjawić się nie da. Nasuwały się dwa przypuszczenia: albo Małachowski nie umie dawać rozkazów, i wojsko kieruje się raczej instynktem, niż rozkazem, ku najbliższemu schronisku, albo też Małachowski nie chce dawać rozkazów. Oddanie mostu praskiego Moskalom naprowadzało na domysł, że umowa z nieprzyjacielem odejmowała wojsku prawo obrania kierunku, i że Małachowski, mogąc mieć powody, żeby opóźniać powiadomienie jen. Ramoriny o zobowiązaniach względem nas powziętych, woli pozostawić korpus II własnym losom i własnemu natchnieniu.

Oba te przypuszczenia pozwalały nam już nie czekać na rozkazy, ale samym o sobie radzić i wybrać drogę, na której będzie nam się zdawało, że najlepiej potrafimy jeszcze w takich okolicznościach sprawie służyć, a przynajmniej dobrą sławę korpusu ocalić. Zresztą, korpus nasz znalazł się w położeniu nader trudnem i drażliwem. Widząc się jakby odciętym od części wojska, która poszła do Modlina, był jednocześnie zagrożony z przodu przez armię feldmarszałka Paskiewicza, a z tyłu przez korpus Rosena, który, po odebraniu wiadomości o upadku Warszawy, mógł i powinien był nas zaatakować. W takiej ostateczności stać w miejscu i czekać nieporuszenie losu swego, było podpisaniem własnej niezwłocznej zguby. Lecz z drugiej strony, niełatwo było wogóle, a cudzoziemcowi jeszcze trudniej, mimo ufności, jakiej używał u podkomendnych, brać na siebie bez dostatecznego umocowania wyłączną odpowiedzialność za dalsze ruchy i losy korpusu.

Jen. Ramorino, jak to wyżej powiedziałem, uważał ruch wojska pod Modlin, jako ruch ze wszech miar zgubny; miał oprócz tego w mocnem podejrzeniu istotne powody owego ruchu armii warszawskiej do Modlina. Tego podejrzenia objawiać nie mógł, ale, bądź co bądź,

gdyby był zostawiony swemu zdaniu, nigdyby tego kierunku dla swego korpusu nie obrał. Tymczasem nie było mu tajne, że, w braku rozkazów od wyższej władzy, powstało w korpusie powszechne prawie dążenie, żeby się nie odrywać od reszty wojska, ale owszem łączyć się z niem, gdziekolwiekby się ono znajdować mogło. Chęć skupienia się w chwili grożącego niebezpieczeństwa bywa zwykle instynktem mas, instynktem silnym, acz nie zawsze roztropnym [1]).

Widział to dowódca korpusu. Słyszał z ust wyższych oficerów, szukających z nim romowy, jednomyślne prawie życzenie spiesznego marszu do Modlina. W tych głosach, niestety, przebijało aż nadto, obok straconej nadziei dłuższego prowadzenia wojny po utracie Warszawy, już tylko pragnienie wyjednania lepszych warunków dla licznie zebranego wojska. Nie brakło wprawdzie i takich, których i teraz jeszcze oburzało samo podobieństwo układów z nieprzyjacielem. Ci mieli największą odrazę do marszu ku Modlinowi i pewną nieufność względem dowódców armii warszawskiej. Ale u większości sama myśl oddalenia się naszego korpusu od naczelnego dowództwa i władz narodowych budziła mimowolne podejrzenie. Tak więc powstawało owe zabójcze podejrzywanie się nawzajem, owe waśnie pomiędzy najlepszymi, które się zjawiają zwykle, gdy sprawa upadać zaczyna a fatalny zbieg okoliczności pozbawia rozkazów od władzy. Tam bowiem, gdzie jest rozkaz, gdzie jest władza, tam zapewniona do końca ufność między tchnącymi jednem poświęceniem, tam pewność, jeżeli nie zwycięstwa, to przynajmniej zakończenia sprawy z chwałą, a tem samem z pożytkiem dla ojczyzny.

---

[1]) Zadaniem wojny, mówił Napoleon, jest siły swoje rozdzielać, żeby żyć, a skupiać, żeby walczyć. Pierwsza chwila po utracie Warszawy nie była zaiste chwilą sposobną do uderzenia na zwycięskie wojsko nieprzyjacielskie. (W. Z.)

Obojętne nawet pismo od wodza naczelnego do dowódcy korpusu, mogłoby było zmienić o wiele położenie tego ostatniego, pozwalając mu zachować wobec korpusu pozór, że działa wedle odebranych rozkazów. Przeciwnie, rozpowszechniona wiadomość, iż wracający z Warszawy adjutanci żadnego pisma, ani nawet ustnego rozkazu uzyskać nie zdołali, pozbawiło dowódcę tej powagi moralnej, która polega na przekonaniu, iż działa on za rozkazem wyższym, bez czego nie wystarcza ani karność wojskowa, ani nawyknienie do posłuszeństwa, ani nawet, w najczęstszych wypadkach, osobista wziętość dowodzącego.

W takich tedy okolicznościach jen. Ramorino uznał za konieczne szukać ratunku w tem, co nader rzadko przynosi zbawienie, najczęściej zaś bywa tylko oznaką śmiertelnej choroby. Chcę mówić o radzie wojennej, o tem niebezpiecznem lekarstwie, które rzadko leczy, a, gdy nie leczy, zwykle zabija.

Trzy główne powody zniewalały jen. Ramorinę do tej ostateczności: po pierwsze, że był cudzoziemcem; po drugie, że brak rozkazów od naczelnego wodza, po ustąpieniu tegoż z Warszawy, był wiadomy wszystkim; po trzecie, że powszechny, niemal jednomyślny instynkt całego korpusu był za udaniem się do Modlina.

Otaczający bliżej jen. Ramorinę, a podzielający jego zdanie co do dalszych ruchów korpusu i konieczności niezwłocznego ich rozpoczęcia, odradzali mu poddanie tej sprawy pod rozbiór rady wojennej. Do tych i ja należałem. Mojem zdaniem było, iż dowódca, zważywszy, że jest cudzoziemcem i przewiduje różność zdań w korpusie, może uciec się do sądu podwładnych, aby zbadać o ile w nim pokładają zaufanie, ale nie powinien pozostawiać im decyzyi o jakichbądź działaniach wojennych, te bowiem zawsze a zawsze najskrytszą tajemnicą dla wojska zostać powinny. Wobec tego, że byliśmy zostawieni od dwóch dni bez rozkazu ze sztabu głównego, że wiadomości

o wzięciu Warszawy prywatną tylko drogą do nas dochodziły, mógł dowódca z korzyścią zgromadzić pewną liczbę oficerów korpusu i poddać im tę kwestyę: czy sądzą, że w takich okolicznościach winien dalej na miejscu czekać rozkazów (staliśmy bowiem w pozycyi ostatnim rozkazem wskazanej), czy też ma iść za własnem przekonaniem, na rozkazy dłużej nie czekając. Powinien był też zapytać, czy w tym ostatnim wypadku zaufają mu i czy zechcą ściśle i ślepo być mu posłuszni, gdyż potrzebował tego zaręczenia, aby mógł dalej urząd swój piastować.

Gdyby stanowczość dowódcy i powstrzymanie się jego od wszelkiego tłomaczenia czynności swych i zamiarów zdołały mu wrócić zaufanie wojska i wzbudzić uszanowanie dla niego, krok taki przyniósłby lepsze korzyści, niż rada wojenna. Do mas trzeba się odwoływać z niezmierną roztropnością. Odwoływanie się takie, jeżeli już jest konieczne, nieodzowne, niechże przynajmniej będzie krótkie i węzłowate, prawie pozorne tylko. W wojnie naszej niegodziwie nadużyto rad wojennych, a nie było takich, jakich potrzeba. Nieustannie, już od stycznia, nalegałem na utworzenie rady przy boku prezesa rządu; chciałem by wódz naczelny podlegał nie szczegółowym rozkazom tej rady, ale jej wskazówkom ogólnym, co do kierunku i celu.

Zamiast tego rady wojenne bez końca, prawie codziennie po sobie następujące, postanawiały o ruchach wojskowych, niby to większością głosów. Litość brała. Wielce się to przyczyniło do zdemoralizowania wojska, które wiedziało o tajemnicach rady i z nią je dyskutowało. Zajścia bolimowskie powstały z tego nadużycia o wiele więcej, niż z wpływów klubu. Klub z tego skorzystał, ale klub sam przez się niczegoby nie był dopiął, gdyby nie brak karności, w jaki wojsko wpadło.

Ale jen. Ramorino innego był zdania pod tym względem. Rozumowania jego opierały się głównie na tem, iż cudzoziemiec napróżnoby usiłował pociągnąć za sobą Pola-

ków na nowe trudy i niebezpieczeństwa, w mniemaniu jednych bezcelowe, dla drugich może nawet podejrzane. Do tego potrzebował poparcia dobitnym dowodem ufności, okazanej przez większość przynajmniej wyższych oficerów korpusu. Upatrywał konieczność jakby stawienia się przed korpusem swoim, przełożenia otwarcie stanu rzeczy, objawienia chęci i gotowości do prowadzenia dalej komendy w sposób, najlepiej odpowiadający potrzebom sprawy i położonemu w nim przez Rząd Narodowy zaufaniu, w sposób, ratujący przynajmniej honor korpusu, którym dowodził.

Z tych tedy powodów zwołał na godzinę piątą rano dnia 9 dowódców dywizyi, brygad i pułków na radę wojenną. Z pobliżej stojących pułków i bateryi rozkazano dowódcom przyprowadzić z sobą po jednym oficerze. Jen. Ramorino chciał bowiem, by rzecz, rozważana na radzie, doszła do wiadomości wszystkich. Szerokie rozłożenie korpusu, zajmującego przestrzeń pięciomilową, od Kałuszyna do Siedlec, gdzie dywizya jazdy stała wobec awangardy nieprzyjacielskiej, nie pozwoliło wszystkim zwołanym przybyć na radę. Przybyło jednak jenerałów i dowódców pułków siedmnastu, oraz jedenastu oficerów niższych.

Rada rozpoczęła się od przeczytania przygotowanej na piśmie opinii dowódcy o obecnem położeniu korpusu i dalszem działaniu jego. Dowódca przytaczał najprzód ostatni rozkaz zastępcy naczelnego wodza, pisany już po wzięciu Woli i zalecający korpusowi zajęcie tych właśnie stanowisk, na których, zatrzymany wiadomością o upadku stolicy, znajdował się obecnie, a w których zastępca naczelnego wodza, przypuszczając już konieczność opuszczenia Warszawy, przewidywał, iż wypadnie połączyć «wszystkie siły nasze». Gdy mimo zaszłych wypadków, żaden następny rozkaz wydany nie był, a armia warszawska rzuciła się w inną stronę, dowódca korpusu widział niepodobieństwo zajmowania dłużej pozycyi, na

której był narażony na niezwłoczne zewsząd otoczenie przez nieprzyjaciela. Dwie drogi mogły być przedsięwzięte; trzeba było albo zbliżyć się na domysł w stronę, w którą udał się sztab główny wojska, albo ruszyć w innym kierunku. Najmniejsze wahanie mogło odjąć nam możność użycia drugiego środka. Korpus nieprzyjacielski tylekroć nam zapowiadany od Góry Kalwaryi, mógł po upadku Warszawy przejść Wisłę niezwłocznie i ubiedz nas na drodze, prowadzącej do województwa lubelskiego. Dowódca nie taił swego zdziwienia z powodu obranej przez armię warszawską dyrekcyi ku Modlinowi, wyznawał głośno, iż jedyną możność dalszego prowadzenia wojny widzi dla korpusu swego w kierunku przeciwnym, czy to w przypuszczeniu zbyt prawdopodobnem, niestety, że armia warszawska po tak wielkiej klęsce nieprędko zdoła coś stanowczego przedsięwziąć, czy też w nadziei, że, zorganizowawszy się pod zasłoną dział i obronnej pozycyi Modlina, potrafi w niedalekim czasie znowu rozpocząć kroki wojenne. Opinia dowódcy korpusu kończyła sie temi słowy:

«Niedbałość niepojęta, z jaką od dnia 6 b. m. przepomniano zupełnie o korpusie licznym, i świeżo ojczyźnie zasłużonym, wkłada na dowódcę obowiązek, aby sam o ocaleniu tegoż myślał i uwalnia go od dalszego wahania. Zdaniem przeto jen. dowódcy korpusu jest, aby udać się, nie tracąc godziny, przez województwo lubelskie ku Zamościowi, jako w jedyną i otwartą drogę do uniknięcia sromotnych układów i do zachowania krajowi wojska, które mu się tylokrotnie świetnie zasłużyło. Tę myśl swoją dowódca korpusu osądził jednak za rzecz potrzebną zakomunikować radzie wojennej, aby w chwili tak stanowczej zasięgnąć światła wojskowych doświadczonych, oraz w nadziei, że, uzyskawszy nowy dowód tylekroć doświadczonej ufności podkomendnych, silniej się jeszcze przywiąże do pomysłu śmiałego, który sam jeden w jego przekonaniu odpowiedzieć może obowiązkom naszym i potrzebie położenia.»

Niepłonną okazała się ta odezwa dowódcy. Głosy przeciwne, przemawiające za udaniem się do Modlina, nie zdołały już utrzymać przy swojem zdaniu większości zgromadzonych, którzy na chwilę przed radą byliby według wszelkiego podobieństwa za zdaniem tem głosowali. Chęć łączenia się pod Modlinem ustąpiła nie przed rozumowaniem strategicznem, ani przed rozbieraniem kwestyi wojskowej, ale, niewątpliwie, przed prostą, szczerą i oczywistą chęcią dowódcy, szukania dalej boju, a unikania układów z nieprzyjacielem. Ci, zaś, którym nie serca, ale dostatecznej ufności do dowódcy brakło, żeby iść na ślepo za jego tylko rozkazem, potrafili, w poufalszej z nim lub ze mną rozmowie, ocenić dokładniej następstwa, jakieby pociągnąć musiało niecierpliwe, nierozważne zmarnowanie sił naszych na punkcie najmniej do tego właściwym.

Z obecnych na radzie wojennej w Opolu, 9 września, za zdaniem jen. Ramoriny oświadczyło się siedmnastu, za udaniem się do Modlina dziesięciu, do których się potem przyłączyło trzech, na radzie nieobecnych[1]).

---

[1]) «Kwestya podana w radzie wojennej do rozwiązania:
Czyli mamy iść do Zamościa lub też do Modlina:

Podporucznik Sobański z 5 ułanów	do Zamościa	1
Kapitan Gołkowski z kaliskiej jazdy	do Zamościa	2
Kapitan Lipski z kaliskiej jazdy	do Zamościa	3
Podporucznik Kor. Kleczkowski z artyleryi	do Zamościa	4
Kapitan Siemieński z 14 piechoty	do Zamościa	5
Kapitan Boski z jazdy sandomierskiej	do Zamościa	6
Kapitan Wyszkiewicz z 3 piechoty	do Modlina	1
Kapitan Obrocki z 3 ułanów	do Modlina	2
Porucznik Zboiński z 14 liniowego	do Zamościa	7
Kapitan Podlesiecki z 1 ułanów	do Modlina	3
Pułkownik Dąbrowski, dowódca 3 piechoty	do Zamościa	8
Pułkownik Jastrzembski, dowódca 14 piechoty	do Zamościa	9
Podpułkownik Kotkowski, dowódca 1 ułanów	do Modlina	4
Major Kleczyński, dowódca 5 ułanów	do Modlina	5
Podpułkownik Grodzicki, dowódca 2 jazdy kaliskiej	do Zamościa	10
Pułkownik Podczaski, dowódca 5 liniowego	do Modlina	6

Ja głosowałem przeciwko udaniu się do Modlina, bo wszystko utwierdzało mnie w przekonaniu, że powinniśmy oddzielić losy nasze od Małachowskiego. Mówiłem sobie: jeżeli Małachowski nie chce nam dać rozkazu, to dlatego, że jest tak skrępowany, że tylko zgubny rozkaz dać może. To przypuszczenie silnie wpłynęło na mój sąd o całem położeniu rzeczy. Jednakowoż, ten powód nie był jedyny. Oto, jak rzecz przedstawiała mi się z czysto wojskowego względu: dla wojska, stojącego w pozycyi Modlina, jeden mógł być tylko ratunek, przebicie sobie przeprawy przez Wisłę dla dostania się w województwo krakowskie. Ale, czy to było rzeczą możebną do wykonania? Niektórzy twierdzą, że dzięki błędom, przez Moskali popełnionym, nie było to niemożebne. Ja temu nie wierzę. Czyż wojsko moskiewskie, zapewne strudzone, ale zwycięskie, mogło pozwolić, aby wojsko nasze, chociaż słabsze i upadłe na duchu, kroczyło przed

Kapitan Kraczkiewicz, kap. 5 liniowego	do Modlina	7
Pułkownik Kruszewski, dowódca 3 brygady jazdy	do Zamościa	11
Podpułkownik Mrozowski, dowódca 9 ułanów sand.	do Zamościa	12
Podpułkownik Turski, dowódca art. II korpusu	do Modlina	8
Pułkownik Gallois, dowódca 1 bryg. 5 dyw.	do Zamościa	13
Jenerał Langermann, dowódca 1 bryg. 6 dyw.	do Zamościa	14
Jenerał Bieliński, dowódca 6 dyw. piech.	do Modlina	9
Jenerał brygady Sierawski, dowódca 5 dyw. piech.	do Zamościa	15
Pułkownik Bogucki, dowódca 21 piechoty liniowej	do Zamościa	16
Pułkownik Żółkiewicz, dowódca 3 ułanów	do Modlina	10
Pułkownik Zamoyski	do Zamościa	17

Jenerał Konarski, dow. bryg. 3 dyw. 3: «Nie będąc przytomnym na radzie, oświadczam jednak zdanie moje, iż wszelkiemi środkami starać się potrzeba dla połączenia się z korpusem jen. Małachowskiego».

Jenerał Gawroński: «Nieobecny na radzie, później zdanie me oświadczam maszerowania do Modlina».

Jenerał Sznayde: «Nie byłem obecny na radzie, lecz zdaniem mojem pierwszem było połączenie się z główną armią, cofającą się z Warszawy».

Jenerał Zawadzki, nieobecny, nie wotował.

Jenerał dywizyi Ramorino, dow. II korpusu wojska, nie chciał dać zdania, chyba w przypadku podziału zdania.»

niem przez tak ogromny obszar kraju? Ani podobna tego przypuścić. Wreszcie mogłoby się to udać korpusowi nielicznemu, któryby zdołał ujść czujności nieprzyjaciela, ale nigdy wojsku czterdziestotysięcznemu; staczać zaś bitwę, mając za sobą Wisłę i pruską granicę, byłoby chyba szałem rozpaczy.

Niektórzy, pomni na świeżą wyprawę Dembińskiego, marzyli o Litwie, lecz zbliżająca się zima uniemożebniała wszelkie działania w tym kierunku. Co więcej, byłoby to odciąć się od Europy, opuścić Królestwo, mieć za sobą lody, Moskwę i morze. Morze w innej porze roku mogło poważne nam zapewnić korzyści, ale nie wtedy. A jednak nie waham się twierdzić, że gdyby Małachowski, zamiast przysłania rozkazu maszerowania do Modlina, kazał nam iść na Litwę, II korpus byłby natychmiast i bez chwili wahania tam się udał. Ale wykonanie takiego postanowienia nie cierpiało zwłoki, a nic bardziej przeciwić mu się nie mogło, jak marsz II korpusu do Modlina. Warszawskie korpusy wystarczały, żeby pokonać moskiewskie, któreby im drogę na Litwę zagrodzić mogły, II korpusowi wypadało w takim razie iść równolegle, a po drodze znieść korpus Rosena.

Drugim celem marszu do Modlina mogło być zajęcie stanowiska nie do zdobycia, na którem możnaby czekać wypadków i ukończyć wojnę układami pod osłoną 40.000 żołnierza, dobrą jeszcze mającego postawę, a którego byłoby niebezpiecznie pchać do rozpaczy. Lecz, czyliż układy w takich warunkach mogłyby być pożądane? Wojsko, składające się z 40.000, nie licząc co najmniej 10.000 wszelkiej służby, byłoby w zupełnej niemożności wyżywienia się przez czas dłuższy, a będąc systematycznie wpierane w coraz ciaśniejsze koło, musiało być niechybnie doprowadzone do ostateczności. Niewątpliwie, jakiś błąd, jakaś nieoględność ze strony nieprzyjaciela, mogłoby mu dać sposobność, o ileby się z niej korzystać umiało, do zadania mu tu i owdzie dotkliwej szkody.

Jednak powtarzam: tak otoczone i ścieśnione wojsko musi prędzej czy później uledz. Takie pozycye mogą być dobre tylko w oczekiwaniu posiłków z zewnątrz. A czyż my na to mogliśmy liczyć, zgromadziwszy całe wojsko na jednym punkcie? Czy nie należało, przeciwnie, zarzucić wszelką myśl rokowania, pókiby jakie zwycięstwo korpusu działającego poza obrębem pozycyi modlińskiej nie polepszyło naszego położenia wojskowego?

Natomiast ważne poszlaki nastręczały obawę, że dowódca armii pod Modlinem ma zamiar natychmiastowego rokowania, a raczej, że poddanie się bezwarunkowe przyjął jako cel ostateczny. Czy wobec tego żołnierski obowiązek nakazywał nam bezwzględne łączenie się z nim? Czy, idąc do Modlina, nie zgotowalibyśmy sobie losu dywizyi jen. Vedel, która w 1808 roku szła na pomoc jen. Dupont, a gdy ten podpisał nieszczęsną kapitulacyę w Baylen (22 lipca) przyszła sama poddać się Hiszpanom, jedynie dlatego, że jen. Dupont dał sobie wyrwać rozkaz złożenia broni dla tej dywizyi. Takie rozkazy nie są obowiązujące, nawet gdy są wyraźne, a w tym przypadku myśmy żadnego rozkazu nie mieli.

Obok tych względów, wynikających z położenia strategicznego, nasuwały mi się jeszcze następne:

Armia warszawska maszerowała bez wodza. W istocie wiedzieliśmy, że Krukowiecki, uważany za zdrajcę, został w Warszawie, zarówno jak Chrzanowski i Prądzyński; o tym ostatnim mówiono, że później ma się z wojskiem połączyć.

Wojsko zostawało pod rozkazami poważnego, ale zbyt nieudolnego Małachowskiego. Dość było spojrzeć na tego szanownego starca, by zrozumieć, że wojsko było bez wodza. Prawdę powiedziawszy, można się było dziwić, że pozostaje on jeszcze na czele wojska po upadku tego, który go chwilowo tylko na tem stanowisku postawił. Było niewątpliwe, że pierwszą czynnością ku zreorganizowaniu wojska musiało być zamianowanie nowego

wodza. Któż tedy miał nastąpić po Małachowskim? jakich mężów załoga warszawska na to stanowisko dostarczyć mogła? Na pierwszem miejscu wymienić trzeba Dembińskiego, ale on, tak samo jak Skrzynecki, gdyby się na nowo zjawił, miał przeciwko sobie całą zgraję naszych prawodawców, a raczej warchołów, przed którymi obaj truchleli. Poza nim nie nasuwało się ani jedno nazwisko człowieka, za którymby przemawiały już nie mówię głosy ale zasługi poprzednie. Bem dopiero w obronie szańców Warszawy, zwłaszcza dnia 7 września, zdobył sobie ten urok, który w Modlinie ściągał na niego uwagę części wojska.

W tej ostateczności przypomniałem sobie, że w Bolimowie nazwisko Ramoriny wymieniane było z widocznem upodobaniem. Ramorino zwycięstwami, przez nasz korpus od tej pory odniesionemi, musiał jeszcze urość w ogólnym szacunku tych, co zdala i powierzchownie go sądzili. Żadne stronnictwo przeciwko niemu nie powstawało; przeciwnie, przemawiała za nim ta nasza skromność przesadna, która sprawia, że Polacy łatwo i chętnie przypuszczają u cudzodziemca więcej zdolności, niż ich samym sobie przyznają. Otóż sądziłem, że lepiej w oddaleniu trzymać człowieka, którego zalety, szlachetność, odwagę, poświęcenie dla naszej sprawy, pieczołowitość o wojsko, lepiej od innych ocenić mogłem, ale którego zdolności nie odpowiadały potrzebom stanowiska, na jakie z łatwością wynieść go mogły ówczesne wypadki.

Wojsko maszerowało bez wodza, a towarzyszyły mu te wszystkie żywioły, które nieustannie podkopywały karność wśród niego, a które po raz pierwszy po za mury Warszawy pociągnąć musiały. Czyż nie zachodziła obawa, aby te żywioły, aby ci ludzie, których jedynie wódz energiczny mógł w karbach utrzymać lub zgnieść, nie rozzuchwalili się straszliwie wśród wojska pozbawionego wodza, wojska, którego prawie wszystkie oddziały

były pod dowództwem naczelników ogłoszonych przez te właśnie żywioły za zdrajców lub niedołęgów?

Niezatarte wrażenie pozostawiły w umyśle moim zajścia w Bolimowie; zdawało mi się, że w Modlinie powtórzenie się ich jest nieuniknione i to w nieskończenie gorszych warunkach. Uliczni trybuni swą hałaśliwą wymową podżegaliby głuche knowania niższych oficerów. Wobec takich wpływów, nie widząc ani jednego człowieka, zdolnego ocalić, jeżeli już nie naród, to dobrą sławę wojska, czegóż się można było spodziewać?

Nareszcie, wyznaję, że z opowiadań naocznych świadków o tem, co się działo przy wyjściu z Warszawy, wyrobiłem sobie przesadzone wyobrażenie o dezorganizacyi, w jaką to wojsko wpadło. Wystawiałem sobie, iż to musi już być tylko tłuszcza, podobna do rozbitków wielkiej armi, ciągnącej pod Berezynę. Bałem się, że zetknięcie się II korpusu z załogą warszawską stanie się tak zgubne dla nas, jak w 1812 roku połączenie marszałków Victor i Gouvion Saint-Cyr z wielką armią. Dwa ich korpusy, wracające od Połocka, gdzie nie doznały żadnej klęski, korpusy zwycięskie, rzec można, liczyły do trzydziestu tysięcy wyborowego, niczem nie zmęczonego wojska. I cóż one pomogły wielkiej armii? Oto nie upłynęło dwadzieścia cztery godzin, kiedy wojskowi, rozumiejący czem jest wojsko a w wojsku karność, mogli już dostrzegać, że są one dotknięte do najwyższego stopnia ogólną zarazą, która armię dezorganizowała; czterdzieści ośm zaś godzin po owem złączeniu nie było już żadnej różnicy między przybyłemi korpusami a wielką armią.

I nasze przybycie pod Modlin nie podniosłoby ducha[1]), nie przywróciłoby karności w reszcie wojska, boć nie

---

[1]) Ażeby dać pojęcie o duchu, jaki panował wśród dowódców w Modlinie, wystarcza przytoczyć, że razu jednego postanowili większością głosów wyprawić poselstwo do cesarza z prośbą o ułaskawienie. Wprawdzie postanowienie to było powzięte dopiero, kiedy upadek

zmieniało ogólnego stanu rzeczy, skazywało nas tylko na dzielenie tego samego losu, dając jeszcze dotkliwiej uczuć brak żywności.

Armię, która poszła pod Modlin, jedna tylko okoliczność pokrzepić i ducha jej wrócić mogła: oto, gdyby nasz korpus pobił nieprzyjaciela na jakimbądź punkcie. Taka wiadomość zrobiłaby to, czego przybycie nasze nigdyby nie dokazało. A jednocześnie powodzenia II korpusu odciągnęłyby od Modlina część wojsk nieprzyjacielskich, które na nim ciążyły.

Nasze dywizye miały dowódców, którzy osobiście żadnego nie posiadali nad żołnierzem wpływu. Ramorino jeden w II korpusie miał wzięcie, on jeden wzbudzał zaufanie i ku niemu wszystkie oczy się zwracały. Tak było istotnie mimo wszystkiego co o nim mówią jego nieprzyjaciele i ci, którzy zbyt skąpą miarą mierzą jego zdolności. Nic tego lepiej nie dowodzi, jak uległość, z jaką cały korpus za nim poszedł wbrew zdaniu dwóch dowódców dywizyi i wielu wyższych oficerów. Ale Ramorino, przyłączony do wojska w Modlinie, straciłby znaczenie, jakie miał w swoim korpusie, chyba, gdyby został wodzem naczelnym, co wcale nie było do życzenia.

Czy zawiniłem, że, pod naciskiem takich przekonań, chciałem korpus na wszelki wypadek zabezpieczyć? Czy, przeciwnie, nie byłbym zawinił, gdybym, dla zasłonięcia się od mogącej spaść na mnie odpowiedzialności, był poszedł drogą, o której sądziłem, że prowadzi do zguby? Ale, kto przyjmuje odpowiedzialność za postanowienie, ten oczywiście naraża się na odpowiedzialność za wypadki, które z postanowienia zdają się wynikać.

Gdy z obliczenia głosów obecnych na radzie wypadło, że, choćby przydano do mniejszości głosy czterech

---

II korpusu odebrał ostatnie nadzieje, a nawet i wówczas wojsko z oburzeniem zamiar ten odrzuciło. Ale, czy można przypuszczać, ażeby ludzie, zdolni do takiego pomysłu, okazali więcej ducha i energii, gdyby II korpus był się do nich przyłączył? (W. Z.)

nieobecnych jenerałów, większość wyraźna jest przeciwna pochodowi do Modlina, jen. Ramorino oświadczył, że takie jest i jego zdanie, i że, gdyby nie był cudzoziemcem, byłby bez zwołania rady wydał odpowiednie rozkazy. Następnie odezwał się do uczuć honoru tych, którzy byli przeciwnego zdania i wzywał ich w imię sprawy narodowej, aby odtąd łączyli się szczerze ze zdaniem większości i pełniąc gorliwie obowiązki, z powziętego postanowienia wynikające, utrzymywali w żołnierzu uczucia zgody i ufności.

Rozkazy do marszu natychmiast wydano. Pułk. Kruszewski pierwszy z brygadą o godzinie ósmej rano wyruszył przez Iganie i Domanice do Łukowa lewym brzegiem rzeki Juhawy, inaczej zwanej Liwcem, drogą leśną i piaszczystą. Miał rozkaz przyspieszenia marszu tak, aby uprzedzić w Łukowie oddziały nieprzyjacielskie, które z Międzyrzeca tamże dążyć musiały. Za brygadą pułk. Kruszewskiego pomaszerowała cała piechota, a przy niej park i bagaże. Brygadzie jen. Zawadzkiego posłano do Kałuszyna rozkaz, aby szła prosto na Łuków i tam łączyła się z korpusem. Dwie tylko brygady jazdy, rozłożone obozem za Siedlcami, odebrały rozkaz niewyruszania aż dopiero w nocy, tak żeby ukryć najdłużej przed obecnym z tej strony nieprzyjacielem marsz i obrany kierunek.

Chociaż zdanie dowódcy przemogło na radzie wojennej, gdzie z ust jego i tych, którzy zdanie jego podzielali, słyszano powody jasne i szlachetne tego postanowienia, jednakże i ci nawet, którzy na radzie byli obecni, przybywszy do swoich pułków, nie wszyscy byli w stanie objaśnić powody i cel tego ruchu. Dowódca bowiem i główni zwolennicy jego myśli unikali wchodzenia w szczegóły, mogące objaśnić plan zamierzonych operacyi, i poprzestawali na silnem a nader łatwem potępianiu dyrekcyi Modlina. Skoro więc rozeszła się wiadomość, że korpus rusza w przeciwny od reszty wojska kierunek, objawił się żal głęboki. Pokazała się cała boleść, nawet rozpacz

wielu z powodu utraty Warszawy. Doznawaliśmy naówczas następstw wyłącznego bronienia stolicy, któremu przez cały ciąg wojny i pod wszystkimi wodzami wszystkie inne względy były poświęcane. Nie będę tu rozbierał, czy taki plan odpowiadał potrzebom sprawy naszej, czy był koniecznością, której wszystko uledz powinno było; dość powiedzieć, że, jak w ciągu wojny krępował wszystkie ruchy wojska, był przeszkodą do rozszerzania się powstania po całym kraju, a bruk Warszawy czynił żyznem polem dla anarchicznych żywiołów, tak w owej chwili sprawił, że cios stolicy zadany stawał się nieuchronnym i ostatecznym ciosem dla kraju i dla sprawy.

Bądź co bądź, mało napotykało się takich, których oczy nie byłyby łzami zalane w tej srogiej dla dusz polskich chwili. A najwięcej boleści okazywali ci właśnie, których i wtedy i potem jeszcze widziano najżarliwszymi w dopełnianiu danych sobie zleceń, najwytrwalszymi do ostatniej chwili.

Uwiadomiony o takiem zachwianiu umysłów, Ramorino zaraz po wydaniu rozkazów wsiadł na konia, a zaprosiwszy ze sobą x. Czartoryskiego, którego rady i pomocy zasięgał we wszystkich czynnościach tej stanowczej chwili, objechał szeregi stawających do wymarszu pułków. Zaiste był to widok rozrzewniający i poważny. Przed każdym pułkiem koleją przemawiał dowódca do oficerów po francusku, a potem po polsku kazał przy sobie czytać odezwę następującą:

«Kwatera główna w Opolu pod Siedlcami.
9 września 1831.

Żołnierze!

Cel spiesznego pochodu naszego chybiony. Warszawa i Praga zajęte przez nieprzyjaciela. Lecz wojna dla tego nie jest skończona, bo my broni nie złożymy; my, którzyśmy tyle razy Moskali przełamywali, nie rzucim haniebnie broni pod stopy najezdników, nie oddamy im chorągwi, znaków i dział, które nam ojczyzna do strze-

żenia, nie do sprzedawania, powierzyła. Ruch wszelki do Modlina prowadziłby do niezawodnej kapitulacyi. Ostrzeżony o ruchu moim, jen. Małachowski albo pospieszy za nami, albo połączy się z nami celem odzyskania stolicy. Ja kapitulować nigdy nie będę. Uniesiem cały honor żołnierza, honor narodu, który nie w stolicy, ale przy bagnetach, przy lancach ozdobnych narodowemi kolorami, przy zbrojnych polskich znajduje się zastępach. Ktoby chciał układów, droga mu wolna. Ja idę z prawdziwymi Polakami tam, gdzie nadzieja ocalenia ojczyzny jeszcze nam świeci.»

Obecność x. Czartoryskiego dodawała wielkiej wagi tym słowom, a każdy czuł, że dodawała także znaczenia korpusowi. Po wzięciu Warszawy, przy niewiadomym losie reszty wojska, kiedy można było obawiać się, że tamta część przestała służyć ojczyźnie i że bezpieczny z Warszawy odwrót przypłaciła przystaniem na najnieszczęśliwsze warunki, korpus liczny, karny i dobrego ducha, opatrzony w znaczne zasoby, mogący przenieść wojnę w strony, przedstawiające widoki powodzenia, korpus ten już sam przez się mógł przedłużać wojnę i rozmaite w sprawie narodu odnosić korzyści. Obecność zaś x. Adama przy takim korpusie mogła mu w danych okolicznościach nadać znaczenie i wagę nieograniczoną.

Słowa też poważne i patryotyczne, któremi x. Adam, tu i owdzie dnia tego przemawiając, nadzieję okazywał, umysły do wytrwania swoim przykładem zachęcał i postanowienie dowódcy korpusu pochwalał, przyczyniły się wielce do kojenia żalu, do powstrzymania łez rozpaczy, do budzenia lepszej otuchy i większej ufności do dowódcy.

Jen. Ramorino, objechawszy wszystkie części korpusu, mające zaraz wyruszyć, skończył na dwóch brygadach jazdy, które do nocy w Siedlcach miały się zatrzymać, i te na rynku zebrał dla odczytania im swojej odezwy.

Wieczór nadchodził. Żadne poruszenie na linii korpusu Rosena nie zapowiadało zaczepnych z tej strony

kroków. Po krótkim spoczynku, dowódca korpusu wsiadł na konia i miał już wyruszyć ze sztabem swoim w marsz do Łukowa, dokąd, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Kruszewski o tejże godzinie musiał dochodzić, kiedy przybył kapitan sztabu kwatermistrzostwa, Kowalski i wręczył mu depeszę zastępcy naczelnego wodza.

Dowódca uczuł natychmiast, iż przywieziony rozkaz może go postawić w najdrażliwszem i najtrudniejszem położeniu. Zsiadł przeto z konia, wszedł do poblizkiego domu na rynku, rozkazał kapitanowi Kowalskiemu i mnie iść za sobą i wtedy dopiero przywiezioną expedycyę odpieczętował.

Rozkaz był następujący:

«Nr 8748. W kwaterze głównej w Jabłonnie.
dnia 8 września 1831.

Naczelny Wódz Siły Zbrojnej Narodowej

Do JW. Jenerała Ramorino, Dowódcy Korpusu II

Mam zaszczyt uprzedzić JW. Jenerała, iż wojsko nasze, po dwudniowym szturmie Warszawy, ustąpiło z rzeczonego miasta. Most i szaniec przedmostowy Pragi oddane zostały w ręce nieprzyjaciela. Wojska nasze pomaszerowały pod Modlin, gdzie wszystkie siły nasze zbierać zamyślamy. JW. Jenerał z korpusem dowództwa swego na Kamieńczyk udasz się, gdzie most na Bugu zastać powinieneś. JW. Jenerał tak maszerować będziesz, ażebyś dnia ...[1]) b. m. w Kamieńczyku stanął; na prawym brzegu Bugu dalszych oczekiwać będziesz rozkazów. Po drodze JW. Jenerał zebrać zechcesz wszelkie oddziały, w tamtych okolicach stojące, a mianowicie: oddział podpułkownika Janowicza, stojący nad Bugiem i majora Sośnickiego, w Mińsku i nad Bugiem posterunki swe mającego.

Uprzedzam JW. Jenerała, iż oficer oddawca niniejszego ma sobie poruczone rozmaite zlecenia do Jenerała, które mu ustnie zakomunikuje.

(podpisano) Małachowski.

---

[1]) Data nie wpisana.

Uprzedzam JW. Jenerała, iż jen. Krukowiecki złożył urząd prezesa Rządu Narodowego i żadnego teraz niema w kraju urzędowania.»

Po przeczytaniu depeszy, jen. Ramorino i ja wyraziliśmy oddawcy niezmierną przykrość, sprawioną tym rozkazem, skoro, w braku rozporządzeń poprzednich, dowódca musiał już powziąć postanowienie maszerowania w kierunku przeciwnym, który uważał za najodpowiedniejszy, a, zmuszony będąc do działania na własną odpowiedzialność, uważał, że powinnością jego było przekonać podwładnych o potrzebie i powodach nie udawania się do Modlina. Wobec tego pozostawały dwie alternatywy: albo iść do Modlina, głośno potępiwszy ten kierunek, jako zgubny i prowadzący do niezawodnego złożenia broni, albo nie iść i korpusowi własnemu dać przykład nieposłuszeństwa. Mówiliśmy dalej, że, maszerując już dzień cały ku południowi, gdybyśmy się teraz zwrócili na północ, weszlibyśmy między dwa wojska nieprzyjacielskie, co byłoby bardzo niebezpieczne dla naszego korpusu i z wielką ujmą dla powagi wodza. Wysłuchawszy tych uwag i uderzony zapewne okolicznościami, które czyniły wykonanie rozkazu niekorzystnem, kap. Kowalski wskazał na zdanie, w depeszy zawarte, któregośmy nie zauważyli: «oddawca niniejszego ma sobie poruczone zlecenia, które ustnie zakomunikuje». Natychmiast oczywiście zapytany, jakie są te zlecenia ustne, odpowiedział, że wódz naczelny, nie wiedząc, gdzie i w jakiem położeniu depesza ta zastanie II korpus, pozostawił do uznania dowódcy, co lepiej sprawie posłuży, czy wykonanie powyższego rozkazu, czy powzięcie innego postanowienia[1]). To oświadczenie wszystkie trudności

[1]) W liście do Zamoyskiego, z 29 kwietnia 1844, kapitan Kowalski tak się wyraża: «Brzmieniem rozkazu był marsz do Modlina, ale marsz ten stał się warunkowym przez instrukcyę ustną, i tak musiało być koniecznie, skoro sztab główny nie wiedział nic o położeniu korpusu, któremu posyłał rozkaz; inaczej instrukcya ustna byłaby tylko powtó-

rozstrzygało. Wahanie ustało w tejże chwili. Dowódca postanowił iść dalej w obranym kierunku i już tylko polecił kap. Kowalskiemu wezwać naczelnego wodza, aby usiłował ze swej strony przejść na lewy brzeg Wisły i dążyć przez kaliskie województwo do krakowskiego.

Rozkaz wręczony kap. Kowalskiemu w Jabłonnej oddany mu został 8 września między jedenastą a dwunastą w nocy. Jen. Małachowski w relacyi, drukowanej za granicą po upadku powstania, utrzymuje, że na parę godzin przedtem napisać kazał inny (nr 8744), w którym jenerałowi Ramorino nakazywał ten sam ruch do Modlina, tylko nie na Kamieńczyk, ale na Stanisławów i Kobyłkę. Rozkaz ten nigdy do II korpusu nie doszedł i możliwe, że wcale nie był expedyowany. Kap. Kowalski nie wpominał o nim i zdawał się nic o nim nie wiedzieć.

Natomiast jen. Małachowski, po przybyciu do Modlina 9 września, wyprawił duplikat wyżej przytoczonego rozkazu oznaczony tym samym numerem (8748), który doszedł do rąk dowódcy II korpusu d. 10 w południe w Łukowie[1]). Jest on jednobrzmiący z powyższym, zawiera więc także paragraf o zleceniu ustnem, który dawał jen. Ramorino prawo wyboru między wykonaniem lub

---

rzeniem rozkazu i w takim tylko razie jen. Ramorino za niewykonanie rozkazu byłby odpowiedzialnym; dzisiaj odpowiedzialność ta nie może, nie powinna mu być narzucona. Gdyby mi był dany rozkaz przyprowadzenia korpusu do Modlina, coûte-que-coûte, rola moja za przybyciem tam byłaby naturalnie odmienna. Pytam Pułkownika, czy miałbym w takim razie powód ukrywania woli naczelnego wodza? Tak przed jen. Zawadzkim, którego najpierwej brygadę mijałem i który prawie gwałtem ściągnął mnie z poczty, aby wybadać treść wiezionego rozkazu, jako też potem w samejże kwaterze głównej korpusu byłbym przyjął na własną odpowiedzialność następstwa z głośnego zakomunikowania woli naczelnego wodza wszystkim tam obecnym. Nie uczyniłem wszakże tego, bo wiedziałem, że tu nie wola naczelnego wodza, ale decyzya jen. Ramorino miała być stanowcza, stosownie do tego, w jakich okolicznościach jenerał ten znajdowaćby się mógł.»

[1]) Oryginał tego rozkazu przechował się u Zamoyskiego.

niewykonaniem rozkazu, według tego co sam za najstosowniejsze uzna.

Ten warunkowy rozkaz tem się tłomaczy, że jen. Małachowski, nakazując jen. Ramorino udanie się do Modlina, czynił to z przymusu, dla dopełnienia przyjętego przy oddaniu Warszawy nieprzyjacielowi zobowiązania, «że z całą armią uda się pod Płock».

Dowodem na to ustęp z listu jen. Małachowskiego do Paskiewicza z 8 września: «Mam zaszczyt zawiadomić, że korpus Ramoriny otrzymał rozkaz udania się przez Kamieńczyk w Płockie». Nazajutrz Paskiewicz wysyłał do cara raport następujący: «Warszawa u stóp W. C. Mości. Według moich rozporządzeń, wojsko polskie cofa się na Płock». Oba te pisma wydane zostały w dodatku do dziennika «Journal de St. Pétersbourg» z d. 5 września (st. stylu) 1831.

Jen. Małachowski, chcąc, jak się sam wyraził, i armię pod Modlinem zebraną uwolnić od haňbiących warunków które przyjął pod wpływem i z rozkazu Krukowieckiego, złożył naczelne dowództwo.>

Gazeta Narodowa Zakroczymska w numerze drugim, z 12 września, tak fakt ten opisuje:

«Dnia 9 b. m. w twierdzy Modlinie prezes rządu [1]) zwołał wszystkich jenerałów, dowódców pułków i bateryi i dowódców oddzielnych wszelkich komend, ażeby się objaśnić o stanie armii, niemniej powziąć przekonanie, kogoby wojsko życzyło sobie za naczelnego wodza. Chociaż z prawa służy mu władza prostej nominacyi, użył wszakże tego środka, jako więcej odpowiedniego jego uczuciom i okolicznościom, w których się znajdujemy.

Wielu jenerałów prosiło szanownego weterana armii polskiej, jenerała Małachowskiego, aby i nadal zatrzymał

[1]) Bonawentura Niemojowski, mianowany przez sejm po złożeniu z urzędu Krukowieckiego.

trudne naczelnictwo narodowego wojska; lecz ten cnotliwy mąż, osiwiały pod sztandarami wolności, wymawiał się wiekiem podeszłym, starganemi siły, a w końcu wyrzekł te pamiętne słowa, które z podziwieniem powtórzy historya i zapisze obok najpiękniejszych kart dziejów wielkiej starożytności:

«Podpisałem i musiałem podpisać wynikłą z biegu wypadków i z poprzedniego rozporządzenia Krukowieckiego smutną, tak nazwaną kapitulacyę stolicy. Pokażcież światu i nieprzyjacielowi, że wódz polski nie powinien wdawać się w żadne kapitulacye; odbierzcie mi tę władzę, której nieszczęśliwie użyłem, wymierzcie przez to zasłużoną karę i zostawcie, przez potępienie starca, przykład dla młodszych i wszystkich moich następców.»

Przystąpiono do głosowania: jenerał Rybiński Maciej zyskał najwięcej głosów; prezes rządu, przychylny głosowi rycerzy naszych, mianował go natychmiast naczelnym wodzem, a ten objął już to wysokie dostojeństwo.»

< Kiedy kapitan Kowalski przybył do Modlina, 12 września rano, z relacyą o wręczeniu rozkazu jen. Ramorino, zastał już wodzem naczelnym jen. Rybińskiego, który, dowiedziawszy się o wyruszeniu II korpusu w stronę przeciwną Modlinowi, powiedział: «A, to dobrze!» Toż samo oświadczył na dwa dni przedtem (10 września) kap. Rudzkiemu, wysłanemu z Siedlec do Modlina 9 września.

Kapitan Rudzki nie przez dowódcę korpusu wysłany był do Modlina, ale przez własnego dowódcę pułku, pułk. Podczaskiego. Pułk. Podczaski znajdował się 9 września ze swoim pułkiem pod rozkazami jen. Gawrońskiego w aryergardzie, wobec nieprzyjaciela, i z tej przyczyny nie mógł znajdować się na radzie wojennej w Opolu o godzinie piątej rano; nie mógł przeto powziąć dokładnej wiadomości o powodach postanowienia, uchwalonego większością głosów, ani przezwyciężyć nieufności i żalu, z jakiemi patrzył na jego wykonanie. Posłyszawszy, jakoby

dowódca korpusu tłomaczył się niepodobieństwem skomunikowania się z naczelnym wodzem, ośmielił się wysłać do tegoż na własną odpowiedzialność jednego z oficerów swego pułku, z zaleceniem jak najspieszniejszego powrotu, po sprawdzeniu, co wódz naczelny sądzi o ruchu. Czyn ten pułkownika Podczaskiego był niezaprzeczenie uchybieniem przeciwko powinności żołnierskiej. Gorliwość obywatelska tłomaczy go; i ja też nie poczuwam się do prawa potępiania go. Powiem tylko, co już wyżej wyjaśnionem zostało, że postanowienie rady wojennej stanęło nie dla braku komunikacyi, ale dla braku rozkazu, o który adjutanci nasi nadaremnie się w sztabie głównym dopominali.

Jakkolwiekbądź, kapitan Rudzki z pospiechem, pochwały godnym, stanął w Modlinie d. 10 rano, a rozmówiwszy się z nowym naczelnym wodzem, jen. Rybińskim, rozkazy tegoż dla II korpusu w następującym raporcie wyraził:

«Po kapitulacyi miasta stołecznego Warszawy, gdy rozmaite wieści, osłabiające ducha żołnierskiego, krążyć między nami zaczęły, wysłany dnia 9 września z korpusu II do głównej kwatery dla porozumienia się z wolą naczelnego wodza, przybywszy do Modlina dnia 10, zastałem takowym wybranego jen. Rybińskiego, który, dawszy mi kartę z własnoręcznym podpisem, rozkazał, ażebym następujący rozkaz JW. Jenerałowi przeniósł:

1. Utrzymywać ducha w wojsku, przekładając, iż, jeśli ponieśliśmy stratę z przyczyny poddania się Warszawy, nieprzyjaciel daleko większą poniósł klęskę, gdyż przeszło 20.000 trupa pod wałami zagrzebał, nie licząc wielkiej liczby rannych, z naszej zaś strony 5.000 wogóle rannych i poległych zaledwie liczymy.

2. Naczelny wódz, pochwaliwszy zamiar odwrotu na Łuków i Kock ku Zamościowi, dodał, aby szybko zwrócić ku Wiśle, przeprawić się i pociągnąć w Krakowskie, gdzie, połączywszy się z jen. Różyckim, zająć mieliśmy

huty żelazne i wszelkie miejsca zdatne do wyrobu amunicyi i naprawy broni. Po uskutecznieniu tego ruchu, wódz naczelny miał resztą wojska podług potrzeby zarządzić.

3. JW. Jenerał, jako oddzielnie komenderujący, ma prawo używania wszelkich, służących temu rodzajowi władzy, atrybucyi, jako to: rozdawania i odejmowania komend podług tego, jak dobro kraju wymagać tego będzie i t. p.

(podpisano) Rudzki Alexander, kapitan 20 pułku.»

Wprawdzie raport ten otrzymał jen. Ramorino dopiero 19 września, ale rozkaz jen. Rybińskiego, aby II korpus, zamiast iść do Zamościa, zwrócił się ku Wiśle, zgodny był z myślą, wcześniej już powziętą przez dowódcę korpusu. Wprawdzie na radzie wojennej w Opolu, gdy koniecznie wypadło rzecz poddać głosowaniu, jen. Ramorino postawił kwestyę między Modlinem a Zamościem, ale istotnym jego celem było maszerowanie najprzód ponad Wisłą w nadziei, że mu się uda zdobyć most nieprzyjacielski pod Kazimierzem i że, po nim przeszedłszy Wisłę, złączy się z jen. Różyckim w wojew. sandomierskiem. Gdyby nie potrafił tego mostu zdobyć, miał niejako pewność zastania pod Zawichostem materyałów, gotowych do postawienia tam mostu; kiedy bowiem korpus miesiąc przedtem wyruszył z Warszawy, a miał zajmować wojew. lubelskie, sztab główny zawiadomił jen. Ramorino, iż, dla bezpieczeństwa korpusu, wszelkie potrzeby do postawienia mostu będą przez jen. Różyckiego trzymane w pogotowiu w Zawichoście. Niezależnie zaś od tego prezes rządu przesłał jen. Różyckiemu rozkaz następujący, 3 września:

«... pod Sandomierzem zechciej Pan Jenerał zgromadzić jak najspieszniej wszystko, co może być potrzebne do postawienia mostu na Wiśle pod Zawichostem, który w dalszych działaniach naszych może nam być przydatnym.»

Gdyby zaś, nieprzewidzianym przypadkiem, zawiodła nas nadzieja przejścia Wisły i pod Zawichostem, natenczas dopiero, lecz nie inaczej, zamierzaliśmy szukać oparcia pod działami Zamościa, dokąd marsz był bezpieczny nawet wobec sił przemagających, bo lasy ordynacyi zamojskiej ciągną się od Wisły aż pod sam Zamość. Stamtąd można było ruszyć jeszcze na Wołyń, na Podole. W najgorszym razie zamiarem dowódcy było schronić się do Multan, skąd ostatecznie można było się dostać do Turcyi, jedynego kraju, w którym mieliśmy przyjaciół istotnych, choć niepotężnych.

Lecz do tego potrzeba było ochoty i ducha, duch zaś, a przynajmniej nadzieja, odstąpiły wraz z upadkiem Warszawy.»

Rozkazem dziennym z Łukowa, 10 września, jen. Ramorino dozwalał niechętnym, których liczba coraz się wzmagała, opuścić szeregi, byle niezwłocznie, grożąc, że od dnia następnego surowo wystąpi przeciw każdemu, ktoby niezadowolenie objawiał lub spokój burzył. Noc z 10 na 11 przepędził korpus II w Łukowie.

X. Adam Czartoryski do Wodza Naczelnego[1]):

«Łuków, 11 września 1831.

Idziem pod Zamość. Lecz wprzód będziem tentować przejść Wisłę i zająć województwa. Tam znajdziem Szembeka[2]), fabrykę prochu i broni, zasiłki z Galicyi i Podola, a może co i z zagranicy. Probujcie, jeśli podobna, przez Modlin i Kaliskie iść ku nam albo za nami wzdłuż Buga. Jeśli nam nie można będzie przejść Wisły, staniem pod Zamościem, a w ostateczności przez Wołyń

---

[1]) List ten znajduje się w papierach Zamoyskiego tylko w kopii bez podpisu, nie zdaje się jednak ulegać wątpliwości, że pisał go x. Adam.

[2]) Wieść niosła, że jen. Szembek objął dowództwo nad korpusami jen. Różyckiego, Szeptyckiego i t. d. na lewym brzegu Wisły. (Odsyłacz ręką Wł. Zamoyskiego na kopii listu).

na Polesie, gdzie was czekać będziem. Jeśli macie plan lepszy, przysyłajcie go nam spiesznie; na wszystkośmy gotowi. Nie pojmujemy, pocoście do Modlina poszli i czemuście o nas mało dbali. Zdaje się, że Rosen zastępuje nam od Radzynia; unikamy bitwy dla pospiechu ku górnej Wiśle.»

Dziennik:

«11 (września). — Niedziela. Przez Wojcieszków do Łysobyk, gdzie awangarda stawia most przez noc. Korpus nocuje w Charlejowie. Konarski w Kocku. Jen. Suchtelen przysłany z listem od jen. Paszkowa, parlamentuje osobiście z jen. Ramorino[1]). Wiadomość o bitwie pod Janowcem; mniemanie, że to Szembek. Woynicki do niego wysłany o most w Zawichoście[2]).

12. — Marsz przez Łysobyki i Wieprz do Łukawicy. Moskale powtórnie próbują parlamentować, aby nas odwieść od dalszego pochodu.

13. — Awangarda (5 pułk ułanów) w Kurowie bierze 60 niewolnika, 3 oficerów, 160 wołów i magazyn. Korpus przez Kurów do Drzewcy. Sznayde w Markuszewie. Jen. Rosen żąda widzenia się z jen. Ramorino w Markuszewie. Ten posyła jen Gawrońskiego. Rozmowa kończy się na niczem.

---

1) Jen. Puzyrewski pisze o tem spotkaniu: «Na rozkaz feldmarszałka, Rosen wysłał do Ramorina jen. Suchtelen dla dowiedzenia się, czy jenerał polski ma zamiar, wbrew otrzymanemu rozporządzeniu, prowadzić dalej wojnę, czyli też udać się do Płocka; w takim razie wypadałoby się porozumieć, co do dalszego marszu jego. Ramorino, którego Suchtelen zastał w Wojcieszkowie, oświadczył, że żadnych nie odebrał rozkazów i odmówił udania się do Płocka, czego tak gorąco życzono sobie w głównej kwaterze polskiej, a do czego i sami Rosyanie dopomagać gotowi byli.» (Wojna polsko-ruska 1831 r. A. K. Puzyrewski, jenerał-lejtenant sztabu głównego. Str. 450)

2) Podpułkownik Sczaniecki z korpusu II w «Dzienniku» swoim pisze 13 września z Zawichostu, że jen. Różycki przypuszczał, iż Woynicki jest szpiegiem moskiewskim i wskutek tego posądzenia tracił czas na wywiady, zamiast odrazu zabrać się do stawiania mostu.

14. — Jen. Zawadzki dochodzi rano pod most nieprzyjaciela pod Podgórzem, blizko Kazimierza; daje czas nieprzyjacielowi odciąć most. Amunicya wzięta w szańcu przedmostowym. Most zniszczony.»

« W Kurowie dowódca powziął dokładną wiadomość o punkcie, na którym nieprzyjaciel miał most na Wiśle i natychmiast zajął się wyprawieniem silnego oddziału, któryby most ten spiesznym nocnym marszem napadł i zdobył. Lecz zamiast użycia, jak należało, do tej tak stanowczej wyprawy czoła kolumny czyli awangardy korpusu, jen. Ramorino, powodując się szczególnem dla zdolności jen. Zawadzkiego zaufaniem i nie zważając na to, że jenerał ten z brygadą swoją był natenczas w aryergardzie, wolał czekać na tę brygadę piechoty i stracić godzin pięć, niż przeznaczyć stojącą najbliżej zamierzonego punktu brygadę piechoty pułk. Urbańskiego i brygadę jazdy pułk. Kruszewskiego, których zdolność i dzielność nie zostawiały nic do życzenia. Drugim błędem było, że jen. Ramorino sam osobiście nie udał się na punkt, którego zdobycie tyle stanowić mogło, ani chciał pozwolić, abym ja jen. Zawadzkiemu w tej wyprawie towarzyszył. Nieprzyjaciel co prawda ścigał nas z blizka, a siły jego powiększały się oddziałami, rozłożonemi w województwie lubelskiem na wielkim trakcie z Wołynia do Warszawy. Sił tych jen. Ramorino spuszczać z oka nie chciał, a jako cudzoziemiec nie chciał też szefa sztabu od siebie oddalać, mniemając, że co chwila atakowany być może.

Jakkolwiekbądź, jen. Zawadzki, mimo forsownego marszu, nie zdążył doprowadzić kolumny swojej, jak należało, przed świtem pod szaniec przedmostowy nieprzyjaciela, naprzeciw Janowca (o milkę wyżej od Kazimierza). Kiedy się zbliżył tak, że widać było szaniec, dzień już był jasny, a przecież i wtenczas jeszcze oddział, zajmujący ten szaniec, zostawał w zupełnem nieprzygotowaniu. Ani się domyślano przybycia sił naszych z tej strony. Czoło

kolumny jen. Zawadzkiego miało już wchodzić do szańca, którego nikt zdawał się nie bronić, kiedy jenerał rosyjski, Słotwiński, wybiegł jako parlamentarz i zapewnił jen. Zawadzkiego pod słowem honoru, że pokój jest zawarty, pokazał nawet rozkaz, do niego pisany, zalecający zawieszenie kroków nieprzyjacielskich. Tym fortelem, nader pospolitym, dał się jen. Zawadzki wstrzymać i do reszty w pochodzie opóźnić. Jenerał Słotwiński zaś pod błahym pozorem wnet most przeszedł i w tejże chwili kazał liny poprzecinać, a łyżwy puścić z wodą; nie zdążył nawet dla pospiechu uprowadzić ze sobą pół batalionu piechoty i dwóch szwadronów dragonów, które zostawił na prawym brzegu na dyskrecyi naszej. Jen. Zawadzki tak doskonale był oszukany, że nawet po przecięciu mostu, tak nienaturalnem, gdyby pokój był zawarty, a w każdym razie podejrzanem, wahał się przez dzień cały, czy ma rozbroić owe pół batalionu i dwa szwadrony, a także, czy zniszczyć materyał niezdobytego, a rozebranego już mostu. Dopiero za powtórnym rozkazem użył części amunicyi działowej, zdobytej w poblizkim magazynie nieprzyjacielskim, na spalenie tych materyałów. Przekonany jestem, że nie było w tem złej woli jen. Zawadzkiego, ani też zdrady, jak to niektórzy nędznym i płaskim zwyczajem chcieli tłomaczyć; ale dał się podejść, z czego dla korpusu i dla sławy jego niepowetowana strata, albowiem, przeszedłszy most ten, co mogło tak łatwo nastąpić, korpus nasz byłby wpadł na tyły słabszego od nas jen. Rüdigera, który miał przed sobą jen. Różyckiego, a nawet dnia poprzedniego potykał się z nim pod Iłżą[1]. >

[1]) Słyszałem później, że jenerał Zawadzki odpierał zarzuty czynione mu z tego powodu, twierdząc, że miał rozkaz nie zdobyć, ale zniszczyć most. Każdy najmniej zastanawiający się widzieć musi, że, posyłając wyprawę, mającą w najgorszym razie zniszczyć most, dowódca korpusu II nie mógł, przy zdrowych zmysłach, nie dodać, że, gdyby przez nieczujność i niespodziewanie się stąd siły naszej, nieprzyjaciel pozwolił nam most swój zdobyć, korzyść tej zdobyczy byłaby niezmierną. (W. Z.)

Dziennik:

«14 (września d. c.) — Dowiedziawszy się, że Zawadzki nie zajął mostu, jen. Ramorino maszeruje z korpusem od Wąwolnicy do Opola[1]). Chce korzystać z zawieszenia broni, jak Różycki[2]). Pisze do Rosena w Kowalach. Rosen żąda bezwarunkowego poddania się. Pozycya w Kowalach opuszczona o drugiej rano.

15. — W Opolu aryergarda broni dwóch przepraw pod moją komendą (brygada Urbańskiego). Stawiamy opór dla dania czasu Zawadzkiemu połączenia się z nami. Jestem ranny w nos i koń ranny na grobli. Jen. Langermann bierze aryergardę. Potrzeba spieszyć, żeby wojsko nieprzyjacielskie, ciągnące od Lublina, nie zajęło przed nami Józefowa, Rachowa, potem Zawichostu. Różycki wezwany powtórnie o most w Zawichoście. Noc w Rachowie.

16. — Langermann w aryergardzie, potem Sierawski. W Zawichoście mostu niema, ani przygotowań. Rada wojenna w Kosinie, czy bronić niekorzystnej pozycyi, czy iść do Zamościa, czy wejść do Galicyi. Wojsko już bić się nie chce, — bez nadziei.

Przechodząc przez Borów, na widok mocnej pozycyi stajemy w szyku bojowym. Nieprzyjaciel wstrzymany ogniem z dział naszych. Znowu rada wojenna. Ja wnoszę, żeby bić się przez dziś i jutro, a potem przez grunt Austryi, na statkach przygotowanych, dostać się choć częścią na lewy brzeg. Nie chcą[3]).»

---

[1]) Jen. Krukowiecki dziwi się, że Rosen z 5000 żołnierza mógł pędzić przed sobą korpus ośmnastotysięczny. Nie wie, żeśmy maszerowali, nie zaś ustępowali przed Rosenem i żeśmy się mu opierali tylko tylną strażą, złożoną z 4 batalionów i 6 armat. W Opolu miałem ich tylko 2. (W. Z.)

[2]) Różycki zawarł zawieszenie broni z Rüdigerem 12 września.

[3]) Mimo zniechęcenia, jakie ogarnęło większość korpusu, nie brakło w nim jednak i wytrwałości. Jeden z uczestników bitwy borowskiej, kap. Gostkowski, wracając się po kilkunastu latach do tych dni, tak pisał do Zamoyskiego, 17 lipca 1844: «Najmilsze to

Z rana, 16 września, zapewne po radzie wojennej w Kosinie, ale przed bitwą borowską, x. Adam Czartoryski, stale dotąd korpusowi II towarzyszący, przeprawił się na lewy brzeg Wisły w celu porozumienia się z jen. Różyckim i przyspieszenia przygotowań do przeprawy dla wojska. Świadczy o tem list jego do jen. Ramorino:

«Jenerale!

Pospieszam przesłać Jenerałowi papiery, przywiezione przez płatnika Woynickiego od jen. Różyckiego[1]). Przekonasz się z nich, że jen. Rüdiger zerwał zawieszenie broni, ażeby zajść wam drogę i przeszkodzić w przeprawieniu się przez Wisłę. Wziąłem na siebie napisanie do jen. Różyckiego, namawiając go, żeby pisał do jen. Rüdigera w celu utrzymania zawieszenia broni i żeby zaręczył mu, że Jenerał gotów jesteś do niego się zastosować i oddać mu jeńców wziętych pod Kazimierzem.

Zachęcam go też, ażeby, w razie działania ze strony Rüdigera, on działał ze swojej, jak będzie uważał za najlepsze, dla podania wam ręki.

Może Jenerał uznasz za rzecz stosowną powtórzyć jen. Rosenowi propozycyę zawieszenia broni, czyniąc go odpowiedzialnym za wylew krwi, jakiego stanie się po-

---

w naszem życiu wspomnienia; pomimo boleści, jakie sprawiają, słodkie są jednak, bo jedyną były w naszem życiu chwilą, gdzieśmy, wolno oddychając, za kraj nasz kochany, za niepodległość Polski z bronią w ręku z dzikim wrogiem się ucierali do końca, bez stracenia nadziei, nawet po wzięciu Warszawy, nawet w samej bitwie borowskiej, gdzie dowódca korpusu, jego szef sztabu i wiela innych z nas widziało jeszcze krok dzielny do przedłużenia wojny, a zatem do ocalenia kraju. Ta niestety nadzieja w innych była stracona i ci niechęć, nieufność rzucili. Czy sobie Pułkownik przypominasz tego sztabsoficera, który pod Borowem na linię iść nie chciał, mówiąc, że nie potrzeba inwalidów robić. Przejęty zgrozą błagałem Ramorinę, by go natychmiast rozstrzelać kazał. Ale już ducha nie było. Ten pułkownik spokojnie przy bateryi został, bo ducha nieufność zgubiła; nieufność, która od Opola się szerzyła, a poczęła się od tych, co się na Modlin lub na Płock oglądali.»

[1]) Którego kwatera główna znajdowała się nieopodal w Kunowie.

wodem jego odmowa. Kroki zaczepne mają się wznowić jutro o dziesiątej wieczór; ważną tedy rzeczą, żebyście się zaczęli przeprawiać przed tą porą i żeby przeprawa odbyła się w nocy.

Czynimy, co tylko możemy, ażeby wszystko ku temu przygotować na punkcie, który nam wskażecie.

Gorąco błagam Boga o powodzenie dla waszego oręża. Racz przyjąć Jenerale wyrazy mego szczerego i wysokiego poważania.

Adam Czartoryski.»

X. Adam do Zamoyskiego:

«z Kielc, 18 września 1831.

Czytałem list twój do Działyńskiego[1]) Całeż to wojsko, czy tylko oficerowie nie chcą nic począć dla ocalenia sprawy naszej? Czemże są inne względy przytem? Pamiętajcie na historyę. Nie przesyłajcie jej waszego usprawiedliwienia w samych rozkazach dziennych, lecz też i w czynach, które są jeszcze w waszej mocy. Statki czekają na was, wojska austryackie nie są dość silne. Oręż macie w ręku. Cóż was wstrzymuje? Miałożby tylko serca nie stawać? Nie przewiduję nawet, żeby tu się bić, żeby na przebój iść trzeba. Rüdiger opodal, Rosen nie spostrzeże się. Austryacy może sami chcą być przymuszonymi. Determinacyi tylko potrzeba. Nareszcie nie pytajcie się jenerałów i oficerów; w imieniu jenerała Ramorino przemów do wojska. Idźcie pierwsi, pójdą za wami. Kto zostanie, niech dźwiga odpowiedzialność i plamę, że nie chciał wszelkiemi sposobami przeszkodzić, aby tak piękny, tak dzielny korpus, co miał wesprzeć naszą sprawę, ostatniego jej ciosu nie zadał. Niechaj raczej wszyscy ciężej chorzy, znużeni, nie czujący się na siłach, pozostaną w Galicyi, za rozkazem samego jenerała; ale niech czoło, wybór, treść wojska za wami tu przechodzi. Historya nie powie, że wojsko, którem Ra-

---

[1]) Tytus Działyński towarzyszył x. Adamowi na lewy brzeg Wisły.

morino dowodził, w którem tyle znaczyłeś, z którem ja także dzieliłem losy, zadało taki szwank reputacyi oręża polskiego.

Jeżeli rozumiesz, że mój sposób widzenia może na kim uczynić jakie wrażenie, przeczytaj, komu zechcesz, te moje słowa. Kiedy byłem przytomny ostatniej naradzie wojennej[1]), przyznam, żem się uczuł przerażony tem, com widział i słyszał. Nie mając prawdziwego głosu, ani istotnej czynności w wojsku, widząc, że tu do poddania się Austryi może przyjdzie, wolałem przebyć Wisłę i od krzywdzącej konieczności dawnego prezesa rządu, póki można, oswobodzić. Ale wyście się bili mężnie tego dnia i macie jeszcze oręż w ręku; teraz żałuję, żem się od was oddalił. Możecie przybyć. Tym, co się pytają, w jakim celu, powiedz, że dla złączenia się z braćmi, dla oczekiwania razem dalszych wypadków i tego, co się w Modlinie stanie. Tu wojsko znalazłoby odpoczynek bez wyrzutu, żywność, żołd, obuwie, ubiór na zimę. Nadewszystko bylibyście razem w możności odebrania rozkazów z Modlina, przedłużenia obrony kraju i doczekania się szczęśliwszych wypadków lub lepszego końca. Sąż to małe korzyści? Możnaż jeszcze pytać, w jakim celu, z jaką nadzieją ma wojsko ten ostatni trud przedsięwziąć, w którym jest mniej niebezpieczeństwa, niż tyle razy przebyte, w którym wytrwałości, prędkości, determinacyi tylko potrzeba. Niech Bóg wam ich nie odmówi, niech was wesprze i natchnie, abyście siebie i sprawę ojczyzny ocalili. Ja tu przybyłem, powołany od Różyckiego do narady z obywatelami, tu zebranymi. Ściskam cię najserdeczniej, żyję w nadziei, że się może wkrótce zobaczymy.

A. C.

P. S. Powtarzam, niech tylko czoło wojska z kilkunastu armatami przejdzie, a chluba i korzyść przy nas pozostanie.»

[1]) W Kosinie, pierwszej z dwóch, jakie się tam odbyły 16 września.

Inaczej się stało. List x. Adama minął się z następującym listem Zamoyskiego, pisanym nazajutrz po bitwie pod Borowem, już po przekroczeniu granic Królestwa:

«Dąbrówka, 17 września 1831.

Korzystam, mój bardzo drogi Wuju, z ostatniej prawdopodobnie sposobności, by donieść o nas. Po radzie wojennej w Kosinie naprzeciwko Zawichostu opanował mnie smutek i ścisnęło się serce, ale stokroć boleśniej doznaję tego dzisiaj.

Minąwszy wieś Borów, na widok długiej równiny, podnoszącej się między bagnem a lasem, przez który przechodzi granica, zdjęło mnie bezmierne pragnienie stawienia czoła nieprzyjacielowi, wciągnienia go na tę płaszczyznę i wzięcia go tam na bagnety. Łzy niektórych wiarusów na widok austryackiej granicy utwierdziły mnie w tem pragnieniu. Doradzam bitwę i taki porządek: piechota rozwinięta w dwie linie, bataliony kolumnami na skrzydłach, jazda na prawo i z tyłu dla powstrzymania zbiegów, artylerya wzdłuż całej linii, rażąca potężnie ogniem na ścieśnionem polu bitwy. Przeciwstawiając w ten sposób nieprzyjacielowi same tylko linie, nie mogliśmy wiele ucierpieć od jego artyleryi. Do złamania naszych szeregów musiałby użyć piechoty, a o to właśnie nam chodziło. Jenerał i ja natychmiast postanawiamy nie ustępować z pola, ale w wojsku jak najgorszy duch się okazuje. Jednakowoż nasze wysiłki, nasze rozkazy, wreszcie nieprzyjacielskie armaty sprawiają, że otrzymujemy posłuszeństwo. Ale, jak to zwykle bywa u ludzi, którzy wielki gwałt sobie zadali, że idą dalej niż potrzeba, kanonada rozpoczęła się taka, że, zamiast ściągnienia nieprzyjaciela, odstrasza go, a przynajmniej ostrzega. Zdawało się, jakbyśmy chcieli czemprędzej amunicyę zużyć[1]). Wnet znów

[1]) Inne szczegóły o warunkach, w jakich się odbyło to ostatnie spotkanie korpusu II z nieprzyjacielem, spisał Waleryan Kalinka po rozmowie z Zamoyskim, dnia 3 stycznia 1868: «... Już linie piechoty

odezwały się głosy, że trzeba ponowić rokowania z Rosenem[1]). Znowu zwołuje się rada wojenna. Jej wyrokiem przejście granicy nocą. Już się wszystkim sprzykrzyło, już tylko spoczynku spragnieni. Dzisiaj myśl częściowego chociaż przejścia na lewy brzeg, jak o tem pisałem do Działyńskiego, tak źle była przyjęta, iż zaledwie śmiem ufać, że broń połamią, nim ją oddadzą, tak pragną przypodobać się cesarzowi austryackiemu, od którego myślą, że przyszłe ich losy zależeć będą. O Wuju drogi, co to za chwile, co to za widok! Trzeba przypomnieć sobie wszystko, co uczyniono dla zniszczenia, dla spodlenia tego pięknego i tęgiego wojska, tego szlachetnego i wielkodusznego narodu, ażeby nie upaść na duchu i nie obrzydzić sobie wszystkiego.

Słyszę, że Wuj sam pracowałeś ze zwykłym mu zapałem nad zgromadzeniem statków dla naszej przeprawy. Czemuż to tak mało kto między nami ma taką gorliwość i taką wytrwałość.

---

stanęły frontem do nieprzyjaciela, już z obu stron zaczęła się kanonada, kiedy za jadącym poza piechotą Zamoyskim wysunęło się kilkunastu oficerów i z gniewem pytać zaczęli, naco ich ustawiają do bitwy, kiedy rada wojenna zdecydowała wejście do Galicyi. Jeden z nich (kapitan...) odzywał się groźnie, że tu nikt dla sprawy pana Zamoyskiego bić się nie będzie i swego życia narażać. Słowa te były mówione tak żywo i głośno, że, słysząc je, żołnierze wyciągnięci w linię poczęli się odwracać twarzą do oficerów i przysłuchiwać. Zamoyski, który dotąd milczał, z boleścią spojrzawszy na żołnierzy, zapytał: «Jakto, wiara, więc wy się już bić nie chcecie?» «A toż my tylko tego chcemy, panie pułkowniku», krzyknęli chórem żołnierze i jakby na komendę, za jednym razem, zwrócili się wszyscy twarzą do nieprzyjaciela. «Oto moja odpowiedź», rzekł Zamoyski do oficerów, odjeżdżając, a na żołnierzy zawołał: «Dobrze, wiara, spodziewam się, że przyjmiecie tęgo Moskali, jeśli przyjdą na bagnety.» I odjechał, a za nim ruszyło kilku niż-zych oficerów, tłomacząc się i usprawiedliwiając.

Wszakże w ogólności duch upadł. Kanonada trwała z półtorej godziny; kiedy jednak ucichły z naszej strony strzały, przestali też strzelać Moskale...» (Oryginał w archiwum XX. Zmartwychwstańców we Lwowie)

[1]) O zawarcie zawieszenia broni. Ob. 14 września.

Z moją raną dobrze. Muszę tu jeszcze kilka dni zostać, bo trzeba trochę porządku zrobić. Potem zobaczę, czy będę mógł dostać się do Wuja, do Krakowa, czy gdzieindziej.

Jaka przyszłość nasza? Co do mnie, jedno mnie tylko dziwi, że doszedłem do takiej ostateczności i nie jestem zabity. Naprawdę, nie przewidywałem dla siebie innego końca.»

Dziennik Zamoyskiego zamyka się tegoż dnia słowami: «17 (września). — Chwałowice, Dąbrówka, jen. Bertholetti[1]).»

Władysław Zamoyski do matki:

«Dąbrówka przy granicy i na ziemi galicyjskiej!

19 września 1831.

Od kilku dni jestem tu, ale zbyt smutny, żeby myśli zebrać, żeby nawet skorzystać z danej mi teraz sposobności spiesznego zawiadomienia Matki kochanej, że żyję, że, niestety, może już i długo żyć będę. Wiem, ile w pierwszej chwili wiadomość ta Matkę uszczęśliwi, ale wiem również, jak Matka dzielić będzie ze mną smutek, żal, nieledwie rozpacz, której doznaję. Skończony tedy mój udział w tej wojnie, wojnie prawdziwie świętej, w której, czyniąc z siebie ofiarę zupełną, doznawałem największego dla mnie szczęścia poświęcania się codziennie i bez granic dla ojczyzny. Koniec od dawna był do przewidzenia, ale sposób ukończenia tak uczuciu memu przeciwny! Złożyć broń w 8.000 wojska, przecież to hańba, bo chociaż w inne, nie wroga ręce, jednakże w jego obliczu, ustępując przed jego przemocą. Boże, jakaż to ciężka klęska na mnie, bo któż odpowie za to? czy cudzoziemiec? Nie, tylko ja, który za niego ręczyłem i ręczę dotąd za jego szczere chęci. A przecież Bóg widzi, czy chęci jego

---

[1]) Jenerał austryacki, który przyjął korpus II po przejściu granicy.

i mój wpływ mogły wstrzymać okropną zarazę zwątpienia w sprawę naszą od chwili wzięcia Warszawy. Długoby było tłomaczyć i trudno i okropnie smutno, bo, chcąc siebie obronić, trzeba drugich i, że tak powiem, prawie naród swój własny w nędznem okazać świetle. To tylko powiem, żem się sprzeciwiał do ostatniej chwili, żem radził, błagał, żeby się trzymano, żem chciał na granicy przynajmniej świetny grobowy kamień sobie i nam zdobyć. Nie chcieli. Co gorsza, ludzie, którzy od początku wojny mieli zwrócone na mnie oczy, którzy koniecznie szukali osobistych powodów mego poświęcenia, nie mogąc w tem ostatecznem położeniu nic już innego wymyślić, głosili, że mną włada żądza sławy wojskowej. A gdym nadmienił o przejściu Wisły, już nawet po przekroczeniu granicy, znaleźli się tacy, którzy mnie samolubem nazwali. Mówili, że, wciągnąwszy korpus w niedolę, poświęcić chcę dla własnych widoków tych wszystkich, którychbym tu zostawił zemście Austryi, a nawet pobliżkiego nieprzyjaciela. Słowem, związany, skrępowany, a przecież zawsze odpowiedzialny. Tak więc przyszło znieść wszystkie sromoty i poświęcić się przez dni kilka zaopatrzeniu tych nieszczęśliwych, tej niejako trzody. Nad tem dziś pracuję, żeby mieli chleb, mięso i kilka nagród przy pożegnaniu, lecz nagród za dawniejsze czyny. Ułatwiam wszystkim sposoby uchodzenia, sam pozostaję jeszcze czas krótki. Nie mam też i powodu spieszyć, bo nie do Matki kochanej zapewne pierwszy krok zwrócę. Dopóki jeden żołnierz w kraju oręża z ręki nie wypuści, ja przy nim znajdować się będę. Ojczyzna jest mojem bóstwem, do ostatka służyć jej pragnę. Przecież, może pojadę na Kraków i z uniesieniem myślę o uściskaniu Matki drogiej.

Nie jesteśmy tu uważani jako jeńcy, przeciwnie, zaręczano nam, że uważać nas będą jako wolnych i oddających się pod opiekę cesarza i po odsiedzeniu kwarantanny dwudziestojednodniowej od cholery, dla której

jenerałom pobyt w Sieniawie naznaczono, będziemy zupełnie wolni. Jeśli się nie mylę, to ja i do Sieniawy nie dojadę.

Na nasz korpus zebrali się ostatniego dnia, o tem wiemy teraz na pewno, jenerałowie Rosen, Paszkow i Kajzarow, razem 30—35.000 wojska. Nas było 12.000. Przez dwa dni ubyło przeszło 3.000, którzy się rozbiegli.»

Na list ten pani Zamoyska odpisała z Krakowa:

«21 września 1831.

Cóż ci powiem? słów nie mam, ale ty wiesz, jak z tobą czuję i jak pragnęłam szczęścia i sławy dla tej ojczyzny drogiej. Zgadniesz, co cierpię, ile cierpię; zgadniesz jednak, ile Bogu dziękuję, że mi ciebie i braci twoich zachował. W ciężkim smutku pocieszaj się myślą, żeś tak szlachetnie wypełnił obowiązki twoje, że wojsko, że naród cię ceni, kocha, poważa, a kiedy Bóg cię zachował, kiedy sama Opatrzność kule osłabiała, aby życie twoje ustrzedz, to zapewne zachowuje cię jeszcze dla dobra tej drogiej ziemi. Wierzaj mi, nie na tem koniec losów naszych, to być nie może, ufajmy. Mój ty przyjacielu najlepszy, najmilszy, nie poddawaj się zgryzocie i smutkowi, szanuj zdrowie. Powiedz, gdzie się mam udać, aby cię widzieć, pobłogosławić, aby chlubne blizny twoje łzami oblać memi. Jeżeli mam pojechać do Galicyi, to trzeba, żeby Dymowski wyrobił mi paszport od x. Lobkowica, ale kwarantannę trzeba odbyć okropną. Czy ty nie możesz tu przyjechać? Jeżeli ci brak pieniędzy, a może chcesz komu dopomódz, niech Dymowski ci da, ile będzie potrzeba.»

Prawdopodobnie z dnia 20 września, przechował się urywek listu Władysława Zamoyskiego do jednego z braci:

«W tej chwili po raz pierwszy odbieramy wiadomości o wojsku, które z Warszawy poszło pod Modlin. Rybiński obrany naczelnym wodzem. Przez oficera, który mu zaniósł wiadomość o naszem postanowieniu maszerowania przez górną Wisłę w Krakowskie, przesyła nam

rozkaz, pochwalający i utwierdzający to postanowienie. Jest to dla mnie i dla jen. Ramorino wielkiem ulżeniem odpowiedzialności. Gdy wiadomość o poddaniu Warszawy przez zdradę zastała nas pod Siedlcami, wojsko nasze prawie jednomyślnie chciało się łączyć, bądź co bądź, z wojskiem, które poszło do Modlina i był to niemały dowód zaufania do jenerała i do mnie, że korpus za nami poszedł w stronę przeciwną. Lecz nieszczęśliwy obrót rzeczy, pomnażające się siły nieprzyjaciela, niepostawienie mostu na Wiśle pod Zawichostem, pomimo wczesnego uwiadomienia jen. Różyckiego, a nadewszystko utrata nadziei wśród wojska, zwłaszcza między oficerami, kilka pomniejszych błędów w ciągu odwrotu, wreszcie wpływ nieszczęśliwy każdego odwrotu na każde, a tem bardziej na osłabione fizycznie i w nadziei wojsko, — oto powody, które nas do tak okropnej przyprowadziły ostateczności. Wszakże to sobie przyznać możemy, że w tym odwrocie nieprzyjaciel zdobył na nas same tylko trupy i rannych; my zaś przeciwnie w marszu od Siedlec do granicy Austryi wzięliśmy mu kilkaset niewolnika, kilkunastu oficerów, ze sto pięćdziesiąt koni, znaczny transport amunicyi, której nam właśnie brakowało, żywność i t. d. Wojsko, gdzie się biło, biło się dobrze, ale coraz bardziej szemrało i chciało bojów zaprzestać. Brak wiadomości o innych korpusach wielce także niepokoił i pozwalał głosić najgorsze wieści. Wszystko zrzucano na tych, którzy plan operacyi podali. Wielu głośno narzekało na mnie, że za mną poszli, żem ich zawiódł Smutne były chwile, ale były i miłe. Mściłem się ciągłem narażaniem siebie i Pan Bóg dopomógł, bo znowu lekko ranny zostałem w Opolu na grobli od kuli karabinowej, a mimo to nie ustąpiłem i ciągle byłem w ogniu. Kula przestrzeliła mi nos między oczami, ale tak szczęśliwie, że tylko pod skórą utkwiła.

August zdrów, dobrze się bił, ma krzyż srebrny za odznaczenie się, przez cały pułk mu przyznany, kiedy był

jeszcze żołnierzem[1]). Zostaje dotąd przy mnie. Piszcie do mnie do Sieniawy, bo jednakże wiedzieć nie można, co nam jeszcze zrobić wypadnie.»

‹Gdyby przeprawa przez Wisłę nam się udała, co dwa razy było zupełnie możliwe, ruch korpusu ku południowi byłby dostatecznie usprawiedliwiony. Okoliczności, wśród jakich plan się nie udał, same przez się dowodzą, że mógł się udać. Zwłaszcza przeprawienie się pod Kazimierzem stałoby się zaszczytnem dla tego, którzyby się na nie odważył. Powodzenie rozgrzesza, wynosi na bohatera, niepowodzenie potępia. Takie są sądy, wydawane przez ogół i takie bywają wyroki historyi, która przywiązuje się tylko do ogólnych rysów, a mało się troszczy o zamiary, nie uwieńczone pomyślnym skutkiem, o jednostki, ich zdolności i zasługi. Sądzenie ludzi według powodzenia lub niepowodzenia jest szkopułem trudnym do uniknięcia. W istocie, jak tu dowodzić, że się postąpiło roztropnie, skoro przedsięwzięcie chybiło i jak trudno po ukończonych wypadkach ocenić położenie i warunki, wśród których wypadki te się rozstrzygnęły. A jednak czyny sądzić należy według współczesnych danych, a nie według tego, co późniejsze wypadki wyświetliły. Czyż człowiek, biorący na własną odpowiedzialność ruch, który, gdyby się udał, byłby uważany za najzbawienniejszy, czy człowiek ten miałby być napiętnowany ogólną nienawiścią i potępieniem dlatego, że mu się nie powiodło, i to z cudzej winy, dlatego, że się nie wahał narazić na osobistą odpowiedzialność, gdy chodziło o zdobycie dla ojczyzny korzyści tak wielkich?

---

[1]) «August w jednej z ostatnich potyczek miał od kartacza kołnierz rozdarty, epoletę i nawet halsztuk poszarpany, jednak sam nie był ranny. Tego dnia krzyż mu dano, przyczem z wrodzoną sobie prostotą powiedział: ‹Prawdziwie, żem też na niego zasłużył.» (Pani Zamoyska do męża, 29 września 1831)

Zresztą chociaż los wojny nie dał, by nasza wyprawa przyniosła jakąkolwiek dla sprawy korzyść, to jednak korpus nasz, ulegając wspólnej wszystkim częściom naszego wojska konieczności oddania broni w ręce obce, nie przechodził przynajmniej przez różne nader bolesne wątpliwości, które na innym punkcie towarzyszyły zakończeniu wojny. W korpusie II nie było nigdy mowy, ani myśli o układach z nieprzyjacielem; korpus II przed upadkiem Warszawy zwyciężał kilkakrotnie i głównemu celowi wyprawy swojej, którym było zaopatrzenie stolicy w żywność na czas długi, odpowiedział zupełnie. Po upadku zaś Warszawy, acz nie zwycięsko, walczył jeszcze z honorem przeciwko siłom, coraz wzmagającym się i kilku nawet zacnych oficerów poległo w tych spotkaniach.»

Podobne świadectwo wystawił korpusowi II car Mikołaj w następującym manifeście:[1])

«My Mikołaj ... Zważywszy, że po obsadzeniu Warszawy przez wojska nasze i po zupełnem poddaniu

---

[1]) Tłomaczenie z tekstu podanego w Oesterr. Beobachter Nr. 301 z 28 października 1831:

«Wir Nicolaus I... in Erwägung, dass nach der Besetzung Warschaus durch unsere Truppen und der vollständigen, in dem Schreiben des Generals Grafen Krukowiecki an den Feldmarschall Grafen Paskiewicz von Erivan unterm 26 August (7 September) d. J. ausgesprochenен Unterwerfung der polnischen Nation, das von einem Ausländer, Namens Ramorino, angeführte polnische Corps in seiner feindlichen Stellung gegen die im Königreiche Polen wiederhergestellte rechtmässige Autorität beharrte, dass selbes, ohne Beachtung sowohl der notorisch bekannten Ereignisse, welche die Unterwerfung des Königreiches herbeigeführt hatten, als der Warnungen, die an diesen selben Ramorino durch den Generaladjutanten Baron Rosen I am 30 August, 2 und 4 September (11, 14 und 16 September) gerichtet worden waren, um ihn zu vermögen sich zu unterwerfen, die Absicht einen, selbst in den Augen der Rebellen fortan unnützen Kampf fortzusetzen, kund gegeben, unsern Truppen wirklich neue Gefechte geliefert und neues Blutvergiessen veranlasst hat, bis es endlich, auf österreichisches Gebiet geflüchtet, daselbst von den Truppen Sr. k. k. apost. Majestät entwaffnet worden ist; — in Erwägung, dass durch diese doppelt strafbaren Handlungen besagtes Corps alle Mittel, die ihm in unserem

się narodu polskiego, któremu dał wyraz jenerał hrabia Krukowiecki w piśmie swojem do feldmarszałka hrabiego Paskiewicza Erywańskiego, korpus, dowodzony przez cudzoziemca nazwiskiem Ramorino, trwał w nieprzyjacielskiej postawie względem przywróconej prawowitej władzy w Królestwie Polskiem; że tenże korpus, nie bacząc ani na ogólnie znane wypadki, które spowodowały poddanie się Królestwa, ani na przestrogi, czynione temuż Ramorinie dnia 30 sierpnia, 2 i 4 września (11, 14, 16 września) przez jenerał-adjutanta barona Rosena I, aby go zniewolić do poddania się, zdradzał zamiary podjęcia dalszej walki, którą sami powstańcy za bezcelową uważali; dalej, że istotnie walczył przeciw naszym wojskom, co niepotrzebny rozlew krwi sprawiło, aż nareszcie schronił się do posiadłości austryackich, gdzie został rozbrojony przez wojska J. C. i Król. Apostolskiej Mości; zważywszy wreszcie, że wspomniany korpus swojem podwójnie karygodnem działaniem wszelkie środki odrzucił, które mu w naszem imieniu ofiarowano, aby przez szybkie poddanie się módz zapomnienie przeszłości i przebaczenie powstania otrzymać i że wobec tego okazał się niegodnym korzystania z dobrodziejstw ogólnej amnestyi, postanowiliśmy i postanawiamy, co następuje:

Namen dargeboten waren, um durch eine schleunige Unterwerfung Vergessenheit des Vergangenen und Verzeihung der Rebellion zu erlangen, von sich gestossen, und sich solchergestallt der Theilnahme an den Wohlthaten einer allgemeinen Amnestie unwürdig gemacht hat, haben wir beschlossen und beschliessen: die Offiziere aller Grade, die zu dem, während der letzten Ereignisse in Polen, von einem gewissen Ramorino angeführten Corps gehören und diesem Corps bis auf österreichisches Gebiet gefolgt sind, können in Zukunft nicht mehr, weder in das russische Kaiserreich noch in das Königreich Polen zurückkehren; wir behalten uns jedoch vor, weiterhin in Betreff derjenigen Individuen zu verfügen, welche aus besondern Rücksichten von dieser Anordnung ausgenommen werden dürften. — Gegeben zu Zarskoje-Selo, den 20 September (2 October) 1831, im sechsten Jahre unserer Regierung. Nicolaus.»

Oficerom wszelkich stopni, którzy podczas ostatnich wypadków w Polsce należeli do korpusu, dowodzonego przez niejakiego Ramorinę, i tego korpusu nie opuścili aż do przejścia na ziemię austryacką, zabroniony jest pobyt tak w granicach Cesarstwa Rosyjskiego, jak i Królestwa Polskiego; zastrzegamy sobie jednakże dalsze rozporządzenia, o ile się to tyczy jednostek, na które tego zakazu rozciągać nie zechcemy.

Dan w Carskiem Siole, d. 20 września (2 paźdz.) 1831 r., w szóstym roku panowania naszego.

Mikołaj.»

XII

W ZABORZE AUSTRYACKIM

« Korpus II wstąpił do Galicyi w nocy z dnia 16 na 17 września. Na granicy stało tylko parę szwadronów dragonów austryackich. Dowódca ich chciał się sprzeciwić wkroczeniu wojska naszego bez poprzedniej umowy z władzą cesarską, to jest bez natychmiastowego złożenia broni. My zaś, korzystając z takiego ogołocenia granicy, zachowywaliśmy nadzieję i zamiar przejścia jeszcze Wisły z ziemi austryackiej. Wszystko ku temu się przysposabiało. Wszystkim usiłowaniom, czynionym poprzednio dla zebrania materyałów do mostu pod Zawichostem, a potem naprzeciw Borowa, nadany został potajemnie ten kierunek. Z władzą austryacką unikaliśmy starannie zetknięcia. Pierwsze rogatki zamknięte obeszliśmy polną drogą, u drugich, nad ranem, kapral austryacki bronił upornie przejścia; mnóstwo oficerów dla dostania się do miasteczka na śniadanie składało szpady przy odwachu! gdy pół namową, pół strachem, a nadewszystko słowami, zawsze pełnemi uszanowania dla cesarza, skłoniłem przecież owego starego kaprala do otworzenia rogatki. Tymczasem jen. Ramorino w ciągłym zostawał ruchu między czołem a końcem kolumny. Pułkownika austryackiego, który go szukał wszędzie i wściekał się, ja zatrzymywałem, łagodziłem, tłomacząc, że, jeżeli

jenerał unika spotkania, czego zresztą nie wiem, to zapewne dla powodów następujących: że władza austryacka będzie oczywiście żądała złożenia broni, o czem dziś jeszcze niepodobna mówić żołnierzowi rozjątrzonemu, że dla przerwania styczności z Moskalami musimy iść głębiej w posiadłości cesarskie, że, nareszcie, jenerał upatrzył w samym kącie przy ujściu Sanu do Wisły (trzy mile od granicy) najstosowniejsze miejsce do obozowania. To posunięcie się nieco w głąb kraju bez złożenia broni uważa za nieodzowne, i, jeżeli unika wszelkiej rozmowy z władzą, to dlatego, iż wie, że żadna władza nie może zezwolić na to, a w tej chwili nie mogłaby się temu oprzeć.

Stanęliśmy tedy pod wsią Dąbrówką przy samem ujściu Sanu. Wnet przybył z Królestwa z za Wisły Tytus Działyński przebrany z wiadomością, że tegoż wieczora, to jest z 17 na 18 będzie na Wiśle wprost naszego obozu dwadzieścia dużych do przewozu statków. Ponad Wisłą i Sanem stał nieprzerwany kordon zdrowia, złożony z szyldwachów, stojących jeden od drugiego na sto kroków. Przeprawa miała się odbyć z największą cichością; szyldwachy miały być zniesione lub przekupione. Statki miały się dać poznać krzesaniem ognia. Najprzód mieliśmy przeprawić parę batalionów, potem działa itd.

Taki był stan rzeczy, kiedy ten sam duch znużenia i zniechęcenia, który przymusił nas do wstąpienia do Galicyi pod pozorem, że już nie jesteśmy w stanie wytrzymać przeważających sił moskiewskich, tu odezwał się w nowy sposób. Zaczęto mówić, iżby to było uchybieniem dobrej wierze, jaka już należy się od nas cesarzowi austryackiemu za chwilowe schronienie. Nadaremnie to twierdzenie odpierałem, usiłowałem wystawić, że tak nie jest, że granica nie strzeżona, że nikomu żadnego nie daliśmy słowa, że możemy dotąd nie liczyć się z Austryą zupełnie, że powstańcy mogą zresztą geografii nie znać, ani form tak subtelnego prawodawstwa

narodów. Nic nie pomagało. Wtem Ramorino, któremu myśl przeprowadzenia korpusu za Wisłę bardzo się podobała, uniesiony gorliwością o sprawę, w zapale dyskusyi zawołał: «Jeżeli jest jakie moralne zobowiązanie, jeżeli ciąży jaka odpowiedzialność, dotyczy to mnie samego tylko, a więc zgadzam się pozostać w Austryi i ponieść wszystkie tego następstwa, ale niech korpus przechodzi Wisłę.»

I to nie pomogło, bo nic już nie mogło pomódz. Nie chciano więcej boju i trudów. Takie było znaczenie istotne wszystkich powodów i dowodów.

Doprowadzony do rozpaczy zawiedzioną nadzieją przeprowadzenia korpusu, udałem się nakoniec do Kruszewskiego, który sam jeden z jen. Sierawskim popierał moje zdanie w poprzednich radach wojennych i był zawsze gotów i pragnął dalej poświęcać się sprawie. Stanęło między nami, że o zmroku wsiądziemy na koń na ochotnika i, pozostawiając niechętnych własnemu losowi, przepłyniemy za Wisłę, jak kto będzie mógł, czy na statkach, czy wpław.

Ledwo się wieść ta rozeszła, wszczął się w obozie szmer. Jedni gotowali się iść za nami, drudzy, najliczniejsi, szemrali, narzekali, że każdy krok podobny pociągnie za sobą wielkie nieprzyjemności dla pozostających i że na nich padnie zemsta Austryi. Narzekali głośno na mnie, na moją nienasyconą chęć wojennych popisów. Ostatni ten zarzut zniewolił mnie do odłożenia zamiaru mego na czas późniejszy.

Tegoż dnia przybył jen. austryacki Bertholetti, a za nim ciągnęła dywizya cała z największym pospiechem. Widząc, że już nas tylko najsmutniejsza czeka konieczność złożenia przed Austryakami broni, zamknąłem się w chałupie i, wymawiając się świeżą raną (z dnia 16 rano), pierwszy raz użyłem spoczynku. Jen. Ramorino ze wszystkimi jenerałami i pułkownikami był u jen. Bertholetti, który najgrzeczniej ich przyjął. Umówiono się

o warunki złożenia broni, miało ono trwać trzy dni, a każdy po złożeniu broni miał iść na przeznaczone sobie stanowisko. Jen. Bertholetti zapewnił uroczyście, że nikt przymusem nie będzie wrócony pod władzę Moskwy, a oficerowie będą mogli żądać paszportów, dokąd zechcą. W ogólności był nader uprzejmy i nie szczędził wyrazów, któremi bolesną chwilę nam słodził.

Nazajutrz postanowiłem już nie korzystać z rany, by unikać widzenia się z nim i, choć z plastrami na twarzy, poszedłem do niego z rana. Gdy zacząłem bliżej go badać o przyszłość naszą, spostrzegłem wnet, że nas durzy, póki broń nie złożona. Zapytany przezemnie o paszporty, wahał się, a nakoniec oświadczył, że żądać wolno, ale że nie ręczy za uzyskanie. O wojnie naszej mówił grzecznie i dodał: «Zrobiliście dosyć dla honoru, a nikt nie jest obowiązany do tego, co niemożliwe. Korpus wasz, liczący 12 do 14.000, nie mógł pokonać 36.000 Rosyan; o tej liczbie wiem od samego jen. Rosena, u którego wczoraj byłem w głównej kwaterze.» Przekładałem mu, że nas dwuznacznikami najzupełniej zawiódł. Łatwo się domyślić, że narzekania moje były daremne, ale posłużyły mi do usprawiedliwienia niezwłocznej ucieczki na własne ryzyko.

Jednakże dzień jeden pozostałem jeszcze dla porządnego zamknięcia czynności moich, jako szefa sztabu. Zająłem się listą awansów i krzyżów, którą chciałem koniecznie, aby jen. Ramorino zamknął przed opuszczeniem Dąbrówki i starałem się, żeby ich było jak najmniej. Sam dla siebie odmówiłem krzyża kawalerskiego, abym mógł okazywać się surowym dla drugich. Usiłowania moje były daremne. Jen. Ramorino rozdał krzyże dwustu pięćdziesięciu do trzystu wojskowym, awansów nierównie więcej. Właściwie mówiąc, tylko upoważnił ich tymczasowo do używania tytułu i noszenia dekoracyi i zawiadomił, że przedstawi ich wodzowi naczelnemu do posunięcia na wyższy stopień albo do krzyża. Papiery kor-

pusu uporządkowane powierzyłem kapitanowi adjunktowi sztabu, Hohendorfowi ze zleceniem, aby takowych nie odstępował, lecz złożył je na ręce pełnomocnika x. Adama Czartoryskiego w Sieniawie za kwitem i żeby, ile możności, zabezpieczył je od rąk obcych.

Dnia 20 ruszył sztab korpusu i wszyscy wyżsi oficerowie z przeznaczeniem do Sieniawy i Leżajska.

Gdy już wszystko szło w rozsypkę, postanowiłem oddzielić się i udać do jen. Różyckiego. Wyjechałem nocą. Towarzyszyło mi paru oficerów i brat mój August, oficer 5 pułku ułanów. Nazajutrz dojechaliśmy szczęśliwie do domu x. Jerzego Lubomirskiego w Rozwadowie, gdzie już nas mnóstwo oficerów korpusu wyprzedziło. Opadli mnie, pytając, co zamyślam, i nagląc, bym się nie wydalał bez wyrzeczenia choć słowa, któreby ludziom dobrej woli kierunek wskazało. Zdawało się, że wszyscy żałują wyjścia za granicę, póki się jeszcze jakikolwiek oddział wojska naszego Moskalom opierał. Ten zapał dziwnie odbijał przy bolesnem wrażeniu, jakie wywarło na mnie powszechne, jak mniemałem, a tak niedawne usposobienie oficerów korpusu, słowa jednych, milczenie i bierność drugich. Ale kilka dni wytchnienia i bezpieczeństwa wróciły ich do zdrowszego uczucia; wszyscy oświadczali chęć wrócenia do oddziałów, jeszcze walczących. Późne to jednak były żale, skutku już przynieść nie mogły.

Nie oparłem się przecież powszechnemu żądaniu i napisałem odezwę, zarazem pożegnalną i zachęcającą do przedzierania się za Wisłę pod rozkazy jen. Różyckiego:

«Żołnierze korpusu II!

Jenerał Różycki, którego nieszczęsne przez nas opuszczenie sprawy ojczyzny nie zachwiało w postanowieniu bronienia jej do ostatniego, wzywa nas, ażeby, chociaż rozbrojone, niestety, ręce nasze i serca polskie łączyć z hufcami jego. Zająwszy mocne pozycye w górach Świętokrzyskich, postanowił trzymać się tam mężnie

i zgromadzać nowe siły w obronie sprawy i honoru polskiego. Rząd Narodowy, sejm i wojsko z pod Modlina, prowadzone przez znanego wam jen. Rybińskiego, dążą ku tejże stronie, gdzie z łatwością utrzymają się przez zimę i zdołają doczekać się jeszcze lepszych dla naszej Polski czasów. Tam nowe gotują się boje. Żołnierze korpusu II! Któż z nas nie zechce przezwyciężyć wszelkich trudności, żeby stanąć raz jeszcze w tych szeregach? kto nie przeniesie szlachetnego boju o tak drogą nam sprawę nad hańbiącą niewolę?

Jeżeli przemądre i zbyt troskliwe o długie życie zdania wprowadziły nas w położenie, polskiemu żołnierzowi nieznane; jeżeli osłabieni trudami, pozbawieni nadziei przez fałszywe wieści, mogliście dać się nakłonić do najnieszczęśliwszego kroku, nie zbuntowaliście się na okropną ostateczność złożenia broni, daliście się uwieść dowódcom, którzy tem samem dowiedli, że nigdy z dostatecznem poświęceniem sprawie naszej nie służyli, ocknijcie się, żołnierze z takiego uśpienia.

Jedna droga wam pozostaje do ocalenia waszego i polskiego honoru. Wracajcie tłumem za Wisłę. Tam was czekają nowe zapasy broni, odzieży, obuwia, tam nieprzyjaciel pozna tylekroć straszne jemu hufce wasze, pozna, że chwilowe nieszczęście nie zmieniło serc waszych, ani waszej dzielności.

Do was w szczególności odzywam się, bliżsi w boju, towarzysze moi, oficerowie i żołnierze piechoty pułku pierwszego, niezrównanego pułku piątego, pułku trzeciego, czternastego i siedmnastego, do was, których, po tylu świetnych bojach, piękna postawa na ostatniej pozycyi naszej pod Borowem nigdy z pamięci mi nie wyjdzie, i do was, oficerowie i żołnierze jazdy i artyleryi, którzy odznaczyliście się wytrwałością swoją.

Poprzedzam was na lewy brzeg Wisły. Tam, w kwaterze głównej jen. Różyckiego, zatrudniać się sam będę organizacyą waszą i z wami walczyć będę w obronie

ukochanej ojczyzny naszej, dopóki jeden żołnierz polski pod bronią zostanie.

Dąbrówka, 20 września 1831 [1]).»

Pisząc tę odezwę na żądanie mnogiej liczby oficerów, rad byłem choć tyle zostawić śladu niewygasłej między nimi chęci i gotowości do nowych ofiar. Nabielak, Bronisław Stadnicki i kilkunastu innych powiedziało, że pójdą ze mną. Alem się w tej odezwie nie ustrzegł trudnego zaprawdę do uniknienia, lecz mimowolnego zrzucenia winy na niektórych, acz niewymienionych, dowódców naszego wojska, że ustąpili z pola bitwy. Niejeden z nich wziął tę urazę do siebie i długo, może nigdy, mi nie przebaczył. Najsilniej odczuli ją ci, którym pamiętne były żywe ze mną rozprawy na ostatnich radach wojennych, zakończonych postanowieniem złożenia broni w ręce

---

[1]) Równocześnie z odezwą do żołnierzy poszedł do oficerów list następującej treści:

«Kochany ...

Znając twoje uczucia, twój szlachetny i polski sposób myślenia, sądzę, iż się nie zawiodę, posyłając na twoje ręce odezwę załączoną. Walka, którą rozpoczęliśmy, należy do tych, które końca nie znają. Naród, który w obronie praw swoich powstał, wziął tem samem obowiązek konieczny nie złożenia broni, aż gdy zwycięży, lub gdy długiem sił natężeniem przyjdzie do zupełnego stanu niemocy. Daleko, zaiste, stoimy od tej ostateczności. Czterdzieści przeszło tysięcy Polaków stoi pod bronią. Mamy jeszcze sto pięćdziesiąt armat, zasoby, broń i pieniądze. Słowem, wszystko nie jest stracone, walczą za Wisłą bracia nasi, będziemyż obojętnem okiem patrzeć na ich dogorywanie? A wieleż to razy wytrwałość najświetniejsze przywiodła skutki! Wpływ twój ... na otaczających cię oficerów i żołnierzy stanowczym będzie zapewne. Wielu już za własnem idąc natchnieniem, przeprawia się nieprzestannie. Dla ułatwienia tej rzeczy ustanowionym jest za pomocą gorliwych o sprawę naszą obywateli tutejszych główny punkt w miasteczku Majdanie, trzy do czterech mil od Rudnika i Niska wśród lasu; tam dalsza dyrekcya do przeprawy przez Wisłę wskazywaną będzie, tam przechodzący znajdą we dworze nieco pożywienia. Od dnia 27 rzecz zupełnie uorganizowaną będzie. Co się tyczy twojej osoby... wiem, że na to wezwanie aż nadto pospieszać zechcesz, dlatego upraszam cię o spóźnienie nieco swego wyjazdu, celem ułatwienia innym pochodu.»

Austryaków, kiedym się upierał przy zdaniu, że stokroć lepiej i zacniej dać ją sobie z rąk wytrącić w boju, choćby następnie i niewolę cierpieć.»

Wnet też podniosły się gwałtowne głosy przeciw tej odezwie; donieśli o nich Zamoyskiemu z kwarantanny jenerał Ramorino (11 października) i pułkownik Gallois (12 października).

Jenerał Ramorino pisał:

«Jestem w Rzeszowie pod kluczem od dziesięciu dni. Spodobało się jen. Bertholetti zawiadomić mnie w Sieniawie, że, za dwadzieścia cztery godzin, oficer i czterech kaprali odprowadzą mnie do Rzeszowa dla dokończenia kwarantanny. Protestowałem przeciw temu rozporządzeniu, które mnie rozłączało z towarzyszami niedoli, nalegałem, żeby chociaż kilku oficerów mi towarzyszyło, a przynajmniej dwaj adjutanci. Na odmowną odpowiedź, Rochetin i Planchaud przebrali się za służących, żeby mi towarzyszyć, ale, gdy dojechali do Rzeszowa, już ich tam wyprzedził rozkaz odstawienia ich do Łańcuta, do jen. Bertholetti, i od tej pory pozbawiony jestem wiadomości o nich. Natomiast mam pięć wart, złożonych z 25 żołnierzy i 4 kaprali, którym rząd austryacki płaci dziennie ogromną sumę trzynastu krajcarów za pilnowanie mnie. Jest też jeden oficer, szczęściem poczciwy człowiek, Węgier.

Langermanna trzymają w innym domu na przedmieściu i równie ściśle pilnują. Langermann się niecierpliwi, wścieka, dręczy; ja poprzestaję na złorzeczeniu w cichości i staram się zachowywać bardzo filozoficznie w oczekiwaniu nowych rozkazów. Jen. Bertholetti od czasu do czasu robi mi nadzieję ich nadejścia. To położenie jest mi o tyle nieznośniejsze, że blizka wojna wydaje mi się nieuniknioną i że myślę, iż dzisiaj ojczyzna nas wszystkich Polaków, czy to z urodzenia, czy z serca i ducha, jest we Francyi i że stamtąd przyjdzie pomoc do stawienia czoła najeźdźcom.

Mówią mi i, sądząc po listach jen. Bertholetti, skłonny jestem wierzyć temu, że zawdzięczam surowość władz względem mnie twojej odezwie do wojska, w której powołujesz oficerów i żołnierzy do opuszczenia terytoryum, gdzie nas przyjęto na słowo. Ta odezwa wiele hałasu narobiła między wyższymi oficerami. Mam w ręku protestacyę, podpisaną przez nich wszystkich. Jest ona cała wymierzona przeciwko tobie. Między nami mówiąc, nie serce twoje, ale twoja głowa zasługuje na porządne łajanie.

Któraś gazeta donosi, że pułkownik Zamoyski, szef sztabu jen. Ramoriny, pisze, że, wbrew oporowi wszystkich, wprowadziłem na terytoryum austryackie 25.000 ludzi i 40 armat. Możesz sobie wystawić, jak to dla mnie miło. Ale szczęściem, ci, co wkoło mnie się znajdowali, wiedzą, jak się zachowałem; własne sumienie i ich świadectwo mi wystarczą.

Zbytecznem byłoby powtarzać ci wszystkie gadaniny, które tu mnie dochodzą: Czartoryski i Skrzynecki Polskę zaprzedali; co do mnie, uchodzę, wynosząc z kasy 50.000 dukatów. Ty zaprzedałeś korpus wraz ze mną, ażeby ojca udobruchać. A kto te gadaniny rozsiewa? Te same łotry, co się nigdy w ogniu nie pokazały.

Hohendorf jeszcze przed moim wyjazdem z Sieniawy odjechał do siebie, po zdaniu rachunków w najlepszym porządku; naznaczyłem komisarza do sprawdzenia ich. Zostawało 7.000 florenów. Wręczyłem je jen. Gawrońskiemu dla pokrycia najpilniejszych wydatków oficerskich. Dałem zupełne pokwitowanie Hohendorfowi, a przytem świadectwo, na jakie ten zacny oficer zasługuje. Dałby Bóg, żeby wszyscy byli tacy, jak on. Papiery tak kasowe, jak kancelaryjne, złożone są w sali archiwów xięcia w Sieniawie.

Przeczytałem ze wzruszeniem mowę «pogrzebową» księdza Lamennais o klęsce Polski. Piękne to i wymowne słowa. Wyraża on nadzieję, że jeszcze ujrzy Polskę

zmartwychwstającą. Miło mi, że w tym właśnie duchu napisałem odezwę moją z Dąbrówki. Muszę sobie przyznać, że, chociaż inni mogą być tak dobrymi Polakami, jak ja, to lepszych niema, i śmiem to twierdzić z całą szczerością duszy.»

Pułkownik Gallois pisał:

«Nasza kwarantanna od kilku dni skończona, niemniej trzymają nas w Sieniawie pod ścisłym dozorem. Nie możemy się ruszyć na krok, żeby nas nie eskortował austryacki żołnierz.

Na kilka dni przed wyjazdem stąd jen. Ramorino, doszła nas odezwa przez ciebie, Pułkowniku, podpisana, w której zdajesz się oskarżać wszystkich bez wyjątku dowódców korpusu naszego o brak męstwa. To pismo wywołało gwałtowne protesty. Chociaż przekonani jesteśmy, że nie mogłeś mieć na myśli nas trzech Francuzów, którzyśmy w ostatnich chwilach okazali waleczność, pod koniec, jak wiesz, coraz rzadszą w korpusie, nie mogliśmy jednak nie uznać, że ta odezwa oskarżała wszystkich dowódców, nie wykluczając nawet Ramoriny. Zredagowaliśmy tedy i podpisali protestacyę, którą zaadresowaliśmy do ciebie.

Zdaje mi się, kochany Pułkowniku, że, działając na własną rękę, nie zastanowiłeś się nad tem, że my nie możemy przyjąć solidarności z ludźmi, którzy w istocie zachowali się w sposób, niegodny polskich patryotów. My trzej mieliśmy bardziej, niż ktokolwiek, prawo odepchnąć tę solidarność. Wszak musisz pamiętać, jakeśmy się zachowali w ów dzień nieszczęsny, chociaż i ja nie byłem tego dnia takim, jakimby w zupełności być należało. Atmosfera spodlenia i małoduszności mimowolnie podziałała i na mnie; widok braku męstwa dokoła zagasił po części własny mój zapał. Kiedy myślę o ostatnich dniach przed wejściem do Galicyi, przyznaję, że sam ze siebie zadowolony nie jestem. Ale, wracając do twojej odezwy, ufam, że szacunek, jakiśmy wzajemnie dla siebie powzięli, nie

ucierpi na tem wydarzeniu i że kiedyś spotkamy się z uczuciem przywiązania, które w obliczu nieprzyjaciela między nami powstało, a które z biegiem czasu tylko wzmagać się może...»

《Nazajutrz po napisaniu odezwy (21 września) dojechałem do Baranowa, własności Krasickich. Tu podobnież wyprzedziło mnie kilkunastu oficerów korpusu. Z dwóch braci Krasickich, Karol, dawny oficer austryacki, wszedł do wojska naszego jako major w tak zwanej legii nadwiślańskiej, na koszt i z ochotników Galicyi tworzonej. Ten był obecny w Baranowie wraz z bratem żonatym, także byłym oficerem austryackim. Przyjęli mnie obaj z wielką uprzejmością, nie oparłem się naleganiu pozostania u nich przez parę dni, bo i rana moja mocniej się zaogniła.》

August Zamoyski do ojca:

«Baranów, 25 września 1831.

Korzystam z nadarzającej się sposobności, żeby donieść Ojcu o naszych nieszczęściach. Tak więc korpus nasz rozbrojony, ale nie zniechęcamy się i opuszczamy Galicyę, aby się połączyć z Różyckim, który zajmuje obronne stanowisko w górach Świętokrzyskich, skąd trudno go będzie wyrugować.

Tutejsze władze niegodziwie się z nami obchodzą. Strzegą nas, jakby aresztantów, szczególniej sztab główny. Biedny nasz jen. Ramorino prawdziwie jest najnieszczęśliwszym z ludzi. Odwiedzałem go wczoraj; pisze zażalenie do cesarza. Nasi żołnierze nie mają ani co pić, ani co jeść, a zaczyna być zimno. I tak chociaż cholery niema w naszym korpusie, ale jej dostaniemy.

Jen. Kajzarow zrabował Zwierzyniec; wziął tam 50.000 zł. i, kpiąc, powiedział, że je hrabiemu odda w Petersburgu.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Baranów, 27 września 1831.

Powtarzać nie będę żalów, że się za tą granicą znajduję. Był to dla mnie cios okropny. Przez kilka dni zdawało mi się, że życie we mnie ustało i ze zgrozą na ten koniec patrzałem. Dziś już znowu jestem czynny. Wezwany od Różyckiego, by rąk nie opuszczać i do ostatka dźwigać się z najokropniejszego nawet upadku, powróciłem do życia odrazu. Już znowu budzę tu wszystkich, spocząwszy dni kilka dla rany, która się goi doskonale. Obywatele tutejsi zbierają składki, dopomagają, jak mogą. Dziś spodziewam się być za Wisłą. Niemało widzę trudności, żeby rozpocząć niezwłocznie działanie, nie dając sobie chwili, nie mówię, spoczynku, bo go nie potrzebuję, ale szczęścia przejechania się do Krakowa i przebycia tam choćby tylko godzin kilka. Jednak chętnie to szczęście tak wielkie poświęcam sprawie ojczyzny, dla niej wszelkie ofiary ochoczo ponoszę. Matka kochana pojmuje, rozumie to uczucie, a co większa, i to stanowi moje szczęście, dzieli je ze mną.

Mówią, że zawarto zawieszenie broni na cztery niedziele. Co z tego wróżyć, nie wiem; w ogólności teraz mniej, niż kiedy, żadna mnie nadzieja nie łudzi. Co też tam o mnie muszą mówić. Wiem, że, gdybym z odległości słyszał o tem wkroczeniu korpusu naszego, przekląłbym i dowódcę i szefa sztabu, a przecież z blizka inaczejby o tem sądzono. Trudna z Polakami sprawa; zapału wiele, wytrwałości jakże mało.»

«Głównym powodem przedłużenia pobytu w Baranowie była robiona mi nadzieja, że sami Krasiccy przeprawę nam ułatwią. Kiedy puściłem się nocą ku Wiśle, człowiek, na zwiady posłany, wróciwszy z przeciwnego brzegu, przyniósł wiadomość, że już tam doszli Moskale. Pojechałem więc dalej ponad Wisłę; wszędzie ta sama z przeciwnego brzegu dochodziła nas wiadomość.

Podróż tę wzdłuż Wisły z wielką uprzejmością ułatwiali nam miejscowi obywatele, dostarczając wozów i koni od dworu do dworu. U jednego przecież doświadczyłem jakby początku tego, co nas po tej narodowej klęsce czekało na emigracyi. Zajeżdżałem do dworu na bryczce z towarzyszącym mi oficerem; w drugiej bryczce jechał mój brat August z towarzyszem. Przy wrotach dworu wita mnie właściciel, pan Przebendowski i zaprasza do domu. Na dziedzińcu mnóstwo było oficerów korpusu II. Powiadam, że mi pilno; proszę o konie, by niezwłocznie dalej jechać. Obywatel nalega, prosi na obiad, który zaraz podają. Zgadzam się, zastrzegając, że mnie odprawi spiesznie. Puszcza mnie ku domowi, idzie witać wysiadających z drugiej bryczki i pyta: «Kto pierwszą zajechał bryczką?» Towarzysz brata mego mówi: «Zamoyski». — «Jaki Zamoyski?» — «Pułkownik, nasz szef sztabu.» Na co obywatel: «To go powiesić».

Czy to był wyraz istotnej zgrozy, czy żart, nie wiem, bo zaledwo tak powiedział, znów się do mnie przysunął i z podwójną ceremonią wprowadził do domu. Wtedy brat mój zbliżył się do mnie i szepnął: «Jedźmy dalej» i opowiedział, co słyszał. Jechać niepodobna było, nie było też bardzo powodu. Pan Przebendowski oprowadził mnie po pokojach skromnego dworku; na ścianach pokazywał wiszące portrety wielkich mężów, między nimi Czartoryskich, których krewnymi swymi nazywał. Dopiero w czasie obiadu począł mnie zapytywać, jak przyszło do wkroczenia do Galicyi z korpusem tak licznym i tak jeszcze opatrzonym. Nie chcąc się wdawać w rozprawę, odpowiedziałem, że wieleby o tem mówić przyszło, a nie czas po temu, żem nie dowodził korpusem, że postanowienie wstąpienia za granicę stanęło na radzie wojennej, wbrew moim usiłowaniom. Łatwo było zmiarkować, że oficerowie korpusu przed każdym obywatelem Galicyi czuli się zawstydzeni, bo, w rzeczy samej, przed przejściem granicy ulegli zmęczeniu i zwątpieniu, które nie doszły jeszcze do szeregów.

Czuł to każdy z nich i szukał dla siebie wymówki w wiadomem już teraz wszystkim niedopełnieniu rozkazu, który, po kapitulacyi Warszawy, naznaczał korpusowi II kierunek ku Modlinowi. Jen. Ramorino sam go ogłosił już na ziemi galicyjskiej w rozkazie dziennym do oficerów i żołnierzy korpusu II. Wprawdzie kończył go treścią raportu majora Rudzkiego, właśnie przybyłego z Modlina z ustnem oświadczeniem jen. Rybińskiego, naczelnego wodza po jen. Małachowskim, że, udając się nie do Modlina, ale ku południowi, dowódca korpusu dobrze zrobił. Ale ten szczegół łatwo było pominąć. Sam czyn niewypełnienia rozkazu wystarczał, żeby zadać winę, a przynajmniej podejrzenie obudzić. Tyle mi zaszczytu czyniono, że, choć nie byłem dowódcą, mnie przypisywano wszystko, cokolwiek wówczas postanowił dowódca. W istocie, odkąd Warszawa upadła, jen. Ramorino przy każdej okoliczności zwracał się do mnie, mówiąc: «Rzecz teraz już nie wojskowa, a ja tu tylko wojskowy mam urząd; zadanie jest polityczne». Więc pytał, co radzę, a pytając, wiedział, że ja radzę się towarzyszącego nam x. Adama Czartoryskiego. Nie mogłem więc narzekać, kiedy rodacy nie dowódcę, ale mnie, robili odpowiedzialnym. Każdy, słysząc, jakoby sprawa publiczna z winy jednego klęski doznała, nie zaś z winy wielu, albo z nieuniknionej przewagi okoliczności, mimowoli z upodobaniem daje temu wiarę, unosi się zgrozą, nie pyta, czy zarzut sprawiedliwy, najmniej pyta, czy oskarżonemu krzywda. Podobne sądy o wypadkach i ludziach zdarzają się mianowicie, gdy przy klęsce objawia się niemoc. Narodowa miłość własna rada jest jednemu tylko klęskę przypisać, choćby niesprawiedliwie, ale źle służy ojczyźnie, kto tej miłości własnej schlebia kosztem prawdy i sprawiedliwości; opóźnia on tem samem chwilę, w której wytrawna dojrzałość sądu utworzy moc i mądrość; bez nich najwyższe ofiary trwałego nam nie zapewnią bytu.

Po skończonym obiedzie rozstaliśmy się dość zgodnie z panem Przebendowskim.

Nazajutrz stanąłem na Podgórzu krakowskiem, zajmowanem przez Austryaków[1]). Pełno w niem było wychodźców z Warszawy i Królestwa, choć Kraków był już zajęty przez Moskali. X. Adam Czartoryski ledwo ich zdołał wyprzedzić u mostu i przejść na drugą stronę Wisły, zanim straż moskiewska most zajęła. Przez kilka dni panował na Podgórzu łatwy do pojęcia zgiełk; głównym przedmiotem narad było, co dalej począć, a raczej, co każdy miał o sobie postanowić. Zrazu niepodobieństwem było wracać pod berło moskiewskie, równie niepodobnem pozostać w Galicyi; zmuszało to do myślenia o schronieniu w odległych krajach. Myśl polityczna emigracyi odrazu się objawiła. Pokonani na polu zbrojnej rozprawy, czuli wszyscy, że walkę przenieść należy na pole siły moralnej, między ludy i rządy obce, do których odwołać się przychodziło w imieniu sprawiedliwości i praw międzynarodowych. Najspieszniej do tego było gorętszym, mniej doświadczonym, tym właśnie, co wprzód i potem zwykle narzekali na starszyznę, że się dyplomacyą bawi napróżno. Ci sami wtenczas największe nadzieje pokładali na Paryżu, marząc o sympatyi Francuzów, choćby jej przyszło objawić się rewolucyjnym przewrotem.

Niebawem przyszło z Wiednia wezwanie do x. Adama, by się dał wywieźć z posiadłości austryackich w kraje zachodnie. Xiążę oświadczył, że pragnie dostać się do Anglii; przybył austryacki urzędnik z powozem i odwiózł go do granicy. Był w tem dowód uszanowania dla xięcia, była widocznie i chęć uprzedzenia wszelkich od Moskwy kroków, mogących tyczyć się jego osoby. Dla

---

[1]) Zamoyski przybył na Podgórze równocześnie z posuwającymi się po drugiej stronie Wisły kozakami. Różycki już 26 września wszedł w granice rzeczypospolitej krakowskiej; jen. Rüdiger wkroczył w pogoni za nim do Krakowa 27 września wieczór, co zmusiło Różyckiego, 28 września, do złożenia broni w ręce władz austryackich.

nikogo więcej rząd austryacki podobnego nie poniósł zachodu. Byli przecież na Podgórzu najznakomitsi mężowie nasi, członkowie rządu, sejmu, Skrzynecki i inni. Chłopicki pozostał w Krakowie, kiedy nikt z wybitniejszych osób nie śmiał tego uczynić. Pozostały także w Krakowie liczne rodziny, które już wcześniej szukały tam schronienia, albo przed samem najściem Moskali przybyły z okolicy. Była w Krakowie i matka moja z dwojgiem najmłodszych dzieci. Któż policzy, ile niepokoju wycierpiała. Truchlała o męża, który wtedy właśnie w bezpośredniem zetknięciu z carem mógł być narażony na najtrudniejsze zadanie. Póki kraj cały był pod bronią, póki toczyła się z wrogiem rozprawa na życie i śmierć, mogli najprzezorniejsi nawet milczeć i najgroźniejsze losy narodu podzielać, byle do klęsk tylu nie dodać przed światem pozoru rozdwojenia między nami. Ale kiedy wszystkie ofiary się wyczerpały, kiedy walka zbrojna ustała, kiedy w pokonanym przez wroga a od zachodu opuszczonym kraju grobowe zapanowało milczenie, zaprawdę nie krzywdziło mego ojca przypuszczenie, że car zechce narodowi polskiemu podać rękę do zgody, a za pośrednika weźmie obywatela i męża stanu, jakim był mój ojciec. Zalecała go obu stronom przeszłość, w której ani jednej ani drugiej stronie nie potakiwał w zdaniach i dążeniach ostatecznych. Zachodziła jednak obawa, by się nie dał carowi podejść; w istocie chęć złagodzenia strasznych następstw, jakie groziły krajowi, mogła ojca mego nakłonić do kroków, które, nie plamiąc jego charakteru, wywołałyby w kraju sąd surowy na brak przezorności i oględności.

Co do mnie, nie podzielałem tej obawy i matkę z zupełnem przekonaniem uspokoić usiłowałem. Nie zdawałem sobie sprawy z powodów, które mi tę ufność dawały. Po dłuższem życiu i doświadczeniu mniemam, że ją czerpałem z przeczucia, które się dziś stało przekonaniem, że czystość zamiarów jest nietylko tarczą dla pra-

wych; jest ona również ostrzeżeniem dla tych, co się bezprawiem posługują, że innych szukać muszą narzędzi.

Szwagier mój Działyński i najstarszy brat Konstanty przebywali na Podgórzu. Drugiego brata mego, Andrzeja, żona była w Krakowie z kilkorgiem drobnych dzieci; on zaś z poselstwa swego do Wiednia, opatrzony wspólną propozycyą do Paskiewicza od rządu austryackiego i od posła Moskwy przy tym rządzie, Tatiszczewa, zjechał do Warszawy 8 września w sam dzień, kiedy Warszawa przez Moskali zajętą została. Wjechał przeto za nimi do stolicy naszej, prowadzony jako parlamentarz do Paskiewicza, w chwili, gdy ją opuszczali wszyscy, co jakiegokolwiek w tym czasie dostąpili znaczenia[1]).

Między przybyłymi na Podgórze znajdował się jen. Skrzynecki, którego nie widziałem od Bolimowa, od dnia, kiedy złożył naczelne dowództwo, poczem miałem

---

[1]) Przypisek Andrzeja Zamoyskiego: X. Metternich wręczył posłańcowi polskiemu pismo do polskiego rządu, którego skutkiem miało być powstrzymanie rozlewu krwi i dał mu stanowcze zapewnienie, że Austrya zażąda konferencyi w sprawie Polski, jak to uczyniła dla Belgii. Za łaskawość Mikołaja poręczał. Posłowi polskiemu oświadczył, że uważa go jako akredytowanego przy gabinecie wiedeńskim i prosił, by jak najrychlej jechał do Warszawy dla wzięcia nowych instrukcyi od swego rządu, a następnie, by wracał do Wiednia i był przy jego boku podczas konferencyi. Cesarz wezwał go na zamek i kazał mu powiedzieć przez hr. Kolovrata, że, czując się starym i mając wkrótce stanąć przed Najwyższym Sędzią, chce Polakom oddać Galicyę, której posiadanie ciąży mu na sumieniu; pragnie tylko, by nie została prowincyą rosyjską i żeby miano względy dla dawnych urzędników austryackich. Zostały wydane instrukcye dla komisarza austryackiego przy głównej kwaterze rosyjskiej, hrabiego Caboga, polecające parlamentowanie z wojskiem polskiem i uzyskanie zawieszenia broni. Instrukcye te niezapieczętowane doręczono posłowi polskiemu, który miał udać się z niemi do marszałka Paskiewicza, a x. Metternich, na życzenie cesarza Franciszka, otrzymał od ambasadora w Wiedniu, Tatiszczewa, by jeden z członków ambasady towarzyszył posłowi dla przeprowadzenia go przez obóz rosyjski. Wysłaniec polski był przed wyjazdem zaproszony na obiad i wieczór do posła rosyjskiego, który dwugodzinną rozmowę zakończył słowami: „Daję Panu z serca mego

z nim wyżej opowiedzianą rozmowę[1]). Rozmowa ta zakończyła się zapewnieniem Skrzyneckiego, że wchodzi w powody, które mną kierowały w wypadkach dopiero upłynionych. Ale wkrótce potem miałem dowody, że Skrzynecki zawierzył pozorom, czy pogłoskom, obwiniającym mnie o nieprzychylny mu udział w wypadkach, które go do złożenia dowództwa skłoniły. Wyjście z Warszawy z korpusem II, wkrótce po tej bolimowskiej rozmowie, nie dało mi sposobności ani widzenia więcej Skrzyneckiego, ani bliższego dochodzenia tej rzeczy. Wyznam przecież, że mi na sercu ciążyło mniemanie, żem utracił życzliwość byłego naczelnika, dla którego miałem szacunek i wdzięczność. Czułem, żem wart szacunku jego, a że pozbawia mnie go tylko nieporozumienie. Pragnąłem więc pierwszą uchwycić sposobność do powtórnego przed nim wytłomaczenia się. Pośrednika znalazłem w osobie księdza Łętowskiego, kanonika krakowskiego, który u nas na Podgórzu bywał, a którego poznałem w czasie wojny, kiedy w Warszawie odwiedzał Skrzyneckiego, jako dawny jego towarzysz broni i przyjaciel. Ksiądz Łętowski, wysłuchawszy mnie ze zwykłą uprzejmością, nie zdołał przecież nakłonić Skrzyneckiego do upragnionej przezemnie rozmowy. Musiałem poprzestać na zapewnieniu, że Skrzynecki, znękany wypadkami, nie czując się na sile do nowego zgłębiania tej rzeczy, zapewnia mnie o swym szacunku i życzliwości[2]).

Liczne było na Podgórzu zgromadzenie nasze i nadspodziewana zrazu dla niego pobłażliwość policyi austry-

---

attaché, przeprowadzi on Pana bezpiecznie, nie mogę, jak tylko zachęcić Pana do omówienia sprawy z marszałkiem Paskiewiczem. On posiada instrukcye. Oddasz Pan największą usługę cesarzowi i swej nieszczęśliwej ojczyźnie.» — Gdy posłaniec polski wraz ze swym towarzyszem przybyli do Warszawy, już ona była w posiadaniu Rosyi. A tak początkowa chwiejność i ociąganie się dworu wiedeńskiego, sprawiły, że przychylne jego zamiary dla Polski pozostały bez skutku.

[1]) Ob. str. 329.

[2]) Nie widziałem już potem Skrzyneckiego aż w 1839 r. w Belgii. Rząd austryacki, po upadku powstania, dozwolił mu mieszkać

ackiej. Wkrótce jednak zaczęły dochodzić ostrzeżenia od tejże policyi, że każdy ma oznajmić, dokąd się udać zamierza, bo w miejscu długo pozostać mu nie dozwolą. Takiego oświadczenia składać nie mogłem, chybabym się zgodził na wskazany mi już poprzednio pobyt z oficerami korpusu II w Ołomuńcu lub Bernie morawskiem. Na to przystać nie chciałem. Nie mogąc więc już dłużej bawić na Podgórzu, a pragnąc przynajmniej jakiś czas jeszcze w Galicyi pobyć, umyśliłem udać się wprost do Lwowa, do gubernatora, x. Lobkowica.

Ale pozostawała mi na Podgórzu do załatwienia sprawa, która mi się zdawała konieczna, chociaż bardzo niemiła. Opowiedziałem wyżej zajście moje z posłem Janem Ledóchowskim o obelgę, rzuconą w izbach na mego ojca, i oświadczenie temuż, że zaniecham wszelkiego dochodzenia satysfakcyi tak długo, jak będę obowiązany służyć wyłącznie ojczyźnie. Ponieważ ostatnim do mnie listem pan Ledóchowski przeczył mi prawa stawania w imieniu rodziny, uważałem, że jedynym sposobem doprowadzenia go do dania mi satysfakcyi było postawienie go w konieczności żądania jej odemnie.

Jakoż, spotkawszy go na Podgórzu w towarzystwie pana Morsztyna, poważnego obywatela, zamieszkałego w Krakowie, przystąpiłem do nich i rzekłem: «Korzystam z obecności świadka, żeby oświadczyć Panu, iż, jak dawniej, tak dziś, mam Pana za nikczemnika.»

Łatwo się domyślić, jakie było wzruszenie takiego pasyonata, jakim był Ledóchowski. Rzucił się ku mnie, że zaś nie cofnąłem kroku, a byłem bez broni, miałem nawet dwie świeże rany na twarzy, pan Morsztyn oburącz go pochwycił i dał czas innym w pobliżu będącym osobom

---

w Pradze, ale pragnął go w niej unieruchomić. Gdy jednak 1839 r. zawiadomiłem go, że król belgijski, Leopold, w chwili grożącej mu wojny wzywa go do służby swojej, stawił się i gniew Austryi ściągnął na siebie. (W. Z.)

wnijść pomiędzy nas. Nie potrzebuję dodawać, że dnia tego wszyscy na Podgórzu o tym jednym wypadku mówili.

Jak przedtem w Warszawie mój brat Konstanty, tak tu mój szwagier Działyński dał się uwieść mniemaniu, że można było zrobić coś więcej. Bodaj, czy jeden i drugi nie pomyśleli, żem był zanadto umiarkowany; dość że Działyński, dobrawszy sobie dwóch sekundantów, kazał wyzwać pana Ledóchowskiego do niezwłocznej z nim rozprawy. Ale się nie obliczył z miejscem i okolicznościami. Jednogłośne między naszymi powstało oświadczenie, że nie pozwolą na pojedynek, któryby i tak już trudne i zagrożone położenie wszystkich pogorszył. Pozostało mi z tego miłe wspomnienie solidarności, do jakiej się poczuł Działyński z rodziną naszą, a zdaje mi się, że była w popędliwości jego i dla mnie braterska życzliwość. Bo jak zrazu, kiedy wszedł do rodziny naszej, nieosobliwie o mnie trzymał, tak przez ciąg wojny coraz więcej mi okazywał serdeczności.

Po takim obrocie sprawy dłużej już pod okiem policyi na Podgórzu zostawać nie mogłem.»

Pani Zamoyska do męża:

«Podgórze kwarantanna, 8 października 1831.

Władysław, August i Działyński wpadli tu do mnie na chwilę. Szczęściem to było dla mnie. Rana Władysława jeszcze nie zagojona. Prawdziwie Opatrzność nad nim czuwała. Nie pojmuję, że żyje i że kula, którą mi tu przysłano, po wydobyciu jej z rany, twarzy mu nie zniszczyła. Blizna tylko zostanie.»

«Uścisnąwszy matkę i bliższych, puściłem się (9 października) rzemiennym dyszlem, czyli tak zwaną obywatelską pocztą do Lwowa. Przez całą podróż doznawałem nieograniczonej uprzejmości obywateli, którzy mnie kolejno sami do poblizkiego sąsiada odwozili. Wspomnę między innymi Alexandra Starzeńskiego, który mnie ze

szczególną gościł życzliwością, chociaż był oficerem austryackim, a potem został cesarskim szambelanem, a także pana Pawlikowskiego w Medyce, wielce potem zasłużonego w literaturze i historyi narodowej.

We Lwowie zgłosiłem się do Izydora Pietruskiego[1]), który był ajentem rządu naszego w Galicyi podczas powstania i zarazem najpoufalszym powiernikiem bardzo nam życzliwego gubernatora Galicyi, x. Lobkowica.

Prosiłem pana Pietruskiego, żeby mnie przedstawił gubernatorowi, na co x. Lobkowic przystał niezwłocznie. Poszedłem do niego pod przybranem nazwiskiem Zawadzkiego. Pytał i badał ciekawie z wyraźnem współczuciem. Chętnie przyjął oświadczenie moje, że w Galicyi krótko zabawić myślę i że pozostanę tylko dla załatwienia prywatnych interesów, słowem honoru ręcząc, że nie mam w tem i mieć nie będę politycznego celu. Zapewniał, że nie będzie o mnie pytał, ale uprzedził, że nie jest w mocy jego obronić mnie od policyi, gdyby mnie wykryła i aresztowała. Mnie zaś zdawało iż na taki przypadek powinnoby wystarczyć świadectwo gubernatora, żem w jego ręce złożył powyższe oświadczenie.

O drugą rzecz jeszcze prosiłem pana Pietruskiego; by mi wskazał, gdzie na ustroniu obywatela, któryby mnie przyjął w gościnę na kilka tygodni, a nie tylko nie chciał mnie bawić spraszaniem sąsiadów, ale przez czas pobytu mego, jak najmniej gości widywał. Pan Pietruski wskazał mi stryjecznego brata swego, mieszkającego w Karpatach,

---

[1]) O Izydorze Pietruskim x. Henryk Lubomirski pisał do Jana Zamoyskiego, 30 września 1830: «Korzystam z pozwolenia, by ci polecić mojego przyjaciela, pana Izydora Pietruskiego. Prawy obywatel, cieszy się poważaniem wszystkich ludzi zacnych tej prowincyi. Charakter silny, światły umysł, spokój, roztropność zdobyły mu niemały wpływ. Nikt lepiej od niego kraju nie zna. Jest to jedna z najlepszych głów u nas, a serce nie gorsze od głowy. Możesz tedy liczyć na jego życzliwość i zamiłowanie wszystkiego, co zacne, a co jest przedmiotem naszych pragnień.»

we wsi Łubieńce, w cyrkule stanisławowskim i sam mnie odwiózł do niego [1]).»

Równocześnie z Władysławem Zamoyskim wyjechali z Podgórza bracia jego, Konstanty i August.

Konstanty Zamoyski do ojca:

«Sieniawa, 16 października 1831.

Prosiłem o paszport dokądkolwiek, dano mi znać, że go nie otrzymam, ale że mogę się schronić w Oleszycach i tam czekać na dalszy obrót rzeczy. W drodze zaaresztowano Augusta i mnie w Leżajsku.

Pisałem do Andrzeja, żeby mi otrzymał upoważnienie na przybycie do Królestwa dla zajęcia się interesami Ojca. Rzecz to pilna. Nie wiem, co feldmarszałek Paskiewicz odpowie. Moskale patrzą niełaskawem okiem na naszą rodzinę. Nasi myślą, że jesteśmy dla kraju obojętni, Moskale znajdują, że jesteśmy nadto gorliwi.

Co do mnie, powiedziałbym, jak Ojciec, jednym: nie róbcie powstań, a drugim: nie doprowadzajcie do nich. Wielkie błędy popełniono po obu stronach; rodzina nasza ani w jednych, ani w drugich przewinieniach udziału nie miała i tego właśnie ani jedni, ani drudzy nam nie przebaczają.

Rozpisuję się, bo chciałbym, żeby Ojciec wiedział, co się w mojej głowie dzieje po tych wszystkich wstrząśnieniach, które nam mózgi rozkołatały.

Sześć już tygodni, jak się Warszawa poddała; powstanie skończone, a ani jedno słowo, przez cesarza podpisane, nas jeszcze nie doszło. Istna rozpacz; ani amnestyi, ani odezwy żadnej, a wszakże nieszczęście nasze dość wielkie, żeby wzbudzić trochę litości.»

«Oleszyce, 20 października 1831.

Pisałem już, że Polacy schronili się do Galicyi i tu czekają amnestyi, czy też aktu jakiego z podpisem samego cesarza. Podpis feldmarszałka Paskiewicza nam nie wystarcza. Niektórzy z naszych oficerów, otrzymawszy

od niego paszporty, w drodze byli zatrzymani, zrabowani, bici nahajkami z rozkazu wyższych oficerów rosyjskich. W Warszawie cicho: osoby i posiadłości są szanowane, ale po wsiach dzieją się rzeczy straszne. Teraz nie tak, jak było w roku 1813, kiedy ś. p. cesarz Alexander powstrzymywał nadużycia, na które zwycięskie wojska zawsze mniej więcej sobie pozwalają...

Mąż Celiny (Działyński), który przerażał nas dawniej swemi poglądami, okazał się w czasie tej zawieruchy roztropnym i najzacniejszym. Odznaczał się męstwem, rozsądkiem, wyrzeczeniem się siebie.

Co do człowieka (x. Adam), którego charakter i uczucia hołd Europy wywołują, którego imię clarum et venerabile gentibus, multum nostrae proderat urbi i który swoją osobą wszystkie dawał rękojmie, widzieliśmy go tylko, jak codzień siwiał ze zmartwienia, jak upadał pod ciężarem trudności, którym podołać nie umiał, czy nie mógł.

Moskale utrzymują, że wyjazd Ojca do Petersburga, przy naszym udziale w powstaniu, jest czystą komedyą... Mojem zdaniem, możeby najlepiej teraz było zamieszkać Ojcu na Litwie; do nas się zbliżyć, ucieszyć, pocieszyć i mną pokierować w zarządzie interesów.

Austrya ogłosiła tylko co ogólną amnestyę dla Galicyan, którzy wzięli udział w wojnie; co więcej, zwolniła właścicieli z połowy zaległych podatków... Tymczasem nasze biedne Królestwo, do którego wszystkie moje myśli się odnoszą, jest bardzo nieszczęśliwe. Jeżeli Ojciec ma jakiekolwiek wpływy w Petersburgu, proszę tam przypominać, co Litwę przyprowadziło do tak opłakanego stanu, by Królestwo od podobnego upadku bronić. Litwa cierpi i to bez żadnej korzyści dla rządu, w szczególności z powodu braku hypotek i z exdywizyi[1]), stąd, że nie ma miejscowego sądownictwa, że Litwini zmuszeni są spraw swoich bronić w Petersburgu, że pogłówne służy

[1]) Podziału majętności między wierzycieli.

za podstawę opodatkowania: cierpi także z powodu zasad, któremi się rząd posługuje przy poborze rekrutów, od czego wprawdzie drobna szlachta jest wolna, ale w porównaniu z czem zwykłe konskrypcye są dobrodziejstwem. Administracya cała opłakana, a zreformowanie jej trudne.

Staraj się, Ojcze, zachować dla nas dawne sądownictwo, konskrypcyę, opodatkowanie, oparte na dochodach i wydatkach; w takim tylko razie położenie będzie znośne. Prawa hypoteczne zostaną prawdopodobnie takie, jakie były. Administracya taka będzie, jaka być może; trzeba się z tem pogodzić.

Teraz, kiedy nasze fabryki zniszczone, a kapitały przepadły, jaki może być powód do utrzymywania tak kosztownych i uciążliwych urządzeń celnych? Handel ocaliłby od nędzy nasz biedny kraj, a nie widzę lepszego i prostszego na to lekarstwa, jak zniesienie ceł. Jeżeli ze względu na Cesarstwo, od którego Królestwo zależeć musi, nie dozwolą nam wolnego handlu z zagranicą, otrzymaj, Ojcze, przynajmniej większą swobodę dla handlu między Królestwem a Cesarstwem. Handel ten dotąd był skrępowany wskutek monopolu w Królestwie na tytoń, wódkę i sól; niechaj zarzucą te szkodliwe monopole, a przynajmniej niechaj system zmienią o tyle, żeby komunikacye handlowe z Cesarstwem były wolne; inaczej Królestwo, które mogło znosić takie przeszkody, póki było w stanie kwitnącym, z obecnego upadku, pod ich jarzmem, podnieść się nie zdoła. Ludzie z głodu ginąć będą i wszyscy zalegną w płaceniu podatków. Handel równie jest potrzebny w interesie tego, co podatki pobiera, jak w interesie tych, co je płacą...»

Z pism ordynata Zamoyskiego z czasu jego pobytu w Petersburgu widać, że brał on wówczas właśnie udział w odbywających się tam naradach nad nową ustawą, którą, pod nazwą statutu organicznego, car Mikołaj zamierzał wprowadzić do Królestwa. Projekt został spisany we wrze-

śniu, zaraz po upadku Warszawy, a w połowie października minister sekretarz stanu, Stefan Grabowski, zaprosił ordynata Zamoyskiego wraz z kilku innymi Polakami, obecnymi w Petersburgu, na posiedzenie do wicekanclerza hr. Nesselrode, w celu przeczytania tego projektu.

Po dwóch posiedzeniach, poświęconych czytaniu, hr. Nesselrode wręczył obecnym kopię statutu, polecając z rozkazu cesarza, żeby wszystkie artykuły rozważyli i uwagi swoje o nich podali na piśmie dla przedłożenia ich cesarzowi, i to «w jak najbliższym czasie, aby czemprędzej położyć koniec tymczasowemu, a tak szkodliwemu położeniu Królestwa».

Członkowie tak utworzonej komisyi [1]) zgromadzali się kilkakrotnie u ministra Grabowskiego, dla obradowania nad uwagami, które carowi przedstawić mieli. Przechował się odpis tych uwag, ręką ordynata skreślony.

Uwagi poprzedzone były wstępem, zawierającym pogląd na przyczyny powstania, w którym członkowie komisyi wyrażali przekonanie, że obecne klęski w Polsce nie wynikły ze swobód konstytucyjnych, «wspaniałomyślnie» nadanych przez cesarza Alexandra; że, przeciwnie, «wiekopomne to dzieło», o ile zostało wykonanem, zbawienny wpływ wywarło na usposobienie umysłów i dobrobyt kraju. Przyczynę złego upatrywali w obawie o trwałość nadanych instytucyi, wywoływanej coraz to objawiającym się «brakiem poszanowania dla wolności osobistej, dla wyroków prawa i pamiątek narodowych». Zaniepokojenie wzrastało «w miarę przeszkód, stawianych najpożyteczniejszym przedsięwzięciom, wzrastało z powodu głuchych podżegań, które zdawały się wyzywać opozycyę i krytykę jedynie na to, by tem dobitniej wytknąć płynące z nich niebezpieczeństwo.» Stąd ogólna nieufność,

[1]) Ordynat Zamoyski, prezes senatu Królestwa Polskiego. hr. Krasiński, senator wojewoda i adjutant J. C. M., Rożniecki, jenerał kawaleryi, x. Lubecki, minister finansów i skarbu, hr. Grabowski, jenerał dywizyi, minister sekretarz stanu.

nurtująca w całym kraju, «mimo dobroczynnych zamiarów nowego monarchy, wiadomych zresztą nielicznemu tylko, niestety, gronu osób, tron otaczających».

Wstęp kończył się streszczeniem pisma, które było dołączone do projektu ustawy, a w którem cesarz Mikołaj oświadczał, że staje na stanowisku, jakie względem Polski zajmował Alexander I, wskutek traktatów z roku 1815 i że przyjmuje za podstawy zasadnicze dla nowego statutu: narodowość polską, unię nierozerwalną Królestwa z Cesarstwem, dotychczasowe prawodawstwo cywilne, kryminalne i municypalne utrzymane w całej pełni, uszanowanie praw cywilnych, praw własności i wolności wyznań, administracyę odrębną i powołanie stanów prowincyonalnych, jako reprezentacyi narodowej.

Przytaczając powyższe zasady i uznając ich dobroczynną doniosłość, członkowie komisyi brali je za punkt wyjścia dla swoich uwag, z których każda prawie skierowaną była do tego, żeby wykazać, o ile dany artykuł statutu zasadom tym się sprzeciwia lub z ich uszczerbkiem tłomaczony być może.

Przy pierwszym już artykule zaznaczali różnicę między wyrażeniem, w nim użytem: «Królestwo na zawsze przyłączone do państwa rosyjskiego», a słowami traktatu wiedeńskiego «nieodwołalnie połączone na mocy konstytucyi i oddane w posiadanie Alexandra, cesarza Wszechrosyi». Dalej ubolewali nad zniesieniem osobnej koronacyi w Warszawie, ponieważ obrzęd ten, dokonywany przez duchowieństwo katolickie, nie był bez znaczenia w oczach katolickiego ludu. Podnosili brak wzmianki o znakach i barwach narodowych, zmianę tytułu namiestnika na jenerał-gubernatora, a także ministrów na dyrektorów komisyi. Protestowali przeciwko odnoszeniu kwestyi prawodawczych «i w ogóle ważniejszych» do departamentu dla spraw Królestwa w Petersburgu, wskazując, że nie zgadzałoby się to z odrębnością narodową i administracyjną, i proponowali odsyłanie do departamentu tylko takich

spraw, które dotyczą wspólnych interesów Cesarstwa i Królestwa, i to po poprzedniem ich rozpatrzeniu przez Radę Stanu w Warszawie. Protestowali również przeciwko ogłaszaniu postanowień rządowych bez kontrasygnowania ich przez odpowiedniego ministra. Z powodu artykułu, głoszącego karę konfiskaty za zbrodnię stanu, zwracali uwagę, że kara ta sprzeciwia się prawu własności, którego utrzymanie w całej sile ma stanowić jedną z podstaw zasadniczych statutu, że kara ta zniesiona jest w Cesarstwie t. zw. gramotą dworzańską z 1785, a przepisami z 1801 i 1802 rozciągnięta do przestępców nieszlacheckiego pochodzenia; wreszcie, że wprowadzenie jej do Królestwa stałoby się dla mieszkańców źródłem niezadowolenia i żalu za poprzednim stanem rzeczy.

Inne obszerne uwagi odnosiły się do zamierzonego wcielenia wojska polskiego do armii rosyjskiej, do systemu celnego, zagrażającego ruiną Królestwu i stawiającego je w gorszem położeniu względem Rosyi, niż znajdowała się Galicya względem Austryi, a Poznańskie względem Prus. Najobszerniej rozwinięta uwaga dotyczyła stanów prowincyonalnych, mających zastąpić sejmy, a o których w statucie organicznym była tylko krótka wzmianka, zapowiadająca, że będą miały głos doradczy i to wyłącznie w sprawach, które pod ich rozwagę będą poddawane. Członkowie komisyi natomiast domagali się dla stanów prawa głosowania rozstrzygającego, takiego przynajmniej, jakie zapewniała konstytucya X. Warszawskiego (to jest bez prawa dyskusyi) i dowodzili, że coraz rozpowszechniające się dążenie do udziału w rządach przedstawicieli narodu należy uważać nie za prostą zachciankę lub ślepe naśladownictwo, ale za konieczne następstwo zmian w stosunkach ekonomicznych.

Uwagi zakończono ustępem, w którym «niżej podpisani» wyrażali sumienne swe przekonanie, że statut organiczny w przedstawionej im redakcyi nie byłby w stanie ani zapewnić szczęścia mieszkańcom Królestwa, ani zacie-

śnić ich węzłów z Cesarstwem, ani ich od nowych klęsk zabezpieczyć.

Podczas rozpraw głosy obradujących różniły się na rozmaitych punktach. Przy artykule o dobrach kościelnych, ordynat Zamoyski przemawiał za nienaruszalnością pobożnych fundacyi i za utrzymaniem poszczególnych własności kościelnych w przeciwieństwie do projektu oddania dóbr kościelnych w administracyę rządową i uposażenia duchowieństwa z dochodów, stąd wpłynąć mających. Osobno też opracował uwagi o trybunale najwyższym dla Królestwa i o zamierzonej poprawie kodeksu.

Pismo całe zbiorowo opracowane, zredagowane przez x. Lubeckiego, podpisane przez wszystkich członków komisyi, oddano hr. Nesselrode pod koniec października. W kilka dni później ordynat Zamoyski pisał: «Hr. Nesselrode, powoławszy nas do siebie 2/14 listopada, oświadczył nam niezadowolenie cesarza ze sposobu, w jaki wywiązaliśmy się z danego nam polecenia. Cesarz kazał nam powiedzieć, że podane przez nas tłomaczenie powstania i jego powodów nic nie ma wspólnego z uwagami nad nową ustawą, których od nas żądał. Odpowiedzieliśmy, że bardzo nam przykro, iżeśmy mimowolnie dali J. C. Mości powód do niezadowolenia, ale, mając głębokie przekonanie o słuszności tego, cośmy wyrazili, słów naszych odwołać nie moglibyśmy.

Zważając, że było nam polecone radzenie o nowych warunkach bytu dla Królestwa i o tem, jak je zabezpieczyć od ponowienia się nieszczęść obecnych, wydało nam się pierwszorzędnym obowiązkiem zaznajomić cesarza z rzeczywistemi powodami powstania. Oświadczyliśmy wdzięczność dla J. C. Mości, że pozwolił przedłożyć sobie nasze uwagi i zaznaczyć punkty, któreby zmienić wypadało, aby osiągnąć cel, wskazany w podstawach zasadniczych wspaniałomyślną wolą monarchy. Wyraziliśmy też ufność, iż J. C. Mość raczy uwzględnić nasze przedstawienia, o których słuszności sumiennie przekonani jeste-

śmy. Hr. Nesselrode odpowiedział, że cesarz uznaje sprawiedliwość i doniosłość niektórych uwag naszych, a jednocześnie polecił nam w imieniu cesarza opracować szczegółowy projekt o stanach prowincyonalnych.»

W projekcie tym znowu obszerny ustęp poświęcono wykazywaniu, jak potrzebnem i korzystnem jest przedstawicielstwo narodowe, które dozwala panującemu obznajmić się z istotnym stanem rzeczy, daje mu pojęcie o rzeczywistych potrzebach, dążeniach i zasobach narodu, jak również o powodach jego niezadowolenia i o sposobie, w jaki rządzi krajem administracya, działająca w imię cesarza.

Projekt ten, podobnie jak uwagi, został zbiorowo opracowany; w szczegółach również głosy się dzieliły. Ordynat we własnem i jen. Wincentego Krasińskiego imieniu osobno dołączył motywowane wnioski, różniące się z wnioskami projektu. Dotyczyły one najdalszych odstępów czasu, w jakich stany miały być powoływane (w projekcie ordynata Zamoyskiego co trzy lata, a nie co pięć lat), czasu trwania obrad (piętnaście, nie trzydzieści dni), ilości posłów (siedmdziesięciu zamiast pięćdziesięciu), głosowania (jawnego a nie tajnego) podczas rozpraw i t. p. Ordynat poddawał zarazem myśl ustanowienia pewnej liczby członków dziedzicznych i zaliczenia wszystkich biskupów katolickich do przedstawicieli narodu.

Niezależnie od udziału w tych pracach zbiorowych, ordynat samodzielnie opracowywał rozmaite projekty i poglądy, odnoszące się do spraw krajowych; między innemi projekt reformy szkół pod tytułem: «Co uczynić należy, żeby nauka przyniosła istotne korzyści w kraju naszym». Ordynat rozróżniał wiele rodzajów szkół i wymieniał przedmioty, którychby w każdej uczyć należało. «W Królestwie», pisał, «wszystkie szkoły mają na celu wykształcenie literackie, a brak szkół zawodowych, takich właśnie, jakich większa część ludności potrzebuje. Łatwiej zadośćuczynić potrzebie nauk literackich, choćby

na drodze prywatnej, ale bez szkół zawodowych kraj obejść się nie może.» To też szczególny kładł nacisk na potrzebę i odpowiednią organizacyę szkół ludowych tak wiejskich, jak miejskich, zastosowanych do miejscowych wymagań i okoliczności i na potrzebę szkół rolniczych i rzemieślniczych, w którychby uczono gimnastyki i więcej godzin poświęcano pracy ręcznej, niż naukom. Wykazywał potrzebę szkół dla kształcenia nauczycieli ludowych w naukach, zastosowanych do rolnictwa, ogrodnictwa i gospodarstwa, do czegoby dodać trzeba trochę nauki ciesielstwa, stolarstwa, wyrobu drobnych sprzętów domowych, koszykarstwa i t. p. Pisał, że tego rodzaju szkoły dałyby się urządzić w Podzamczu, Bodaszewie, może i w Jadowie. Nalegał także na potrzebę odpowiedniej nauki pracy ręcznej dla dziewcząt. Określał przytem warunki przyjmowania uczniów, różne dla każdego rodzaju szkoły i dodawał: «Pozwolenie używania broni udzielane bywa tylko ludziom, dającym pewne rękojmie bezpieczeństwa. Nauki też są bronią, której można źle lub dobrze używać, a broń ta o tyle niebezpieczniejsza, że często zatruta.»

Wśród tych prac doszedł ordynata Zamoyskiego «rozkaz cara», by został «członkiem rady państwa»; z niemałym trudem zdołał «wymówić się od tej godności brakiem zdrowia i nieznajomością języka rosyjskiego». Pisma jego zdają się jednak świadczyć, że ten gorący zwolennik systemu konstytucyjnego nie tracił jeszcze nadziei, iż cesarz Mikołaj, po stłumieniu powstania, zechce przywrócić choć w części dawną konstytucyę i uszanować ją na przyszłość. Odbywające się w Petersburgu narady mogły istotnie dawać to złudzenie, gdyby gwałty i bezprawia, popełniane jednocześnie w Warszawie i Królestwie, nie stawały w jaskrawej sprzeczności z pozornie dobrą wolą cesarza. We współczesnych listach odnajdujemy odgłos tej smutnej rzeczywistości.

Andrzej Zamoyski do ojca:

Z Warszawy, 2 i 30 października 1831.

...Ostatnie strzały armatnie już wystrzelone, a my wszyscy na nogach, żadnego nie braknie, a nie koniecznieśmy się oszczędzali. Trudno było przewidzieć, że kule i kartacze do tego stopnia nas uszanują. Każdy sobie powtarza, że to już skończone, a jakże ciężko oddychać. Z wieczora każdy się kładzie z najczarniejszemi myślami, a rano budzi się z ciężarem na sercu. Uzbrajamy się w cierpliwość, powtarzamy sobie, że niema się co dziwić, iż Moskale chcą się na nas mścić. A jednak i to sobie mówić musimy, że w. xiążę doprowadził do tego nieszczęścia, że nic nie uczynił, by je powstrzymać, nic nie przedsięwziął, by mu przeszkodzić.

Staram się, ile mogę, majątku bronić, ale to dziś niełatwo. Mówią o różnych srogich rozporządzeniach, o zaborze majątków. Wszystko to być może, choć przeciwne ustawie; a właśnie, cokolwiek zaszło, nastąpiło wskutek znieważenia tej ustawy. Ale, — kto ma siłę, ten ma prawo i koniec.

Nic jeszcze względem siebie nie postanawiamy, trzeba umieć przeczekać; wielka to sztuka. Mnóstwo ludzi w żałobie, mnóstwo biedaków, to bez ręki, to bez nogi, a wszyscy prawie bez chleba. Zima nadchodzi, każdy w łapę chucha i ku przechodzącemu ją wyciąga po jaką pomoc. Dokoła miasta o kilkanaście mil pustki, zniszczenie okropne. Dalej trochę lepiej.

Z dóbr donoszą, że zabory wielkie: zboża, bydła, furażu; zaraza resztę niszczy. W stajni dużo szkody. Pałac Błękitny stoi, to i coś; zato kasa, piwnica, srebro ucierpiały niemało. W pałacu kwaterunek okropny, cała oficyna, dół i góra, zabrane. Od kradzieży ustrzedz się trudno. Ja tu siedzę nieodstępnie. Mieszkam w pokoju ojca, jest to sposób ochronienia go. W podobnych okolicznościach i gdy człowiek żyje w bolesnym niepokoju o tyle osób, poleciwszy je opiece boskiej, spokojnie czekać trzeba. Trapić się i niepokoić nic nie pomoże.

Owszem, trzeba się przygotować na mogące jeszcze nastąpić nieszczęścia, trzeba naprzód uzbrajać serce i duszę, a nie zniewieściеć niewczesnym żalem.»

Pani Zamoyska do syna, Władysława:

«Celina (Działyńska) przyjechała do Krakowa. Mówi, że w Warszawie aresztują mnóstwo ludzi. Lubowidzki już powrócił na dawny urząd. W zamku szpital, w uniwersytecie koszary. Rzucają się po szalonemu bez planu, bez ładu, co dzień coś innego, zamęt niesłychany. Paskiewicz, jak zwierz dziki. Niewiadomo, co dalej będzie.

N. pisze o balach w Petersburgu. Nie mogę ci wyrazić, jakie mi to dziwne wrażenie sprawiło. Zapomniałam, że bale jeszcze istnieć mogą; zdaje się, że ich widoku znieśćbym nie mogła.

Wszelkie zbytki i uczty wstręt wywołują, kiedy tysiące ludzi poległo, kiedy inni cierpią głód, zimno, nędzę i mnóstwo innych katuszy, kiedy tyle matek, żon, dzieci płacze. Nie pojmuję, jak można zapominać o tem, albo o tem myśleć bez przerażenia, bo szczegóły tego wszystkiego są okropne, okropne. Mnie te myśli, jak zmora, nieustannie ścigają.

Wszystko, co się widzi, co się słyszy, to same tylko klęski, zmartwienia, a przytem tyle brudów.

Mojej siostrze odebrano jej dobra Zińków na Podolu i dano je jej synowi, nie pojmujemy z jakiego powodu i na jakiej zasadzie. On z łaski swojej pisze do matki, że jej będzie jakieś dożywocie opłacał [1]); utrzymuje, że dom matki w Warszawie i dobra jej w Królestwie,

---

[1]) Na list ten x. Wirtemberska odpisała synowi, 4 maja 1832: «Nie wchodząc w rozprawy nad powodami, które skłoniły cesarza rosyjskiego do wyzucia mnie z mojej własności, a ciebie do przyjęcia takiego układu, wbrew moim prawom właścicielki i świętszym jeszcze prawom matki, poprzestanę na proszeniu cię, byś mnie uwolnił od przyjmowania części, jaką raczysz mi udzielać z majętności, która, według wszelkich praw boskich i ludzkich, w całości do mnie należy. Zrozumiesz może, jak nieprzyzwoitą byłoby rzeczą, gdybym, wyzuta

Pilica, do niego należą; zajechał tam, rozkazy wydaje i żadnej przykrości nie szczędzi matce, która mu zawsze tyle dobrodziejstw świadczyła. Do tego doszło, że śliczny kościół przez nią wystawiony teraz lutrom oddaje. Jak można było pozbawić moją siostrę majątku, bez oskarżenia, ni sądu, ni wyroku, pojąć niepodobna. Trudno odgadnąć, co jej zarzucić można; oddalona od świata, poświęca się jedynie pielęgnowaniu matki i miłosiernym uczynkom. Serce mam rozdarte listem x. Sanguszkowej. Roman wysłany na Sybir, szczegóły o tem okropne.»

Władysław Zamoyski do x. Czartoryskiego:

«W Królestwie dobra sekwestrują. W prowincyach zapisują dzieci szlachty, w jakich zamiarach, tego nie mówią. X. Michałowej Radziwiłłowej robią nadzieję, że pozwolą jej, jako wielką łaskę, do męża przybyć[1]). A ona i dzieci swoje odważa się tam wieźć. Jej własne dobra zasekwestrowali w Królestwie. Jak dotąd, najszczęśliwsi z poddanych J. C. Mości są ci, których wygnał. W Warszawie trzy tysiące żon oficerskich bez chleba, podobnież i oficerów niezliczona moc. Po skończonej wojnie chcą głodem zmusić nas do uległości. Bardzo potężny środek w istocie...

Rozkazem dziennym z 18 grudnia 1831 car Mikołaj nagrodził wojsko «za bohaterskie czyny podczas wojny przeciw buntownikom polskim». Niektóre pułki otrzymały sztandary św. Jerzego z napisem: «za szturm i wzięcie Warszawy, 25 i 26 sierpnia 1831»; inne z napisem: «za waleczność okazaną przy stłumieniu polskiego buntu». Niektóre pułki jazdy będą miały trąbki, albo pancerze, lub przyłbice z takimże napisem. Piękny sposób uśmierzania narodowych waśni między poddanymi. Jest to zgo-

---

przez własnego syna z mej ojcowizny, miała od niego przyjmować jałmużnę, jaką z łaski swej raczy mi uczynić.

Jakkolwiekbądź, serce moje macierzyńskie ci przebacza i błaga Boga, by nie był względem ciebie takim, jakim ty byłeś i jesteś względem mnie.

Marya z Czartoryskich Wirtemberska.»

[1]) Zesłanego do Jarosławia nad Wołgą.

dne z manifestem do narodu rosyjskiego zaraz po zdobyciu Warszawy.»

Henryk Łubieński do Władysława Zamoyskiego:

«Ulegamy tu temu wszystkiemu, czego spodziewać się mogą zwyciężeni. Z Petersburga nic nie zwiastuje pokoju, amnestyi, przebaczenia; przeciwnie, wszystko ku temu zmierza, żeby nas rozgoryczyć, pozbawić nadziei... Konstytucya ma być zniesiona, o wojsku polskiem ani mowy. Niewiadomo, czy uniwersytet i licea będą kiedykolwiek otwarte; tymczasem pozostały tylko niższe szkoły do czwartej klasy.

Zamek przezwano domem rządowym, tron i inne godła królewskie odesłano do Petersburga. Obrazy Canalettiego pozdejmowane, biblioteka zapakowana, również jak zbiory i kosztowności. Kokarda rosyjska przywrócona. Wszystkich, wykluczonych z amnestyi, mają sądzić przy drzwiach zamkniętych. Tak jest w Królestwie; co na Litwie się dzieje, nie wiemy.

Wszyscy dawniejsi i nowi jenerałowie wysłani do Wołogdy, Jarosławia i Kostromy. Tomasz (Łubieński) jeden otrzymał pozwolenie powrotu.»

Pani Działyńska do panny d'Arnaud.

«22 października 1831.

Dosyć pamiętasz, co się tu działo dawniej, ażeby odgadnąć, co się teraz dziać musi. Bardzośmy nieszczęśliwi, a co najgorsze, to pozory łaskawości. Moskale wszystko robią w zamiarze, by dzienniki głosiły ich wielkoduszność. Cesarz przebaczył tym lub owym, których nazwiska są znane i o których będzie dużo gadania, ale iluż to ludzi dręczonych i prześladowanych! Pocóż tedy mówić o amnestyi? Ciągle ją zapowiadają, a jak się do niej biorą? Tych, którzy weszli do Prus i Austryi skazują na wygnanie, tych zaś, którzy w kraju pozostali, zmuszają pod grozą bagnetów do złożenia wstrętnej przysięgi. Ośmiu grenadyerów, w towarzystwie księdza, wkracza do mieszkania danego człowieka; drzwi zamykają na klucz i przez okno pokazują kibitkę do drogi gotową.

Jeśli złożenie przysięgi odbywa się spokojnie, z uległością, żołnierze odchodzą, w przeciwnym razie pozostają. I w tym i w tamtym razie, po pewnym przeciągu czasu wywożą już nie na Sybir, ale w głąb Cesarstwa.»

Jan Zamoyski do x. Leonowej Sapieżyny:

«My tu (w Petersburgu) także kielich goryczy wychylamy. Mnóstwo ludzi cierpi udręczenia i katusze, o których pojęcia nawet mieć nie można. Ojciec nasz mocno stroskany. Zresztą z gazet wiecie o wszystkiem, o srogim ukazie, tyczącym się prowincyi zabranych, o amnestyi, o wyłączeniach dla Królestwa. W tych dniach kazano nam tu przyjąć kokardę rosyjską.

Przybyli tu na zimę Maxymilian Jabłonowski i Leon Radziwiłł. Ten się żeni z xiężniczką Urusow!»

Przyczynę postępowania rządu moskiewskiego względem Polski streszczał Jan Zamoyski w następujących słowach: «Mężowie stanu częstokroć mało przenikliwości okazują. Ci, którzy uradzili podziały Polski, mniemali, że chodzi tylko o zajęcie kraju chwilowo bezbronnego, nie przewidzieli, jak trudno będzie naród pod jarzmem utrzymać; to też zrazu nie żywili przeciwko niemu złych zamiarów. Powoli, stopniowo trudności się okazywały, aż ostatecznie przyszli do uznania, że, dla zapewnienia sobie zdobyczy, trzeba naród zniszczyć, wytępić. Być może, że, gdyby byli przewidzieli ten ostateczny skutek pierwszych zamachów na niepodległość i całość Polski, byliby się od nich wstrzymali. Dziś niejednego z pośród naszych ciemiężców zraża, co się czyni i niemal czynić powinno dla zniszczenia narodu, ale rzadki ten, któryby uznał prawdziwy początek wszystkiego złego, któryby rozumiał, że, chcąc uniknąć potrzeby wyrządzania tylu krzywd, trzeba wszystko, co się zrobiło, od początku odrobić.»

Innym razem pisał:

«W posiadaniu kraju dawniej już zabranego, a teraz powtórnie zdobytego, jak najdoskonalej się ubezpieczyć, koszta wojny odzyskać, rozmaitym swoim i swoich namiętnościom dogodzić, zemsty użyć, nieco i złupieżyć, oto

wszystko, co obecnie w mniej więcej jawnych chęciach i zamysłach Moskali spoczywa, a wynika naturalnym trybem z ich usposobień i nałogów.»

Pani Zamoyska, po przebyciu kwarantanny na Podgórzu, wyjechała do Wysocka, gdzie doszła ją wiadomość o chorobie syna Zdzisława we Wrocławiu. Udała się tam natychmiast i czas jakiś przy chorym synu przepędziła. Zdzisław pisał wówczas do ojca:

«Wrocław, 19 grudnia 1831.

Mój Ojcze kochany! Nie umiem wyrazić, ile mi szczęścia przyniósł list jego i jak słodko list taki otrzymać. Co się tyczy mego zdrowia, ono już w kwietniu chwiać się poczęło. Od tego czasu, ciągle będąc w obozie, zmuszony czasem głód zaspokoić byle jaką i szkodliwą żywnością, często w nocy na deszczu przemoknięty, przeziębiony, zrazu miałem tylko uporczywą febrę. Poźniej przyłączyły się rozmaite dolegliwości i coraz większe osłabienie tak, że przy oblężeniu Warszawy już mi trudno było nawet na konia się wgramolić, a kłus ledwie znieść mogłem. Odtąd coraz mi gorzej było. Smutek, boleść, niewiadomość o tem, co się w innych częściach kraju dzieje, niepokój o Ojca, matkę, braci, wszystko to tak mnie dobiło, że, dojechawszy do Wrocławia, musiałem się do łóżka położyć i doktora wezwać, a to z obawą bliskiego braku pieniędzy. Bogu dzięki, matka przyjechała, a także Leon z żoną, nakoniec przyszedł list Ojca i to mnie na nogi już postawiło. Dotąd jednak z pokoju nie wychodzę.

Bawiąc tu już dwa przeszło miesiące, o ile mi zdrowie na to pozwala, staram się poznać organizacyę tak wojska, jak rządu pruskiego. Praca mi osłodziła gorzkie chwile, które tu przebyłem. Wziąłem się do matematyki: jest ona kluczem do wszystkich nauk. Zajmuję się także historyą tak, iż mi mało czasu zostaje na myśli o smutkach, którym zaradzić nie mogę.

Wyrachowałem, że, jak skończę z doktorami i apteką,

4.000 złp. rocznie wystarczą mi sowicie na opędzenie wydatków. Jeżeli potrzeba, możnaby tę sumę jeszcze nieco zmniejszyć. W każdym razie chcę Ojca zapewnić, że dam sobie radę i potrafię sam na siebie zarabiać. Matka, wyjeżdżając wczoraj, zostawiła mi 100 dukatów. Póki jeszcze mam coś w ręku, myślę o tem, co robić będę, jak mi grosza zabraknie; w tym celu obeznaję się z handlem. Żonaci bracia i szwagrowie prawdziwie są w większej potrzebie; ja zaś, mając do myślenia tylko o sobie, jakośkolwiek zawsze sobie poradzę. Bodajbym mógł jeszcze kiedy Ojcu życie osładzać i za tyle starań i dobrodziejstw jego odpłacać się spełnieniem tak miłych obowiązków synowskich.»

Władysław Zamoyski do matki:

«Lwów, 3 listopada 1831.

Cieszę się, że Zdzisław używa wolności w Wrocławiu; dziwna rzecz prawdziwie, że tu nam jej dotąd odmawiają. Z całą ich uprzejmością obrzydliwie się zachowują. Ja czekam na paszport i czekam, bo przyjemniej drzwiami wychodzić, niż oknem, ale mi już cierpliwości zaczyna brakować. W rzeczy samej śmiechu to godne i gorszące, żeby nam takie robiono trudności.

Jakie to szczęście, że wuj już bezpieczny. Oby jak najprędzej dojechał tam, gdzie może jeszcze przysługi oddawać. Zdaje mi się, że mam obowiązek pojechania do niego. Wyglądam odpowiedzi z Wiednia; żal mi każdego dnia, przepędzonego w bezczynności i daleko od Matki kochanej. Mógłbym się do niej zbliżyć, gdyby nie ten błazen Bertholetti, który braci aresztował. Francuzi od nas szczęśliwsi pojechali sobie do Francyi.»

Niełatwo przyszło nawet Francuzom wydobyć się z pod opieki austryackiej. Jen. Ramorino, dla uwolnienia się z kwarantanny, która właściwie była więzieniem, zwrócił się z prośbą o pośrednictwo i pomoc do marszałka Maison, posła francuskiego przy dworze wiedeńskim. Gdy odpowiedź się opóźniała, pułk. Gallois powtórzył prośbę w liście, którego kopię przesłał Zamoyskiemu:

«Sieniawa, 14 października 1831.

Panie Marszałku!

Korpus II armii polskiej wparty został do Galicyi. Dowódca jego, jen. Ramorino miał zaszczyt upraszać Pana Marszałka o wstawienie się do cesarza austryackiego za oficerami polskimi, którzy pragną się udać do Francyi i za kilku Francuzami, pragnącymi tam powrócić.

Milczenie Pana Marszałka naprowadza nas na myśl, że list jen. Ramoriny nie doszedł, to też pozwalam sobie prośbę jego powtórzyć. Zdaje mi się, że my, Francuzi, nie powinniśmy w żadnym razie być przytrzymani w państwie austryackiem.

Łatwo pojąć, że, gdybyśmy wpadli w ręce Rosyan, ci gorzej jeszcze obeszliby się z nami, jak z Polakami, skoro, należąc do kraju z Moskwą zaprzyjaźnionego, połączyliśmy się z jej nieprzyjaciołmi. Ale co do Austryi, czyż nie powinniśmy być przez nią uważani poprostu za poddanych sprzymierzonego państwa i używać na terytoryum Austryi takich swobód, jakie Francya zapewnia u siebie poddanym cesarza austryackiego?

Mimo to jen. Ramorino i jen. Langermann przemocą rozłączeni zostali z towarzyszami broni i niedoli, odstawiono ich do Rzeszowa i tam trzymają każdego z osobna pod ścisłym dozorem. Nie umiemy sobie wytłomaczyć powodów tej surowości. Może to końcówki ich nazwisk naprowadziły na domysł, że ci dwaj dzielni oficerowie nie są Francuzami? Tę pomyłkę łatwoby można sprostować. Ramorino służył pod naszemi sztandarami od dzieciństwa i Pan Marszałek pamięta, że w 1812 r. był on z nami pod Połockiem, gdzie dowodził bateryą artyleryi, i że właśnie, wskutek świetnego sprawowania się w tej wojnie, dostąpił wyższego stopnia. Co zaś do Langermanna, ten wyszedł ze szkół naszych i od dwudziestu lat zalicza się do najlepszych naszych oficerów. Przed wojną polską był dowódcą batalionu przy sztabie en. Lamarque.

Oficerowie francuscy, a jest ich ośmiu czy dziesięciu, którzy z nimi i przy nich służyli w tej szlachetnej i nieszczęśliwej wyprawie, wprawdzie trochę mniej surowo są traktowani, dotąd jednak nic im jeszcze nie zapowiada możliwości powrotu do ojczyzny. Kwarantannę ukończyli 6 b. m., ale ich położenie się nie zmieniło i są dozorowani z surowością, która więcej zakrawa na karę, niż na środek ostrożności.

Trudno przypuścić, ażeby ta surowość pochodziła z jakich obaw, szczególniej kiedy widzimy, że ją zastosowują i do innych Francuzów, których udział ograniczał się na niesieniu pomocy cierpiącym i rannym obu stron walczących, z gorliwością i poświęceniem tak na polu bitwy, jako też w szpitalach. Tym przedewszystkiem należy się prawo powrotu do własnego kraju, gdyż go opuścili jedynie ze względów ludzkości i dla takichże względów pragnęliby wrócić.

Przedstawiwszy Panu Marszałkowi położenie i sprawy własnych moich rodaków, słów kilka dodam o tych braciach naszych, których podziwialiśmy waleczność i dzielili niebezpieczeństwa w ciągu walki, tak chwalebnie przez dziewięć miesięcy toczonej. Ci oficerowie nadto narazili się Rosyi, ażeby mogli myśleć o powrocie do Polski, i zarówno z nami pragną otrzymać paszporty do Francyi. Niektórzy między nimi zasługują szczególniej na względy Pana Marszałka, opuścili bowiem służbę w wojsku rosyjskiem, ażeby się zaciągnąć w szeregi, przeciwko którym honor i patryotyzm walczyć im nie pozwalały. Otóż ci lada dzień stać się mogą pastwą zemsty cesarza Mikołaja, ponieważ istnieje kartel wymiany między Rosyą i Austryą, a tak cesarz austryacki mógłby się z czasem znaleźć w srogiej konieczności opuszczenia tych, którychby rad bronił.

Śmiem ufać, że Pan Marszałek raczy zająć się tą podwójną sprawą przed cesarzem. Mało mam prawa prosić o to, ale jestem jednym z Francuzów, którzy mieli

zaszczyt służyć w kampanii rosyjskiej pod rozkazami Pana Marszałka. Brat mój, obecnie kapitan okrętu naszej marynarki, który miał udział w wyprawie do Morei na obronę Grecyi, może przyczyni się do przypomnienia Panu Marszałkowi mego nazwiska.

Nie sądzę, ażeby nam można zarzucić brak cierpliwości. Pan Marszałek rozumie, jakbyśmy sobie zaszkodzili, opóźniając upomnienie się o prawa nasze. Dziś należymy do narodu sprzymierzonego z Austryą; za kilka miesięcy mogłoby być inaczej, a wówczas uważanoby nas za jeńców.

Z głębokiem uszanowaniem
Pułkownik, komendant brygady
A. Gallois.»

Marszałek Maison do jen. Ramorino:

«Schönbrunn, 4 października 1831.

Jenerale!

Wczoraj wieczór otrzymałem list z 20 września, którym Jenerał mnie zaszczyciłeś. Przypisuję to opóźnienie ostrożnościom sanitarnym, obecnie zaprowadzonym. Natychmiast udałem się do x. Metternicha, ażeby mu oznajmić, że, zgodnie z życzeniem Jenerała, biorę pod moją opiekę oficerów polskich, dla których się tego domagasz, i że mam zamiar wydać im paszporty do Francyi, dokąd się chcą udać.

Kanclerz odpowiedział, że nie może uczynić zadość moim życzeniom, bo musi poprzednio wiedzieć, co car Mikołaj postanowi względem korpusów polskich, które się do Galicyi schroniły. W obawie, czy słowa te nie ukrywają zamiaru wydania Rosyi polskich wojskowych, gdyby się o nich upomniano, prosiłem kanclerza, aby się wytłomaczył. Odpowiedział mi, że mogę być spokojny, że w żadnym razie oficerowie polscy nie będą, wbrew własnej woli, wydani władzom rosyjskim. Ufam tedy, że sprawa rozstrzygnie się według życzeń Jenerała i że będę mógł dać rozkaz przesłania paszportów oficerom.

Co do żądanej zapomogi na koszta podróży, chociaż nie otrzymałem żadnych rozkazów pod tym względem, pospieszę zadośćuczynić uczuciom mego rządu i narodu, przychodząc w pomoc waszym dzielnym towarzyszom broni. Chciej mi tedy przysłać wykaz ich nazwisk i stopni, ażebym mógł się przekonać, jaka suma będzie im potrzebna do granicy francuskiej.

Przyjmij, Jenerale, wyrazy mego poważania.

Marszałek Maison.»

W sprawie tej jen. Ramorino pisał powtórnie do marszałka Maison przed samym wyjazdem swoim do Francyi:

«Panie Marszałku!

Po czterdziestu dniach niepojęcie ostrego i zupełnie bezprawnego więzienia, dano nareszcie paszporty jen. Langermannowi i mnie, jako też jen. Sznayde, który tu przybył z Sieniawy i będzie odstawiony pod strażą oficera austryackiego do Linz na granicy czeskiej.

Nie chcę już myśleć o dokuczliwościach, jakim ulegałem, proszę tylko Pana Marszałka, aby raczył, stosownie do swej obietnicy, uwzględnić położenie oficerów polskich, zmuszonych do wydalenia się z ojczyzny i udzielić im paszportów, a także zapomogi na podróż.

Oficerów i lekarzy francuskich jest w Galicyi około dwudziestu pięciu, polskich zaś oficerów wszelkiego stopnia mniej więcej ośmdziesięciu. Mówię mniej więcej, bo w samotnem więzieniu, w jakiem nas trzymano, niepodobna było sprawdzić, czy pierwotny spis nazwisk, zebrany przez jen. Langermanna, nie uległ jakiej zmianie. Tejże przyczynie trzeba przypisać nasze milczenie, bo warty pilnowały nas, nawet kiedy spaliśmy, aby nie dopuścić do przesłania Panu Marszałkowi naszych zażaleń.

Pułkownik Gallois, Francuz, który w tej wiekopomnej kampanii okazał wiele zdolności i męstwa, gotów poświęcić się wyłącznie na usługi swoich przybranych rodaków. W tym celu opóźni wyjazd do Francyi i ocze-

kiwać będzie w Sieniawie skutku łaskawego wstawiennictwa Pana Marszałka, gdyż Austryacy nie puszczą do Francyi żadnego oficera polskiego, nie zaopatrzonego w paszport, przez Pana Marszałka wydany.

Racz Pan Marszałek przyjąć wyrazy mojej wdzięczności, oraz najgłębszego uszanowania.

Jenerał-lejtnant
Ramorino.»

O ile rząd rosyjski okazywał się bezwzględnie surowym dla oficerów polskich, walczących w powstaniu, o tyle się chciał pokazać wspaniałomyślnym dla żołnierzy i przyrzekał im zupełne ułaskawienie za powrotem do kraju. Następujące sprawozdanie jednego z dzienników zagranicznych[1]), przepisane ręką Władysława Zamoyskiego, świadczy o tem, jak żołnierze korpusu Ramoriny przyjęli tę propozycyę rządu rosyjskiego:

«Pułkownik rosyjski Kotzebue, zjechawszy do Lwowa, udał się w towarzystwie jednego z adjutantów jen. Hardeya, wojskowego komendanta prowincyi, do obozu, zajętego przez korpus II.

Zadaniem pułk. Kotzebue było przedstawić żołnierzom i podoficerom tego korpusu korzyści, jakie im zabezpiecza wspaniałomyślność cesarska za ich powrotem do kraju. Miał im wyłożyć rozróżnienie, jakie cesarz czyni między nimi a ich oficerami, którzy są na wieczne czasy wygnani z Cesarstwa i Królestwa. Te odwiedziny, zupełnie niespodziewane, nie dały nikomu czasu do przygotowania się na nie, ani też przygotowania do nich żołnierzy.

Przyjęcie, jakiego doznał pułkownik rosyjski, było mniej więcej takie same we wszystkich częściach obozu. Wszyscy żołnierze i podoficerowie oświadczyli, że pragną dzielić dolę oficerów, którzy, nie chcąc ich odstąpić, pozostali z nimi na nędznych legowiskach i odmówili sobie większej wygody na garnizonach, aby się tylko z żołnierzami nie rozstawać.

---

[1]) Allgemeine Zeitung Nr 348 z 14 grudnia 1831.

Wszyscy powiedzieli, że, skoro się oddali pod opiekę cesarza austryackiego i zważywszy, że ta opieka została im zapewniona, postanowili czekać nieograniczenie na jej skutki i chyba gwałt tylko mógłby ich zmusić do powrotu pod władzę, do której nie mają ani serca, ani zaufania.

Kotzebue wyprawił natychmiast kuryera z tą wiadomością do Petersburga. Nie taimy sobie, że ta okoliczność przemawiać będzie w radzie cara Mikołaja na korzyść tych, co dowodzą, że trzeba mścić się i wytępić naród buntowniczy, którego wszystkie warstwy okazują taką zatwardziałość i przepomnienie obowiązku.

Ale nie przesądzając następstw tego wydarzenia czy to na ogólne losy narodu, czy na osobiste położenie jednostek, jakże uderzająca jest ta jednomyślność u prostych nawet żołnierzy, którzy wolą zostać wygnańcami, niż wyrzec się sprawy narodowej i przyjąć korzyści, podane przez nienawistnego zwycięzcę.

Nie wiemy jeszcze, jaki los spotka braci, schronionych za pruską granicę, ale prawdopodobnie na tego rodzaju propozycye tak samo odpowiedzą, bo, nie mówiąc już o tylu innych przyczynach, nie jest to zgodne z charakterem polskiego żołnierza, żeby miał odstąpić oficerów, których waleczności na polu bitwy doświadczył.

Takie są skutki tej nieubłaganej polityki, która wszelkie ustępstwa, wszelki wzgląd na potrzeby i boleści narodu poczytuje za ubliżenie sobie. Ostrzeżenie dla królów stąd równie wielkie, jak to, które płynie z dziejów Karola X i Wilhelma Nassauskiego. Jeżeli tamci stracili korony, to car Mikołaj stracił naród, który mógł przywiązać do siebie węzłem nierozerwalnym.

Natomiast pozostaje mu kraj zniszczony, pozbawiony swych najzacniejszych mieszkańców, kraj, który utrzymać potrafi tylko przemocą, liczbą swych hord najezdniczych i srogością bez granic.»

XIII

UWAGI O POWSTANIU

«W Łubieńcach u pana Pietruskiego przepędziłem dwa miesiące zimy. Uprzejmość gospodarza była najzupełniejsza. Miał u siebie tylko zamężną córkę, Badeniową, i syna jeszcze maleńkiego. Wodził mnie dwa i trzy razy na tydzień po górach za niedźwiedziem. Polowanie to ze wszech miar było zajmujące i ze względu na zwierza i dla prześlicznej okolicy. Resztę czasu, jak go o to prosiłem, zupełnie własnemu rozporządzeniu mojemu zostawił.

Tej to swobodzie zawdzięczam spisanie za świeżej pamięci materyału do pamiętników o udziale moim w pierwszych dniach powstania. Czułem, że, jeżeli się komu zdarzyło mieć osobisty, a zwłaszcza wyłączny udział w jakim ważnym historycznym wypadku, to cięży na nim obowiązek zostawienia o tym wypadku jakby zeznania osobistego. Ale nietylko dla historyi takie świadectwo złożyć chciałem; zamierzałem zrazu wystąpić z niem przed opinią publiczną Europy. W chwili, kiedy car Mikołaj groził nam już widocznie zemstą srogą, chciałem w języku francuskim opowiedzieć i wydrukować, że nas sama Moskwa do rozpaczliwego porwania za broń przez lat kilkanaście podżegała, a podczas wybuchu carewicz, osobistem postępowaniem i trwożliwą a zarazem podstępną bezczyn-

nością, zmusił niejako najoględniejszych nawet Polaków do jednozgodnego stawienia mu czoła[1]).»

Myśli swoje o potrzebie i sposobie skreślenia dziejów powstania rozwinął Zamoyski w liście do x. Adama:

«Łubieńce, 10 grudnia 1831.

Dowiaduję się w tej chwili, że Mo(stowski?) pisze z Berlina, że, jakkolwiek przedstawienia Wuja są sprawiedliwe i znakomicie wygłoszone, niema jednak na teraz żadnej dla nas nadziei uzyskania interwencyi. Zważywszy obecny stan Francyi i Anglii, czegoż w istocie spodziewać się po nich możemy? Jedyny prawie sposób służenia teraz krajowi, to pisać. Nie powinnibyśmy tego zaniedbywać. Wuj wie, że nasze warchoły w Paryżu gradem puszczać będą broszury i kondemnaty. Lękam się, że te waryaty do reszty nas dobiją, pozbawiając nas czci wśród obcych; że utwierdzą rządy w przekonaniu, iż sprawa Polski związana nierozłącznie z jakobinizmem; że utrwalać będą wśród nas samych skłonność do wzajemnych podejrzywań, chcąc własną na niej potęgę zbudować. Lękam się nareszcie, że oni zniweczą jedyną korzyść, jaka z nieszczęścia wyniknąć może: doświadczenie.

Chciałbym, żeby nam Wuj czemprędzej opowiedział ostatnie wypadki, żeby to opowiadanie stało się jakby elementarzem dla narodu[2]). Chciałbym, żeby i Niemcewicz użył swojej niesłychanej popularności, by nam zostawić rodzaj testamentu politycznego, to jest zbioru zasad

---

[1]) Praca ta w oryginale francuskim nie wyszła w druku. Przekład polski bezimienny i niezupełnie z oryginałem zgodny wydany był po raz pierwszy w roku 1866, w Poznaniu, nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Powtórnie wydrukowany został w niniejszem dziele (T. I, r. XIII, XIV. T. II, r. I), poprawiony i uzupełniony według oryginału.

[2]) W liście do xięcia z 4 stycznia 1832, Zamoyski wraca do tej samej myśli: «Co dnia potrzeba takiego dzieła czuć się daje.

i przepisów, skreślonych dla przyszłości, opartych na przykładach z przeszłości. Trzeba, żeby Niemcewicz własną powagą sąd wydał o niektórych faktach, postawił niektóre pewniki i prawidła... Niechaj dopomoże do wyrobienia w narodzie zdrowego sądu, opartego na doświadczeniu. Ustrzeże nas tym sposobem od dwóch niebezpieczeństw, na które tak wielkie nieszczęścia narażają nasz naród: od wyuzdanego i zgubnego fanatyzmu z jednej strony, a z drugiej, od bezwzględnego potępienia powstania, co u wielu mogłoby osłabić poczucie narodowe.

Niechaj Sienkiewicz przygotuje tę pracę, niech ją z grubszego ociosa, a potem odda Niemcewiczowi, by ten nadał jej swoją szczególną oryginalną cechę. Jeżeli się nie mylę, to obecna chwila odpowiednia do tego, żeby zasady naszych jakobinów miru pozbawić. Trzebaby tylko pospieszyć z podaniem opisu, a raczej obrazu ostatnich wypadków. Trzeba wykazać, jak o sprawie sądziły półgłówki, a jak się na nią zapatrywali ludzie roztropni i patryoci, głębiej przenikający stan rzeczy. Lecz, jeżeli w tej pracy damy się wyprzedzić przez naszych wichrzycieli, o wiele potem trudniej będzie przezwyciężyć wrażenia, ich oszczerstwami sprawione, bo im oszczerstwa jadowitsze, tem więcej się tłumom podobają.

Jednakowoż zadanie to niełatwe; zachodzi tu pytanie, na które proszę o odpowiedź. Czy, opowiadając dzieje narodowe, należy całą prawdę wyjawiać? A jeżeli jakąś w tem miarę zachować trzeba, jakaż ona ma być? Czy przyznałby Wuj naprzykład, że głosował przeciwko redakcyi manifestu i kilku głównym jego punktom? Czybyś Wuj próbował dziś jeszcze prostować błędne twierdzenie, że należy wyprzeć się dobrodziejstw przez cesarza

Wszyscy widzą, że się mnóstwo ciężkich błędów popełniło. Chcą je poznać, zrozumieć, chcą się nauczyć na przyszłość. Wszyscy objaśnień czekają, zwłaszcza od Wuja. Błagam, nie opóźniaj Wuj tej pracy.»

Alexandra nam udzielonych? Twierdzenie to zawiera w sobie nie tylko pewną niewdzięczność, ale z konieczności doprowadzić musiało do zupełnego zerwania, niszcząc tem samem ostatni szaniec, który nas mógł zasłonić przed największemi klęskami. Wprawdzie może się zdawać, że obecnie zbijać takie twierdzenie byłby to już stracony zachód, bo jakże dzisiaj przypuszczać, żeby dawny stosunek między dwoma narodami mógł jeszcze kiedykolwiek powrócić; więc pocóż przypominać węzły na zawsze zerwane? Ale, skądinąd, jakże temu zaprzeczać lub to taić, co istotnie było i jakim sposobem dać w takim razie narodowi zrozumienie zasad polityki mądrej, to jest polityki opartej na rzeczywistości i na tem, co możebne?

Czy należy kłaść nacisk na to, że wszyscy ludzie roztropni i najbardziej oddani sprawie ojczystej przeciwili się powstaniu przed wybuchem i potępiali je, kiedy do niego przyszło? Czy wystarczy powiedzieć, że, skoro powstanie stało się faktem dokonanym, wszyscy duszą i sercem, choć bez nadziei, do niego się przyłączyli? Czy należy, czy nie należy kraj i Europę obznajmić z temi szczegółami? Czy też trzeba utrzymywać złudzenia, któremi nasi szaleńcy nieustannie naród mamili, a pomijać wszystko, cokolwiek nie zmierza wprost do naszego bezpośredniego celu? Czy można z tak daleka przyszłość przewidywać i z góry sobie drogę wytykać? Nareszcie czy niema obawy, że, jeśli my prawdę zamilczymy, to ją inni wyjawią i to ludzie złej woli, a co najmniej do służby kraju zniechęceni? Czy godzi się tak czystą sprawę, jak nasza, opierać na fałszu? Zapewne, że przytaczając z przeszłości tylko ogólnikowe wspomnienia, tylko to, co do wyobraźni przemawia, łatwiej rozbudzić fanatyzm, ale tym sposobem pozbawimy się światła, którego ogólny brak w kraju jest może jednem z głównych naszych nieszczęść. Co więcej, kto zamilcza prawdę, naraża się na to, że mu kłam zadadzą i posłużą się tem,

ażeby zbezcześcić najzacniejszych ludzi i ich zasady, a wszelkie umiarkowanie podejrzanem uczynić.

Doświadczenie, zdaje się, dostatecznie nam dowiodło, że sprawy narodowej samemi uczuciami kierować niepodobna. Już i całej Europie się sprzykrzyło, że u nas niczego dopatrzeć się nie można, prócz pięknych uczuć. Już też i nam czas liczyć się z faktami i rzeczywistością, wśród których uczucie ma swoje miejsce, ale nie wyłączne. Nie tajmy sobie, że rządy, a nawet ludy, po większej części nie tylko że z nami nie współczują, ale raczej uczuć naszych się boją. Tak rządy jak ludy wojny nie chcą, nawet dla najpiękniejszych nadziei. Nasi jakobini w Paryżu, jeżeli nie zdołamy im w tem przeszkodzić, sprawią, że się staniemy ogólnym postrachem.

Trzeba Europę przekonać i przekonać samych siebie, że my o tyle tylko poparcia czy pomocy od Europy oczekujemy, o ile ogólne bezpieczeństwo z naszą sprawą jest związane. Nie domagamy się żadnej wojny krzyżowej na naszą korzyść, przeciwnie, my też pragniemy pokoju i tego powinniśmy dowieść. Obecnie rzeczy tak stoją, iż, jak mi się zdaje, powinniśmy głosić, że, jeżeli pragniemy obznajmiać Europę z naszą sprawą i naszem prawem, przekonać ją o potrzebie odbudowania naszej ojczyzny, to mówimy o tem tylko na przypadek nowych zaburzeń między państwami Europy i przewrotów politycznych, których niepodobna nie przewidywać, ale do których my powodu nie damy. Te przewroty są w istocie nieuniknione zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie, a postępowanie z nami rządów zaborczych drogę do nich toruje.

Chciej Wuj odpowiedzieć na moje pytania co do najwłaściwszego sposobu pisania o ostatnich u nas wypadkach. Ja tu korzystam z samotności, w jakiej żyję, odkąd się z Wujem rozstałem, ażeby pisać całą prawdę o wszystkiem, o czem pamiętam. Co z tego wypadnie? nie wiem. Jak napiszę prawdę, łatwo będzie, jeżeli po-

trzeba, ułożyć z niej romans. Ale to już innemu zostawię, bo do tego nie mam potrzebnych zdolności.

Nie potrzebuję z tą pracą spieszyć, bo moje zdanie i tak niczyjego nie zbije. Ukończony mam pierwszy rozdział, czyli opis szczegółowy tego, com bliżej od innych widział i w czem miałem osobisty udział w pierwszym tygodniu powstania.

W tej to pracy nieraz przychodziła mi wątpliwość, czy szkodliwem nie będzie wyjawić całą prawdę. Zdaje mi się, iż, gdy całej prawdzie uwierzyć powszechnie nie zechcą, tem bardziej, że niektórzy w innem świetle wystawiać te rzeczy będą, możeby lepiej było z tej niewiadomości, jako z nieodmiennego faktum korzystać, niż daremnie z nią walczyć. Czuję naprzykład, że nasz naród może potrzebuje być utrzymanym w pewnej niewiadomości, aby niektóre mianowicie osoby większemi w oczach jego utrzymać. A przecież czuję znowu, że powszechną niewiadomość prawdy i prawdziwego położenia rzeczy za główną przyczynę upadku naszego uważać musimy. Chciałoby się dobrą sławę niektórych utrzymać, a nawet ją wzmagać, naprzykład Skrzyneckiego. Ale, skądinąd, jemu samemu niejedna nauka potrzebna i, jeżeli jej przez usłyszenie prawdy nie otrzyma, nigdy pożytku z niego nie będzie...»

Zamoyski, jakby sam sobie odpowiadając na pytania w powyższym liście zawarte, skreślił równocześnie następujące uwagi:

«Jedna tylko prawda jest piękna i trwała; bez niej niema światła, niema siły. To też, o ile pożyteczne i pełne niezbędnej nauki są dzieje narodowe, kiedy się opierają na ścisłej prawdzie, o tyle stają się one szkołą fanatyzmu, szkodliwego dla rozwoju sił umysłowych i moralnych narodu, jeżeli ulegają wpływowi namiętności, budzących się zwykle w czasach zaburzeń politycznych.

Zapewne, że uchybiałoby się prawdzie, pozbawiając obraz dziejowy jaskrawych barw, które mu nadają roz-

kiełznane wypadkami namiętności; owszem, wszystkie barwy uwydatniać trzeba, ale, żeby nie pominąć żadnej, nie trzeba żadną dać się oślepić.

W malarstwie najlżejsze czasem odcienie poważny wpływ wywierają na całość obrazu. W dziejopisarstwie rozmyślne pomijanie odcieni przedstawia całość w mylnem świetle i pozbawia naród jedynych korzyści, jakie wyniknąć mogą z wielkich błędów i wielkich nieszczęść, doświadczenia i mądrości po szkodzie.

Skoro jakie zapatrywanie faktami stwierdzone zostało, wolno jego stronnikom wypadki te głosić, ale nie godzi się faktów przekręcać na to, aby utrzymać pewne urojenia, aby podniecać pozory i kłamliwy zapał. Mija się to zresztą z celem: oziębia raczej, niż rozgrzewa.

Prawda zawsze ostatecznie na jaw wychodzi; fałsz, jakkolwiek podtrzymywany ognistemi słowy, nigdy długo ostać się nie może. Jedynie prawda, wszechstronnie przedstawiona, naraz uczy i umacnia; każdy z niej zaczerpnąć może to, co odpowiada jego charakterowi i skłonnościom, a zarazem nauczyć się poszanowania dla zdań przeciwnych, umiarkowania i bezstronności, które sprzyjają połączeniu i rozwojowi sił na korzyść przyszłości politycznej narodu.

Roztropność nakazuje używać sił oględnie, czekać na sprzyjające okoliczności i chwile. W czasach rewolucyjnych mnóstwo ludzi z roztropnością się nie liczy: potępiają ją dlatego, że powstrzymuje od skrajnych ostateczności, że sięga po korzyści mniejsze, łatwiejsze do zdobycia, a bezpieczniejsze od doszczętnych przewrotów, które żadnego związku z przeszłością nie zachowują.

Czy dlatego, że jakaś zasada chwilowo zastosować się nie daje, można twierdzić, że zawsze była fałszywą, albo że tylko w umyśle zdrajców istniała?

Przy opowiadaniu dziejów współczesnych niemałą trudność sprawiają piszącemu namiętności, które się przywią-

zują do sądów o uczestnikach tych wypadków. Fakty są często łatwiejsze do sprawdzenia, ale one na razie czasami najmniej ciekawości budzą. Zwykle najwięcej czytelników zajmuje osobisty charakter i zdolności ludzi, którzy mogą jeszcze wystąpić na widownię, a będą użyci lub odsunięci według sądu, jaki się wytworzy o ich poprzednich czynach. Takie to powody zbyt często dają współczesnym opowiadaniom znamię aktu oskarżenia lub obrony. Takie rozprawy szczególną ściągają uwagę, kiedy się odnoszą do wypadku, za klęskę poczytanego. Wyprowadzać z przeszłości doświadczenie i naukę na przyszłość byłoby moją namiętnością, gdybym tylko mógł z potrzebną powagą do narodu przemawiać; staram się jednak nad tem pracować, może to kiedyś, komuś posłuży za materyał do takiej pracy.»

W czasie pobytu w Łubieńcach, prócz dziejów pierwszych dni powstania, spisał Zamoyski wiele luźnych uwag, nastręczonych mu przez dopiero co minione wypadki.

« Utrzymujący się wśród Polaków od lat przeszło sześćdziesięciu stan duchowej, jeżeli nie orężnej walki przeciwko zaborcom, nieustannie pracującym nad zniszczeniem naszej narodowości, wziął początek w pierwszym podziale Polski, a odnawia się przez coraz większe krzywdy, krwawe walki, tyrańskie ciemięstwo, przeplatane czczemi obietnicami, kłamliwemi nadziejami, długiemi latami przygnębienia.

Przed powstaniem byłem przeciwny zawiązywaniu tajnych towarzystw patryotycznych. Wszakże cały naród składał jedno wielkie towarzystwo patryotyczne, którem kierowała jedna i ta sama zasada, w którem porozumienie było doskonałe, a tajemnica przestrzegana ściśle, bo tego, co tkwiło we wszystkich sercach, żadne słowa, mogące nas zdradzić przed wrogiem, wyrażać nie potrzebowały.

Do tego uczucia powszechnego trzeba było dodać siłę czynu, siłę poniekąd materyalną, bo takbym nazwał

siłę, zawartą w talentach i zdolnościach jednostek, a niezbędnie potrzebną dla zużytkowania sił ogółu, stanowiących jakoby materyał surowy. Ale taka siła musi być nagromadzona i naród musi jej być zawczasu świadomy. Uczucie samo przez się, choćby do najwyższej podniesione potęgi, niczego nie dokona.

W roku 1830 stan rzeczy w Polsce był taki, że wybuch stawał się nieunikniony[1]). Nie mógł on jednak zaradzić złemu; przeciwnie, możnaby go uważać za dalszy wybuch tegoż zła, za ostateczne zlo spowodowane długim uciskiem wroga.

Dawne to twierdzenie, że każda rewolucya wyrządza szkody większe od tych, którym ma zaradzić. Zapewne, że rewolucya, sprowadzająca odwet, podwaja jeszcze zło. Straszna tedy odpowiedzialność cięży na tych, co rewolucyę wywołują; odpowiedzialność o tyle cięższa, o ile powodzenie bardziej niepewne.

Ale kto u nas rewolucyę wywołał? Czy to panujący, sprzeniewierzając się zobowiązaniom, dobrowolnie powziętym, czy też naród, który tych przekroczeń znieść nie umiał?

Słowa lorda Chatham o wojnie między Karolem I a narodem angielskim stosują się i do naszego powstania. «Naród», pisze Chatham, «dopuszczał się buntów i gwałtów, ale nikt nie zaprzeczy, że mu chodziło o obronę wolności, a rządowi o utrzymanie despotyzmu.» To też, jakkolwiek Chatham ganił niektóre postępki powstańców,

[1]) Sir Stratford Canning, wyprawiony przez rząd angielski w sprawach greckich do Petersburga w 1825 r., zatrzymawszy się po drodze w Warszawie, poznał się tam z w. xięciem. Pisze o nim w swoich wspomnieniach: «Gdy nasza rozmowa, a raczej jego monolog ustał, w mojej głowie panował zamęt. Za wielkie żagle, pomyślałem, na taki balast; za mało związku i karności na tak bezładny nawał myśli. Zaprawdę, wystarczało choćby pobieżnie poznać charakter w. xięcia, aby zrozumieć, że w Polsce musiało przyjść do powstania.» (The life of R. H. Stratford Canning, Viscount Stratford de Redcliffe, by Stanley Lane-Poole. T. I. str. 357)

całą duszą i bezwzględnie łączył się z ich sprawą. Tak czuliśmy i my przed 29 listopada.

Co przyczyniło się do szybkiego rozwoju powstania? Nadzwyczajnie się przyczyniła do tego pogłoska, umiejętnie zawczasu rozsiana po całym kraju, o mającej wybuchnąć rewolucyi. Prawdę powiedziawszy, było to jedyne istotne przygotowanie do niej. Stąd wynikło, iż, na pierwszą o powstaniu wiadomość, wszyscy wystawili sobie, że to ruch ogólny. Nikt nie przypuszczał, żeby powstanie, od tak dawna zapowiedziane, nie było również oddawna odpowiednio przygotowane i umówione za granicą, jeżeli nie z rządami, to przynajmniej z niektórymi przywódcami opinii publicznej i stronnictw, o tyle silnych, żeby nam w pomoc przyjść mogły. Każdy sobie wyobrażał, że hasło do wybuchu przyszło, jeżeli nie od hrabiego Sebastiani, to od jenerała Lafayette. Kiedy na prowincyi rozeszła się wieść, że od pierwszej chwili na czele powstania stanęli ludzie najbardziej w kraju szanowani, a szczególniej x. Adam Czartoryski, o którym wiedziano, jak jest obznajomiony z polityką i jakie ma stosunki za granicą, wszyscy musieli myśleć, że powstanie na poważnych opiera się podstawach.

Było zaiste niedopełnieniem powinności, że senat tak naówczas wysoko położony w opinii kraju, poznawszy wielkość tego ruchu, nie wystąpił jako głowa narodu. Nie wystąpił zaś, bo sam w sobie głowy nie wyrobił, przeto wśród nadzwyczajnych wypadków ani sobie ani sprawie radzić nie zdołał.

Nie możnaby zrozumieć naszego powstania, gdyby się nie wzięło w rachubę, że większość uważała je za sprawę jakby «honorową» narodu. Stąd takie nieokreślone wśród ogółu wymagania względem Moskwy: ogromne żądania, jakie jej stawiali niektórzy, podczas gdy inni na nic wyraźnego zgodzić się nie mogli. Stąd ogólna bezinteresowność i zupełny brak żądzy wyniesienia się u tych, co się w powstaniu odznaczyli, a zarazem wpływ

szaleńców, nie mających za sobą ani przeszłości, ani zasług, ani innego znaczenia nad to, jakie zdobywali sobie kosztem cichego poświęcenia innych. Stąd nadzwyczajna gotowość do ofiar ludzi najznakomitszych w kraju, którzy najlepiej oceniali niebezpieczeństwo położenia, najwięcej osobiście mieli do stracenia, ale też najżywiej odczuwali, czego dobra sława narodu wymaga. Stąd wytrwanie do ostatniej chwili tych właśnie, co z początku najwięcej przezorności okazali, co najbardziej przeciwili się wszelkiej przesadzie. Ale stąd także tak mała liczba osobistych bohaterskich czynów, owych nadludzkich wysiłków, tak zwykłych w podobnych okolicznościach, stąd jakiś dziwny brak ducha. Każdy szedł do boju, jak się idzie na pojedynek, «dla honoru», z narażeniem wszystkiego, a bez nadziei zdobycia czegokolwiek. Honor to natchnął nam pojęcie, że musimy «zwyciężyć lub zginąć». A jednak «honor» nie może być wyłącznym bodźcem, nie może wystarczyć dla jednostek, a tem mniej dla całego narodu. Starożytni mówili: «Salus Patriae suprema lex esto», a zatem zbawienie narodu, nie zaś honor narodu, jest najwyższem prawem.

Ci, co ustawicznie rozprawiają o «honorze narodowym», nie powinniby mieć na myśli samych tylko środków przeciwnych roztropności. Zwykle dobra sprawa nie domaga się czynów, sprzecznych z dobrze pojętą korzyścią.

Nieprawdą jest, żeby w polityce narodu samym tylko honorem rządzić się należało. Inna to rzecz honoru nie poświęcać, a inna jego tylko się radzić i jemu wszelkie inne poświęcać względy.

Dowodem było wielkiej niedojrzałości politycznej, że Polacy powszechnie mniemali, jakoby w rozprawie z Moskwą staczanie walnych bitew było naszem głównem zadaniem. To jedno wystarczało, żeby sprawę zgubić. Na wojsku niezaprzeczenie wszystko polegało, ale nie walne bitwy zbawić nas mogły. Trzeba było bitew unikać,

a nieprzyjaciela zmuszać do rozdzielania, nie zaś do skupiania sił swoich.

Jak w każdej wojnie narodowej, tak i w naszej wszystko zależało od tego, czy naród jest politycznie dojrzały. Z żalem wyznać trzeba, że takim nasz się nie okazał w 1831 roku. Przez cały czas wojny nie umieliśmy ani ocenić naszego stanowiska politycznego, ani utworzyć sobie władzy politycznej. Każdy, idąc za samem tylko uczuciem patryotycznem, całą uwagę zwracał na rozwijanie siły wojskowej. Każdy myślał, że najlepiej przysłuży się ojczyźnie mnogością osobistych poświęceń bez osobistych widoków. Tym sposobem wytworzyła się potęga Chłopickiego i doszło do dyktatury człowieka, który był najzaciętszym wrogiem powstania.

Życie polityczne x. Adama Czartoryskiego dzieli się na dwie wielkie epoki. Przedział między niemi zaznaczony mową jego na sejmie, kiedy po upadku dyktatury utworzył się nowy rząd.

W pierwszej epoce, x. Adam przypuszczał możliwość połączenia wspólną korzyścią sprawy polskiej z rosyjską i godził się z tą myślą. Ta pierwsza epoka dzieli się na dwa okresy: jeden nadziei, że to połączenie da się uskutecznić, drugi zawodu, kiedy x. Adam, zdradzony, że tak powiem, przez Alexandra, najprzód usunął się od spraw publicznych, a następnie wrócił do nich, ażeby na polu legalnem walczyć z moskiewskim wpływem. Już w owym czasie x. Adam przewidywał zerwanie z Moskwą, ale ręki do niego nie przykładał.

Trzeba zdać sobie sprawę ze zmiany, zaszłej w życiu politycznem xięcia pod dwoma następującymi po sobie monarchami, inaczej niepodobna zrozumieć jego czynności, można raczej im się dziwić, a nawet za naganne je uważać, jak to czynią niektórzy.

Stanowisko, jakie zajmował x. Adam, było jemu tylko właściwe. Czasami schodziło się ono ze stano-

wiskiem kraju, ale nie stale, dlatego też przez długi czas mało go rozumiano, a niekiedy nie rozumiano wcale.

Kraj zrozumiał x. Adama dopiero od czasu jego mowy sejmowej, odkąd, zrywając z przeszłością, stanął bezwzględnie na tem samem, co kraj stanowisku, i już zgodził się nie tylko na to, żeby iść za ruchem i poświęcać mu się, jako obywatel, ale wziął na siebie kierowanie nim, jako przywódca. Tu się zaczyna druga epoka politycznej działalności x. Adama. Szkoda, że nędzna zazdrość członków sejmu nie dozwoliła zużytkować jego poświęcenia.

Wszystkie stronnictwa i osoby, które miały udział w rządzie podczas powstania, czują niechęć do x. Adama i jakby mimowolny żal do niego. Dziwna ta rzecz może się tem tłomaczy, że x. Adam, posiadając najwięcej osobistej wartości, powinien był stanąć i to z pełną władzą na czele narodu, a tego nie uczynił. To też przyszło o wszystkiem zrozpaczyć, kiedy on nie na pierwszem, lecz na drugiem stanął miejscu. Stanowisko to z konieczności fałszywe być musiało. Każdy byłby mu pierwszego miejsca chętnie ustąpił, ale, gdy on go nie wziął, wtedy ci wszyscy, którzy do pierwszego miejsca poza nim zmierzali, czując, że nie będą mogli sprawą narodową bez niego kierować, czując, jaką on siłą rozporządza, sprawę narodu w sobie uosabiając, liczyli, że mają prawo żądać, by on im dopomagał.

X. Adam, jako człowiek prawy, w dobrej wierze podtrzymywał wszystkie następujące po sobie władze, ale ci, co kolejno do władzy dochodzili, zbłądzili w tem właśnie, że się nie poznali na nim, że nie ocenili jego wyższości nad nimi wszystkimi, wyższości pod względem stanowiska, znajomości rzeczy, a przedewszystkiem zaufania, jakie w nim pokładał cały naród. Wiedzieli oni dobrze, jaką on moc posiada i radzi ją byli na swą korzyść wyzyskać, ale żaden nie zrozumiał, że ta siła nasamprzód właśnie nimi pokierować powinna, jeżeli ma wyjść na

korzyść ogółu. Widzieli w nim narzędzie, którem się każdy chciał posługiwać; zapominali, że on był nie narzędziem, ale robotnikiem.

Według nich x. Adam był niedość poświęcający się, niedość ślepo im służył. Ale czyż on mógł ślepo iść za Chłopickim naprzykład, albo za innymi, kiedy się puszczali na mylną drogę? Wówczas starał się wpływać na nich, lecz oni ani go słuchać, ani się radzić chcieli.

Zresztą zdania x. Adama były częstokroć niedość stanowcze. Ta cecha jego charakteru byłaby zapewne piętnowała jego czyny i wtedy, gdyby był stanął na czele władzy, mocniej jednak uwydatniła się, kiedy, przy własnym braku stanowczości, był zmuszony do przekonywania innych. W ogóle niełatwe to zadanie, szczególniej w czasach zaburzeń.

Sposób, w jaki dano się podczas powstania omamić pięknemi frazesami jen. Krukowieckiego, pełen jest nauki na przyszłość. Polacy powinni dobrze się zastanowić nad faktami tego rodzaju i korzystać z doświadczenia, jakie z nich płynie. Życie i przeszłość jen. Krukowieckiego były znane powszechnie. Zachowanie się jego od początku powstania, pod Grochowem, w Białołęce i 15 sierpnia biło w oczy. Otóż, wystarczyło mu, że się zaczął bawić w opozycyę, a skądinąd składać pokłony przed wszelkiego rodzaju ludźmi, zachowując przytem pewną szorstkość i jakieś pozory surowości, któremi ludzie lepiej dają się uwodzić, niż zwykłem pochlebstwem, ażeby odzyskać zaufanie i wpływ zdobyć. Ustępstwa, jakie poczynił klubowi, ostatecznie na pierwsze miejsce go wyniosły. Ale to wszystko obciąża sejm, rząd i tych, co tak byli słabi, że mu zaufali. Powiedziałbym nawet, że to oskarża naród, o ile wada narodowa umysły pociągnęła, wada, którą Krukowiecki zręcznie wyzyskał, żeby się wynieść.

Kiedyż nauczymy się ludzi sądzić nie z ich słów, ani ze starania, jakie sobie zadają, żeby się podobać, ale z ich poprzednich czynów i z charakteru, jaki okazali? Kiedyż nauczymy się wystrzegać i z pogardą odpychać podłych pochlebców, wyzyskujących ludowe namiętności? Są oni równie podli, a o wiele niebezpieczniejsi, gdy schlebiają ludowi, niż, gdy się płaszczą przed królami. Ale jakże daleko w kraju naszym do takiej niepodległości ducha. Człowiek cnotliwy, wierny zasadom, który niezbite dał dowody poświęcenia dla ojczyzny, jeśli nie nagina się do upodobań tłumów, nie schlebia powszechnym prądom, nie tylko, że wpływu nie uzyska, ale, mimo swej przeszłości, narażony będzie na wszelkiego rodzaju obelgi i niesprawiedliwe posądzenia. Ale niechaj człowiek uchybi wszystkim obowiązkom życia prywatnego, niech w życiu publicznem przekroczy najściślejsze zasady moralności i uczciwości, byle przytem był uprzejmy, poufały, trochę rubaszny a przyjacielski, byle dowodził bezczelnie, że sam lepiej i więcej uczynić potrafi, taki człowiek wnet górę weźmie nad innymi. Uderzający przykład na Krukowieckim.

Zdaje mi się, że niejednokrotnie przesadzaliśmy sobie trudności naszego położenia. Nie zrozumieliśmy korzyści, jakie nam dawało z początku rozproszenie wojska rosyjskiego i pierwsze przerażenie Moskali. Później, kiedy błędy nieprzyjaciela i niesłychane rozbudzenie ducha u nas powinny nam były wskazać i środki, jakiemi rozporządzaliśmy, i korzyści, jakie większą śmiałością mogliśmy zdobyć, straciliśmy najlepsze sposobności do zwycięstw przez zimne, przemądrzałe zwątpienie.

Zarzut ten jednak stosuje się nie tyle do narodu, który szedł za popędem, dawanym przez stolicę i wojsko, jak raczej do naczelników, którzy lepiej znali i nasze środki i siły nieprzyjacielskie. Nie wahali się oni narażać własnego życia, mienia i własnej przyszłości, ale

nie mieli odwagi narazić przyszłości kraju na niepewny los bitew. Licząc, że, zostawieni własnym siłom, zwyciężyć nie zdołamy, wzrok nieustannie zwracali ku Europie. Dla zyskania na czasie, a w danym razie dla ocalenia honoru narodowego, trzymali się uporczywie taktyki odpornej. Nie obliczyli się z potęgą pierwszego popędu siły rewolucyjnej.

Dowiedzionem jest, że wojny powstańcze o tyle tylko mogą osięgnąć pożądany skutek, o ile są krótkotrwałe. Kilka miesięcy je rozstrzyga, bo organizacya wewnętrzna jest zbyt niedostateczna, by długo trwać mogła. Jeżeli zatem powstanie nie zwycięży w ciągu kilku miesięcy, powoli traci na sile i upada.

Jeden to powód więcej, ażeby działać śmiało, korzystając z pierwszego zapału, który stanowi największą siłę powstania.

W rewolucyi kto nie idzie naprzód szybkim i śmiałym krokiem, tego ruch popycha, obala, a wreszcie tratuje.

Między wielu innemi przyczynami, przemawiającemi za walczeniem z Moskalami w gołem polu, a nie pod Warszawą, była i ta, że należało wziąć w rachubę sposób, w jaki Moskale wojnę prowadzą, że głównie się odznaczają obroną i atakowaniem pozycyi, a nie umieją ze zwycięstw korzystać.

Pod Ostrołęką zdobyli most bagnetami; później, gdy wystarczyłaby im szarża kawaleryi do pokonania nas, zatrzymali się. Tak samo pierwej pod Grochowem.

Po wzięciu Warszawy, nie umieli zdobyć ani jednej armaty na Polakach rozproszonych, zdemoralizowanych. Wszystkie przeszły za granicę.

Podobnie w 1812 wśród klęsk Napoleona i jego armii żadnego stanowczego zwycięstwa na polu bitwy nie odnieśli.

Od lutego do czerwca 1831 armia rosyjska ograniczała poważniejsze ataki do prawego brzegu Wisły. Wojsko polskie jest wówczas oparte o przedmieście Pragi i osło-

nięte słabą linią robót ziemnych, pośrodku których wznosi się mocny śródszaniec, to jest szaniec przedmostowy o trzech bastyonach, nieodziany wprawdzie, ale wielkiego rozmiaru i wzmocniony palisadowaniem bocznem, czyli ukośnem i prostopadłem, czyli wewnętrznem. Wisła, na trzysta metrów szeroka, stanowi tu szaniec nieprzerwany.

W tej pierwszej części wojny główne działania wojenne są:

Bitwy pod Wawrem i Grochowem od 19 do 25 lutego przed okopami Pragi.

25 lutego próba atakowania tych okopów przez marszałka Dybicza. Polacy bronią tylko szańca przedmostowego, którego artylerya obraca przedmieście w perzynę. Nieprzyjaciel zaprzestaje dalszego ataku, gdyż ten wymagał otwarcia przykopu.

Wypocząwszy po drugiej stronie Wisły, tem trudniejszej do przebycia, że była pokryta lodem a nie zamarznięta, wojsko polskie napada na VI korpus nieprzyjacielski, stojący pod Pragą i pędzi za nim dziewięćdziesiąt sześć kilometrów od Warszawy; nie tylko, że nie obawia się przytem zostawić za sobą Dybicza, rozstawionego wzdłuż Wisły, ale zmusza go tym sposobem do zaniechania przygotowań, poczynionych do przeprawy przez Wisłę o ośmdziesiąt kilometrów powyżej Warszawy. 31 marca i 1 kwietnia Polacy biorą 16.000 jeńca.

10 kwietnia bitwa pod Iganiami w pobliżu Siedlec. Bierzemy jeszcze 4.000 niewolnika.

Następnie przez cały miesiąc oba wojska stoją naprzeciw siebie po dwóch brzegach Kostrzynia.

14 maja Skrzynecki, pozostawiwszy jedną słabą dywizyę dla osłony Warszawy przed Dybiczem, przerzuca się z głównemi siłami między Narew i Bug, aby wpaść znienacka na gwardye moskiewskie. Ten ruch, który mógł nadać pomyślny obrót całej kampanii, gdyby Skrzynecki zaatakował gwardye, jak miał do tego sposobność, dawał się wykonać jedynie dzięki temu, że Wisła i szaniec

przedmostowy zabezpieczały Warszawę od wszelkiej napaści z tej strony. To też Dybicz pospieszył cofnąć się i pójść na pomoc gwardyom.

26 maja Skrzynecki zmuszony przyjąć pod Ostrołęką bitwę z połączonemi siłami Dybicza i gwardyi. Los bitwy nie rozstrzygnięty, ale wojsko polskie nie może już się podźwignąć ze strat, dnia tego poniesionych; zaufanie do wodza jest zachwiane.

Dwa miesiące mijają, nic stanowczego nie przynosząc. Dybicz umiera. Wojsko rosyjskie niepokojone wybuchem powstań na tyłach, od okolic Mitawy aż do Kijowa i Odessy.

Ta okoliczność, wraz z trudnością dostępu do Warszawy z prawego brzegu, sprawia, iż Paskiewicz przemyka się długim flankowym marszem wzdłuż granicy pruskiej ku dolnej Wiśle. Skrzynecki popełnia błąd ogromny, nie nacierając na niego podczas tego marszu, na który Paskiewicz nie byłby się odważył, gdyby granica pruska, granica sucha, nie zapewniała mu przez cały czas tego ruchu bezpiecznego schronienia na wszelki wypadek.

W drugiej połowie lipca Paskiewicz przeprawia się przez Wisłę pod Nieszawą. Mosty zawczasu przygotowane dla niego przez Prusaków, a wszystkie dostawy dochodzą go odtąd z Gdańska.

16 sierpnia Paskiewicz staje pod Warszawą. W przeddzień, mordują w Warszawie trzydziestu sześciu podejrzanych o zdradę.

Pod Warszawą Paskiewicz ma przed sobą rów z cienkiem przedpiersiem (parapetem), mający od góry do dołu dwadzieścia pięć stóp głębokości, o pochyłości sześćdziesięciostopniowej, dobrze odarnionej. Była to poprzednio opaska celna, rozciągająca się na przestrzeni dwudziestu kilometrów. Porobiono w niej przekopy, zakryte szańcami w piłę. Osłania ją siedmdziesiąt obwarowań polowych, po większej części otwartych i niewykończonych. Jedna tylko warownia Woli jest zamknięta

i przyzwoicie obronna, ale ani odziana, ani palisadowana i niedostatecznego rozmiaru.

Wojsko polskie w Warszawie liczy nie więcej, jak 45 do 50 tysięcy żołnierza zdolnego do boju, z których 7.000 jazdy. Jen. Krukowiecki, ówczesny prezes rządu, w obawie, żeby nie zabrakło miastu żywności, postanawia wyprawić na prawy brzeg Wisły Ramorinę z dwudziestotysięcznym korpusem, a tak, odliczywszy artyleryę i inżynieryę, pozostaje na wałach Warszawy 20 do 24 tysięcy piechoty, a do tego nieliczna gwardya narodowa, złożona po większej części z ludzi niedołężnych, bo, kto tylko był zdrów i silny, do wojska się zaciągał.

Nie potrzeba wyliczać sił rosyjskich, ażeby zrozumieć, że musiały być o wiele więcej, niż w dwójnasób, liczniejsze od naszych. Sama artylerya u nich wynosiła 300 do 400 dział, podczas gdy nasza miała ich zaledwie 150, rozstawionych na obwodzie pięciomilowym.

Zadawano sobie pytanie, czemu marszałek Paskiewicz przypuścił szturm do Woli, skoro na każdym innym punkcie atak był stokroć łatwiejszy. Wola, wysunięta o ćwierć mili poprzed szańce, była punktem najlepiej bronionym, nie przez wewnętrzne uzbrojenie, miała tylko 12 dział w bateryi, ale dlatego, że łatwo było bronić jej z zewnątrz przez wojsko i rezerwę artyleryi polowej.

Przypisuję to dwom przyczynom: obawie zapuszczania się w zabarykadowane ulice miasta i nadziei złamania na duchu ludności i wojska zdobyciem zapory, poczytywanej za najtrudniejszą do przełamania. To pewna, że wybór tego miejsca na przypuszczenie szturmu był tak niespodziany, iż jenerałowie nasi, długi czas mniemając, że to podejście i atak tylko pozorny, nie spieszyli ze skierowaniem tam obrony.

Warownia Woli zburzona została w dwie godziny ogniem przeszło 200 dział nieprzyjacielskich. Nazajutrz opaska szańców, zasługująca zaledwie na nazwę fortyfikacyi, broniła się więcej, niż sześć godzin i nie byłaby

zdobyta, tego dnia przynajmniej, gdyby jen. Krukowiecki, zamiast bronienia jej osobiście, nie był dzień cały przepędził na dowodzeniu izbom konieczności kapitulowania.

Wojsko nasze, przez cały ciąg dziesięciomiesięcznej wojny, oparło się wszystkim rozkładowym wpływom, moralnym i materyalnym, które z porządku rzeczy do rozprzężenia prowadziły.

Tylko co wyzwolone z pod obcego jarzma, poddało się ze ślepem posłuszeństwem pod władzę dyktatora i cierpliwie znosiło niektórych dowódców, pozbawionych czci w opinii publicznej, a uporczywie przez dyktatora przy komendzie utrzymywanych; znosiło ich, mimo że świeże wspomnienia dzikich i niedorzecznych niesprawiedliwości poprzednich rządów osłabiły poszanowanie karności, a zapał ogólny, jak to zwykle bywa, obniżył znaczenie, do wyższych stopni wojskowych przywiązane. Przetrwawszy w milczeniu dwa miesiące bezczynności, wojsko nasze przez sześć dni utrzymało się na polach grochowskich przeciwko czterykroć liczniejszym siłom nieprzyjaciela i to w chwili, kiedy nie wiedziało właściwie, kto niem dowodzi, skoro naczelnego dowództwa nikt w samej rzeczy nie sprawował.

Wojsko to, niczem nie podtrzymane na duchu, z wyjątkiem kilku świetnych dni za Skrzyneckiego i to wnet zmarnowanych nieszczęsną bezczynnością, pozbawione zaufania do dowódcy, wiary w jego zdolności, wojsko to pod Ostrołęką dziesięć godzin z rzędu na najgorszej pozycyi dało się miażdżyć naciskiem wyborowych sił nieprzyjaciela, ogniem niezliczonej artyleryi jego, bez nadziei zdobycia tą wytrwałością jakiejkolwiek korzyści, jedynie dlatego, że wódz naczelny z podziwu godnem poświęceniem cały dzień w tym ogniu na pierwszej linii się utrzymał.

Wojsko to następnie przetrwało trudną próbę długiego obozowania pod murami stolicy, podburzanej przez

wpływy ludzi niesfornych, a obrażonych, w swej dumie, którzy poddawali pod jego sąd rozkazy naczelnego wodza. Przygnębione widokiem stopniowych postępów, jakie czynił nieprzyjaciel dla braku wszelkiego z naszej strony oporu, nie zdradziło ono jednak żadnem słowem ni czynem swego udręczenia, chyba jedynie okrzykiem: naprzód! napróżno codziennie z piersi każdego żołnierza się wyrywającym.

A nareszcie, kiedy wzrastające korzyści nieprzyjaciela, błędy własnych dowódców, a szczególniej wewnętrzne rozprzężenie zmusiły do opuszczenia stolicy, kiedy zupełny brak dowództwa i nikczemne postępowanie Krukowieckiego doprowadziły do rozdziału korpusów, a głównemu korpusowi nadały najzgubniejszy i niczem się nie dający wytłomaczyć kierunek ku Modlinowi, kiedy wreszcie dalszy opór stał się niepodobny i daremny, kiedy już nic nie pozostało, jak rozejść się, wojsko poszło na dobrowolne wygnanie, potwierdzone następnie wyrokiem, który rozjątrzona pycha Mikołaja dla zaspokojenia siebie wydać musiała.

Byli tacy, co przekładali, że złożyć broń czy w ręce jednego, czy drugiego wroga, to jednakowa zakała, to zgubna rachuba, że bić się trzeba, póki proch w ładunkach, koń pod jeźdźcem i chleb w zapasach dla żołnierza; byli tacy i oddajmy tu cześć należną jenerałowi Sierawskiemu; byli, ale większości za sobą pociągnąć nie zdołali. Niektórzy łudzili się, myśląc, że zachowanie ich życia jest niezbędne dla ojczyzny. Mylna to rachuba, gdyż czego się nie dokonało życiem, to częstokroć zdobywa się zgonem.

Wielkopolska po dwakroć największe usługi oddała ojczyźnie, której losy rozstrzygały się w stolicy. W roku 1794 powstaje, ażeby ściągnąć na siebie wojska pruskie, zagrażające Warszawie; w roku 1831, kiedy roztropność nie radzi ściągać na siebie nowego nieprzyjaciela, wyprawia tysiące

ludzi do Królestwa, ogółem dwadzieścia dwa tysiące, z których jedenaście tysięcy właścicieli.

Prowincye zaboru pruskiego i austryackiego zbrojnem wychodźtwem do Królestwa złożyły większy dowód patryotyzmu, niżby to uczyniły powstaniem, wywołanem u siebie raczej z naśladownictwa, niż z rozmysłu.

Na pytanie, czy był zapał w narodzie, wystarczyłoby powiedzieć: widzieliśmy, jak starcy wyprawiali na wojnę do ostatniego syna, słyszeliśmy, jak kobieta jedna przysięgała, że, kiedy polegną jej trzej synowie, walczący w wojsku, rozkaże czwartemu, którego w łonie jeszcze nosiła, ażeby pomścił śmierć braci i niedolę ojczyzny. Zamożni obywatele, wstrzymywani poza granicami kraju przez trudności, jakie im rządy niemieckie stawiały, dostawszy się do Warszawy w przeddzień jej upadku, pod sam koniec powstania, kiedy ich poświęcenie na losy kraju już wpłynąć nie mogło, poszli dzielić dolę wygnańców, woleli raczej stracić ogromne nieraz posiadłości, niż imiona swe splamić uchyleniem się od udziału w ogólnem poświęceniu i narazić się na zarzut, że sami siebie ustrzegli od niedoli, która na ogół spadła.

Do wojny z nieprzyjacielem zewnętrznym przyłączyła się wojna wewnętrzna, domowa. Jakobini korzystali z pierwszej, ażeby drugą prowadzić z powodzeniem. Ta wojna nie uwidoczniała się, bo jedno stronnictwo bezinteresownie ustępowało drugiemu. Jeżeli wszystka szlachta poszła do wojska, uczyniła to z poświęcenia i chęci zadania kłamu oszczerstwom jakobińskim, a nie ze strachu przed jakobinami, ale oni z tego skorzystali, żeby teroryzm zaprowadzić.

Jakobini większą mają nienawiść do ludzi znaczących i wpływowych własnego narodu, niż do wroga obcego. Łatwiej pogodziliby się z tym wrogiem, niż ze swoimi, ale powszechnie podzielana nienawiść do tego wroga służy im do osłaniania nienawiści do tamtego.

Jakobini wszystkich dowódców oskarżają o zdradę, chociaż nie mówią, coby na ich miejscu sami byli uczynili. Wszelkie niepowodzenie według nich było zdradą. Moskale sami przyznawali, że ciągłem posądzaniem wodzów naszych o zdradę potężną broń dajemy przeciwko sobie i przechwalali się, że złotem zapewnili sobie nie zdrady, ale oskarżania o nie naczelników.

Ażeby się oprzeć jakobinom, potrzeba znacznej ilości ludzi gotowych do bezgranicznego poświęcenia, a przytem rządzących się stanowczemi zasadami porządku i mądrej polityki. Swoją drogą, roztropne stronnictwo nigdy nie dorówna w ruchliwości ludziom, nie krępującym się żadnemi względami, nie mającym nic do stracenia, a mogącym coś na swoją korzyść zdobyć.

Opuszczenie naszej sprawy przez rządy zagraniczne, nasze stopniowe osłabienie, błędy naczelników cywilnych i wojskowych, wszystko to ułatwiało jakobinom wzięcie ostatecznej przewagi w Warszawie. Poszli oni w górę dopiero w chwili rozprzężenia, w przeddzień upadku. Jakobini o tyle tylko w Polsce wpływ mieć mogą, o ile brak w niej silnego rządu, któryby dzielnie bronił narodowości naszej. Rząd, który tej potrzebie zadośćuczyni, pociągnie ku sobie wszystkich ludzi zacnych, znaczących, i jakobini wówczas będą pokonani. Zresztą ogół ani rozumie, ani podziela ich zasad. Jeżeli w owym czasie wpływ wywierali, to dlatego, że oni jedni wyraźnie mówili, czego chcą i do czego dążą; oni jedni śmieli bezczelnie dowodzić, że mają siłę do zwyciężenia i wypędzenia nieprzyjaciół. Poza nimi nic wyraźnego widać nie było, same wahania, tajemniczość, wątpliwości, niedowierzanie własnym siłom. Oprócz jakobinów nikt nie zdawał się działać, czy to w imię jakiej jasno określonej zasady, czy w imię skupienia się około jakiego naczelnika. W tak rozpaczliwym stanie rzeczy jakobini zdobyli sobie wpływ, bez względu na zasady, jakiemi się kierowali. Tego rodzaju stronnictwa są nie-

uniknionem następstwem każdej rewolucyi. To też nieszczęściem było nie samo istnienie stronnictwa jakobińskiego u nas, — nieszczęściem było to, że nie istniało stronnictwo przeciwne, mogące wichrzycieli w ryzie utrzymać. Posiadaliśmy ludzi zdolnych do utworzenia takiego stronnictwa; można było do nich zaliczyć prawie bez wyjątku tych wszystkich, którzy mieli wyższe zdolności pod względem politycznym, wojskowym, czy administracyjnym, a jednak stronnictwo to się nie utworzyło. Oto nieszczęście, oto wielkie przewinienie, wielka odpowiedzialność. Wynikło te z braku wykształcenia politycznego, z niezrozumienia potrzeby stronnictw politycznych w narodach, samodzielnie się rządzących.

Jakobini od pierwszej chwili powstania knowali przewrót, któryby ich do władzy doprowadził. Wprawdzie przyznawano im, że zarzuty, które czynili Chłopickiemu, a potem Skrzyneckiemu, były w pewnej mierze uzasadnione. Przyznawano im gorliwość o sprawę publiczną, trafność poglądu na kierunek wojny; ale z obawy, żeby partya przewrotu nie nabrała zbyt wielkiej władzy wewnątrz kraju, uważano za lepsze powierzyć ster rządów ludziom mniej przedsiębiorczym, mniej dzielnym, ale których charakter i zdolności wzbudzały większe zaufanie. Przyznawano też jakobinom gorące serca, śmiałe pomysły, ale wyższych zdolności im nie przyznawano. Śmiało im ten zarzut uczynić można, gdyż przy tylu słowach, takim hałasie i prawie zupełnej swobodzie działania, niczego jednak nie zrobili na korzyść sprawy, ani jednego człowieka jej nie dali. Jakiż więc pożytek przynieśli? Co zdziałali dobrego? A niejednego z nich możnaby zapytać, gdzie się znajdował, póki armaty grzmiały.

Wojna w czasie powstania wiele rzeczy zmieniła, wiele prawd ustaliła, ale wojna nie dość długo trwała, by naród miał czas te prawdy poznać i stwierdzić. Teraz, póki wspomnienia jeszcze są żywe, trzeba wyświetlać te prawdy, trzeba z nich urobić przekonania i zasady narodowe.

Trzeba wykazać, że naród, nękany duchem klubu i jakobinów, zbrzydził go sobie do najwyższego stopnia, że zdrowy sąd ogółu podniósł się nie tylko przeciw krwawym zajściom 15 sierpnia, ale też przeciwko dziennikarskim wywodom stronnictwa, które do tych zajść doprowadziło.

Czy to ścisła prawda, że jakobini są powodem naszej zguby?

Że oni byli głównymi sprawcami naszego wewnętrznego rozkładu, to nie ulega wątpliwości. Ale skąd przyszli do takiego wpływu? Stąd, że cała sprawa nasza pod względem tak politycznym, jak wojskowym była najgorzej pokierowana.

Bóg wie, że nie jestem klubistą i że jakobińskiemu klubowi nie sprzyjam. Gdybym był mógł samodzielnie postępować, byłbym niejednego z jego członków do ciupy zasadził. A wszakże, jakkolwiek ten nieszczęsny klub jest winien znacznej części naszych nieszczęść, zbytnio go obciążamy, zrzucając na niego odpowiedzialność za wszystkie przewinienia. Jest jedno przynajmniej, które nie jemu, ale samym sobie przypisać musimy, a to żeśmy swobodę działania mu zostawili, żeśmy go nie okiełznali; boć jakobini zawsze chcą przewodzić w czasach, kiedy sprawa publiczna jest zagrożona. Człowiek, jakiego nam było potrzeba, byłby umiał w ryzie ich utrzymać, ale tego człowieka nam brakło. Co więcej, brakło nam stronnictwa przeciwnego, któreby przeciwne zasady w równie patryotycznych słowach głosiło. Pod tym względem wszyscy mniej więcej zawiniliśmy.

Wobec cudzoziemców, kiedy nas o jakobinizm oskarżają, gotów jestem wszystko na jakobinów zrzucić, ale wobec nas samych sądzę, że sprawiedliwszem byłoby uznać, iż w gwałtach klubu, w jego niedorzecznościach i nieustannych oskarżeniach o zdradę, niejeden szuka dla samego siebie usprawiedliwienia, że chce osłonić tem własne winy, własną nieudolność, własną bezsilność.

Chłopicki w gwałtach klubu znajduje ogólną wymówkę na wszystko, czego nie dokonał. Skrzynecki oskarża klub o zrzucenie go z dowództwa wtedy właśnie, kiedy obecność jego na czele wojska mogła przedłużyć opór; oskarża go o wpływ demoralizujący, który wojsko niezdolnem do boju uczynił. Czy jednak sam tylko klub był winien złemu?

A my, przy poświęceniu bez granic i bezinteresowności aż do przesady, czyż my także, oskarżając klub o wszystko złe, nie zapominamy, że lepiej było — dla niektórych przynajmniej wśród nas — mniej dbać o odrobinę łatwej chwały w boju, która nam pozwalała usunąć się od trosk innego rodzaju; że raczej należało walczyć na innem polu z zasadami i ludźmi sprawie naszej szkodliwymi. Pokonawszy bardziej groźnego wewnętrznego nieprzyjaciela, bylibyśmy walczyli w lepszych warunkach z gnębiącym nas wrogiem zewnętrznym. Czemuśmy zapominali, że w kraju wolnym pierwszym obowiązkiem tych, którzy chcą go ratować, jest utworzenie stronnictwa dość silnego, ażeby warchołów na wodzy trzymać, naród oświecać, ludźmi dobrej woli kierować.

Utrzymują pospolicie, że ludzi zdolnych do utworzenia takiego stronnictwa nie słuchanoby, że znaczniejsze w kraju rodziny mało były poważane, mało miały wpływu i uroku. Jeżeli tak było istotnie, była to kara zasłużona za postępowanie niektórych, za dość powszechne ich zobojętnienie dla sprawy narodowej.

Zamożniejsza szlachta i magnaci łatwo urok w kraju tracą, nawet bez wielkich przewinień, dlatego, że najmniejsze ich usterki mają wielką doniosłość i stają się wszystkim wiadome.

To też w czasie powstania szlachta nasza, mniemając, iż nie posiada zaufania narodu, usunęła się od działania politycznego i umyśliła na prostych żołnierzy do szeregów wstępować. Wielu majątki oddało, większość bezinteresownością się popisywała, chociaż w rewolu-

cyach bezinteresowność równa się czasem obojętności, bo może pochodzić stąd, że się o powodzeniu powątpiewa.

Teraz szlachta powinna się zastanowić nad stanowiskiem, jakie na nowo sobie w kraju zdobyła, powinna się zastanowić nad obowiązkami, które z tego stanowiska dla niej wynikają: obowiązkami politycznemi.

Dziś szlachty o brak patryotyzmu nikt oskarżyć nie może. Kto, jeżeli nie ona, oddał życie, mienie? Kto się więcej poświęcał, więcej w służbie kraju odznaczył? Ale to wszystko powinniśmy uważać jedynie jako wstęp do nowej działalności politycznej. Zdobyliśmy sobie prawo do słowa: powinniśmy się odzywać. Miejsca nasze były opróżnione, daliśmy je zająć jakobinom: trzeba o tem pamiętać i działać. Ta próba wyjdzie nam na korzyść, jeżeli potrafimy ją zużytkować.

Niezła to rzecz, że jakobini mieli pole otwarte do swojej roboty; o tyle lepiej pokazali, co potrafią.

Myśmy się niczem nie splamili i chwała wojskowa przy nas została. Korzystajmy teraz z czasu, uczmy się sztuki rządzenia, ażebyśmy byli gotowi, gdy nadejdzie potrzeba, i żebyśmy mogli powodzeniem usprawiedliwić podwójne dziś prawa nasze do udziału w kierowaniu sprawą.

Jednego tylko szkopułu, zwykłego wszystkim stronnictwom, się strzeżmy: nienawiści. Niechaj najgorętsza miłość ojczyzny będzie zawsze bodźcem naszych wysiłków.

Cudzoziemcy zarzucają nam nieustanną niezgodę w sprawach publicznych. My sami powtarzamy twierdzenie, że Polacy zgodzić się nie umieją. A przecież, patrząc na wypadki, w żadnem społeczeństwie nie widzimy takiej, jak u nas skłonności serc do zgody, ani tak powszechnej instynktownej odrazy przeciwko tym, którzy uporem przy swojem zdaniu przeszkadzają zgodzie. W każdej okoliczności widoczna jest między nami chęć do zgody, do zjednoczenia się. Dlaczegóż taka sprzeczność między dążeniem a czynem, który z niego wynika?

Widzimy w innych krajach stronnictwa nierównie bardziej zacięte, widzimy wiekowe pomiędzy niemi walki, widzimy nawet krwawe wojny domowe, a jednak nie tylko, że te walki niekoniecznie prowadzą do upadku narodów, ale zda się owszem, jak gdyby się na nich opierało życie narodowe, jak gdyby one tworzyły istotną siłę narodu.

Czy mamy dlatego życzyć sobie podobnej niezgody? Czy będziemy zachęcali rodaków do zawziętości jednych przeciw drugim? Czy mamy się wyzuć tego uczucia braterskiego, które możnaby nazwać i cechą naszego narodu i jedną z najpiękniejszych zalet jego? Nie, zaiste. Ale przy zachowaniu tych uczuć błogich, tej miłości braterskiej, polskiej, chrześcijańskiej, potrzeba nam koniecznie zrozumieć, że gubi nas nie brak chęci do zgody, ale brak zasad jasnych, wyraźnych, które, przywiązując silnie do myśli raz powziętej, pozwalają zarazem oceniać myśl przeciwną, które uczą w każdej okoliczności między dwiema myślami wybierać jedną. W zdaniach bowiem, sprawy publicznej dotyczących, gorszym i szkodliwszym od zaciętości i uporu jest brak uzasadnionego i głębokiego przekonania, gorszemi są niepewność, wahanie i brak silnych postanowień.

Walka stronnictw przynosi ostatecznie, choćby kosztem ucisku jednego stronnictwa, zwycięstwo i siłę drugiemu, a tem samem tworzy siłę narodową. W przeciwnym razie wytwarza się stan bierny, stan powszechnej negacyi, zatamowanie, jakby zastój życia narodowego, stan wycieńczenia, podobny do tego, który nas przez ciąg XVIII wieku przysposobił do najazdu i podziałów.

Rzadkie są położenia, z których tylko jedno jest wyjście, w których tylko jeden sposób ratunku. Wybór planu działania i skuteczność jego zwykle zależą od osobistego charakteru głównych wykonawców i do niego stosować się powinny. Lecz najpierwszym warunkiem powodzenia, choćby najtrafniej i najumiejętniej obmyślonego

planu, jest jedność przewodniej myśli, która, przenikając wszystkie szczegóły, staje się jakby duszą, ożywiającą wszystkie członki swem tchnieniem.

Skoro już zachodzi potrzeba stanowczej czynności, wtedy nie ustępstwa, nie półśrodki przynoszą zbawienie, nawet nie przymioty duszy, ani wygórowana umiejętność i biegłość rozstrzygają, ale zbawia jedność i niezmienność kierującej myśli. A chociażby ta myśl sama w sobie nie była najodpowiedniejszą, mimo to jednością wykonania i wytrwałą stanowczością może przynieść zwycięstwo tam, gdzie najmędrsze i najlepsze plany dla braku tych zalet są bezskuteczne.

Chęć zgody nie wystarcza, by stworzyć działanie zgodne. Dwa dążenia sprzeczne pogodzić się nie dają: jedno przed drugiem ustąpić musi. Aby działanie stało się silne, wyraźne, powinno być zgodne we wszystkich swych częściach, a tego bez jedności otrzymać nie podobna. To też nietylko naczelnicy wojskowi i polityczni powinni się starać o jedność; każdy prawy obywatel całą siłą woli do niej dążyć powinien.

Każdy ma obowiązek użyć wszystkich sił, by przeprowadzić zdanie swoje na radzie, gdy jest sumiennie przekonany o jego trafności, lecz, skoro zupełnej przewagi dla zdania swego nie uzyskał, a już przychodzi do czynu, winien okazać tę umiejętną i wyrozumiałą cierpliwość, która nakazuje poddanie się w zupełności.

Spraw publicznych nigdy bez wyraźnego kierunku zostawić nie można, a dopóki myśli kierującej inna myśl nie zastąpi, trzeba ją uważać za prawo, do wykonania którego wszyscy bez wyjątku przykładać się powinni. W taki też sposób każdy najlepiej wzajemność dla siebie przygotuje, to jest poparcie własnej myśli, kiedy ta na radzie uzyska przewagę.

Nie należy się chwytać drogi pośredniej, bitej drogi do wszelkiego rodzaju słabości, która się nigdy nie powiodła. Próżna to nadzieja, że nawpół tylko powstrzy-

mując jednych, nawpół tylko obrazi się drugich. Jest to właśnie sposób, żeby wszystko stracić: z jednej strony zaufanie, z drugiej szacunek.

Polacy różnią się wprawdzie w zapatrywaniach na środki służenia ojczyźnie, ale uczucie dla niej jest u wszystkich jedno i to samo.

Niezmierna uciążliwość naszego położenia, ogólna nieznajomość stosunków politycznych i spraw wojennych, przy żywej chęci poświęcenia się ojczyźnie, wywołały u nas gotowość do ślepego posłuszeństwa względem tych, co stawali na czele powstania. Byłby to najkorzystniejszy warunek zwycięstwa, gdyby jednocześnie znalazł się człowiek opatrznościowy, zdolny tę skłonność zużytkować, śmiało na czele sprawy stanąć, a własne życie i losy nierozerwalnie z jej zwycięstwem związać.

Każdy wierzyć powinien, że posiada możność służenia krajowi, nikomu nie wolno sądzić, by jego osobista służba zbyteczną była dla kraju. Niechaj każdy działa, jak gdyby ocalenie ojczyzny od niego zawisło. Przyszłość Polski w danej chwili zależeć będzie od jakiegoś jednego człowieka. Jeżeli człowiek, jakiego potrzeba, wśród nas się znajdzie, jeżeli potrafi wydobyć z narodu wszystkie jego siły, jeżeli mężną dłonią je uchwyci, jeżeli ich użyje umiejętnie, roztropnie, z umiarkowaniem, to przyszłość kraju zabezpieczy, bo człowiek taki wszystkich prawie za sobą pociągnie. Takiego człowieka wyrobić nam trzeba, a zatem wszystkie władze przyłożyć do kształcenia młodzieży, ażeby zbawca narodu mógł kiedyś pośród niej się zjawić.>

XIV

OSTATNIE CHWILE W KRAJU

«Opuściwszy Karpaty i nieocenionego gospodarza mego, wstąpiłem znowu do Lwowa, by x. Lobkowica pozdrowić, podziękować mu za dozwolony w ukryciu pobyt i oznajmić, że dłużej nie będę nadużywał gościnności jego, bo zamierzam czas potrzebny mi do niektórych układów rodzinnych przepędzić w wolnem mieście Krakowie, skąd Moskale ustąpili już napowrót w granice Królestwa.

Po drodze do Krakowa wstąpiłem do babki mojej, x. jenerałowej Czartoryskiej w Wysocku, gdzie też i matkę zastałem. Ale długo tu bawić nie mogłem, bo od życzliwego poblizkiego urzędnika przyszło ostrzeżenie, że policya ma mnie aresztować i do Ołomuńca odstawić.

Podczas tych kilku dni, spędzonych w Wysocku, doznałem po raz ostatni niezmiernej łaskawości, jaką mi świadczyła babka. Długoletnia jej dobroć dla mnie zostawiła mi na całe życie wspomnienie miłe i pełne wdzięczności. Od dziecka przywykłem na nią patrzeć oczami mojej matki, która ją nie tylko najczulszem otaczała staraniem, ale posuwała cześć i miłość swoją aż do bojaźni, przy ciągłem usiłowaniu, by się we wszystkiem do jej woli stosować[1]). Znalem moją babkę taką, jaką była

[1]) W styczniu 1831 roku pani Zamoyska pisała do córki, Celiny Działyńskiej: «Proszę cię usilnie, pisuj do mnie regularnie dwa razy na tydzień, jak ja to przez całe życie czynię względem mojej matki, kiedy jestem od niej oddalona.»

przez pięćdziesięcioletnie drugie jakby życie swoje, bogobojne i gorącą miłością ojczyzny natchnione, wolne zaś od uchybień pierwszej części życia, kiedy porwana szałem XVIII wieku żyła, niestety, jak w całej Europie żyło wówczas wyższe towarzystwo.

Ale, jeżeli w tej pierwszej części stuletniego prawie zawodu, nie odróżniała się od współczesnych sobie, to przed następnem pokoleniem złożyła takie świadectwo chrześcijańskiej i obywatelskiej cnoty, takie wspomnienia i pomniki po sobie zostawiła, że wieczna o nich pamięć i wdzięczność w dziejach narodu się przechowa.»

Policya austryacka nie dozwoliła Zamoyskiemu wstępu do Krakowa; musiał się zatrzymać na Podgórzu, skąd pisał do rodziny:

«8 stycznia 1832.

Po tylu nieszczęściach jeszcze się nie poprawiamy z lekkomyślności i junactwa. W Krakowie istne dzieciństwa wyprawiają, urządzają manifestacye w teatrze, drażnią Moskali, którzy powrotem grożą i już zaczynają nadzór roztaczać nad przybywającymi. Przytem gadatliwi rodacy nikogo spokojnie w ukryciu nie zostawiają. Na teraz więc zapewne nie będę mógł w Krakowie bywać, chyba pod osłoną nocy.

... Listy proszę adresować na Podgórze do Wacława Zaleskiego, pod którego nazwiskiem tu przebywam. Ostrzeżono mnie, że na pruskich pocztach listy nasze są przepisywane, a kopie wysyłane do Moskwy...

Dowiaduję się, że jakieś oszczerstwa rozsiewane są przeciwko Andrzejowi i mnie w Warszawie i Petersburgu; dziwno, że ludzie, jakby się zdawało uczciwi, a zatem niezdolni do pewnych niegodziwości, mogą z tak zimną krwią innych o nie posądzać i tym sposobem pozbawiać rodaków wzajemnego szacunku, jedynego skarbu, którego wojna nie może zniszczyć, ani żaden monarcha skonfiskować. Ci, co rozsiewają podejrzenia, nie domyślają się

zapewne, ile szkody wyrządzają swojem paplaniem. Kto ma wpływ, niech się nie spieszy z sądzeniem cudzych czynów, niech go użyje raczej, by zgodę utrzymać.»

W tymże czasie doszły Zamoyskiego wiadomości z Francyi o rozruchach, wywołanych tam przez polskich wychodźców, dawnych członków klubu. Zamoyski pisał do znajomych we Francyi, prosząc, ażeby, ile możności, powstrzymywali Polaków od wszelkich hałaśliwych manifestacyi i zbiegowisk: «Nam teraz hałasować nie przystoi; niechże jen. Ramorino nie wciąga wychodźców polskich do ulicznych rozruchów, źleby nam się tym sposobem przysłużył.»

Główną troską owej chwili dla polskich wojskowych, schronionych w zaborze austryackim, była konieczność spiesznego wyboru między powrotem pod berło Mikołaja a wiecznem tułactwem, gdyż nadzieja pozostania w Galicyi była dla małej liczby przystępną. Udręczenie spowodowane wahaniem się między temi dwiema równie bolesnemi drogami przebija z wszystkich ówczesnych listów i stanowi ich szczególne znamię:

Pani Działyńska do panny d'Arnaud:

«styczeń 1832.

Każdy, kto chce osobiście amnestyę otrzymać, musi napisać do cesarza Mikołaja z wyrażeniem uległości. Powiedziałby kto, że on każdego uważa za jakąś potęgę, z którą chce osobne przymierze zawierać. Wszystkiemi możebnemi drogami przysyłają nam bez liku z Petersburga wzory takich listów. Nie są one ponętne, wyrażają szczery żal, gorące pragnienie odzyskania łaski Jego Cesarskiej Mości, przyrzeczenie najzupełniejszej, doskonałej uległości i gotowość złożenia przysięgi niemal hańbiącej. To oburza. Wielu ludzi uważa, że lepiej kraj opuścić, majątek stracić i wszystkiego się wyrzec. A jednak, skąd przyszło do powstania? Z chęci ratowania kraju. Czyż można tedy opuszczać go, skoro teraz bardziej jest nie-

szczęśliwy, niż przedtem. Jeśli my go opuścimy, jeśli dobra nasze rozdane zostaną moskiewskim jenerałom, jakaż nam nadzieja pozostanie podźwignienia się kiedykolwiek? Ale jakże ciężko powracać! To też wszyscy się ociągają. Każdy ma nadzieję, że czas potrosze niejedno załagodzi.»

Władysław Zamoyski do braci:

«10 stycznia 1832.

Co pocznę, nad tem się namyślam jeszcze. Gdyby chodziło o wybranie tego, co najmilsze, jużby to niełatwem było, ale wybrać, co w obecnym stanie rzeczy może być dla kraju najpożyteczniejszem, zadanie to rzeczywiście trudne. Cokolwiek się wszakże uczynić postanowi, należy to uczynić z godnością.

Zanim się rozpierzchniemy, trzeba, żebyśmy się dobrze wzajemnie porozumieli. Nie należy nikogo ani pchać, ani wstrzymywać, niech się każdy zastanowi i za własnem uczuciem pójdzie. Co się zrobi wbrew przekonaniu, albo co się przedsięweźmie nad swoje siły, w tem się nie wytrwa.

Uczmy się wzajemnego pobłażania i wyrozumiałości dla cudzych zapatrywań. W takiem położeniu, jak nasze, czyni się nie to, coby się czynić chciało; tyle jednak mamy pociechy, iż możemy być pewni, że jedni za drugich nie będziemy się rumienić, a to główne.»

Pisząc 14 stycznia do matki o zamiarze powrotu braci do Królestwa, Zamoyski zwraca uwagę na świeżo przywiezione wiadomości z Warszawy:

«Dają one do myślenia, czy bracia za powrotem nie zostaliby wywiezieni w głąb Rosyi, jak Roman Sanguszko i Wielhorski, którzy nie bardziej od nich zawinili, a do amnestyi największe mieli prawo, skoro, jako jeńcy, nie mogli się poddać carowi w oznaczonym terminie. Nawiasem mówiąc, chodzi tu pogłoska o uproszeniu łaski dla Romana Sanguszki przez cesarza Franciszka; trudno temu wierzyć. Wielhorski i Małachowscy karani są za

to, że własnym kosztem formowali oddziały. Cóż będzie z Konstantym, który tę samą zbrodnię popełnił?

Co do mnie, muszę tu w każdym razie czas jakiś na miejscu pozostać w nadziei widzenia się z braćmi. Jedyna pociecha, jakiej jestem chciwy, to zupełne porozumienie między nami. Jak mówi Andrzej: «musimy się wygadać, wyłajać wzajemnie, a potem znowu wspólnie i zgodnie, jak kto umie i może, każdy po swojemu działać». Wielką radością będzie dla mnie możność wytłomaczenia się tym, których uznanie jest największą osłodą, jakiej spodziewać się mogę.

Niema książki, z którejbym czerpał tyle przestróg i pożytecznych wskazówek, ile ich znajduję w listach braci. Nie zawsze czynię, czego odemnie żądają, nie zawsze idę tą samą, co oni drogą, ale szanuję ich zdanie i postępowanie. Z czasem i oni mi się tem samem odpłacą, a na razie biorę ich uwagi, nawet nagany pod rozwagę, bo wiem, z jakich serc płyną. Ufam, że stateczność, z jaką będę szedł raz obraną drogą, uzyska mi z czasem przebaczenie tych, co mnie obecnie ganią. Mimo wszystkiego, czego się Konstanty dla mnie obawia, postanowiłem nie zrywać z rządem austryackim. Usuwam powody do rozdrażnienia, a milczeniem i powstrzymaniem się od wszelkiego działania może zatrę niekorzystne wrażenie, jakie upornem poświęceniem się wywarłem.

Co się tyczy służby w wojsku austryackiem, nie o to mi chodzi, aby służyć w byle jakiem wojsku i byleby służyć, ale o to, żebym w tem istotną korzyść widział[1]. Obecnie pragnąłbym głównie tego, żeby mnie rząd austryacki zostawił na wolnej stopie w Galicyi i żebym mógł ojca zadowolnić, jeżeli będzie wolą jego, abym przy zarządzie dóbr pracował.

---

[1]) Zamoyski powziął myśl wstąpienia do wojska austryackiego prawdopodobnie wskutek chwilowego postępowania Austryi względem Polaków pod koniec 1831 roku. Pani Zamoyska wspomina o niem z wdzięcznością: «Cesarz austryacki bardzo jest dobrotliwy dla naszych żołnierzy

Jestem w ciągłej korespondencyi z x. Lobkowicem i I(zydorem) P(ietruskim); na każdym kroku porozumiewam się z nimi. Ten ostatni mówi, że moje zamiary są przychylnie widziane w Wiedniu.

...Ciężkie to dla nas chwile, ale o ileż gorzej innym się dzieje. To, co my przebywamy, jest niczem w porównaniu z tem, co innych spotyka, a czegośmy się też spodziewać mogli.»

Izydor Pietruski do Zamoyskiego:

«Lwów, 27 stycznia 1832.

Przysłuchiwałem się na wszystkie strony, czy się czegoś pomyślnego nie dowiem, ale napróżno; wszędzie głucho. O przyjmowaniu oficerów do wojska austryackiego nic dotąd nie słychać. Wszystkich trzymają jeszcze w Morawii, nawet stąd, gdy im kto w ręce wlezie, tam taszczą. Żadnego jednak pewnego widoku niema, co z nimi zrobią.

Co się ciebie tyczy, powiedziano mi, że mógłbyś dostać paszport od konsula austryackiego w Krakowie, ale zdaje mi się, że rząd wiedeński ma wielce ograniczoną władzę w tym względzie. Polityka ich bardzo chwiejna; możeby niejedno chętnie zrobili, ale nie mają dosyć energii. Darmo sobie głowę suszę, wyrozumieć ich nie jestem w stanie, tak wszystkie rozporządzenia i rozkazy tego rządu są sprzeczne.

Nie dziw się, że cię obgadują; od plotek i oszczerstw uchronić się nie można; trzeba niemi pogardzać. Niema nikogo, ktoby nie miał przyjaciół i nieprzyjaciół; zwłaszcza, ktokolwiek przychodzi do znaczenia, musi być narażony na krytyki i oszczerstwa. Trzeba albo żyć daleko od ludzi, albo pomijać, co oni mówią, bo czyż podobna wszystkim żmijom języki poobcinać.

---

i tych wszystkich, co się schronili pod jego berło. Przebaczył poddanym, którzy wzięli udział w powstaniu, swobodnie mogą do swych siedzib wracać. Co więcej, zwolnił Galicyę od zaległych podatków i rozmaitych ciężarów i odmówił wydania Polaków, o których się car domagał.»

Nad Królestwem i innemi prowincyami polskiemi, zostającemi pod berłem łaskawego samodzierżcy, można wyrzec owe słowa Dantego: «Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate», coraz gorzej i gorzej. W «Allgemeine» lub innym dzienniku, jeśli ten nie przyjmie, będzie opisany sposób postępowania tego dobrego, hojnego, bogobojnego monarchy.

Co mówisz o «zapraszaniu» do wojska rosyjskiego naszych nieszczęśliwych podoficerów i żołnierzy? Niema co się łudzić co do ich przeznaczenia; aż nadto widoczne, że się ich przeznacza na Kaukaz. Podobno do tej odezwy dołączono groźbę, że, jeżeli dobrowolnie nie wstąpią do służby wojskowej, będą do niej zmuszeni.»

Zamoyski wciąż jeszcze przebywał na Podgórzu, skąd, w liście do matki, winszuje jej wnuka Tomasza, «przyszłego ordynata[1])», i dalej pisze:

«27 stycznia 1832.

«Przyjechał tu Zdzisław. Coraz bardziej go kocham; zdaje mi się, że w nim własne życie na nowo rozpoczynam, a nie śmiem się do tego przyznawać, bo to dla mnie zbyt zaszczytne podobieństwo. A on taki z siebie niezadowolony, że tylko to widzi, czego mu brakuje. Staram się uśmierzać niecierpliwość, tem niezadowoleniem powodowaną, i oddalać zniechęcenie, do któregoby ono doprowadzić mogło. Całem jego zajęciem pracować, kształcić się. Na doskonałej jest do tego drodze; pyta i chętnie rady słucha. Jeszcze niewiadomo, co z sobą pocznie, ale przy takim zdrowym sądzie, takiem umiarkowaniu i z taką duszą, niema o niego obawy. Cokolwiek uczyni, dobrem będzie.

Rozmiłowany w Schillerze tak, jak ja w dwudziestym roku życia, przytacza całe ustępy, a ja mu ostatnie słowa dopowiadam, bo te same ustępy były dla mnie ulubione. Ja go przenikam i przeczuwam, boć on to wszystko cierpi i mówi, co ja w tym wieku przeszedłem.»

---

[1]) Ur. w Oleszycach, 18 stycznia 1832.

Władysław Zamoyski do matki:

«5 lutego 1832.

Wczoraj tak nagły popłoch tu powstał wskutek wtargnięcia Moskali do Krakowa, że Leon Sapieha umknął w jedną stronę, a Zdzisław w drugą; nie zdążyłem nawet pożegnać się ze Zdzisławem. Miłe z nim spędzałem godziny i dnie całe. Byliśmy razem na mogile Kościuszki. Dzień był piękny, widok przepyszny. Marzyliśmy tam razem i przyszłość układali. Tej pielgrzymki za bytnością w Krakowie nie omieszkam nigdy powtórzyć. Za każdym razem odnawiam tam śluby moje.

Odwiedziliśmy także grób Stanisława Rzewuskiego. Przypomniałem sobie liczne jego zalety i potężne zdolności. Prosiłem Boga, żeby duch jego i siła działania odrodziły się w kim innym, gdyż ze wszystkich strat, jakie ojczyzna teraz poniosła, ta jest największa. Jestem przekonany, że czterech ludzi, takich jak on, byliby kraj zbawili. Strata jego wydaje mi się jakby najsmutniejszą wróżbą.»

Konstanty i August Zamoyscy po krótkim pobycie w Oleszycach internowani zostali wraz z wielu oficerami z korpusów Ramoriny i Różyckiego w Bernie morawskiem. Stamtąd Konstanty pisał do ojca:

«W czasie przejazdu przez Ołomuniec, 20 grudnia, zażądano, abyśmy oświadczyli, dokąd pragniemy się udać i dano nam do wyboru, czy chcemy wrócić do Królestwa, zostać w Galicyi, udać się do Krakowa, lub wyjechać do Francyi. Pospieszyliśmy podpisać deklaracyę, oświadczającą chęć powrotu do Królestwa, i wskutek tego napisaliśmy prośbę o ułaskawienie do feldmarszałka Paskiewicza wedle przepisanego wzoru...

Dałbym dużo, chociaż nic nie mam, żeby Ojca tej zimy widzieć, toby mnie uwolniło od niepokoju, którego uniknąć nie mogę, nie wiedząc, co Ojciec pochwali, a co zgani.

Oby Bóg raczył nam dać rok nowy, znośniejszy od od tego, co się skończył.»

Konstanty Zamoyski opuścił Berno 10 lutego. Młodszy brat, August, pozostał tam jeszcze czas jakiś. Władysław pisał do niego:

«Podgórze, 20 lutego 1832.

Nader to ważne, żebyś się z Brünn wydostał, gdyż zapewne mało co tam robisz pożytecznego. Staraj się o pozwolenie wyjazdu do Pragi, daj słowo honoru, że się stamtąd nie oddalisz bez upoważnienia. A jeżeli nie do Pragi, to do Wiednia, bylebyś się uwolnił od kolegów i wziął do pracy.

Z prawdziwym żalem i zgrozą widzę twoje próżnowanie. Koleżeństwo i zabawy nie zrobią z ciebie człowieka. Korzystaj z przyjazdu Zdzisława, żeby się przed nim wyspowiadać i porozumieć z nim co do twego dalszego kształcenia się. Staraj się usilnie o wydobycie z tej dziury, ale zarazem uzbrój się na długi tam pobyt, gdyby ci wyjazdu nie dozwolono.

Najtrudniej, wiem o tem z własnego doświadczenia, zabezpieczyć sobie czas do nauki wśród tak licznego towarzystwa.

Trzeba na to wytrwałej woli. Jeżeli siebie cokolwiek kochasz, weź się do rzeczy bez zwłoki i mężnie; czas nagli. Utrzymuj ciągłą i szczegółową korespondencyę z nami o wszystkich czynach, myślach, zamiarach twoich.»

August Zamoyski do brata, Władysława:

«22 lutego 1832.

Prosiłem o pozwolenie na pobyt w Pradze lub w Wiedniu, ale władze austryackie nic zrobić nie mogą bez Tatiszczewa, a Tatiszczew odpowiedział, że nie ma upoważnienia do tego. Oficerowie nasi rozmaite tu niedorzeczności wyprawiają; odpowiedzialność za nie spaść może i na mnie, mimo żem się ulokował na przedmieściu, jak mogłem najdalej.

Zdzisław wpadł tu na dwa dni, ale jakiż on słaby! Gdybym mógł mu moje zdrowie odstąpić, to przy takiej głowie, jak jego, stałby się pożytecznym człowiekiem a tak, jemu brak zdrowia, a mnie głowy.

Proszono mnie tu z Paryża o portret twój i Konstantego, ażeby je podać przy opisie wszystkich bohaterskich czynów naszej wojny, który w Paryżu drukują staraniem Chodźki i Lelewela.

Paskiewicz już się zaprenumerował na to wydawnictwo, żeby lepiej śledzić...»

«25 lutego 1832.

Przyszedł tu dzisiaj spis czterystu oficerów, którym amnestyi udzielono. Jest tam i moje nazwisko, ale wielu innych na tej liście nie umieszczono, między innymi Różyckiego. Na czele postawiono oficerów Dwernickiego i wczoraj dwudziestu z nich wymaszerowało do Wadowic. Mówią tu, że Kotzebue ma ich przyjąć. Wszyscy w mundurach. Tak cesarz kazał, żeby w mundurach składali ponowną przysięgę w obecności Kotzebuego. W piśmiennej przysiędze, którą nam kazano złożyć, są słowa: «przysięgam wiernie służyć cesarzowi i jego następcy i zarówno w wojnie, jak w pokoju zachować się, jak honor wojskowy nakazuje». To jest straszne!

Dzisiaj przejdzie tędy znowu czterdziestu oficerów Dwernickiego, którzy stali bliżej Wiednia, niż my. Kazano nam się trzymać w pogotowiu. Ale ja, bądź co bądź, czekać będę na paszport do Oleszyc. Nie śmiem się podać za chorego, bo zanadto zdrów jestem, żeby kto mógł temu uwierzyć. Jakiś oficer Dwernickiego wczoraj oświadczył, że jest chory, bo chciał zostać w Brünn; posłano mu lekarza i czterech wartowników, żeby go strzegli, póki nie wyzdrowieje.

Nie pojmuję, kto ci tam donosi o mnie, że się bałamucę. Czy u stu dyabłów, jeszcze mnie tyle nie znasz, aby temu wierzyć? Póki byłem z Konstantym, na nic się nie oglądałem, bo w jego towarzystwie nie miałem się czego obawiać; sam sobie zostawiony, bardzo jestem ostrożny, ale dręczę się nieustannie.

O jedną noc spokojną trudno. Ciągle mi się śni nieszczęśliwa Polska. Takie tu okropności dochodzą, że nawet trudno wierzyć.

Ci, co się do Francyi wybierają, ciągle mnie o listy do ciebie proszą. Piszę w samą rocznicę bitwy pod Grochowem. Wielu kolegów dzięki składa Bogu dzisiaj, że ich przy życiu zachował; ja żałuję.»

Pani Zamoyska w początkach lutego napisała do x. Lobkowica, pytając, jakie są zamiary rządu austryackiego względem jej synów. Xiążę odpowiedział:

«11 lutego 1832.

Hrabia Konstanty, jako uznany za osobę cywilną, objęty jest amnestyą, ogłoszoną w Królestwie i może tam wrócić. Paszport, jaki marszałek Paskiewicz ma mu wydać, dojdzie w tych dniach do Oleszyc; podobny otrzyma na Galicyę od ministra policyi w Wiedniu. Co się tyczy dwóch innych synów Pani, którzy do ostatniej chwili służbę w wojsku powstańczem pełnili i weszli do Galicyi z korpusem Ramoriny, ci mają sobie dozwolony powrót do kraju na tych samych warunkach, co inni oficerowie, to jest: jeżeli złożą przysięgę wierności cesarzowi Mikołajowi i o ile nie należą do kategoryi tych, którzy są z amnestyi wykluczeni. Jeżeli uważają, że nie mogą do Królestwa powrócić, będą mogli otrzymać od poselstwa francuskiego w Wiedniu paszporty do udania się za granicę. W każdym razie muszą opuścić kraje poddane cesarzowi austryackiemu. Co do hr. Władysława, znajduję, że, odkąd jest w Galicyi, bardzo się naraża. Powinien zameldować się tutejszym władzom wojskowym, oświadczając, albo, że ma zamiar powrócić do Królestwa i przysięgę złożyć, albo, że chce wyjechać do Francyi. Uniknąłby tym sposobem niechybnych przykrości.

Przesyłając synowi list x. Lobkowica, pani Zamoyska pisała:

«Wysock, 23 lutego 1832.

List ten dowodzi, iż cię łudzą, że on kroki twoje pochwala i poniekąd swoją odpowiedzialnością pokrywa.

Dowiaduję się, że ktoś, wiem kto, doniósł do cyrkułu o twojej bytności w Wysocku. Przysyłano cię tu

szukać, a że to już było po twoim wyjeździe, słali w ślad za tobą aż do tarnowskiego cyrkułu, gdzie szczęściem trop stracili. Teraz znów poszukują. Gdyby nie list x. Lobkowica, nie przestraszałoby mnie to, ale po tym liście bardzo jestem niespokojna.»

Po odebraniu powyższych wiadomości, Zamoyski napisał do ojca, tłomacząc mu swoje położenie i prosząc o wskazówki. Jednocześnie dozwolono mu przenieść się z Podgórza do Krakowa, gdzie pragnął oczekiwać odpowiedzi od ojca i rozstrzygnienia swego losu.

«W Krakowie napotkałem wielu znajomych i trochę krewnych, między tymi dwie moje bratowe: żonę Konstantego z domu Sapieżankę i Andrzejową z Potockich. Im to zapewne rodzina nasza zawdzięczała ofiarowaną sobie gościnę w domu «pod Baranami», należącym do świeżo owdowiałej pani Arturowej z Branickich Potockiej.

Mieszkały też «pod Baranami» obie siostry moje: Leonowa Sapieżyna i Działyńska. Ta ostatnia z kilkomiesięczną córeczką Jadwigą, którą mi Bóg przez dyspensę papieża w lat dwadzieścia jeden potem dał za żonę. Działyński zaraz po powstaniu udał się do Francyi, głównie za namową francuskich oficerów II korpusu. Podczas jego pobytu za granicą siostra moja, Działyńska, ciężko w Krakowie zachorowała[1]).

Zjechali do Krakowa również dwaj starsi bracia moi, Konstanty z Brünn i Andrzej z Warszawy. Andrzej

[1]) Mieszkanie «pod Baranami» było dla sióstr Zamoyskiego nie tylko ulgą, ale istnem dobrodziejstwem, ze względu na przeludnienie ówczesne Krakowa, nie mogło jednak zapobiedz wszystkim skutkom konfiskaty majątków, tak x. Leona Sapiehy, jak Tytusa Działyńskiego. Skutki te mniej się dawały odczuwać x. Leonowej, bo teściowa jej, x. Alexandrowa, której Moskale zostawili dożywocie skonfiskowanych dóbr, zawsze była gotowa z pomocą, ale pani Działyńska pozostała prawie bez środków do życia. Nie chcąc ciężyć ani na własnej, ani na mężowskiej rodzinie, oszczędność posuwała tak dalece, że dziennie od osoby wydawała dwadzieścia groszy, soli nawet do ziemniaków sobie odmawiając. Wskutek tego niedostatku wpadła w tyfus głodowy.

był już za paszportem rosyjskim. Konstanty miał w konsulacie składać na nowo przysięgę poddaństwa. Obaj żonaci, ojcowie kilkorga dzieci, zdecydowani byli korzystać z ofiarowanego im ułaskawienia i w Królestwie pozostać, a choćby niczego więcej dla kraju uczynić nie mogli, ocalić przynajmniej majątki, mające im przypaść w udziale, i godność obywatelską wobec wroga zwycięzcy utrzymać.

Pamiętne mi są długie z nimi podówczas rozmowy, w których każdy z nas kreślił rodzaj pracy, do jakiej się czuł powołany.

Konstanty opowiadał, jakie zmiany zamierza wprowadzić w stosunkach z włościanami w ordynacyi i majątkach ojca. Jeszcze przed wojną, mając sobie wydzieloną majętność Gruszczyn przy ujściu Pilicy do Wisły, robił tam pierwsze doświadczenia w celu zniesienia pańszczyzny, a zastąpienia jej opłatą roczną, którą nazywał okupem, nie czynszem. Chcąc jak najmniej nowości wprowadzać, pragnął w samej nazwie okupu przechować ślad długowiecznej powinności, do której włościanie przywykli i którą szanowali, chociaż ją dojrzalsze pojęcia ekonomiczne zmienić nakazywały. Wyzwolić do reszty włościanina z zależności osobistej, pozostałej z czasów poddaństwa, a podnieść go do stanu dzierżawcy, to sobie stawił Konstanty za cel niezwłocznych usiłowań swoich.

Przejęty tą potrzebą, nie przestawał marzyć o niej nawet w ciągu wojny, wśród trudności i nudów, na jakie był skazany, zostawszy oficerem przy sztabie dywizyi. Tak mocno czuł ważność pomysłu, mającego wprowadzić błogą zmianę do stosunków z włościanami, że w niepewności, czy przeżyje wojnę, spisywał myśl swoją, ile tylko znajdował czasu, często na nocnym biwaku, w kształcie instrukcyi dla syna, którego urodzenia się spodziewał. Pismo to miał przy sobie w Brünn i, korzystając z przymusowego tam pobytu, skłonił do wydania opinii o niem

miejscowe Towarzystwo Rolnicze morawskie[1]). Opinia wypadła jak najpochlebniej. Wracał więc Konstanty do kraju, o tyle bardziej zachęcony do przeprowadzenia zamierzonej zmiany na jak najobszerniejszem polu. Nie wiedząc, czy mu ojciec pozwoli zastosować ją do ordynacyi, marzył o wzięciu w dzierżawę jakiego klucza dóbr rządowych i tam chciał niezwłocznie doświadczyć swego pomysłu.

Wyznać muszę, że, słuchając brata, przyszedłem po raz pierwszy do jasnego pojęcia o rolnem gospodarstwie w kraju naszym. Dotąd patrzałem przez całe życie na niezmordowane usiłowania ojca ku podniesieniu gospodarstwa i polepszeniu doli włościan: nie szczędził on na to wydatków, sprowadzał z zagranicy doświadczonych gospodarzy. Słyszałem ciągle o regulacyi pól włościańskich, o wzorach budownictwa wiejskiego, o ulepszaniu gatunków bydła, koni, owiec i t. p., o zaprowadzaniu po folwarkach szkółek drzew owocowych w celu zaopatrywania włościan w takowe, o przerabianiu folwarcznych zabudowań, o gorzelniach i browarach, ale w tem wszystkiem nie umiałem schwycić, jakim sposobem z ziemi i pańszczyzny wyradzał się dochód, dający się choćby w przybliżeniu z góry obrachować i zgodnie ze sprawiedliwością ograniczyć. Praca gospodarza, a tem bardziej dziedzica obszernych włości, zdawała mi się nieustannem

---

[1]) O tem Towarzystwie Konstanty pisał do ojca, że jest wspaniałe i że dumny był, znalazłszy w jego sprawozdaniach wzmiankę o ojcu: «Piszą, że w 1821 roku ksiądz Stokowski udawał się do Ojca z prośbą o otrzymanie od cesarza Alexandra upoważnienia na założenie Towarzystwa podobnego tutejszemu. To mi nasuwa myśl przypomnienia Ojcu naszej szkoły w Szczebrzeszynie. Gazety donoszą, iż rząd zajęty jest reformą oświaty publicznej w Królestwie. Ileż to razy mówiliśmy między sobą o tej potrzebie! Czyby Ojciec nie zechciał i nie mógł otrzymać, żeby nasza szkoła stała się szkołą rolniczą? Proszę sobie wystawić, że na Morawach właściciele ziemscy nie mają prawa oddawać zarządu dóbr oficyalistom, którzy nie odbyli nauk w instytucie agronomicznym w Ołomuńcu.»

macaniem na ślepo. Stąd też i wstręt miałem do takiej pracy i o tyle chętniej przywiązywałem się do wojskowego zawodu, przez który zamierzałem się następnie gotować do politycznego. Po raz pierwszy rzecz mi się wyjaśniła, słuchając Konstantego, i od tej pory nie przestałem śledzić z zajęciem i ciekawością zastosowywania wyjaśnionych mi przez niego pomysłów.

W istocie niebawem ojciec nasz puścił Konstantemu ordynacyę w dzierżawę za roczną opłatą pół miliona złotych. Konstanty z nieporównaną trafnością umiał myśl swoją przeprowadzić, skłonić włościan do dobrowolnego jej przyjęcia, a co niemniej mu czyni zaszczytu, umiał tak wielką reformę przeprowadzić pod okiem zazdrosnej i podejrzliwej władzy moskiewskiej. Po kilku latach doświadczenia i rozpatrzenia się raz jeszcze na miejscu, wezwał piętnaście tysięcy włościan gospodarzy ordynacyi do wybrania trzydziestu delegatów, — po jednym od pięciuset gospodarzy. Tych trzydziestu wybranych sprowadził do Warszawy, gościł we własnym domu przez dni piętnaście; sam z nimi bez przypuszczenia żadnego oficyalisty prowadził rozprawy, wykładał rzecz, badał usposobienia, wywoływał żądania. Na wszystko odpowiadał tak szczęśliwie, że, żegnając delegowanych, mógł im i sobie winszować zupełnej między nimi a sobą zgody, bo sami włościanie dobrowolnie odstąpili od żądań, na które przyszły ordynat się nie godził, tak potrafił ich przekonać, że są niepraktyczne i nie przyniosłyby spodziewanych skutków. W lat kilka potem sam mi Konstanty opowiadał w Paryżu zajmujące szczegóły tego sejmu włościańskiego odbytego w pośród Warszawy jawnie, a tak roztropnie przeprowadzonego, że w samychże Moskalach, a mianowicie w Paskiewiczu obudził ciekawość tylko i życzliwość.

Zamiana pańszczyzny na okup nie od razu, nie postanowieniem, ani nawet umową została do skutku doprowadzona. Mądrością prawdziwą brata mego było, że otworzył

wszystkim gospodarzom wolny przystęp do okupu, a każdemu z osobna pozostawił wybór chwili, kiedyby sam zapragnął korzystać z nowej ustawy. W istocie pierwsze ogłoszenie ze strony dziedzica ograniczało się na tem, że odtąd każdy włościanin gospodarz w ordynacyi, mający piętnaście mórg ornego gruntu, — co było miarą powszechną wskutek poprzednich regulacyi, — a obowiązany do trzech dni pańszczyzny w tygodniu, mógł uwolnić się od pańszczyzny na jeden kwartał, płacąc z góry do kasy kluczowej złotych piętnaście. Po upłynionym kwartale mógł znowu wrócić do pańszczyzny, jeśliby mu nie stało drugich złotych piętnastu z góry na kwartalny okup. Ta zupełna swoboda w użyciu lub pominięciu ofiarowanej zamiany była dla tej rzeczy jakby iskrą życia. Po dziesięciu latach przeszło dwanaście tysięcy gospodarzy już stale i regularnie opłacało okup, reszta, około dwuch tysięcy pięciuset, albo wcale nie zdołała z pańszczyzny się okupywać, albo się przy okupie utrzymać nie umiała. Wtenczas dopiero, po dziesięcioletniem doświadczeniu, przystąpił zarząd ordynacyi do ogłoszenia, iż czas próby przedłuża się na lat dwa, po których pańszczyzna przestanie być przyjmowaną, jako powinność od gospodarzy; że przeto kto się okupić nie zdoła, przy zabudowaniach swoich zostanie, ale z gospodarza, uprawiającego piętnaście morgów, zejdzie na zagrodnika o jednym morgu; grunta zaś będą wypuszczone gospodarzom płacącym okup, albo posłużą do utworzenia większych folwarków, które będą wydzierżawione zwykłym trybem. W ten sposób zamiast żelaznej równości, narzuconej poprzednią regulacyą na gospodarzy, nierównych w zdolnościach, sile, zdrowiu, pracowitości i przemyśle, zaprowadziła się zbawienna nierówność, ograniczająca słabszych do prac mniejszego rozmiaru, silnym zaś dozwalająca rozszerzyć pole działania odpowiednio do środków i ochoty każdego.

Dla zarządu ordynacyi wypadły na początek dwa ciężkie zadania. Pierwsze, że folwarki były bez pańszczy-

zny, stąd trudność w znajdowaniu dzierżawców, bo dzierżawca musiał przychodzić z kapitałem gotowym dla opłacenia najemników. Nastręczało się wzięcie folwarków w administracyę skarbową, ale od tego bronił się Konstanty stanowczo; oświadczył, iż woli wypuszczać folwarki za darmo, byle dzierżawcy na nich mieszkali i zabudowania w dobrym utrzymywali stanie. Niebawem też zgłosili się kandydaci, a między nimi liczni oficerowie i urzędnicy byłego wojska i administracyi krajowej, szukający dla siebie zatrudnienia. Zgłaszającym się dawano do wyboru jeden ze stu folwarków ordynacyi, tylko dzierżawy puszczane były na krótki termin, licząc na to, że po doświadczeniu ofiarowane będą warunki dla dziedzica korzystniejsze. Drugą trudnością dla zarządu było obmyślenie użytku dla dni roboczych, których liczba nie dawała się wcześnie obrachować, ani przewidzieć. Użyto tej robocizny do kopania rowów, osuszania łąk, zwózki drzewa z lasów i t. p.

Największem było dla gospodarzy do spłacania okupu ułatwieniem, że na przyległym folwarku gotowe były dla nich zarobki, któremi z łatwością każdy mógł zebrać sześćdziesiąt złotych na roczny okup. Kwota ta za sto pięćdziesiąt sześć dni pańszczyzny w roku wydała się całej Polsce bajecznie nizką. Tymczasem już po latach dziesięciu dochód ordynacyi z roli urósł w dwójnasób. A już dodać zaledwo potrzeba, że nie tylko opłacali się regularnie włościanie, ale do lepszego przychodzili bytu. W wielu parafiach tworzyły się kasy oszczędności, przytułki dla starców i szkółki dla dzieci, o ile rząd dozwalał. W końcu niejeden chłop gospodarz składał oszczędności swoje do kasy ordynackiej na procent. A gdy zawitał do nich w lat kilka Konstanty i tłomaczył się, że ich nie tak często odwiedza, jakby chciał, odpowiadano mu: «Jedź Pan lepiej znowu do tych Szkotów, o których nam mówiłeś, żeś u nich zaczerpnął tego rozumu, który nam się tak przydał».

Tymczasem Konstanty, choć go łajano za nizki okup, troszczył się tylko o to, czy się włościanie wypłacić zdołają. Ta obawa stała się powodem do jednego więcej śmiałego, a szczęśliwego kroku. Lasy ordynackie słyną z dobrego zagospodarowania, z obszaru, piękności i rozmaitości, ale odległość od rzek spławnych nie dozwalała dotąd znacznego z nich ciągnąć dochodu. Konstanty umyślił je obrócić na pożytek osiadłej na dobrach ludności. Służbę leśną, przez ojca z niemałym trudem zaprowadzoną, a kosztującą rocznie 60.000 złp., postanowił znieść, nazywając ją «niemieckim rozumem». Gromady chłopskie wezwał do czuwania nad przyległym lasem. Włościanom dał wolny z lasu użytek, ograniczając tę używalność jednym warunkiem: «żeby lasu nie niszczyć», a w każdej gromadzie oznaczając jednego tylko, ale konnego gajowego, którvby według przepisów zarządu bronił lasu od zniszczenia. Na to znowu rozległ się po okolicy okrzyk zgrozy i narzekania na zły przykład, na nieuniknione zniszczenie lasów. Ale włościan tem właśnie postanowieniem najbardziej ujął sobie Konstanty. Dziękowali mu, że ich uwalnia od ubiegania się o ciche, a poniżające względy służby leśnej. Czy lasy ucierpiały na tem, nie wiem; wystarcza mi wiedzieć, że się ludność podniosła materyalnie i moralnie. Znajoma jest w okolicy zwrotka śpiewu, którą włościanie ordynaccy lubią nucić: «Jestem chłopek ordynacki, nie chleb jadam, ale placki».

Granica południowa ordynacyi jest granicą między Królestwem a Galicyą, jednakowoż jedna wieś, Piskorowice, jako nieprzyległa do ordynacyi, chociaż należąca do niej, pozostała od 1809 roku w granicach zaboru austryackiego. Rozeszła się przeto do Galicyi, na wieś Piskorowice, zamiana pańszczyzny na okup, i tem samem stała się przykładem dla kilku właścicieli dóbr poblizkich. Między pierwszymi Tytus Działyński, nasz szwagier, objąwszy majętność żony, Oleszyce, w cyrkule żółkiewskim, nie-

bawem nakłonił włościan miejscowych do okupu i najpomyślniejszych doczekał się skutków[1]).

Andrzej, drugi brat mój starszy, najmocniej pochwalał zamiary Konstantego. Jakoż przez lat kilka osobiście mu dopomagał; zamieszkując Klemensów w ordynacyi, brał czynny udział w zarządzie, a mianowicie w zaprowadzeniu okupu. Wziął nawet w dzierżawę folwark przyległy, na którym utrzymywano stado pięknych rasowych koni.

Ale w rozmowach naszych w Krakowie, roku 1832, nadmieniał i o postanowieniu w miarę możności dopełniania powinności obywatelskich. Gotując się do tej pracy, wiedział, że wykonywać mu ją przyjdzie w warunkach, wymagających uległości dla wstrętnej Polakowi władzy; przewidywał nieuniknioną ze strony rządu podejrzliwość i wyprowadzał wniosek, że odtąd między osiadającymi w kraju, a wychodzącymi za granicę wypadnie zaprzestać wszelkiego stosunku, wszelkiej nadewszystko wymiany listów.

Obaj starsi bracia, oceniając ogólne położenie rzeczy, a przytem i moje własne usposobienie, chwalili zamiar zwrócenia sił i zdolności moich ku pracy za granicą. Przypuszczali, że, gdybym do Królestwa wrócił, Moskale stałą nieufność żywiliby ku mnie, a co więcej, że bytność moja w kraju stałaby się źródłem podobnej nieufności względem blizkich moich, co przeszkadzałoby im w dokonywaniu prac zamierzonych. Stąd wynikła dla starszych braci moich konieczność zachowania się odtąd w zupełnej jakby niewiadomości o czynnościach moich, a raczej x. Adama, pod którego kierunkiem chciałem pracować.

Andrzej w ówczesnych rozmowach naszych z naciskiem mówił: «Nie wolno nam będzie pisywać do siebie,

[1]) Już w pierwszych dniach powstania Tytus Działyński pisał: «Najskuteczniejszy sposób zapewnienia zwycięstwa rewolucyi jest związanie jej sprawy z dobrem całej ludności przez zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie.»

nadewszystko nigdy przez pośredników. Jeżeliby wypadała konieczność pilnego przesłania wiadomości, pisujmy zawsze i jedynie przez pocztę. W niczem umawiać się nie możemy; da Bóg, odgadywać się będziemy nawzajem. Wiadoma jest całej Polsce położona w kraju przez Andrzeja zasługa. Nadmienię tu tylko, żeśmy święcie przestrzegali wytkniętej zasady odrębnego na dwóch odmiennych polach działania i stałego odmawiania sobie wszelkich zwierzeń poufnych. Dla pracujących w kraju było to warunkiem bezpieczeństwa i jakiegokolwiek możliwego postępu w pracy. Dla stron obu było obowiązkiem obywatelskiego sumienia, potrzebą jawności w działaniu, w braku której wikła się prędzej czy później każda czynność polityczna i prowadzi na bezdroża. Niedaremnie życie polityczne nazywamy życiem publicznem.»

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Kraków, w lutym 1832.

Andrzej przybył. Mimo iż ma paszport rosyjski, niesłychanych doznaje trudności. Nie tylko, że do Krakowa przez granicę austryacką nie chcieli go puścić, ale do Bochni na nowo kazali mu wracać. Zahaczyli o to, że po drodze nie dał wizować paszportu we wszystkich cyrkułach, przez które przejeżdżał. Niech to doświadczenie tobie służy. Andrzej musi teraz czekać, dopóki paszport jego, napowrót odesłany, wszystkich tych formalności nie przebędzie.

Ze Lwowa piszą mi, że mój dotychczasowy dobrodziej[1]) zaczyna się turbować o swoją godność z powodu nieprzystojnych jemu stosunków ze mną. Konstanty namawia mnie, żebym jechał do wuja. Te dwa względy: odmówienie mi gościnności przez Austryaków i zgoda rodziny na mój wyjazd może doprowadzą do najsłodszej dla mnie pociechy.

---

1) X. Lobkowic.

Czytałeś o powtórnym okropnym wypadku pod Elblągiem? Dziesięciu naszych wiarusów padło zabitych, piętnastu rannych[1]). Osobliwa moralność Prusaków! Miłe przytem powszechne świadectwo zachowania się naszych wygnańców, mimo iż pozbawieni są starszych, a przeto nie zostają pod karnością wojskową. Zachowajmy zawsze tę godność i tę nieugiętość, a lodowata względem nas obojętność polityki europejskiej się przełamie.

Jan podobno zostaje w Petersburgu przy Grabowskim, nie wiem w jakiej to czyni nadziei, ale nie wątpię, że to z jego strony wielkie poświęcenie. Żałuję go, bo więcej mu to zapewne przyniesie zgryzoty, niż pożytku. Cieszę się, że zasłużył sobie na nieprzyjęcie u dworu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Kraków, 1 marca 1832.

Działyński powrócił z Francyi, dziwy opowiada o tem, co się tam dzieje. Zamierza znowu pojechać tam wkrótce. Leon osiada w Piskorowicach koło Sieniawy... Rozmowy, jakie Andrzej miał z x. Metternichem, bardzo ciekawe. Pisze do niego w tych dniach dla przypomnienia mu różnych jego zaręczeń. Zdaje się, że na tym człowieku groźba rozlewu krwi wielkie czyni wrażenie; dziwne to na tak starego lisa. Można mu sumienie poruszyć. Któżby się tego spodziewał!

Chrzanowski był tu niedawno. Moskale wiele mu obietnic czynili, od których się zręcznie wykręcił. Teraz marzy tylko o sposobności, jakby ich znowu przywitać. Ma wielką ochotę usługi swe ofiarować Anglii...»

«Z pobytu mego w Krakowie wspomnę jeszcze o jen. Chłopickim. Osobliwa to postać. Zaprzeczyć nie można, że nie odpowiedział oczekiwaniu narodu, że

---

[1]) Wojsko pruskie strzelało do bezbronnych żołnierzy polskich, gdy ci stawiali opór władzom pruskim, chcącym ich zmusić do powrotu do Rosyi.

nie okazał się wodzem, a mniej jeszcze był politycznym naczelnikiem, że nie umiał użyć nadspodziewanych sposobności, jakie mu się nastręczały do zadania Moskwie klęski potężnej. Przyznać trzeba, że pod jego władzą i przy bezwarunkowem oddaniu w jego ręce losów narodu straciliśmy dwa pierwsze miesiące w nieczynności. Ale obok tego było w nim coś tak rzetelnego, była taka stałość przy raz powziętej myśli, taka niezłomność wobec natarczywej niecierpliwości swoich, a tyle nieustraszonej odwagi pod ogniem nieprzyjaciela, że zdobył sobie poważanie ogólne ze strony Polaków i Moskali.

Moskale, gdy go zastali w Krakowie, nie tknęli się go[1]), mimo że w tej właśnie porze wywozili na lat kilka w głąb Rosyi naszych jenerałów, którzy dostali się w ich ręce. Wobec Chłopickiego zadowolnili się tem, że przy każdej sposobności wychwalali roztropność jego i niechęć do powstania, aby tem silniej potępiać wszystkich innych Polaków. Chłopicki istotnie był przeciwny porywaniu się na Moskwę, ale z kraju usunął się dopiero po ciężkiej, w boju otrzymanej ranie.

W Krakowie prowadziłem z nim długie o minionych wypadkach rozmowy. Dużo mówiliśmy, pamiętam, o wyprawie na gwardye. Chłopicki ganił ją bezwarunkowo.

Jak w roku 1830, tak w 1832 daremnem było usiłowanie, by go wyprowadzić z jego jedynego twierdzenia, że przeciw Moskwie Polska na drodze otwartej wojny niczego dokonać nie może. I w samejże chwili, i potem nie widział, nie rozumiał, jakie to siły, jakie ofiary oddane były pod jego władzę. Długa za granicą służba wojskowa przygasiła w nim poczucie siły duchowej narodu. Daremną było rzeczą przekonywać go, że się nie poznał na wypadkach, że nie użył środków, jakie

[1]) «Chłopickiemu postawiono wartę w przedpokoju, ale się rozgniewał i odesłał, dali mu pokój. Biskup tutejszy ma wartę. Klicki także.» (List pani Zamoyskiej do syna, Władysława, 19 października 1831)

w ręce jego oddawał naród cały, gotowy do ofiar największych. Na wszelkie dowodzenia tego rodzaju stale wyrażał zadziwienie tylko.

Nie chciał przyznać, że w pierwszych chwilach, przed ostatecznem zerwaniem, mogliśmy korpus litewski na naszą stronę przeciągnąć, a tem samem Ruś i Litwę do wspólnego wprządz dzieła. Nie uznawał, że Moskwa po wojnie tureckiej 1829 nie wróciła jeszcze do całej siły swojej, że rządy Europy, które zachowały się biernie wobec obronnej tylko wojny pod Warszawą, innej zapewne chwyciłyby się drogi, gdybyśmy byli od razu pokazali, że to cała Polska staje do walki z Moskwą, nie zaś, jak wielu mniemało, samo tylko wojsko Królestwa, przeciwko wodzowi swojemu zbuntowane. Próżną było rzeczą mówić mu, że obowiązkiem naszym jest składać świadectwo niezłomnej dla praw narodowych wierności, ilekroć zbieg wypadków, chociażby najmniej pożądanych i wywołanych wbrew roztropności, stawia nas wobec nieuniknionego wyboru między ponoszeniem nowych ofiar, a dopuszczeniem pozoru, jakoby naród przestał być jednomyślnie gotowym na wszelkie poświęcenia dla odzyskania niepodległości.

Te i podobne uwagi były niezrozumiałe dla niego, były w jego przekonaniu marzeniem niedostępnem, a co gorsza, nagannem, jak gdyby zaprzeczanie oczywistości, pomijanie względów, którym dusze prawe zawsze ulegać muszą, mogło kiedykolwiek wyjść na pożytek roztropności i rozwagi, jak gdyby najpowolniejszego posłuchania dla rozważnej rady nie zdobywał ten, co zaczyna od złożenia dowodów, że w nim samym jest zupełna gotowość do nieograniczonej z siebie ofiary.

Gdy otrzymałem paszport od austryackiego konsula i już miałem puścić się w podróż za granicę, szwagier mój, Działyński, począł mi odradzać pospiech i przekładać ku temu rozmaite, niby polityczne, powody. Niebawem przecież wyznał przedemną, że nie dla politycznych względów, ale dla czysto osobistej przyczyny domaga się,

abym odroczył mój wyjazd, dopóki on ze mną nie będzie mógł jechać do Paryża. Przyczyna była następująca: Działyński, jak wyżej nadmieniłem, obecny był na Podgórzu w chwili, gdym tam napotkał pana Ledóchowskiego. Wkrótce potem obaj w widokach, o ile wiem, czysto politycznych pojechali do Francyi. Przypadek zrządził, że w Paryżu jeden i drugi wstąpili do kawiarni, gdzie Polacy zwykli byli uczęszczać. Obydwaj krótkiego wzroku, spotkawszy się oko w oko, mimowolnie odskoczyli jeden od drugiego; niemniej jednak powstała między nimi drażliwość i nastąpiło wyzwanie. Znowu wmieszali się rodacy i skłonili obie strony do odroczenia pojedynku na później.

Tymczasem Działyński musiał spiesznie wrócić do Krakowa, gdzie zastał żonę chorą, a mnie na wyjezdnem. Opowiedziawszy poufnie rzecz całą, zaklął mię, bym miał wzgląd na krzywdę, jakaby go dotknęła, gdyby komukolwiek wydać się mogło, że on z pola uszedł i że, porwawszy się jak gdyby mnie miał wyprzedzić, dał się w końcu zastąpić przezemnie. Przystałem na zwłokę i na wspólną do Paryża jazdę, bom też nie dla tej sprawy spieszył na Zachód.

X. Adam był w Londynie i rozpoczynał tam pracę polityczną, która następnie przeważne w działaniach emigracyi zająć miała miejsce. Miałem wprawdzie, mimochodem, gdzieby się do tego nadarzyła sposobność, rozprawić się z panem Ledóchowskim, alem się bynajmniej nie spieszył do tego. Mogłem więc na Działyńskiego poczekać, byleby znów jemu nie dać się wyprzedzić. Dość, że na tem stanęło, że pojedziemy razem.»

X. Adam do Zamoyskiego:

«Londyn, 35 Madox st., Regent st.
6 kwietnia 1832.

Cieszę się niezmiernie nadzieją twego przyjazdu. Od dawna cię tu pragnąłem, potrzebny byłeś. Dobrze, że przybywasz, choć późno.

O interesach nic ci nie powiem, odkładam do przyjazdu twego, tem bardziej, że nic dobrego nie mam do powiedzenia. Przybywaj, jak najprędzej, bo radbym, żebyś mnie tu zastał choć na krótko, abym cię mógł zapoznać z wielu osobami. Byłbyś tu pożytecznym z wielu miar. Przyjeżdżaj więc, nie trać godziny.»

Przypisek Karola Sienkiewicza:

«Jakże się cieszę przyjazdem pańskim. Niechże Pan pospiesza. W Paryżu warto widzieć się i nagadać z Ludwikiem Platerem i jenerałem Kniaziewiczem. Nieoszacowani ludzie: głowy dobre, serca polskie, do xięcia szczerze przywiązani i gorliwi. Niech ich Pan pokocha.

Między błędami, które nas zgubiły, był i ten, że u nas nie przypuszczano, aby mogli być pod słońcem ludzie tak zimni, ciemni i lękliwi, jak są ministrowie Anglii i Francyi. Niech się Pan do tego przygotuje...»

W końcu kwietnia 1832, Zamoyski odwiedził w Tarnowie x. Eustachową Sanguszkową; u niej spotkał umyślnego z listami i «z xiężną najpierw podzielił się niewymownie radosną wiadomością o wyzwoleniu się ojca z Petersburga».

«Miło było słuchać», pisał do matki 29 kwietnia 1832, «jak xiężna, świeżo przybywająca z Petersburga, o ojcu naszym się wyrażała, z jaką czcią mówiła o całem jego zachowaniu się tam i o dzielności, z jaką zwalczał przeszkody, które w «bezecnym kraju i na bezecnym dworze» pokonać umiał, aby utrzymać się przy postanowieniu usunięcia się od służby publicznej i od wszelkich urzędów, a wyjechania za granicę. U x. Sanguszkowej zabawiłem półtora dnia. Listy Romana są prawdziwie wspaniałe. Są one dla niej jedyną pociechą i chlubą, ale, gdyby wieść o nich doszła do Petersburga, mogłoby się to przyczynić do większej jeszcze względem niego srogości, chociaż trudno pojąć, jakim sposobem mogłaby być większą.

To, co mi xiężna o zgryzocie Jana mówiła, wskroś mi duszę przeszyło.»

Tegoż dnia, 29 kwietnia, pani Zamoyska otrzymała wiadomość, że mąż jej w sam Wielki Czwartek, 20 kwietnia, zjechał do Piskorowic w Galicyi, gdzie przebywała x. Leonowa Sapieżyna, i że stamtąd wybiera się za granicę.

O ile Zamoyskiego ucieszyły wiadomości, otrzymane o ojcu, o tyle martwiło go to, co w listach ojca stosowało się do niego. Ordynat nie widział dla synów innej drogi, jak powrót do Królestwa, lub pobyt w Galicyi i pracę około roli i około ludu, żyjącego na tej roli. Warunkiem jednak do jednego, jak do drugiego było, jak wiadomo, uproszenie osobistej amnestyi u cara, bo i Austrya tylko za rosyjską amnestyą zezwalała na pobyt polskich wojskowych w Galicyi. Nie od razu jednak i nie jawnie ciężki ten warunek postawiła. Stąd pewne nieporozumienie między Władysławem a ojcem. Po wywiezieniu z Warszawy wszystkich wyższych oficerów w głąb Rosyi, po skazaniu na Sybir Romana Sanguszki i wielu innych, ordynat nie pragnął, by syn się zdawał «na łaskę» cesarza i o powrót do Królestwa prosił, podpisując oświadczenie, które zawierało naraz «przyznanie się do winy, przeproszenie za nią i przysięgę wierności na przyszłość». Władysław Zamoyski, nie wiedząc, że te same warunki wymagane są i dla pozostania w Galicyi, z zupełną szczerością pisał i mówił zrazu, że jest gotów do życzenia ojca się zastosować i, gdyby mu władze austryackie na to pozwoliły, w Galicyi zamieszkać.

Gdy się jednak prawdy dowiedział, na żądane warunki zgodzić się nie chciał. Ojciec zaś w oporze jego widział naraz nieroztropność, «wpływ niebezpiecznych urojeń i sprzeczność z oświadczoną gotowością zastosowania się do woli jego». Skarżył się przytem, że go syn prosi o rady, ale ich słuchać nie chce; widział w tem brak szczerości. Władysław, dotknięty tym zarzutem, tłomaczył matce, że on nie prosił o rady, ale oświadczył gotowość do wykonania rozkazów w zakresie dla jego «natury» możliwym: «Szanuję i kocham ojca teraz

jeszcze więcej, niż kiedykolwiek, pragnę na łaskę jego zasłużyć; ale są rzeczy ponad moje siły, ponad możność moją, i tych nie trzeba odemnie żądać, ani mnie oskarżać o brak szczerości, jeżeli, mówiąc, że chcę do woli ojca się stosować, pewne stawiam zastrzeżenia. Co zaś do przyrzeczenia, że będę zawsze roztropny, mogę tylko przyrzec, że będę tak samo roztropny i tak samo szalony, jak poprzednio.»

Xiężna Alexandrowa Sapieżyna, również jak brat jej ordynat, namawiała syna swego Leona, by się podał do amnestyi. Zamoyski zapytuje siostrę:

«26 kwietnia 1832.

Co Leon odpowiada na nowe nalegania matki? Wiesz, że zawsze byłem zdania, że człowiek honorowy może zrobić akt poddaństwa, zdaje mi się jednak, że tak dla Leona jak dla mnie, a może jeszcze bardziej dla niego, niż dla mnie, małoby było nadziei, żeby akt taki był przyjęty. Niektóre takie akta, zrobione z godnością, bardzo źle się udały. Turno, między innymi, przejeżdżając przez Moskwę napisał do Benkendorfa list, wskutek którego dano mu paszport do Permy. Żadnego z naszych jenerałów dalej nie wysłano.»

W ciągu maja, wśród przygotowań do wyjazdu za granicę, Zamoyski pisał pożegnalne listy do przyjaciół i rodziny.

Siostrze, x. Leonowej Sapieżynie, pisze, że stracił już nadzieję zamieszkania blizko niej i wyraża, jak ponurą mu się wydaje samotność, która go czeka: «Pisuj do mnie często. Bóg jeden wie, kiedy się zobaczymy. Ja też do ciebie często pisywać będę. Wiesz, jak drogą mi jest przyjaźń twoja i jak mi jest boleśnie oddalić się niewiadomo na jak długo...

Twój Leon harda sztuka. Słyszę, że nie daje się nakłonić do żadnego uniżenia. Wiesz, jakie o tem moje zdanie. Mam nadzieję, że upór Leona usprawiedliwi mój i wytłomaczy mnie przed ojcem.

Ale to pewno, że, gdyby Leon uczynił nawet krok od niego żądany, nie zmieniłoby to ani na włos moich braterskich uczuć dla niego[1]).»

Władysław Zamoyski do brata, Zdzisława:

«Kraków, 8 maja 1832.

Przyczyną, że długo nie pisałem, była niepewność co do mego wyjazdu. Nie byłem w stanie ci donieść, jakiemi drzwiami, czy jakiem oknem puszczę się w drogę, i dziś jeszcze nie wiem tego na pewno. Jak jedną nogą na bryczce stanę, znowu napiszę

Co będzie z twojemi zamiarami dalszego kształcenia się? Zmierzaj najprostszą drogą do celu; celem zaś dla nas uzdatniać się do służby kraju. Brak takiego uzdatnienia był niewątpliwie jedną z głównych przyczyn naszego upadku. Mam na myśli nauki polityczne i wojskowe. Posiadasz zdolności do nich. Każdy odpowiadać będzie za użytek, jaki ze swych talentów zrobił w służbie kraju.

W Królestwie zakazano wydawać paszportów za granicę tym, którzy jakikolwiek mieli udział w powstaniu. Nawet dowozy z Królestwa do Krakowa są wstrzymane. Zwierkowskiemu, skoro się konsulowie o jego tu przybyciu dowiedzieli, kazano natychmiast wyjechać, nie dając czasu i odetchnąć, grożono mu uwięzieniem. Rząd hanowerski, na żądanie posła moskiewskiego, pozwolił zabrać Polakom w Hanowerze papiery, przy nich się znajdujące. I x. Cambridge[2]) nie wstydzi się tak sromotnej uległości.»

Na samem wyjezdnem, stosując się do woli ojca, złożył Zamoyski na ręce austryackiego konsula w Krakowie, Lorenza, podanie o pozwolenie pobytu w zaborze austryackim. Niewiele jednak licząc na skuteczność tego kroku,

---

[1]) Dla x. Leona chodziło nie tylko o amnestyę, któraby mu pozwoliła wrócić do Królestwa, ale także o uratowanie majątków na Litwie.

[2]) Adolf Fryderyk (1774—1850), brat króla angielskiego Wilhelma IV, mianowany w 1831 roku wicekrólem Hanoweru.

który w istocie okazał się daremnym, pisał równocześnie do matki:

«Kraków, 17 maja 1832.

Mimo że władze austryackie mogły się przekonać, że nie spiskuję, że do polityki się nie mieszam, mało mam nadziei otrzymać pozwolenie na pobyt w Galicyi, jedyna nadzieja, jeżeli ojciec poprze moją prośbę. Jednak błagam Matkę, aby czuwała nad sposobem, w jakiby ta prośba była poparta. Wymuszenie na mnie pisma, któremuby moje sumienie przeczyło, możeby mi otrzymało pozwolenie pobytu, ale żądanych do tego wyrazów nigdy skreślić nie zdołam. Tak, jak to ojcu piszę, czuję raczej powody, które mnie wstrzymują, niż umiem je wypowiedzieć. Mam uczucie, że taki mój obowiązek; ale, jeśli z jednej strony mam niezmierne zadowolenie, zostając sam ze sobą w zgodzie i całkowicie sam sobą, to skądinąd nie taję sobie przykrości, jakie mnie czekają; te przykrości jednak zdają mi się ofiarą, nakazaną przez obowiązek. Zdawałoby się, że ja jeden chcę się uwolnić od męczarni, przywiązanych do naszego pobytu na ziemi ojczystej; to też rozumiem, że teraz podwójny obowiązek na mnie ciężyć będzie starania się o to wszystko, coby mi kiedyś dozwoliło odsłużyć się ojczyźnie za długą nieobecność. Wyrzekając się powrotu do kraju, wcale sobie nie roszczę wyższości nad tymi, którzy tam powracają; przeciwnie, mam uczucie, że uchylam się przed boleścią upokorzenia się u stóp zwycięzcy. Nie umiem zdobyć się na to poświęcenie, nawet dla pozyskania możności służenia ojczyźnie na ojczystej ziemi. Niech mnie Matka tłomaczy przed ojcem.»

KONIEC TOMU DRUGIEGO

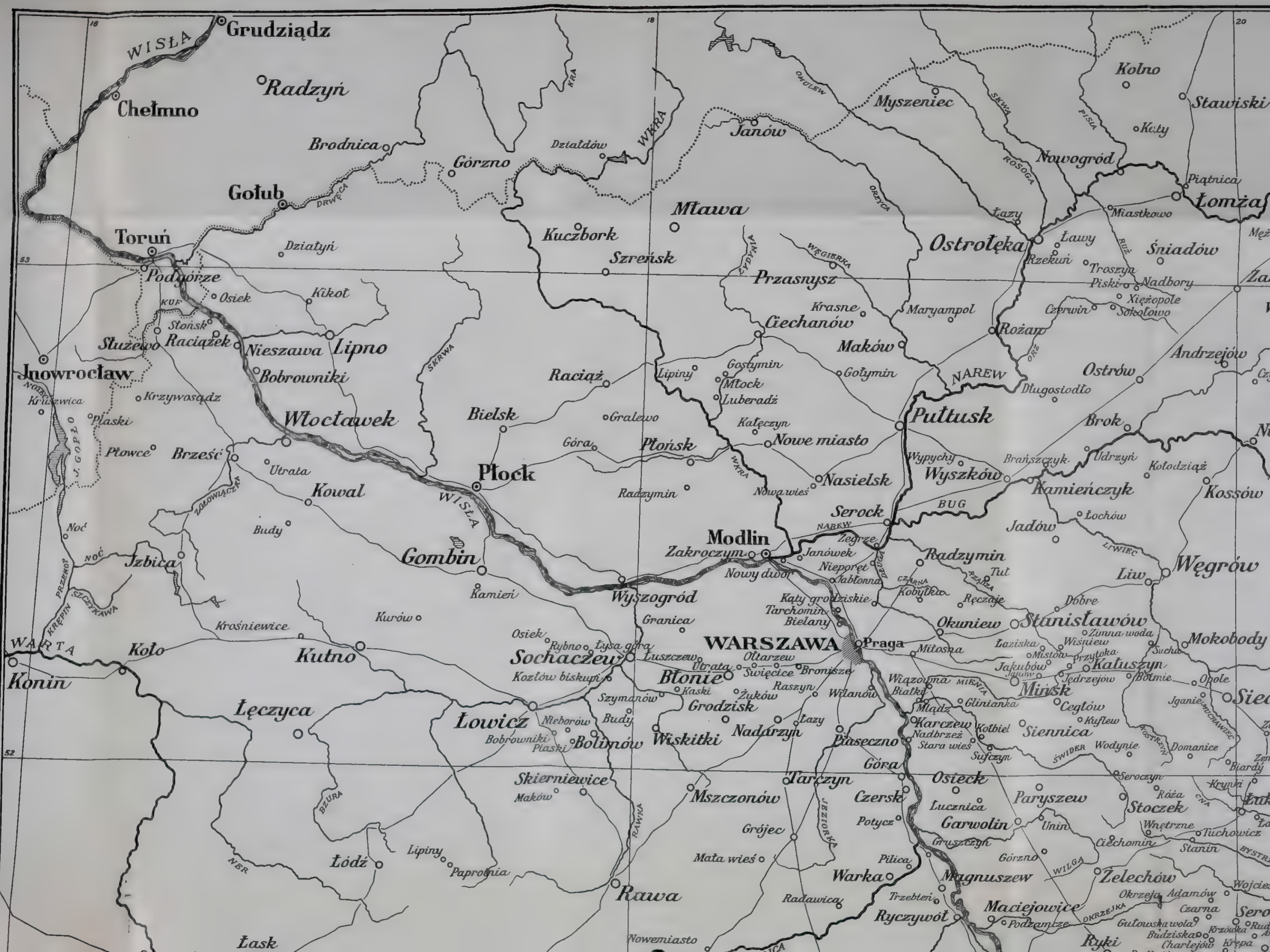
SKOROWIDZ OSÓB

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

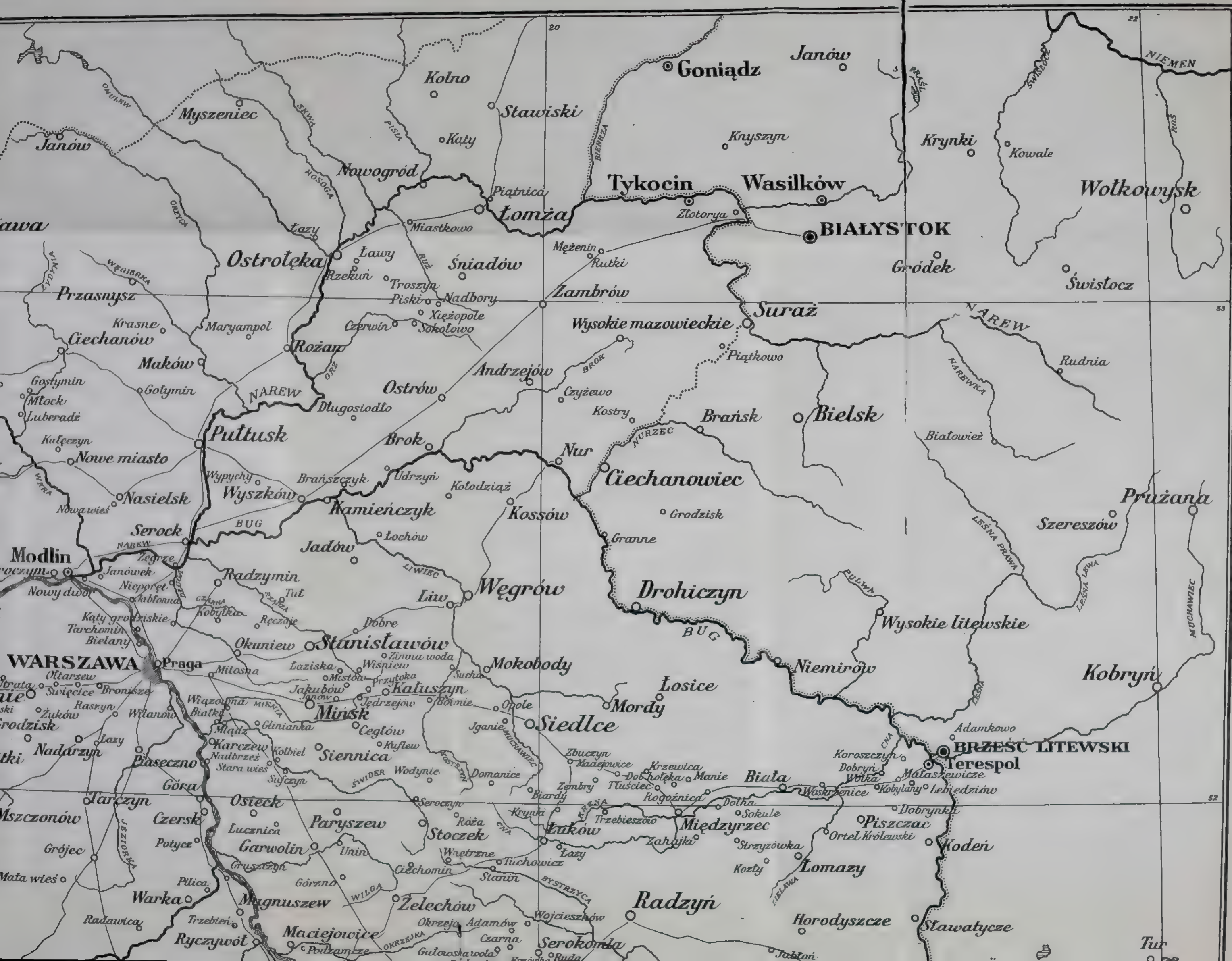
SPIS RZECZY

ERRATA

str.	*wiersz*	*zamiast:*	*czytaj:*
161	12 od g.	Brzezinie	Brzezinach
256	1 od d.	Annapolu	Annopolu
261	14 od d.	Gutowską Wolą	Gułowską Wolą
323	3 od g	Łukowa	Żukowa
327	2 od g.	Pieńki	Piaski



16
18
20
WISŁA
Grudziądz
Radzyń
Chełmno
Kolno
Stawiski
Myszeniec
OMULEW
SKWA
PISIA
Kąty
Brodnica
Działdów
WKRA
Janów
Górzno
Nowogród
ROSOGA
Piątnica
Gołub
DRWĘCA
Mława
Łomża
ORZYCA
Łazy
Miastkowo
Toruń
Kuczbork
Ostrołęka
Ławy
Działyń
Szreńsk
WĘGIERKA
Śniadów
53
Podgórze
Rzekuń
Troszyn
Przasnysz
Piski
Nadbory
Osiek
Kikoł
ŁYDYNIA
Krasne
Xiężopole
Czerwin
Sokołowo
Słońsk
Ciechanów
Maryampol
Różan
Służewo
Raciążek
Nieszawa
Lipno
Maków
Andrzejów
Inowrocław
Bobrowniki
Raciąż
Gostymin
Gołymin
Ostrów
NAREW
Lipiny
Młock
Długosiodło
SKRWA
Kruszwica
Krzywosądz
Luberadź
Płaski
Włocławek
Bielsk
Gralewo
Pułtusk
Brok
Kałęczyn
J. GOPŁO
Płowce
Brześć
Góra
Płońsk
Nowe miasto
Wypychy
Brańszczyk
Udrzyń
Kołodziąż
Utrata
Płock
WKRA
Nasielsk
Wyszków
Kamieńczyk
Kowal
Nowa wieś
Radzymin
Kossów
WISŁA
Serock
BUG
Łochów
Noć
Budy
NAREW
Zegrze
Jadów
Modlin
Janówek
LIWIEC
Zakroczym
Radzymin
Izbica
Gombin
Nieporęt
Tut
Liw
Węgrów
Nowy dwór
Jabłonna
Kobyłka
Kamień
Wyszogród
Kąty grodziskie
Ręczaje
Dobre
Tarchomin
Kurów
Bielany
Okuniew
Stanisławów
Granica
Zimna woda
Krośniewice
Osiek
WARSZAWA
Praga
Mokobody
WARTA
Koło
Rybno
Łysa góra
Miłosna
Łaziska
Wiśniew
Kutno
Sochaczew
Łuszczew
Ołtarzew
Mistów
Przytoka
Kałuszyn
Sucha
Konin
Utrata
Święcice
Broniszе
Jakubów
Kozłów biskupi
Błonie
Wiązowna
MIENIA
Jędrzejów
Bojmie
Opole
Raszyn
Mińsk
Kaski
Żuków
Wilanów
Białka
Jganie
Siedlce
Szymanów
Glinianka
Łęczyca
Grodzisk
Cegłów
MUCHAWIEC
Łowicz
Nieborów
Budy
Łazy
Mlądz
Kuflew
Nadarzyn
Karczew
Kołbiel
Siennica
Bobrowniki
Wiskitki
Nadbrzeż
Piaski
Bolimów
Piaseczno
Stara wieś
Wodynie
Domanice
52
Sufczyn
ŚWIDER
Góra
Skierniewice
Tarczyn
Osieck
Seroczyn
Maków
BZURA
Mszczonów
Czersk
Paryszew
Róża
Stoczek
RAWKA
Łucznica
CNA
Potycz
Garwolin
Unin
JEZIORKA
Grójec
Wnętrzne
Tuchowicz
Gruszczyn
Ciechomin
Lipiny
Stanin
NER
Łódź
Mała wieś
Pilica
Górzno
Paprotnia
WILGA
Warka
Magnuszew
Żelechów
Rawa
Trzebień
Okrzeja
Adamów
Radawica
Maciejowice
Czarna
Ryczywół
Podzamcze
OKRZEJKA
Gułowska wola
Budziska
Nowemiasto
Ryki
Łask
Charlejów
Krępa



20
22
NIEMEN
Goniądz
Janów
Kolno
Stawiski
Myszeniec
Janów
Kąty
Knyszyn
Krynki
Kowale
Nowogród
Piątnica
Tykocin
Wasilków
Wołkowysk
Łomża
Złotorya
BIAŁYSTOK
Ostrołęka
Miastkowo
Łazy
Ławy
Śniadów
Mężenin
Rutki
Gródek
Świsłocz
Rzekuń
Troszyn
Nadbory
Piski
Zambrów
Przasnysz
Xiężopole
Suraż
Krasne
Maryampol
Czerwin
Sokołowo
Wysokie mazowieckie
NAREW
Ciechanów
Różan
Piątkowo
Rudnia
Maków
Andrzejów
Gostymin
Gołymin
Ostrów
Czyżewo
Młock
NAREW
Długosiodło
Kostry
Brańsk
Bielsk
Luberadż
Pułtusk
Kałęczyn
Brok
Białowież
Nowe miasto
Nur
Ciechanowiec
Wypychy
Brańszczyk
Udrzyń
Kołodziąż
Wyszków
Kamieńczyk
Kossów
Nasielsk
Nowa wieś
Grodzisk
Pružana
Szereszów
Serock
BUG
Łochów
Granne
Modlin
Jadów
Zegrze
Janówek
Radzymin
Nowy dwór
Nieporęt
Jabłonna
Tuł
Liw
Węgrów
Drohiczyn
Wysokie litewskie
Kąty grodziskie
Kobyłka
Ręczaje
Tarchomin
Bielany
Dobre
BUG
Okuniew
Stanisławów
Zimna woda
Mokobody
WARSZAWA
Praga
Ołtarzew
Świętcice
Broniszew
Miłosna
Łaziska
Wiśniew
Mistów
Przytoka
Sucha
Niemirów
Kobryń
Jakubów
Kałuszyn
Łosice
Rasszyn
Wiązowna
Żuków
Wilanów
Białki
Jędrzejów
Boimie
Opole
Mordy
Mińsk
Grodzisk
Glinianka
Cegłów
Jganie
Siedlce
Adamkowo
Nadarzyn
Łazy
Karczew
Kuflew
Nadbrzeż
Kołbiel
Siennica
Zbuczyn
Koroszczyn
BRZEŚĆ LITEWSKI
Terespol
Piaseczno
Stara wieś
Madejowice
Krzewica
Sulczyn
Wodynie
Domanice
Dołhołęka
Manie
Biała
Dobryń
Wólka
Małaszewicze
Zembry
Tłuściec
Woskrzenice
Kobylany
Lebiedziów
Góra
Biardy
Rogożnica
Dołha
Osieck
Seroczyn
Krynki
Sokule
Dobrynka
Tarczyn
Czersk
Paryszew
Róża
Trzebieszów
Międzyrzec
Piszczac
Mszczonów
Łucznica
Stoczek
Łuków
Zahajki
Ortel Królewski
Potycz
Garwolin
Strzyżówka
Kodeń
Grójec
Unin
Wnętrzne
Tuchowicz
Łazy
Łomazy
Kozły
Mała wieś
Gruszczyn
Ciechomin
Stanin
BYSTRZYCA
Pilica
Górzno
WILGA
Warka
Magnuszew
Żelechów
Radzyń
Wojcieszków
Radawica
Trzebień
Okrzeja
Adamów
Horodyszcze
Sławatycze
Ryczywół
Maciejowice
Czarna
Serokomla
Podzamcze
OKRZEJKA
Gułowska wola
Ruda
Jabłoń
Tur



WEDŁUG KARTY JEN. CHRZANOWSKIEGO

Łask
Sieradz
Nowemiasto
PILICA
GRABÓWKA
Piotrków
RADOMKA
RADOM
Międzybórz
Zameczek
DRZEWICA
Opoczno
OLEŚNICA
CZARNA
Żarnów
Szydłowiec
WIDAWKA
Wieluń
Końskie
Iłża
Niekłań
Wąchock
Radomsk
Przedbórz
Radoszyce
Pilczyca
51
LISZWARTA
Kunów
Kielce
Bodzętyn
Łysa góra
Stupia nowa
Włoszczowa
Święty krzyż
Częstochowa
Małogoszcz
Chęciny
WARTA
PILICA
CZARNA
Jędrzejów
NIDA
Szydłów
Kurozwęki
Staszów
MIERZAWA
SKODNIA
Adamów
Mrzygłód
Pińczów
Grochowiska
BRYNICA
Bogucice
Busko
Skodnia
NIDZICA
Siewierz
Chrobrz
Stopnica
Połaniec
CZARNA PRZEMSZA
Miechów
Pacanów
BIAŁA PRZEMSZA
SZRENIAWA
Działoszyce
Wiślica
Olkusz
Racławice
Będzin
Pieskowa Skała
Słomniki
Opatowiec
Ojców
Goszcza
Mysłowice
PRĄDNIK
Proszowice
RUDAWA
Ruszcza
DUNAJEC
Chrzanów
KRAKÓW
WISŁA
Tarnów
Podgórze
Oświęcim
50
18
J.Hansen, Paryż

Serock
BUG
WKRA
NAREW
Zegrze
Modlin
Modlin kol.
Janówek
Radzymin
Nowy dwór
Nieporęt
RZĄDZA
WISŁA
Jabłonna
CZARNA
Kobyłka
Kąty Grodziskie
Marki
Ręczaje
Tarchomin
Grodzisk
DŁUGA
Bielany
Białołęka
Stanisławów
Bródno
Ząbki
Marymont
Kol. Elsnera
Okuniew
Targówek
Kawęczyn
Powązki
Praga
Grzybowska wola
WARSZAWA
Wygoda
Grochów
Miłosna
Wola
Gocław
Wawer
Brzuza
Ołtarzew
Bronisze
Czyste
Gocławek
Cyganka
Kobierne
Święcice
Ożarów
Rakowiec
Mokotów
Brzeziny
Dębe wielkie
Wierzbie
Stojadła
Królikarnia
Mińsk
MROWA
Służew
Wiązowna
Wilanów
Glinianka nowa
MIENIA
Raszyn
Ruda
Białki
ŚWIDER
Falenty
Mlądz
JEZIORKA
Karczew
Nadarzyn
Siennica
Łazy

10 5 0 10 20 30 40 50 60 70
1 ¾ ½ ¼ 0 2 4 6 8

NAKŁADEM BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ. JENERAŁ ZAMOYSKI. TOM II

